

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 173.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1884.

—*—

Tom pierwszy.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera,
ulica Elekoralna, Nr. 14.

—
1884.

4620. 1884. 1

II



30.000, —

Дозволено Цензурою.

Варшава, 23 Декабря 1883 года.

X-14273
4620, <u>II</u> 1.
/ 1884

HORACYUSZA,

Księgi II-giej, Satyra 6-a.

Hoc erat in votis...

Pragnąłem tylko mieć łan ziemi, z małym
W sadzie schroniskiem, i tuż u chateńki
Zdrój, oraz puszczy leśnej kęs maleńki —
Bogowie szczerzej dali mi, niż chciałem.
Niech i tak będzie. Więc cię tylko proszę
O! synu Maji! zdarz, niech co najszerzej
Z tych dóbr korzystam. Jeślim, jak należy,
Dróg prawych szukał idąc w te rozkosze,
Ani ich nie chcę zbyć krzywemi szlaki —
Jeśli nie mówię, jak z niemądrych jaki:
— O! gdybyni tylko posiadał własność klina,
Którym się sąsiad w moją rolę wrzyna —
Albo: — Ach! gdybym znaleźć mógł naczynie
Pieniędzy pełne, jak ten, co jedynie
Do Herkulesa swego westchnął, zaczął
Z najmity, własnych pól się stał oraczem —
Słowem, jeżeli z tego, co bogowie
Dali mi, rad jestem — błagam cię Merkury:
Mój cały za to majątności, z której
Wyłączam tylko myśli mojej zdrowie,
Jakoś jest mocen, strzeż mi z Łaski Swojej!

Tak więc, w warownej cichych gór ostoi
Od miejskich zgiełków zdrową chroniąc duszę,
Skoro mi dobrze z tém — to nie wiem znowu,
Satyrycznego chcąc być syt obłowu,
Czém ja w tych miejscach Muzę moją skuszę?
Ni mi dostojęństw chciwość tu dojada —

Ni letnich skwarów ołowiane łaźnie —
 Ni jesień, z którą Libityna blada
 Po życia ludzkie sięga. Chyba tedy
 Wczesnych poranków ojeze! lub wyraźnie
 Janusie Boże! uzał się mój biedy!
 Ty, czcig! którego, z woli niebios, ludzie,
 W żywota swego pracowitym trudzie,
 Dzień poczynają — za mnie proszę powiedz:
 Jaki to w Rzymie łepski jest wszystkowiedz
 Ten twój Horacyl...

— Daléj! śpiesz kochanie!
 Bo nuż od ciebie inny raniéj wstanie!
 Mniejsza: czy wicher dmie jak wśród pustyni,
 Czy mgła dzień śnieżny jeszcze krótszym czyni,
 Nic nie pomoże — ruszaj w twoją drogę!
 Cóż robić — idę — aby, ile mogę,
 O rzeczy jasnój gadać nic do rzeczy.
 W powrocie znowu, gdy z ciekawców zgrają
 Kułaki mieniam, tamci wymyślają:
 — Czego się pchasz tak, ty wyrzutku człęczy?
 Ostre nam łokcie wbijać będziesz w boki?
 Do Mecenasa twego tak szerokiéj
 Trzeba ci drogi? — Nikt mi nie zaprzeczy,
 Że jest podchlebnym taki głoś ulicy.
 Alić, Eskwilin kędy jest ciemnowy,
 Wcale nie do mnie należące sprawy
 Zewsząd mi w uszy trąbią natrętnicy:
 — Panie! przed ósmą jutro, gdzie lichwiarzy
 Zaułek, Rosciusz gadać będzie. — Panie!
 Rzecz wielkiéj miary! trudna niesłychanie!
 Dziś los się państwa w Miejskiéj Radzie waży —
 Bądź tam. Zaszczytnych trudów towarzysze
 Proszą cię o to. — Za pamięci świeżéj
 Panie! Mecenasa niech ten kwit podpisze.
 — Pomyślę o tém. — Ach! wiem. Toż jedynic
 Od woli twojéj wszystko tu zależy.

Już się to wprędce ósmy rok przewinie,
 Jak mię Mecenasa między swoich liczy,
 Poniekąd na to tylko: bym mu zasię
 Radził, z kim drogę odbyć ma w kolasie —
 Lub, by mniej więcéj w sposób tajemniczy,
 Mówił mi: Słuchaj — która tam godzina?
 Lub: — Któż jest górą w cyrku: Gall czy Traki?
 Lub: — W zimne ranki, radzę, nie chodź nagi —
 I tym podobne rzeczy równéj wagi

Zcicha mi zwierzał, które siaki taki
 Tak samo mógłby na swe wziąć sumienie,
 Jak ja. — A jednak, tych mi przyjemności
 Co dzień, co chwila niemal, ktoś zazdrościł
 Niech z moim panem ujrzą mię w arenie,
 Niech w piłkę ze mną zagra ten dobrodziej:
 — Patrzcie go! — mówią — w czepcu on się rodzi!
 Niechaj, od Rostrów, popłoch z dreszczem skóry,
 Aż ku przedmieściom gruchnie między gapie,
 Lada mię łobuz wnet za rękaw łapie:
 — Słuchajno, mości Wszystkowiedzu, który
 Ku Bogom jesteś obrócony twarzą,
 Co tam o Dakach sądzisz? — Nic nie sądzę. —
 — Drwij zdrów jak zawsze. — Niech mię nieba skarżą,
 Nic nie wiem, choćbyś grube dał pieniądze. —
 Wtém znów żołnierzy starych gawieź chobra:
 — Powiedzno — Cezar, sycylijskie dobra,
 Gdzieś tu w Italii, słyszę, nam wydzieli? —
 Gdy się i na tém nie znam, lub jeżeli
 Zmilczę, szemrają: — A to hypokryta!
 To mruk, którego nikt się nie dopyta!—

Tak się to miłym wczasem człowiek cieszy
 W tym naszym Rzymie! Więc też tęschny wdycha:
 — Prędkoż cię ujrzę wiosko moja cicha?
 Prędkoż odzyskam, wśród ksiąg starych rzeszy,
 To życie słodkie, senne, pót próżniacze,
 Którego nie wart świat szumiący hucznie?
 Tam to ja skromnie mój żołądek raczę
 Bobem, gorszącym Pytagora ucznie —
 Tam jem jarzyny z własnej gospodarki,
 Szperką zaprawne i tłustemi skwarki.
 Dopieroż godne Boskich uczt wieczerze!
 U domowego kędy to ogniska,
 Dobrani z sobą tęgich głów ludziska
 Przyrody darów używają szczerze!
 Tam panowanie wszelkich miar bezprawia!
 Kto chce, ten szklanki suszy w mgnieniu oka —
 Kto znowu nie chce, ten powolnie cmoka —
 A jednocześnie każdy rad rozprawia
 Nie tam o cudzych sprawach — ani o tém,
 Czy skoczek jaki tańczy źle, czy składnie —
 Lecz o tém, czego lada człek nie zgadnie,
 Gdyż Mądrość tylko Mężów jest przymiotem.
 A mianowicie: — Czy to, z dóbr wyzuci,
 Nad skarb, nie mogą w mierność być bogaci?

Czy się pociąganiem przyrodzonej chuci,
Czy też wyborem wzniosłym przyjaźń płaci?
Jaka jest Cnoty treść, i gdzie jój cele?..

Z powodu tego, wspomnieć się ośmielę,
Jakąto Cervius, sąsiad mój, (zwyczajnie
Tych ganiąc, którzy, bosci ani głodni,
Sądzą, że w cudzej skórze jest wygodniej)
Nauczającą przypowiastkę baję.

Oto tak było. Raz, do swojej nory
Chudopacholskiej, ufna w polne zbiory,
Mysz zaprosiła przyjaciółkę z miasta.
Chciała ją uczcić. Więc się skrzętnie szasta —
Groch przed nią stawia, owies — wtém spostrzeże
Iż tamtę w zęby te przysmaki kołą.
Więc jój podsuwa to jagody świeże,
To wreszcie szperki okraszonej solą
Kąsek, na który wszelka mysz jest chciwa —
Sama zaś głód swój byle czem pozbywa.
Wtém tamta rzeknie: — Słuchaj moja droga —
Cóż ty za życie pędzisz w tój dziczyźnie?
Tu człek rozkoszy żadnej ani liźnie!
Zobaczno w mieście. Tam, to z łaski Boga,
Wszystkiego masz po uszy. Sama powiedz —
Życie jest krótkie. Cóżby warte trudy —
Jeśliby, utyc mogąc, wolał chudy
Smutnie i naczco w ciemny iść grobowiec?
Dola dla wszystkich równo jest szczęśliwa —
I ten rozumny tylko kto używa.
Choź ze mną, ja cię w lepszy świat wprowadzę. —
Uznała tamta słów rozsądnych władzę,
Więc się nie bawiąc w drogę swą wybrały.
Tymczasem szary zmrok był zapadł. Zaczém,
Wiedzione męstwem ze wszech miar junaczem,
W gmach pyszny weszły, wprost, aż do wspaniałej
Biesiadnej sali. Cóż tam za śliczności!
Łoża rzeźbione ze słońiowej kości,
Zasłane w miękkie z purpury wezglowie —
I wszędzie jadła zbytek co się zowie.
Więc gospodyni goście swą zaprasza,
Częstuje, karmi. — Hejże! dobra nasza!
Jedz! pij! używaj! — wszak to zrzeczność rzadka. —
Istotnie, zrazu wszystko szło jak z płatka;
Gdy wtém, coś we drzwiach srogi zgrzyt uczyni —

Poprostu sługa wszedł, a z nim gromada
Brytanów groźnych, wesząc, obces wpada.
Dopieroż wnoży gość i gospodyni!
Jedna przez drugą ledwie uszły z duszą!
Wtedy wieśniaczka rzeknie po namyśle:
— Nie, już mię więcej ucztę tve nie skuszą —
Bywaj mi zdrowa. Obliczywszy ściśle,
Smaczniej ty żyjesz, niż ja — lecz, w mój norze,
Swój groch, człek chociaż jeść spokojnie może. —

Felicyan.

ZARYS FILOZOFII RODZIMÉJ.

A. Część krytyczna.

I.

Świat nie istnieje wyłącznie dla człowieka. Gwiazdy, słońce, ziemia, przyroda, ze wszystkimi swojemi prawami, wszystko to było, jest, będzie, niezależnie od nas, nie koniecznie dla nas, stanowczo nie przez nas. Pewnik ten, nie mogący być dowiedzionym, nie potrzebujący dowodu, skazuje na wieczną jałowość doktryny i pomysły, wyprawdzające, wzorem idealizmu Schopenhauera, rzeczywistość wszelkiego istnienia z głowy ludzkiej, narzucające podmiotowe widzenia nasze na przedmiotowy ustrój i istotę zewnętrznego, otaczającego nas oceanu zjawisk. Ale, o ile niewątpliwe jest, że świat nie dla nas i nie przez nas istnieje, o tyleż jest niezawodnym i to, że świadomość nasza o świecie i jego cudach, wiedza o nich nasza, nauka o nich nasza, niemylnie przez nas i dla nas jedynie istnieje. Ten zaś z kolei pewnik, któremu żadna istota myśląca zaprzeczyć nie zdoła i nie zechce, z niemniejszą kategorycznością od pewnika poprzedniego usuwa na bok systematy i pojęcia, usiłujące w siatkę wniosków, odwzorowanych z postrzeżeń fizycznego otoczenia, ująć, i siatką tą oplątać rozum, moralność, wolę—zgoła jaźń, duszę ludzką.

I w tém-to drugim, naukowém, znaczeniu poglądów naszych na życie, słusznie powtarza Józef Supiński za Heerenem, że „każda stronica w księdze dziejów, której treść nie wpływa na losy dalszych pokoleń, która przeto istnieje dla siebie samej, jest niezapisaną stronicą” ¹⁾. W tém również określeniu nauki—jako nauki z zasady i przeznaczenia swego ludzkiej—trafną jest krytyka i właściwą na-

¹⁾ „Mysl ogólna fizjologii wszechświata,” wyd. trzecie, str. 37.

paść Libelta na „samowładztwo rozumu” w filozofii; filozofia bowiem, jako nauka o najwyższych zagadnieniach bytu, zanadto ściśle i głęboko wiąże losy wszechświata z losami ludzkości, by wykrycie prawd, związek ten wykazujących, zależeć mogło od jednej tylko umysłowej władzy człowieka, od natężenia jednej strony ducha. W materii tej, sąd i wyrok, należą, bezwątpienia, do rozumu; ale motywa i powody wyroku zaczerpnięte być powinny i podsłuchane w tajnikach całej istoty ludzkiej. całej jego natury, fizycznej i psychicznej. „Poznać przeto naturę ludzką, poznać pragnienia i wstręty człowieka, odzywające się równocześnie w całym jego jestestwie, wysledzić źródło, z którego one płyną, zgłębić jego potrzeby fizyczne i duchowe, nie stające nigdy przeciw sobie ¹⁾, poznać jakim jest człowiek pojedynczo, by wiedzieć jakim on może być zbiorowo, i na tych zasadniczych prawach przyrody oprzeć ludzkie prawa: oto jest zdaje się ostateczne umiejętności powszechnéj zadanie.” „Jeśli zaś dotąd nie istnieje umiejętność obejmująca całą potęgę człowieka, umiejętność ta powstać może, i prawdopodobnie powstanie.” (Supiński str. 41,44).

Filozofia, którą w połowie bieżącego stulecia nazywaliśmy powszechnie i nie bez pewnej godziwej dumy filozofią słowiańską, nigdy, ściśle biorąc, inaczej nie pojmowała swych zadań. Od Jana Śniadeckiego i Józefa Gołuchowskiego do Hoene-Wrońskiego, Libelta, Kremera, Treutowskiego i Cieszkowskiego, i od nich do Supińskiego i Struvego, każdy nasz całokształt filozoficzny albo wychodził z zasady niedostateczności rozumowanych jedynie dociekań, albo téż niedostateczność tę wnioskował, czy to wprost czy pośrednio. Jeśli zaś ziarno wiedzy naszej, w ten sposób posadzone na zagonie ojczystym, nie wydało należytego plonu; jeśli w ostatnich czasach samo nawet słowo filozofia popadło w niejaką poniewierkę, przyczyny były natury zewnętrznej, przechodniej, rzekłbym powietrznej. To czasy nadeszły za gorące, to znowu przyszli uprawiacze zanadto oziębli. A znalazły się i dużo także winy w samych siewcach. Śniadeckiego szkocko-zmysłowa, po góralsku doraźna i trzeźwa wyprawa na Kanta, zamyka przed nami na długo, ze szkodą niezmierną, możność poważniejszego wniknięcia w prace królewieckiego myśliciela, który dla filozofii nowożytnej jest i pozostanie tém, czem był Arystoteles dla starożytnej. Gołuchowskiego „Dumania“ nigdyby nie doszły do tak ryczałtowego rozstrzygnięcia wszelkich kwysty w tomie drugim, gdyby tom pierwszy głębiej się był zastanowił nad doniosłością kantowskiej analizy sposobów i granic naszego poznania w Krytyce czystego rozumu, i nad istotnym znaczeniem Krytyki rozumu praktycznego.

¹⁾ Przynajmniej ustępy z autorów, niepodobna usuwać, lub natychmiast prostować twierdzenia poboczne, dodatkowo w nich zawarte, nie zgadzające się z oczywistością i potrzebujące uzasadnienia. Podkreśliłszy tu wyrazy, których metafizyczność wątpliwéj jest wartości. Dużo takiego kłótu w pismach uajwiększych myślicieli.

Heglistow polskich zdradziła znowu metoda, zamiar prześcignięcia Niemców na ich własnej drodze, własnymi ich końmi. Chcieć ideały swe ucieleśniać przez nałamywanie i nachylanie ku nim szczytów metafizycznych, chcieć dociec rzeczywistości bytu, posuwając jeszcze o jeden szczebel dalej ostatnie wysiłki abstrakcyi niebytowej, jest to niemal to samo, co chcieć przeskoczyć przez wierzchołek własnego cienia. Ztąd mesyanizm Wrońskiego, zamknięty w formułach matematycznych i na wieki złożony w aktach publicznej biblioteki paryzkiej. Ztąd mistyczne przesłanki dekalogu Libelta ¹⁾, ztąd sztywne choć barwne przeobrażenia hegelianizmu Kremera i dziwotworne kapliczkowe stacye Trentowskiego, pozarastane pasozytnem zielskiem najzupełniejszej dowolności. Cieszkowski, Struve, Supiński, wychodzą z innych już każdy założeń; ale jak w pierwszym z nich raz deduktywne wyteżenie przeciwstawności romano-germańskiej w kierunku pojednania słowiańskiego, któremu przyznana jakaś nieomyślność, jakaś zakończoność dogmatyczna, tak w ostatnim, przy całej oryginalności i rzutkości pomysłów, dotkliwie czuć się daje niedostateczność i nierównowagę materiałów naukowych. Wszystko to razem nie pozwoliło posiewać prawd rzeczywiście odrębnych, swojskich, wyostać się na jaśnie świadomości publicznej. Górę nad nim wzięła puszcza twierdzeń i zapewnień w ogólności bardzo szerokich i lotnych, lecz nie ugruntowanych, raz poraz wybiegających po za zakres umiejętnego dochodzenia i przedstawienia przedmiotu.

Nie mniej, zarówno rzecz jak i nazwa słowiańska filozofii przyszłej, nowj, dałyby się utrzymać na wysokości tegoczesnych wymagań wiedzy ścistej. Staćby się to mogło nie dla tego, iżby szczepl słowiański miał być szczeplem wybranym, powołanym do zamknięcia w ostatecznej formule przeznaczeń ludzkich, nie dla tego, iżbyśmy pod względem umysłowym stali wyżej lub znowu zbyt niżej od Niemców, Francuzów lub Anglików, lecz tylko dla tego, iż w naszym rozwoju historycznym same już wypadki po temu się złożyły. Plemię nasze zbyt długo i na szerokich przestrzeniach było szarpanem, wyzyskiwanem i nieszczęśliwem, ażeby nie miało w świecie wewnętrznym szukać zgodności i pokrzepienia, których mu brakło w życiu faktycznym, zewnętrznym. Zbyt ciężką niedolę i niesprawiedliwość znosili Słowianie na sobie, ażeby doli i sprawiedliwości nie ukochali gorąco w dziedzinie dóbr duchowych, których rdza ziemi się nie ima. Zbyt niemiłosiernie guiotły nas nierząd i nieład społeczno-polityczne, ażebyśmy w nauce sercem całym przyłgnąć nie pragnęli do wszystkiego, co prawdą, porządkiem i świętością. Filozofia, dociekanie praw najwyższych, nigdyżby się zdobyć nie mogła nawet na taką pociechę, jaką

¹⁾ Probowalem wykazać kruchość tych przesłanek w pierwszym tomie kwartalnika „Kłosów,” ale przez zbytke oględności, któraby u nas powinna była właściwiej być zrozumiana, tudzież z powodu kilku omyłek drukarskich i innych, nader dotkliwych, rzecz wyszła zawilo i ciemno.

jasne i błogie ognisko domowe zapewnia ludziom północnym, wystawionym na walkę i nieprzyjaźń ostrych żywiołów otoczenia? Czém jest istnienie samo w sobie, niezależnie od naszego, przez wiedzę wytrawionego na nie poglądu, tego wiedzieć nie możemy, o tém się nigdy nie dowiemy, o to pytać nawet jest niedorzecznością oczywistą. Sam Stwórca, gdy spojrzy na swoje stworzenie, ujrzy je jedynie takiém, jakiém Mu je mądrość Jego odwieczna przedstawia. Jakżeby teraz człowiek mógł sobie poradzić inaczej? Tém lepiej jest, jeśli ogromowi zdarzeń wszechbytu przewodniczy niedostępny naszemu pojęciu Ład wszechmocny; gdyby jednak — a samo przypuszczenie w tej mierze jest jakby nagrawaniem się nad swoją treścią — gdyby jednak traf tylko prosty, prosty tylko przypadek rządził czynnikami bytu, alboż cywilizacya w porządku towarzyskim a filozofia w porządku umysłowym i moralnym nie są ku temu, by łagodzić i goić rany, jakie tęsknotom i nadziejom ludzkim zadaje szorstkość i nieprzenikliwość zagadkowych przestworzy świata, na których burzliwe i kapryśne fale, łódź nasza wypłynęła z nieświadomości pieczar?

Zbierać dziś kielko po kielku niedoszłe plony filozofii słowiańskich, „dopełniać Cieszkowskiego, Libelta lub odbijać „Logikę“ Struvego, piękne nieraz kapitale cudackiego gmachu Trentowskiego, byłby to trud nie nad siły zapewne obecnego pokolenia, ale nad jego chęci i potrzeby. Nie taką zresztą pracą zaznaczają się usiłowania ludzkie w zmiennym potoku myśli społecznej. Nie takiém téż jest zadanie niniejszego studyum. Cel jego prosty, przeto być może, że się téż i skuteczniejszym okaże. Chodzi tu jedynie o usunięcie kilku zawał, jakie obojętność lub zarozumiałość najświeższych czasów postawiły prądowi rodzimego naszego swawstwa w filozofii, wspaniale rozplyniętego do niedawna w ręczym swym biegu ku czarownym ujściom Ideału...

Sprawa ta nie powinna być dla nas obojętną. Przed kilkunastu laty tyleśmy oczekiwali od filozofii ojczyściej, z takim ją witaliśmy zapakem! Lekceważyć ją dzisiaj, znaczyłoby dowodzić, że się nie wiedziało nigdy, czego się chce, ani czy się chciało czego kiedykolwiek. Być zaś człowiekiem „praktycznym” za cenę ciemnoty, problemat to nie trudny nawet u ludzi dzikich. Zresztą, nie trzeba myśleć, żeby filozofia nie zostawała z życiem powszedniém w najściślejszym związku. Filozoficzna książka Benthama o u ty l i t a r y z m i e, wydana w początku bieżącego stulecia, stała się w Anglii punktem wyjścia dla całego szeregu reform prawodawczych, administracyjnych, wychowawczych. Polityka, oświata, dobrobyt, potęga Wielkiej-Brytanii, nosi podziś dzień na sobie widomy ślad wpływu jednej doktryny, umysłową cechę jednego teoretyka. To samo, z innego powodu, w Prusiech. Przesąd tylko i niewiedomość przypuszczają, że Hegel był sobie niewiniątkiem abstrakcyjnym, nie wspólnego nie mającém z żywotnemi zagadnieniami swojego czasu i swojej przybranéj ojczyzny. Dzisiejsza bezwzględna „racya pruskiego stanu,” której żelazne berło uznały nad sobą Niemcy, dzisiejszy pangermański centralizm, tak sprzeczny z przeszło-

ścią pleńienia, złożone są od pierwszego do ostatniego wyrazu w programie wykładów, które Hegel miewał w uniwersytecie berlińskim od r. 1818 do swego zgonu. Ów jego „duch przedmiotowy,” to nie innego, tylko długi dyalektyczny proces, wysnuty z dziejów, celem rozwinięcia i uzasadnienia przerażającego tematu, do którego pozytywizm nowoczesny przyznać się musi, jak do naczelnego swego przykazania... a tym tematem: *sit pro ratione factum*.

Nie bądźmyż jak dzieci, które się rozśmieją, gdy im powieśz, że jedna i ta sama siła trzyma przy ziemi zarówno księżyc, jak ziemniak, czyli, co na jedno wychodzi, że pojęcia odległe bezpośrednio wiążą się z najprostszymi i najbliższymi naszymi pojęciami. Nie bądźmy jako chłopci, których nie przekonasz nigdy o tożsamości energii niezbędnej w nas dla poetycznego zachwyty nad księżycowem światłem i dla umiejętnego sadzenia w ogrodzie kartofli... Umysł ludzki, zaodłożony na jedném polu, koniecznie zakwitnie mietlicą na innych. Zgorzkli, zniechęceni, zużyci i obojętni na kwestye ekonomiki duchowej, nie innymi się okażemy w zabiegliwości swój o chleb codzienny. Rozum skapcianały w dziedzinie zagadnień powszechnych, ogólnych, z pewnością zsunie się w chacie pod ławę. Młódz francuzka, która w r. 1870 w rozsypkę szła na sam widok ułańskiej chorągiewki, zawczasu wdrożoną została do podobnej swobody w szkole, której cała dyscyplina moralna była owocem eklektyzmu uniwersyteckiego, rozluzowanego na cztery wiatry przez swoje pacta: i z idealizmem, i z mistycyzmem, i z sceptycyzmem, i nawet z sensualizmem—do jednego zagarniętych kosza. Chaos w umysłach ojców, chaosem w dziełach synów—patrum invalidi referunt jejunia nati. Na te głowy, roztrzęsione i rozkołtysane misternemi, lecz chybkimi, luzno-zasadowemi, niemoralnemi, bo wielowykładnikowemi naukami Cousinów, Thiersów i Villemainów, pozytywizm późniejszy, pojęty w sposób najpozytywniej praktyczny, przyszedł wysypać już tylko proch i popiół swojej nicości...

Nie patrzmyż tak zgóry na marzenia filozofów, trzymając sami z fanfarońską za groszakową swą pozytywność w kabzie... Groszak najniechybniej zginie z pod palców, gdy w mózgu będzie pustka.

II.

Dzieło Supińskiego: „Myśl ogólna fizjologii wszechświata,” z któregośmy wyżej przytoczyli parę wyjątków, nie bez celu spotyka nas na samym wstępie. Prowadzi nas ono ku źródłom najcięższej z tegoczesnych mar filozoficznych, ku źródłom pozytywizmu, pojętego jako nawałnica i najazd niezłomnych praw przyrody fizycznej na samodzielnosć i twórczosć naszego ducha, która to twórczosć, ponieważ jest, ponieważ da się okazać, i niemal, gdyby komu o to chodziło, pozwoli się dotknąć, nie powinna być odpychaną od swych dobrodziejstw również przyrodzonych.

Twórczosć da się okazać! samodzielnosć ducha da się dotknąć!

Wręcz inaczej mówią o tém Hume i Spencer, a mówią nie gołosłownie tylko. Nam jednak wszystkiego odrazu rozpatrzyć nie sposób. To, co z pism tych myślicieli uwieźło w pozytywizmie tegoczesnym, roztrząśniami na swoim miejscu. Obecnie mamy tu do czynienia z głównym zastępem sił przeciwnych filozofii słowiańskiej i nawet przeciwnych wszelkiej zgoła filozofii. Zastęp ten ogłasza panowanie praw fizycznych—bezwzględném, powszechném. Dokumenta więc tego uroszczenia muszą być zbadane najpierw.

Supiński pozytywistą w ścisłém tego słowa znaczeniu nie jest; jego „Myśl ogólna” nie podchodzi pod żadną klasyfikacyę zapatrywań z okresu po-comte’owskiego. Tém cenniejszą jest ona właśnie. Praca ta osnutą bowiem została, o ile się zdaje, na tych samych źródłowych danych, które dały początek głównym dziełom założyciela pozytywizmu, Augusta Comte’a: jego „Kursowi filozofii pozytywnej” i jego „Kursowi polityki pozytywnej.” Pokrewieństwo między dwoma tymi pisarzami jest w każdym razie pokrewieństwem dość blizkiém. Comte i Supiński należą, jeśli nie do jednej szkoły, to do jednego nauczyciela. Nauczycielem St. Simon; obaj oni, acz nie wspólnie wychowali się pod pieczęcią genialnego tego agitatora, wpływy sain-simonizmu na nich były nie jednolierne, nie równoznaczne i nie jednoczesne, wiązały się zaś one i plątały się z sobą w ten sposób, że Comte z nauk St. Simona korzystał wężej, głębiej, a Supiński, świadomie czy nieświadomie, czerpał z nich szerzej, powiewniej, przycém drugi podpierał swe założenia, wcześniej wyosobnione, w kierunku uspecjalizowanych dociekań Comte’a, które poznał później i tylko ubocznie; przytém wnioski swe i wywody Supiński miarkował, przy świetle ogólnej tegoczesnej, drugorzędnej jeszcze nurtami poszukiwań Saint-Simona, nurtami niezmiernie zmiennej i różnorodnej w swych objawach, choć zawsze kierowanymi pobudką jedną: chęcią uszczęśliwienia rodu ludzkiego przez narzucenie mu nowój jakiejkolwiek organizacji towarzyskiej.

Powyższa geneza „Myśli” Supińskiego uwidoczni się następnie da se. Powołać się na jej pochodzenie w téj chwili trzeba było z tego powodu, że działalność St. Simona, inicjatora pozytywizmu, jest u nas nieznaną. Płaszczyny, z których się w górę wyniosły grube mgły wielkiego pozytywnego zaćmienia filozofii w wieku XIX, odgrozione są od nas nieużytkami długiego i powszechnego zapuszczenia. Nikt w te strony oddawna nie zaglądał. Przeto rzut oka na zasadniczy pomysł Supińskiego, jako na ruczaj (sam przez się czysty zresztą i piękny), wypływający na nasze ojczyste błonia z kanałów st.-simoniskiego początkowania, ułatwi nam pogląd na wartość i doniosłość przedsięwzięć saint-simonizmu, oswajając nas zarazem z topografią pozytywną w ogólności.

W cémże tkwi treść filozofii Supińskiego?

Kwestya ta, bądźmy pewni, nikomu spokoju nie zamąci.

„Wszystko, co jest, powiada nasz autor w pierwszym zaraz roz-

dziale swój Myśli ogólnej, pod dwojakim pojawia się względem. Każda pojedyncza istota, każde ciało, każdy nawet pomysł człowieka, jest raz całością samą w sobie, drugi raz częścią dalszej, rozleglejszej całości. Dwojakię stanowisko tej samej rzeczy, pociąga konieczność dwojakię w świecie powszechnym dążności¹⁾. Musi być pewny popęd i pewna zasada istnienia dla części, bo te nie istniałyby odrębnie; musi być druga dla całości, bo ta rozsypałaby się musiała. Prawem odwiecznym przeto, powszechnym i niezmiennym, jest organizm jeden i wspólny przyrodzie całej, opierający się na dwoistym ruchu: części i całości; organizm utrzymujący całość częściami, karniacy części całością, a to bez względu, czy te części i ta całość są ciałami świata pierwotnego, czy wyrobem ludzkiej myśli“ (str. 56).

Byłoby to chcieć bez potrzeby i bez celu uwłaczać dziełu Supińskiego, utrzymując, że w powyższym ustępie „Myśli ogólnej“ zawartą została rdzeń jego filozoficznych odkryć; ale się nie da zaprzeczyć, że poszedłszy bez ceremonii od dwuramiennego swego ustosunkowania „całości“ i „części“, do wyobrażenia dwóch sił we wszechświecie: „rzutu“ i „rozkładu“, autor nasz urządził z nich jakieś wiekuiste wahadło, jakąś grę nieustającą, która w sposób dość zawyły i niepewny przerzuciła swą przyczynowość, to z całości na części, to z części na całość, to z rzutów na rozkłady, to z rozkładów na rzuty, i tęp wypełnia cały gmach „Fizjologii powszechnej“. Gmach jednak, pomimo to, nie przestaje być głuchym i pustym. Z pojęcia „organizmu przyrody, opierającego się na dwoistym ruchu: części i całości“, z postulatów w rodzaju tego: „że wszelka całość składa się z części, a każda część należy do jakiejś całości“, wychodzą u Supińskiego kombinacye i sprzężenia zjawisk tak oderwane i zarazem tak pierwiastkowe, że wszelkie tych sprzężeń wynikłości bezpośrednie, czyli dedukcyjne, są matematycznie nieważkie i metafizycznie obnażone, a wszelkie ich przystosowania indukcyjne, to jest przykładami postronnymi podparte, jawią się dorywczo, bez wewnętrznego związku, lub też powiązane analogią najzupełniej przypadkową, przypominającą talizmanowe prawdy w gatunku następujących: że cztery są pory roku, cztery ewangelie w Nowym testamencie, cztery kąty w kwadracie i cztery kasty w Indyach, a tylko dwa końce w drążku. Rzecz to niewątpliwa, iż zarówno konstelacya słoneczna, jak i katedra kolońska, są jednocześnie: i całościami dla swych części, i cząstkami czegoś ogólniejszego; ale pytamy, czem podobne pewniki przyczynić się mogą do naukowego wyttomaczenia bądź układu naszego systemu planetarnego, bądź architektury nadreńskiego tumu? W ogólności, orzeczenia Supińskiego dowodzą

¹⁾ Czytelnik dobrze uczyni, gdy sam sobie rozwiąże pytanie, ażuli względem rzecz pewną, czyli stanowisko tej rzeczy, bądź dwojakię, bądź sześciorakię, pociąga za sobą konieczność dwojaką lub sześcioraką tężże rzeczy dążność. Od spoczynku do ruchu krok tylko jeden, to prawda; ale trzeba go zrobić!

albo czegoś zawiele, albo nie zgoła. Ze wszelki organizm utrzymuje się składowemi swemi pierwiastkami, że te pierwiastki zasilają zkolei zbiorowość swoją, aksjomaty podobne prowadzić mogą jedynie do formuł tak bezużytecznych, choć niemylnych, jak np.: że człowiek cięższym jest... od swoich powiek, lub też do przypuszczeń i niedomowień tak kłopotliwych, jakgdyby kto np. utrzymywał przed Claude-Bernardem, że zasada istnienia ciała człowieczego, pojętego jako całość, inną jest (albo nawet nie inną, bo to dowolne), niżli zasada utrzymująca przy życiu głowę, wziętą jako część organizmu ludzkiego. Tyleż w tém prawdopodobieństwie, co i nieprawdopodobieństwie.

Z tém wszystkiém, wniknąwszy bliżej w przytoczony ustęp Supińskiego, przekonamy się, że nie tak dalece, a przynajmniej nie we wszystkich częściach, jest on tak dalece scholastyczno-metafizycznym, jakby to wynikało z analizy logicznej jego ogólników.

„Całość, twierdzi nasz filozof, utrzymuje się częściami, części karmią się całością, a prawo to obowiązuje zarówno ciała świata pierwotnego, jak i wyroby ludzkiej myśli..“

Wyroby! A myśl samą czy obowiązuje ono?

Prawo powszechne, czémkolwiekby zresztą było, je st bez żadnych wyjątków, lub niém nie jest wcale.

Świat fizyczny, widomy, upostaciowany, przedstawia, zdaniem Supińskiego, pewnego gatunku algebraiczne równanie, wyprowadzone ze stosunku całości do części, sił rzutu do sił rozkładu. Dzieła ludzkie z karbów równania tego nie wymykają się bynajmniej. Przepuścimy. Lecz to, co w człowieku dzieła owe do bytu wywołuje, ma-li być, czy nie ma być podciągniętem pod ogólną normę wszechobjawów świata?

Pytanie dotyczy tym razem rzeczy najzupełniej konkretnych i nie jest wcale podrzędnem. Przy niém rozchodzą się wszystkie kierunki filozoficzne. Ono roztrąca lub wznosi najmisterniejsze budowle mędrców. W niém źródło niezaspokojonej ciekawości człowieka, a zarazem też, jak to zapewne okażemy, krynica energii jego twórczej i działalnej. Ominąć go niepodobna, usunąć się przed niém nie sposób. Staje ono na pierwszym progu umiejętności wszelkiej.

Zagadnienie o zależności lub niezależności krainy myśli i woli ludzkiej od praw rządzących zjawiskami zewnętrznego świata w powszechności, nie może być żadną miarą zepchniętem na plan drugi, skoro było i na zawsze pozostanie naczelnem i pierwszorzędnem.

Dochodzenia, podprowadzane niegdyś pod miano filozofii sła-wiańskiej, stałe rozwiązywały fundamentalną tę kwestyę podległości człowieka naturze, na stronę autonomii ducha ludzkiego. „Opatrzność, mówi Kremer, zakreśliła jedynie zakon ogólny światu, wytknęła mu cel, zostawiając rodowi ludzkiemu, by po s w o j e m u ziścił najwyższe przykazanie; wszelkie inne pojmowanie będzie fatalizmem i doprowadzi do czczego rozumowania, budującego formułki filozoficzne nie

poparte faktami ¹⁾. „Teorya prawidłowości powszechnej, zapewnia Gołuchowski, sprowadzona do prawdziwego jój znaczenia, odnosi się jedynie do rzeczywistego, zjawiającego się nam świata, przedstawia nam świat, który nazywamy naturą, czyli to wszystko, co się mieści w zakresie skończoności i materjalności. Z niego te prawa są zdjęte. Mylnie więc teorya, opierająca się ze swemi prawidłami na materjalnej rzeczywistości zynstowego świata, mieni się być wszystkim“ ²⁾.

To samo powielekroć zdaje się powtarzać i sam Supiński. „W budowie świata całego, na olbrzymią rzuconej skalę, w której przeto siły rzutu i rozkładu (przyciągania) są do najwyższej podniesione potęgi, wszystko wydaje się nam jednostajnym i niezmiennym (prawidłowym), a powolne zboczenia i odmiany przechodzą cicho, zaledwie dostrzeżone w odstępach, które wiekami nazywamy; w organizmie istot ziemskich przemiany te, rozdrobnione do nieskończoności, powstają i mknąc co chwila w rozlicznych kształtach i sposobach, mieszając się i krzyżując między sobą, toną w ogromie własnym i zwodzą śledzące je oko; w duchowym wreszcie życiu, oderwane niejako od ciała i samej tylko duszy widzialne, stają się już one zagadnieniem równem niemal temu, jakim były w niewidomym punkcie swego powstania, w niepojętym dla nas ognisku twórczości, a uzupełniając powszechne prawo wiecznego kołowania, łączą punkt ostatni z pierwszym: człowieka z Bogiem“ (Myśl ogólna, str. 71). „Wiedza ludzka jest potęgą ducha; duch jest Boga tchnieniem“ (str. 119). „Wola, ta naczelną i kierującą trybem życia naszego potęgą, oddzieliła nas stanowczo od reszty istot martwych i żyjących; a jeżeli jest prawdą, że człowiek w łonie swoim nosi bóstwa zaród, tym świętym zarodem jest jego wolna wola“ (str. 124).

Niechybnie. Lecz w takim wypadku, zkądże się w Supińskim bierze cały szereg innych zupełnie, odwrotnych, z poprzednimi sprzecznych twierdzeń? „Co jest prawem świata fizycznego (utrzymuje on w témże dziele), nie przestanie niem być w dziedzinie ducha; co jest prawem wśród gwiazd i na ziemi, nie przestanie niem być w ludzkiej społeczności; linia najkrótsza, linia prosta, będzie razem drogą prawdy; kąty wpadnięcia i odbicia światła będą zrównoważeniem praw i obowiązków; władza spadająca na ludy, nie napotykając na opór, narastać będzie szybkością przyspieszoną; udział narodu w sprawach narodowych będzie w stosunku odwrotnym składających go jednostek...“ (str. 67). „Prawa świata fizycznego powtórzyć się muszą w towarzystwie ludzkim, inaczej towarzystwo byłoby rokosem w łonie przyrody“ (str. 87). „W szczupłych ścieśnieni granicach, nie pojmujemy przestrzeni bez granic; krótko trwający, nie zrozumiemy nigdy wieczności; nieświadomi własnego początku i końca, zdążająmy w pokorze ku wydoskonaleniu, nie pytając, gdzie się ono za-

¹⁾ Wykład filozofii, t. II, str. 710.

²⁾ Dumania, t. II, str. 236.

trzyma. Ono idzie bez nas i mimo nas, bo ponad ludzką wolą stoi wola Boga, bo powyżej ustaw naszych ciężą przyrodzone prawa, bo *leges legum sunt*“ (str. 278).

Cóż o tém teraz sądzić? Na którą stronę się przychylić? Duch ludzi jest li w nas „technieniem bóstwa,” czy téż tylko „powtórzeniem“ praw fizyki i fizjologii wszechświata? Myśli i wola wydzielają nas czy nie wydzielają z „reszty istot martwych i żyjących?“ Ognisko twórczości w człowieku ma-li być „rokoszem“ w łonie przyrody, czy téż wiernym jedynie téj przyrody sługą i niewolnikiem?

Powtarzam nie lekceważmy tych pytań! Rozwiązanie ich takie czy inne w niczem, bezwątpienia, nie dotknie i nie naruszy posadziemi. W lewo czy w prawo stąpimy, stanie się z przyrodą tak, jak na wieki zapewnił prorok, powiadając: „będzie co być ma.“ Ale inaczéj całkiem staje się śród nas, z nauką proroków o świecie, o ziemi, o przyrodzie. Każde ich słowo, każda ich zgłoska wpada do serc tyśiąca ciężarem, który szalę losów ludzkich zwichnąć lub wyprostować może w nieskończoność. Jakto? — nie widzicie, nie dotykacie się tego dłońmi swojemi? Młodzieniec, który w téj chwili oczyma pożera bieg tych liter... matka, co tego młodzieńca wydać ma na świat, czyliż nie może się stać matką prawodawcy, sędziego i rządcy? Jest-że rzeczą obojętną dla miliona, dla milionów istot, czy ten rządcą, ten sędzią, ten prawodawcą, będzie nas brał za proste tylko narzędzia i zwierciadła niezłomnych, nieubłaganych praw przyrody, czy téż obejdzie się z nami raczéj jako z posiadaczami woli i myśli „Bożéj,” swobodnie w ludziach się determinującéj?

„Stanie się, co się stać miało!“ Szczególniej, gdy się już raz stało! „Faktu, z progów przeszłości, sam Bóg nie odwołał“ mówi malowniczo Trentowski. Ach! jakże w takim wypadku determinizm materialistyczny, pozytywny, ma słuszość jak godziwie ręce zaciera! i jak ochoczó później widmo konieczności dokonanej, zarzuca na oczy konieczności dokonać się mającéj!

Stanie się, co się stać ma, — a to na mocy niezmiennych praw przyrody, które nigdzie „przeciw sobie“ nie stają!...

W takim razie, pocóż się darmo namyślać nad alternatywą rozwiązania wątpliwości Supińskiego?

Napiszmy, co się podoba... Cokolwiek z pod pióra nam wyjdzie, alboż będzie to i może być niezgodnem z przyrodą odwieczną, i z nieubłaganymi wyrokami jéj praw?

Myśl jest trudem; wolny wybór ciężarem. Pocóż więc dźwigać ciężar, po co ponosić trudy, po co wyteżać oko, i w sobie się łamać nad rozstrzygnięciem czegoś, co gdy nareszcie rozstrzygnięciem zostanie w skutek tryumfu woli i myśli nad poprzedzającą je ciemnością, wyłoni się pod parciem téj saméj fatalności, która nam w piersi oddechu długo zatrzymać nie pozwala... Po co te wysilenia bez powodu i przyczyny? — bez powodu — bo czyliż ladajaka filuterya lub koncept

liczy; gorzej zadość uczynią potrzebie „stania się tak, jak się ma stać,“ niżli prawda zdobyta krwawym porodem obowiązku, sumienia?...

Obowiązek... sumienie!... Lecz cóż to jest znowu? Jakić całości są one częścią, i jakich części całością? Gdzie są? gdzie się rodzą? z kąd przybывают? czego od nas chcą?

Rolnik przygotował na dzień jutrzejszy zboże na zasiew. Wszystko ma pod ręką. Czegóż nie zasypia nad ranem spokojnie? Jaka niepewność go dręczy? Nie jestże może pewnym, ażali rataj należyć się spużył mu pole? Ależ to szaleństwo! jakże można przypuścić, aby rataj zdołał skibę jedną odwrócić lub nieodwrócić bez przyczyn, których-by przyczyny poprzednie, wywołane przyczynami swemi, nie sięgały aż w nieskończoność praw, wiążących wszystko razem w lenistwo rataja i jego pijaństwo? Rolnik nie tylko może, lecz powinien spać najspokojniej... — Lecz, powie kto może — nie było żadnej konieczności wybierania leniwa i pijanicy... Przeciwnie! Skoro się go wybrało, dowód niezbity, że wszelkie precedensy wyboru wyrzekły ostatnie swe i nie cofnione w tej mierze słowo. Niech-że rolnik najbezpieczniej zaśnie sobie teraz!

Antor rzucił przed laty w głębę piśmiennictwa nieogłędny frazes. Frazes wydał cały morg kąkolu w duszy następnego pokolenia. Wszystko się odbyło drogą najściślej naturalną, wedle praw fizycznych, wedle nieposzlakowanej ich konsekwencyi. Ludzie nie mają téż nic przeciw temu do nudmienia — zwłaszcza, że i nadmieniać nie ma komu i frazes wyszedł bezimiennie. Jakaż tedy u licha siła burzy się w duszy pisarza skargą i protestem? — Powinność odpowiedzialności? — Urojenie! Niech się powinność nawet nie kusi stawać do walki z roztropnością, bo *leges legum sunt*, bo potrzeby człowieka, fizyczne i duchowe, „nigdy przeciw sobie nie stają...“

Przeciwstawność, zachodząca widocznie w tym naszym komentarzu „Myśli ogólnej“ Supińskiego; przeciwstawność między niezłonnymi prawami przyrody a niepogwałcanym u nas Prawem moralnym, cóż więc ostatecznie znaczy? i czy może być w sposób jakikolwiek usuniętą? i jak mianowicie?

Zobaczmy pierwój, jak ją i dla czego usunął pradziadek dzisiejszych pozytywistów: Saint-Simon.

III.

Nie żałując pochwał, gdzie one zasłużone, wyznać trzeba, że lubo myśliciel nie tęg, był to człowiek wielki. Sam ten fakt, że z pod jego ręki wyszli ludzie tacy, jak historyk Thierry, jak filozof Comte, jak inżynier Lesseps, świadczy za niepospolitością duszy tej rzutkić, przedsiębiorczój, ognistój, co przez swą niezmordowaną, półwiekową blisko działalność, rzucała w umysłową głębę europejską nowatorskie iskry wszelkiego miana i temperamentu. Popiół z nich pozostał; ale w piśmiennictwie tegoczesnym nie ma kierunku, nie ma sekty, nie ma

teorii, któraby wprost lub pośrednio nie wiązała się z elukubracyami niestrudzonego tego „motornika zagadnień.“

Bogacz z dziadów-pradziadów, karmazyn najczystszej wody, któremu gładkie a zepsute towarzystwo wyższe XVIII wieku odebrało już zamłodu „natchnione iluzje młodości,” a którego jednak fortune przewrót olbrzymi 1789—92 dał się we znaki za ledwie z wierzchu, po skórze, Saint-Simon pełnią lat swych i swojego rozwoju trafił na okres dziejów, podobny nie z jednego względu do „startej, nie zapisanej, gołej tablicy.“ Tém się zdecydowały, z tego urosły: jego życie i jego doktryna.

Społeczność francuzka z końca XVIII stulecia, zaprawdę, była to istna tabula rasa. W porządku towarzyskim, wielka burza owego czasu wyniosła i wyczyściła ślad nawet związków i trybów bytu, wyrosłych organicznie, tradycyjnie. W życiu zapanowała pustka taka, że według humorystycznego wyrażenia amerykańskiego podróżnika Junga: „w niektórych miejscach trawa nawet nie chciała po staremu rosnąć, ani się dzieci po dawnemu rodzić.“ Nicinaczej miało się i w filozofii. Kierunek, który tam zapanował, zwał się sensualizmem. Nic znaczy to, iżby zmysłowość zalecał, lub nią się chełpił; coś podobnego wymyślić mógł na Condillaca, twórcę „zmysłowizmu,” sam tylko St. Beuve, i to a d usum jakiejś księżniczki. Sensualizm nie to znaczył. Idąc za utartém od Locka twierdzeniem, że „w umyśle ludzkim nic takiego nie masz, co by tam pierwej nie weszło drogą zmysłów,” Condillac uważał za możebne pójść nieco dalej. U Locka zostało jeszcze coś twardego, co się umyślem zwało, została tablica do pisania. U Condillaca umysł znikł prawie. W systemacie jego istota ludzka jest rodzajem świetlanego, przenikliwego posążka, poruszającego się i działającego przy pomocy wrażeń zmysłowych. Człowiek, to bierność czysta, bezwarunkowa, podatna i bezoporna, pochłaniająca w siebie z zewnątrz, co się nadarzy, bez żadnego ze swojej strony współudziału, a już się rozumie, że bez żadnego wysilenia.

Na gruncie tak doszczętnie wykarczowanym z pierwiastków dziejowych i psychicznych, czegoż nie można było z ludźmi dokazać, na jaką reformę ich i z nimi się porwać!

„Kiedy więc z początkiem bieżącego stulecia, są słowa Karola Renouvier ¹⁾, szkoła Royer-Collarda, z szeregiem późniejszych swych wyznawców: Cousinów, Villemainów, Thiersów, szuka sposobów zaradzenia złemu w usiłowaniach przechylenia opinii publicznej na stronę studyów historycznych, pojętych analitycznie, mniemając (jako za dni naszych Józef Szujski), że tylko prawdziwa historia jest mistrzynią prawdziwej polityki, i sądząc, że w szczątkach przeszłości, krytycznie oświetlonej, znaleźć się czasem musi zasada działania praktycznego, zasada równoważąca, pojednawcza, a umiarkowana; kiedy, obok ekle-

¹⁾ „Philosophie du XIX siècle,” w „Année philosophique,” t. I, str. 10—11.

ktyków, szkoła de Maistra, z Bonaldami, Chateaubriandami, Lacordairami, dąży do usprawiedliwienia, wytłumaczenia i wskrzeszenia tout simplement praktyk i pojęć minionych, jako tamy jedynie mocnej i skutecznej przeciwko powtarzającym się nieporządkom i zamachom stronnictw rewolucyjnych,—trzeci wniosek, trzecie rozwiązanie, trzecia szkoła, przy owoczesnym położeniu rzeczy i nastroju umysłów, wydać się mogła nietylko możebną, lecz niezbędną i wyłącznie zbawczą. Przyjąwszy cykl przeszłości za zamknięty raz i na zawsze, a wszystko, co przewrót zniszczył, za zniszczone należycie i słusznie, przyjść można było do przeświadczenia, że losy narodu ten tylko krzepką dłońią z zamętu wydzwignie, kto je ująć potrafi w karby organizacji nowój, kto nawę ojczyzną, oczyszczoną i wymiecioną z przesądnego dziecięcego balastu, pchnąć zdoła w kierunku nowych religijnych i społecznych jej przeznaczeń.“

Organizować; lecz jak, na jakiej podstawie?

Pchnąć w nowym kierunku; lecz w jakim mianowicie i mocą jakiej dźwigni?

Zagadnienie to, na schyłku wieku XVIII, próbował rozwiązać Napoleon I po swojemu, po kaprałsku, i skończył na wyspie św. Heleny. Po swojemu również zabrał się do tej kwestyi i Saint-Simon. Mocarz raczej urojeń własnych, niżli mąż stauu, umiejący wypadki sprzęgać wedle obliczeń rzeczywistości, uprzedził on może na lat kilkadziesiąt sławną dewizę, wywieszoną śród innych okoliczności i ludzi: „moi tout seul, et c'est assez.“ Przebaczy mu tę zarozumiałość pokolenie dzisiejsze z uwagi, że poczynił z otoczeniem już zniwelowanym, nie zaś przed jego zniwelowaniem...

O oparciu się na pryncypium wolnej woli w dziedzinie psychologicznej, i na idei samorządu i swobód obywatelskich w dziedzinie społecznej, nie mogło być wzmianki nawet w obec St.-Simona, w jego projektach. Podziśdzieć na tym punkcie pozytywizm jest „twardym, krótkim, krępyim jak koźle rogi. Z jakiegoby to powodu — niewiadomo. Niczem się to nie daje wytłumaczyć. St.-Simon, on przynajmniej patrzył na zбочenia i szaleństwa swawoli, którą mógł brać za jedno z objawami wolności. Dla osób jego pochodzenia, jak dla wielkiej większości ludzi ocalonych z rozbitego okrętu, niepodobna było wziąć za regułę życia i odnowienia to, co w ich oczach, w ich przytomności konało i skonało w konwulsjach rozterki i nierządu. Nieśnaskami i niepowodzeniem przytępiona energia życia, uważać gotowa najlżejszy podmuch wiosny za „liberum veto,“ za „liberum conspiro“¹⁾.

1) Że wolność nie jest ani swawolą, ani samowolą, ani dowolnością, i że zasada ta, w stosunkach ludzkich, przypuszcza szereg stanów i stanowisk postępowych, konkretnych, najściślej uwarunkowanych, tak samo jak własność np. lub władza, okazać to staraliśmy się gdzieindziej, i żałujemy, że tu na samych siebie przychodzi się nam powołać. O znaczeniu reguły tej

W filozofii Aug. Comte'a, który cały moralny i naukowy spadek po St.-Simonie, przedstawił światu za dorobek własnej genialności, uprzedzenie do wolności, jej pogarda i lekceważenie, doszły granic mianii, spotęgowały się w coś sąsiadującego z obłąkaniem i wściekłością. Czwarły i piąty tomy jego Kursu filozofii pozytywnej przepełnione są takimi pożąjankami, złorzeczeniami i napaściami na swobody publiczne, na swobodę osobistą, na wolność myślenia i na wolność sumienia, że według obarczającej uwagi prof. F. Laurent'a ¹⁾, daleko już uczciwszém i pobłażliwszém było w tój mierze pióro Veuilota. Hegel, jakkolwiek panteista, jakkolwiek w konkluzjach swych stosujący się ściśle do wskazówek programowych zgóry o „*duchu obiektywnie się objawiającym w państwie pruskiem*,” niemniej, widzi w dziejach dyalektyczny rozwój wolności ludzkiej. Dla Comte'a, są to wszystko najwidoczniejsze błędy i aberacye metafizyczne ²⁾. Dowodów nie podaje. Wyraz *evidemment*, „oczywiście,” powtarzający się w każdym jego okresie, starczy za świadectwo i powagę. Monteskiusz, wykazujący dodatnie strony samorządu angielskiego, jest dla niego, *evidemment*, w obłądnie. Anglia znosiła na sobie w wieku XVII dwa przewroty: pierwszy w r. 1648, skończył się na dyktaturze Kromwela; drugi, w r. 1688, utrwalił swobody narodowe... „*La seconde de ces deux révolutions—píše Comte—est, évidemment, supérieure à la première*...” i wali dalej, o czém inném. Ameryka, uwolniona z pod zwierzchnictwa W. Brytanii, nadaje sobie konstytucyę, znaną dziś światu po owocach swoich. „W zasadzie swojej — mówi Comte—rewolucyja amerykańska, *evidemment*, ograniczyła się tém, że powtórzyła zasadę rewolucyi... holenderskiej...” „A przy tém zapewniła ona najoczywistsiej, przewagę z urzędu gębaczom-adwokatom i metafizykom...” Waszyngton gębacz! Franklin metafizyk!... W dziedzinie umiejętności ścisłych, swoboda badania, od Kopernika do Galileusza, Keplera do Lavoisiera, uważaną była za jeden z niezbędnych warunków postępu i doskonalenia się wiedzy... Przeciwnie, odpowiada Comte: swoboda dochodzeń naukowych prowadzi wręcz a najwidoczniej, do rozwiózłości społecznej... „*le libre examen tend, évidemment, à la dissolution de l'état social par la divergence toujours croissante*

w dziedzinie gospodarstwa społecznego, traktowaliśmy w trzech rozdziałach p. t. „*Ekonomiczne dążności naszego wieku*” („*Gazeta Polska*” z końca roku 1881); ten-że przedmiot w zakresie pedagogicznym rozpatrzyliśmy w rozprawie O wolności nauczania („*Ateneum*” z tegoż roku); nareszcie zasady swobód politycznych rozwinęliśmy w „*Teoryi samorządu społecznego*” („*Niwa*,” 1882, rozdziałów trzy).

¹⁾ „*Etudes sur l'histoire de l'Humanité*,” t. XVIII, *Philosophie de l'Histoire*,” str. 211 (wyd. 1870).

²⁾ Zob. „*Cours de la Philosophie positive*” (wydanie I-sze), szczególnie: t. IV, str. 52, 54, 57, 65; t. V, str. 492, 539, 606, 636, 668; t. VI, str. 361, 363 i nast.

des intelligences individuelles, exclusivement livrées desormais à l'impulsion desordonnée de leurs divers stimulants naturels, dans l'ordre d'idées le plus vague et le plus fécond en aberrations capitales...“ I brnąc tak dalej a dalej, stylem tłustym, zamaszystym, pałaszującym groch i kapustę ogólników elementarnych, Comte dociera nareszcie, ale już dopiero w swojej Polityce pozytywnej, do wniosków wieńczących jego dzieło, a mianowicie do tych oto prawd, największych, jakie odkrył rzeczywiście: „że wyraz prawo, jako prerogatywa i własność indywiduów, wygnanym być powinien z polityki pozytywnej, tak samo jak wyraz przyczyna wyrzuconym być ma z języka filozoficznego,“ gdyż niema indywiduów wcale, ani indywidualności... „ludzie pojedynczy nie są wcale istotami odrębnymi: są to tylko, évidemment rozmaite organa jednej jedyniej Istoty-Wielkiej, którą jest Człowieczeństwo ¹⁾).

Skołowaciący ten owoc pozytywistycznej chińszczyzny, nie może i nie powinien być odniesionym na rachunek St.-Simona, protoplasty nowoczesnego nowatorstwa. St.-Simon wolności nie uznawał, wolności nie lubił — przynajmniej w początkach swego posłannictwa — lecz takowój, wzorem swojego ucznia Comte'a, nie spychał do kałuż poniewierki i oszczerstwa. Nie miał zresztą na to czasu. Pochłonęła go całkowicie sprawa czemrychlejszego zorganizowania społeczeństwa nowego. Chodziło jedynie, jak nadmieniliśmy, o znalezienie podwaliny. Rzecz mała, nieprawdaż?

Podwaliny téj, tymczasem, szukał St.-Simon całe życie. Szukał jej najprzód w fizyce — to pierwszy okres jego działalności; szukał jej następnie w fizjologii — to okres drugi; szukał później w ekonomii politycznej — to okres trzeci; szukał nareszcie w teologii chrześcijańskiej — to okres czwarty i ostatni, zwany okresem „nowego Chrystyanizmu.“ A gdy, nie dokonawszy dzieła, reformator schodził do grobu, każdy z tych jego okresów ciągnął już za sobą długi, zamętny ogon sekt, wiar, spółek, stowarzyszeń, bractw, od których aż się roiło we Francji całój.

Dwie ostatnie fazy propagandy St.-Simona nie należą do naszego przedmiotu. Przebieżymy tylko fazę początkową, do którejbyśmy zaliczyli jako ruczaj pochodni „Myśl ogólną“ Supińskiego; do drugiej fazy należy „Kurs filozofii pozytywnej“ Comte'a. Początki te odsta-

¹⁾ „Politique positive,” t. I, str. 122 — 125, 361 — 363. Ktoby mniemał, że przytoczone tu zostały „wyjątki wyjątkowo-nadzwyczajne,” niech odczyta przedmowę Comte'a do tomu II Polityki jego pozytywnej, w której, na str. 15, znajdzie się następujące wyznanie, skreślone nazajutrz po zamachu stanu we Francji, po gwałcie dokonanym na ustawach kraju przez Napoleona III: „Czuję się głęboko pocieszoną z powodu zrzucenia jarzma, włożonego na nas przez tych gębaczy zuchwałych i intrygantów parlamentarnych, co nam myśleć przeszkadzali...“ Więcej jeszcze budującą, jeśli to być może, jest Comte'a przedmowa do tomu III téj-że Polityki pozytywnej, gdzie mowa, na str. 29, o pewnym liście jego do pewnego monarchy.

nią przed nami powody, dla których Prawo moralne, pojęte przez nas ze stanowiska Kanta, jako antyteza, nie znalazło uwzględnienia w pismach i zabiegach St. Simona.

Rozumie się, że nie o zbogacenie wiedzy dbał przedewszystkiéim St. Simon. Reformator ten, z którego imieniem tytuł teoretyka-ma-rzyciela zrósł się w dziejach na wieki wieczne, był, chciał być, utrzymywał że jest — wyłącznie praktykiem. Praktyczność jego nie wiele nawet potrzebowała danych głęboko, lub rozlegle uczonych dla spełnienia misji głównej, jaką sobie St. Simon przepisał. W Niemczech, gdzie idealizm Fichtego i spirytualizm Szelinga wysoko podniosły nastrój duchowy jednostek, gdzie obok tego, staronarodowa wolność germańska skryształizowała się w tysiączne kształty wyróżnień autonomicznych, federalnych, Hegel dużo sobie zadać musiał trudu, dużo zużył finezyi dyalektycznej, ażeby okazać współziomkom, jaką to drogą subjekt, duchowość indywidualna, przechodzi na obiekt, czyli rzeczywistość zbiorową, a jakimi niewidomymi kanalikami logiki dziejowej, swobody jednostkowe, kropelka po kropelce, zlewają się w całość państwowości, czyli w morze jedynéj, prawdziwéj swobody... Chcąc wiązać ludzi, trzeba było w Berlinie dobiierać pasemka złożone z miliona nitki nieskończenie cienkich. Coś podobnego, za naszych czasów, powtórzyć umiał tylko Herbert Spencer, u którego ewolucyjne pierwiastki wiecznego stawania się, czyli transformacyi, są tak małe, tak małe, że ich wcale nie ma. Dopiero suma tych nicostek daje widzieć oczarowanemu oku, że rezultatem roboty owego „nic niéma“ — jest wszechświat widomy, namacalny, a ogromny, bez początku i końca.

Tu, we Francyi, w końcu XVIII stulecia, na glebie społecznej tak skrzętnie i gorliwie wymiecionej przez światoburstwo z pozostałości dziejowych, a umysłowo wywyżnionej przez sensualizm, żadne tego rodzaju ostrożności nie były potrzebne. Sam zresztą St. Simon, gdyby go kto w swoim czasie podejrział o widoki odpowiednie heglowskim, rzekłby się najniezawodniej i roli swéj i swójej sceny. Jemu najrzetelniej leżał na sercu los ojczyzny, a nawet ludzkości, pozbawionej oto, w skutek upadku starego porządku rzeczy na świecie, wszelkiej gruntownej między ludźmi spójni, wszelkiego społecznego kleju i cementu, żyjącej prawie pod odkrytém niebem, bez dachu, a rozproszonej, rozsiaanej jak mrowisko olbrzymie. Zebrać należało to wszystko do gromady, ogrodzić, oparkanicz niejako, a im mocniej tém lepiej. Zadanie, pod względem skuteczności, wydawało się niechybném. Doktryna apyoryzmu sensualistycznego, zasadzona we Francyi na miejsce apyoryzmu kartezyańskiego i rozciągnięta stopniowo do wszelkich zagadnień politycznych, towarzyskich i religijnych, doprowadziła całą wykształconą warstwę narodu do pewności rdzennego przeobrażenia społeczeństwa kanałami wychowania i ustaw. Owa kondilakowska próżnia umysłu, w której to tylko znajdziesz, co do niéj wlejesz przez zmysły, czyniła najpiękniejsze nadzieje na owocność roboty.

Z historii powszechnej wiedział St. Simon, jaką potężną dźwignią była wiara. Z systematu niejakiego Dupuis dowiedział się więcej jeszcze, a mianowicie, że wszelka wiara jest niczém innym, tylko upostaciowaniem, tylko zmateryalizowanym obrazem pewnej jakiegokolwiek siły fizycznej. Wziąć jedną z sił takich, zobrazować ją, uosobić, uczynić dostępną zrozumieniu ludzkiemu i podać ją do wierzenia powszechnego drogą dekretu i nauki szkolnej — czyliż trybem tym nie dojdzie się do zcementowania społeczności całej w jeden wielki posąg, o barwach, własnościach, ruchach i usposobieniach żądanych?

Co ma być tym cementem? Jaką ku temu wziąć siłę? Nad tém jedynie należało się zastanowić cokolwiek, nie więcej.

Nie ufając jednakże sobie, St. Simon udał się z pytaniem do uczonych swego czasu, do naturalistów i matematyków. Mistrze umiejętności ścisłych, trzeba im oddać tę sprawiedliwość, zawsze się odznaczali we Francji dwiema cennymi zaletami: grzecznością i rozsądkiem zdrowym. Zapraszani na obiady milionowego oryginała, zaproszenie przyjmowali oni i tym razem chętnie; ale, co by się tyczyło wyboru w przyrodzie siły takiej, jednej, lub nawet kilku, przy pomocy której lub których, naród dałby się w kij związać, o tém nic pewnego St. Simonowi powiedzieć nie mogli, tego się domyśleć nie umieli... Z obcowania z nimi reformator przyszły tyle przecież zdołał wyciągnąć na niewątpliwą swą zdobycz, „że, o ile—tak mu mówiono—wnosić wolno z dotychczasowych nabytków wiedzy, siłą najogólniejszą, najpotężniejszą w naturze, jest istotnie siła powszechnego ciężenia — atrakcja, grawitacja...“ Tego było dość St. Simonowi. Grawitacja, stanie się odtąd w przekonaniu jego, prawem niezłomnym, wszechobowiązującym, uniwersalnym, istnym perpetuum mobile rzeczy boskich i ludzkich w przyrodzie. Dość będzie zasadę tę rozciągając z krain niebieskich na zjawiska ziemskie, ludzkie, towarzyskie, dość odziać system ściśle umiętny, na nięj osnuty, szatą religijnego obnowienia, dość sporządzoną w ten sposób mistyfikację podać narodowi do wiadomości powszechnej z kazalnicy, w okółkach do prefektów i w programatach szkolnych, nadmienwszy, iż objawicielem tej nowej religii jest Newton, — ażeby wraz, w mgnieniu oka, organizacja nowa i ludzkość nowa stanęły od stóp do głowy ożywione duchem nowym — niby owa statua Condillaca, ożywiająca się napływem wrażeńności zmysłowej.

Trzeba czytać początkowe prace St. Simona, jego listy, wezwania, broszury i podania do władz, repliki uczonym — ostre już i wtedy prawie tyle, ile grubijańskimi były w późniejszym czasie napaści Comte'a na znakomitego Arago ¹⁾, na instytut, na specjalistów „ograniczonych“, niechających uwierzyć w wielkość jego odkrycia; trzeba szczególniej przejrzeć prośby St. Simona wysyłane pod adresem Napo-

¹⁾ Arago był wtedy dyrektorem szkoły politechnicznej, Comte dawał tam korepetycje z matematyki.

leona Bonapartego ¹⁾, w których organizator namawia wielkiego wozdza do ogłoszenia się Karolem Wielkim, dając mu delikatnie do zrozumienia, że w razie potrzeby sam on mógłby mu służyć za papieża, odpowiedniej miary... trzeba to wszystko przejrzyć przynajmniej, aby się przekonać, do jakiego stopnia St. Simon zaufał swojemu filozoficznemu wynalazkowi fizycyzmu grawitacyjnego...

Ślad tego zaufania, któremu jeszcze za życia St. Simona, przed odszczepieniem się od niego Comte'a, sądzonem było otrzymać ciosy dotkliwe, śmiertelne, spotykamy nawet w głównem dziele samego odszczepieńca, w jego „Kursie filozofii pozytywnej.“ Na dowód, przytaczamy ustęp, na który się i nasz Supiński powołuje w swojej „Myśli ogólnej“ (str. 74), nie wskazując jednak poszczególnie miejsca cytaty... z „głębokiego Comte'a“ ²⁾.

Oto co powiada głęboki ten Comte, a za nim następnie Supiński:
 „Rozum człowieka przechodzić musiał przez trzy stopnie, mieć trzy różne idące po sobie widzenia: fikcyę zaziemską, metafizykę i filozofię czystą, zatem fizykę powszechną. Każde z nich trwało wieki; ostatnie istnieje od lat dwustu, od Bakona, Descarta, Galileusza. W tym ostatnim okresie, wszystko rzeczywiste (évidemment) staje się fizyką; już istnieje fizyka nieba i fizyka ziemi, czy to mechaniczna, czy chemiczna; już istnieje i fizyka organizmu, czy to roślinna, czy zwierzęca; pozostaje do utworzenia fizyka ostatnia, to jest społeczna. Jój powstanie uzupełni naukę filozofii powszechnéj...“

Daléj, zastrzega się Comte, dobrze już nauczony klęskami grawitacyjnego fizycyzmu St. Simona, że „usiłowania zmierzające do wytłumaczenia fenomenów wszelkich przez prawo jedno i powszechne, są według zdania mego żłudne i bezowocne. Jeżeli wszakże jest podobieństwo dojścia kiedy do tego rezultatu, to zapewne jedynie przez poddanie wszystkich pojavów najpewniejszemu i najpowszechniejszemu ze znanych praw przyrodzonych, to jest prawu grawitacyi...“

Grawitacyjną tę pozostałość z doktryny St. Simona—bynajmniej nie jedyną w głównem dziele Comte'a — podejmuje Supiński na swój sposób, tworząc z niéj znane już nam swoje prawo stosunku i równoważenia się „całości“ i „części“, prawo odmodelowane na rzut i rozkład wzorem dwojakiego objawu prawa grawitacyi (jako siły odśrodkowej w ciałach niebieskich i właściwej siły wzajemnego dośrodkowego przyciągania się tych ciał). Pisze nasz filozof zaraz za przytoczonymi ustępami z Comte'a:

„Grawitacya, atrakcyja, siła przyciągania, stawała już nieraz

¹⁾ W „Oeuvres choisies de Saint-Simon“, wydania Lemonnier, epistoły te znajdują się rozrzucone głównie w tomie drugim. W wydaniu ogólném pism nowatora, z r. 1868—1869, pomieszczono je w aneksach.

²⁾ Ustęp rzeczony z Comte'a przytoczony przez Supińskiego, odnosi się do pierwszego tomu dzieła: „Cours de la Philosophie positive“, wydanie stare, str. 52 i 56.

w pracach publicystów, jako jeden z czynników wielkiego równania, w którym niewiadomą była siła czysto społeczna. Wszakże ta potęga powszechna, jeżeli się nie mylę, występowała dotąd właśnie jako potęga łącząca, jako spójnia jednostek całych; my ją bierzemy na miejscu, gdzie ona jest spójnią pierwiastków, zatem rozkładem jednostek całych...“

Rozkładem czy rzutem, częścią czy całością, grawitacja była i pozostanie tylko grawitacją w świecie fizycznym, a jednak woła Su-piński:

„Kto raz dopatrzy i zgłębi te dwie rozległe, jedyne i początkujące ruchowi wszelkiemu przyrodzone potęgi, kto się raz oswoi... (czy nie w rozumieniu condillacowskim?) z działaniem wszędzie obecnych i wszędzie przeciw sobie stojących sił rzutu i siły rozkładu, ten pojmie okres dziejów ludzkich, ten uwierzy w istnienie fizyki społecznej, ten zrozumie, czém jest życie pojedyncze i powszechne; dla niego przestanie być zagadką to skupienie odrębnych jednostek w całości rozsypać się nie mogące; ta nieodstraszona samoistność każdej, mimo wzajemną wszystkich zawistość; ta nieublagana potęga zależności, niegłusząca przecież sił samoistnych; ta głucha walka będąca ogólnego organizmu cechą i warunkiem; mieszanina rzeczy ludzkich i nadludzkich; poruszeń zależnych od człowieka, i tych którym on oprzeć się nie może; znikomość wszystkiego co powstaje w tonie społeczności, obok ciągłego trwania jej saméj;—tego wreszcie przestanie wikłać i trwożyć ten grób wiecznie otwarty, w którym tonie dobre i złe, prawda i fałsz, cnota i zbrodnia; z którego przecież z martwych wstaje ciągle to, co jest dziełem prawa przyrodzonego, co jest tém prawem samém.“ („Myśl ogólna,“ str. 75).

Grób, w którym tonie zbrodnia i cnota! sprawiedliwość i niesprawiedliwość! podstęp i szczerłość! prawda i fałsz! moralność i niemoralność! — a z którego do życia się budzi jedynie to co jest dziełem prawa przyrodzonego, prawem samém!

Lecz cóż jest dziełem prawa samego, i co prawem samém? Rozkład w powszechności? czy też rzut w jednostkach? Odpychanie? Przyciąganie? Część? Całość? Duch? Materya? Grawitacja wieczna...? Czego i dokoła czego? Ciemność zupełna pośród chaosu zdarzeń, pochłaniających fałsz i prawdę, cnotę i zbrodnię. Ciemność jak przed początkiem świata!

Jaśniej już bez porównania chciał sobie postąpić St. Simon. On poprostu rozumiał, w pierwszym okresie swéj propagandy, że umieściwszy popiersie Newtona pośrodku, trzeba i należy, w moc jednego, drugiego dekretu Napoleona, potwierdzonych przez arcykapłana fizycyzmu, puścić ludzką w taniec grawitacyjny dokoła postumentu, uświęcającego na wieki wieczne ołtarz nowéj organizacji religijno-społecznej... Żadnéj w tém, broń Boże, zawłości nie ma!

W takim towarzysko-planetarnym systemacie, nic przynajmniej

tonąć nie potrzebowało: ani cnota, ani zbrodnia, ani fałsz, ani prawda. Dla czego? Dla tego, że wszystkie te rzeczy są z Ducha, z serca, z myśli, z wolnej woli; Ducha zaś żadnego nie ma, nie było, jak to doskonale pokazali Condillac i Dupuis... „ainsi que Condillac et Dupuis l'ont démontré jusqu'a l'évidence,“ zapewnia St. Simon („Oeuvres choisies, t. II, str. 19).

Tłumaczy to dostatecznie, jak mniemamy, z jakiej racyi St. Simon usunął antytezę „Prawa moralnego“ z prawami fizycznymi. Tym ostatnim, nie mógł on przeciwstawić czegoś, co za jego czasów błąkało się w pismach jakiegos metafizyka Kanta, a co, w rzeczywistości, évidencem, nie istniało wcale. Nie tłumaczy to wszakże bynajmniej jeszcze, dlaczego owe coś tonąć lub utonąć miało w „wiecznie otwartym“ grobie praw fizycznych, w grobie pozytywizmu... Wypadałoby tedy może zajrzeć w ten grób bliżej...

IV.

Przekonawszy się, że między siłą tak odległą i w rozmiarach jedynie astronomicznych widzialną, jak siła powszechnego ciężenia, a życiem ludzkim społecznym, żaden bezpośredni związek ustalić się nie da, St. Simon, w drugiej fazie pomysłów swych organizacyjnych, zajął się poszukiwaniem takich wiązań, takich umystowych kładek, któreby połączywszy fizykę nieba z fizyką ziemi, bądź co bądź spożyły losy człowieczeństwa z losami grawitacyi kosmicznej, bieg życia narodów z biegiem słońc i księżyców.

Nie wiodło mu się w tej sprawie, jak widzieliśmy, z uczonymi. Ale się znalazł lekarz niejaki, podrzędnej naukowej sławy, nazwiskiem Burdin, który mu nareszcie ofiarował swe współpracownictwo. Onto dostarczył St. Simonowi pewną sumę hipotez i ogólników, które następnie, w pismach Augusta Comte'a, ucznia St. Simona, utworzyły jądro właściwego pozytywizmu. Burdin powiedział najprzód St. Simonowi, że wszystkie nauki przechodziły kolejno ze stanu fikcyjnego, przypuszczalnego, w stan pozytywny, i że przeobrażenie to odbywało się i odbywa najwcześniej w zakresie tych umiejętności, których przedmiot i dane najmniej są złożone; czyli, że im która gałąź wiedzy jest prostszą, im pierwiastki jej konstytucyjne są mniej zwarte i liczne, tém prędzej dojrzewa ona pod względem pozytywnym. Utrzymywał dalej Burdin, że nauka, która w ten sposób sformowała się pierwój, staje się tém samem jakby poprzedniczką i rodzicielką nauki bezpośrednio po nią następującej. Tak powstała astronomia, a za nią dopiero chemia ¹⁾. Tak z kolei zpozytywnieć ma fizyologia (biologia u Comte'a),

¹⁾ „Wnosić należy, że fizykę, którą następnie Comte wtrącił pomiędzy astronomią a chemią, Burdin uważał za umiejętność należącą w jednej połowie do świata planetarnego, w drugiej do dziedziny chemii, i w takim rozumieniu, przyznać trzeba, że klasyfikacya zawarta w doraźnym rzuceniu jego

gdy warunkujące ją prace przygotowane zostaną. W dalszym ciągu, trybem tym samym, do rzędu nauk pozytywnych wejdą téż polityka i moralność; zagadnienia bowiem, dotyczące cnoty i szczęścia, tudzież cała sztuka rządzenia, zawarte są i wskazane w ogólnych wnioskach fizjologii i higieny. Gdy to dokonaniem zostanie, sama znowu fizjologia wyjdzie z pieluch niedojrzałości półfikcyjności, w jakich ją trzyma spóźniony rozkwit fizycyzmu, i wystąpi jako umiejętność ogólna, zabierająca dla siebie, na fakta wstępne i elementarne, całą treść i wynikłość nauk specjalnych.

Taką jest w swój osnowie filozofia Burdina, jak nam ją dochowały pisma St. Simona. Na mocy jój założeń, umiejętność centralna, chłonąca w siebie rezultaty i zdobycze nauk szczególnych, czyli konkretnych, przestała u St. Simona zwać się fizyką powszechną, a przybrała miano fizjologii powszechnéj ¹⁾, zanim w końcu, centralizm ten nie przeniósł się i nie skupił się na socjologii, co się stało dopiero wtedy, gdy po upadku Napoleona I, St. Simon czynność swą reformatorską przerzucił z pola filozoficznego na ekonomiczne; wówczas to pogniewany z mistrzem swym August Comte, wzięwszy na własną odpowiedzialność pomysł Burdina, wznosił według jego planu gmach swój „Filozofii pozytywnej“, dzieło, w którym, zdaniem Litrego, wszystko jest nowe, nowowynalezione, przepełnione najciekawszymi odkryciami ²⁾, a któremu J. S. Mill przyznał chwałę „pracy prawdziwie pomnikowej, encyklopedycznej, przerastającej o wiele to wszystko, co dotąd zrobiono dla filozofii nauk ścisłych“ ³⁾.

W obec takich powag, cóżby znaczyło zdanie nasze przeciwne?

A jednak, wypowiedzieć je, i powiedziawszy uzasadnić, jest obowiązkiem prawdy. Filozofia może być — na dany okres czasu — jedną tylko przeszłość zaś dla niej widzimy jedynie w filozofii słowiańskiej.

Wielkość dzieła Comte'a polega w istocie, nie na wspaniałości i dzielności doktryny, którą, całutką jak ona jest, poznaliśmy w przytoczonym ustępie Burdina, ani téż na bogactwie a trwałości użytych przy budowie materyałów, gdyż sam Comte wartość ich sprowadził do prawdziwej lichoty ⁴⁾; polega takowa przedewszystkiém na rzadkiej

myśli jest filozoficzniejszą bez porównania od późniejszej, na niej osnutęj klasyfikacji Comte'a, w której odrębne hierarchiczne stanowisko fizyki, z trudnością się utrzymuje w obco nowszych poglądów na rozwój i znaczenie umiejętności ścisłych.“ (Renouvier w „Filozofii XIX wieku“).

¹⁾ Godném jest zaznaczenia, że i Supiński, który swoją filozofią nazywał, w pierwszych wydaniach, „fizyką powszechną“, dał jój, w następnych miano „fizjologii wszechświata.“

²⁾ W monografii: „Auguste Comte,“ str. 181, 183.

³⁾ „A system of logic,“ t. I, str. 540; t. II, str. 346.

⁴⁾ Że materyał ten był istnym „murem pruskim“ erudycy pobieżnej, młodocianej, chwytanéj i łatanéj jak popadło, to nam Comte wyjawil pod koniec „pomnikowego“ swego dzieła w sposób po mężku szczerzy i dziecięco

śmiałości i niemal zuchwalstwie intencyjonalnych zapewnień autora. Porwanie się na coś przechodzącego wspólną miarę sądu (le sens commun)... uczyniło z rzeczy, w wielu względach najzupełniej chybionój, rzecz olbrzymią. Zamiar tak był dodatnim, że nawet bardzo wadliwe onego wykonanie, wydać się musiało potężném.

Cóż to za zamiar? — Jest nim stara, znana nam zachcianka St.-Simona wystawienia zgasłemu w końcu XVIII w. duchowi swobód publicznych, kościoła takiego, który wznosząc się z podwalin astro-nomicznych, newtońskich, i chwytając arkadami prawd fizycznych za dalsze łuki i spięcia chemiczne i biologiczne, coraz misterniej w górę strzelające, ująłby w swe ramiona, jako swą przynależność jednorodną, najwyższe szczyty etyki i polityki, prawa i moralności ludów... ująłby je, i—przypuszczać trzeba—w łonie swém pochował.

Przedsięwzięcie, zaiste, piękne, zwłaszcza jeśli zważymy, że duch owych swobód publicznych, zgasły na schyłku w. XVIII zgasł nie na długo jakoś... Ale bądź co bądź, to pewne, że wzniesiona nad nim katedra, w tym właśnie swoim charakterze, i w tym wyłącznie, aczkolwiek, pod względem estetycznym przedstawia, być może, bardzo zajmujący okaz stylu neo-gotyckiego, to przecież, z punktu etyki, była podtem uronionym, a z punktu naukowego—jest dziś ruiną, na której tylko chwast „hygieny umysłowej” jęj twórcy porasta.

Nie będziemy się długo rozwodzili nad architekturą niższych pięter tój świątyni pozytywizmu, zajmujących się systematyką głównych działów umiejętności ścisłych: matematyki, astronomii, fizyki, chemii i biologii. Rzecz ta mniej więcej dokładnie znaną jest za dni naszych ¹⁾. Zkądinąd, krytyka oddawna wytknęła tu brak należytej spójności i należytego zazębienia między węglami jednej a węglami drugiej dzielnicy umiejętnej, między światem nieorganicznym a światem organicznym; przytém, dowolność w zamianie przesłanek na wnioski, wniosków na przesłanki, eliminację pierwszorzędnych danych naukowych na rzecz drugo i trzeciorzędnych, ilekroć te ostatnie szczer-niej wiązały się z powziętą zgóry modłą, a nareszcie, jak w biologii, gruntowną niezrozumiałość przedmiotu.

zarozumiały, powiadając: „zawsze byłem tego zdania, że czytanie szkodzi rozmyślaniom filozoficznym, naruszając ich samodzielność. Dla tego, zebrawszy na prędoe, w pierwszej mej młodości, materyał niezbędny dla wielkiej pracy, tu dokonanej, włożyłem na siebie, z tytułu higieny umysłowej, obowiązek zbawienny, któremu wiernym pozostaję od lat dwudziestu: nie czytam nic a nic z tego, co w jakimkolwiek, najłżejszym bodaj związku zostaje z przedmiotem niniejszego dzieła...” („Cours de la Philosophie positive,” t. VI, Préface, str. 35.

¹⁾ Nie chcemy brać literalnie za słowo p. Piotra Chmielowskiego, który w swym „Zarysie literatury polskiej“ zapewnił, że młodzież, która u nas zapoczątkowała kierunek pozytywistyczny, mówiła o Comcie, broniła jego zasad, nie czytając go wcale; jeśli coś podobnego miało przed laty miejsce, to przecież było to... przed laty.

Cała ta zresztą część filozofii pozytywnej, aż do czwartego tomu wyłącznie, jest na mocy samego założenia autora, jakoby przedsięwzięciem i wstępem, podmurowaniem tylko dla górnej części gmachu, którą jest „Socjologia.”

Tę dopiero „Socjologię,” Comte mieni być najwyższą swoją kreacją, wieńcem i owocem usiłowań swych filozoficznych. I byłoby to w pewnej przynajmniej mierze słuszne, gdyby autor, spełniając przyrzeczenie, powielekroć powtórzone w ciągu trzytomowego swego wstępu, wyprowadził był do bytu, urzeczywistnił... Niepodobieństwo; gdyby owę fizykę powszechną St.-Simona, fizyologię społeczną Burdina, wysnuł był, jak zapowiedział, „z zarodków ukrytych w przyrodzie samą” (Supiński), i stworzył umiejętność ludzką, opartą na prawach świata fizycznego — na astronomii, chemii, biologii. Lecz stało się całkiem inaczej, —bo prawie naodwrot. Kilka ogólników empirycznie skleconych z „pobieżnego“ rozważania dziejów za młodu, Comte, narzucić spróbował przyrodzie: astronomii, chemii, biologii, ażeby, przy pomocy subtelnych tych, a dość błędnych promieni swego subiektywizmu, uczynić przyobiecane powinowactwo, zgodę i jedność dwu światów — możebnemi przynajmniej na oko... W gruncie socjologii jego—dział kompletnie odosobniony od swego przysionka i „podmurowania,” od filozofii fizyko-logicznej—jest poprostu traktatem historyzoficznym, zarysem historyzofii na miarę „szybkich w młodości odczytów...” Nie czyniłoby to jednakże żadnej nikomu dotkliwszej ujmę, nawet po pracach w tej dziedzinie Vico, Monteskiusza, Herdera, Hegla, gdyby nie zawczasu w oczach Comte’a stojąca apoteoza Milla, gdyby nie zawczesne przeświadczenie autora o swą genialność... Wydało się twocy „Filozofii pozytywnej,” że pierwszy on ujrzał oblicze historyzofii—w historii. Ztąd nieporozumienie, ztąd posądzenie siebie o nadzwyczajne odkrycia tam, gdzie już nietylko ścieżki były wydeptane, lecz gdzie już i gościńce wybito. „Wiek nasz — powiada — tém się odznaczy charakterystycznie, że uświęci nieodwołalną przewagę historii w filozofii, w polityce, a nawet w poezyi...” „I owe to powszechne zwierzchnictwo punktu historycznego, stanowić będzie zasadniczą cechę pozytywizmu, a zarazem jego wynikłość ostatnią... le principe essentiel du positivisme et son résultat général...”¹⁾ Sic transit gloria mundi! Tak przepadła przyrzeczona i od tylu pokoleń podziśdzień napróżno oczekiwana wielka „fizyko-biologiczna umiejętność społeczna; zatopiona w mniej niż miernej rozprawie historyzoficznej nazwanej „Socjologia!”

Ale trudno. Rozważmy przynajmniej, co w tej socjologii naprawdę się mieści.

W mnóstwie twierdzeń, które Comte najczęściej bez wyboru nazywa prawami, znajduje się u niego jedno, uważane za prawo kardynalne, za „wielkie odkrycie.” Jest ono osią systematu, su b j e k-

¹⁾ Phil. posit. t. III, str. 11.

tywnym kluczem w sklepieniu uauk poprzedzających socyologią, zarazem obiektywnym kamieniem węgielnym saméj socyologii. Brzmi ono:

„Badając — pisze Comte — całkowity rozwój umysłowości ludzkiej w rozmaitych zakresach jéj objawu, od pierwszego jéj świtu do dni naszych, mniemam, że odkryłem wielkie prawo zasadnicze (une grande loi fondamentale), któremu umysłowość nasza podlega z konieczności niezmiennéj... Prawo to zasadza się na tém, że każde z naszych pojęć głównych, każda gałąź naszej wiedzy, przechodzi kolejno trzy różne teoretyczne stanowiska: stanowisko teologiczne czyli fikcyjne, metafizyczne czyli oderwane i naukowe czyli pozytywne. Innými słowy: umysł ludzki, z natury swojej, używa kolejno, w każdym swoim poszukiwaniu, trzech różnych metod filozofowania, najpierw metody teologicznój, następnie metody metafizycznój, nareszcie metody pozytywnej¹⁾).

Prawo, sformułowane w powyższy sposób, nastęrcza szereg krytycznych uwag.

I tak, nasamprzód, czémkolwiek byłoby to prawo, rządzi niém, według Comte'a, konieczność pewna; słucha ono „natury swojej.“ Wyrazy te wskazują jakby na pewien dualizm w pojęciach autora, przeciwko czému nie byłoby nic do nadmienienia, ze względu, że już Montesquieu wiedział, iż wszystko ma swoje prawa, nawet bogowie. Prawo, w najrozleglejszém znaczeniu, jest to pewność, tkwiąca w głębi psychicznój istoty człowieka, w niéj czerpiąca motyw swéj dostateczności, i powiadająca nam, iż cokolwiek jest, jest przecież w jakimkolwiek sposób. Jest przyroda, jako przedmiot naszéj podmiotowości, jako „możebność wrażeń“ wedle sławnego określenia Milla, i jest umysł, jako ta sama możebność w nas tkwiąca, podmiotowa. Ma przeto przyroda swoje prawa, a ma umysł swoje. Z jakiegoż mianowicie świata jest powyżéj orzeczone prawo Comte'a? Pytanie to zapamiętać należy. Z niém się wiąże jedyne rzeczywiste odkrycie, do którego filozofia Comte'a prowadzi.

Następnie, prawo Comte'a o przechodzeniu umysłowości naszéj przez trzy stany, od fikcji do naukowego uzasadnienia, jest tylko w gruncie rozwinięciem prostego pewnika Burdina, „że wszystkie nauki (a zatém i umysł co je stworzył) wnoszą się kolejno ze stanowiska przypuszczalnego na stanowisko pozytywne, umiejętne.“ Wynalazek Comte'a, o ile zgadza się z formułą Burdina i takową powtarza, jest zatém oczywistością, prawdą tautologiczną, obracającą postulat pewien, twierdzenie widoczne na rozmaite strony, wzorem takich np. określeń, jak, że roślina rośnie, nauka rozwija pojęcie, wiedza wyprowadza z niewiadomości, i t. d. Ale jest w owém prawie Comte'a i inny także powiastek.

Burdin, zaznaczając, że umysł ludzki i wiedza, ze stanu początkowania, dzieciństwa, fikcyi, dążą w stan uświadomienia i dojrzałości,

¹⁾ Phil. posit. t. I, str. 3.

wytknął dwie rzeczywiste umysłowe stacye, stanowiska, gdyż zarówno niedojrzałość, jak pełnia wiedzy, istnieć i trwać mogą same przez się, i faktycznie, czy to w jednostkach, czy w społeczeństwach, trwają niekiedy okresy nieskończenie długie. Inaczej się dzieje z ich przejściem, gdziekolwiek takowe zachodzi; pojęcie ruchu, walki, sily, dążności, kierunku, staje się tu niezbędnem. Burdin kwestyi tej nie tknął. Ztąd nie może być u niego nawet mowy o jakimkolwiek prawie, bo jak z dwóch punktów nie utworzyć rysunku, tak samo z dwóch stanowisk nie nabrać pojęcia o rodzaju zachodzących lub zasztych między niemi zmian. Prawo jest uszeregowaniem różnic, jest zatem zawsze linią krzywą, wymagającą co najmniej trzech punktów; linia bowiem prosta, dwoma punktami wytknięta, jest tylko linią i poziomem owych pewników tautologicznych, tak często używanych i nadużywanych przez uczniów St.-Simona, przez Supińskiego nawet, gdy nam opowiada o stosunkach całości do swych części i t. p.

Jako matematyk, Comte ustrzegł się tautologii Burdina, gdy do formuły jego wprowadził czynnik trzeci; lecz natomiast popełnił błąd jako logik i jako psycholog, wsuwając między dwa stanowiska Burdina tę swoją jednostkę trzecią, z natury swojej i z nazwy („metafizyczność“, „oderwanosc“) dynamiczną, i nazywając wszystko razem, z niepojętą pouiewierką zdrowego sensu, trzema stanami, albo też, bez różnicy, jak się komu podoba, trzema metodami. Jest to też istotnie wynalazek *sui generis*, owe utożsamienie metody ze stanowiskiem. Stanowisko, to niby miejscowość; metoda, to niejako człowiek, zmierzający do tej miejscowości, lub ją opuszczający. Dwa stanowiska Burdina i trzecia pośrodku metoda Comte'owska (metafizyczność, abstrakcyjność—abstrahowania własność, czy czynność), stanowią wspólnie coś podobnego, jakgdybyśmy dwie wsie i trzeciego wśród nich wędrowca nazwali trzema osadami, lub też trzema podróżami..¹⁾

¹⁾ Wymaga to bliższego wyjaśnienia ze względu na zaniechany i stosunkowo niski u nas stan studyów filozoficznych, a tém samym i niski poziom w publiczności pojęć ogólnych. Że w trójcowém prawie Comte'a pierwsze i trzecie stanowisko umysłowe są tylko stanami, stanowiskami, wynika to i z nazw empirycznie im nadanych: teologicznego i naukowego, czyli pozytywnego. Są to tak zwane u nas pospolicie stanowiska wiary i rozumu; nie ma i nie może być metody wiary, metody rozumu. Że zaś z drugiej strony środkująca między temi dwoma stanowiskami tranzakcyja musi być konieczniam działaniem, czynnością, ruchem, dynamiką, trybem metodycznym, jeśli chodzi o prawo, pojmował to snąc poniekąd i Comte, skoro owemu tranzakcyjnemu okresowi nadał miano metafizycznego, oderwanego. Metafizyczność bowiem, abstrakcyjność, jako przyniot władzy abstrahowania pojęć, czy też rezultat tego abstrahowania, jest procesem umysłowym, nieodłącznym od żadnego stanu umysłu, teologicznego czy pozytywnego, podnieconego czy zreflektowanego, pijanego czy trzoźwego. Abstrahujemy wszyscy, zawsze, bez wyjątku, ilekroć myślimy, jakkolwiek myślimy, o czémkolwiek myślimy; abstrahu-

Literalnie tedy, dosłownie, z nazwami swemi i określeniami, prawo Comte'a, jako mieszanina pojęć i rzeczy zasadniczo różnych, do niczego nie służy, nic nie wskazuje. Jest logarytmem jakimś bez możebnego zastosowania. Nie wytrzymuje najmniejszej, powierzchownej nawet analizy.

„Każdą gałąź naszej wiedzy, powiada ono, przechodzi kolejno trzy teoretyczne stany...“ Jakoż, zaiste!—spójrzmy tylko. Oto przed nami *Ekonomika Ksenofonta*, a oto *Ekonomika Smitha*: dwa kolanka na jednej gałęzi umiejętności, aż nadto przedzielone od siebie falą czasów, iżby rozwój naszego umysłu mógł na nich położyć znamię swojego prawa. A jednak, gdzież tu ślad jakikolwiek, najlżejszy bodaj, bądź teologizmu, bądź pozytywizmu?... Urosła tu jedynie, spotężniała metoda; wychowała się, zmęźniała do niepoznania sama tylko metafizyczność: indukcyjne abstrahowanie pojęć, nic więcej. To samo w logice, to samo w geometryi, to samo niemal wszędzie. Oto logika *Arystotelesa* i logika *Baina*; oto geometrya *Euklidesa* i geometrya *Descartesa*... Lub raczej: oto świeża, niedawno powstała umiejętność lingwistyczna. Wczoraj zaledwie wyklęła się ona z ziarna. Jest-że choć cokolwiek, w czémkolwiek, gałąź ta wiedzy teologiczną, jakby to wypadła z Comte'owskiego prawa?

Lecz, być może, należy tu brać nie części, ale „całość umysłowego rozwoju ludzkości?“ Tą bowiem drogą, jak mnieja Comte, przyszło doń „wielkie odkrycie.“ W takim razie, z konieczności kolejnego rozwoju, umysłowość najwcześniejsza, najdawniejsza, powinna być najbardziej nacechowaną teologicznie. I oto mamy—Chiny, społeczeństwo, której pojęcia religijne, astronomiczne, biologiczne, ekonomiczne, od niepamiętnych czasów, od świtu ludzkiej myśli, snuły się i podziś dzień snują się najściślej, najwężej, szlakiem pozytywnym.

Niemniej słusznie powtarza *Supiński* za *Bakonem*: *leges legum sunt*. Prawo Comte'a prawem jest. Orzeczenie tylko onego, formuła onego, uległy zmatowaniu i chaosowi, a to wskutek wspomnianego po-

jemy wtedy nawet, gdy bezmyślnie patrząc np. na obłok śnieżnej białości, wiemy bez filozofii, że śniegu z niego mieć nie będziemy. Metafizykami w tém znaczeniu są zarówno dzieci, jak mędrzy; teologowie, jak pozytywiści. Oderwanym, abstrakcyjnym, metafizycznym było działanie doświadczenia psychicznego, na mocy którego pradziadowie nasi, *Arye*, nazwali jedne świetlane zjawiska *Waruną*, drugie *Mitrą*, a te i tamte podprowadzili pod rozkazy *Rity*, bogini porządku, prawa, wschodu i zachodu; oderwanym, metafizycznym był nastrój umysłowy prawników starych tamtych *Aryów*, którzy w kilkadziesiąt wieków później ogłosili ustawę braterstwa ludzkiego: przez wolność, przez równość; abstrakcyjnym naręszoie, metafizycznym będzie proceder rozumowania i postępowania mędrca, filozofa, polityka—i narodu tego, który u siebie antynomiję wolności z równością rozwiąże syntezą myśli i czynu na żywo stan praw i obowiązków, skojarzonych z sobą ku wiekiestemu pochodowi sprawiedliwości...

wyżej dualizmu, nie pogodzonego, nie mogącego być pogodzonym w poglądach naszych na przyrodę i na świat ludzki; dualizmu, osłoniętego w Comte cienkimi pasemkami podobieństw, przejść analogicznych, któremi założyciel pozytywizmu usiłował związać w jedność pierwsze trzy tomy swęj filozofii natury z trzema dalszemi tomami swęj filozofii dziejów, swęj „socyologii.“ Usiłował,—i jak na to zasługuje każde pracowite wyteżenie myśli, usiłowanie jego uwieńczył pożądaný skutek. Prawo Comte'a rozwiera właśnie, a najwidoczniej, najczytelniej, na dwie połowy jedną tę wiekiustą księgę zagadek bytu, zwaną wszechświatem.

Jakoż, zastanówmy się nad tą księgą ponownie.

Umysł ludzki, mówi Comte, odbywa trzy teoretycznie różne stacye...

Lecz w czém i jaką koleją? Odbywa je najprzód gościńcem najogólniejszych zapatrywań się swoich na przyrodę, kanałami najgłębiej żłobionych dociekań nad treścią jej objawów. Nie w umiejętnościach tedy konkretnych, jak mineralogia, botanika, anatomia lub geologia, które są tylko jakby strumieniami, wpadającemi do szerszych rzek umiejętności i składającemi się, za ich pośrednictwem, na ocean filozofii; lecz w takich całokształtach i zbiornikach wiedzy, jak fizyka kosmologiczna (czyli morfologia ogólna), chemia (fizyologia nieorganiczna), biologia (nauka o życiu organiczném w ogólności); tu dopiero szukać mamy sprawdzenia troistęj téj barwy naszego ducha, która według Comte'a jest jego zasadniczym prawem.

Owóz, pierwsza część „Filozofii pozytywnej,” niezależnie od wad i utomności wytkniętych poprzednio i bez względu na naciąganą nomenklaturę okresową, na uroszczenia klasyfikacyjne, zbyt usłużnie i tendencyjnie pnące się ku podnózom nastąpić mającęj socyologii, potwierdza za największą możebną dokładnością troistość naukowego zapatrywania się pokoleń ludzkich na przyrodę, zarówno w fizyce astronomicznej, zarówno w chemii, jak i w biologii. Z téj filozofii natury Comte'a widać wyraźnie, że w każdęj z owych dziedzin (w fizyce, w chemii etc.), wziętych oddzielnie, myśl nasza istotnie barwiła się (po szczeblach wieków, lub nawet spórzędnie, odpowiednio do mniejszego lub większego wyrobienia się umysłowego warstw społecznych i narodów) czémś podobnym zrazu do nastroju teologicznego, mitologicznego, fantazyjnego; poczem, znacząc ślad swój coraz wybitniejszymi szeregami zwycięztw zaprzeczno-metafizycznych, roztwarzających myty, okrępiających wyobrażenia czyste, oderwane, szła na stanowisko twierdzeń ostatecznych, niecierpiących hipotez na wiarę, usuwających wątpliwości bezdowodne, zgoła pozytywnych.

Rozumié się samo przez się (lubo nacisk na to staje się tu niezbędnym), że zmiennosc owa w filozofii natury, jest zmiennością jedynie naszych poglądów, naszych środków badawczych, naszego subiektu i że nietylko niedorzeczném, lecz wprost zabawném byłoby przypuszczać, iż równolegle z temi przekształceniami podmiotowemi, w kie-

runku teologiczno-metafizycznym, przekształcał się też i przedmiot, przekształcała się też i przyroda cała. Z aksjomatu, zapisanego na wstępie niniejszego studjum, iż nauka istnieje wyłącznie dla człowieka i przez niego, nie wypada jeszcze bynajmniej, ażeby i świat stosować miał swe istnienie do naszej nauki. Cokolwiek ludzie myśleli sobie o planetach, planety pozostawały daléj, czém były.

Nie czeze to zastrzeżenie. Uwidocznia ono nieuleczalne, konieczne rozdwojenie, istniejące między przyrodą a umysłem. Po systematyce nauk ścisłych, fizycznych, przystępujemy u Comte'a do „wieńca i owocu” jego prac, do socyologii, nauki, będącej według niego dalszym ciągiem poprzedniego działu; podążamy z krain filozofii natury w kraj filozofii życia ludzkiego. I cóż nas tu spotyka? Trójbarwna wstęga prawa, towarzysząca umysłowi naszemu wzdłuż fizyki, chemii, biologii, nie opuszcza nas i tutaj. Lecz czy w tym samym, co i poprzednio, mieni się ona charakterze? Czy jój ewolucyjne zmiany i tu również, jako w dziedzinie przyrodzonej, są wyłącznie podmiotowe i dokonywają się jedynie z powodu przedmiotu, nietykając go wcale? Bynajmniej. Przekształcający się subjekt, przekształca tu wraz z sobą i swój obiekt. Toczy się umysł i toczy się za nim bryła życia. Mens agitatur molem... Lubo na widowni sprowadzonej do samego niemal tylko indo-europejskiego świata (Greków, Rzymian i nowoczesnych Aryów), Comte pozwala nam przecież przekonać się najzupełniej, jak dalece różni się świat pomyślanéj przyrody od świata myśli i dziejów. Tamten był tylko jakoby pobudką dla rozwijającego się ducha, w tym tu rozwój umysłu jest już inicjatorem i twórcą faktów, zdarzeń i ich otoczeń; równolegle z biegiem subjektu, bieży tu już z nim ręka w rękę i obiekt: teologicznemu nastrojowi umysłowości śpieszą tu wraz jakby ze świadectwem najściślejszego pokrewieństwa rozmaite społeczne i polityczne organizacje o wykładniku politeistycznym, monoteistycznym, lub panteistycznym¹⁾; wiekowym walkom uogólnień metafizycznych odpowiadają punkta walki uogólnień stanowych, kastowych, państwowych, narodowościowych; pozytywizmowi narreszcie pojęć i wyobrażeń naszego wieku, wiek nasz wnet też podsuwa piedestał prac, zadań i przedsięwzięć pozytywnych, praktycznych... jakoby w pożądaniu i nadziei, że Duch ten, rodzic tylu wzniosłych dzieł i czynów, dojrzy tym sposobem prędzej zbliżającą się dobę Ideału, syntezę poetycznie i mitologicznie początkującej wiary z chłodno niwelującymi prawdami rozumu...

Cóż ztąd?—to tylko, że nic innego nigdy nie utrzymywała i nie żądała filozofia słowiańska...

Lecz pytanie teraz: wiekuista owa dźwignia filozofii i dziejów,

¹⁾ Kojarzenie się takie subjektu z obiektem, myśli z życiem, staraliśmy się wykazać w dziedzinie wiedzy nieznanéj za czasów Comte'a: w *Dziejach Aryów pierwotnych* (zobacz rozprawę pod tym tytułem w „*Ateneum*“ za rok 1882).

nieukoiony ten duch postępu w przyrodoznawstwie i „socyologii,” czémże jest sam? Czém ta jego natura, ta jego konieczność, o której Comte mówi?

Inna to już kwestya—kwestya filozofii dogmatycznej; tu założyliśmy sobie jedynie oczyścić przed nią krytycznie z mgieł i zawad pozornych tę jój ścieżkę rodzimą, po której zamłodu każdy z nas tak ochoczo zbierał kwiat serdecznych pierwiosnków i niezapominajek...

Wilno, 13 sierpnia 1883 r.

J. T. Hodi.

OKRES „CHMURNY” W ŻYCIU ADAMA MICKIEWICZA.

NAPISZAŁ

D-r Teofil Ziemia.

„Połały się łyzy me czyste—rzesiste
Na moję młodość górną i—chmurną.”
Ad. Mickiewicz.

I.

Pięknie rozwijał się uniwersytet wileński pod światłą opieką swojego kuratora, księcia Adama Czartoryskiego, pod kierunkiem znanych z nauki i charakteru profesorów, którzy według wyrażenia Mickiewicza umieli:

„Poprawiać serca—objasniać rozumy.“

Już więc z tych samych powodów, zarówno jak i pod wpływem szerzącego się coraz bardziej ducha filareckiego, przybierała młodzież wileńska coraz wyraźniejszy charakter jakiejś jednolitej, skupionej w sobie i widocznie ku poważnym celom dążącej falangi. Celem takim była przedewszystkiem nauka, to też w uderzający sposób wzrastała liczba garnących się do studiów uniwersyteckich, tak, że w r. 1823 było ich już prawie trzy razy tyle, jak w r. 1803 ¹⁾.

Zamiłowanie do nauk stawało się zatem coraz powszechniejsze i wnikało w szerokie koła tamtejszego obywatelstwa, tak, iż synowie zamożnych rodzin litewskich poświęcali się z zapałem naukom. Dosyć powiedzieć, że nawet przedmiot tak ścisły jak matematyka, miał

¹⁾ „Dziennik wileński z r. 1823.“ Mowa rektora Twardowskiego. Tudzież Lelewel w „Listach,” tom I. str. 379, mówi o blisko 900 uczniach uniwersytetu, gdy według dat urzędowych było ich w r. 1803 tylko 286!...

pośród nich niepospolitych miłośników. Gdy bowiem w uniwersytecie po Zacharyaszu Niemczewskim opróżnioną została katedra matematyki, nie potrzeba już było, jak dawniej, szukać jego następcy gdzieś daleko za granicami Litwy. Kandydat gotowy i zupełnie odpowiadający wszystkim warunkom, znalazł się w osobie podkomorzego i marszałka pińskiego Józefa Twardowskiego, jednego z owych dawniejszych uczniów uniwersytetu wileńskiego, którzy jeszcze w r. 1805 wraz z Lelewalem i Borowskim, należeli do towarzystwa filomatycznego.

Gdy zaś dotychczasowy rektor Szymon Malewski złożył w kwietniu 1822 r. urządowanie swoje na ręce samego księcia kuratora, było już wówczas prawie rzeczą niewątpliwą, że miejsce po nim zajmie wspomniany Twardowski, tembardziej, że i sam książę kurator życzył sobie tego i większość profesorów (szczególnie młodszych) była po jego stronie. Jakoż zapewne nie tylko Leleweł cieszył się wówczas nadzieją, że „jeszcze odmłodnieje długo zgrzybiały uniwersytet“ (Listy. I. 357), gdy niestety nieprzewidziane wypadki stanęły temu na przeszkodzie a nawet zamiast odmłodnienia uniwersytetu, zadały mu raczej cios bolesny, zanim w końcu zupełną jego sprowadziły ruinę.

Już z chwilą powtórnego przybycia Lelewela do Wilna rozpoczęło się właściwie nowe w uniwersytecie życie, którego zbyt wymownym objawem było przyjęcie, jakiego doznał znakomity historyk zaraz na pierwszej swojej lekcji. Od owego czasu stał się Leleweł prawie bożyszczem młodzieży wileńskiej, z którego też powodu jeszcze w marcu r. 1822 pisał do swego ojca (Listy. I. 354). „Że o Wilnie plotek nie brak, a z niemi i o mnie, nic dziwnego; audytorjum zawsze liczne, brzęczą już lutnie pochwałami, a ja słucham rady Matki Dobrodziejki i bawęnę w uszy kładę. Nie mam na co narzekać teraz, ale lepiej było, kiedy mogłem bez hałasu i bez wystawy pracować...“ Liczba uczniów, pragnących słuchać jego wykładów była tak znaczną, że żadna z sal uniwersyteckich nie mogła ich pomieścić. W najobszerniejszej nawet „było mu gorąco“ bo jak sam pisze, przynajmniej po 300 bywało na jego lekcjach.

Wszakże nie tylko młodzież uniwersytecka zapełniała te sale. Według wyrażenia bowiem samego Lelewela „bieliły się tam głowy między młodzieżą, a jak „siwy p. Łopaciński“ stał się stałym jego słuchaczem, tak i inni znani i powszechnie poważani obywatele „zajężdżali pojazdami lub przychodzili spacerem“ na jego lekcye. Wkrótce nawet kobiety, jak księżna Czetwertyńska, hr. Potocka, p. Zaleska i wiele innych, zaczęły odwiedzać jego „brudną salę“ (Listy Lelewela t. t.).

Sądźmy jednak, że nie tyle rozgłos wykładów Lelewela i liczba ich słuchaczy budzić mogły w pewnych sferach niepokój, ile raczej mniemanie o republikańskich tendencjach młodego profesora. Wyraz tej opinii zachował się przecież i w „Dziadach“ gdzie (w scenie VIII części III), być może, że nie dosyć sprawiedliwie, włożył poeta następujące słowa w usta „doktora:”

I owszem, uczyć dziejów: niech się młodzież dowie
 Co robili królowie, wielcy ministrowie...
 Lecz po co zawsze prawić o republikanach,
 Zawsze o Ateńczykach, Spartanach, Rzymianach?...

Wszystkie te okoliczności razem zebrane stały się powodem, że według własnych słów Lelewela „kurs historii stał się napiętym przedmiotem,” który przy pierwszej nadarzonej sposobności zaszkozić mógł tak pięknie rozwijającemu się uniwersytetowi... Jednak w ciągu roku 1822 nietylko nie nadarzyła się jeszcze stosowna do tego sposobność, lecz owszem objęcie rektorstwa przez Twardowskiego i nadzieja pozyskania nowój i to niepospolitej siły naukowej w Józefie Gołuchowskim, zdawały się wróżyć jeszcze świetniejszą uniwersytetowi przyszłość.

II.

Tymczasem już od wiosny 1823 roku zaczynały się gromadzić chmury na pogodnym dotąd widnokręgu wileńskim... Dwa napozór małej wagi wypadki, jak znana z listu Domejki scena na Antokolu ¹⁾, a potem ów maj o w y napis na tablicy szkolnej, wynikający z nierozwagi ucznia klasy piątej gimnazyaluėj, zaniepokoiły wielce ludzi dojrzałych, przewidujących niepomyślne ztąd dla kraju następstwa...

Wiadomość o tych niepokojących zajściach doszła wkrótce i do Kowna, gdzie Mickiewicz pełnił spokojnie swe obowiązki nauczycielskie. Było to właśnie w pierwszej połowie maja 1823 r., kiedy ku wielkiej jego radości bawił u niego w odwiedzinach serdeczny jego przyjaciel Odyniec. Trzebaż więc było, aby te dni wesołe zasępiły się z powodu rozchodzących się z Wilna wieści... Ubolewał też wielce nad tém poeta, chociaż może wówczas jeszcze sam nie przeczuwał, że zdarzenia te miały w dalszym toku i na jego przyszłość wyrzecz wpływ tak stanowczy. Po upływie kilku tygodni nastąpiły upragnione wakacje, a tym razem nawet dłuższe dla Mickiewicza, gdyż z powodu osłabionego zdrowia otrzymał niedawno czasowe od służby nauczycielskiej uwolnienie. Wyjechawszy więc wkrótce do Wilna, już sobie wyjazd za granicę układał i środki na to obmyślał, gdy niestety, niedługo potem, bo 23 Października 1823 r. wypadło mu wraz z wielu innymi Filaretami zamieszkać w wileńskim klasztorze Bazylianów...

Nie możemy wdawać się na tém miejscu w szeroki opis tego okresu życia poety, który zresztą zkądinąd dobrze znanym być może czytelnikom. Pominąwszy bowiem książeczkę Lelewela, która się odnosi do tych czasów, zarówno jak i piękny list Domejki, wiadomo przecież że i trzecia część „Dziadów” jest według słów samego autora „sumiennym” owych wypadków opisem. Mickiewicz, który w tym dramacie tak ważną odegrał rolę, nie przesadził zapewne, gdy w prze-

¹⁾ Rodzaj plantacyi lub bulwaru wileńskiego.

mowie do swego poematu tak się o tój sprawie wyraził: „Wszyscy pisarze... zgadzają się na to, że w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego. Charakter mistyczny, łagodny, ale nie zachwiany Tomasza Zana, naczelnika młodzieży, religijna rezygnacja, braterska zgoda i miłość... zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami zdarzeń...”

Nie dziw tedy, że pod wpływem takich wypadków i skutkiem owęj „rezygnacji religijnej,” odbyło się w jego życiu wewnętrznym niezmiernie ważne przeobrażenie. Sam zresztą poeta wyraził to najlepiej owym łacińskim napisem, znajdującym się w prologu trzeciej części „Dziadów,” który brzmiałby po polsku:

D. O. M.

Gustaw umarł 1823 r. 1 Listopada.

(Z drugiej strony).

Tu urodził się Konrad 1823 r. 1 Listopada.

Ważny ten dla zrozumienia „Dziadów” napis tłómaczy nam oraz, jak z zakochanego, marzącego a nawet chorobliwego Gustawa, wyrobił się pod wpływem zaszytych wypadków—ów Konrad, którego

Miłość nie na jednym spoczęła człowieku,

Jak owad na róży kwiecie;

Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku...

Jakoż w rzeczy samój samotne to u Bazylianów mieszkanie wydało bardzo ważne dla samego poety skutki, bo charakter jego skrytalizował się w tój szkole cierpienia, duch dojrzał całkowicie, zmęźniał i jeszcze bardziej wyszlachetniał. Zapewne zaś i sam zapatrywał się w ten sposób na ów okres swojego życia, skoro w tymże „Prologu” następujące słowa włożył w usta „Anioła:“

Samotność mędrów mistrzyni;

I ty, w samotnym więzieniu,

Jako prorok na pustyni,

Dumaj o twém przeznaczeniu!...

W istocie tóż, według świadectwa Domejki, który także mieszkał wówczas w klasztorze Bazylianów, okazywał poeta w owych miesiącach wielką rezygnacją, spokój i stałą swobodę ducha, jakiej rzadko dostrzedz było można w dawniejszém jego usposobieniu. Prócz tego w jednym z listów pisanych w kilka lat potem (1827 r.) do Czeczota, mówi Mickiewicz sam o sobie, że „zaczął być wesół u Bazylianów,” a w r. 1838 wyznaje w liście do żony, że tam „wyleczył się z początków melancholii” (Listy T. I. str. 191). Do tój zaś swobody ducha przyczyniał się także wesóły nastrój ówczesnych spółtowarzyszy, który był najlepszym dowodem czystości ich zamiarów. Jeden z nich t. j. Ignacy Domejko skreślił po wielu latach tak zajmujący opis owych dni u Bazylianów przepędzonych, że uważamy za rzecz potrzebną przytoczyć tu kilka ztamtąd rysów.

„Północ, są słowa jego, była dla nas wschodem słońca; zbieraliśmy się w celi Adama i aż do świtu przepędzaliśmy noc na rozmowie cichéj, ale nie smutnéj. Frejend przyrządzał herbatę i nas rozśmieszał. Kto dniem pierwéj był zawołany, przynosił nowiny jakie zbierał w sali i na ulicy. Ksiądz Lwowicz na drugi dzień (po przybyciu do Bazylianów), spadł przechodząc nocą korytarzem ze schodów i był przez miesiąc niebezpiecznie chory; dlatego później od innych począł należeć do naszych nocnych schadzek, i pamiętam, kiedy pierwszy raz o północy wszedł do nas, jak nas zabawił i rozczulił, mówiąc z wyciągniętymi rękami poważnie:

„Kozy, uciészne kozy, ma trzodo jedyna.”

(Wiersz wyjęty ze znanéj sielanki Szymonowicza).

„W téj celi na nowy rok (1824) czytał nam Adam swój piękny wiersz: „Skonał rok stary,“ a z jutrzni, w noc Bożego Narodzenia, dochodziła nas przy wtórowaniu dalekiego organu przytłumiona pieśń: „Przybieżeli pastuszkowie,“ która przenosiła nas w progi domowe.”

Do takich zaś zebrań najlepiej nadawała się cęła Mickiewicza (czyli Konrada), jak to okazuje się i ze słów Frejenda w „Dziadach:“

Wicie co, pójdźmy lepiej do celi Konrada.
Najdalsza jest, przytyka do muru kościoła;
Nie słychać ztamtąd, choć kto śpiewa albo woła.
Myślę dziś głośno gadać i chcę śpiewać wiele;
W mieście pomyśla, że to śpiewają w kościele:
Jutro jest Narodzenie Boże!...

Tenże sam Frejend posiadał oraz tajemnicę pobudzenia Mickiewicza do improwizacyi i do niego to właśnie odnoszą się owe słowa w „Dziadach:“

...Ty masz flet, Frejendzie,

Graj dawną jego nutę; a my cicho stójmy.

Taką zaś ulubioną dla naszego poety nutą była, jak wiadomo pieśń o „Laurze i Filonie“ oraz menuet z Don-Żuana. Pod jego wpływem improwizował zwykle nucąc zwolna, stosując do rytmu muzycznego. Raz jednak, jakby na próbę daru improwizowanego, zaczął Frejend grać bardzo szybko, tak że Mickiewicz, nie mogąc dotrzymać mu taktu, zamknął improwizacyą jednogłoskowym wyrazem „dość.“ Kiedy indziej znowu miał z takiegoż samego powodu zakończyć taką humorystyczną zwrotką:

Czyż mnie koledzy, o nieba!
Chcecie wystrychnąć na głupca?
Przy takiéj nucie potrzeba
Językiem trzepać chołupca!...

Tymczasem pobyt u Bazylianów przeciągał się coraz dłużej, a ostatecznego jego kresu nawet niepodobna było przewidzieć. Wszakże dla poety naszego nie był to czas stracony, bo jakkolwiek oprócz wspomnionego wiersza p. t. „Nowy rok“ podobno wtedy nic więcej

nie napisał, ale czytał i rozmyślał natomiast długiemi godzinami. Dzieła niemieckiego pisarza Jana Pawła Richtera, nacechowane pewnym mistycyzmem, dostarczały mu wówczas do tego sposobności, a między innymi podały i myśl do napisania wymienionego wyżej utworu. Prześliczny ten poemacik maluje wybornie ówczesny stan duszy Mickiewicza i już z tego samego powodu zasługuje na szczególną uwagę w opisie jego życia. „Przyjaźń i miłość” to były, jak wiadomo, dwa wielce ważne czynniki w rozwoju talentu i charakteru poety, a on sam czuł to niewątpliwie najlepiej, jak wielki wpływ wywarły one w dotychczasowem jego życiu. Jakże więc naturalną było rzeczą, że z końcem roku 1823, który tak stanowczo wpłynął na dalsze jego losy, poeta robi niejako rachunek ze samym sobą, przypominając sobie doznane dotąd rozkosze i zawody. Skutek zaś tego obrachunku jest taki, że na pytanie, „czego ma żądać w nowym roku,” sam sobie taką daje odpowiedź:

Chorowałem, marzyłem, latałem i spadam;
 Marzyłem boską różę, bliski jój zerwania
 Zbudziłem się: sen zniknął, róży nie posiadam,
 Kolce w pierściach zostały... nie żądam kochania!
 Może przyjaźni?... Któżby nie pragnął przyjaźni!
 Z bogiń, które na ziemi młodość umie stworzyć;
 Wszakże tę najpiękniejszą córkę wyobraźni,
 Najpierwszą zwykła rodzić i ostatnią morzyć.
 O! przyjaciele, jakże jesteście szczęśliwi!
 Jako w palmie Armidy wszyscy żyjąc społem,
 Jedna zaklęta dusza całe drzewo żywi,
 Choć każdy listek zda się oddzielnym żywiołem...
 Ale kiedy po drzewie grad burzliwy chłośnie,
 Lub je żądło owadów jadowitych drażni:
 Jakże każda gałązka dręczy się nieznosnie
 Za siebie i za drugie... Nie żądam przyjaźni!..

I w rzeczy samej słuszność miał poeta, gdy mówił o tém cierpieniu i dręczeniu się „za siebie i za drugich,” a mówić mógł témbardziej, że jasnowidzącym duchem smutny los dla siebie i swych przyjaciół przewidywał. Może też nieraz wyrzucał sobie wtedy, że pieśniami swemi podsyczał ów płomień, który ostatecznie, chociaż nie bezpośrednio, jego samego i tylu innych... ze zwyczajnej wytrącić miał kolei... Ztąd też kończy się wiersz ów w sposób następujący:

I czegoż więc w tym nowym roku będę żądał?
 Samotnego ustronia, dębowej pościeli,
 Zkądbym już ani blasku słońca nie oglądał,
 Ni śmiechu nieprzyjaciół, ni łez przyjacieli.
 Tam do końca, a nawet i po końcu świata,
 Chciałbym we śnie, z którego nic mię nie obudzi,

Marzyć, jakem przemarzył moje młode lata;
Kochać świat, sprzyjać światu, zdaleka od ludzi!...

III.

Uplęnęło już wiele miesięcy owego u Bazylianów pobytu, gdy razu pewnego Mickiewicz w pół marząc, w pół drzemiąc, usłyszał jakby głos wewnątrz siebie, zapowiadający mu najwyraźniej nową w scenach jego życia przemianę. W istocie też nastąpiła ona, bo, oto z końcem kwietnia 1824 r. opuścić mógł poeta wraz z kilkunastu innymi kolegami mury wspomnianego klasztoru, w którym już tylko Zan, Surin i Czczot pozostać jeszcze musieli, wzięwszy na siebie całkowitą za filarecki związek odpowiedzialność. Łatwo tedy pojmiemy, z jaką radością uściskał Odyniec Mickiewicza, gdy w bramie rządowego gmachu przy ulicy Świętojańskiej spotkał go już na wolnej stopie, wychodzącego z komisji swobodnie na ulicę. Obaj prawdziwie filareckim duchem przejęci przyjaciele, nie zastanawiali się długo nad tém, gdzie mają najpierw skierować swoje kroki i dla tego poszli wprost do najbliższego kościoła (św. Jana).

Widocznie tedy religijne uczucie, zaszczerpione jeszcze w bogobojnym domu rodziców, nie wygasło w nim pod wpływem bolesnych ciosów. Nie bez głębszego też zapewne znaczenia napisał później poeta ową przesłiczną scenę w prologu do III części „Dziadów,” gdzie młodzieńcowi drzemiącemu, zjawia się Anioł-Stróż i mówi następujące słowa:

Niedobre, nie czułe dziecię!
Ziemskie matki twój zasługi,
Prośby jój na tamtym świecie
Strzegły długo wiek twój młody
Od pokusy i przygody...

* * * * *

Nieraz ja na prośbę matki
I za pozwoleniem Bożem,
Zstępowałem do twój chatki,
Cichy, w cichej noce cieniu:
Zstępowałem na promieniu
I stawałem nad twém łóżem...

Z kościoła zaprowadził Odyniec swego przyjaciela do pani Macewiczowej, gdzie go nie tylko czekał obiad, lecz i nader miłe spotkanie się z panią Kowalską, przybyłą tu z Kowna, dla odwiedzenia siostry, którą była wymieniona gospodyni domu. Powitany przez wszystkich z rozrzewnieniem, uczuł się wnet poeta w wesołym, a nawet żartobliwym usposobieniu. Wkrótce obmyślono mu pomieszkanie, sprzęty i pościel, co wszystko przy pomocy przyjaciela i zacnej pani Macewiczowej dało się jaknajlepiej skuteczniej. Mickiewicz spro-

wadził się najpierw do Odyńca w domu Ważyńskich za Ratuszowym placem, ponieważ pomieszkanie, które mu pani Macewiczowa przeznaczyła w swym domu, było wówczas zajęte przez kogo innego. Gdy wszakże Odyniec wyjechał po pewnym czasie na wieś, aby chorego pielęgnować ojca, wtedy sprowadził się Mickiewicz do domu pani Macewiczowej, gdzie jako spottowarzysza zaprosił do siebie Józefa Jeżowskiego.

W ten sposób upłynęło znowu kilka miesięcy, pełnych niepokoju o los Zana, Czeczota i Surina, mieszkających jeszcze zawsze w celach klasztornych, zarówno jak i o losy owych Filaretów, którzy równocześnie z Mickiewiczem uzyskali wolność wyprowadzenia się do pomieszkań prywatnych.

Nikt jeszcze wtedy nie mógł wiedzieć, jaki obrót wzięć miała ostatecznie cała ta sprawa, gdy Mickiewicz przepowiadać już zaczął, czekającą ich podróż w odległe strony... Poeta zaś opierał swoje przeczucia na jakimś wewnętrznym głosie, który miał usłyszeć jeszcze za pobytu u Bazyliańów; dla tego nie dziwny się temu, że mu wówczas nie chciano wierzyć a nawet „ptakiem złej wróżby“ nazywano z tego powodu. Ale niestety zbyt szybko spełniły się te przepowiednie, bo już po niejakim czasie rozeszła się po Wilnie wiadomość, że Zan, Czeczot i Suziu mają jechać do Orenburga... Mimo to wszakże, zostawali jeszcze ciągle wszyscy trzej u Bazyliańów, gdzie za otrzymaniem poprzednio pozwoleniem, można ich było odwiedzać. Korzystali też z tego koledzy, a nieraz zgromadzali się tam nawet w znaczniejszej liczbie, a w ten sposób upływały im słodziej owe ostatnie tygodnie, po których nastąpić miało długo trwające rozłączenie...

W owéjto szczególnej epoce, rozwijać się zaczął improwizatorski talent Mickiewicza, bo jakkolwiek już i przedtém doświadczał on niekiedy sił swoich w tym kierunku, to jednak improwizacye dawniejsze miały charakter raczej okolicznościowy i nie wznosiły się ponad sferę zwyczajnych żartów koleżeńskich. Pierwsza dopiero wyższego znaczenia improwizacya odbyła się u Bazyliańów w celi Tomasza Zana, gdzie pewnego wieczoru zebrano się kilkunastu kolegów. Ale tego nie odważymy się opisywać własnymi słowy; niechaj raczej wolno nam będzie powtórzyć tu opis naoczego jój świadka. Oto bowiem, co pisze Odyniec w swoich pięknych „Wspomnieniach“:

„Było nas kilkunastu wieczorem w celi Tomasza Zana, gdzie też przyszli Suziu i Czeczot. Ten ostatni zanucił przy gitarze świeżo ułożoną przez siebie pożegnalną piosenkę w ludowym dyalekcie rusińskim, która tak wszystkich wzruszyła do głębi, że płacz ogólny stał się wtórem pieśni, a śpiewak przedmiotem uścisków. Mickiewicz nagle zawołał na Frejenda, aby zagrał nutę „Filona“, którą zawsze lubił najbardziej; stanął w środku i zaczął improwizować balladę. Treść i forma pełne były prostoty. Poeta opowiadał z początku, a raczej nucił spokojnie; ale twarz jego przeobraziła się nagle, głos nabrał dziwnej rozciągłości i mocy przy śpiewie strof ostatnich; a to przemienie-

nie twarzy i głosu tak dziwnie i tak głęboko podziałało na wszystkich, iż może przez pięć minut trwało ogólne milczenie, aż nakoniec wrzenie podziwu wybuchło, nie oklaskami, ale rozrzewnieniem ogólném.“

Około tego samego czasu i to podobno także u Bazyljanów ¹⁾ wypowiedział poeta piękny wiersz do Aleksandra Chodźki, który byłby może, zarówno jak wspomniana ballada, uległ zapomnieniu, gdyby nie Odyniec, który go zdołał zapamiętać. Zawierał się tam obraz, dobrze oddający nastrój owych wieczorów, a zarazem pełen przecucia, które w części przynajmniej spełniło się po wielu latach:

Orzeł z labędziem raz już ostatni
Może, swe pienia wywodzi;
Jeszcze go orszak otacza bratni:
Lecz straszna chwila nadchodzi...
Precz żal niemięzki, precz żal niewieści!
Zmienność ja nucę żalosań;
Bracia! słuchajcie dzikiej powieści!
Zdarzenia same urosną.

Raz poszły w zakład powietrzne ptaki:
Który z nich w lotnym przegonie,
Gdy się spróbują, obaczą jaki
Ma usiąść na ptaszym tronie?

Orzeł wyleciał: któż go doścignie,
Kto żagle, takie ma pierza,
Kto kiedy orła w wiatrach wyścignie,
Gdzie orzeł znajdzie szermierza?

Lecz był kolibryk, on się rozczulił,
On królem ptaków chciał zostać;
On się pod orła skrzydło utulił,
Bo orła w locie nie dostać.

Orzeł wyleciał, lecz się zmordował,
I spadł ku ziemi—i zginął;
Kolibryk w jego skrzydło się schował,
Zkąd się ku niebu wywinął.

Orzeł upada, ty latać będziesz:
Adam gdy ginie, ty żyjesz;
Na jego tronie ty kiedyś siędziesz,
Jego się blaskiem okryjesz...

Do porównania siebie z orłem, wziął zapewne Mickiewicz pobudkę z wiersza, który na jego cześć Chodźko już wprzód wypowiedział, jak to wnosić wypada już z pierwszych słów téjże improwizacyi:

Oleśiu! czémże tobie zapłacę:
Za twoje rymy odwiedzicę?

¹⁾ Rok 1825 podany mylnie w wydaniach dzieł Mickiewicza, gdyż w tym roku nie był nawet poeta w Wilnie.

Do takiego zaś przypuszczenia jeszcze bardziej uprawniać może druga zwrotka:

Ty jako sokół nad piękną błonią
Ujrzałeś orła w polocie...

Nie było to więc zrozumieniem z jego strony, lecz raczej naturalnym owęj chwili wynikiem, że rozwijając dalej użyte przez Chodźkę porównanie, mówił o orle w przeciwstawieniu do k oli bryka. Wiadomo zaś, że Mickiewicz nie lubił, ażeby jego improwizacye spisywano, zabraniał nawet tego niekiedy dość wyraźnie, podając za powód, że mu to osłabia natchnienie, a prócz tego i nie życząc sobie, ażeby to, co nieraz wypowiadał w wesołym, żartobliwym usposobieniu, wychodziło poza obręb kółka przyjacielskiego, lub nawet miało być drukiem ogłoszone. Z tegoż samego powodu wymawiał później Odyńcowi spisanie i ogłoszenie owęj improwizacyi „Do Olesia.“ My zaś, winniśmy prawdziwą wdzięczność szanownemu wydawcy za ocalenie tego pięknego wiersza, w którym owa dziwna, już wówczas zawierała się przepowiednia, że Aleksander Chodźko zasiąść miał kiedyś na miejscu przez Mickiewicza zajmowanym. Jakoż stało się to przynajmniej pod tym względem, że na katedrze w kolegium francuzkiem zasiada, jak wiadomo, Aleksander Chodźko od roku 1857 aż do dnia dzisiejszego.

IV.

Od owęj pierwszej wyższego znaczenia improwizacyi, o której powyżej była wzmianka, już coraz częściej zaczynał poeta sił swoich doświadczać w tym kierunku. Oto np. razu pewnego w dzień imienin Stanisława Golickiego, adwokata rejenta wileńskiego, zgromadziło się w jego mieszkaniu wielu przyjaciół, między którymi znajdował się i Mickiewicz. Wkrótce rozpoczęły się wesołe toasty na cześć solenizanta, a jednym z najweselszych był wiersz ułożony naprędce przez Odyńca, który się kończył następującą zwrotką:

„Dziś mnie, a jutro,“ lecz dziś jeszcze naszo,
A dzisiaj właśnie dzień twój święty,
Więc przyjaciele! brzęk czasza o czasze!
Zdrowie rejenta!

Zaledwie skończył Odyniec, gdy pobudzony jego toastem, powstał Mickiewicz i — według opisu naocznego świadka — zaczął mówić wierszem w „tonie jowialno-dowcipnym o powołaniu prawników, porównując je w żartobliwy sposób z powołaniem lekarzy i poetów, i charakteryzując pobieżnie wszystkich sławniejszych adwokatów i doktorów wileńskich, a nakoniec kolegów, braci w Apolinie. Dostało się przytém każdemu po sporém ziarnku pieprzu, które poeta wszakże tak umiał osłodzić, że nikomu z obecnych nie sprawiło goryczy, a zaś

improwizatorski jego talent w oczach wszystkich wysoko podniosło. „On sam — mówi dalej Odyniec — widać poczuł go w sobie, gdyż chętnie i coraz częściej sam z siebie, bez próśb i nacisku, dalsze odtąd próby ponawiał, nie mówiąc, ale nucąc prawie zawsze na nutę „Filona.“ Najogólniejszą cechą własnego jego przytém usposobienia było, że zaczynał zwykle powoli, ziwno i jakby wahająco; ale się stopniowo ozywiał, i jeśli przedmiot był potemu, to się zapalał i unosił; a wtedy głos i twarz jego przybierały taki szczególny ton, wyraz i charakter, że już więcej może niż same słowa na wrażenie słuchaczy, w magnetyczny sposób działały.“

Innym razem, a było to znowu w klasztorze Bazylianów, improwizował poeta na cześć owych znacznych przyjaciół, którzy niestety już wkrótce wyjechać mieli z Wilna. Kilka zwrotek, wypowiedzianych przy owój sposobności na cześć Suzina, zdołano na szczęście zapamiętać, a jako rys potrzebny do naszego obrazu, przytaczamy je na tém miejscu:

Jeszcze ma muza tego wspomina,
Co dotąd był zapomniany:
Wszyscy, o! bracia, piejmy Suzina,
Niech żyje Suzin kochany!

U kogo zawaze i myśl ta sama,
I czyj się umysł nie zgina,
Mamy tu bracia portret Adama ¹⁾,
Mamy tu portret Suzina.

On się poświęcił i na okowy
I wieloletnie zamknięcie:
Wszystko był Suzin znosić gotowy,
By prawa zachować święcie.

Było odważnych w powazach grozie,
I śmialków więcej jak tuzin,
Lecz cierpieć śmiało, lecz milczéć w kozie,
Potrafił Czeczot, Zan, Suzin!...

Tymczasem los Zana, Czeczota i Suzina został już stanowczo rozstrzygnięty, a niedługo potem wszyscy trzej pojechali w owe dale-

1) Adam Suzin, powróciwszy na Litwę, ożenił się tam z siostrą A. E. Odyńca, później zamieszkał w Warszawie, gdzie téż umarł w 1880 roku. Poważany był wysoko przez wszystkich, którzy mieli sposobność poznać i ocenić jego piękny charakter, zostawił i literaturze pamiątkę, a zwłaszcza nader cenne „Wspomnienia,“ z których część p. t. „Wycieczka w stepy kirgiskie,“ drukowaną była w „Kronice Rodzinnéj“ z roku 1871. To samo pismo podało w r. 1880 (na str. 64) krótki zacnego Suzina nekrolog.

kie strony, z kąd dopiero po wielu latach powrócić mieli do rodzinnej zagrody. Równocześnie zapadło z dniem 14 sierpnia 1824 roku, postanowienie także o losie Mickiewicza, Franciszka Malewskiego, Józefa Jeżowskiego, Teodora Łozińskiego, Jana Sobolewskiego, i kilku innych, którzy wszyscy oddani byli do rozporządzenia ówczesnego ministra oświecenia, „aby ich użył po części szkolnej w oddalonych od Polski guberniach.“ Nim to wszakże miało ostatecznie nastąpić, zostawiono pocie, zarówno jak i jego towarzyszą, kilka tygodni czasu dla przysposobienia się do czekającej ich podróży. Korzystając z tego, przepędzali też długie w kółkach przyjacielskich wieczory, a zwłaszcza Mickiewicz bywał wówczas najczęściej w domu państwa Malewskich, gdzie słuchał pięknego śpiewu panny Zofii, lub też u pani Macewiczowej, gdzie znowu zachwycał się piękną grą młodzianki w tedy panienki, którą bardzo lubił i szczerze już wtedy poswatać pragnął swemu ukochanemu przyjacielowi Odyńcowi. Nie przeczuwał też może poeta, że ta sama panienka dostarczy mu miała później rysów do ślicznego wizerunku, znanego z „Tadeusza“, młodzianki heroiny, której nawet imię „Zosi“ nadał na pamiątkę ową wówczas nazywaną „Berżerki“, a po niewielu latach już — pani Odyńcowej.

Było to wieczorem 20 października 1824 r., gdy właśnie w owym domu wesoło zabawiał się poeta... Berżerka grała na fortepianie; on słuchał z zachwyceniem, a gdy ucichła muzyka, zasiadł do kart ze staruszką panią Kowalską, z którą szczególnie lubił grywać w tak zwanego „kiksa.“ Godziny upływały szybko... i poeta ani się spostrzegł, że było już około północy, gdy wraz z Odyńcem powracał do swego mieszkania. Ujrawszy naraz światło we wszystkich jego oknach, domyślali się że Jeżowski, mieszkający w jednym z owych dwóch pokoiów, ma zapewne gości u siebie. Jakoż tak było w rzeczy samej, tylko że gościem był tym razem kapitan Krukowski, który czekał właśnie na Mickiewicza; miał mu bowiem, zarówno, jak to zrobił Jeżowskiemu, udzielić do podpisu rozporządzenie, wskutek którego już za dwa dni mieli być obaj gotowi do wyjazdu do Petersburga. Mickiewicz — jak powiada Odyniec — przyjął tę wiadomość spokojnie, podpisał arkusz przedłożony, poczem kapitan wyszedł, a trzej przyjaciele pozostali już tylko sami. Łatwo pojąć, że mimo spóźnionej pory nie mieli ochoty do spania, zachowali wszakże spokój, rozmawiając o różnych sprawach, które trzeba było przed wyjazdem załatwić. Dopiero, gdy już dzień zaczynało, zasnęli cokolwiek, nie rozbiegając się nawet ze zwyczajnej odzieży.

Nareszcie nadszedł dzień ostatni, który mogli jeszcze w Wilnie przepędzić. Każdy żegnał się ze swymi znajomymi lub krewnymi, i załatwiał pilniejsze sprawy, skutkiem czego ruch ożywiony panował w całym mieście. Zaci przyjaciele, jak Maryan Piasecki i Odyniec pamiętali wówczas o niepraktycznym Mickiewiczu i pomagali mu w przysposabianiu się do podróży. Odyniec był nawet z nim na kilku pożegnalnych wizytach, jak np. między innymi u pani Bécu,

matki Juliusza Słowackiego i u pani wojskiej Zaleskiej, gdzie wszędzie żegnano się z Adamem z głębokim rozrzewaniem. Tego samego dnia zebrał się wieczorem jeszcze raz wszyscy, będący w mieście Filareci w pomieszkaniu Tomasza Massalskiego, na poddaszu niedaleko od Ostrój Bramy. Niektórzy zaś, jak np. Ignacy Domejko, nawet z dalszych stron pospieszyli na ten dzień do Wilna, aby pożegnać odjeżdżających kolegów.

Trudne do opisanja uczucia przejmowały wówczas te serca młodociane!... A przecież nawet w owej chwili nie byli oni smutni, bo według słów „Ody do młodości:”

Serca niebiańskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota...

Ażeby się wzajemnie nie zasmucać, bawiono się wesoło, śpiewano wszystkie pieśni filareckie, a niektórzy, jak np. Feliks Kułakowski, opowiadali humorystyczne anegdoty. Już niedaleko było do świtu, gdy naraz wszyscy obścapiłi Mickiewicza prosząc, aby co zaimprovizował. Poeta wzbraniał się z początku, ale gdy Frejend zagrał ulubioną mu nutę, wnet uczuł się natchnionym i powolnym, do muzyki zastosowanym rytmem zaczął nucić balladę, której pierwotna nazwa „Basza” zamienioną później została na „Renegat.” Improwizacya ta byłaby może jak wiele innych zaginęła, gdyby nie stojący za plecami Mickiewicza Stanisław Górski, który ją w części zdołał zanotować, w części zaś inni uzupełnili z pamięci.

Dzwoniono właśnie na mszę w Ostrój Bramie, a pobożny lud litewski klęczał już przed cudownym obrazem, gdy młodzi towarzysze zaczęli się rozchodzić pocichu do mieszkań swoich. Jak niegdyś za pierwszym do Wilna przybyciem, tak i teraz żegnając się z nim, może na zawsze, chciał się poeta polecić opiece Tój, którego „dzieckiem do zdrowia powróciła cudem.” W tym celu wraz z Odyńcem poszedł do Ostrój Bramy, gdzie na cichój modlitwie z czołem opartém na dłoni, przeklęczał całe nabożeństwo. Potém nie mówiąc wiele do swego towarzysza, powrócił do domu spokojny i zadumany.

Oznaczoną już była godzina wyjazdu, gdy niedługo przedtém przyszedł jeszcze do Mickiewicza Ignacy Chodźko, znany autor „Obrazów litewskich.” Był on wówczas młodym 28 letnim (ur. 1795) mężczyzną i od niedawna narzeczonym panny Ludwiki Mackiewiczównęj, nieznanęj osobicie Mickiewiczowi.

— Adamie — rzekł — ty wyjeżdżasz! wiesz, że mam się zenić; zostaw najdroższą twęj przyjaźni pamiątkę, kilka wierszy do mój narzeczonęj.

Z uśmiechem miłym, (opowiada sam Ignacy Chodźko) ¹⁾ a właściwym twarzy jego, w którym piękność a dobroć jego serca i głębsze

¹⁾ „Teki wileńska.” Rok 1858 w artykule: „Peryody życia.” Do-kończenie auto-biografii autora „Obrazów litewskich,” str. 216.

może natenczas współczucie dla zakochanego się odbijały, usiadł przy stoliku, wziął pióro w rękę i jeszcze raz ten uroczy uśmiech rzucając na narzeczonego:

— Bardzo ją kochasz? — zapytał.

— Ha! — odpowiedział Chodźko — tak, jak ty Maryą.

Wzrok Adama zesmętniał. Wspierając czoło na rękę, rzekł z cichém westchnieniem:

— Tak, tak i tyś poeta!

Po krótkiej chwili oddał oczekującemu kartkę, zawierającą te słowa:

Nieznamomój, nieznanój, nieznanym daleki,
Kiedy nas jeszcze dalej losy chcą rozegnać;
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać,
Dwa wyrazy: Witam cię — bądź zdrowa na wieki!
Tak podróżny zbłąkany w alpejskim parowie,
Piosnką chce nudnej drodze przyczynić wesela:
A kiedy nie ma komu śpiewać serce wdowie,
Śpiewa piosnkę kochance swego przyjaciela;
Lecz nim piosnkę przepędzą echa ku jój stronie,
Może już podróżnego wieczny śnieg pochłonił!

„Dla Ludwiki przysztęj Ch.... pisałem w godzinę przed oddaniem się z Litwy r. 1824 8-bra 22 d.” (22-go Octobra) ¹⁾.

Niebawem wybiła oznaczona godzina i nadeszła owa chwila, którą opisał Odyniec w pięknym wierszu do Antoniego Góreckiego:

. Pomnę ja dzień owy,
Gdy go od swoich brano na rozstanie,
Czekały straże, wóz już stał gotowy;
On ze mną poszedł na twe pożegnanie,
Wtedy żal pierwszy dumne serce przemógł:
Widział łzy nasze — i swych ukryć nie mógł.

Odnosi się to zwłaszcza do owój rozrzewniającej sceny na pożegnaniu u Antoniego Góreckiego, który przywoławszy swe dzieci, kazał im przed Mickiewiczem uklęknąć i poprosić o błogosławieństwo. Wówczas po błędę i od wzruszenia drgającej twarzy Adama potoczyły się grube łzy, choć zapewne ani mógł przeczuwać, że po wielu latach,

¹⁾ Opowiadanie Odyńca o powstaniu tego wiersza, nie jest, zdaniem mojem, z opisem samego Ignacego Chodźki tak niezgodne, jakby się napozór mogło wydawać. Wiersz bowiem mógł być w istocie wcześniój ułożony, choć dopiero „w godzinę przed odjazdem” był może na czysto przepisany. Zwracamy oraz uwagę, że data wyżej podana, liczy się według kalendarza stylu starego.

jego własna córka miała stać się żoną Tadeusza Góreckiego ¹⁾ i tym sposobem tak blisko spokrewnić się z ową dziećci gromadką. Ale łzy wylane w owę chwilę nie miały być ostatnie... Grono przyjaciół, między którymi znajdowały się i kobiety, otoczyło poetę na wsiadaniu do wozu, który miał go wieźć razem z Janem Sobolewskim. Wszyscy żegnali go ze łzami; ale podobno najrzewniej płakał Odyniec. Mickiewicz uściskał go też najczuliej, a potem jeszcze z wózka, ujawszy jego i Berzerki (Zofii Macewiczównę) dłonie, odezwał się miękkiem, ale pełnym dobrej otuchy głosem: „No, no! dość tego, nie płacz! Obaczmy się jeszcze; tu, czy tam, ale obaczmy się pewnie!” Tymczasem dał się słyszeć dzwonek pocztowy, a konie zacięte biczem szybko z miejsca ruszyły. Odyniec, Domejko, Julian Korsak, Aleksander Chodźko i Frejend pobiegli szybko za odjeżdżającymi, aby ich raz jeszcze przed tak zwaną „Pohulanką” zdjęciem czapek i powiewem chustek pożegnać...

V.

Chwila wyjazdu z Wilna utkwiała głęboko w duszy Adama, a w kilkanaście miesięcy potem stanęła mu ona znów przed oczyma duszy, kiedy wyjazd swój porównywał z obecnym:

Pamiętam, kiedy młody, z lubej okolicy,
 Od przyjaciół kochanych, od mojej dziewicy,
 Jechałem i patrzyłem, i pomiędzy drzewy
 Słyszałem głosy, chustek widziałem powiewy:
 Płakałem...

Ale czy płakała równocześnie ta, którą on pierwszą ukochał miłością, czy między chustkami, które wówczas powiewały, była i ta, którą ona swojemi zwilżyła łzami? Nie umiemy napewno powiedzieć; ale z tego, co we „Wspomnieniach” swoich mówi Odyniec, wypada ra-

¹⁾ Tadeusz Górecki, syn znanego poety, urodzony 5 maja 1825 roku, odbywszy nauki w szkole sztuk pięknych w Petersburgu, wyszedł zczasem na znanego z talentu malarza. Po dłuższym pobycie we Włoszech, zamieszkał ostatecznie w Paryżu, gdzie też ożenił się z Maryą Mickiewiczówną, najstarszą córką poety. Przy owęj to sposobności napisał Antoni Górecki następujący wierszyk:

O Maryo! twoim wdziękom żadne nie są równe,
 Lecz mdleje kwiat nadziei, śpiesz się go ożywić;
 Wyrzeknij co najprędzej to słówko czarowne,
 Które może wiernego sługę uszczęśliwić!...

Zacny Tadeusz, o którym już za lat jego chłopięcych mówiono, że „serce miał na dłoni,” umarł zbyt wczesnie, bo już w 1868 r., zatem zaledwie w siedm lat po śmierci swego ojca, obok którego pochowany został na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem.

czój wnosić, że ostatni raz widział się z nią poeta jeszcze w pierwszych dniach lipca 1824 r. Do wytłómaczenia tego, co się właśnie w dzień wyjazdu poety mogło dziać w duszy Maryi, posłużyć może owa przesłiczna scena przy końcu III części „Dziadów,” kiedy guślarz mówi do kobiety czarno ubranéj:

Cóżto? cóżto?... Patrz, z zachodu,
Tam od Giedymina grodu,
Śród gęstych kłębow zamieci,
Kilkadziesiąt wozów leci!
Wszystkie lecą ku północy,
Lecą ile w koniach mocy.
Widzisz, jeden tam na przedzie
W czarnym stroju...

KOBIĘTA.

On!

GUŚLARZ.

Tu jedzie.

KOBIĘTA.

I znowu nazad zawrócił,
I tylko raz okiem rzucił,
Ach! raz tylko... jakie oko!

GUŚLARZ.

Pierś miał zbroszoną posoką,
Bo w téj piersi jest ran wiele:
Straszne cierpi on katusze,
Tysiąc mieczów miał on w ciele,
A wszystko przeszły—aż w duszę.
Śmierć go ohyba z ran uleczy.

KOBIĘTA.

Jedną ranę miał na czole,
Jedną tylko i nie wielką,
Zda się być czarną kropelką.

GUŚLARZ.

Ta największe sprawia bóle:
Jam ją widział, jam ją zbałał;
Tę ranę sam sobie zadał:
Śmierć jej uleczyć nie może.

KOBIĘTA.

Ach! ulecz go, wielki Boże!

Było też niewątpliwie tak, jak sobie wyobrażał sam poeta. Marya modliła się i tęskniła za nim długo, żyjąc, jak mówi jej brat cioteczny Domejko, z mężem „jak z przyjacieleni, jakoby niezamężna.” Dopiero po dwóch latach, a może i później, nastąpiła zmiana. Delikatność i miłość, jaką ją pan Wawrzyniec stale otaczał, przestrogi matki, upominania braci, a wreszcie, i może nawet przeważnie, wpływ spowiednika, przyczyniły się do tego. Wkrótce dał jej Pan Bóg piękną, jak anioł, córkę, a w kilka lat potem syna. Odtąd pani Marya była wzorową matką i żoną i zajmowała się gorliwie domowem gospodarstwem. A chociaż nie okazywała wesołości, przeciwnie nawet, według świadectwa Domejki, pewną tęsknotę, zawsze jednak odznaczała się w pożyciu z ludźmi właściwą sobie stodyczą i uprzejmością. Nie śpiewała już potem owęj ruskiej piosenki:

Ne dau mnie Boh, kawo ja chaciela,

tylko jakby dla żartu może, dla rozweselenia żony, zanucił ją niekiedy pięknym swym głosem zacny i zawsze wesoły pan Wawrzyniec. Zapewne myśl jej wówczas biegła w ślad za oddalonym poetą, jak niewątpliwie i w owych chwilach, gdy córeczka jej przy jej towarzyszeniu na fortepianie śpiewała jego piosenki, lub deklamowała ballady. Po kilku jeszcze latach, gdy Domejko pisał do bawiącego wówczas w Rzymie Adama, dodała i Marya od siebie kilka wierszy. Nie znamy tego listu; ale w odpowiedzi nań odpisał poeta Domejce:

„Było tam kilka słów Maryi. Widok jej ręki tak mnie upoił, że płakałem jak dziecko. Pierwszy to był płacz od pożegnania się z Czczotem i Zanem. Nie będziemy już nigdy widzieć się ze sobą. Ale powiedz jej, że ona zawsze ma w sercu mojem miejsce, z którego nikt jej nigdy nie usunął i gdzie jej nikt nie zastąpi.” (Koresp., wyd. IV, t. II, str. 151).

Jakże silnym, jak czystym było to pierwsze „promionkowe” uczucie, kiedy słowa powyższe pisał poeta w r. 1832, a więc już po poznaniu rodziny Ankwiczów i owęj poetycznej Ewuni, z którą się i my spotkamy w dalszym ciągu naszego opowiadania.

W ogóle cały ten prześliczny romans, który imię Maryli na wieki złączył z nazwiskiem wielkiego poety i niewątpliwie przyczynił się do tego, że z nieśmiertelnych jego pieśni „uplotą wicki ozdobę dla jego skroni,” jest co najmniej wielce zajmującym w życiu Mickiewicza ustępem, jeżeli nie jest zaiste trudną do wyjaśnienia psychologiczną zagadką. Kluczem do jej rozwiązania może byłyby własne słowa poety, napisane w dziesięć lat później w „Panu Tadeuszu.”

Są oświadczenia—nawet bez wyznania,
Są obowiązki—nawet bez obowiązania!
Dwa serca, pałające na dwóch krańcach ziemi,
Rozmawiają, jak gwiazdy, promieńmi drżącemi...
Kto wie! może dla tego ziemia tak do słońca
Dąży, i tak jest zawsze miłą dla miesiąca,

Ze wiecznie patrzą na się i najkrótszą drogą
Biegną do siebie, ale zbliżyć się nie mogą! ¹⁾.

* * *

Dwa takie wypadki, jak naprzód ta wielka, czysta i do tego niezszczęśliwa miłość, a potem cała ta znana sprawa, co tak „chmurnie” zakończyła ową prawdziwie „górną” młodość, stanowią wielki w życiu poety i w rozwoju jego talentu przełom. Pod wpływem pierwszego z tych wypadków był poeta w życiu swém chorobliwym, aż do szaleństwa rozkochanym młodzieńcem. Wówczas bowiem przechodził on takie same cierpienia, takie same łamania się i rozpaczę, jak ów Gustaw w IV części „Dziadów.” Odmalował je też właśnie z tego powodu z taką mocą i prawdą, która tej części poematu nadaje wyższe, ogólnie ludzkie znaczenie, dla tego, że mniejwięcej w życiu każdego człowieka może być okres, w którym gotówby on to samo, co Gustaw, mówić i robić. Słusznie zresztą wypowiedział poeta słowa, które się zwłaszcza do niego samego mogą odnosić:

Jedna tylko iskra jest w człowieku,
Raz tylko w młodocianym zapala się wieku.
Czasem tę iskrę oko niebianki zapali;
Wówczas trawi się w sobie, świeci sama w sobie,
Jako lampa w rzymskim grobie.

Ale z chwilą wstąpienia w mury Bazylikańskie, skończyło się owe „trawienie się,” skończyła się czwarta część Dziadów, czyli, mówiąc słowami samego Mickiewicza, nastąpiło „wyleczenie z początków melancholii.” Teraz bowiem począł poeta „dumać o swém przeznaczeniu,” skutkiem czego z chorobliwego Gustawa przeobraził się w silnego uczuciem Konrada, t. j. owego bohatera „Trzeciej części Dziadów,” który rwie się do czynu, ale w gorączce swój i niepohamowaném w swe sity zaufaniu niezdołnym jest jeszcze do niego. To też dopiero w ósmiej scenie tej części „Dziadów” wskazuje mu ksiądz Piotr jego przyszłość i czekające go w niej zadanie:

¹⁾ Marya Putkamerowa umarła na Litwie w r. 1864. Mąż jej zmarł jeszcze w roku 1850. Marya była do końca życia z uwielbieniem dla niego, a po śmierci ze łzami całowała jego nogi. Zaczny zaś jego charakter określił Odyniec w wierszu, który czytać można na jego grobie:

Przechodniu, stój! bo stoisz nad męża mogiłą,
Co myślą stał na czasie swego wysokości;
Serce jego dla onoty i dla prawdy było,
A życie jego pasmem ofiar było,
Służąc ludzkości w Bogu, a Bogu w ludzkości!

Ty pojedziesz w daleką, nieznaną drogę,
Będiesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie:
Szukaj męża, co więcej, niżli oni, umieć.
Poznasz, bo cię powita pierwszy w Imię Boże;
Słuchaj, co powie...

Poeta jechał teraz w rzeczy samej „w daleką, nieznaną drogę;”
ale czy i kiedy spełnić się miała, chociażby tylko w jego przekonaniu,
reszta przepowiedni Księdza Piotra?...

PRZEGLĄD
POLSKIEJ LITERATURY HISTORYCZNEJ.

I.

Nowy kierunek badań historycznych. — Wzmianka o pracach: Zakrzewskiego, Smolki, Wojciechowskiego, Pawińskiego, Korzona, Kubali i Kalinki. — Spór naukowy o genezę społeczeństwa polskiego. — Publikacja pomników średniowiecznych, a w szczególności część druga kodeksu dyplomatycznego katedry krakowskiej, wydana przez d-ra Piekosińskiego. — Akta grodzkie i ziemskie z archiwum lwowskiego, wydawane przez prof. Liskego. — Starodawne prawa polskiego pomniki, a w szczególności: Wyroki sądów królewskich z czasów Zygmunta I i Akta sądów obozowych, wydane przez prof. Bobrzyńskiego; Zupiski herbowe, wydane przez d-ra Ulanowskiego. — Rozbiory krytyczne: d-ra Lukasa: O Wapowskim, d-ra Finkla: o Kromerze, d-ra Caro: o memoryale Ostroroga. — Hosiana, wyd. Zakrzewskiego, Sobiesciana, wyd. Kluczyckiego, Volumina legum, wyd. Kniaziółuckiego.

Od kilkunastu lat zapanował bardzo ożywiony ruch na polu naszego dziejopisarstwa. Z dniem każdym niemal mnożą się poważne publikacje materyatów źródłowych, a niemniej owe liczne i ważne rozprawy i monografie, różnostronnych zagadnień dziejowych dotykające. Pracy tej przyświeca przedewszystkiem naukowa tendencja, a mianowicie chęć odtworzenia na podstawie wiarogodnych i krytycznie obrobionych źródeł, pełnego obrazu zarówno politycznych, jak wewnętrznych stosunków naszego kraju.

Studia dzisiejsze oparte na szerszego zakresu źródłach i na umiejętnej metodzie badania, zamykały się pierwotnie w ciasniejszym tylko kole uczonych historyków, a szersza publiczność mało się o nie troszczyła i mało obznajmiała się z nowemi poglądami, zasadami i prawdami, wydobytemi z krytycznego w przeszłość naszą wejrzenia.

Interes ogólniejszy wzbudziły studia nowsze historyczne dopiero wtedy, gdy wyniki ich ostateczne zaczęto ujmować w całokształt popularny, bo wtedy łatwo było dojrzeć, iż ten nowy kierunek badań historycznych, burzył wiele dawnych pojęć, wspomnień, uniesień, przekonań i wyobrażeń. Nic dziwnego, że te nowe idee nie mogły się cieszyć łatwym tryumfem, tém bardziej, że występowały z pewną młodzieńczą, pełną zapału i śmiałości sądu o znaczeniu faktów dziejowych, tudzież o mylném stanowisku dawniejszych badaczy dziejów naszych.

Nikt nie zaprzeczy, że z dzisiejszego stanowiska nauki sądząc, niedostawało naszym dawniejszym historykom dobrej metody szkolnej. Dawniejsze dzieła historyczne (Wacł. Aleks. Maciejowski, Jędrzej Moraczewski, Julian Bartoszewicz i inni) nie odznaczały się wogóle rzeczy biorąc, ani ścisłością krytyki źródeł, ani wyraźną metodą badania naukowego. Niektóre z nich pragnęły zastąpić ścisłość naukową przez opowieść w nadobnej formie (K. Szajnocha, Wł. Chomentowski), niektóre poprzestawały na gromadzeniu faktów, popierających ulubione teorie polityczne (H. Schmitt, Morawski); lecz nie brakowało i takich (Joachim Lelewel, Zygmunt Helcel, Aleks. hr. Przezdziecki, K. L. Stądnicki i inni), którzy, zgłębiając coraz szersze koło odkrywanych źródeł, roztaczali wierne obrazy przeszłości nie tylko całych epok, ale i pojedynczych jej gałęzi w zakresie stosunków ekonomiczno-społecznych (Tad. ks. Lubomirski, Edw. Stawiski i i.). Nowsi nasi historycy, wskazując na fatalne skutki jednostronnej doktryny falangi Lelewelowskiej, potępili może trochę za pochopnie, nawet i te owoce naukowe prac dawniejszych, z których bądź co bądź kiełkowały nasiona nowszych racjonalniejszych poglądów. Karcenie wreszcie dawniejszych pracowników na niwie dziejowej za brak szkoły i metody systematycznej, było o tyle niezupełnie usprawiedliwione, że przecie nie z winy społeczeństwa polskiego nie można było od chwili zamknięcia uniwersytetu wileńskiego znaleźć nigdzie ani szkoły ani katedry uniwersyteckiej, przy którejby młodzież polska mogła się uczyć historii polskiej i ćwiczyć się w metodologiczném jej źródeł badaniu. Kto zwróci na to uwagę, ile to trzeba trudów, ile nakładu materialnego na gromadzenie źródeł, czemu ledwo sprostać mogą pomoce potężnych rządów i zbiorowe prace licznych stowarzyszeń naukowych, popieranych przez oświecone państwa i liczne akademie, ten nie powinien z goryczą chlostać naszych „bajarzy” i „gawędziarzy” za to, że ograniczeni do pomocy naukowej kilku mecenasów, nie mogli dorównać Guizotom, Mignetom, Thierry'm, Macaulay'om, Pertzom, Waitzom, Rankim, Sołowiejowom i w. i.

Ta nieco jednostronna krytyka dawniejszego dziejopisarstwa naszego, musiała wywołać równie jednostronną i namiętą obronę krytykowanych, którzy, nie wchodząc często w naukowe pobudki krytyków, kryli się za sympatyczny mur patryotyzmu, który sobie tylko wyłącznie przyznawali. Smutne położenie chwili nie pozwalało im zastanowić się nad tém, ile to trzeba przeboleć, ile kombinacji prze-

trawić, nim się ośmieli rzucić kamieniem potępienia nie tylko na badaczy przeszłości; ale i na samą przeszłość. Taki prąd umysłów, wywołany może nierozważnie zapalem młodzieńczych duchów, wyprowadził historią polską na pole historyzofii polemizującej, która nie jedno serce zraniła, nie jedną drażliwszą miłość własną obraziła, co przy niemożności swobodnej zupełnie dyskusji ze wszystkich stron stało się powodem, że kwestya różnicy metody w rękę kilku niepowołanych szermierzy pióra więcej literackiego aniżeli naukowego, tonęła w jadowitej żółci osobistych napaści. Lecz z wolna poczęły się uspakajać fale umysłów i namiętności politycznych, tak niespodzianie przez książkę prof. dr. Michała Bobrzyńskiego poburzonych. Dziś może już historia polska trzeźwiejszym okiem spoglądać na przeszłość narodu, może już spokojnie analizować wszechstronnie czyny dziejowe bez ściągnięcia na siebie niezasłużonych rekryminacji, niepowołanych krytyków, jeżeli odkrywa rany z miłością dobrego, pieczołowitemu nauczyciela. Jest i w tym pewna korzyść, jest i to pewnym wyższym szczeblem na drodze postępu! Zdobyte w ten sposób stanowisko na polu dziejopisarstwa naszego, pozwala nam sobie wróżyć lepszą przyszłość, zwłaszcza, że kształcąca się młodzież ma już dziś przy katedrach historii polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim i lwowskim, choć w części sposobność ćwiczenia się w metodologicznym badaniu dziejów narodu polskiego.

Do takiego wniosku prowadzi nas szereg dzieł nowszych, na które postanowiliśmy zwrócić uwagę czytelników „Bibl. Warsz.,” z zamiarem śledzenia i nadal w pewnych odstępach za tym ruchem naukowym, jaki się na tej niwie piśmiennictwa naszego ujawniać będzie. Nie mamy zamiaru pisać w tej rubryce wyczerpujących sprawozdań krytycznych; ale pragnęlibyśmy tylko ożywić związek, jaki powinien istnieć między postępem nauki dziejów naszych a społeczeństwem polskim: „Veritas liberabit vos!”

Jeszcze bowiem nie zupełnie ucichła owa wrzawa polemiczna o ideały polityczne, gdy się ukazało spokojne, bez hałaśliwego rozgłosu piękne dzieło d-ra Zakrzewskiego: „O bezkrólewiu po ucieczce Henryka,” rozjaśniające z wyczerpującą gruntownością, przy pomocy najsumienniejsz zbadanych materyałów archiwalnych, wszystkie fazy tego gwałtownego, samozwańczego tworzenia swój formy rządu po zgonie ostatniego jagiellońskiego dynasty.

Równocześnie z tym dziełem młody historyk Smolka, przesunął przed oczy nasze postać „Mieszka Starego,” a w dziele tym nie tylko poruszył i rozwiązał cały szereg zawitych zagadnień historycznych, ale w szerokim roztoczeniu rozwinął wspaniały obraz wewnętrznych stosunków średniowiecznej Polski.

Wkrótce potem ukazało się świetne studium d-ra Wojciechowskiego: „O rocznikach polskich X—XV w.,” jaśniejące głęboką erudycją, niezrównanym darem kombinacyjnym i bystrym, przenikliwym, iście krytycznym poglądem, a w ślad za tym pojawiło się obszerne

dzieło Pawińskiego: „Skarbowość w Polsce i jej dzieje za Stefana Bato-rego,” rzucające mnóstwo nowego światła na tę gałąź administracyi w Rzeczypospolitej polskiej; dalej idą Korzona: „Wewnętrzne dzieje Polski za St. Augusta,” stanowiące bardzo szacowne uzupełnienia do obrazu politycznych i dyplomatycznych stosunków kraju, skreślonych przez Kalinkę, a wreszcie niedawno wykończył Kubala dwutomową pracę swoją, w której rozwinął dzieje nasze z lat 1631 — 1650 w postaci biografii Jerzego Ossolińskiego.

Uprzytomniwszy sobie jeszcze mniejsze monografie w rozmaitych pismach peryodycznych pomieszczone, tudzież cały szereg kodeksów dyplomatycznych i pomników historycznych, ogłoszonych pod poważną firmą Akademii Umiejętności, a wówczas zadziwimy się zapewne, dla czego o tych wszystkich książkach tak mało słyhać, dla czego o jed-nej lub drugiej odezwie się tylko gdzieniegdzie głos poważnego kry-tyka, lub pojawi się sucha, dorywcza wzmianka dziennikarska.

A przecież każda z tych książek zdobyła wiele i bardzo wiele nowych szczegółów historycznych, a przecież każdy z tych pisarzy nie w jednym punkcie stanął rażąco w sprzeczności z dawną doktryną, z dawniejszym na przeszłość poglądem! Gdzież opozycya? dla czego tak nagle włożyła miecz do pochwy? dla czego unikły głosy wymo-wnych obrońców dawnych tradycyi i dawnych ideałów państwowych nawet wtedy, kiedy ks. Kalinka w Sejmie czteroletnim, podniósł głos potężny, porywający świeżością poglądów, siłą argumentacyi i głębokiem umiłowaniem prawdy historycznej, płynącej żywo z nie-wątpliwych dokumentów, służących zawsze temu znakomitemu bada-czowi za niewzruszoną podstawę do jego studyów, często bolesnych, często dotkliwie szlachetne serca raniących.

Z poważnym spokojem czyta i przyjmuje ogół społeczności na-szej nowe dzieła historyczne, związane tak ściśle z życiem politycznym narodu, a ten prawdziwie pocieszający fakt wskazuje najdowodniej, że nowy kierunek badań historycznych raz na zawsze zwyciężył, że płody nowych studyów nie spotkają się ze skrajną, zuchwałą, samozwańczą krytyką, że płynąć mogą bez hałasu i burzy pełnym i czystym stru-mieniem. Leez to zwycięstwo ostateczne nowego kierunku history-cznego, dowodzi zarazem wymownie, że i społeczeństwo nasze nie wzdręga się przed zdrowym powiewem prawdy historycznej, że surowy rozbiór przeszłości nie jest dla niego „trucizną, ale lekarstwem” i że „odsłonięcie nagiej prawdy przez nas samych, nie znieśliwi nas u obcych.”

Z takiego wychodząc zapatrywania, sądzimy, że czytającej na-szej publiczności, nie mogącej śledzić tego żwawego ruchu historyczne-go we wszystkich jego kierunkach i fazach, oddać mogą pewną usługę peryodyczne przeglądy, w których zamierzamy przesuwać przed oczy-ma czytelnika świeższe, a cenniejsze płody historycznego piśmienni-ctwa. Przeglądy takie nie mogą się naturalnie kusić ani o pełność bibliograficzną, ani też o wyczerpujący rozbiór krytyczny, a zadaniem

ich główném jest zaznaczenie przewodnich idei, przyświecających pewnej grupie historycznych prac i podanie krótkiej informacji o wartości naukowej i literackiej nowszych na tém polu publikacji.

Zcharakteryzowawszy już powyżej nowy kierunek badań historycznych i stwierdziwszy, jakie bogate plony i zdobycze, przyniosła wydoskonalona metoda i krytyka historyczna, wypadnie nam nasz pierwszy przegląd rozpocząć od wydawnictwa Akademi Umiejętności, która od pierwszego swojego związku szczególniejszą pieczołowitością otoczyła historyczne studia i dla poważnych, krytycznych poszukiwań najszerszy otworzyła zakres. Zbyt rozszerzyłyby się musiało nasze sprawozdanie, gdybyśmy chcieli choćby tylko pobieżne wzmianki poświęcać wszystkim publikacjom akademickim; ograniczyć się tedy musimy tylko do ostatnich wydawnictw, które w pewnym systematycznym zakręgleniu przewinę się przed okiem łaskawego czytelnika.

Zacząć zaś nam wypadnie znowu od ogólnego spostrzeżenia, że jeżeli obecnie ustały polemiczne walki o wielkie ideały narodowej przeszłości, jeżeli ludzie bezpośrednio nie powołani do samodzielnych badań historycznych, nie wiedzą sporów o poglądy naukowe lub o nowe pomysły historyzoficzne, to nie idzie za tém, aby mężowie nauki, stojący na tém samém stanowisku umiętném, nie kontrolowali nawzajem swoich prac, nie prostowali usterek lub zasadniczych ich wad, nie wykazywali w nich błędnych sądów lub nieściśle umotywowanych wniosków, wysnutych hazardownie bez głębszego zbadania źródeł. Dopiero krytyka gruntowna, licząca się z naukową metodą badania, odsłoni z jednej strony zalety, zaznaczy nowe zdobycze pewnej pracy, a z drugiej znowu strony odtrąci z nieubłaganą srogością fałszywe lub tendencyjne rozumowania i zapewni trwałe uznanie tylko badaniom rzetelnym, popartym argumentami wprost ze źródeł czerpanymi.

Takie pojęcie umiętnej krytyki przyświecało niewątpliwie trzem historykom krakowskim: pp. Bobrzyńskiemu, Smolce i Piekosińskiemu, kiedy zawiązali w Akademii Umiejętności poważną dyskusyą naukową w przedmiocie pierwotnego ustroju państwa i społeczeństwa polskiego. Usiłowano najpierw ustnie rozwinąć różniące się w zasadniczym pomysle zapatrywania na społeczną organizacyą w pierwotnej Polsce i wśród żwawej dysputy naukowej rozświetlić początki Polski, jako państwa i narodu.

Gdy atoli polemika ta nie doprowadziła do zgody, gdy wszystkich sprzeczności nie zdołano usunąć i zakreślić pełnego i jednolitego obrazu pierwotnego państwa i społeczeństwa polskiego, wówczas pp. Bobrzyński, Smolka i Piekosiński, w osobnych rozprawach złożyli owoce swoich studyów, a Akademia wydrukowała je w XIV tomie rozpraw wydziału historyczno-filozoficznego.

W tento sposób z godnością i powagą wprowadzono na porządek dzienny badań historycznych jedną z najciekawszych i najzawilszych kwestyi, z tém mocnym postanowieniem, ażeby w obec tego, że poczet źródeł, mających na epokę pierwotnych dziejów naszych jaśniejsze

rzucić światło, dziś już za zamknięty uważać można, ogłosić ostateczne słowo o pierwotnym ustroju naszego społeczeństwa i postawić nie hipotezy, ale pewniki niezbite, przez wszystkich uznane.

Temat ten, sam w sobie bardzo pojętny, bardzo trudny, ale wcale nie nowy. Wszyscy znakomitsi historycy, badający głębiej średnie wieki naszych dziejów, starali się samodzielnie rozwiązać zagadkę społecznej organizacji w pierwotnej Polsce. Począwszy od Lelewela, dzielącego społeczność polską na lechów i kmieci, a skończywszy na p. Piekosińskim, wyprowadzającym na widownię dziejową z zachodnio-północnych krańców Słowiańszczyzny nowy szereg lechitów nadłabskich, wysnuwano cały szereg hipotez o początkach Polski, a i dziś stoimy tylko w obce hipotez, rozwiniętych zreczniej i popartych długim poczetem tych źródeł, które dawnym uczonym bądź wcale znanymi nie były, bądź też w błędnych tekstach takowe podawano.

Trzydzieści lat dobiegło, jak nieodżałowanej pamięci Bielowski, pierwotne praojców naszych siedziby przenosił na brzegi Adryatyku, a pierwotne dzieje nasze nawiązał fantastycznie do illiryjskiego szczepu autaryotów, czyli lechitów. Obalono pomysły Bielowskiego, równie jak odparto z niedowierzaniem hipotezę Szajnochy o powstaniu państwa polskiego zapomocą normańskiego podboju, a i świeższa tak śmiało rzucona przez Kętrzyńskiego i świetnie prowadzona dedukcyja polaków od lygiów Tacyty, mającym być narodem słowiańskim i to tym samym, co późniejsze lechy i polanie, nie zyskała obywatelstwa w świecie naukowym. Również nie rozstrzygnęły stanowczo sprawy początków Polski, tak niejednolite pod względem treści i metody badania hipotezy Roeppla, Maciejowskiego, Bartoszewicza i Małeckiego.

Niezrażeni niepowodzeniem na tém polu licznych swoich poprzedników, trzej uczeni krakowscy, podejmują się śmiało po sumiennych i wszechstronnych studyach ponownego téj kwestyi zbadania i ogłaszają odmienne od swoich poprzedników, a rozbiegające się od siebie w szczegółach i w całości naukowe wyniki, mające służyć za ostateczną odpowiedź na genezę społeczeństwa polskiego.

Na inném już miejscu („Niwa," zeszyt 196) poświęciliśmy osobny, wyczerpujący artykuł tym ciekawym studyom, a obecnie wypada nam tylko streścić najzwęższej ostateczne tych badań wyniki i zaznaczyć zasadniczą między niemi różnicę. Wyniki te dadzą się ująć w trzy główne punkty:

a) „Powstanie społeczeństwa polskiego.“ Ze wspólnego gruntu, bo z owéj zupełnej jednolitości pod względem plemiennym społeczeństwa polskiego, wydobywają się hipotezy pp. Bobrzyńskiego i Smolki. Zdaniem Bobrzyńskiego, formacya społeczeństwa polskiego nastąpiła drogą prawidłowego rozwoju szczepu lechickiego, osiadłego między Wisłą a Odrą, z uwzględnieniem jedynie tych zmian, jakie wynikły wskutek zjednoczenia państwowego, dokonanego przez Piastów drogą podboju różnych drobnych udzielnych dynastów, które nad tym szczepem lechickim panowały.

Zapatorywanie to podziela w zupełności dr. Smolka, określając nadto bliżej sposób tego podboju. Każdy szczep dzielił się bowiem jeszcze na drobniejsze plemiona, a nad każdym z nich panowali udzieleni dynastowie. Najprzód tedy dokonać się musiało zjednoczenie całego szczepu pod władzą naczelnych książąt, a dopiero potem nastąpił podbój dynastów szczepowych przez Piastów.

Odmiennego zdania jest d-r Piekosiński, twierdząc, że społeczność średniowieczna polska, jest rezultatem podboju dokonanego na szczepie lechickim. Oto bowiem lechici nadłabscy znormanizowani zlekka przez styczońców z duńczykami w pierwotnych siedzibach, ujarzmiają pobratymców w Lechii nadwiślańskiej i nadodrzańskiej. Pod wodzą Popielów, z runami na swych znakach chorągwianych, wpadają w okolice Gniezna i Poznania i organizują pierwotne społeczeństwo polskie.

b) „Geneza szlachty polskiej.“ Pp. Bobrzyński i Smolka wywodzą zgodnie pochodzenie szlachty polskiej od potomków podbitych przez Piastów, drobnych książąt plemiennych, podczas gdy d-r Piekosiński związek jej wyprowadza od pobocznych linii dynastii Popielów i Piastów, a związek ten zasilany w końcu X i XI wieku przypływami normańskimi, zaś przez wiek XI, XII i XIII, wędrownymi potomkami linii pobocznych dynastii książąt pomorskich i zaodrzańskich, wytworzył z czasem silną i liczną klasę społeczną.

c) „Ustrój pierwotnego społeczeństwa polskiego.“ Zgodni dotąd ze sobą pp. Smolka i Bobrzyński, w tém ostatniém zagadnieniu rozbiegają się w przeciwne strony. Podczas gdy prof. Smolka uważa za istotną cechę pierwotnej wolnej warstwy społeczeństwa polskiego, indywidualną własność gruntową i widzi w drobnych właścicielach gruntowych zamierający już, a niegdyś panujący typ polskiego wolnego społeczeństwa, to przeciwnie prof. Bobrzyński zbija powyższe twierdzenia i dowodzi, że wszelka własność ziemska indywidualna, tylko w nadaniach monarszych miała swoje źródło. Swobodne tedy, zawłaszczenie z jednej, a monarsze nadanie z drugiej strony—oto punkt zasadniczy, o który rozbiła się zgodność pomysłów tych dwóch uczonych.

Te sprzeczności tak stanowcze, te antytezy wzajemnie się wykluczające, pragnie pogodzić d-r Piekosiński, lecz tylko zapomocą hipotezy podboju. Społeczność opierającą się według prof. Smolki, na wolnych dziedzicach drobnego gruntu, cofa d-r Piekosiński wstec do doby pierwotnego prawidłowego rozwoju szczepu lechickiego, do pierwszych wieków osiedlenia się jego w naszym kraju, a następnie przyjmuje podbój, jako tę katastrofę dziejową, która pierwotny ustrój społeczny tego szczepu, a raczej jego gałęzi między Odrą, Wartą i Wisłą z gruntu zmieniła, poczem obraz społeczeństwa polskiego, jaki prof. Bobrzyński na zasadzie pomników historycznych XII wieku nakreślił, odpowiadać będzie ustrojowi społecznemu Polski piastowskiej w ogóle.

Naukowy ten spór, jak widzimy, nie ukończony. Nic wątpimy, że w tej sprawie odezwie się kompetentny głos prof. Wojciechowski-

go, autora „Chrobacyi,“ a zachęca go do tego gorąco p. Piekosiński: „Ty pierwszy — pisze d-r Piekosiński — znakomitą swą pracą p. t.: „Chrobacya,“ dałeś nam nie tylko poznać, jak obfity a niespożytkowany jeszcze posiadamy materyał do tój zamierzczałej doby przeszłości naszej, w której skrzętnemu badaezowi już nie tylko kroniki, ale nawet lakoniczne rocznikarskie zapiski, odmawiają pomocy, puszczając go bez przewodniego światła na manowce, wśród złudnych baśni; lecz co równie ważnem jest, wskazałeś zarazem metodę, jakiej trzymać się należy, aby z tój bogatą rudy czysty kruszec otrzymać.“

Z rezultatami uzyskanemi w „Chrobacyi,“ dziś każdy badacz naszych dziejów pierwotnych liczyć się musi, a wszczęta świeżo naukowa walka, powinna d-ra Wojciechowskiego zachęcić do wskazania w drugiej części swego znakomitego dzieła, jaka to społeczność i jakie jój warstwy pracowały nad wytworzeniem się pierwotnej naszego kraju budowy.

W każdym atoli razie, za rzecz pewną uważać można, iż do rozwiązania tak zawitej kwestyi, jaką jest nakreślenie pierwotnej organizacji naszego społeczeństwa, w obec tylu nieudałych prób, na seryo przystąpićby było niepodobna, gdyby krytyczne wydania całego szeregu roczników, kronik i dyplomatycznych pomników, nie ułatwiały badaczom znakomicie pracy nad naszymi dziejami w wiekach średnich. Olbrzymia to zasługa nieodżałowanej pamięci Bielowskiego, iż on pierwszy w pomnikowym wydawnictwie „Monumentów“ ogłaszać zaczął krytyczny aparat, który każdemu badaczowi daje sposobność do samodzielnych studyów i poszukiwań, którychby bez tego robić nie mógł. Bielowski sam jeden podjął i chlubnie wykonał dzieło, jakie gdzieindziej przeprowadzają albo potężne rządy, albo w bogate środki wyposażone korporacye. W Niemczech np. wydawnictwo pomników dziejowych („Monumenta Germaniae Historica“) objęła osobna komisya, rozporządzająca znacznemi funduszami, a u nas jeden człowiek o własnych niemal zasobach, dla dobra nauki i kraju, przez lat kilkanaście pracował niezmiernie nad wspianą publikacją „Monumentów,“ a kiedy jego niestało, kiedy Opatrzność nie dozwoliła mu nawet ujrzyć w całości trzeciego tomu „Monumentów,“ wówczas nie potrafił go już jeden człowiek zastąpić, ale lwowska komisya historyczna zbiorowemi siłami musiała podjąć dalszy ciąg niepospolitej pracy. W ten sposób pod kierunkiem profesorów Małeckiego i Lisiego, ogłoszono przed pięciu laty tom trzeci „Monumentów,“ a równocześnie Akademia umiejętności wystąpiła z długim szeregiem pomników dziejowych wieków średnich, do objaśnienia rzeczy polskich służących.

Jako wydawcy, występują Szujski, Piekosiński i Prochaska. W tém samym piśmie wspominaliśmy już dawniej o pracach Szujskiego na polu wydawnictw źródeł historycznych. Wypada nam tedy obecnie zwrócić uwagę publiczności na znakomitą w tym kierunku działalność d-ra Franciszka Piekosińskiego, znanego najzaszczytniej ze swój niezmiernie, a pod względem krytycznej metody i paleo-

graficznej ścisłości niezrównanej pracy w wydawaniu średniowiecznych pomników historycznych. „Kodeks dyplomatyczny małopolski,“ „Najstarsze księgi miasta Krakowa“ (wspólnie z Szujkim), „Kodeks dyplomatyczny miasta Krakowa,“ a wreszcie „Kodeks dyplomatyczny katedry krakowskiej św. Wacława,“ oto świetnie prowadzone wydawnictwo przez p. Piekosińskiego. Trzy pierwsze publikacje ogłoszone już wcześniej, a przeto zatrzymać się możemy tylko przy ostatnim kodeksie kapituly krakowskiej, którego część druga dopiero przed kilku dniami prasę opuściła.

Część pierwsza obejmowała akta od roku 1166—1366, a część druga od roku 1367—1423; poświęcono ją pamięci Szujskiego. Część ta zawiera dokumenta z epoki zasiadania na stolicy biskupiej krakowskiej pięciu pasterzy: Floryana Mokrskiego (1367 † 1380), Zawiszy Kurozwęckiego (1380 † 1382), Jana Radlicy (1382 † 1391), Piotra Wysza Radolińskiego (1392 † 1412) i Wojciecha Jastrzemba (1412 † 1423). Z 375 dokumentów w tym tomie zawartych, kilka zaledwie znanych już było z druków dawniejszych, wszystkie zaś inne, poraz pierwszy dopiero tu wydane zostały. Połowa dokumentów pochodzi wprost z oryginałów, druga połowa z kopiarzy, a rzadziej z oryginalnych transumptów. Równie, jak w pierwszej części swego kodeksu, nie ograniczył się szanowny wydawca wyłącznie do dokumentów, odnoszących się do dziejów samej katedry krakowskiej, lecz pragnąc zgromadzić jak najbogatszy materiał do objaśnienia wewnętrznych urządzeń i instytucji średniowiecznej Polski, ogłosił wszystkie akta, jakie się w archiwum kapitulnym znalazły; tak także postąpił sobie i w obecnej drugiej części, gdzie wciągnął nawet w zakres wydawnictwa archiwa innych kościołów i klasztorów krakowskich, aby tym sposobem z epoki niniejszym tomem objętej, cały materiał dyplomatyczny w archiwach krakowskich nagromadzony, o ile takowy w dotychczasowych publikacjach ogłoszonym nie został, wedle możności wyczerpać.

Z całą skrupulatnością zaznacza wydawca w przypiskach pochodzenie każdego dokumentu, oprócz tych, które wyjęte zostały z archiwum katedry krakowskiej. Niektóre dokumenta nie zasługujące na publikację w całej rozciągłości, podane zostały tylko w zwięzłych streszczeniach. Materiał dyplomatyczny, jaki jeszcze archiwum katedralne krakowskie posiada od roku 1423 — 1503, wyniesie około trzystu dokumentów, a skoro i w dalszym ciągu nie przestanie szanowny wydawca czerpać także z archiwów innych kościołów i klasztorów, przeto rozłożyć się jeszcze musi wydawnictwo kodeksu całego na dwa tomy, z których jeden wyłącznie Zbigniewowi Oleśnickiemu poświęconym będzie.

Ile pracy, wiadomości i mozola potrzeba, żeby wydawnictwo tego rodzaju odpowiednio do dzisiejszych wymagań nauki przywieść do skutku, i z jakimi trudnościami takowe jest połączone, o tém właściwe pojęcie może mieć tylko ten, kto się sam publikacją średniowiecz-

nych źródeł historycznych zajmował. Trudności, na jakie natrafia procedura i metoda podobnego wydawnictwa, wskazał wymownie prof. Liske („Przewodnik naukowy i literacki,” 1873, str. 307) i przekonał niewątpliwie wszystkich, że wydawnictwo takie, nie należy bynajmniej do zatrudnień pobieżnych i łatwych, lecz że wymaga ogromnego zasobu wiedzy, krytycyzmu i bystrości. Mniej zachodu ma wydawca około rękopisów oryginalnych, do których ogłoszenia wystarcza znajomość języka, paleografii i współczesnej historii; ale zato ileż trudności przysparzają owe kopie z drugiej, trzeciej i dziesiątej ręki, sporządzone przez ludzi nie znających często dostatecznie ani języka, ani stosunków, popełniających więc niezliczone błędy, odczytujących niewłaściwie nazwiska, tworzących zwroty zgoła sensu pozbawione. Tu właśnie potrzeba niezmierniej bystrości, krytyczności, a nawet nieraz prawie jakiejś wyższej intuicji, któraby w te ciemności rzuciła promyk jasnego światła i dozwoliła wydawcy dostarczyć poprawnego, oczyszczonego, o ile możliwości do pierwowzoru, jak najbardziej zbliżonego tekstu.

I jeżeli kto, to przedewszystkiém prof. Liske był może najbardziej uprawniony do przedstawienia czytelnikom owych licznych trudności, jakie następcza wydawnictwo pomników średniowiecznych, bo on sam rozwija również bardzo energiczną działalność w ogłaszaniu należycie wybranych i krytycznie opracowanych materyałów źródłowych, prowadząc od wielu już lat z wzorową starannością i umiejętną metodą systematyczną publikacją Aktów grodzkich i ziemskich, z czasów Rzeczypospolitej polskiej, z archiwum lwowskiego, a to wskutek fundacyi ś. p. Aleksandra Stadnickiego. Do tej pory wyszło ośm tomów tej cennej publikacyi. Ostatni tom, ogłoszony przed trzema laty, zawiera treść zupełnie jednolitą, bo obejmuje wyłącznie dokumenta odnoszące się do dziejów kapituły przemyskiej obrządku łacińskiego, jęj dóbr ziemskich, prelatur, beneficji i t. d. Szanowny wydawca ograniczał się w poprzednich tomach tylko do epoki ściśle średniowiecznej, t. j. do r. 1506. Mając zaś obecnie pod ręką cały dyplomatyczny materyał kapituły aż do czasów najnowszych, zużytkował takowy w całości i wszystkie dokumenta po r. 1506 podał w ekscerptach, z opuszczeniem wszelkich formuł, a z zachowaniem tylko tego, co stanowi rdzeń dokumentu i w ten to sposób w tomie tym umieszczono wszystkie dokumenta, jakie archiwum kapituły przemyskiej obrządku łacińskiego posiada.

Niebawem ukaże się tom dziewiąty tego cennego wydawnictwa. Z pobieżnej, ale na bardzo wiarogodnej informacyi polegającej notatki literackiej dowiadujemy się, że całość zawierać będzie około 200 dokumentów, z których najdawniejszy pochodzi z r. 1375. Na pokazaną tę więzankę złożyły się materyały z archiwum miasta Sącza, z t. z. Copiarium Praemisleum, rękopisu przechowanego w Bibliotece praskiej i wreszcie z miscellaneów lwowskich archiwów kościelnych i archiwum miejskiego. Wszystek podobno materyał dyplomatyczny z epoki śre-

dniowiecznej, jakkolwiek znajduje się w archiwach lwowskich, będzie w tym tomie wyczerpany. Oprócz przywilejów i dokumentów, odnoszących się do Sącza, wspomnąć należy o ważnym dokumencie, zawierającym polecenie królewskie w sprawie oznaczenia granic miasta Lwowa z r. 1420, dalej o statucie Jagiełły względem monety z r. 1422, niemniej o obszernym, szczegółowym i bardzo ciekawym dla historii żupnictwa w Polsce układzie dzierżawczym względem żup solnych przemyskich i drohobyckich z r. 1454. W tomie tym znajdzie się również wiele ważnych dyplomatów w sprawach celnych, mytniczych, lokacyjnych, a nawet ogłoszonym będzie jedyny w swoim rodzaju dokument z XV wieku (1487), zawierający formalny układ między panem wsi a jego poddanymi, i wymieniający cały szereg zobowiązań, jakie ten pan wobec swoich poddanych przyjmuje na siebie.

Jak prof. Liske gromadzi i krytycznie objaśnia dokumenta, znajdujące się w archiwach lwowskich, tak znowu prof. Bobrzyński, jako dyrektor krajowego archiwum krakowskiego, zwrócił szczególniejszą swoją uwagę na pierwszorzędną wagę materyału, zawarty w archiwum krakowskim, z którego już ś. p. Helcel naukowy robił użytek. To téż komisya prawnicza Akademii Umiejętności postawiła za jedno ze swych stałych i najgłówniejszych zadań: wydawanie nieznanych, a ważnych prawa polskiego pomników w krytycznym opracowaniu, spełniając w téj mierze myśl ś. p. Helcela, wskazaną i rozwiniętą przezeń w dwóch pierwszych tomach „Starodawnych prawa polskiego pomników.“ Uważając pracę swoją za dalszy ciąg usiłowań Helcela, pod tym samym tytułem ogłosiła komisya dalszy zbiór zabytków prawnych. Po wydaniu tak zwanego Statutu Taszyckiego, po ogłoszeniu Statutów synodalnych dyecezyi krakowskiej, i po wydaniu traktatów prawnych Zaborowskiego, Ostroroga, Falkenberga i Pawła Włodkowicza, podjął prof. Bobrzyński publikacją Wyroków sądów królewskich z czasów Zygmunta I, od (1507—1531).

Zbiór ten stanowi bezwątpienia pierwszorzędne źródło dla historii naszej w jéj najobszerniejszym pojęciu, t. j. zarówno dla historii politycznej, jakotéż dla historii prawa, obyczajów, oświaty, języka i stosunków ekonomicznych. Ponieważ tedy zapiski te mieszczą wiele rzeczy ważnych dla rozmaitych gałęzi wiedzy historycznej, przeto szanowny wydawca uznał za rzecz najodpowiedniejszą, aby specjaliści wybierali i ogłaszali takie zapiski, które się odnoszą do pewnej tylko gałęzi nauk historycznych. Potrzeba zatem osobno wybierać i ogłaszać zapiski, mające doniosłość dla historii, osobno dla języka, osobno dla historii prawa i t. d. Metoda ta, jakkolwiek przynosi wiele pracy i zmusza do kilkakrotnego przeglądania jednych i tych samych aktów, wydaje się prof. Bobrzyńskiemu jedynie praktyczną. Ona bowiem nie każe nam czekać, aż się zjawi talent uniwersalny, który, panując nad wszystkimi gałęziami historycznej wiedzy, zdoła tém samym wszystkie te gałęzie przy wyborze zapisków uwzględnić i wyboru wszechstronnego dokonać; ona pozwala na to, iż kilku uczonych spe-

cyalistów, przeszukując też same zapiski, wybierając z nich każdy dla swej nauki najważniejsze ustępy, w kilku wydawnictwach złożą się prędkiej na toż samo dzieło.

Kwestya wydawania zapisków sądowych była już poruszoną na zjeździe historycznym imienia Długosza. Wówczas prof. Bobrzyński, jako referent téj sprawy, doradzał również rozspecjalizowanie prac wydawniczych na tém polu, żądając, żeby zapiski były wydawane osobno przez różne osoby, a mianowicie, żeby wydawca zapisków tylko to wydawał, co jest jego specjalnością. W rozwiniętej nad tym przedmiotem dyskusyi wyrazili odmienny pogląd panowie Parczewski i Liske. Szczególnie w téj sprawie kompetentny prof. Liske oświadczył wyraźnie, że przy wydawnictwie najdawniejszych zapisków, jakie są z końca XV lub XVI wieku, lepiej podać zawiele niż zamało i trudno żądać, by polityk-historyk stronił od lingwistyki i od wszystkiego, co wchodzi w zakres prawa. Toby przypomiñało męki w piekle i owoce zakazane, które potępieni widzą przed sobą, a ując ich nie mogą. Obecny na posiedzeniu, znany autor historii polskiej dr. Caro, poparł ze swego stanowiska życzenie d-ra Liskego, oświadczając się również przeciw ścisłemu rozgraniczeniu wydawnictwa zapisków sądowych, gdyż zgóry osądzić niepodobna, czy dany akt ważny jest tylko dla prawa, czy także dla historii.

W obecném wydawnictwie pomników sądowych chwycił się mimo to prof. Bobrzyński swojej metody, nie uwzględniając wymownych zdań przeciwników. Nie czujemy się w téj mierze kompetentnymi rozstrzygać, czy postąpił dobrze; obowiązkiem naszym było tylko zaznaczyć odmienne w tym kierunku opinie, objawione przez uczonych historyków.

Prof. Bobrzyński wydał te wyroki, uwzględniając ich doniosłość dla historii dawnego prawa polskiego. Archiwum krajowe krakowskie dostarczyło mu do téj pracy wiele bogatego materiału. Pomijając na razie księgi sądów ziemskich i grodzkich, szukał ksiąg ostatnich instancyj i znalazłszy je, głównie z pierwszej połowy XVI wieku, na nie zwrócił wyłącznie uwagę.

Księgi, o których mowa, od niedawna dopiero w postaci osobnych ksiąg sądów zadwornych i sejmowych istnieją. Kilka lat temu znajdowały się one jeszcze rozrzucone na pojedyncze zeszyty, a nawet i karty, pomiędzy aktami sądów ziemskich i grodzkich. Świeża organizacya archiwów, dokonana staraniem sejmu i wydziału krajowego galicyjskiego, umożliwiła dopiero mozolne odszukanie ich i złożenie w taką, jaką pierwotnie przedstawiały, całość.

Do wydawnictwa swego wyzyskał dr. Bobrzyński dziesięć ksiąg archiwalnych, mieszczących w sobie akta sądu królewskiego z lat 1507—1531. Zbiór wyroków rozpoczyna się tedy od tego roku, na którym wydanie Helcla się kończy. Pragnąc, aby czytelnik pojął należycie znaczenie ogłoszonych wyroków, zdaje wydawca we wstępie w głównym zarysie sprawę z kompetencyi i zakresu działania sądów

królewskich, przywiązanych ściśle do osoby królewskiej i odprawiających się nieustannie u jego boku, gdziekolwiek król z dworem swym stanął.

Należy się uznanie prof. Bobrzyńskiemu, że rozpoczęte przez Helcla wydawnictwo pomników dalej poprowadził i podał próbę rozwiązania niepokonanych dotychczas wydawniczych kwestyi, torując tém samém drogę następcom do dalszej w tym kierunku pracy. Takiej zachęty zaiste potrzeba było. Przypomnieć sobie bowiem można, że kiedy ś. p. Zygmunt Antoni Helcel ogłosił pierwszy akta sądów ziemskich, grodzkich i królewskich w Krakowie od r. 1388—1506, wówczas powstało we wszystkich ogniskach naszego wydawniczego ruchu usiłowanie, aby ten przykład naśladować i ze wszystkich ziem dawniej Rzeczypospolitej zapiski sądowe ogłaszać. A jednak usiłowanie to, tak rychło zbudzone, pozostało bez widocznego skutku. Nieprzejrzany ogrom materiału, przechowanego w licznych archiwach, odstręczył zapalonych do téj sprawy początkowo badaczy, a czynienie wyboru między pomnikami przedstawiało dla wydawcy trudności ogromne. Obecnie została wskazana już droga, jak podobne trudności zwalczyć można.

Na inną jeszcze instytucją sądową zwrócił uwagę prof. Bobrzyński, ogłaszając w VII tomie Starodawnych prawa polskiego pomników: „Akta sądów obozowych województwa kaliskiego“ z wyprawy na Wołoszę w r. 1497 i z wyprawy na Turków w r. 1498. Tę cenną księgę obozową odnaleziono w królewskim archiwum państwowem w Poznaniu. O odkryciu tém pisano już dawniej, zanim jeszcze akta same światło dzienne ujrzały, lecz nie umiano wówczas jeszcze wyraźnie wskazać, ile ważnego materiału naukowego w nich się mieści. Wiedzano o tém, że podczas wyprawy wojennej odprawiały się sądy, ale sądzono, że te sądy zajmowały się jedynie utrzymaniem karności wojskowej i z czynności swoich żadnych aktów nie spisywały. Dopiero odnalezienie księgi obozowej rzuciło zgoła inne światło na tę kwestyę. Z niej—to bowiem dowiadujemy się, że wojewoda kaliski, Sędziwój Czarnkowski, stając na czele pospolitego ruszenia w r. 1497, zaraz na jednej z pierwszych stacyi ustanowił dla podwładnego mu rycerstwa sąd, mianował jego członków i polecił mu spisywać wszystkie akta.

Na czele takiego sądu stał sędzia, obok niego zasiadali asesorowie, a wreszcie pisarz sądowy. Czynności sądu były dwojakiego rodzaju: a) niesporne. Kto z pośród rycerstwa zawrzcć miał z drugim umowę, ten stawał przed sądem obozowym i zeznawał swoją wolę do aktów sądowych. Sąd te zeznania przyjmował, a notaryusz do księgi wpisywał. b) sporne. Ktokolwiek przez rycerza z województwa kaliskiego, ciągnącego z wyprawą czuł się pokrzywdzonym, ten wytaczał skargę przed sąd obozowy i przeprowadzał proces. Rozstrzygał więc sąd o rozlicznych krzywdach natury cywilnej i orzeczenia swe do księgi wpisywał polecał. Z powrotem wyprawy rozwiązywał się sąd i czynność jego się kończyła, a wtedy umowy spisane w księdze obozowej, jedną po drugiej przeuszono do ksiąg właściwych grodów.

Do innéj instytucyi prawnej odnosi się szereg aktów, których wydawnictwo prowadzi dr. Bolesław Ulanowski. Są to zapiski herbowe, niezmiernie ważne i bezwarunkowo autentyczne źródło dla naszej heraldyki. Zbiór tych zapisków dotąd jeszcze w całości nie wydrukowany; ale mieliśmy sposobność przejrzeć już kilkadziesiąt arkuszy wydrukowanych tego wydawnictwa i poczytujemy sobie za miły obowiązek parę słów jemu poświęcić.

W księgach sądowych województwa krakowskiego z XIV i XV wieku, tak w Krakowie, jak w Warszawie się znajdujących, mieszczą się także procesa o naganą szlachectwa (*vituperatio nobilitatis*). Proces odbywał się w ten sposób, iż jeżeli ktokolwiek zarzucił drugiemu, że nie jest szlachcicem, wówczas zaczepiony, nie chcąc utracić szlachectwa, musiał się oczyścić przysięgą sześciu świadków: dwóch ze strony ojczystej, dwóch ze strony macierzystej, a dwóch ze strony dziadków. W przysiędze opisują świadkowie herb zaczepionego wraz z zawołaniem (*proclamatio*). W ten sposób zapiski herbowe podają nie tylko dokładne wyobrażenia o samych herbach, ale wskazują zarazem, które rody szlacheckie do pewnego herbu należały i jakim zawołaniem się posługiwały. Jest to zatem bardzo ciekawy materiał zarówno dla badacza, pragnącego instytucją nagany i oczyszczenia szlachectwa dokładnie poznać, jak niemniej jest to cenne źródło dla heraldyka i historyka.

Wydawnictwo całe prowadzone wzorowo, tekst oddany wiernie i znakomicie przeczytany, a dowodem tego jest, że p. Ulanowski w wielu miejscach błędnie czytanie Helcla sprostował. Zbiór niniejszy wyczerpuje cały zapas tego rodzaju aktów, znajdujących się w księgach krakowskich XIV i XV wieku, a jakkolwiek wydawca nie przedrukowywał tych zapisek, które się mieszczą u Helcla, to jednak dla nadania wydaniu temu pewnej jednolitości, umieścił liczby porządkowe zapisek już drukowanych pod odpowiednią datą, a indeksa starannie ułożone, obejmują tak znane, jak dopiero obecnie wydrukowane zapiski. W dodatkach, których druk już znacznie postąpił, uzupełnia wydawca zbiór tych dokumentów zapiskami odnalezionemi później w księgach krakowskich, tudzież w księgach sądowych, przechowywanych w archiwum główném w Warszawie, a wreszcie z ksiąg konsystorskich krakowskich uwzględnił zapiski zawierające przykłady na „*expurgatio canonica*,” odnoszące się do „*status*” duchownych, lub uwydatniające prawa szlachty w przeciwstawieniu do kmieci, wobec praw duchowieństwa np. co do składania dziesięciny.

Dziesięć lat temu senator Hube wydając kilka aktów oryginalnych sądowych z w. XIV i XV, nadmienił, że cały nasz przewód sądowy, zupełnie prawie niezuanany; a przyczynę tego wyprowadzał nie z braku pomników, ale z lekceważenia, z jakim obchodzimy się z zachowywanemi pomnikami i z braku dostatecznego naukowego przysposobienia, mogącego nam służyć za przewodnika w ocenieniu tych czeigodnych pamiątek. Skutkiem tego — sądził Hube — zmniejsza się

nawet codziennie liczba samych pomników, bo nie umiając ich ocenić, skazujemy je, czy rozmyślnie, czy nierozmyślnie na powolną zagubę. Dziś już, kiedy na to właśnie pole rzuciło się kilku gorliwych, pracowitych i wielu uzdolnionych badaczy, kiedy wydawnictwa z zakresu prawa polskiego, tak szeroki przybierać zaczęły rozmiar, zdania powyższego czcigodny senator powtórzyćby nie mógł.

Lecz historycy nasi nie ograniczyli się wyłącznie do wydawania kronik, dyplomataryszów, aktów publicznych i korespondencji politycznych. W ostatnich szczególnie latach zwrócono wielką uwagę na kompendya historyczne z dawniejszych wieków i przystąpiono do wykazywania ich źródeł i sposobu ich użytkowania. Już na zjeździe imienia Długosza wspomniął prof. Zakrzewski, iż pojedynczych epok historii brak nam prawie całkiem w trzech pierwszych ćwierciach XVI w.; do czasów Zygmunta I jedyny Decyusz, do Zygmunta Augusta Orzechowski i później już piszący Górnicki. Uznano też, że nie tyle ponowne wydanie, ile raczej krytyczny rozbiór wartości i źródeł Górnickiego i Orzechowskiego byłby pożądany. Krytyczny rozbiór Decyusza przeprowadził już dawniej dr. Hirschberg. Takiego krytycznego rozbioru wymagały również Strykowski, znany od dawna pisarz XVI w., który do dziś stanowi podstawę historii litewskiej, a cenne ku tej pracy wskazówki podał dawno Kraszewski. Do tego samego rozbioru i wykazania źródeł, wystarczy się ograniczyć wobec owego szeregu kompandyów od Micchowity aż do Sarnickiego, jak to dla J. Bielskiego uczynił prof. Nehring.

W tym też kierunku podjęto pracę. I pojawiło się piękne studjum źródłowe p. t. „Rozbiór podługoszowej części Kroniki Bernarda Wapowskiego,” przez Stanisława Lukasa, przedwcześnie zgasłego, młodego i wiele obiecującego badacza historycznego. W umiejętnym wywodzie przedstawił ś. p. Lukasa historią powstania tej kroniki, scharakteryzował indywidualność autora, jako pisarza historycznego, a wystawiwszy w jasnym świetle właściwości jego pracy, wydał ostatecznie najniekorzystniejszy sąd o wartości kroniki Wapowskiego. Brak wiadomości o najważniejszych sprawach krajowych, najdowodniej przez Lukasa wykazana niesumienność i tendencyjność Wapowskiego, w połączeniu ze źle zrozumianym pragmatyzmem w dziejach, pozbawiają jego opowiadanie prawdy i czynią je niepewnym. Gdy chodzi o ostateczną decyzją, czém właściwie jest praca Wapowskiego i za co ją uważać należy, znajduje się autor w niemałym kłopotcie. Kroniką bowiem ani rocznikiem nie jest ona, bo brak jęj ścisłości, jakiej wymagamy po kronikarzu; nie jest pamiętnikiem, bo indywidualność pisarza nie wysunięta wcale na pierwszy plan; daleko jęj do pragmatycznej historii, nawet na zbiór wiadomości historycznych jest za skąpa, za uboga. Porównanie z dwoma współczesnymi historykami, nie wypada również na korzyść Wapowskiego. Micchowita cenniejszy pod względem historycznym podaje materyał, Decyusz dokładnością informacji, ścisłością, nawet historycznym artyzmem góruje nad humanistą, który tym

wszystkim zaletom, jak twierdzi autor, jedynie gładkie, wdzięczne, płynne pióro mógł przeciwstawić. Do niedawna jeszcze przywykliśmy darzyć Wapowskiego przydomkiem „dziejopisa znakomitego.” Dziś jednak po gruntownej rozprawie Lukasa, musimy pracę Wapowskiego uważać za bardzo lichą i tylko do niektórych ustępów w ostatniej części kroniki, podających wiadomości zkadinaąd nieznane, możemy większą i trwalszą przywiązywać wartość.

Również do niedawna nazywano i Kromera Liwuszem polskim, przytaczano go jako pierwszorzędną powagę historyczną, mimo że Kromer nie pisał nawet wcale dla siebie współczesnych, a przeto opisując wypadki dawniejsze, musiał naturalnie z dawniejszych czerpać źródła. O ile tedy na Kromerze polegać wolno, wykazał to dr. Ludwik Finkel w świeżo ogłoszonej rozprawie, zamieszczonej w XVI t. rozpraw i sprawozdań wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności p. t. „Marcin Kromer, historyk polski XVI w., rozbiór krytyczny.” Ustęp po ustępie zaznacza Finkel zależność Kromera; w pierwszej części opiera się on przede wszystkim na Długoszu, dalej czerpie hojną dłońią z Wapowskiego, a wiadomości w tych dwóch dziełach zawarte, uzupełnia rozmaitemi faktami, wyjętymi z innych pomniejszych i większych źródeł; gdzieniegdzie tylko znajdzie się jakiś szczegół nie dający się w innych źródłach odszukać. Źródłem tedy właściwem do poznania naszej dziejowej przeszłości, Kromer być nie może, za to zaś tén wybitniej występuje jego postać na tle rozwoju historyografii polskiej. Współczesnym imponował Kromer klasycznością języka, pewną nawet krytyczną bystrością, a wreszcie pociągał zakrojem polemicznym dzieła swego. Zamieszczone przy końcu sumiennój pracy p. Finkla tablice do krytycznego rozbioru Kromera, umożliwiają łatwe skonstatowanie, z jakiego źródła Kromer czerpał wiadomości o poszczególnych faktach zamieszczonych w swęj historyi.

Niezmiernie wiele nowego światła rzucił w końcu dr. Caro na postać Jana Ostroroga i na jego memoryał o naprawie Rzeczypospolitej. Wiadomo bowiem, że liczne traktaty naukowe, owiane zbawiennym prądem myśli politycznej sięgają już w. XV, a występuje z nimi młode, w zwarty zastęp sformowane stronnictwo polityczne za Kazimierza Jagiellończyka, które śmiało podejmuje walkę z wszechwładnym dotąd obozem teokratyczno-możnowładczym. I właśnie wśród żarliwych przebojów, staczanych między zwolennikami starego i nowego systemu rządowego, pojawił się wspinały memoryał Ostroroga, ów genialnie zarysowany program dążeń i usiłowań młodej Polski.

Memoryał ten wydał w całości Leon Wegner, a następnie w t. V „Starodawnych prawa polskiego pomników” prof. Bobrzyński, który też w przedmowie złożył rezultat naukowych swych badań nad Ostrorogiem i jego dziełem. Tymczasem w r. 1883 w ostatnim, Pamiętniku wydziału historyczno-filozoficznego, ogłosił dr. Caro obszerniej-

szą rozprawę, w której podniósł kilka dotąd zupełnie nieznanych faktów z życia Ostroroga, a mianowicie nader ważny dla całego następnego kierunku myśli, pobyt jego na uniwersytecie w Erfurcie.

I to jest prawdziwą zasługą d-ra Caro, iż zamiast pisać nowy komentarz do memoriału Ostrorogowego, lub żądaniami w niém zawartemi, tłumaczyć wewnętrzny stan ówczesnej Polski, wziął się do skrzętnych studyów nad życiem Ostroroga, a odkrycie, iż nasz znakomity statysta, był uczniem uniwersytetu Erfurckiego i że słuchał wykładu mistrzów niemieckich, którzy w owoczesnych sporach kościelnopolitycznych żywy brali udział, naprowadzić musiało na domysł, iż tam, gdzie Ostrorog czerpał jako dojrzały młodzieniec wiedzę, tam trzeba również szukać ojcostwa dla jego pomysłów i planów reformacyjnych ¹⁾.

I w istocie wbrew dotychczasowym widzeniom, które uczonych romanistów, chciały mieć duchowymi przewodnikami myśli Ostroroga, odkrył dr. Caro, iż monument nasz, uważany dotychczas jako utwór zupełnie samodzielny, wydobyty z genialnej głowy naszego reformatora jedynie za potrąceniem stosunków społecznych i na widok patologicznych objawów życia wewnętrznego Polski, w najistotniejszych swych częściach nie jest zupełnie oryginalną pracą, lecz opiera się na innej, która w głównych kwestyach z zuchwalszą jeszcze odwagą, a z nierównie większą samodzielnością, ten sam opozycyjny i postępowy reprezentuje kierunek. Autor miał tu na myśli, tak nazwaną „*Reformatio Sigismundi Imperatoris*,” napisaną w r. 1438, prawdopodobnie przez Fryderyka Reisera z Lanckorony, a uchodzącym w piętnastym wieku powszechnie za polityczny testament Zygmunta Łuksemburczyka.

Dzieło to społecznie cieszyło się w Niemczech wielkim bardzo rozgłosem, a w szczególności w kołach Erfurckich było czytane, rozbierane i zawzięcie bronione. Ostroróg tedy jako uczeń uniwersytetu Erfurckiego w latach 1453 — 1454, będąc naocznyim świadkiem powszechnego zachwyty wzbudzonego projektami, zawartemi w „*Reformatio*,” z gorącością umysłu młodzieńczego przejął się zasadami wygłoszonemi w tej pracy, a powróciwszy do ojczyzny, układa swój polityczny traktat, który opierając tak co do formy, jak i ogólnego rozkładu na ową „*Reformatio*” Zygmunta, przerabia oryginał niemieckiego dzieła stosownie do specyficznych warunków i potrzeb państwa polskiego.

Odkrycie to o ile nowe i ważne, o tyle w pierwszej chwili nieprzyjemne musiało wywołać wrażenie. Jaktol więc ta gwiazda świe-

¹⁾ W chwili, gdy praca p. Chylińskiego znajdowała się już w Redakcyi, pojawiło się studjum prof. A. Pawińskiego o Ostrorogu i jego dziele, prostujące i uzupełniające w sposób bardzo pożądanym traktat prof. Caro. Dzieło prof. Pawińskiego wyszło w Bibliotece Umiejętności Prawnych. Rok X, ser. III, zes. 21, 22 i 23. — Warszawa, 1883. Red.

ciła nam pożyczaném tylko światłem? więc Ostroróg to tylko tłumacz, który z zatajeniem źródła cudze pomysły przetwarza zręcznie w systemat niby oryginalnych projektów reformacyjnych? więc wielbiony memoriał Ostroroga, pełen głębiej przemyślanych planów naprawy Rzeczypospolitej, wywołanych uczuciem wielkiej ku ojczyźnie miłości, to może tylko prosty i niesumienny plagiat?

Pytania te cisną się mimowolnie, ale niemiłe uczucie wywołane w pierwszej chwili, ustępuje stanowczo zadowolonej dumie narodowej, po przejrzeniu dowodów o pokrewieństwie Ostroroga dzieła z „Reformatio” Zygmunta. Ostroróg nie bowiem na tém nie traci; owszem sam dr. Caro pięknie i z uznania godną bezstronnością, jakiej nie zawsze u tego uczonego w traktowaniu naszych dziejów znachodziliśmy dowody, wykazuje we wszystkich kierunkach wyższość naszego reformatora nad niemieckim autorem. Ostroróg nie idzie bynajmniej na ślepo z małoduszną drobiazgowością za swym przewodnikiem, lecz owszem na obcej podstawie wyrabia sobie własne poglądy reformacyjne, na tle wolnomyślnych i stosunkowo pełnych umiarkowania idei osnute. Wzór niemiecki nie krępuje niewolniczo Ostroroga, nie pozbawia go ani wolności sądu, ani samodzielności w politycznych i społecznych rozumowaniach, a jasność wykładu, ścisłość dykcji posuniętej niemal do granic lapidarnego lakonizmu, praktyczność lub przynajmniej realność pomysłów, a wreszcie mężki patryotyzm, zaostřejący wzrok jego na nadużycia i przeszkody tamujące swobodny rozwój sił i zasobów Polski, wynoszą chlubnie Ostroroga nad autora „Reformatio Sigismundi.”

Praktyczny umysł Ostroroga umiał przetworzyć poglądy obce, owiane niekiedy inglistym mistycyzmem średniowiecznym w jasny i wyrazisty sposób i z ogólnych, niedokładnie określonych dążeń reformatora niemieckiego, wysnuć praktyczne wnioski, mające na względzie potrzeby odrębne narodu polskiego. Podczas gdy autor niemiecki z lekką obojętnością kosmopolity traktuje kwestyą narodu własnego, jak i innych, to u Ostroroga, który gorące serce ma dla swęj ojczyzny, dla którego Polska jest ideałem najwyższym wszystkich pragnień i usiłowań, myśl państwa narodowego przebija się we wszystkich jasno sformułowanych artykułach jego memoriału. „Trzeba ojczyznę swęj więcej niż siebie samego kochać, dobro publiczne stawiać wyżęj nad osobiste, nad dzieci, nad rodzeństwo, nad wszystkie dobra świata” — oto patryotyczne upomnienie, skierowane na czele Ostrorogowego pisma ku senatorom polskim.

Pobył Ostroroga na studyach w uniwersytecie Erfurckim, oraz pokrewieństwo Ostrorogowego monumentu z niemieckim autorem „Reformatio Sigismundi Imperatoris,” to dwie naukowe zdobycze pewne i nie ulegające dziś już żadnej dyskusji. Natomiast jednak wielką wątpliwość budzić muszą dwa dalsze wywody d-ra Caro' a mianowicie, iż monumentum napisane było w ziemie r. 1455/56 i przełożone sejmowi koronnemu, tudzież, że Ostroróg czerpał przy układzie pisma swego

bezpośrednio z autora niemieckiego. W obszerniejszej recenzji, pomieszczonej w ostatnim zeszycie „Przeglądu polskiego” (nr. 208, str. 144 i n.) wypowiedzieliśmy w tej mierze nasze zdanie, którego już na tym miejscu powtarzać nie będziemy; nam chodziło w niniejszym przeglądzie o zaznaczenie tylko pewnych i ściśle naukowo popartych rezultatów.

Na dzieje wewnętrzne wieku XVI, tej epoki ogrzanéj najburzliwszą namiętnością, bo z religijnych sporów wywołaną, rzuca wiele nowego światła już dawniej przez Akademią wydany „Kodeks listów biskupa krakowskiego Andrzeja Zebrzydowskiego,” a nie mniej ogłoszony dotąd tom pierwszy „Korespondencji kardynała Hozyusza” z lat 1525 — 1550. Tę wspaniałą publikacją, wiążącą się z trzechsetną rocznicą zgonu, jednego z najznakomitszych ksiągów kościoła, żarliwego apostoła katolicyzmu, męża prawdziwie europejskiego rozgłosu, prowadzą z wzorową starannością i umiejętną metodą dr. Franciszek Hipler i prof. dr. Wincenty Zakrzewski. Obok najskrzętniejszego wyszukiwania archiwów warmińskich, czerpać musieli wydawcy materiały z archiwum watykańskiego, z archiwum Jezuitów w Rzymie, z cesarskiego archiwum wiedeńskiego, z biblioteki jagiellońskiej i Ossolińskich, a wreszcie z bogatych zbiorów ks. Władysława Czartoryskiego, nie wymieniając całego szeregu pomniejszych archiwów i bibliotek. Praca nad dalszym ciągiem tej prawdziwie pomnikowej publikacji nie ustaje, a dzieło, skoro się w całości ukaże, rzuci niewątpliwie wiele nowego światła na epokę reformacji, nie tylko w Polsce saméj, ale wszędzie, gdzie sięgały szerokie wpływy kardynała.

Z dalszego dziejów naszych obszaru, stanęło na szerokim planie wydobyć z pyłu archiwalnego wszystkich aktów, odnoszących się do panowania Jana III. Wielkie to wydawnictwo, wiążące się z dwóchsetnym jubileuszem pełnego chwały czynu Króla Jana, obejmować miało akta, listy, dyaryusze sejmowe, tyczące się dziejów Jana III, a cały materiał historyczny rozpadał się na dwie części: „Acta Joannis III,” i z czasów przedkrólewskich: „Acta Joannis Sobieski;” nadto zaś do publikacji téj wciągnąć miano dyplomatyczne korespondencje z Paryżem, Wiedniem, Berlinem, Wenecją i Rosyą, w osobnych dziełach, wyczerpujących ile możności zbiory tych archiwów zagranicznych do czasów Jana III. Rozległy ten plan dotąd w małej ledwo części przeprowadzono. Wyszedł bowiem dwa tomy „Archiwum francuzkiego spraw zagranicznych do dziejów Jana III” w opracowaniu d-ra Waliszewskiego, obejmujące lata 1674 — 1680; tom trzeci znajduje się pod prasą. Archiwum weneckie, wyczerpane i przepisane staraniem i ofiarnością hr. Augusta Cieszkowskiego, pójdzie do druku po ukończeniu archiwum francuzkiego. Acta zaś Jana Sobieskiego i Króla Jana III, wydaje p. Franciszek Kluczycki. Niesłychanie obfity i ważny ten materiał wychodzi porządkiem lat. Część pierwsza całego zbioru obejmowała pisma od 1629 — 1671, część druga od 1672 — 1674. Ze względu zaś na r. 1883, odstąpił szanowny wydawca od postanowio-

nego następstwa lat i wydał na pamiątkę wiedeńskiej wyprawy akta odnoszące się do r. 1683.

Tom ten w całości jeszcze nie wyszedł. Mielśmy sposobność przejrzeć wydrukowane dotąd 62 arkusze, które oświecają wypadki zasze od 22 sierpnia 1682, aż do 21 października 1683, a przeto sięgają aż po za obie potrzeby Parkańskie i zawierają niejako pełny obraz wojennej wyprawy r. 1683. Jest tu około trzysta dokumentów pierwszorzędnej ważności historycznej, wydanych z rękopisów rozmaitych krajowych i zagranicznych archiwów i zbiorów. Tu znajdzie czytelnik nieprzerwany szereg relacji tygodniowych nuncjusza papieżkiego Pallaviciniego, tu przesunie się przed jego okiem wiele listów Króla Jana do księcia Karola Lotaryńskiego i naodwrot, które szczęśliwie dały się odszukać w cesarskiem archiwum wiedeńskiem, tudzież w zbiorach Rogalińskich, tu wreszcie liczne dokumenta z archiwum ministerstwa finansów państwa w Wiedniu, wykażą co do grosza sumy łożone przez cesarstwo na zaciągi żołnierza polskiego. Ozdoby i wagi dodają téj publikacyi załączone do niej cztery facsimilia pism własnoręcznych pierwszorzędnych osób.

Na téj publikacyi akademickiej mogliśmy zamknąć nasz pierwszy przegląd literatury historycznej polskiej. Wspomnieć nam chyba jeszcze należy, że nietylko we Lwowie i w Krakowie, ale i w innych częściach kraju, ożywił się wielce ruch na polu wydawnictwa pomników dziejowych. Przypominamy, że w Warszawie prof. Pawiński podjął z niezmordowaną gorliwością ważne wydawnictwo „Źródeł dziejowych,” a w Poznaniu za inicjatywą p. pułkownika Zakrzewskiego ogłoszono cztery tomy olbrzymiego „Kodeksu dyplomatycznego wielkopolskiego.” Pominąć w końcu nie możemy, że Akademia podjęła niedawno publikacją dodatkowego tomu do „Voluminów legum,” zastosowanego formatem do wydania Józefata Ohryzki. Obejmie on konstytucye sejmu ordynaryjnego warszawskiego od 1782 — 1792. Wydawnictwa tego, prowadzonego z wielką starannością przez d-ra Zbigniewa Kniazioluckiego, pojawiło się do téj pory dwadzieścia kilka arkuszy.

W ten to sposób postępuje rozległa praca nad zebraniem i krytycznym opracowaniem materyałów źródłowych, które zdołają postawić przeszłość narodu w prawdziwym obrazie przed oczy żyjącego pokolenia. Wydobyte tą drogą prawdy historyczne, oparte na krytyce świadectw współczesnych, nie skrzywione mglistemi rojeniami sfanatyzowanych umysłów, mają wielkie i ważne znaczenie, bo stają się drogowskazami dla narodu odbytego przezeń w dziejach pochodu cywilizacyjnego. Krytyczne zbadanie przeszłości roztrąci mgłę iluzji, zwiąże myśl z sercem, rozum z uczuciem i fantazyą i splecie dłońie narodu do twardej pracy około przyszłości.

Michał Chyliński.

ŚWIATŁO I CIEMNOŚCI.

ALEGORYCZNY PLAFON HENR. SIEMIRADZKIEGO.

PRZEZ

Karola Matuszewskiego.

Przenośnia światła i ciemności. — O alegoryi w ogólności. — Główne rysy kompozycyi. — Zastosowanie do malowideł sufitowych perspektywy prostopadłej. — Kompozycya plafonu pod względem układu i inwencji. — Brak zogniskowanej akcyi. — Piękność grup i postaci. — Stanowisko sztuk pięknych w dziejach cywilizacyi. — Ześrodkowanie interesu estetycznego i moralnego w dwóch różnych punktach obrazu. — Pobieżność charakterystyki figur. — O brzydocie w poezyi i plastyce. — Personifikacya Rozpaczy, Zwątpienia i Złego. — Skutki rozbratu fantazyi ze zdrowym rozsądkiem. — Gubienie się głównej myśli w rysach drobiazgowych. — Wyłączenie Wiary i religijnych kultów z szeregu potęg Światłości. — Pominiecie Miłości i Światła Chrystyanizmu. — Niestosowność wprowadzania mitologii do utworów treści oderwanój. — Pan Siemiradzki jako artysta i myśliciel. — Zajęte przezeń w plafonie stanowisko. — Zalety techniki.

P. Henryk Siemiradzki rozstał się na chwilę z tak umiłowanym przez siebie światem starożytnój Romy, którego dzieje i sprawy dotąd niemal wyłącznie za temat do swych obrazów obierał, i w najnowszej swój kompozycyi „Światło i Ciemności,“ wystawionój na widok publiczny w głównej sali Resursy Obywatelskiej, zatoczył sobie daleko rozleglejszy, może nawet zarozległy widnokrąg. Sięgnąwszy tym razem w mglistą dziedzinę oderwanój myśli, w niój poszukał treści do obrazu: treści niewątpliwie zajmującej, doniosłej znaczeniem, ale tak w szczegółach skomplikowanój, tak mało z natury swój nadającój się do plastycznego przedstawienia, iż mojem zdaniem, stosowniejszą dla niój szatą byłoby żywe słowo poety, niż te kształty, w jakie przyoblec ją może pędzel malarza, choćby obdarzonego najbujniejszą fantazyą. Pan Siemiradzki wistocie dowiódł odwagi, którój mu powinnować możemy.

Wielkie to malowidło olejne, mające przyozdobić sufit jednej z sal pałacu hr. Zawiszy, należy z przeznaczenia swego i charakteru do zakresu malarstwa dekoracyjnego. „Światło i Ciemności“ wzięte są tu w alegorycznej przenośni, mającej dać nam niejako obraz zdobywcy człowieka za dziedzinie ducha, którym swe podźwignienie się z ciemności barbarzyństwa i cały swój postęp dzisiejszy zawdzięcza. Artysta rozwijając ten przedmiot w obrazowej formie, w fantastycznych grupach i motywach, postanowił unaocznić mianowicie walkę dwóch wrogich sobie pierwiastków moralnych: dobrego i złego, i w ogólności wszystkich tych dodatnich potęg i żywiołów z jednej strony, a ujemnych z drugiej, których ustawiczne ścieranie się z sobą wypełnia treść dziejowego życia ludzkości. Mamy tu więc przed sobą jakby obraz owęj odwiecznej walki ducha światłości i wszystkiego dobrego Ormuzda z duchem ciemności i złego Arymanem — walki, która, według staroperskiego mitu Zend-Awesty, kiedyś, w dalekiej przyszłości, skończyć się ma tryumfem pierwszego. I plafon p. Siemiradzkiego przedstawia właściwie nie walkę, lecz jęj zakończenie: zwycięstwo promiennęj potęgi dobra, prawdy i piękna, nad ciemnościami złego, fałszu i brzydoty.

Alegoryczne kompozycje mają wogóle to do siebie, że żaden opis nie jest w stanie dać należytego o nich wyobrażenia. Z samęj natury tego rodzaju utworów fantazyi wynika, że ich postać zewnętrzna, forma, nie wystarcza nigdy w zupełności na wyrażenie treści, myśli, idei; ta ostatnia nie wyłania się z nich jasno, nie przemawia bezpośrednio do wyobraźni, lecz musi być ustawicznie dopowiadana przez autora rozlicznemi, mniej lub więcej trafnyemi i zrozumiałemi symbolami, personifikacyami i t. p.; z czego znowu wytwarza się całość nieraz tak splełtana, przeładowana, zawiła, że bez umyślnego komentarza widz nie zawsze pochwyćby zdołał jęj wątek. Właśnie tak samo rzecz się ma z plafonowém malowidłem p. Siemiradzkiego.

Taki alegoryczny sposób wypowiedzania myśli w plastyce, ma jeszcze swą uzasadnioną rację bytu w skulpturze, sztuce niezmiernie ograniczonęj w środkach ekspresyi, której obręb twórczości i tak już nienazbyt obszerny, jeszczeby się bardziej zacieśnił, gdyby się jęj do pomocy emblematów, symbolów i uosobień odwoływać nie było wolno. Wszakże w utworach pędzla są one mniej požądanemi; a lubo malarz może nieraz uczynić z nich bardzo trafny i stosowny użytek: jeszcze częściej się jednak zdarza, że wychodząc z miary i równowagi, zapochopnie opuszcza on stanowisko właściwe artyście; natomiast biorąc na się rolę myśliciela, poety, filozofa, włłacza przemocą w ciasne formy, niezdolne pomieścić się w nich idee. Bezpośredniem tego następstwem bywa zaciemnienie myśli; i utwór sztuki, który przecież powinien nietylko zadowolić zmysły, lecz przez nie wyrażnie do ducha widzów przemówić, nie czyni zadość temu ostatniemu warunkowi. Z konieczności wyręczać musi artystę w takim razie drukowany komentarz; a chociaż ostatecznie widz znajduje w nim klucz do zrozumienia za-

gadki, i może, dajmy na to, podziwiać głębokość i trafność wydecyfrowanych w ten sposób myśli — dzieje się to przecież kosztem istotnej estetycznej rozkoszy, którą ciągłe odrywanie oczu i uwagi od obrazu sprowadza do minimum. Widzowi nasunąć się tu może słuszne pytanie: co mogło skłonić artystę do wyrażenia tych myśli pędzlem, skoro się tak mało do tego nadają, i kiedy w inny sposób, np. słowem, daleko jaśniej i gruntowniej wypowiedziećby się dały. Dzieło pędzla staje się tu dla niego jakby jakimś hieroglificznym napisem, ujętym, przypuścimy, w najponętniejsze dla zmysłów kształty, czarującym świetnością barw — ale tém niemniej milczącym, domagającym się dopiero odczytania. Zbytecznie dowodzić, że taka zagadkowość nie może być pożądanym przymiotem utworu sztuki.

Nie podejmuję się dokładnego opisu plafonu p. Siemiradzkiego, bo najprzód zabrałoby mi to dużo miejsca, a powtórę, nie umiałbym wywiązać się z tego zadania ku zupełnemu zadowoleniu czytelnika. Nie wdając się przecież w szczegóły kompozycji, zaznaczę jednak choć w ogólnych rysach jej układ i główne części składowe, żeby następne moje uwagi zrozumiałszymi przeto uczynić.

Na spiętrzonym ołtarzu Przeznaczenia, w najniższej części obrazu, zasiadły, zwrócone do siebie plecami, trzy Parki: Kloto, Lachein i Atropo, majestatyczne, nieubłagane, złowieszcze jak a n a n k e heleńskich tragików, z wzrokiem nieruchomym, gdzieś w niedościgłą dał utkwionym, i przędą nić losów świata. Po lewej stronie ołtarza, Psyche o skrzydłach motyli (uosobienie duszy świata), wskazując ręką na rozpostartą u swych stóp kartę z napisem „Vallis Lacrimarum,“ pyta Parki o losy narodów. Jakby wyręczając je w odpowiedzi, Rozpacz siedząca na stopniach ołtarza z przeciwnej strony, podaje jej kielich trucizny; umieszczona zaś tuż obok niej postać Zwątpienia, z uśmiechem drwiącym wskazuje na trapiące ludzkość wszystko złe, wylatujące na świat z puszek mitologicznej Pandory, której zwrócona do nas plecami postać najbliższe z kolei ku prawej stronie zajmuje miejsce. W kłębach czarnego dymu, buchających z nieszczęsnej puszek i zapełniających do pewnej wysokości prawą stronę obrazu, widać najprzód przewalającą się olbrzymią postać Złego, której autor nie szczędził odstraszących rysów, a wyżej, ponad nią, kilka również w czarnych barwach przedstawionych figur, mających uosabiać ciemnotę i szalbierstwo. Wracając do lewej strony, zaraz obok Psychy artysta umieścił upostaciowaną Nadzieję, przeciwstawioną Rozpaczy i Zwątpieniu, która wskazuje Pysze płynące w powietrzu grupy, będące uobrazowaniem postępowego pochodzenia ludzkości. Ten pochód, według widzenia rzeczy autora, rozpocząć się miał od poezji i sztuk pięknych, wydając w dalszym ciągu umiejętności i wszystkie te zdobycze cywilizacji, któremi się dziś człowiek poszczycić może. Mamy tu więc najprzód Poezyę, dalej Muzykę i Sztuki Plastyczne, zgrupowane wokół Natchnienia, uosobionego w postaci młodzieńca na skrzydłach tym pegazie, i Sławy z trąbą w ręku; dalej ku prawej stronie widzimy

Prawdę, otoczoną personifikacyami nauk i umiejętności; w wyższych jeszcze sferach kompozycji, zaznaczył artysta w lekkich, przejrzystych grupach różne gałęzie pracy, jak handel, przemysł i t. p., tudzież niektóre wynalazki; a nareszcie w najwyższych, umieścił skrzydlate postacie Sprawiedliwości i Pokoju, ukazujące się nam gdzieś w świetlanej dali, równie mglistej i nieuchwytniej, jak owa perspektywa dziejowa przyszłości, w której nam je szlachetni utopiści wskazują jako mający się kiedyś ziścić na ziemi ideał. Ponad tęp wszystkiemi, przy lewej krawędzi obrazu, w uderzającym kontraście z tylkoco wymienionemi ogniskami dobroczynnego światła, zwraca na się uwagę wielka, czarna masa, w której, po wpatrzeniu się uważnym, widz wyróżnia złowrogie potęgi wojny, zniszczenia i wszelkich klęsk ludzkości, skreślone w postaciach pełnych demonicznej siły. Strącone z wysokości, zwyciężone, pierzchają one w dzikim zamęciu przed zorzą tryumfującego światła, spadając gdzieś w otchłań nicości. Niejako za architektoniczną oprawę tej alegorii służy perystyl joński w kształcie rotundy, spiętrzonej z lewej strony o jeszcze jednę kondygnacją.

* * *

Dwa są sposoby zastosowania rysunku do malowideł plafonowych. Albo artysta trzyma się w nich tej samej metody jak w pospolitym obrazie, i wówczas postacie i przedmioty malowane na suficie lub sklepieniu, zachowując proporcje naturalne, względem patrzącego na nie z dołu przybierają położenie poziome; albo też traktuje on figury w proporcjach skróconych, z uwzględnieniem perspektywy, tak że w skutek optycznego złudzenia zdają się one unosić prostopadle ponad głowami widzów, kurczące się i malejące w miarę rosnącego oddalenia w kierunku pionowym. Ostatni sposób jest najwłaściwszy, ale wymaga bardzo wielkiego obeznania się z tajemnicami perspektywy, zastosowanej do rysunku skurczów. Tę właśnie drogę obrał pan Siemiradzki. W architektonicznej części plafonu, wymagania perspektywy prostopadłej uwzględnione zostały znakomicie, i pod względem optycznego złudzenia nie pozostawiają nic do życzenia. Prawda, że z architekturą, ujętą w prawidłowe linie i dającą się wykreślić na podstawie ogólnych zasad perspektywy liniowej, łatwiej sobie poradzić. Nierównie większe trudności nastęrczali się tam, gdzie geometryczną dokładność liniowych wykreśleń trzeba było zastąpić trafnością oka, mianowicie w rysunku postaci ludzkich. To też istotnie na podniesienie zasługuje pewność, z jaką kreślone są figury, zajmujące całą prawie lewą stronę plafonu. Pan Siemiradzki dowiódł tu, że w tym trudnym rodzaju pracy, jak w innych, mistrzem być potrafi. W rysunku prawej strony obrazu, tu i owdzie przyjęta zasada mniej konsekwentnie a raczej mniej szczęśliwie została przeprowadzoną. Najbardziej jednak uderza pod tym względem dolna część kompozycji, gdzie obok trzech Park, narysowanych, jak należało, w perspektywicznym skurczu, widzimy Psyche nakreśloną w sposób zwykły, w skutek czego po-

stać jój, pozornie zbyt wydłużona, nie bardzo licuje ze swém sąsiedztwem.

W grupach wznoszących się coraz wyżej i wyżej panuje linia fallista. Ponieważ intencją autora było przedstawić te grupy kolejno po sobie, jakby w jakimś fantastycznym, procesyonalnym pochodzie, więc układ ten należy uważać za zupełnie naturalny; tém bardziej, że w interesie piękna i wdzięku artysta umiejętnie go wyzyskał. Przedstawia on atoli tę niedogodność, że nie pozwalał na zogniskowanie idei w jednym głównym, dominującym punkcie; że związanie wszystkich epizodów i postaci, zapomocą dobrze obmyślanej akcji, w jedną organiczną całość, uczynił wręcz niemożliwym. Uważam to za zasadniczy błąd inwencji, który w rozwinięciu kompozycyi w żaden sposób wynagrodzić się już nie dał. Straciła ona na tém podwójnie: raz, że braknie jój jedności, powtóre, że pozbawioną będąc akcji w właściwem słowa znaczeniu, nie dość podsyca zajęcie się widzów. Właściwie mamy tu przed sobą zbiór grup i epizodów odrębnych, tworzących poniekąd oddzielne całości, zupełnie luźne lub sztucznie tylko i powierzchownie z sobą związane. Prawda, że grupy te artysta nakreślił z wdziękiem, że niektóre z nich są prawdziwie nieporównanej piękności, jak np. płynąca w powietrzu grupa z trzech figur złożona, przedstawiająca Muzykę, albo pełna wykwintności grupa Malarstwa, które wyobraża postać niewieścia z dwojgiem pacholąt. Zwłaszcza tę ostatnią artysta opromienił porywającym wdziękiem, na który złożyły się w równej mierze: pomysł, wykwintność rysunku i czar kolorytu. Uderzają też swoją pięknoscia niektóre z pojedynczych postaci, że tu z nich jedną tylko wymienię: niewieście uosobień architektury, z cyrkiem w ręku, które pod względem pełnego prawdy i naturalnej gracji ruchu, jakoteż piękności konturów, jest postacią prawdziwie Rafałowską. Naturalnie, że w tak wielkim tłumie figur, nie wszystkie zarównó pięknoscia się zalecają; powiedziawszy prawdę, niektóre postacie dość nawet niezadawalająco z pod pędzla artysty wyszły. Poczynając od grupy nauk i idąc ku górze, wykonanie obrazu staje się coraz lżejsze, przejrzystsze—jak tego donagało się zresztą coraz bardziej zwiększające się oddalenie planów, — ale jednocześnie i figury i grupy stają się coraz bardziej spletanemi, zaniebanemi w liniach i plastyce, a témsamém coraz mniej wyraźnemi i zrozumiałemi. Widz patrzy na te masy jasnych a mglistych tonów, z trudnością wyróżniając pośród nich personifikacje, które drukowany komentarz wymienia; zaś bez tego ostatniego, musiałby wręcz zwątpić o możności zorientowania się w tej części obrazu.

Nadmieniłem już, że to lekkie, pobieżne traktowanie, wynikło z potrzeby uwydatnienia znacznej odległości planów górnej części obrazu, względnie do grup zajmujących niższe jego sfery. Nicby też na tém kompozycya nie straciła, gdyby owc ostatnie, najodleglejsze plany były i w znaczeniu swém mniej doniosłemi. Lecz w plafonie p. Siemiradzkiego rzecz się ma przeciwnie: tam mieszczą się bowiem naj-

wyższe potęgi cywilizacyjnego światła, tam właśnie artysta skupił ostatnie zdobycze tryumfującego ducha ludzkiego, tam spotykamy się z upostaciowaniami różnych gałęzi pracy człowieka i jej owoców, nad którymi rozpościerają opickuńcze swe skrzydła promienne genjusze Pokoju i Sprawiedliwości. Wypada więc, że ta część kompozycyi, streszczająca w sobie niejako najgłówniejszy jej moment, najmniej się uwadze widza zaleca.

Ponieważ uwaga widzów zwracać się zwykła przeważnie na środkowe części obrazu, na które wzrok ich mimowolnie najprzód pada, tu zatem z natury rzeczy powinienby się mieścić główny epizod kompozycyi, tu streszczać się cały jej moralny i estetyczny interes. Tymczasem, jak wiadomo nam już, środek zajmują grupy ilustrujące sztuki piękne. Że zaś artysta opracował je z szczególniejszą predylekcyą, tak że górują one istotnie swą estetyczną wartością nad innymi częściami obrazu, i ściągnąwszy raz na się uwagę widza, już się jej ustawicznie narzucają: zdawaćby się więc mogło, że artysta epizodem tym usiłuje wmówić w widza, że sztuki piękne były główną dźwignią i stanowią najważniejszy moment w dziejach zdobyczy ducha ludzkiego, których alegoryczne uplastycznienie mamy w obrazie; co znowu nie mogło być jego zamiarem. Wątpię nawet, czy znalazłby się tak zapalony miłośnik sztuk, któryby, wbrew oczywistości, odważył się przyznać im tak górujące w cywilizacyjnym rozwoju ludzkości stanowisko. Bądź co bądź, w tej części kompozycyi leży jej estetyczny środek ciężkości, gdy jej moralnego środka ciężkości trzeba szukać w wspomnianej poprzednio górnej części plafonu. Powstaje ztąd wcale nie pożądane rozdwojenie, które w żadnym razie na korzyść dzieła nie wychodzi.

W ogólności, im bardziej oddalamy się od górnej części plafonu, tém i grupy, jako nam bliższe, traktowane są wyraźniej, plastyczniej: przestają się zacierać w mglistych kouturach i wyobraźnia widza nie potrzebuje już ich uzupełniać na własny rachunek; artysta bowiem sam się tu jasno tłumaczy w szczegółach i wyraźnie dopowiada swych estetycznych myśli. Ale téż za to i usterki wyraźniej tu na jaw wychodzą. Nie zatrzymując się już nad grupami nauk i umiejętności, nie dorównywającemi pod żadnym względem grupom sztuk pięknych, zwróć jednak uwagę, że i w najudatniejszych częściach malowidła spotkać się można z figurami tak niefortunnymi, jak np. upostaciowanie poezyi komicznej.

Nawet w najniższej części obrazu, stanowiącej niejako punkt wyjścia całej kompozycyi i zawierającej najbliższe i najszczegółowiej wykończone plany, spotykamy się z figurami pozostawiającemi niejedno do życzenia. Tak np. Psyche, należąca niewątpliwie do najwdzięczniejszych postaci mitologicznych, nie ściągnęła na się bynajmniej troskliwości artysty, na którą zewszecmiar zasługiwała. Figura jej, dosyć pospolita, nie zaleca się nawet plastyczną pięknnością oblicza, nie mówiąc już nic o jego ekspresyi. Albo weźmy upostaciowanie Nadziei, figury również nie bardzo udatnej: jej zielona draperya i kotwica,

w którą ją artysta zaopatrzył, to jedyne wyróżniające jęj charakter cechy, oczywiście i niewymyślne i powierzchowne. O głębszej charakterystyce, któraby tkwiła w ekspresji całej figury, nie może być nawet mowy. A chociaż te i tym podobne szczegóły wymykają się z pod uwagi przeciętnego widza, poprzestającego chętnie na czysto zmysłową rozkosz, której źródłem jest czarodziejstwo kolorytu, i nie pytającego o głębsze rysy tęg lub owęj postaci z pośród tak licznego ich tłumu,—krytyka nie może pominąć ich milczeniem.

Pozwolę sobie jeszcze paru uwag co do personifikacji Rozpaczy i Zwątpienia. Kilkakrotnie podnosiłem już różnemi czasy tę okoliczność, że niektórzy artyści lubią przekraczać granice, jakie dobry smak i elementarne zasady estetyki różnym sztukom zakreślają. I pan Siemiradzki, kreśląc postać Rozpaczy, niedość o tęg pamiętał, że niejedno, co ujdzie dajmynato w poemacie, nie da się pędzlem w obrazie powtórzyć bez narażenia się na poważny zarzut braku estetycznego taktu. W pierwszym przypadku, wywołane z nicości słowem poety zjawisko, choćby najwstrętniejsze samo przez się, przesuwa się tylko przelotnie przed oczyma duszy czytelnika czy słuchacza, i sprawiwszy pożądany efekt, wraz z przebrzmiałem słowem znowu w nicość zapada, pozostawiając po sobie tylko mniej lub więcej mętne wspomnienie; gdy przeciwnie, utrwalone materyalnie pędzlem lub dłutem toż samo zjawisko, przedstawiając się naszym oczom w całej swęj ohydnej rzeczywistości, musi sprawić wrażenie odrażające i obudzić uczucia wręcz przeciwne tym, jakich się na widok piękna doznawać zwykło. Nie przeczę, że w widokach charakterystyki, lub dla estetycznego kontrastu, i brzydota stosownie spożytkowaną być może, zwłaszcza tęg w malarstwie; wszakże do pewnej tylko granicy, poza którą rozpoczyna się panowanie karykatur i straszylek.

Otóż zdaje mi się, że postać Rozpaczy granicę tęg już przekracza. Artysta wyobraził ją jako ohydną wiedźnę, o czarném, szpetném ciele, obwisłych piersiach i z wstrętnie wykrzywioną twarzą, tak że wobec tych nieestetycznych rysów, okalające jęj głowę źmije wydają się już wcale niewinnym dodatkiem. Oczy odwracają się ze wstrętem od tęg brzydoty, tęg niezrozumialszej, że ani psychologiczna charakterystyka tęg personifikacji, ani żaden wzgląd na potrzebę estetycznego kontrastu, bynajmniej jęj nie usprawiedliwiają. Kontrastów dosyć już jest w owych wielkich czarnych masach, gdzie artysta pomieścił różne potwory i złowieszcze potęgi ciemności; co zaś do charakterystyki, to lubo rozpacz nie należy do jasnych, dodatnich stron ułomu w ogólności natury ludzkiej i w chrześciańskiej etyce niema dla niej miejsca, bywa ona jednak uwarunkowaną najrozmaitszemi pobudkami, nie zawsze zasługującami na wzgardę i potępienie. Rozpacz, to spotęgowana do szału boleść, płynąca nieraz z najczystszeo źródła. Pod druzgocącemi jęj ciosami pęka niejedno męzne serce, łamie się niejedno szlachetne życie; jęj widok jest wysoce zasmucający i budzi litość; lecz, biorąc rzecz ze stanowiska chrześciańskiego miłosierdzia, wstrę-

tem przejmować nie powinien. Artysta mógł uosobionej Rozpaczy nadać wyraz ponuręj grozy, ale czynić z niej straszdyka, zdaje mi się, nie miał racyi. Jest to charakterystyka i nie głęboka, i nie estetyczna.

Podobnie w ujemny sposób, a niewiele głębiej pojęta jest postać Zwątpienia, której artysta rzucił zwiędłe kwiaty pod stopy. Nawet Pandora, która tak wdzięcznym zdawała się być tematem dla pędzla p. Siemiradzkiego, celującego, jak wiadomo, w malowaniu piękności nagiego ciała, nie należy do szczęśliwszych jego w tym rodzaju kreacyi; a w żadnym razie swemi przekwitkami, banalnymi kształtami nie uprzytomnia owęj mitologicznej postaci, którą bogowie, jak głosi baśń mityczna, wyposażyli wszystkimi darami, a więc i cielesną pięknoscią.

Olbrzymie uosobienie złego zapewne nie jest tematem zbyt estetycznym, i z tego powodu możnaby do niego zastosować w części to, com wyżej, porównyując warunki tworzenia w poezyi i plastyce, powiedział; atoli w dosadnej swęj charakterystyce nie pozostaje ono bynajmniej w sprzeczności z ogólną ideą złego, na którego odmalowanie zaiste nigdy dość czarnych barw dobrać nie można. Wyobrażony przez artystę ten potwór ciemności, tuli do swego łona dwóch rozżartych, walczących z sobą o rozszarpanego barana wilków, i potrząsa przytęm prawicą, dzierżąc w niej topór katowski i laskę z przyczepioną do niej wstęgą, na której czytamy napis: „Humanitas.” Przyznam się, że trochę mi trudno wpaść tu na ślad myśli autora. Chciałżeby przez to dać do zrozumienia, że ciemnota, chciwość, dzikość, okrucieństwo i wszelkie zło w ogóle, są jedynymi cechami ludzkości? Wątpię. Natura ludzka posiada bezwątpienia swe ciemne, przerażające strony; ale jęj przecie i na jasnej stronie nie zbywa. Czyżby artysta, hołdując modnej dziś teoryi, sądził, że suma wszystkich ludzkich dążeń i zabiegów streszcza się w „walce o byt?” Dowodziłoby to, że spogląda na świat i jego sprawy przez zabarwione t. z. pozytywizmem okulary. Na pogląd taki trudno się mi zgodzić; chociaż przyznać muszę, że jeśli tę właśnie walkę chciał wyobrazić w owych dwóch gryzących się wilkach, to należy mu się zasługa nader trafnego a dosadnego jęj usymbolizowania.

Zaznaczyłem już wyżej, że kompozycya nie posiada ogólnęj, w jednym punkcie zogniskowanej akcyi; nie znaczy to przecież, żeby pojedynczym figurom brakło ruchu i ożywienia: owszem, mają go bardzo wiele; tylko że ten ruch nie zawsze bywa dostatecznie wymotywowanym, albo właściwiej, w przyjętym przez artystę układzie wymotywowanym być nie mógł, wskutek czego i widzowi często trudno zdać sobie z niego sprawę. Figury w ogólności pozują bardzo pięknie; ale w tém właśnie sęk, że tylko pozują, jak owa prześliczna postać Architektury, której estetyczną wartość już wyżej podniosłem. W wyborze symbolów i emblematów artysta jest bardzo łatwym: nie troszczy się o ich głębokość i zrozumiałość, nie zawsze nawet kępuje się ustalonym już oddawna ich znaczeniem. Tak np. głowę tylko co wspomnianęj Architektury przystroił w koronę z wież murowanych, gdy przecie

wiadomo, że dotychczas sztuki plastyczne jedną tylko Cybełę w takiej wyobrażają koronie. Oczywiście, taka dowolność nie przyczynia się bynajmniej do jasności myśli. Jednemu z geniuszów w grupie wynalazków autor daje do rąk armatę i każe nią wywijać nad głową niby lekkim piórem. Jest w tém jak raz tyle konsekwencji, co w owym kawale kamiennego fryzu, bujającym w powietrzu po to jedynie, by para pacholąt, należących do grupy wyobrażającej ornamentykę, miała co przystrajać w kwiaty i czaszki wołów ofiarnych. Fantazyja artysty bierze tu już rozbrat ze zdrowym rozsądkiem, zaczyna majaczyć jak we śnie i wyradzając się w kapryśną fantastykę, traci swe estetyczne znaczenie.

W plastycznym rozwinięciu przewodniej idei artysty, w pojedynczych mianowicie epizodach kompozycyi, uderza szczególniejsza drobizgowość i, jakby się wyrazić można gdyby o utwór pióra chodziło — rozwlekłość. Nie zyskuje na tém bynajmniej dokładność interpretacyi, owszem, artysta zamiast zaakcentować rzecz głównemi a stanowczemi, przemawiającemi do wyobraźni rysami, zużywa swój artystyczny zapas na uplastycznienie okoliczności zupełnie podrzędne znaczenia. Mnoży się przez to bez miary i potrzeby liczba personifikacyi, rodzi się trudność należytego ich zgrupowania, a co najważniejsze, trudność stosownego zcharakteryzowania każdej i wyróżnienia od innych. Tak np. autor nie poprzestając na ogólnem uosobieniu poezyi, wylicza nam szczegółowo poezyę tragiczną, liryczną i komiczną — podział i nieściśły, bo tragedia i komedia należą wspólnie do zakresu poezyi dramatycznej — i nie zupełny, bo pomija poezyę epiczną, tudzież wiele innych drobniejszych jój rodzajów. W grupie Muzyki, nie ma już wyszczególnionych — i bardzo słusznie — różnych jój odmian, ale za to są personifikacye dwóch głównych, zasadniczych jój żywiołów: melodyi i harmonii. Na wykład ten zgoda — lubo i on wydaje mi się zbyt technicznym, a pomnaża zawikłość alegoryi. O Niewieściem upostaciowaniu Malarstwa, mającém przy sobie dwoje pacholąt, przedstawiających koloryt i rysunek, to samo powiedzieć można. Za to zgoła już zbyt techniczną mi się widzi grupa wyobrażająca Ornamentykę jako osobną, współrzedną innym sztukę. Gdyby bowiem za tym przykładem przyszło wyliczać wszystkie sztuki, lista ich okazałaby się bardzo długą, i wielkie płótno p. Siemiradzkiego nie wystarczyłoby na pomieszczenie wszystkich ich personifikacyi. Ta sama uwaga da się uogólnić do Nauk i Wynalazków figurujących w obrazie, których jest za wiele — a niema wszystkich.

Autor, według swego na dzieje cywilizacyi zapatrywania, rozpoczyna ich pochod sztukami pięknymi; zapominać się jednak zdaje, że w tym swoim charakterze sztuki były tylko służebnicami religijnych kultów i tym ostatnim żadnej zgoła w postępowym rozwoju ducha ludzkiego nie przyznaje roli. Zaznacza skrupulatnie różne tego rozwoju kierunki i stadya, a pomija najpotężniejszą może jego dźwignię — wiarę; tę wiarę pełną tajemnic, którą Bóg tchnął w serce czło-

wieka, aby w niej czerpał ulgę i otuchę, i na której skrzydłach niedołączna jego, przykuta do ziemi myśl, wzbija się w wyższe, pozaświatowe sfery. Z wiary swój wysnuł to człowiek ideę Bóstwa i nieśmiertelności duszy, któremi zaraz pierwsze swe kroki w dziejowym pochodzie zaznaczył, a których mu ani sztuki, ani nauki, w owych odległych wiekach swego niemowlęstwa dać nie mogły. Ta wiara krystalizowała się w różne religijne kultury, będące jej potrzebą, wynikiem i zewnętrznym wyrazem. Owe kultury mogą nie wytrzymywać krytyki ze stanowiska dzisiejszych pojęć, mogą się nam wydawać dziecinnymi lub potwornymi, ale to jeszcze bynajmniej przeciwko nim nie świadczy; w swoim czasie stały one na wysokości swego zadania, mając sobie powierzoną straż moralnych interesów człowieka, i jako takie, mieścić się powinny w rządzie owych potęg światłości, pozostających w wiecznej wojnie ze złem i ciemnotą.

Inaczej wszakże trzyma o tém autor Alegoryi, jeśli dobrze pojąłem myśl, którą chciał wyrazić w grupie Szalbierstwa i Ciemnoty. Postać Szalbierstwa, więżąca na łańcuchu uosobienie Ciemnoty i wraz z niem pomieszczona w czarnych kłębach dymu buchających z puszeki Pandory, trzyma coś nakształt wyobrażenia jakiegoś pogańskiego bożyszcza. Jeśli się więc w domyśle moim nie mylę—małowidło bowiem w tej części obrazu nie tłumaczy się dość wyraźnie — to pan Siemiradzki identyfikuje starożytne kultury religijne z szalbierstwem. Oto dla czego w tym procesjonalnym pochodzie po stronie światła nie znalazło się dla nich miejsca, którym zresztą artysta tak hojnie szafował. Zdziwić też musi i to, że w Alegoryi, zawierającej w sobie Szalbierstwo i tyle innych rzeczy, nie znajdujemy najbliższej wzmianki o Miłości, jakby jej dobroczynny wpływ żadnego nie miał udziału w moralném odrodzeniu się człowieka. Dalej, w rządzie cywilizacyjnych czynników, widzimy figurujące: chemią, archeologią, botanikę, elektryczność, wynalazki balonów, machin i armat i wiele innych jeszcze, których tu za autorem Alegoryi nie myślę wszystkich wylizywać; a daremnie szukamy uobrazowania najważniejszego momentu w moralném odrodzeniu się ludzkości, jakim jest światło Chrystyanizmu, świecące tak jasną zorzą w dziejach ducha ludzkiego i od którego nowy ich zwrot się poczyna. Zrozumieć to tém trudniej, że właśnie w kompozycji przedstawiającej walkę światła i ciemności, moment ten sam się niejako nawijał, jako jeden z najwdzięczniejszych do wyzyskania tematów. Nie myślę bynajmniej osłabiać wiary autora w zbawienną wartość estetycznych i intelektualnych zdobyczy człowieka, zarzut mu jednak czynię, że nie uwzględnił jego rozwoju w kierunku etycznym, że przemilczał o przyświecającym mu z wysokości ideale dobra, niedającym się absolutnie ziścić na ziemi, ale nie przestającym mimo to być głównym celem jego dążeń moralnych; témbardziej że zdobyciom ducha na tej drodze, ludzkość może bardziej, niż czemu innému, swe podźwignięcie się z barbarzyństwa zawdzięcza.

Nie należy też do najszcześliwszych pomysłów artysty wprowa-

dzenie na scenę Park, bo jako będące przedstawieniem ślepego przeznaczenia, rozmijają się z chrześcijańskim na świat poglądem. Podobną niewłaściwością grzeszy wprowadzenie do kompozycji Pandory: czyż nas już nie stać na inną, racjonalniejszą, głębszą genezę nękających ludzkość utrapień! Jeżeli zaś p. Siemiradzkiemu chodziło koniecznie o utarte upostaciowanie źródła wszystkiego złego na ziemi, toć miał przecie nierównie nam bliższą, biblijną matkę rodu ludzkiego Ewę, o której legenda streszcza w sobie to samo, co mit o Pandorze, z tą przecie dodatnią różnicą, że zamiast zagadkowej puszkę mitycznej, mielibyśmy zrozumialszy bądź co bądź i zgodny z nauką Kościoła wywód wszelkiego zła od grzechu pierworodnego.

Jużto wogóle, wprowadzanie do utworów treści oderwaną postać mitologiczną, nie wydaje mi się ani szczęśliwem, ani właściwem. Wprawdzie pozwalali sobie nieraz tego wybryku fantazyi wielcy nawet mistrzowie, jak np. Michał-Anioł, który w swym fresku przedstawiającym „Sąd ostateczny“ umieściłby u dołu Styx i Charona z łodzią. Ale było to w w. XVI, w epoce odrodzenia klasycznej sztuki i literatury, i ich przemożnego wpływ na umysły. Wprawdzie i utwory poezyi do niedawna jeszcze roiły się mitologicznemi bóstwami, tak że bez nich nie rozumiano bodaj poematu. Wszakże zdrowy rozsądek wypłoszył ostatecznie te dziwadła, odkąd poezya, wchłonawszy w siebie żywoły miejscowe, ludowe, stanęła na właściwszym, zdrowszym, bo narodowym gruncie. Zdaje mi się że i w utworach pędzła należałoby dziś być powściągliwszym w posługiwaniu się mitologią, zwłaszcza w przedmiotach nie mających z nią nic wspólnego.

P. Siemiradzki jest przedewszystkiem artystą; w ostatniej jednak kompozycji dał się nam poznać również jako myśliciel—przeważnie nawet w tym ostatnim charakterze. Idea góruje w jego dziele nad formą i pomieścić się w niej nie może. Widz idąc za wątkiem myśli autora, zlekka ledwie zaznaczonych, zmuszonym jest uzupełniać je w duchu. Atoli jeśli jako artysta, p. Siemiradzki potrafił wzbąć się na wyżyny nie dla każdego z adeptów sztuki dostępne, nie można powiedzieć o nim tego jako o myślicielu. Dowodów na to, zdaje mi się, dosyć przytoczyłem w niniejszym rozbiornie jego utworu. Dodam tylko jeszcze, że w poglądzie swoim na walkę światła z ciemnościami na chrześcijańskim stanowisku stanąć nie chciał, a na wyższe, filozoficzne stanowisko, mimo usiłowań, wzbąć się nie zdołał.

Co do techniki, ta mimo niektórych znanych już nam usterek, niełatwych wogóle do uniknięcia w dziełach szerszego pokroju, jest znakomita. Rysunek, mimo utrudnień perspektywicznych, jest przeważnie poprawny, szlachetny, i daleki od wszelkiej maniery. Byłoby to zwielkim estetycznym pożytkiem dla plafonu, gdyby artysta wyskął był jeszcze światłocien w widokach ekspresyi. W obrazie przedstawiającym światło i ciemności nastęrczało się po temu wyjątkowo wdzięczne pole. Szkoda że ten środek wyrazowej siły, został przez artystę zaniechany. „Rozmieszczenie dwóch oddzielnych mas ciem-

nych, zamiast skupienia ich ujemnych efektów w jednym punkcie, sprowadza niepotrzebne rozdwojenie i osłabia przez to ogólną ekspresję.

Pan Siemiradzki dał się już niejednokrotnie poznać jako porywający ilustrator; wszakże kompozytorem w najdonioślejszym znaczeniu wyrazu nie jest. Natomiast urokiem swego kolorytu, jego jasnością, przejrzystością i harmonijnością potrafi olśnić i oczarować. Ostatni utwór jego pędzla jest nowym tego dowodem. Ze względu jednak że jest to malowidło plafonowe, dekoracyjne, pożądaną byłaby większa energia kolorytu, któraby i plastykę wogóle i wyrazową siłę kompozycji spotęgowała. Ale i tak jak jest, alegoryczny plafon p. Siemiradzkiego zasługuje na to, aby go do najlepszych utworów naszego malarstwa zaliczyć. Właśnie dla tego, że mu to stanowisko przyznaję, poświęciłem mu to obszernie i, o ile mnie stać było, wyczerpujące studjum.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Doroczne posiedzenie pięciu Akademii: mowa archeologa Heuzey o związku nauk ścisłych z literaturą i sztuką.—Ogłoszenie nagród konkursowych w Akademii francuskiej.—Poemat na cześć Lamartina, przez Jana Aicard.—„Historia Francji za ministerium kardynała Mazariniego,” p. Chéruel.—„Gaspard Coligny,” p. hr. Delaborde.—„Katarzyna z Aragonu i początki schizmy w Anglii,” p. Alberta de Boys.—„Polityka francuska w r. 1866,” p. Rothan.—„Studia krytyczne nad Historią literatury francuskiej” i „Romans naturalistyczny,” p. Brunnetière.—„Historia wróżbiarstwa w starożytności,” p. Bouche Leclercq.—„Luksemburg,” p. Ludwika Favre.—„Historia literatury i stanowisko pisarzy w Anglii,” p. Aleksandra Beljame.—„Krytyczne wydanie Bossueta,” p. Gazier.—„Bibliografia dzieł Woltera,” przez rumuńskiego filologa Bengesco.—Przekład poematu Petrarki: „Afryka,” p. Develey.—„Historia edukacji kobiet,” przez profesora Rousselot.—„Kobieta francuska,” p. pannę Klarysę Bader.—„Ignis,” powieść hr. de Chaumy.—„Marco,” p. Joannę Meret.—„Marivaux,” studyum literackie, przez prof. Laroumet.—„Dom, gdzie umarł Molière,” p. Augusta Vitu.—„Zarys estetyki Kartezjusza,” p. Emila Krantz.—„Cenzura za pierwszego cesarstwa,” przez prof. Welshinger.—„Zarys życia i prac Lucjana,” p. M. Croizet.—„Pani Sevigné w Bretanii,” p. Leona de la Brière.—„Mały Francuz,” p. Henryka Bigot.—„Rekreacje naukowe,” p. Tissaudiera.—„Historia małego człowieka,” p. panią Robert Halt.—„Wielkie serca,” zbiór poezji Stefana Liegeard.—„Wielkie serca,” szkice prozą, Henryka Lavalley.—Wspomnienie Monthion'a, przez akademika Rouse.—Inauguracja pomnika Aleksandra Dumasa, dłuta Gustawa Doré.—Mowy: Edmunda About, Juliusza Claretie i innych.—Poemacik Augusta Dorchani, wypowiedziany w Odeonie.—Dramat: „Severo Torelli,” p. Franciszka Coppée.—Buletyn Towarzystwa uczniów batinioleskich: „Dania i Polska za ministerstwa hr. Bernstorfa.”—Przekłady poetów polskich na język czeski.—Dr. Karol Merwart: prace jego filologiczne nad pomnikami literatury romańskiej.—Artystyczne prace p. Andriollego.

Jak zwykle, przy końcu roku, uroczystości akademickie następowały w ślad po sobie: wszystkie wydziały Instytutu francuskiego odby-

wały kolejno posiedzenia, zdając sprawę z całorocznych czynności, poczem nastąpiło zgromadzenie pięciu połączonych Akademii. Ramy pisma nie pozwalają rozbierać szczegółowo podejmowanych przedmiotów. Obowiązkiem naszym zwrócić przedewszystkiém uwagę na konkursowe zebranie Akademii francuzkiej, która przez usta sekretarza swego, p. Doucet, zdawała sprawę z uwieńczonych prac literackich. Dzieła zaszczycone nagrodą lub chlubnym uznaniem, najlepiej wskazują wszechstronny rozwój umysłowy we Francyi, niepodobna też pominąć ich w kronice naszej.

Zanim przystąpimy do ogłoszenia konkursowych laureatów, zatrzymajmy się chwilę na przemówieniu p. Heuzezy, którym ten uczony archeolog zagaił posiedzenie pięciu Akademii, składających Instytut francuzki. Mówca dowodzi świetnym słowem, że wszystkie gałęzie wiedzy i wszystkie działy sztuki łączą się najściślej z sobą, są to bowiem iskry rozprysnięte z jednego ogniska, z głębi ducha ludzkiego.

„Każda z Akademii naszych, osobno wzięta, rzekł p. Heuzezy, przedstawia już wielką rozmaitość pod względem prac i badań naukowych. Weźmy np. nauki ścisłe. Co może być wspólnego między przyrodnikiem, który zaostrza wzrok i słuch, aby wnikać coraz to głębiej w tajemnice życia, a matematykiem, dla którego wzrok jest prawie organem niepotrzebnym, tak wywody jego są abstrakcyjne, wychodzące niemal poza obręb przyrody? W innym dziale, filolog porównaniem języków ludzkich otworzył sobie pole niewyczerpanych badań, a tuż przy nim archeolog, zwrócony ku wiekom ubiegłym, usiłuje z martwych pomników i rumowisk wydobyć zagadkę przeszłości. W dziale sztuk pięknych, rzeźbiarz z gliny i marmuru wydobywa estetyczne kształty i ożywia je technieniem własnym, muzyk tymczasem w drganiu warstw powietrznych znajduje materyał, w który wplata dźwięczne swe melode: każdy z nich w inne pogląda światy! Jakaż-to znów przepaść między moralnością a polityką? a przecież jedna z Akademii naszych łączy w sobie te dwa tytuły: filozof i mąż stanu zasiadają w niej obok siebie!”

Instytut w całości swojej tworzy śmiałą syntezę. Uczony akademik daje poznać tę łączność duchową w objawach z pozoru najsprzeczniejszych.

„W każdym dziale inteligencji, godnym tego imienia, mówi on, któż powie, gdzie się zaczyna sztuka, a gdzie kończy nauka? Azaliż dobra komedia, lub piękna powieść obejmują mniejszą sumę ścisłych obserwacji niż psychologiczna rozprawa? Cała różnica leży w tém, że przedmiot według innej budowany metody. Malarz oddaje też na płótnie mnóstwo ścisłych faktów, dostępnych dla tego, kto je odczytać umie. Z drugiej znów strony, wywody matematyczne, wykazujące liczbami wielką prawdę naukową, stanowią takąż budowę, jak pałac lub świątynia, z tą różnicą, że materyały użyte do niej są prostą abstrakcją.”

Ta zgoda między różnemi gałęziami wiedzy ludzkiej, jaką dziś

utrzymuje Instytut, nie istniała za dawnych czasów. P. Heuzey przypomina zacięte spory szkolne w średnich wiekach, kiedy zwolennicy nauk ścisłych walczyli o pierwszeństwo przeciw zwolennikom sztuk pięknych, kiedy rozdzieleni na dwa zastępy, zalali krwią pola Montlery pomiędzy Orleanem a Paryżem. „Na takie szermierki, dodaje mówca, nie mamy dzisiaj czasu! Co do energii, tójby może nie brakło!” Na dowód przytacza z własnych wspomnień rys bardzo charakterystyczny.

„W moich wycieczkach archeologicznych przed laty dwudziestu, mówi, zdarzyło się, że powódź zatrzymała mnie we wsi tureckiej wraz z towarzyszem podróży. Od kilku dni deszcz lał bezustanku. Oba w niskiej izdebce siedzieliśmy na ziemi skuleni przed kominem. Wszczęła się między nami gorąca dysputa o krytykę literacką i historyczną. Głosy nasze brzmiały coraz donośniej. Wtém ktoś zlekka zapukał do drzwi: był to gospodarz domu. Stał w progu nieśmiały, zakłopotany; obyczajem wschodnim, trzymał rękę na sercu.

„Przyjaciele moi, co wam jest? zapytał słodko, daleko od kraju godziź wam się tak sprzeczać? Ależ to wielka niedorzeczność!” Tak mówiąc, popychał nas lekko jednego ku drugiemu. Trudnoż było wytłomaczyć rumelskiemu wieśniakowi przedmiot i przyczynę zaciętej sprzeczki naszej. Postanowiliśmy pokonać go w najłatwiejszy sposób. Uścisnęliśmy się serdecznie, z wielkiem ukontentowaniem poczciwego prostaka, który ani mógł przypuścić, że pogodził literaturę z historią.”

Przystąpmy teraz do dzieł uwieńczonych przez sąd akademicki w ciągu ubiegłego roku: wyliczył je sekretarz Akademii na uroczystém zebraniu w ostatnich dniach listopada.

Jeszcze w r. 1879 Akademia ogłosiła jako przedmiot na dwuletni konkurs poetyczny: uczczenie Lamartina. Otóż więc, w naznaczonym terminie stu kilkudziesięciu poetów nadesłało swoje utwory; ale czyto zabrakło im w piersi technienia, aby wznieść się w te wyżyny, w których szybował wielki idealista, czy też ramy zakreślone przez Akademię, nie przechodzące za obręb dwustu wierszy, zanadto tamowały twórczy ich polot, skończyło się na tém, że sąd konkursowy w r. 1881 odrzucił wszystkie nadesłane elukubracye, a konkurs odłożony został na następne dwa lata.

Rok ten okazał się pomyślniejszym. Na niwie poezji wybujało 176 kłósów: niektóre z nich wprawdzie jałowe, w dwudziestu jednak Akademia dopatrzyła mniejwięcej czyste ziarno. Z pomiędzy tych, poemat Jana Aicard otrzymał premium 4000 franków; między dwa inne utwory pp. Bullot i Barracaud, sąd rozdzielił takąż sumę.

Aicard o kilkadziesiąt wierszy przekroczył oznaczone ramy; uwzględniła to Akademia, dzięki wielkiej harmonii rytmu i piękności języka. Mimo szczupłego zakresu, poeta umiał uwydatnić każdą ważniejszą chwilę w życiu uczzonego przez siebie wieszcz. Ukazuje go najprzód dwudziestoletnim młodzianem, jak anioł pięknym, jak anioł

zapatrzonym w niebo, jak anioł rozsiewającym po ziemi pieśń, zasłyszana w górnych sferach. Dźwięk téj cudownej liry głuszy pobrzęki rozstrojonych już cyter starożytnych, otwiera dla poezyi nowy świat chrześcijańskich ideałów.

Widzimy potem Lamartina, jak przebiega skwarnie pustynie Wschodu, jak pod cieniem palm zamyka oczy swój jedynaczce; słyszymy, jak woła z poddaniem: „Bóg dał... Bóg wziął... stań się Jego wola! Byłem ojcem, odtąd będę obywatelem kraju mego!”

Jakoż, niebawem mistrz pieśni staje się mężem stanu. Trzy dni walczy zawzięcie, piorunem słowa wytrąca bagnety i noże z rąk tłuszczy rozszałają. Poeta ocala Francją! (r. 1848).

Widzimy potem, jak istny Cyncynatus powraca do roli i pług. Ubogi, samotny, spędza dni z Homerem, Dantem i Hiobem. Marzy, śpiewa, cierpi; ale nie sarka, słowa jego nigdy nie zaprawione szyderstwem. Wierzy w Boga, nie wątpi o losach ojczyzny.

Taki obraz Lamartina ukazuje Aicard, na tle wystygłego dziś społeczeństwa. „Czegóż nam brak, o wieszczuł zapytuje, aby iść ślady twemi? Brak nam téj wiary, co góry przenosi, wiary w przyszłość kraju, wiary w wielki ideał, wiary w to, co kochamy, w to, czego pragniemy, wiary we własną siłę, wiary w niebo tak puste dla nas!” Poeta nie kończy na tych słowach goryczy i zwątpienia. Geniusz Lamartina przyświeca nad Francją, pieśń jego rozbudzi w sercach zgasłą wiarę i miłość ideału.

Konkurs poetyczny zadowolił akademików, tych czujnych stróżów języka i estetycznych tradycyi; z otuchą w przyszłość ogłosili nowy przedmiot dla przyszłych współzapaśników. Zobaczmy, jak go określa sekretarz Akademii:

„Wobec widocznego upadku umysłów, dusz i charakterów, gdyśmy szukali formuły, któraby w ideał poetyczny objęła zarazem sztukę, moralność, religią i patriotyzm, z głębi sumienia naszego wybiegł jednomyślnie okrzyk: *Sursum corda!* Dwa te wyrazy dajemy za przedmiot młodym poetom naszym, którzy zdołają niewątpliwie odczuć je i godnie rozwinąć.”

Historycy nowej szkoły nadesłali mnóstwo prac na tegoroczny konkurs. Nawal ten przestraszył Akademią, a to z powodu, że wielka część tych dzieł, pisana dorywczo, jest raczej zbiorem dokumentów niż historią krytyczną w właściwem znaczeniu tego słowa. Surowo téż sekretarz w imieniu poważnego areopagu przemówił do młodych erudyków:

„Wolno każdemu, rzekł on, pisać historią według własnego pojęcia; ale wobec licznych tomów, jakie corocznie nowa szkoła poddaje pod sąd Akademii, mamy za obowiązek otwarcie wypowiedzieć myśl naszą w interesie tychże książek, których wartość uznajemy, a które jednak nie odpowiadają warunkom konkursowym.

„Ktokolwiek zabiera się do pracy, musi gromadzić dokumenta, wypisywać notaty; ma do tego zupełne prawo. Te materyały dostar-

czą historykowi wątku do dzieła, utworzonego z namysłem, nacechowanego pieczęcią osobistą, skreślonego wytwornym stylem. Otóż te dzieła, któremi zasypują nas autorowie, nie odpowiadają temu ideałowi! Oprócz dat i dokumentów, wymagamy przecież opowieści, krytycznego sądu. Akademia przypomina więc młodym badaczom dziejów, że dwuwiekowe tradycje nakazują jej pracować usilnie nad utrzymaniem pięknej formy, tak w języku jak i w układzie rzeczy; ta sztuka bowiem stanowi chwałę naszej literatury narodowej i w pośród obcych stawia ją w pierwszym rzędzie."

Zarzuty takie nie ściągały się przecież do wszystkich historyków dzisiejszych. Akademia wyróżniła z nich kilku i zasłużone posypała im wieńce.

Wielką nagrodę Gobert (10,000 fr.) poraz czwarty z rzędu, otrzymał p. Cheruel, za dwa ostatnie tomy „Historji Francji pod ministerstwem Mazaryniego.” W roku zeszłym, pierwszy tom tego znakomitego dzieła, takąż samą nagrodę zjednał autorowi. W latach poprzednich, Akademia uwieńczyła czterotomowe dzieło: „Historja Francji podczas małoletności Ludwika XIV.” Dwie te prace objęte w siedmiu wielkich tomach, tworzą razem pomnikową publikacją, wysoko cenioną przez erudytów.

Drugą nagrodę Gobert, przysądzono Ludwikowi Sciout, za „Historję konstytucji cywilnej duchowieństwa,” dzieło pełne poglądów głębokich, napisane z umiarkowaniem i bezstronnością.

Nagroda fundacji „Therouanne” (4,000) rozdzieloną została pomiędzy dwóch autorów, którzy obrali dwie dziejowe postacie, stojące na dwóch przeciwnych sobie krańcach. Czyżby Akademia wieńcząc obu jedną nagrodą, chciała dać dowód eklektyzmu? połowę premium, otrzymał hr. Delaborde, biograf słynnego hugonoty Coliniego. Autor, gorliwy protestant, podnosi do apoteozy bohatera reformy, zarówno jak i samą reformę. Druga część nagrody przypadła tymczasem żarliwemu katolikowi Albertowi de Boys, za dzieło p. t.: „Katarzyna z Aragonu i początki schizmy angielskiej.” Z zapałem autor wystawia moc ducha tej ukoronowanej męczennicy, która znosiła najcięższe próby z odwagą posuniętą do bohaterstwa. Postać królowej jasno odbija na ciemnym tle ówczesnych dziejów. Przewrót religijny, który ma spełnić się w Anglii, rozpoczyna się ledwie za panowania Henryka VIII. Nie ma tu jeszcze mowy o zupełnym oderwaniu od Kościoła. Promotorowie schizmy chcieliby jeszcze zachować wszystkie dogmata katolickie. Nowy zupełnie pogląd autora rzuca niemałe światło na ważne wypadki owych czasów.

Nagrodę fundacji Thiersa otrzymał p. Rothau, autor dwóch tomów, odnoszących się do dzisiejszej epoki. Tytuł dzieła: „Polityka francuzka w r. 1866,” i sprawa Luksemburga, preludjum wojny 1870 roku. P. Rothau był najprzód konsulem francuzkim w Hamburgu a następnie w Frankfurcie, brał więc czynny udział w toczących się układach, po których tyle kłesk sypnęło się na Francją.

Od historii przejdźmy teraz na pole krytyki literackiej. Nagrodę Bordin przysądzono p. Ferdynandowi Brunnetière za trzy tomy wysokiej wartości p. t.: „Romans naturalistyczny” i „Studia krytyczne nad historią literatury francuzkiej.” Oba dzieła stanowią jedną całość; niezmiordowany krytyk rozbiiera w nich różne pytania, odnoszące się do historii literatury w ciągu trzech ostatnich wieków. Jeden z tych tomów, poświęcony wyłącznie naturalizmowi nowoczesnemu. Autor podejmuje rzecz spokojnie, bez namiętnych uniesień. Śmiało ocenia talent naczelników szkoły, (Balzaka i Flauberta) surowo zaś potępia uczniów, którzy umieją tylko naśladować słabą ich stronę. Pogląd Brunnetiera bardzo oryginalny; sądy nacechowane bezstronnością i umiarkowaniem.

Nagrodę Guerin (5000 fr.) Akademia rozdzieliła na trzy części. Pierwszą otrzymał prof. Sorbony Bouche Leclercq, za dzieło p. t. „Historia wróżbiarstwa w starożytności.” W tej obszerniej czterotomowej pracy autor zebrał i przedstawił w żywy sposób owoce długoletnich swych poszukiwań. Wyczerpawszy przedmiot do gruntu, rzucił światło na wszystkie problemata, któremi zajmowała się starożytność klasyczna: pokazuje przeważny wpływ wieszczów, wróżbitów i augurów, a zarazem daje poznać, z jak wielkim wysiłkiem społeczeństwo starożytne starało się pogodzić wolność ludzką z ciężącym nad nią przeznaczeniem.

Drugą część nagrody, przysądzono Ludwikowi Favre, za pracę innego całkiem rodzaju, p. t.: „Luksemburg od r. 1300 — 1862.” Mowa tu nie o księztwie, ale o starodawnym pałacu w Paryżu, po lewym brzegu Sekwany. Występują tu kolejno znakomite osobistości, które w długim szeregu pięciuset lat zamieszkiwały wspianą gmach bądź stale bądź czasowo. Nad wszystkimi góruje postać Maryi z rodu Medyceuszów. Pełno tu życia i ruchu; umarli wychylają głowy z pod całunów, opowiadają dzieje życia swego z pełną dowcipu werwą.

Trzeci udział w nagrodzie Guerin, wziął Aleksander Beljame, autor znakomitego dzieła p. t.: „Historia literatury i stanowisko pisarzy angielskich w zeszłym wieku.” Występują tu żywe postacie Drydena, Popego i Adyssonna: widzimy smutny obraz martyrologii, jaką znosili genialni pisarze owych czasów, ich upokorzenia i walki. Śmierć dopiero kończyła tę nędzę i czoło ich opromieniała aureolą.

Pomału jednak ludzie pióra wywalczają sobie byt niepodległy; zmuszają ogół do poszanowania geniuszu i pracy. Dzieło to znalazło wielki rozgłos w Anglii: wszystkie przeglądy i pisma żywo się niemu zajęły.

W dziedzinie filologii, sąd konkursowy rozdzielił nagrodę Desperouse, pomiędzy trzech laureatów. I tu Akademia dała dowód eklektyzmu, stawiając imię Woltera obok Bossueta. Połowę nagrody otrzymał uczony rumun Bengesco, za pierwszy tom „Bibliografii dzieł Woltera.” Praca to niesłychanie mozolna. Wolter jak wiadomo, ścigaany bez ustanku przez policją, wydawał dzieła swoje pod osłoną

rozmaitych monogramów i pseudonimów. Niektórych książek wypierał się wręcz, na innych wskazywał mylnie miejsca wydania i daty, oskarżał kopistów o dodatki i fałszowanie tekstu. W pośród tej gmatwaniny trudno było odkryć edycją ostateczną, którejby nie zaparł się sam Wolter. P. Bengesco oddał się gorliwie tym pracowitym badaniom. W paryzkiej Bibliotece narodowej odczytał dwa tysiące książek, składających kolekcją Woltera. Zwertował wszystkie archiwa, przebiegł uważnie setki dzienników i katalogów, aż nakoniec doszedł do celu; wielką pracę doprowadził już do połowy.

Drugą część téjże nagrody przyznano p. Gazier za krytyczne wydanie dwudziestu kazań Bossueta. Uczony filolog porównał starannie rękopisma, zaznaczył zmiany i poprawki dokonane różnemi czasy, a w obszernych notach dał poznać w jaki sposób rozwijał się smak i wyrabiał styl wielkiego krasomówcy.

Inny filolog Livet otrzymał część nagrody za klasyczne wydanie trzech arcydzieł Molièra: „Świętoszka,” „Skąpca” i „Mizantropa,” wraz z komentarzem historycznym i uwagami nad językiem XVII-go wieku.

Przed kilku laty wdowa po Juliuszu Janin, zagorzałym wielbiciele Horacego, aby uczcić pamięć męża, ufundowała pod jego imieniem dwuletnią nagrodę za najlepsze tłumaczenie starożytnych arcydzieł. Nikt w tym roku nie stanął do konkursu, nagroda odłożoną została na rok przyszły, część z niej tylko przysądzono p. Develey za przekład dwóch łacińskich dzieł Petrarcki: „Afryka” i „Moja tajemnica.”

Inna fundacya hojnej amerykanki większy zamęt wprowadziła w łono Akademii. Siedm lat temu pani Botta ustanowiła nagrodę 5000 fr. za dzieło o emancypacji kobiet; konkurs oddała pod opiekę Akademii francuzkiej.

Przedmiot ten, nazbyt drażliwy, nie przypadł do myśli akademikom. „Nie naszą rzeczą, mówi sekretarz, wdawać się w społeczne zagadnienia.” Unikając zatem niebezpiecznej odpowiedzialności, Akademia nie chciała przyjąć zapisu. Nastąpiły długie rokowania. Donatorka zmieniła program i sam nawet tytuł konkursu. Wyraz emancypacya, zamieniono na stanowisko kobiety. Rada nie rada Akademia musiała nakoniec ustąpić. Naraziła się jednak na pociski i szyderstwa publicystów, którzy w imię postępu zarzucają jej zacofanie.

Nagrodą Botta, Akademia uwieńczyła dzieło p. Rousselot, profesora filozofii, p. t.: „Historya edukacji kobiet.” Dzieło to uzyskało wysokie uznanie sędziów konkursowych; przytaczamy słowa sprawozdawcy: „Nie goniąc za utopiami, nie wypowiadając walki prawom i obyczajom, p. Rousselot przyklaskuje szczerze stopniowym postępom dokonanym w przeszłości i tym jakie przyszłość zapowiada. W jego mniemaniu, zarówno jak i w naszym, bezwzględne dobro nigdy zrealizowanem nie będzie. Dzieło p. Rousselota raczej historyczne, nie filozoficzne,

stawia tylko dowody, niczego zaś nie niszczy. Jeżeli nie rozwiązuje pytania, objaśnia je przynajmniej i sądzi z zupełną bezstronnością."

Dzieło panny Klarysy Buder, nadesłane na tenże konkurs p. t.: „Kobięta francuzka,” zjednało autorce 1000 fr. nagrody. Poraz to czwarty już Akademia wieńczy zastużoną pisarkę.

Z pomiędzy licznych powieści, nadesłanych na konkurs Jouy, Akademia wybrała dwie: jedną hr. de Chouzy p. t.: „Ignis;” o tój mówić nie będziemy, rozbieraliśmy ją bowiem w jednej z poprzednich korespondencji. Drugą laureatką jest pani Bigot, występująca pod pseudonimem Jeanne Mairet. Powieść jęj „Marka,” zasługuje na szczególną uwagę, jako wierny obraz dzisiejszych obyczajów. Charaktery zbadane głęboko, odmalowane z życiem: całość bardzo oryginalna.

Przejdźmy nakoniec w ślad sprawozdawcy do dzieł nadesłanych na konkurs Monthiona. Stosownie do wyraźnej woli donatora, dzieła uwieńczone mają wyrażać myśl zdrową i w dodatni sposób oddziaływać na społeczeństwo. Nadesłano wszystkich 124. Z tych Akademia uwieńczyła 14, tyle bowiem posiada tylko nagród; wiele innych zaszczytła chlubną wzmianką.

Pierwszą z czterech większych nagród (1500 fr.), otrzymał profesor Laroumet za znakomite studjum literackie p. t.: „Marivauz, jego życie i prace, według najnowszych dokumentów.” Dzieło to pełne erudycyi. Autor przedstawił w ogólnych zarysach obraz literatury XVIII wieku, i na tém tle ukazał główną postać. Z czterech części składa się to krytyczne studjum. W pierwszej, Marivauz występuje jako człowiek, w drugiej jako autor dramatyczny: w trzeciej poznajemy powieściopisarza, w czwartej krytyka i moralistę.

Świetny ten pisarz odznaczał się wytwornością tak w stylu jak w obrazach. Był on żywym wyrazem tój dworskiej ogłady, jaka cechowała społeczeństwo francuzkie za jego czasów. Od niego utworzono wyraz marivaudage, określający wdzięk i delikatność pióra. Powieści jego i komedye stanowią zupełną antytezę z rodzajem upowszechnionym przez Zołę i całą szkołę naturalistów. Autor krytycznego studjum, podejmując dziś pracę swoją, trzymał się wiernie aksjomatu Szyllera: „co ma odżyć w pieśni, musi zamrzeć w rzeczywistości;” nigdy bowiem literatura francuzka nie była dalszą od słynnego w swoim czasie marivodażem!

Drugą nagrodę sąd przyznał Augustowi Vitu za dzieło p. t.: „Dom gdzie umarł Molière.” Ten dom leży przy ulicy Richelieu, która w ciągu dwustu lat była siedliskiem najstęnniejszych literatów i ludzi znakomitych na każdym polu. Jestto więc dokładna historia ulicy, zaszczyconej imieniem wielkiego kardynała. Widzimy tu jak w kalejdoskopie przesuwały się szereg ciekawych osobistości.

Trzecim laureatem jest Emil Krantz, profesor fakultetu literatury w Nancy, za dzieło p. t.: „Zarys estetyki Kartezjusza, w stosunku do literatury klasycznej XVII wieku.” Autor wyświecła tu bardzo trafnie oddziaływanie doktryny filozoficznej, panującej w danym czasie,

na utwory sztuki i literatury. Zdaniem jego, z rozprawy o metodzie Kartezjusza, wzięł pobudkę Boileau do dzieła „O sztuce poezyi.” W jednej i drugiej pracy toż samo poczucie ładu, metody i analizy; widoczna to reakcja przeciw świetnej, ale burzliwej epoce odrodzenia.

Henryk Welschinger otrzymał też nagrodę za bardzo ciekawe dzieło „O cenzurze w czasach pierwszego cesarstwa.” Książka składa się z czterech części. W każdej, osobnym określonej tytułem, „Cenzorowie,” „Dzienniki,” „Książki;” „Teatra,” autor zebrał mnóstwo dokumentów, anegdot, dawnych wspomnień, przeplata je własnymi uwagami. Tu, jakby w czarnoksiężkiej latarni, pokazuje kolejno Napoleona, Talmę, Rassyna, Delilla, Chateaubrianda. Każdy portret żywo naszkicowany, uderza barwą i świeżością.

Konkurs Monthiona obejmuje dzieła rozmaitej treści: poezją, powieść, rozprawę krytyczną, pedagogią i t. d. Oto szereg dzieł uwiecznionych, za każde przypadło autorowi 1000 fr.

„Zarys życia i prac Lucyana,” przez Maurycego Croiset. Idąc ślad w ślad za retorem, który umiał pochwyć słabostki ludzkiego serca i oddać je w komiczny sposób, autor maluje obraz rzymskiego społeczeństwa w czasach ostatecznego rozkładu.

„Pani Sevigné w Bretanii,” przez Leona de la Brière. Zdolny ten pisarz zebrał pracowicie z listów markizy wszystko cokolwiek odnosi się do jej rodzinnej Bretanii. Przy dzisiejszym popędzie decentralizacyjnym, kiedy każda prowincja usiłuje odkryć i uwydatnić prąd życia, tryskający z niej samodzielnie, zebranie szczegółów utopionych w rozległej korespondencji, nabiera wielkiego znaczenia. Dziwimy się tylko, że kouservatywni akademicy, niechętni w ogólności nowym prądom, uwiecznili to dzieło.

„Mały Francuz,” przez Henryka Bigot. Pedagogiczna ta książka, pełna szczerego zapału, poświęcona młodzieży francuskiej, ma na celu rozbudzić w sercach uczucia patriotyczne. Na każdej stronnicy autor przemawiając do wychowanka, pokazuje mu dobrodziejstwa ojczyzny, jej starożytne dzieje, dawną chwałę, tradycyjną wspaniałość. Pragnie on poruszyć młode serca, obudzić w nich miłość kraju i gotowość do wszelkich poświęceń.

Dziwny zbieg sprawił, że prace obojga małżonków, uwiecznione zostały w jednym roku. Pani Bigot, jak mówiliśmy wyżej, otrzymała także nagrodę.

„Rekreacye naukowe,” przez Tissandiera. Popularna ta książka uczy zarazem i bawi. Autor w sześciu rozdziałach zebrał mnóstwo najciekawszych faktów z fizyki, chemii, nauk przyrodniczych, a nawet z matematyki i przedstawił je w bardzo żywotny sposób.

„Historya małego człowieka” pani Maryi Robert Halt. Autorka wzięła sobie za cel pokazać, że z odwagą i wytrwałością każdy potrafi wyrobić sobie stanowisko na świecie i wyjść zwycięzko z najtrudniejszego położenia. „Mały człowiek” pani Halt, pełen silnej woli, w piętnastu latach życia postanawia niebyć nikomu ciężarem. Pusz-

cza się w świat, sam nie wiedząc gdzie idzie. Spotyka twarde zapory na każdym kroku, łamie się z nędzą i głodem, nie traci przecież energii i zwycięzko dobija do mety.

„Romans siostry,” w dwóch tomach pani Vattiers d'Ambrogse; powieść ta wysnuta z rzeczywistości, daleka przecież od niesmacznego realizmu; charaktery żywo nakreślone, sceny pełne dramatycznego ruchu.

„Małżeństwo Gabryeli” przez pannę Loiseau; pierwsze to wystąpienie dwudziestoletniej, pełnej talentu autorki.

„Wielkie serca.” zbiór poezji Stefana Liegeard; młody autor z zapałem podnosi ludzi wielkich poświęceń: Liwingstona, Andrzeja Chenier i innych. Poemat jego o Liwingstonie otrzymał już przed laty kilku premii akademickie. Zbiór cały zastępuje na szczegółowy rozbiór, zostawiamy go do jednej z przyszłych kronik.

„Wielkie serca,” szkice prozą, skreślone przez Henryka Lavalley. Dziwnym zbiegiem, dwaj autorowie nadesłali na konkurs dwa dzieła z tymże samym tytułem. Oba zalecają się gorącym uczuciem patriotyzmu i pragnieniem powszechnego dobra, oba też otrzymały zachętę.

Oprócz tych premii konkursowych, Akademia, dzięki szczodrobliwości francuzów i mnożącym się corocznie zapisom, nagradza już nie pojedyncze dzieła, ale cały szereg prac zasłużonych pisarzy. Taką nagrodę otrzymał w tym roku stuletni blisko starzec Henryk Dupin, dziekan Towarzystwa autorów dramatycznych, urodzony w roku 1791. Ciekawa to postać. Zawsze zdrów i wesół, dotąd nie złożył pióra. Przez lat pięćdziesiąt był stałym współpracownikiem Scribego, układał piosnki do jego wodewilów i komedyo-oper. W ostatnich dopiero czasach wziął się do pracy w innym kierunku: napisał „Życie Mazaryniego“ poraz pierwszy zakołatał z niem do progów Akademii.

Inną nagrodę (6000 fr.) na tenże cel przeznaczoną, otrzymał Emil Montaigut. Wytrwały ten pracownik, położył wielkie zasługi w literaturze. Do najznakomitszych dzieł jego należą: „Studia nad literaturą angielską i amerykańską,” „Artyści i poeci włoscy,” „Wspomnienia Burgundyi,” „Typy literackie,” że pominiemy wiele innych. Dodajmy do tego całkowity przekład teatru Szekspira. Akademia w inny zapewne sposób uzna zasługi Emila Montaigut, zapraszając go do grona swego; o ile wiemy, wkrótce to ma nastąpić.

Przyznano także złoty medal Juliuszowi Conte, wydawcy „Biblioteki sztuk pięknych,” przeznaczonej dla uczniów; poświęcających się różnym gałęziom sztuki. Dotąd wyszło ośm tomów, każdy wypracowany przez specjalistę: „Rytownictwo“ przez sekretarza Akademii sztuk pięknych hr. Delaborde, „Archeologia grecka,” przez profesora Collignon, „Gobeliny,” „Mozajka“ i t. d.

Kończąc sprawozdanie z konkursu, czujemy się w obowiązku wymienić jeszcze dzieła zaszczycone chlubną wzmianką, których Akademia nagrodzić nie mogła w inny sposób z powodu wielkiej ich licz-

by. Samo to wyróżnienie daje rękojmię ich wartości. Zapisujemy ich tytuły.

Z działu powieści: „Przygody sieroty“ przez panią de La Tireliere; „Kwiaty nudów“ p. Piotra Loti; „Gęsiarka“ (La fille aux oies), p. panią Rolland; „Siostry miłosierdzia“ p. de Lyden; „Sans-Soucy“ p. Adryannę Piazzę; „Bartholomea“ p. Lafenestre.—Z działu historii, krytyki literackiej i t. d.: „Korneliusz Agrippa“ p. Augusta Prost; „Washington i jego dzieło“ p. Masseras; „Zarysy Macaulaya“ p. Pawła Oursel; „Poezya aleksandryjska za trzech pierwszych Ptolemeuszów“ p. M. Conat; „Dugnay-Trouin i Saint Malo“ p. księdza Poulani; „Małe strony wielkiego dramatu,“ p. A. Badin; „Historia Portugalii i Brazylii“ p. Alfreda Boinette; „Sceny z życia duchownego“ p. Karola Bonet; „Zbiór bajek wierszem“ p. Leona Riffard; poemat „Herostrat“ Leona Duplessis; „Pszczoła“ Anatola Frame; „Życie wiejskie w starodawnéj Francyi“ p. A. Babeau; „Ziemia rodzinna“ p. br. Lafond de St. Mur. Ostatnie dzieło wysokości, uwieńczone już było przez inne towarzystwa.

Po wymienieniu dzieł nastąpiło sprawozdanie z nagród rozdanych w tym roku za czyny poświęcenia i miłości bliźniego, cenniejsze zapewne od literackich zasług; bo któż z nas nie pamięta słów wielkiego poety:

W słowach tylko ochęć widzim, w działaniu potęgę;
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

Zmuszeni trzymać się głównie w obrębie literatury i sztuki, nie możemy tu powtarzać tych czynów chlubnych dla społeczeństwa francuzkiego, które okupuje nimi tyle win i upadków. Powtórzymy tylko ustęp z mowy p. Rousse, w którym wymowny akademik kreśli postać słynnego filantropa Monthiona, fundatora tylu konkursów, a między nimi najważniejszego konkursu: miłości bratniej i ofiary dla bliźnich.

„Monthion, rzekł mówca, umarł sześćdziesiąt lat temu. Od sześćdziesięciu lat, imię jego co rok w tém miejscu wspomniane. Przewroty polityczne pochłoneły królestwa i dynastye, cesarstwa i republiki, nigdy jednak nie przerwały corocznych obchodów naszych, a imię Monthiona otoczone wdzięcznością narodu, wypłynęło zwycięzko z tylu wstrząśnień.

„A przecież osobistość Monthiona mało dotychczas znana; legenda przekształciła historją. Wyobraźmy go sobie jako klasyczny typ miłosierdzia, z obliczem rozrzewnioném, z oczyma łzawemi, odzianego połową płaszcza jak ś. Marcin, lub jak ś. Wincenty à Paulo, z rojem drobnych dziatek w objęciu.

„Inaczej malują go współcześni. Obraz skreślony przez nich ukazuje nam tego bogacza w wytwornéj odzieży, w peruce starannie upudrowanej, z okiem spokojném, zbierającego pilnie przez ciąg dłu-

giego życia to złoto, którém tak szcudrobliwie rozporządził przy śmierci.

„Posiadał on ogromny majątek, rządził nim z wzorową sprężystością. Zawołany agronom, wiedział ile na stóg jeden potrzeba garści siana; wiedział ile każdy mórg roli powinien wydać plonu, ile sążni drzewa można z lasu sprzedać rocznie. Pisywał z Paryża do ekonomów swoich, ile obroku mają ująć koniom podczas zimowego spoczynku; dopominał się o zgrzebne worki, w których posyłał im talary.

„Był to człowiek gładki w poźyciu, zręczny pisarz, polityk liberalny i roztropny. Filantrop z rozumu raczej niż z popędu, jak większej części ludzie téj epoki, głową ukochał ludzkość. Taka miłość nie porywa duszy, nie odbiera jój panowania nad sobą.

„Dobroczynność jego szorstką była nieco i kapryśną. Gotów był rozdawać pieniądze, lecz chciał wiedzieć jak będą użyte. Udzielał pomocy ubogim, ale kłócił się z rzeźnikiem wioski swojej, że zbyt drogo sprzedaje mięso; dzierżawców pozywał przed sąd gdy ociągali się zbyt długo z wypłaceniem rocznego czynszu!

„Monthion, jak widzimy, dodaje mówca, nie należy do tych awanturników miłosierdzia, którzy idą prosto przed siebie, z sercem otwartém na wszelkie boleści, z ramiony wyciągniętymi ku wszelkim nędzom, z oczyma zamkniętymi na wszelkie winy, podnosząc na oślep co im popadnie w ręce, czy to opuszczona sierotka, czy upadła kobieta, czy niedołączony starzec; zbierając po drodze rannych i chorych, karmiąc ich wyżebrany groszem; z rękoma próżnymi co rano, pełnymi zaczem dzień zapadnie. To nieprześlągani wierzyciele Opatrzności! nigdy zwątpienie nie zachwiało ich wiary, żaden zawód nie zbił z tropu tych świętobliwych zuchalców!“

Wybornie mówca określił różnicę, pomiędzy chłodną filantropią a chrześcijańskiem miłosierdziem. Nie chce on przecież ubliżać Monthionowi wobec darów, któremi poraz sześćdziesiąty Akademia nagradza ludzi wielkiego serca. Dodaje też w końcu:

„Pomiędzy przezorną dobroczynnością Monthionów lub Franklinów, a nieoglądającym się na nic miłosierdziem Wincentego à Paulo lub siostry Rozalii, nie pora dziś roztrząsać która lepsza. Czy kieruje nią rozum, czy też wiara popycha do niój, błogosławny z głębi serca rękę, która daje zasitek i opatruje rany! Uczcijmy Monthiona za wszystko co uczynił, za drogę jaką uTOROWAŁ tyłu wspaiałomyślnym naśladowcom!“

Wymownym dowodem reakcyi przeciw naturalistycznemu kierunkowi w literaturze jest apoteoza Aleksandra Dumasa. Niezliczone tłumy paryżan oddały hołd wielkiemu idealście w dniu 4 listopada, przy odkryciu pomnika na placu Malheshesbes.

Ów pomnik jest, jak wiadomo, ostatniem dziełem Gustawa Doré, arcydziełem w swoim rodzaju. Nikt lepiej od Dorégo nie mógł pojąć

Dumasa; obaj równą obdarzeni twórczością, zarówno niezmordowani w pracy, najżywością byli wyrazem geniuszu narodowego.

Wspaniałą to pomnik, godny mistrza, który go wykonał, i mistrza, na którego cześć wykonany. Olbrzymi piedestał kamienny wieńczy postać Dumasa, ulaną ze spiżu w siedzącej postawie. Oblicze jego rozpromienione tryska życiem, uśmiech igra na ustach. U stóp jego pomieszczona prześliczna grupa, złożona z trzech osób. W pośrodku siedzi młoda kobieta z otwartą książką w rękę. Z jednej strony przysłuchuje się pilnie uczeń, z drugiej robotnik w bluzie. Po stronie zaś przeciwniej od frontonu Artanian, jeden z trzech muszkietierów trzyma straż nad sławą pisarza, który go unieśmiertelnił.

Liczne towarzystwa literackie i artystyczne przedstawione były na uroczystości. Członkowie Akademii francuskiej wzięli w niej także udział lubo nie urzędowy, wiadomo bowiem, że Dumas nie należał do grona czterdziestu; zaniedbania tego akademicy dzisiejsi przebaczyć nie mogą swym poprzednikom.

Sekretarz Akademii p. Doucet przemówił jako prezes Towarzystwa autorów dramatycznych. „Byłem, rzekł, uczniem podczas tryumfów Dumasa, kiedy „Henryk III i dwór jego“ ukazał się na scenie. Jak cała młodzież ówczesna uległem potędze tego genialnego czarodzieja! Później poznałem osobiście Dumasa, czytałem jego utwory. Ukochałem go jako człowieka, uczyłem jako pisarza, przyklaskiwałem mu z najwyższym zapałem.“

Słowa te sekretarza Akademii świadczą wymownie, jak słuszny ma żal to poważne ciało naukowe do zgastych dziś członków swoich, którzy pod despotycznym kierunkiem Guizota, więcej uważali na polityczne opinie kandydatów, niż na ich literackie zasługi.

W imieniu komitetu zajmującego się pomnikiem przemówił stary przyjaciel Dumasa de Leuveau, który jednocześnie z nim wystąpił w literackiej szranki i zdobył niegdyś wielki rozgłos wodewilem „Pocztolion z Lonjumeau.“ Podnosił on wysoko szlachetny czyn Gustawa Dorégo, twórcy posągu i szczery zapał, z jakim w ostatnim roku życia oddał się tej pomnikowej pracy.

„Odwiedzałem go często w pracowni, rzekł Leuveau, nie żeby pobudzać, a raczej by powstrzymać zbyteczny pośpiech, przez wzgląd na stargane siły mistrza.

„Nie wstrzymuj mnie! wołał Doré, pilno mi, bardzo pilno! Czas nagrodzić haniebną niesprawiedliwość! Jakto? w naszym Paryżu, gdzie ulice i bulwary uczczono imionami sławnych ludzi, imię Dumasa, drogie nam wszystkim, dano tylko uliczce zagrzebaniej gdzieś na przedmieściu? Niech pomszczę tę zniewagę!

„Jakoż mistrz dłuta pomścił szlachetnie poetę! Imię Dumasa błyszczy dziś na pomniku godnym jego zasługi. Tu z wysokiego piedestału, pod strażą czujnego muszkietera, niech odbiera hołdy czcicieli, niech patrzy na rosnącą chwałę swoją!”

W imieniu Towarzystwa literatów, przemówił Edmund About. Mo-

wa jego pełna antytez i frazesów, wywołała w tłumie grzmiące oklaski, lecz nie mogła zadowolić poważniejszych słuchaczy. Nazwa szaleńca, awanturnika, samoluba i marnotrawcy, dana człowiekowi, który był przedmiotem powszechnéj owacyi, dziwnie jakoś raziła ucho i poczucie obecnych. Wprawdzie About pokazuje, że ten szaleniec więcej miał prawdziwéj mądrości niżli wszyscy współcześni razem, że ten awanturnik, goniący wiecznie za wrażeniem, pracował wytrwalej niż Benedyktyn zagrzebany w murach klasztornych, że ten samolub żył więcej dla drugich niż dla siebie, że ten marnotrawca zostawił królewską puściznę swéj ojczyźnie. Jakkolwiek bądź, takie szafowanie antytezami wydało nam się zbyt śmiałe i nie na dobie. Bardzoj jeszcze raziły niesmaczne anegdoty, powtórzone przez mówcę, z własnych wspomnień. Ostatnie jednak słowa pana About, naprawiły przykre wrażenie, jakie wywołał początek mowy, przytaczamy tę konkluzją.

„Nikt nie mówi o Ludwiku XIV z większym poszanowaniem, o Maryi Antoninie z głębszą litością, o Napoleonie I z żywszém uwielbieniem, jak ten szczerzy republikanin. On téż z Micheletem, z Henri Martin, i tylu poważnymi historykami, stał się dzielnym wulgaryzato-rem dziejów naszych. Słuszną za to otrzymał nagrodę: umarł z końcem roku straszliwego, odcięty od Francyi w tymże czasie, jak odciętą została Alzacya i Lotaryngia, wstąpił do grobu jak żołnierz, obwinieły w sztandar żałoby narodowój.

„Chwała jego literacka jest przedewszystkiem chwałą patryotyczną, to téż widzimy wokoło pomnika zebrane wszystkie znakomite osobistości Francyi bez różnicy barw i odcieni politycznych.

„Pisarz ten pełen zapału i potęgi, porywający umysły jak roz-
hukany potok, nie powodował się nigdy nienawiścią i zemstą. Wspinałomyślnym był dla najzawziętszych nieprzyjaciół, wszystkie téż zniewolił sobie serca. Pole przyszłości jest dziedzictwem dobrych, świadczy o tém dzisiejszy obchód.”

Świetnie w imieniu dziennikarstwa przemówił Juliusz Claretie; mowa jego pełna głębokich myśli, żarliwą jest protestacją przeciwko prądowi naturalizmu, pochłaniającemu dzisiejszą literaturę. Podnosząc zasługi Dumasa, uderza on silnie na zwolenników nowéj szkoły, którzy odzierają prawdę z wszelkiego piękna i wzięli za cel przedstawiać ją tylko w najohydniejszych obrazach.

„Co nas szczególniej zachwyca w Dumasi, rzekł Claretie, co nas wiecznie czarować będzie w tym niezmordowanym pisarzu, oto, że rozmiłowany w ludziach, zakochany w prawdzie, ukazywał nam tę prawdę jasną i czystą, a człowieka unoszącego się ku niej co raz to wyżéi, na skrzydłach geniuszu. A wiecież wy co stanowi siłę nieprzewartą tego czarodzieja? oto że porywa słuchaczy w świat wyobraźni, rozpromieniony słońcem ideału!

„Powiedziano, że Dumas bawił trzy albo cztery pokolenia. On uczynił coś więcej: przynosił im pociechę!

„Jeśli ukazywał ludzkość szlachetniejszą niż jest w rzeczywistości, nie czynimy mu zarzutu, malował ją na własne podobieństwo; jeśli nie uwydatniał dość silnie trosk nieodłącznych od życia, to dla tego, że widząc, jaki ciężar przygniata barki cierpiących, pragnął uczynić go o ile można lżejszym.

„I dla tegoto tłum słuchaczy przyklaskiwał mu oburącz, bo tłum ceni obfitość w pracy, wdzięk w sile, prostotę w geniuszu. Tłum lubi ideały, umiłował też owego czarodzieja, który umiał wyrwać go z czarnego padołu nędzy, a przenieść w błękitne krainy snów i marzeń.”

Wybornie też ogarnął i pokazał całą działalność Dumasa młodego poeta August Dorchain, ten sam, którego pieśni „La jeunesse pensive,” uwieńczone były w roku zeszłym przez Akademią. Poemat jego, wypowiedziany był wieczorem w teatrze Odeonu i wywołał gorące oklaski. Ukazuje nasamprzód poeta młodego Dumasa w chwili, gdy przybywa z dalekiej prowincji do Paryża, uzbrojony na przyszłe walki, jak ów Muszkietier, stworzony jego fantazją. Zastaje pole otwarte do zapasu.

Jak Artanian przed laty, wśród zgiełku i huku,
Postawił śmiało stopę na paryzkim bruku,
Nie ma złota, lecz w piersi ma żelazną wolę,
Zorza przyszłych tryumfów błyska mu na czole,
By zwyciężyć, dość na to młodości i wiary!
Walka wre, w dwóch obozach wieją dwa sztandary:
Klasycyzm z Romantyzmem bój szalony toczy,
Szermierze gradem obelg sypią sobie w oczy,
Ci, starym rzymskim mieczem w pierś sieką i walą,
Tamci, błyskają w słońcu toledańską stalą;
Dla tych Rasyn wyrocznią, tamtym Szekspir wzorem,
Ten raunny, tamten upadł powalony toporem!
Ku nowym ideałom szala się już wazy,
Hugo czuwa z proporcem jak olbrzym na straży,
A przecież stoi haszta jeszcze nie zdobyta;
Klasycyzm rozpaczliwie jój zrębów się chwyta.
Teatr ową strażnicą: wszak jeszcze w te progi
Nie woisnął się przebojem romantyzm złowrogi.
Wtém Dumas z młotem w rękę uderzy na działa,
Wdziera się po szczelinach, pierś mu drży, wzrok pała,
Zdobyl gmach, nowy sztandar na bramach już świeci,
Tłum woła: „Górą Dumas! Górą Henryk Trzeci!”
Mistrz przebił pierwsze lody, stawił stopę męzką
Tam, gdzie róg Hernanięgo zadzwoni zwycięzko.

Poeta kolejno przebiega owe pełne żaru dramata, które nowy widnokrąg odkryły przed oczyma francuzów, a które dziś jeszcze wywołują grzmiące oklaski: „Krystynę szwedzką,” „Karola VII,” „Dar-

lingtona;" wspomina pełne życia i humoru kemedye, przechodzi do powieści, tych cudnych epei prozą, jak „Muszkietery,” „Monte-Christo.” „Balsamo” i tyle a tyle innych, wreszcie ukazuje w Dumasię chciwego wrażeń podróżnika:

On wiecznie złoty wątek snuje z duszy własnej:
 Czasami dla Tytana sam Paryż zaciasny,
 Woni żywicznych sosen pragnie pierś szeroka,
 Przestrzeni oceanów trzeba mu dla oka.
 Ruś za Pireneje, czerpie nowe życie
 Na wierzchołku Synai, tonącym w błękitach;
 Goni na Kaukazie ślad Prometeusza,
 Pod hukiem dział we Włoszech urasta mu dusza.
 A gdy nowemi czary napasł myśl i oczy,
 Przepływa morskie prądy, przez wąwozy kroczy,
 Dumny z plonów zdobytych, do kraju powraca;
 Ni godziny spoczynku!... co dnia nowa praca.
 On niewolnikiem ludu, wciąż mu rozpowiada
 Czarodziejskie powieści, jak Szeherazada
 Sultanowi swojemu, i piętrzą się księgi
 A trudy nie zużyły téj twórczej potęgi.
 Zawsze uśmiech na ustach, wciąż pogodne czoło,
 Wiecznie swym czytelnikom powtarza wesoło:
 „Piękném życie! przy pracy dni płyną w swobodzie!”
 Zawiesz go nie dotyka, pocisk nie dobodzie;
 Kto rękę doń wyciągnie — obsypie go złotem.
 Napotka-li niewdzięczność?... on nie myśli o tém!
 Żar co tli w zacnej piersi... czyż ugaszą ludzie?
 Mędrzec przeżył dni życia w dziecięcej uludzie.

Zwraca się nakoniec poeta do tych wszystkich zapaśników ideału, którzy w pierwszej połowie tego stulecia na gruzach klasycyzmu nową stworzyli szkołę:

Wyście zbolełą leczyli duszę,
 Cudowną kroplą ożywczych wód,
 Wyście poili serca w posusze
 Pierś ogrzewali zakrzepłą w lód.
 Dziś, wiatr nam zgnił powiał nad głową,
 Z ust nam odgania wesołą pieśń;
 Książ tyle mamy... każde ich słowo
 Rzuca na duszę zwątpienia pleśń.
 Wyście mówili: „wyżej wznos oko!
 Oni nas pobają w brzydoty świat,
 Ale nam w duszy utkwil głęboko,
 Przez was posiany czarowny kwiat!
 My łakniem wiary, łakniem otuchy,
 O ideałach my pragniemy śnić,

Ty, wiedz nas, mistrzu, w tój nocy głuchej,
 Twém żywém słowem ucz nas jak żyć.

Wróć nam na usta on śmiech Twój szczery,
 Co go nie zatrul szyderstwa jad,
 Teatr nasz kona, — Twe bohaterzy
 Niech jeszcze tłumy porwą w swój ślad!

Niechże nas uczą, mężnie, bez trwogi,
 Przez cierń żywota do celu iść,
 Choćby dał w oczy wicher złowrogi,
 Choćby wawrzynu nie błysł nam liść.

Tyś umiał serca natchnąć zapałem;
 Uzbrój nam ramię na przyszły bój,
 Wielki lud tęskni za ideałem:
 Wszak głos go jeszcze porusza twój!

Wszystko, co przypomina Dumasa, żywe dziś budzi zajęcie. Różne przeglądy i pisma poświęcają mu liczne wspomnienia: wydobywają z ukrycia mnóstwo anegdot, tworzą bezwątpienia wiele nowych, byle trafić w smak publiczności. Można by niemi zapełnić całe tomy... jedném słowem, Dumas przeszedł już do legendy. Nie każdy dostąpi podobnego zaszczytu!

Wydobyto świeżo z jakiegoś zapomnianego pisma odcinek nakreślony przez Dumasa, kilkanaście lat temu, nazajutrz po przedstawieniu sztuki syna: „Les idées de Madame d'Aubry.” Ojciec po mistrzowsku określił talent występującego dramaturga. Porównywa syna z sobą samym: ciekawa to bardzo paralella; przytaczamy ją całą.

„Położenie syna mego, gdy się zabrał do teatru, nadzwyczaj było trudne, moje było nierównie łatwiejsze. Wiktor Hugo i ja mieliśmy zalety całkiem przeciwne sobie.

„Hugo liryczny był i teatralny: ja byłem dramatyczny.

„Hugo, aby sprawić efekt, potrzebował obok hymnów kościelnych przeciwstawić pieśni biesiadnicze, obok stołów pokrytych kwiatami, błyszczących od kryształów i złota, stawiał rzędem trumny przystońnięte całunem. Potrzeba mu było dekoracyi, kostiumów; wystawy scenicznej, ukrytych drzwi, schodów tajemnych, pułapek i t. d.

„Dla mnie dość było czterech parawanów, czterech desek, dwóch aktorów i wielkiego zapalu.

„Mój syn odziedziczył w części moje zalety i dopełnił właściwym sobie talentem.

„Urodziłem się w epoce poetycznej i malowniczej, byłem więc idealistą; on przyszedł na świat w epoce materyalizmu i społecznych zagadnień, jest zatem realistą.

„W jednej tylko sztuce, pierwszy jaką wystawił, szedł ze mną jedną drogą: tą sztuką „Dama Kameliowa.” Odtąd nie ma nic wspólnego pomiędzy nami. „Diauna de Lys“ pokazuje ten rozłom.

„Rzecz godna uwagi, jak obaj w odmieny tworzymy sposób. Różnica ta istnieje od pierwszego pochwycenia wątku aż do ostatniej sceny.

„Ja biorę mój przedmiot z marzenia, on bierze go z rzeczywistości.

„Ja pracuję z oczyma zamkniętymi, on ma oczy otwarte.

„Ja oddalam się od świata, z którym codziennie żyję, on, gdy tworzy, tembardziej szuka tłumu.

„Ja rysuję, on zdejmuję fotografią.

„Naprózno by kto szukał osób przezemnie stworzonych, jego osoby możnaby nazwać po imieniu.

„Dzieło przedstawia się wyobraźni mojej przez pryzmat idei, on podejmuje żywcem fakta.

„Wszystko dla niego jest przedmiotem badania, przedewszystki-
kiem bada sam siebie. „Dama kameljowa,” „Dianna de Lys,” są to osobiste wrażenia. „Kwestya pieniężna,” to obraz zdjęty z natury, „Przyjaciel kobiet,” to on sam. Jedyne tylko ostatnia sztuka „Myśli Pani d'Aubry,” wysnuta z ideału, dla tego może najlepsza.

„Różnica, jaką widzimy w pomyśle, istnieje zarówno w wykonaniu.

„Ja pracuję nasamprzód głową: nim zacznę pisać sztukę, mam ją wykończoną zupełnie w myśli. On bierze się do dzieła, skoro mu błysnie pierwszy pomysł. Ociosuje pomału bryły, uderza młotkiem, rzeźbi dłutem, aż nakoniec z bryły wystąpi posąg. Widziałem nieraz jak zamiast pięciu, napisał dziesięć aktów, pierwszy akt stał się u niego trzecim, z czwartego zrobił pierwszy. Przeistacza również osoby: poeta staje się handlarzem, prawnik artystą i t. p. Ztąd to ogromna praca i niesłychane trudności do zwalczania. Trzeba żelaznej woli, aby wybrnąć zwycięzko.”

Z nieprzeliczonych opowieści o Dumasi wybieramy szczególnie zapisany w dziele Tańskiego p. t.: „Pięćdziesiąt lat wygnania,” z osobistych wysnuły wspomnień.

„Byłem na obiedzie u lady Hamilton, mówi Tański, kiedy dwaj koryfeusze, którzy w te czasy niesłychaniej używali wziętości tak w Paryżu jak i w Londynie, hrabia d'Orsay i Aleksander Dumas, przybyli zaproszeni wraz ze mną. Tylko co obaj powrócili z Londynu, gdzie ich arystokracja z gorącym przyjmowała zapałem. Podczas uczyty nadzwyczaj byli ożywieni, słowa ich sypały się jak race.

„Utrzymują w Paryżu, zagadnął Dumas, że królowie ustępują dziś z pola. Wierutne bajki! W każdym razie poza kanałem „la Manche” królowie odbierają cześć niezrównaną. „Oto król, prawdziwy król, dodał ukazując d'Orsaya; wszyscy poddani ślepo go naśladują. Ilekroć pokazał się konno w Hyde-Parku, czy też powozem na ulicy, czy w klubie wieczorem, wszystkich oczy zwracały się ku nie-

mu. Każdy „Gentleman” ubierał się, kłaniał, mówił, chodził jak d’Orsay, inaczej byłby zgubionym w świecie mody.

„Nie ja-to królem, ale on, rzecze d’Orsay, ukazując Dumasa; niechże Bóg uchwala Francją od takiego jak on monarchy. To samolub głuchy na głos ludu! Wsiadaliśmy właśnie na okręt w Douvres, kiedy ziomek nasz, wygnaniec polityczny, osiadły w tém mieście, rzucił się do nóg jego, zapewniając, że może uszczęśliwić go z całą rodziną. Dumas sięga do kieszeni, ale francuz zatrzymuje mu rękę.

— Nie o to idzie!... innéj ja żądam jałmużny, od ciebie słynny ziomek, zawoła błagalnie. Twój dar takby mnie wzbogacił, że mógłbym założyć dom przytułku dla francuzkich wygnańców w Anglii.

— Jakież to dar?—pyta zaciekawiony Dumas.

Na to francuz ukazuje sklep ręką, nad drzwiami był ogromny szyld, przedstawiający marynarza francuzkiego, któremu perukarz obcina włosy.

— Wielki poeta! zawoła, chciéj tylko przekroczyć ten próg, i pozwól gorącemu wielbicielowi twemu obciąć twoje bujne kędziory. Zbiorę je do ostatniego włoska, rozdzielę między tysiące medalionów, do każdego dodam twój portret; nie znależéj jednéj kobiety w trzech królestwach W. Brytanii, któraby nie ozdobiła szyi medalionem autora „Trzech muszkietarów.”

Otóż Dumas odmówił wręcz, nie dał się ubłagać i zostawił całą rodzinę pogrążoną w rozpacz.

Po długiej posusze w teatrach francuzkich ukazał się na scenie Odeonu dramat „Severo Torelli,” który porwał słuchaczów i podniósł Franciszka Coppéego do rzędu pierwszych dramaturgów dzisiejszych. Od lat czterestu poeta zbiera już zasłużone oklaski. „Bezrobocie kowali,” „Przechodzień,” „Skarb,” „Lutnista z Kremony,” dramaciki ulubione paryżanom, nie schodzą dotąd z repertuaru, ale, drobne te perełki, mimo rzeczywistéj wartości swojéj, nie dawały jeszcze miary całej potęgi dramatycznéj, do jakicéj mógł się wznieść Coppée. Krytycy nie przypuszczali nawet, aby mu starczyło technienia na wielki dramat. Raz tylko wystąpił poeta z utworem na szeroką skalę p. t.: „Wojna Stuletnia,” którój bohaterem słynny Duqueselin, ale dramat ten napisany był w kolaboracyi z panem Dartois; metaliczny dźwięk wiersza pokazuje w nim mistrzowskie pióro Coppéego, trudno było zapewnić jednak, czy poeta o własnych pozostawionych siłach, przełamać zdoła wielkie trudności, jakie przedstawia pięcioaktowy utwór. Po tryumfie dzisiejszym nikt o tém powątpiewać nie może.

Dramat odbywa się we Włoszech w r. 1494. Potężna Florencya groźne rozpościera zwierzchnictwo nad Pizą, podległą sobie lenném prawem. Od lat dwudziestu z górą rządzi tu okrutny podesta, rozpasany na wszelkie zbytki kondotier, Barnaba Spinolla; od dwudziestu lat twarzą stopą guciecie nieszczęśliwych Pizanów. Wyrosli

tymczasem z dziecinnych lat synowie ojców pomordowanych lub też wygnanych z kraju. Młodziem tem śmieliej podnosi głowę, że król Francyi, Karol VIII, przedsięwziął właśnie zbrojną wyprawę do Włoch, powołany przez księcia Medyolanu.

Oczy wszystkich zwrócone na młodzieńca, pełnego żaru, gotowego do wszelkich ofiar. Jest nim Severo Torelli. Niedyś ojciec młodziana, szlachetny Gian Battista Torelli, powleczoney był pod pręgierz z dwoma towarzyszami na rozkaz Barnaby Spinolla. Głowy towarzyszków upadły pod toporem; gdy przyszła kolej na Torellego podesta podniósł rękę.

— Puścić go!—zawołał na oprawców.

Zkąd ta łaska człowieka, który nigdy nie przebaczał? Pozostało to tajemnicą; na niej osnuty cały dramat.

Rumieniec gniewu zapalił oblicze Torellego, gdy u stóp pręgiarza postęszął ułaskawiające go słowa.

— Barnabo Spinolli! — zawołał wobec tłumu — przyjmuję twój wyrok! Łaska za łaskę! nie chcę pozostać dłużnym. Wypuszczam z rąk oręż, nie podniosę go przeciw tobie: przysięgam!... ale ta przysięga mnie tylko zobowiązuje. Jeśli będę miał syna, biada ci, okrutniku!

Syn ten przyszedł na świat. Jest nim Severo. Groźba ojca wnet się dopełni. Król Francyi kroczy już przez Alpy, nadzieja zabłysła Pizanom. Wnet uderzy godzina powstania. Hasłem jej będzie śmierć Spinollego. Severo Torelli a z nim młodzi patrycyusze Renzo, Ricardi, Ercole Balbo i Lippo Malatesta związują się uroczystą przysięgą.

Wszyscy czterej klękają w przedsionku katedry, z prawicą w górę podniesioną, przysięgają przed Bogiem. Tak się kończy akt pierwszy.

Severo Torelli wybrany losiem ma zamordować Barnabę Spinollę. W akcie drugim oznajmia to ojcu.

— Ojczel!—woła z uniesieniem—wkrótce u progów pałacu twego, posłyszysz okrzyk oswobodzonych tłumów: „Twój syn, rzekną, spełnił przysięgę!“

Oczy starca zabłysły! W tej chwili wchodzi poważna matrona, Pia Torelli, małżonka patrycyusza, otoczona cziłą powszechną, staje między ojcem a synem.

— Patr! matka twoja,—rzecze ojciec,—musisz wyznać jej tajemnicę, wobec wielkiego niebezpieczeństwa pobłogosławim cię oboje.

— Niebezpieczeństwo? jakie? —pyta strwożona matka.

— To dziecko pomści cześć ojca i oswobodzi Pizę, odrzecz patrycyusz.

— A to jak?

— Zamorduje Spinollę...

— Nigdy! nigdy! to być nie może!—woła matka z rozpaczą.

Ojciec oddala się—pozostaje Pia sama z synem.

— Słuchaj dziecię—rzecze stanowczo—bądź raczej zbrodniarzem

i przeniewiercą, lecz temu człowiekowi niech włos nie spadnie z głowy!

— Matko! żadna siła nie rozwiąże przysięgi mojej.

— Mamże wyznać prawdę, i nie paść trupem ze wstydu i upokorzenia—zawoła matka—nie zabijesz go, Spinolla ojcem twoim!

— On!—zakrzyknie Severo, jak piorunem rażony.

— Tak, on! Pomnij, ten wyrok ułaskawienia pod pręgierzem... Torelli sam jeden ocalony!... Ha, widzę... odgadłeś tajemnicę!

Odgadł ją nieszczęśliwy młodzian. Rozpaczliwy szła ogarnia jego zmysły... patrzy z obrzydzeniem sam na siebie.

Napróżno Pia odwodzi go od krwawego zamachu, on przysiągł; będzie raczej ojcobójcą niżeli świętokradzłą.

W akcie trzecim lud zaczyna się burzyć. Zemsta długo tłumiona wybucha gwałtownie. Na lwach, symbolizujących potęgę Florencyi, skreślono pogróżki przeciw Spinolli. Wściekły z gniewu podesta wygłasza straszny wyrok. Jeśli winowajca nie przyzna się dobrowolnie, dziesięć głów spadnie pod toporem. Zniewagę każdego lwa jeden pizaniec opłaci własną głową. Sewero gotów oddać się na ofiarę, krwią swoją okupić dziesięciu towarzyszków. Śmiercią zakończy walkę toczącą się w rozdartém jego sercu: nie będzie ojcobójcą, nie spełni świętokradztwa. Śmiało przystępuje do Spinolli.

— Szukasz winowajcy?—rzecze—mówię ci, ja nim jestem!

— Ty nie umrzesz—odpowie Spinolla—nie pytaj mnie dlaczego. Gdybym ja wyrzekł słowo, tém słowem zgubiłbym was wszystkich; tém słowem odarłbym ze czci siwy włos ojca twego, okryłbym hańbą twoją matkę i ciebie.

Towarzysze Severa nie pojmują téj łaski; przypominają przywódzcy swemu wykonaną przysięgę.

Czwarty akt odbywa się znów w pałacu Torellich. Wnet uderzy stanowcza godzina. Towarzysze Severa oznajmiają mu, że Barnabo Spinolla znajdzie téj nocy do podziemnej kaplicy w katedralnym kościele. Zakonnik Paolo składa klucz w ręce sprzysiężonych. Severo waha się... zatrwożeni towarzysze pytają, co znaczy to wahanie?

W téjże chwili nadbiega Sandrino, młody złotnik, przynosi Severowi wykonany przez siebie sztylet.

— Kto ten rzymianin w todze, wyrzeźbiony tak cudnie na rękojeści?—zapyta Severo.

— To mąż, którego Piza może pozazdrościć Rzymowi—odpowie Sandrino—to Brutus, morderca Cezara!

Severo chwyta oręż.

— Czekajem na to!—rzecze do towarzyszków. Uwierzycież mi teraz? Idźmy!

W piątym akcie Spinolla wszedł do krypty, u drzwi oddał szpadę zakonnikowi Paolo. Nie wolno z orężem wchodzić do kaplicy, od kąda zbrodnia została tam niegdyś dokonana.

Severo czeka na Spinollę z podniesionym sztyletem; zastępuje drogę wchodzącemu.

— Teraz wytkłómaczmy się, ojcze—zagadnie półgłosem.

— Jakto? tyżbyś wiedział...

— Tak, znam całą tajemnicę, nienawiść moja tém straszliwsza.

— Młodzieńcze!—zawoła Spinolla.

— Nazwij mnie synem, nikczemniku!... drżyj, twój syn musi być piekielną potworą!

Severo jednak pragnie ocalić Pizę bez zbrodni. Skłania Spinollę do ucieczki, niech mu tylko odda miasto i cytadelę.

— Nigdy!—zawoła dumny podesta. Uderz tu jeżeli śmiesz—i ręką odsłania pierś;—ale pamiętaj, widmo ojca ścigać cię nie przestanie.

— A więc bądźmy obaj przekłęci! — woła Severo, podnosząc w górę sztylet.

Nagle, z poza ołtarza wybiega donna Pia; wrywa sztylet z ręki syna, uderza nim Spinollego, a potem topi go w piersi własnej. Spiskowi wypadają z ukrycia.

— Piza oswobodzona!—rzecze Pia konającym głosem... Wyrwałam oręż synowi... Nikczemnik padł z ręki niewieściej. Nie chciałam, aby to dziecko wykarmione mlekiem mojem, splamiło się morderstwem i zostało zabójcą. Ja konam!... spełnij wolę moję — szepcze, zwracając się do syna.

— Cóż mi rozkażesz, matko?

— Milczćć—odrzecze i martwa upada na ziemię.

Na tém kończy się dramat.

Nie podnosimy tu usterek, bez których żadne dzieło sztuki wolnóm być nie może. Pokryły je wielkie zalety dramatyczne, a nade wszystko mistrzowski język i wiersz cudnie wyrzeźbiony, brzmiący metalicznym podźwiękiem.

Coppée, jak utrzymują, ma zamiar przedstawić się na członka Akademii, w miejsce wakujące po Juliuszu Sandeau. „Severo Torelli“ utworze mu niewątpliwie drogę.

Wspominaliśmy już nieraz o działalności Towarzystwa uczniów batiniolskich w Paryżu, o jego miesięcznych zebraniach. Buletyn Towarzystwa tego zrazu wydawany co pół roku, zamienił się teraz na kwartalnik i obejmuje mnóstwo wiadomości, świadczących o ruchu umysłowym w różnych częściach kraju naszego.

Zeszyt listopadowy tylko co opuścił prasę. Rozpoczyna go sprawozdanie z ciekawej pracy p. Lipnickiego, w sierpniowym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej.“ Następnie p. Jasiewicz redaktor „Buletynu,“ rozbiera krytycznie rozprawę p. Vachon, o której mówiliśmy w ostatniej kronice; wytyka bardzo trafnie zawarte w niej brednie i sprzeczności. W takichto okolicznościach pismo rodaków naszych, redagowane po francuzku, staje się prawdziwie pożytecznóm, wołając: „bacz-

ność“ na zarozumiałych francuzów, gotowych rozprawić na chybił trafił o rzeczach całkiem obcych dla siebie.

Czytamy dalej ważną rozprawę p. t.: „Dania i Polska za ministerstwa hr. Bernstorfa.“ Rzecz to wysnuta z ministeryalnych korespondencyi, wydanych w dwóch tomach w Kopenhadze, przez p. Vedel. Hrabia Bernstorf wszedł do służby w roku 1732; był ministrem spraw zagranicznych od roku 1754—1770. Za życia uważany był jako znakomity mąż stanu; czas jednak zatarł to głośne niegdyś imię; zapomnieli o nim sami nawet historycy, którzy zajmowali się wojną siedmioletnią.

Vedel ogłasza tylko najważniejsze depesze, dotyczące głównie dziejów Danii. Wiadomo, że sprawa holsztyńsko-szlezwicka, wstrząsnęła wtedy do gruntu posadami państwa, co nadaje wielką wagę tym korespondencyom w oczach patriotów duńskich. Ale wyższy umysł Bernstorfa ogarniał szeroki widnokrąg. Jakkolwiek Dania skutkiem traktatu w Hubertsburgu odsuniętą była od spraw europejskich w roku 1763, Bernstorf zapaścił przenikliwy wzrok w przyszłość, śledził pilnie wzajemne stosunki państw, pragnął całą siłą odwrócić wypadki, jakie spełnić się miały. Z trwogą patrzył na nową potęgę, nagle zbudzoną do życia w Północnych Niemczech, słusznie obawiał się jej wpływu. W roku 1758 pisze do pośta francuzkiego de Cheusses przy dworze holenderskim te znaczące słowa: „Austria i Francya wstrzymane już własnym ciężarem, nie mogą poruszać się żywo i zuchwale jak dawniej. Porównywan je do ciał zatyłych i ociężałych, w których nie już nie budzi zapału: ani obawa, ani chciwość. Monarchia pruska przeciwnie, to ciało młode, niesyte łupów, miotające się żywo i gwałtownie; pragnie nabrać téj tuszy, jakiej używają współzawodnicy.“

— Na kimże je zdobędzie?—pyta przenikliwy minister.

W dalszych ustępach z korespondencyi widzimy rozwijający się dramat dziejowy przed oczyma strwożonego Bernstorfa. Nie możemy zatrzymywać się nad tém. W roku 1770 minister opuścił służbę publiczną, umarł w dwa lata później, w samą chwilę rozwiązania dramatu.

Dowiadujemy się z „Buletyuu“ o nowych publikacyach angielskich w Londynie, poświęconych rzeczom polskim. Do tych należy popularna historia Polski, wydana w angielskim języku przez p. Kaliksta Wolskiego, p. t.: „Poland, her glory, her sufferings, and her overthrow.“ Wyszedł tu także przekład dwutomowego dzieła p. Ludwika Niemojowskiego, drukowanego w Warszawie p. t.: „Siberians pictures“ (Obrazy sybirskie).

Od maja do zimy otwarta była w Londynie międzynarodowa wystawa rybołówstwa. Szczególną uwagę zwrócili tam modele i plany różnych zakładów piscikultury, urządzonych w kraju naszym staraniem p. Girdwojna. Podwakroć „London Gazette“ chlubnie wspomni-

na imię ziomka naszego. Otrzymał on dwa dyplomy honorowe: jeden za kolekcją pasożytów, drugi za prace ichtyologiczne.

Pan Wacław Gasztowtt zdaje sprawę z licznych przekładów poezji polskich na język czeski. Dawniejsze nieco przekłady Bohdana Zaleskiego przez Pokornego, „Pana Tadeusza“ przez panią Elizę Krasnohorską, Słowackiego przez Ottona Mokry, Zygmunta Krasińskiego przez Kwopila, żywo zajęły Czechów i dały im pobudkę do przyswojenia sobie innych skarbów poetycznej literatury naszej. Powstała więc w Pradze nowa publikacja peryodyczna p. t.: „Kwiaty z łąk polskich;“ przekłady w niej dokonane są pięknym piórem Jana Nečas.

Wyszło dotąd cztery zeszyty, każdy ozdobiony portretem jednego z poetów. Pierwszy poświęcony Władysławowi Syrokomli, obejmuje trzy jego poematy: „Spór o kopce graniczne,“ „Pan Marek w piekle“ i „Zebtrak.“ Poemaciki te pełne humorystyki i oryginalności, nie straciły w wolnym, ale poetycznym przekładzie.

Drugi zeszyt nosi tytuł: „Wybór poezji Kornela Ujejskiego.“ Obok pieśni narodowych, są tam poezje biblijne „Jeremiasz“ i „Agar na puszczy;“ mały poemacik „Pogrzeb Kościuszki,“ wspaniały rapsod „Marathon“ i kilka drobniejszych utworów.

W trzecim zeszycie znajdujemy sympatyczne pieśni Konstantyna Gaszyńskiego, niegdyś związanego ścisłą przyjaźnią z Zygmuntem Krasińskim. Jestto pełna wdzięku naiwnego „Sielanka młodości,“ „Grób Sułkowskiego w Egipcie,“ „Śmierć żołnierza“ i „Czarna sukienka.“

Czwarty zeszyt obejmuje przekład ballady Mickiewicza: „Tukay,“ z dopełnieniem A. E. Odyńca.

Poza obrębem tej publikacji wyszły także w tłumaczeniu Nečasa dwa poematy Syrokomli: „Ułas“ i „Marger,“ ballady Mickiewicza: „Trzej Budrysy,“ „Pani Twardowska“ i inne; „Marya“ Malczewskiego w bardzo ozdobnym wydaniu.

Tenże sam wydawca Kober drukuje także popularny zbiór tanich książeczek, po 10 grajcarów tomik; w tej publikacji autorowie polscy ważne zajmują miejsce. Są tu dawne utwory Zygmunta Krasińskiego: „Grób rodziny Reichstall,“ „Zamek Wilczka,“ „Gastold,“ „Teodor, król lasów,“ przekładu M. Fricza; „Przyjaciele Joba,“ komedia Adama Asnyka, przekładu Schwaba-Połańskiego; „Smutne małżeństwo,“ powieść pani Waleryi Marréne, w tłumaczeniu Jelinka; komedia p. Zaleskiego: „Spudłowali,“ przekład Howorka; nakoniec „Dzieci Justyny,“ powieść Bałuckiego, przekład Konerza.

Wyszła zarówno u Kobera powieść Kraszewskiego: „Bez serca,“ obraz bardzo niepochebny wyższego społeczeństwa w Wiedniu i Berlinie.

Kwopil przetłumaczył inną powieść Kraszewskiego: „Dziennik starca.“ Ten tom rozpoczyna seryą przekładów powieściopisarza naszego; pracę tę podjęli najzdolniejsi pisarze.

Z oryginalnych dzieł czeskich p. Gasztowtt cytuje wydane świe-

że dwa poematy Jarosława Vrchlickiego: „Sfinks,” poemat filozoficzny, pełen, jak mówi sprawozdawca, głębokich poglądów, odznaczający się wytworną formą, i „Stare wieści,” zbiór legend starożytnych i średnio-wiecznych.

P. Kwopil wydał „Śpiewy książęce,” zaczerpnięte z legend i popularnych dumek małoruskich. Alois Skampa ogłosił zbiór poetycznych obrazków p. t.: „Malowidła i pieśni.”

Vrchlicki objął niedawno redakcją ilustrowanego Tygodnika „Swietozor,” poświęconego literaturze i sztukom pięknym. Szeroki dział zajmuje tu Polska. Numer z 7-go września ozdobiony pięknym portretem Jana Sobieskiego; dodano do tego szczegółowy opis wyprawy wiedeńskiej i plan pamiętnej bitwy.

Znajdujemy nakoniec w Buletynie ciekawą wzmiankę o domu Adama Mickiewicza w Konstantynopolu. Dom ten, w którym umarł wielki poeta 26 listopada 1855 r., poszedł w perzynę w czasie pożaru na przedmieściu Pera w r. 1870. List p. Rutyńskiego, dawnego ucznia szkoły batińskijskiej, daje ciekawe w tym względzie objaśnienia.

„Jedyną pamiątką po wieszczu naszym, pisze p. Rutyński, pozostał tylko grunt, na którym umarł i ulica nazwana ulicą Adama. Moj ojciec kazał zbudować nowy dom na miejscu dawnego i położyć nad głównymi drzwiami tablicę pamiątkową. Co się tyczy ulicy, mieszkańcy tutejsi utrzymują, że nazwa Adama daną jej była z powodu tak szczupłych rozmiarów, że jeden tylko człowiek przechodzić nią może (Adam po turecku znaczy: człowiek). Nie ma w tym prawdy, nazwiska bowiem wszystkich ulic w Pera dane były przez inżynierów polskich, a ci nazwali ulicę Adama na pamiątkę wielkiego poety Mickiewicza.”

Pomiędzy uczonymi ziomkami, którzy przebywają w Paryżu dla badań naukowych, uważamy za obowiązek odznaczyć tu d-ra Karola Merwarta, wytrwałego pracownika na polu filologii. Przed laty kilku, młody ten profesor rozpoczął w Wiedniu zawód literacki wydaniem dziełka p. t.: „Erster Zusammenstoss Polens mit Deutschland.” Praca ta zwróciła uwagę krytyków niemieckich; podnieśli w niej styl jasny, zwięzły i głęboką erudycją. Kraszewski ze swęj strony pobłogosławił listem autorowi „na tę chlubną drogę, na której służąc muzom i krajowi, podwójną sławę zyska.”

Następnie dr. Merwart oddał się wyłącznie studjom romanistycznym. Dwie jego broszury: „Grammatikalische Untersuchungen“ z r. 1880 i „Verbalflexion“ z r. 1882, obie czerpane z „Czterech ksiąg królów,” zyskały rozgłos pomiędzy filologami w Wiedniu i Pradze i stały się przedmiotem rozpraw w licznych przeglądach i dziennikach niemieckich.

Wysłany do Paryża przez ministeryum w r. 1882, dr. Merwart wydał broszurę o poezjach filozoficznych pani Ackerman p. t.: „Eine

Erzessimistin.“ Broszura ta żywo zajęła umysły i zaciętą wywołała polemikę.

Obecnie rząd austriacki wysłał powtórnie uczonego lingwistę na rok cały do Paryża, gdzie, jak wiadomo, Biblioteka narodowa posiada niewyczerpane skarby w pomnikach romańskiej literatury. Tu dr. Merwart pracuje nad dziełem lingwistycznym: „De la permutation des expressions latines, dans les dialectes romans, étude etymologique et psychologique.“ Pracę tę ma wydać w dwóch językach: niemieckim i francuskim.

O ile wiemy, uczonego nasz przysposabia się na profesora literatury romańskiej w uniwersytecie lwowskim. Przyklaskujemy szczerze temu kierunkowi prac, tak mało u nas uprawianych. Wiadomo, że w niemieckich uniwersytetach wiele istnieje katedr poświęconych specjalnie temu przedmiotowi. Francuzi widzą w tém ze strony Niemców chęć popierania dążeń separatystycznych w mieszkańcach południowej Francji. My, patrząc bezstronnie na tę walkę, widzimy w rzeczy samej coraz silniejszy popęd prowincji francuzkich, a mianowicie południowych, ku decentralizacji, to jest do zerwania ciężącego im jarzma paryzkiego, nie przypuszczamy w tém jednak niebezpieczeństwa. Jest to konieczność historyczna dla ludów cywilizacji aryjsko-europejskiej. Cywilizacja ta polega na wyrobieniu indywidualizmu i na ustroju federacyjnym; dla niej więc systemat centralistyczny Ludwika XIV-go i głośne jego orzeczenie: l'Etat c'est moi, były gwałtem i zaprzeczeniem całej historycznej przeszłości.

Dr. Merwart posłyszysz zapewne głos niejednego zapytującego: „a co nas obchodzi literatura romańska? Inna rzecz co do Niemców, tym wolno i zbyt kochać w rozrywkach naukowych, są na to dość bogaci.“ Błędne to zapatrywanie! Nam nie godzi się odgraniczać chińskim murem od dalszej Europy, jesteśmy bowiem jej częścią składową tak pod względem geografii, jak etnografii i historii. Ileż-to światła nowego rzuci profesor literatury romańskiej na rozwój cywilizacji naszej, podnosząc i oceniając w sposób systematyczny te rozprzeczłe szczątki romanizmu, zapisane przez Wiśniewskiego i innych historyków literatury polskiej; ileż-to nowych odkryje dowodów tej jedności cywilizacyjnej, która nas łączyła z południową Francją w świetnej epoce trubadurów!

Imię naszego znakomitego artysty Andriollego coraz to świetniej błyszczy w Paryżu. Wielcy wydawcy kołaczą bezustanku w jego progi, domagając się coraz nowych utworów, aby ozdobić niemi przedsięwzięte publikacje. Sami nie wiemy doprawdy, co więcej podziwiać w mistrzu naszym: czy tę genialną twórczość, rozpryskującą się w tysiące barwnych iskier, czy też ową niez mordowaną pracę w sumienném zbadaniu każdego przedmiotu, do jakiego przyłoży rękę.

Pomijając różne zaprojektowane wydawnictwa, wyliczymy te tylko, do których p. Andriolli stanowczo się już zobowiązał. Dla Didota

ma ilustrować trzy dalsze tomy „Mohikanów,” a co ważniejsza, pomnikową publikacją: „Arcydzieła Szekspira” w ogromnym formacie. W ostatnich czasach wydawcy tutejsi zarzucili wielkie formaty, wymagające wielkich kosztów; Didot uczynił jednak ustępstwo, na wyraźne żądanie p. Andriollego. Pyszna publikacja rozpocznie się od Romca i Julietty.

Inni nakładcy przedsięwzięli ozdobne wydawnictwo utworów Wiktora Hugo. P. Andriolli przyjął na siebie ilustracją trzech dzieł: „Le Chatiment,” „L'art d'être Grand Pire” i „Le Beau Pecopin.” Oprócz tego za trzy miesiące ma stanąć umowa o pierwszą seryą „Legendy Wicków,” w bardzo ozdobnym wydaniu. Zwłoka spowodowana tём, że dwie firmy: Hachette i Dalon, współubiegają się dotąd o tę wspaniałą publikację.

Redaktorowie pism ilustrowanych zamówili również u artysty naszego rysunki do wszystkich dramatów Wiktora Hugo w ogromnych rozmiarach, obejmujących dwie stronnice dziennika.

Mame, wielki wydawca z Tours, przedsięwzięje nową edycją „Joanny d'Arc,” objętą w dwunastu kartonach; z tych trzy powierzył p. Andriollemu. Powołani do téjże pracy pierwsi mistrze pędzla francuzkiego: Meissonnier, Olivier Merson, Juliusz Breton, Paweł Laurent i Baudry.

Chlubimy się tą niestychaną wziętością artysty naszego tём więcej, że mimo tylu olbrzymich prac, znajduje czas na zasilanie pism warszawskich tak mistrzowskimi utworami, jak ów Niedźwiedź przydybany w lesie, w Tygodniku Powszechnym. Niedźwiedzia tego wyrysował p. Andriolli w gabinecie Didota, ze zdumieniem obecnych temu francuzów.

O WŁASNEJ SILE,
KOMEDIA W TRZECH AKTACH WIERSZEM,
ORYGINALNIE NAPISANA

PRZEZ

Juliana Adolfa Święcickiego.

JANOWI KRÓLIKOWSKIEMU,
W CZTERDZIESTOPIĘCIOLETNIĄ ROCZNICĘ
ZNAKOMITEJ DZIAŁALNOŚCI NA SCENIE POLSKIEJ.

Autor.

OSOBY:

—
DRZYMSKI, b. obywatel ziemski.
DRZYMSKA, jego żona.
WANDA } ich dzieci.
ALFRED }
MARYLKA, ich wychowanka.
BRYGIDA, siostra Drzymiskiej.
HENRYK OPOCKI.
HR. GROMSKI.
PASTERNAK, dorobkiewicz.
DYDAK, jego syn.
Lokaj, dziewczęta z warsztatu.

Rzecz w Warszawie, w mieszkaniu Drzymskich. Pomiedzy 2 a 3 aktem upły-
nęły dwa lata.

AKT I.

Scena przedstawia gabinet do pracy z gustem umeblowany, na środku stół pełen dzienników i książek; drzwi w głębi i po lewej od widzów.

Scena I.

WANDA. — MARYLKA.

WANDA (*czyta*).

„Znakomitą działalność pisarską Franklin rozpoczął od wydania małej książeczki, w której nauczał, jaką drogą człowiek biedny zostać może bogatym i z niczego wyźwignąć się na wyższe stanowisko.”

MARYLKA (*siedząc u stóp Wandy, budzi się z zamyślenia*).

Przepraszam... Kto tak uczył?

WANDA.

Franklin.

MARYLKA (*wpadając znów w zadumę*).

I cóż dalej?

WANDA (*czyta*).

„Zasady moralności i społecznego porządku rozpowszechnić miał za zadanie almanach ludowy, Franklin zaczął go wydawać w roku 1732.”

MARYLKA (*znów się budząc*).

Co wydawał?

WANDA.

Kalendarz; wszakżeśmy czytali.

(*Czyta*) „A więc w epoce, gdy się już dał poznać jako fizyk doświadczalny.”

MARYLKA.

Kto, kalendarz, Wandeczko?...

WANDA.

Zmiłuj się dziewczyno,
Tak mówisz jak elewki, co z nieuctwa słyną.

MARYLKA.

Chwilowe roztargnienie.

WANDA.

Pierwszy raz się zdarza.

MARYLKA.

Takbo trudno za myślą biedz tego pisarza.

WANDA.

Zapewne, zwłaszcza wtedy, szczebiotko ty hoża,
Kiedy własna myśl nasza ucieka w przestworza.

MARYLKA (*zmuszając się do uśmiechu*).

Wybacz mój niewadze...

WANDA.

Marylko, co tobie?

Uśmiech twój taki smętny jak kwiaty na grobie.
Dotąd przywykłam zawsze widzieć cię wesołą,
A dziś łezki masz w oczach i pochmurne czoło;
Roztargnienie twe, troskę objawia tajemną (*z czułością*),
Marylko, dotąd wszystkiém dzieliłaś się ze mną,
Bądź i nadal dla starszej siostrzyczki otwartą,
Może to przywidzenie, co smutku nie warto; (*po chwili*)
Niegodnam zaufania!

MARYLKA (*żywo*).

O ja nieszczęśliwa!

Wandziu moja, to słowo jak grom mię przeszywa;
Wszakże tyś mi na ziemi pociechą jedyną,
Lecz właśnie dobroć wasza trosk moich przyczyną.

WANDA (*z oburzeniem*):

Marylko! twojeż usta wyrzekły te słowa?
O! brak serca u ludzi, wszak to rzecz nie nowa!

MARYLKA.

Siostrzo moja, powstrzymaj wyrok potępienia:
Nic serca mego dla was nie ziębi, nie zmienia,
Lecz czy można się dziwić, że w sierocój doli,
Pod naciskiem zwątpienia to serce zaboli.
Że jakiś straszny zamęt sroży się w mój głowic.

WANDA (*łagodniej*).

O! nic cię nie tłómaczy. Wszak nasi ojcowie
Od dzieciństwa w serdeczne złączeni ogniwo,

Razem przeżyli troski i dołę szczęśliwą.
 Ojciec twój pierwszy umarł—jest się dziwić czemu,
 Że konając, sierotę oddał ojcu memu,
 Że twą przyszłość wraz z mieniem złożył w jego dłonie.
 Dla ojczulka mojego po kolegi zgonie,
 Ty byłaś razem z nami szczęściem i pociechą,
 Bo w tobie czcił najmiłsze przyjaźni swój echo.
 To tylko wieczną troskę w sercu jego budzi,
 Że majątek twój w rękach nieuczciwych ludzi,
 Że go trzeba procesem wyrwać od zraty,
 Gdy wszystkiego zaprzecza przeciwnik bogaty.
 I już nas nie rozdzielał odtąd Bóg łaskawy:
 Razem szłyśmy do książki, razem do zabawy,
 Zdało się, że sympaty nieprzeparta siła
 Skonawszy w piersiach ojców, w ich dzieciach odżyła.
 Złudzeniem jednak była ta harmonia błoga,
 Bo dzisiaj...

MARYLKA.

Wandziu, nie kończ, o! nie kończ, przez Boga,
 Z pokorą zebrzę łaski, ukarż mię surowo,
 Tylko nie gardź sierotą, pokochaj nanowo,
 I cierpiącej spojrzenie rzuć trochę łaskawsze.

WANDA (*łagodnie*).

A przyrzekasz poprawę?

MARYLKA (*składając ręce*).

Przysięgam nazawsze!

WANDA (*poważnie*).

Więc przebaczam.

MARYLKA (*ze smutkiem*).

O! dzięki, moja ty matrono.

WANDA.

Lecz znowu masz, jak widzę, minkę zasmuconą?

MARYLKA.

Bo to jeszcze nie wszystko.

WANDA.

Nie wszystko? Cóż więcéj,
 Pewnie w nowém wydaniu... kapryśnik dziecięcy.

MARYLKA.

To nie kaprys, Wandeczko, nie kapryśnik, ale...
Ty przecież to rozumiesz...

WANDA.

Nie rozumiem wcale.

Mów jaśniej.

MARYLKA (*spuszczając oczy*).

To pan Alfred...

WANDA.

Obraził cię może?...

MARYLKA.

Co też ty mówisz Wandziu, obraził!? broń Boże!
Ale...

WANDA.

Czyli ci słowa z duszy nie wybiegą?

MARYLKA (*nieśmiało*).

Ja go kocham!...

WANDA (*w osłupieniu*).

Alfreda? a toż co nowego?!

MARYLKA (*naiwnie*).

Wandziu, siostrzyczko moja, jakaś ty zabawna,
To nie nowe... ja przecież kocham go oddawna!...

WANDA.

Boże wielki, cóż się to dzieje na tym świecie (*z naciskiem*):
Ona go kocha oddawna!... Co ten dzieciak plecie!
A wieszże ty co paplesz w swój dziecięcą dumie?

MARYLKA.

Że go kocham.

WANDA.

Alfreda?!

MARYLKA.

No, to się rozumie!
Ja kocham twego brata, śliczna ty królewno.
Tak mi się zresztą zdaje, bo nie wiem napewno.

WANDA.

Zkąd wnosisz, że to miłość tve serce przenika?...

MARYLKA (*naiwnie*).

Zkąd?... z ciebie.

WANDA (*zdumiona*).

Ze mnie?...

MARYLKA (*poprawiając się*).

Gdzie tam! to z pana Henryka.

WANDA (*j. w.*).

Z Henryka? Nie, ja skonał!... ha! to szczyt rozpaczy!...
Zkądże ci się znów Henryk po głowie majaczy!

MARYLKA.

Oto chciałam powiedzieć, że w snów moich niebie,
Alfred tém dla Marylki, czém Henryk dla ciebie.

WANDA (*zmieszana*).

Tak? no proszę!... to znowu jakiś sen proroczy.

MARYLKA.

Gdzieżtam sen... przecież widzę... od czegoż mam oczy!...
Kiedy głosu Henryka rozlegną się brzmienia,
Wandzia moja z lilijki w piwonię się zmienia;
Akurat mię ta sama prześladuje biéda,
Że się przemieniam w burak, ujrzawszy Alfreda.
Jeśli się zaś wydarzy nie widzieć go we dnie,
To znów blada lilijka jeszcze bardziej blednie...
Tak samo gdy mnie Alfred zawiedzie marzącą,
Raz mi się zimno robi, drugi raz gorąco!...
Albo i to naprzykład: głową swoją ręcę,
Że się zawsze w Henryka wpatrujesz jak w tęczę.

(*Widząc wzrastającą niecierpliwóść Wandy*).

Ależ mnie to nie dziwi, gołąbko ty biała,
Bo i ja na Alfreda wieczniebym patrzała!...
Albo przez sen...

WANDA (*znieczierpliwiona*).

Marylko, skończ płóche wyrazy.

MARYLKA.

Przez sen, imię Henryka powtarzasz sto razy
I mnie tego z pewnością kto zechce dowiedzie,
Bo nim zasnę, to długo myślę o Alfredzie!
Teraz powiedz mi, Wandziu, jak to się nazywa,
Czy to miłość?

WANDA (*ze smutkiem*).

Cóż ja ci powiem, nieszczęśliwa?
To chyba, że do zguby biegniesz niezawodnie.

MARYLKA.

A to czemu?

WANDA (*po chwili wahania*).

Bo Alfred jest ciebie niegodny!
Straszna to rzecz o bracie takie głosić słowa...
Lecz może cię ta szczerłość od zguby zachowa!..

MARYLKA.

Co ty mówisz, Wandeczko?

WANDA.

Ha! prawdę niestety!
Świat wydarł z jego duszy dawniejsze zalety,
I wciska w nią gwałtownie straszne jakieś męty.
Znikła miłość dla pracy... wiedzy zapal święty!...
Bóg jest celem sztyderstwa... śmiesznością rodzina,
Rodziców lekceważy... o nas zapomina!...
Straciwszy własne mienie, cudzy grosz wydaje,
By karmić i rozpijać pasożytów zgraje,
Co w przepaści występku ohydnie go wiodą:
Grać w karty, pić szampana i gonić za modą,
Oto straszny cel życia naszego Alfreda!..

MARYLKA.

Wandeczko, czy on nigdy poprawić się nie da?

WANDA.

Ani myśleć!... Któż zresztą poprawy dokona,
Gdy ojciec zbyt go kocha... matka zaślepiona!..

MARYLKA.

A ty, Wandziu, wszak dawniej on kochał cię szczerze.

WANDA.

O! żartujesz, Marylko!.. On kochał?.. nie wierzę!..
 Gdy smutną koniecznością działać przymuszona,
 Chciałam wyrwać go prośbą z nikczemników grona,
 Z którymi oślepień spieszy w występku otchłanie,
 Sądzisz, że go wzruszyło siostrzyne błaganie?...
 Kiedym, tłumiąc ból w piersiach, nieszczęściem złamana,
 Przed nim, w bezmiarze cierpień, padła na kolana,
 Żebrząc, by rodzinnego nie targał ognia...
 Czy wiesz, co mi powiedział?

MARYLKA.

Cóż?

WANDA.

Że jestem cikliwa.

MARYLKA.

We mnie jeszcze nadziei promyk nie zamiera.

WANDA.

Szczęść Boże!..

MARYLKA.

O! poszczęści!..

WANDA (*biorąc książkę do ręki*).

Wróćmy do Szlosera!

(*czyta*) „Wzmiankowany almanach północno-amerykańskich pojęć o oszczędności i zarobkowaniu (*wchodzi Henryk niepostrzeżony i przysłuchuje się czytaniu*), znany pod nazwą Almanacha biédnego Ryszarda, przez lat 25 rozchodził się w 10,000 egzemplarzów...”

MARYLKA (*z rozpaczą*).

Wandziu moja, nic nie wiem, coś teraz czytała.

WANDA.

Oh! Jesteś niepoprawna, Heloizo ty mała!
 To tylko bardzo wielkiój...

Scena 2.

Ciż.—HENRYK.

HENRYK (*podchwytyjąc*).

Szczerości dowodził...

WANDA i MARYLKA (*przestraszone*).

Pan Henryk!...

WANDA.

O! tak cicho wchodzić się nie godzi.

HENRYK.

Któż winien, że posadzka okryta dywanem!...

MARYLKA (*z udanym oburzeniem*).

I że się słów dziewiczych chciało zostać panem!

HENRYK.

Broń Boże! Skoro panie zaczęły rozmowę,
Przerwałem...

MARYLKA.

Tłómaczenie jest zawsze gotowe.

HENRYK.

Muszę przecież się bronić.

WANDA (*z uśmiechem podając mu rękę*).

Że ze skutkiem!... I przyznać wypadą,

HENRYK.

Dziękuję.

WANDA (*siadając*).

Czemu pan nie siada?

HENRYK (*siadając*).

Panie zawsze przy pracy?...

WANDA.

Czy pana to dziwi?

HENRYK.

Bynajmniej!... ludzie tylko przy pracy szczęśliwi.

WANDA.

Zrozumiawszy gruntownie tę myśl pana wzniosłą,
Uprawiamy naprzemian książkę lub rzemiosło!

MARYLKA (*uderzając w rękę*).

Aha!... dobrze, Wandeczko, żoś mi przypomniała,
Biegnę śpiesznie... (*wychodzi szybko*).

Scena 3.

HENRYK (*z uśmiechem*).

Żart jakiś?...

WANDA.

Tajemnica mała!

(*po chwili, jakby z wymówką*):

Tak pan dawno już nie był?... czy zdrowie nie służy?

HENRYK (*smutno*).

Musiąłem się do blizkiej sposobić podróży.

WANDA (*z widocznym wzruszeniem*).

Pan wyjeżdża?...

HENRYK (*j. w.*).

Dziś państwa pożegnać przychodzę.

WANDA (*coraz bardziej bledniejąc*).

Czy na długo?...

HENRYK.

Dwa lata zejdzie mi w tej drodze.

WANDA.

Daleko?...

HENRYK.

Mam wyprawę odbyć naukową
Za granicę.

WANDA (*przeżazona, jakby do siebie*).

Sen chyba!

HENRYK.

Co znaczy to słowo?

WANDA (*hamując się*).

A czy wolno zapytać o powód rozstania?...

HENRYK.

Przyszłość cała do takiej wycieczki mię skłania.

WANDA (*ze łzami, jakby do siebie*).

Za granicę!.. dwa lata!.. cóż z nami się stanie?..

HENRYK.

Nie rozumiem!..

WANDA (*opamiętywując się*).

Wybacz pan to śmieszne pytanie!

Sama nie wiem, co mówię... ta niespodziewana...

Wiesz przyczyną... O! tęskno tu będzie bez pana!..

HENRYK.

O! pani!.. temu szczęściu zawierzyć mi trudno!..

Możnaż tęsknić za jedną znajomością nudną.

WANDA.

Z tej teorii wnioskuje, oddając wet za wet,

Że pan o domu naszym nie pomyślisz nawet, (*z naciskiem*):

Mniej nudnych znajomości zrobiwszy bez liku.

HENRYK.

To żarty, panno Wando!..

WANDA (*plącząc*).

Nie, panie Henrykul..

HENRYK.

Zkąd te łzy?..

WANDA.

Bóg nie wszystkich jedną darzy siłą.

Wybacz pan, na łzy patrzeć, wiem, że to nie miło!..

Ale płacz mój nikogo nie powinien dziwić...

Wyjazd pański nie mógł mię przecie uszczęśliwić...

To każdy z mojej duszy wyczyta otwartéj!..

Tyle panu zawdzięczam!..

HENRYK.

O! to nowe żarty!

WANDA (*jakby do siebie*).

Czwarta wiosna!.. Pamiętam, jak przed trzema laty

Przebył pan poraz pierwszy progi naszej chaty,

Właśnie mówiono wtedy, żem panna skończona,
 Z dzieł naszych znałam Pola, z obcych Robinsona.
 Boga przez *u* pisałam, krew przez *f* czasami;
 Lecz za to francuzkami dumna wyrazami,
 Szczodrze takiej wymowy rozsiewałam czary,
 Jakiéjby się powstydził wieśniak z nad Loary.
 Prócz tego, w towarzystwie najliczniej zebraném
 Umiałam torturować gości... fortepianem.
 Albo téż na młodzieży gorące życzenia
 Biédną „prządkę” Moniuszki szpecił bez sumienia.
 O! pan przecie pamięta ów koncert wioskowy,
 Wszakże nic nie dodaję?...

HENRYK.

Obraz zbyt surowy!..

WANDA.

Jeśli nikt mi o pracy nie wspomniał za młodu,
 Za to wiele wiedziałam o szlachectwie rodu:
 Że kiedy się jest panną dobrze urodzoną,
 Karmazyna jedynie można zostać żoną.
 Że kręcić się po kuchni, dotknąć pogrzebacza,
 Pannie dobrego tonu szo kuje, uwłacza...
 Pan pierwszy rozbudziłeś w ducha mego głębi
 Zapal czynu, którego nic już nie wyziębi...
 Żyć bezmyślnie, mówić, to hańba i zbrodnia!..
 Kobiętę wieść powinno, jak gwiazda przewodnia,
 Uczucie postannictwa świętego na ziemi:
 Ona ludzkość rękami piastuje drobnemi,
 Ona-to, „puch ten marny“ i „chochlik skrzydlaty,“
 Śród ścian czterech swém tchnieniem wychowuje światy!
 I gdy wiedzą bogata, duchem nieskalana,
 Łączy słodycz aniołów z potęgą Tytana!..
 O! Ewy nie przeraził tak głos Boga żywy,
 Jak mnie własnej nagości ten obraz straszliwy!

HENRYK (*wzruszony*).

Zbyt pani potęguje wpływ mój i przecenia...

WANDA.

Któż, jak nie pan, dokonał mego odrodzenia?
 Ujrawszy wstyd mój wielki, nauki pragnienie,
 Wskazałeś mi pan wiedzy ożywczej strumienie,
 Z których pod okiem pana czerpiąc przez trzy lata,
 Jest już dzisiaj człowiekiem poczwarka skrzydłata.

Prócz tego, gdy nieszczęście tutaj nas przyniosło,
 Radziłeś, okrom książki, uprawiać rzemiosło.
 Lecz gdy matka ze wstretiem ten projekt przyjęła,
 Trzeba było tajemnie dokonywać dzieła;
 I dzisiaj potrafimy, dumne z tój potęgi:
 Marylka szyć trzewiki; ja oprawiać księgi!
 Odtąd czy mi Bóg smutną, czy dołą wesolą
 Przeznaczył, dziś z godnością każdój stawię czoło.
 A wszystko dzięki panu!... Serce mi się krwawi,
 Gdy pomyślę!... Ha! jedź pan, niech Bóg błogostawi!

HENRYK.

Dość tego! to nad siły moje, wielki Boże!..
 Na mnie kolój przed panią zgiąć głowę w pokorze,
 I raz koniec położyć piekielnej katuszy,
 Ja panią kocham całą potęgą mój duszy.

WANDA (z gwałtowną radością).

Pan mię kochasz? Ha! mamże zaufać słuchowi!
 Ty kochasz?... Szczęścia mego nic już nie wysłowi!

(nagle opamiętawszy się): Pan jedziesz?...

HENRYK (biorąc ją za rękę).

Muszę, droga, lecz Bóg mi dozwoli
 Wrócić godnym...

Scena 4.

Ciż.—MARYLKA.

MARYLKA (wbiegając z rękami zawiniętymi po łokcie, przy fartuszk—trzymając na rękach ogromną księgę elegancko oprawną i parę trzewiczków)..

Aż język piecze mię od soli!..
 Przepraszam, żem tak wbiegła!

WANDA.

Cóż za rozpacz nowa?..

MARYLKA.

Wandeczko, mnie do grobu wpędzi Wawrzyńcowa!..

WANDA.

A to czemu?..

MARYLKA.

Posłuchaj... przyszło mi do głowy
 Zrobić dzisiaj na obiad omlet biszkoptowy,

Więc mówię słowo w słowo temi wyrazami:
Sześć żółtek rozbić z cukru aż trzema łyżkami,
Dodać mąki trzy łyżki, zbić białka na pianę,
I gdy wszystko ostrożnie będzie wymieszane,
Nalać w płaski rądelek masłem smarowany,
I do pieca!... Piec lekko niech będzie ogrzany!
Zdaje się, że to jasne?...

HENRYK.

Najjaśniejsze w świecie!

WANDA.

I cóż dalej się stało?...

MARYLKA.

Nigdy nie zgadniecie!...
Wawrzyńcowa, wiesz przecie, typ sprzeczności ducha;
Patrzę w rądel: aż tutaj z omletu—prażucha!...

(*Wanda i Henryk śmieją się.*)

Tu śmiać się nie ma czego, to przecież nie żarty;
Mąki zamiast trzech łyżek, włożyła pół kwarty,
Twierdząc, że bez tej miary na nic legomina.
Gdy jej mówię, że nie tak chce pani Lucyna,
Że nic dodać nie można, ani odrobiny,
— Co mi tam, odpowiada, do pani Lucyny,
Wiem, co robię.—W dodatku, ta kucharka miła
Wszystkie dzisiaj potrawy na nic przesoliła,
Gdy właśnie gość przybędzie.

HENRYK.

Cóż na to za rada?

MARYLKA.

Że odtąd częścięj w kuchni przebywać wypada.

WANDA.

Gospoia tak jest sprawą kuchenną zajęta,
Że już o toalecie własnej nie pamięta!...

MARYLKA (*spostzegając swoje rękawy i fartuszek*).

O! biedna moja głowa! Pan Henryk wybaczył!

HENRYK.

Naturalnie!.. zajęcie wszak panią tłumaczy.

MARYLKA.

Zresztą pan wie oddawna, zem ja roztrzepana.

HENRYK (*spojrzawszy na księgę i trzewiki*).

Co to pani tak dźwiga?

MARYLKA.

Prezenty dla pana. (*oddając*).

To od siostrzyczki Wandzi, a to od Maryli.

WANDA.

Oddawna z upragnieniem czekałyśmy chwili,
Aby panu najpierwsze dać rąk naszych płody
Za pomoc i zachętę!...

HENRYK (*wzruszony*).

Zbyt wiele nagrody!

Serdeczne dzięki paniom! (*ogląda księgę*) wspaniała robota!
Co za gust... jaki przepych!...

MARYLKA.

Aż się lśni od złota!

HENRYK.

A i pani też praca, arcydzieło sztuki... (*oglądając*)
Przepyszne! i to wszystko po roku nauki!...

MARYLKA.

Rok i kwartał, mój panie!

HENRYK.

To rzeczy nie zmienia;
Wytrwałość pań, jest godna czci i uwielbienia.

MARYLKA (*odbierając podarunki od Henryka*).

Daj pan, żeby się w ręce nie dostały komu,
Oddam, skoro pan będziesz powracał do domu.

WANDA (*smutno*).

Wiesz, Marylko, pan Henryk rozstaje się z nami.

MARYLKA (*załatwiwszy się z podarunkami z oburzeniem*).

Co znowu? dajże pokój z takimi żartami.

WANDA.

Zwykle ciężko nam własnej uwierzyć niedoli.

MARYLKA.

I pan myślisz, że Wandzia mu na to pozwoli?
Przenigdy!...

WANDA.

Co ty mówisz!... kozak nie dziewczyna.
Marylka jest nieznośna!...

MARYLKA.

To nie moja wina!
Opuszczać nas, rozstawać się z nami! O! Boże!
Któż nam teraz da książek, kto w pracy pomoże!
Kogo teraz w kłopotach spytamy o radę?
I pan już nie przyjedziesz?

HENRYK.

O! gdzież tam, przyjadę!
Rozłączenie trwać będzie tylko przez dwa lata.MARYLKA (*obrażona*).Tylko! Za serca nasze, oto jest zapłata!... (*Do Wandy*):
Zapomnijmy o panu, to najlepiej będzie.

Scena 5.

Cią i ALFRED.

ALFRED (*wchodzi, śpiewając na nutę z Pięknej Heleny*).„Więc kto mi chce oddać cześć,
Niech mi daje prędej jeść!

Tra, hi hi hi, la la la!”

(*spozstrzegając siedzących*)Al może jakiej słodkiej przeszkadzam gawędzie? (*Podaje rękę*)
Witam pana Henryka (*kłania się*) i szanowne panie;(*rozpierając się na kozetce*)Pan Tomasz dał nam dzisiaj książęce śniadanie.
Jużto z czystym sumieniem przyznać mu należy,
Że umiē gust szlachetnej odczuwać młodzieży.(*Wyjmuje z kieszeni dość duże lusterko i grzebyk, a czesząc się, śpiewa dalej półgłosem*):

„Kto jak ja, ograł się,
 Wić, jak mi się jeść chce.
 Więc kto chce mi oddać cześć,
 Niech mi daje prędkiej jeść.
 Tra, hi hi hi, la la la!”

(*Kobiety siedzą jak martwe, widoczna boleść maluje się na ich twarzach*).

HENRYK.

Treść tej śpiewki nam wszystkim wymownie ogłasza,
 Jakbyś pan bardzo dawno nie był u Tomasza.

ALFRED.

Tym razem w przypuszczeniu pan Henryk nie myli,
 Że zjadłbym co, to prawda! Zjadłbym w każdej chwili.
 Cóż więc można robić lepszego na świecie?
 Jeść często... pić co wlezi!... hołdować kobiecie,
 To jedyne oazy na życia pustyni!... (*Nuci*):

Więc kto chce mi oddać cześć,
 Niech mi daje prędkiej jeść! Tra, hi hi hi, la la la!

Któż z pań pełni dzisiaj funkcję gospodyni,
 Czy wolno się zapytać?

WANDA (*nie odwracając się od roboty*).

Ciekawość zbyteczna!...

ALFRED.

Jak widzę, siostra moja jest dziś niebezpieczna,
 Może dowiem się więc z ust panny Maryli?...

MARYLKA (*zimno*).

Obiad wkrótce... już nawet do stołu nakryli.

ALFRED.

Na totusa!... Coś mi się z paniami nie wiedzie...
 Zkądże pani znów przyszło mówić o obiedzie?

WANDA.

Taki był duch pytania, choć inne wyrazy.

MARYLKA.

Chciałam panu dać przedsmak do nowej oazy!..

ALFRED.

Ze słów pani, niech wpadnę na dziewięć bez atu,
Tak złośliwość przebija, jak cierń z róży kwiatu.

DRZYMSKI (*za sceną*).

Obiad gotów? A zupa niech będzie gorąca,
Trzeba czekać, pamdziej u... nie przypał zająca!...

Scena 6.

Ciż, oraz DRZYMSKI i DRZYMSKA wchodzą z prawej strony od sceny.

DRZYMSKA (*pretensjonalnie ubrana—sposzrzegając Henryka*).

Witam! witam! Pan Henryk dawno nie widziany!

DRZYMSKI (*podając rękę Henrykowi*).

Czas, pamdziej u, gdzieś spływa u stóp ukochanej,
Nie dziw, że się przyjaciół starych zapomina.

ALFRED.

Tym razem, wyznać muszę, nie moja w tém wina.

DRZYMSKI (*siadając*).

Jak się miewa, pamdziej u, mój syn pierworodny?

ALFRED (*zły*).

Nie tego!

DRZYMSKA (*troskliwie*).

A to czemu?.. czyś chory?

ALFRED.

Nie! głodny!

DRZYMSKI.

Z twym żołądkiem, pamdziej u, to skaranie Boże!
Jé za sześciu, a nigdy najeść się nie może...
A niechże cię, pamdziej u, wszyscy święci strzegą,
Byś miał kiedy...

ALFRED (*patrząc na zegarek*).

Do czwartéj siedzieć na głodnego!
Zapewne, że to głupio!

DRZYMSKA.

To wstyd dla Alfreda!

ALFRED (*opryskliwie*).

Matka plecie trzy po trzy—wstyd posiłku nie da.
 Każdy musi na świecie spełniać jakąś rolę:
 Matka woli się wstydzić, ja znowu jeść wolę.

(*W czasie téj rozmowy Wanda, Marylka i Henryk trzymają się na stronie, rozmawiając pocichu*).

DRZYMSKI.

O czém-że tak gorąco rozprawiają młodzi?

DRZYMSKA (*z przekąsem*).

Przysięgnę, że o kwestyi, co ludzkość obchodzi;
 Pewnie emancypacja jest znowu na stole?!...

HENRYK.

Nie! co temu, to sobie zaprzeczyć pozwolę.
 Z ust mych nie wybiegł nigdy ten wyraz dziecinny.

DRZYMSKA.

Że kobiety się wyżej wzniesć wiedzą powinny,
 Że mają siedzieć w księgach od samego rana,
 To przecież nieraz nawet słyszałam z ust pana.

HENRYK.

Nie zaprzeczam bynajmniej... słyszały to panie,
 Żem potępiał dzisiejsze kobiet wychowanie,
 Że gdy o ich kształceniu mało kto pamięta,
 Od kolébki w duchowe rosną niemowlęta,
 Których rozum dziecięcy na to się wyteęza,
 Ażeby jaknajprędzej upolować męża.
 Mówiłem, że się gorszę, że się mocno dziwię,
 Iż nikt nie uczy kobiet pracować uczciwie.
 Że tylko ręce zdolne i umysł nie próżny,
 Mogą dziewczę od hańby zbawić lub jałmużny.

DRZYMSKA.

To się wszystko zupełnie w mój głowie nie mieści,
 Ja przecież, co już żyję blisko lat czterdzieści...

DRZYMSKI.

Co, czterdzieści, pamdzieju?... ależ znacznie więcej!...

DRZYMSKA.

Dziecinnyś!... czyż tu idzie o kilka miesięcy?

DRZYMSKI.

O! zapewne, pamdzieju, tu idzie o lata!...

ALFRED.

Do stu dyabłów!... cóż ojca rozczuła ta strata!...
Trzeba się z tego cudu cieszyć całą duszą!...

DRZYMSKA.

Gdy starsi dysputują, młodzi milczyć muszą!

DRZYMSKI.

Zawsze się musisz wtrącać, kiedy rozmawiamy.

ALFRED (*śmiejąc się*).

Za lat dziesięć ja będę starszy od swój mamy.

DRZYMSKA.

Że tam będzie wiedziała, co piszą araby,
Jak wojują hiszpanie... gdzie mieszkają szwaby,
W podróży nikt jój za to „grafini” nie powie.

DRZYMSKI.

By grafinią pozostać, trza mieć pustki w głowie!...

DRZYMSKA.

Trzeba się po francuzku wyrażać bez skazy,
Ja naprzykład...

DRZYMSKI.

Daj pokój, tniesz bąki sto razy!...
Raz, chcąc nazwać sąsiadów ludźmi poczciwemi,
Ce des gens bons wyrzekłaś...

DRZYMSKA (*irytując się*).

Z żartami swojemi

Jesteś nudny!...

DRZYMSKI.

Pamdzieju, aż wspomnieć niemiło,
Jak się całe zebranie od śmiechu dusiło!...

ALFRED (*z zapalem głodnego*).

Tak... ja m b o n... na gorąco... z musztardą i chrzanem...
Przedtém wódzi... po jadle... zakropić szampanem...
To mi rzecz!...

DRZYMSKI (*śmiejąc się*).

Tu o ludziach, nie o szynce mowa,
Co za waryat, pamdzieju!

ALFRED (*niezadowolony*).

Eh! mniejsza o słowa! (*n. s.*).
O hrabiol... głód piekielny członki me osłabiał..

DRZYMSKI.

Co tam mruczysz, pamdzieju?

ALFRED.

Mrę z głodu. (*Hrabia wchodzi*).

SŁUŻĄCY.

Pan hrabia!

Scena 7.

Ciz i HRABIA.

DRZYMSKA.

O! téj mi kój nowinie serdecznieśmy radzil

PAN DRZYMSKI.

Teraz każdy, pamdzieju, damę poprowadzil

(*Wychodzą parami: hrabia z Drzymską, Henryk z Wandą, Drzymski na końcu; Alfred i Marylka zostają*).

MARYLKA (*zatrzymuje wyrywającego się do jedzenia Alfreda*).

Chciałam z panem pomówić...

ALFRED.

Może po obiedzie?

MARYLKA.

Nie, teraz, jedną chwilę!...

ALFRED (*n. s. z rozpaczą*).

A to mi się wiedzie!/? (*Głośno*).

Cóż mi pani rozkaże?

MARYLKA.

Tylko jedno słowo. (*Niedźmiało*).
Chciałam spytać...

ALFRED (*oglądając się ku wyjściu n. s.*).

Tam kropią starą żołądkową. (*Głośno*)
Czy dowiem się nareszcie?

MARYLKA.

Chciałam prosić pana... (*n. s.*)
Jak tu zacząć, mój Boże!...

ALFRED (*n. s.*).

To gęś zakazana!...

MARYLKA (*n. s.*).Boże, dodaj mi siły! (*Naiwnie*). Po co pan grasz w karty?ALFRED (*patrzy na nią przez chwilę zdumiony, a wreszcie wybucha gwałtownym śmiechem*).

A to heca!...

MARYLKA (*dotknięta*).

Śmieć się pan! to wcale nie żarty!...
Dawniej byłeś pan dobry... lepszy nieskończenie
Niż dzisiaj—to mu własne wypowie sumienie.
Jam niezdolna określić... jak krwawi się serce
Rodziny, skoro słyszy o pańskiej szulerce!...
Pogardź pan, w imię Boga, nikczemników zgrają
Dla tych, co cię obchodzą i co cię kochają!
Dla rodziców, dla siostry!...

ALFRED (*z przekąsem deklamując*).

I dla pani pewno!...
Zaiste, miałbym serce kamienne—jak drewno...
Nie czuł hańby, co moje nazwisko spotwarza,
Bym nie wyrzekł... (*zmieniając głos*) idź pani do elementarza,
Do lalekl zamiast starszym dawać napomnienia!

MARYLKA (*wybuchając płaczem*).

Boże mój!... jedna chwila... a wszystko się zmienia!

ALFRED.

Masz tobie! zwykła kolój... łąz potok obfity.
Czém dla mnie szklanka ponczu, tém łyż dla kobiety.

MARYLKA (*zimno i spokojnie*).

Możesz pan na łzy moje spoglądać bez trwogi,
Boś mi teraz tak wstrętny, jak wprzód byłeś drogi!
Żegnam pana!... (*Wychodzi*).

Scena 8.

ALFRED sam. (*Po pauzie*).

Do dyabła! cóż ty Fredziu na to?
Biedaczka! cierpieć będzie nad kochanka stratą.
Ha! cóż robić, to trudno!... nie mogę inaczej;
Takie szczęście, to przywieść może do rozpaczki!
Przyjdzie wkrótce do tego—mogę twierdzić skromnie,
Że panny będą chyba zabijać się o mnie! (*zamyśla się*).
Zkąd takie śmieszne myśli przyszły jej do głowy?
Głupstwo, Fredziu, rozpocznij koncert żołądkowy.

(*wybiega wcał—zasłona spada*).

(*d. c. n.*).

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Teorya jestestw idyodynamicznych.” Napisał Ludwik Natanson, doktor medycyny. Warszawa, 1883.

Książka niniejsza nie nadaje się do sprawozdania literackiego, a jednak dla ważności swój w dziale tym pominiętą być nie powinna, jako jedno z nader rzadkich u nas zjawisk na polu samodzielnych prac czysto naukowych. Sam tytuł téj książki wskazując, że chodzi tu o przedmiot specjalny, którego naturę przed okiem niespecjalisty autor bardziej jeszcze zasłonił nazwą niepopularną, mało używaną nawet w nauce. Bo i cóż to są jestestwa idyodynamiczne? Jeżeli chodzi o etymologią, będą to istoty poruszające się, działające o własnej sile, a więc posiadające organizm, czyli organiczne. Albo się bardzo mylimy, albo nie ma odcienia, różniącego organizm od użytego przez autora idyodynamizmu.

Lecz przez tę różnicę w wyrazie, chciał widać autor uniknąć powtórzenia tytułu teoryi jestestw organicznych Jędrzeja Śniadeckiego, którego pamięci pracę swą poświęcił. Jest to istotnie w gruncie też sama treść, z wielką różnicą stanowisk, jaką wytworzył sześćdziesięcioletni postęp nauki. Dzieło Śniadeckiego było w swoim czasie jedynym umiejętnym kodeksem, tłumaczącym ustrój i prawa organizmu zwierzęcego, a nadto, było dziełem twórczym, gdyż myślą nową, rzucaną o rozrobie materyi, dało podstawę do utworzenia zasad wielkiej gałęzi umiejętności, zwanéj fizyologią. Dzieło d-ra Natansona nie zawiera w sobie twórczego nic, lecz tłumaczy organizm na tych zasadach, jakie sobie nauka powoli od czasu Śniadeckiego zdobyła. Komuż lepiej zasady te wiadome być mogą, niż człowiekowi, który nie tylko że przeszło 30 lat codziennie ma do czynienia z organizmem ludzkim, ale który nadto czynny przyjmuje udział w dyskusjach, jakie odby-

wają się we wszystkich ogniskach, przyświecających rozwojowi nauk biologicznych.

Owóż, jedną z największych zdobyczy naukowych ostatnich czasów jest jedność i przemienność sił przyrodzonych, za czasów Śniadeckiego nieznaną, ani nawet przeczuwaną. Światło, ciepło, elektryczność, magnetyzm, które takim pięknym toastem uczcił młody uczeń wszechnicy wileńskiej, były to dawnymi czasy cztery osobne bóstwa przyrody. W prozie szkolnej nazywano je ciałami nieważkami. Dzisiaj bóstwa te zdetronizowano, ciała się rozsypały, ostatni cios zadał im ksiądz Secchi, (Unità delle forze), a natomiast powstała materya wiecznie czynna, która, to rozgrzewa się, to elektryzuje, raz świetlaną jest, drugi raz magnetyczną; te zaś istoty nieważkie, które wstrząsały światem, stały się dziś prostym przeobrażeniem materii. Kiedy ustaje ruch, to znaczy, iż on przemienił się w ciepło; nawzajem ciepło przemienia się w ruch, w miarę jak wymagają tego nieubłagane formuły matematyczne przemiany sił. Jest to daleki jeszcze, ale niezawodny cel nauki dzisiejszej, ażeby wynaleźć przyrząd, w którym promień słońca będzie mógł stosownie do woli naszej wydać nam światło, ciepło, elektryczność i magnetyzm, a to jedynie za obróceniem korby lub naciśnięciem sprężyny.

Znamy więc dziś tylko materyę czynną, a siła dla nas jest jedną, różną jedynie, stosownie do kierunku ruchów drobinkowych materii, oraz stosownie do budowy nerwów, przeznaczonych do przyjmowania rozmaitych jej drgnień. Takie też pojęcia jak siła żywotna, siła nerwowa i t. p., nie są niczem innem, tylko przeobrażeniami materii, rozmaitemi postaciami jedynéj siły powszechnej, noszącej tymczasowo miano Ruchu. Nidosyć na tém. Wszyscy biologowie zgodnie nazywają siłami psychicznymi te, które tworzą się we wnętrzu mózgu i gruczołów, a przebiegają po telegraficznych drutach nerwów. Cała różnica polega na tém, iż dla jednych siły te są niczem innem, tylko mózgiem i nerwami wprawionemi w ruch; dla drugich zaś mózg i nerwy są tylko narzędziami potrzebnymi do objawów siły, wychodzącej poza obręb znanych sił fizycznych.

Na takiéj to podstawie jedności i przemienności siły, za pośrednictwem ruchu, opiera się tłumaczenie organizmu przez d-ra Natan-soua. Życie jest ruchem. Te cząsteczki niepodzielne, z których składa się materya, posiadają zdolność ruchu, nazywaną powszechnie Siłą, a przedstawiającą się w rozmaitych postaciach. Jeżeli dwa ciała, np. dwie kule bilardowe, puścimy w ruch przeciwko sobie i one się uderzą, w chwili téj ruch mechaniczny ustaje, a na jego miejscu powstaje ciepło: niech to będą dwie planety... łatwo wyobrazić sobie, jakie byłyby skutki takiéj przemiany. W świecie nic, żadna cząsteczka nie pozostaje w spoczynku; spoczynek jest tylko złudzeniem: w ciele zostającym w spoczynku, odbywa się ustawicznie ruch cząsteczek wzajem przyciągających się i odpychających, który sprawia tę równowagę, nadającą ciału formę stałą; a przemiana formy ruchu

zawsze powstaje wtedy, gdy udzielanie się go w formie danej, natrafia na przeszkodę materialną. Autor nakreślił nawet tablice ułatwiające zrozumienie tego udzielania ruchu cząsteczkom; czy zgodnie z prawami mechaniki, o tém nie śmiemy wypowiadać zdania.

Taką to teorię siły jedynej, o postaciach różnych, tłómaczącą się przez ruch, wprowadza autor dla objaśnienia życia organicznego, tak pod względem fizycznym, jako i psychicznym, dowodząc, że wszystkie funkcje żywotne i nerwowe, są tylko wynikiem kombinacji rozmaitych ruchów i ich przeistoczeń. Jest to poprostu streszczenie w głównych zarysach anatomii i fizjologii zwierzęcej.

Pewni jesteśmy, że anatom i fizjolog z powołania, oceni ze swego stanowiska ten wykład autora w odniesieniu do postępu nauki dzisiejszej. Nas interesuje on głównie z punktu psychologii, jako umiejętności bliżej podchodzącej pod uwagę ukształconego ogółu, ze względu iż człowiek od wieków w duszy swjej jedynie nawykł upatrywać wyższość swą nad resztą stworzeń. Ponieważ jednak nikt już dziś nie traktuje naukowo duszy w oderwaniu od ciała, przeto niedziwna, że i każdy biolog objawy duchowe do swojej zalicza dzielnicy.

Dr. Natanson wyłożywszy teorię zmysłów i nerwów, musiał z konieczności wpaść na tę różnorodność wrażeń, jakie od nich przejmują umysł, a wrażenia te, jak wiemy, stanowią materiał dla dalszych objawów, zwanych duchowemi: i tu właściwie rozpoczyna się jego psychologia.

„Zastanawiając się (powiada autor, str. 35), nad różnicą, zachodzącą między wrażeniem, wzruszeniem a podniecią, między pojęciem, myślą, zdaniem, sądem z jednej, a uczuciem, upodobaniem, przyjemnością lub przykrością z drugiej, a popędem i namietnością z trzeciej; zważając na różnicę natężenia i rozwoju tych rozmaitych objawów psychicznych u różnych zwierząt i indywidualów ludzkich, musimy przypuścić trzy organa duchowe w ośrodkach nerwowych, z których każdy ma swoją wyłączną czynność, swoją specyficzną energię.”

Autor powiada: „musimy przypuścić” trzy organa duchowe. Nasuwają się tu zaraz, z jego własnego stanowiska, pytania i wątpliwości. Na czém się opiera przypuszczenie istnienia tych organów, jakie są te organa, i dla czego trzy, czemu nie mniej albo więcej.

Zmysły są organami, z których każdy łatwo zdaje sobie sprawę: ale te organa, w liczbie pięciu, nie byłyby niczem, gdyby nie były pośrednikami dla jakiegoś środka, który materiał przez nich dostarczony, zbiera, klasyfikuje i nowe nadaje mu życie. Środek ten popularnie nazywamy duszą, ale jest to wyraz, który w naukowym, a więc genetycznym rozwoju przedmiotu, nie może być wymówionym zawczasie, bo nie miałyby znaczenia. Ponieważ zaś każda istota żyjąca, (dla przykładu, najlepiej weźmy człowieka) przerabia materiał zmysłowy; ponieważ nawet pozbawiona jednego lub wielu zmysłów, wie o sobie, więc trzeba przypuścić jakiś organ, będący substratem dla

objawu zgoła innej natury niż zmysły. Tym organem ześrodkowującym wrażenia, jest mózg. Tyle wiemy z nauki i tyle wyrozumować możemy. Ale iżby istniały trzy, i mianowicie trzy na rzecz objawów duchowych specyficzne organa w ośrodkach nerwowych, o tém wprawdzie mawiało się od Arystotelesa a później Dekarta, lecz z tej mowy nic pozytywnego dla nauki nie wyszło. Autor też modyfikuje później to wyrzeczenie i powiada raz, „że nie należy rozumieć jakoby każdy z tych organów miał oddzielne anatomiczne rozgraniczenie w mózgowiu,” co prawie na jedno wychodzi, jakby go w tém specyficzném znaczeniu nie było; dalej jednak utrzymuje, iż „każdy z tych organów ma oddzielne dla swych czynności nitki i komórki nerwowe,” co znów przeciwi się pierwszemu twierdzeniu, gdyż ta oddzielność nitek i komórek, byłaby właśnie rozgraniczeniem anatomiczném.

Niedosyć na tém: kto, wreszcie zupełnie słusznie, tak jak to uczynił Locke i Condillac, w zmysłach upatruje pobudkę czynności duchowych, życia duchowego, niechaj jednak nie zapomina, że życie to istnieje i bez zmysłów. Obserwacya faktów udowodniła, że bez czterech zmysłów, przy jednym dotyku, życie to (pojęcia) istniało; czyż możemy przypuścić, aby nie istniało nawet i wtedy, gdyby istocie i dotyku od urodzenia zbrakło? Byłoby to życie zapewne bardzo nisko rozwinięte, ale w braku wszelkich innych faktów, istota przynajmniej wiedziałaby o sobie, a to na podstawie tych właśnie ruchów cząsteczkowych materji, które odbywają się w całym organizmie. Mamy zatem dwa tylko fakta pewne: pierwszy, że istnieje organ dla funkcyi duchowych; drugi, że najpierwszym i podstawowym objawem tych funkcyi jest świadomość.

Dlaczego autor przypuścił trzy organa duchowe w ośrodkach nerwowych? Nic dlatego ażeby miał jakie pozytywne do tej liczby dane; nie dlatego żeby go w porządku nauki ścisłej upoważniały pewne odkrycia anatomiczne, ale naodwrot, że same objawy zdają mu się wskazywać podział na trzy grupy osobne, tylko pewnemi związkami z sobą połączone. Czyli, jak mamy pięć odmiennych grup wrażeń doznawanych zapomocą pięciu zmysłów; tak autor trzy grupy wrażeń ustanawia w świadomości, za pośrednictwem tych trzech domniemanych organów w ośrodkach nerwowych. Lecz już i stara psychologia ustanawiała trzy grupy: umysł, uczucie i wolę. Przeciwno temu podziałowi autor stawia: umysł, umił i bytolub. Bez względu na trafność dwóch nowowprowadzonych wyrazów ¹⁾, napotykamy w tém ugrupowaniu pewną różnicę od stariej psychologii: przy pozostawieniu grupy objawów umysłowych i uczuciowych, wyłączone są

¹⁾ Umił przedstawia rzecz jednostronnie, to jest tylko ze strony przyjemnej, gdy uczucia są i niemiłe, nieprzyjemne. Bytolub, to forma odnosząca się do podmiotu, np. samolub; gdy przedmiotu nazwa kończy się zwykle na stwo: w znaczeniu więc żądaném przez autora, powinno być bytolubstwo, tak jak samolubstwo, marnotrawstwo i t. p.

objawy woli, a natomiast wprowadzone objawy popędu zachowawczego (bytolub), wola zaś odniesiona do objawów umysłowych, jako pewien poddział.

Czy słusznie?... W tém zapytaniu leży całe morze kwestyi, pomiędzy którymi znajduje się ten odwieczny spór metafizyków z deterministami, gorąco podejmowany i przez dzisiejszych socyologów, o to: ażali człowiek posiada wolną wolę, poprostu wolę, albo nie. Usunięcie tego pojęcia z miejsca zajmowanego dotąd, wymagało pewnych objaśnień, których autor nie udzielił, a jednak postąpienie jego z dzisiejszym zapatrywaniem się nauki zupełnie jest zgodne. Wola, to objaw wyrażający się przez czyn, pozytywny lub negatywny, a pobudki wszystkich czynów rozwiązują się w pojęciu popędu zachowawczego. Będzie-li to czyn fizyczny, nie ma on nic innego na celu tylko utrzymanie bytu; w sferze moralnej podobnaż odbywa się gra, a wybór czynu determinuje się okolicznościami dążącemi do tegoż samego celu nawet wówczas, gdy one godzą na zniszczenie bytu i wkraczą poza zakres etyki urzędowej. Tylko jako objaw popędu zachowawczego uważana wola, może być rozbieraną z punktu umiejętności. Lecz przeznaczenie dla niej osobnego organu nie da się usprawiedliwić. Autor słusznie czyny odnoszone do woli, ze stariej psychologii przeniósł do popędu zachowawczego, czyli podstawił jedno za drugie; ale i również słusznie przyłączył ją do objawów umysłowych. Czyny są automatyczne albo świadome. Pierwsze mają pewność i nicomylność samego popędu, jak np. u dziecka wnet po urodzeniu szukającego pokarmu. Zawsze, pomiędzy przyjmowaniem pewnych wrażeń a skutecznieniem pewnych ruchów odpowiednich, zachodzi w organizmie jakiś związek wewnętrzny. Jeżeli związek ten jest doskonale organicznym, czyli równa się odruchowi, prostemu lub złożonemu, jest automatycznym; lecz jeżeli związek ten nie jest doskonale organicznym, wtedy zmiany psychiczne, łączące wrażenia i ruchy, są świadome: cały czyn jest czynem świadomym (a więc podchodzącym pod dziedzinę umysłową) i wykażać powinien wszystkie konieczne żywioły czynu świadomego jednocześnie, to jest pamięć, rozum, uczucie i wolę: bez tego bowiem nie może być związku świadomego pomiędzy stosunkiem wewnętrznym i zewnętrznym.

Należy tę rzecz objaśnić bliżej, choćby na najprostszym przykładzie. Jeżeli ktoś idzie śpiesznie do jakiegoś celu po drodze znanj i gładkiej, wtedy związek jego ruchu z myślą jest doskonale organicznym, zlewa się jakby w jedność, tak iż ten ruch odbywając się już bezmyślnie, przemienia się na automatyczny. Ale w tém człowiek napotyka przeszkodę jakąś, strumyk albo kałużę. Myśl otrzymuje wrażenie nowe, które zrywa ten ścisły jej związek z ruchem nóg. W myśli powstaje rodzaj zaburzenia wywołanego tém nowem wrażeniem; ruch na tę chwilę ustaje, człowiek się waha: przeskoczyć czy obejść, a iżby ten nowy ruch wykonał, musi *chcieć*, a przez to ten nowy ruch jego będzie rozmyślnym: chcenie jego podejdzie pod myśl i będzie jej

wynikiem. Ten sam fenomen powtórzy się w sferze wszystkich innych ruchów, fizycznych, estetycznych, moralnych.

Uogólniając to, powiadamy za Herbertem Spencerem (Psych., I, § 218): jeżeli skutkiem organizacji nagromadzonych doświadczeń, czyny automatyczne tak się skomplikują i urozóżnorodnią, że nie mogą się już odbywać z precyzją i bez wahania; jeżeli, po przyjęciu wrażenia skomplikowanego, powstają odpowiednie objawy ruchu, lecz nie mogą przejść do czynu bezpośredniego z powodu antagonizmu pewnych innych objawów ruchu, również powstających a właściwych jakiemś wrażeniu ściśle połączonemu z poprzedniem,—wtedy wytwarza się stan świadomości, który ostatecznie dążąc do czynu, określa to co nazywamy *chcieniem* (*volitio*, jeszcze nie *voluntas*).

W takich warunkach przychodzi do starcia pomiędzy dwoma szeregami objawów ruchu dopiero powstających, z których jeden ostatecznie przeżąda i łómaczy się szeregiem objawów ruchu aktualnych. Każdy szereg objawów ruchu powstających, wyradzający się podczas tego starcia, jest więc słabą formą stanu świadomości towarzyszącego podobnym objawom ruchu odbywającym się aktualnie: to tylko reprezentacja, idea, podobnych objawów ruchu, takich jakie się odbywały w jednakich okolicznościach. Mamy więc starcie pomiędzy pewnemi objawami ruchu idealnemi, z których wszystkie dążą do urzeczywistnienia się, a jeden z nich tylko się urzeczywistnia: przejście zaś jednego objawu ruchu idealnego do rzeczywistości, jest tém co nazywamy *Wolą*. W czynie przytém wolnym, uważanym w jego formie najprostszej, pominąwszy te nagromadzone stany świadomości stanowiące pobudki działania tak a nie inaczej, nie możemy odnaleźć nic innego, tylko reprezentację umysłową, za którą tuż idzie spełnienie,—nic innego tylko przeobrażenie zmiany psychicznej powstającej a stanowiącej zarazem dążność do czynu i jego idee, na zmianę psychiczną pozytywną, stanowiącą spełnienie czynu, o ile on jest rozmyślnym.

Różnica więc pomiędzy wolnym (rozmyślnym) ruchem nogi a mimowolnym polega na tém, że gdy ruch mimowolny odbywa się bez żadnej poprzedniej świadomości, mającego nastąpić poruszenia, to ruch wolny odbywa się dopiero po zaprezentowaniu się w świadomości. A ponieważ ta reprezentacja jest niczém innym, jak tylko słabą formą stanu psychicznego, towarzyszącego ruchowi rzeczywistemu, przeto stanowi ona tylko powstającą pobudkę wszystkich nerwów do sprawy téj zastosowanych, poprzedzającą pobudkę ich aktualną. Ztąd wynika różnica ta: że gdy przy ruchu mimowolnym, stany psychiczne towarzyszące wrażeniu i czynowi trzymają się tak ściśle, iż jeden idzie tuż za drugim,—to przy ruchu wolnym tak mało są ściśle, że stan psychiczny towarzyszący czynowi nie następuje natychmiastowo lecz zupełnie, podbudzany jest cząstkowo nim zostanie podbudzonym zupełnie, a tym sposobem zajmuje świadomość przez czas znaczny, nim się objawi narazie aktualnie. Tak więc, ustawianie czynu automatycznego i rozdzielenie się woli stanowią rzecz jedną i tę samą.

Z tego objaśnienia widzimy, że autor z równą słusnością pod-

ciągnął wolę pod objaw umysłu, jako i zastąpił ją przez popęd zachowawczy. „Non sunt multiplicanda entia praeter necessitatem“ — powiedział sprawiedliwie Ockam. I wola nie jest to jakieś ens samo w sobie, nie osobna władza duszy, jak chce mieć psychologia dawna, ale prosty ruch zdeterminowany warunkami poprzedniami, przejście z ruchu idealnego do rzeczywistego. Z drugiej strony ruch ten nie czém inném determinuje się, jedno popędem zachowawczym. Czyto zgłodzony gdy wyciąga ręce po posiłek, czy gdy męczennik podaje ręce na krzyż, zawsze tam elementarnie w tym ruchu tkwi pobudka popędu zachowawczego, wyobrażająca się chęcią utrzymania życia organicznego lub idei, w wyobrażeniu jednostki szacowniejszej od bytu indywidualnego: szaleńcy nawet, nad byt przenoszący nirwanę, jeszcze się kierują pobudkami tego popędu. Postawienie więc tego pojęcia między naczelnymi objawami psychicznymi, z usunięciem woli na właściwe miejsce, uważamy za rzecz właściwą i postępową.

Lecz autor do trzech głównych ognisk odniósłszy ruchy psychiczne, zajmuje się dalej podporządkowywaniem innych ruchów drugorzędnych, co już zgoła do zakresu i formy pracy ogólnej nie należy. Powstała ztąd jakaś systematyka, nakształt szkoły Hegłowskiiej, w której nomina więcej odgrywają roli niż res, systematyka dosyć luźna i dowolna, co do treści zaobszerna, co do wykładu zamało wyczerpująca. Autor, jakgdyby tworzył osobne dzieło psychologiczne, wdaje się w szczegóły, w objaśnienia z pola psychologii a nawet logiki, lecz kończy na krótkich definicyach, nader mało informujących i sam nie wie kiedy od swego głównego założenia, od przemiany postaci sił, w dziale tym odstępuje.

Ponieważ wyszedł ze stanowiska fizyologicznego, zamiast téj systematyki, byłoby nieskończenie pożyteczniej, gdyby mu i tu wiernym pozostał, wykazując te zdobycze, jakich nauka przez obserwacye i wiwisekcyę dokonała pod względem stosunku nerwów i mózgu do objawów psychicznych, mianowicie pamięci, mowy, ruchu, woli i t. p. Wiwisekcyę tyle jednak dokonały wyłomów w téj cytadeli duszy, która nazywa się głową, że zebranie faktów w porządnym ustrój mogłoby być nader pouczającym dla niewtajemniczonych, i stanowiłoby właściwy dział psychologiczny w książce traktującej o teorii istot organicznych.

Niewiernym stał się autor zwłaszcza metodzie własnej, przez odwrócenie jój porządku w dziale psychologicznym. Z początku trzyma się drogi indukcyjnej i od części najelementarniejszej, od cząsteczek, przychodzi do coraz zawikłańszych, do zmysłów. Rzuca nawet myśl (str. 33), którąśmy zrazu wzięli za podstawę jego badań psychodynamicznych, że: „przy przejściu prądów zmysłowych na organa duchowe następuje nowa przemiana ruchu; czucie zmysłowe zamienia się na wiedzę, uczucie lub pogląd, w miarę tego, jak ono wzbudza prąd środkowy w téj lub owój sferze organów mózgowia.“ Naraz jednak urywa tę drogę, i zamiast wynajdywać wrażenia psychiczne, łączyć je i stopniowo z dołu wywieść te trzy grupy, on rzuca je z góry, i dopiero

w sposób dedukcyjny przechodzi do podziałów, w których więcej jest nomenklatury niż dowodu.

Zapomniał tu zwłaszcza autor o jednym z najważniejszych praw, które mu dzisiejsza nauka wskazała i które sam na pierwszém miejscu (str. 10, punkt 1-szy) postawił, a mianowicie, że siła jest jedną, i że wszystkie siły „są dalszym ciągiem i przekształceniem jednej i tój samej siły odwiecznej.” Jeżeli tak jest, to prawo takie winno się odbić wyraźnie i w całej psychodynamice: według metody na tém prawie opartej, nie podziały tam winny panować, ale przeobrażenia; nie władze i przynioty duszy wykrywać się winny, ale tylko stany świadomości, tój świadomości, która jedynym jest faktem pierwotnym, powstającym nasamprzód z mechaniki ruchów cząsteczkowych, a następnie z oddziaływania ruchów zewnętrznych za pośrednictwem zmysłów.

Ta jedność siły nieinaczej w psychodynamice okazać się może, jak przez ścisłe i naukowe wykazanie, że siły psychiczne nie różnią się od fizycznych niczém więcej, tylko formą, pod którą się ukazują i organami specjalnemi, które je wytwarzają; że wszystkie ściągnąć się mogą do ruchu, do pokonania oporu, do oznaczonego ciężaru, który podejmujemy; że mogą przemieniać się jedna w drugą, oraz, że ilość pracy w tym kierunku będzie zawsze wyrównywała zużytej energii. Jakoż, jeżeli komórka nerwowa wypełniona jest energią wydzierającą się na wolność, to daje nam ona uczucie potrzeby; tak samo gdy jest wyczerpaną i straciła moc będącą przedtém w stanie naprężenia, to wywołuje w nas znużenie. Dwie formy zasadnicze rzeczy, pochodzące z naprężenia energii, oraz ze znużenia jednej i tój samej myśli, jednego i tego samego uczucia, przedstawiają się codziennie jako fakta empiryczne, jasne, jak słońce, dla każdego, kto psychologię bada na podstawie fizyki. Tacy to psychologowie, a raczej już biologowie, usiłują wykazać, że wrażenia (zmysłowe, *sensatio*) mogą się przeobrażać na wrażenia inne, na uczucia i na pojęcia; uczucia na uczucia inne, na wrażenia lub na zjawiska umysłowe; pojęcia nareszcie mogą się przekształcać na pojęcia inne, na wrażenia, lub na uczucia: a taka dziewięciokrotna kombinacja i permutacja zjawisk, nie wyłączająca innych, stanowi treść psychologii fizyologicznej ¹⁾, chodzi tylko o to, ażeby wykryć prawa, na mocy których przemiany te następują i nastąpić muszą.

Zadługo byłoby tu wykazywać rzeczywistość faktów przemiany w tym dziewięciokrotnym stosunku, ale pierwszy lepszy przykład dla objaśnienia wystarcza. Jakoż, dotyk np., zmysł pozytywny *par excellence*, stanowiący pierwszą formę wszystkich zmysłów specjalnych, często przeobraża swoje drgania na zjawiska zmysłowe, odnoszące się do innych dzielnic. Łakomiec, dotykając mięsa łądnie upieczonego indyka, uczuwa rzeczywisty smak pieczystego, lub respective soczystego owocu. Dotknięcie aksamitu lub jedwabnej materii, przyprawia niektóre osoby o dreszcze po całej skórze, w karku,

¹⁾ Mantegazza: *Transformazione delle forze psichiche*; I.

lub w stosie pacierzowym. Mamy tu więc przemianę jednego wrażeń na drugie. Dla czego i jaką kolejną ona następuje, niech nam wykaże psychofizjologia. Tym sposobem możnaby wykazać wszystkie przemiany częstsze lub rzadsze, a żaden słownik nie starczyłby na ich nomenklaturę, zwłaszcza w przemianie wrażeń na uczucia i uczuć jedne na drugie. W tém rejestrowaniu łatwo byłoby między innymi wykazać, jakie pojęcia są wynikiem przemiany wrażeń zmysłowych. Przedewszystkiem są to pojęcia naturalne, czyli te, które należą do specjalnej dziedziny każdego zmysłu. Wrażenia wzroku przeobrażają się na pojęcia estetyczne i matematyczne; wrażenia słuchu na pojęcia rytmiczne i harmonijne, i tak dalej: są to więc pojęcia bezpośrednie. Z drugiej jednak strony, pojęcia poboczne powstają następnie przez asocjacyę, czyli przez sympatyę naturalną, lub przez kontrast; ale te pojęcia poboczne mogą być jednoczesne z bezpośrednimi, lub nawet ukazują się same, z zasłonięciem ich, a to naksztalt lontu, który próżno przechodząc przed pierwszą racą, jaką ma zapalić, przeciwnie, obieguje sięgając rac i żyrandoli dalszych od iskry zapalnej. Na widok pięknie namalowanego dziecka, jedna kobieta wykrzyknie radosnym zapałem, druga zwinie się w bólu, skutkiem upatrzonego podobieństwa pomiędzy obrazem a utraconym synem.

Zamiast zapuszczać się w kolejny rozbiór faktów, z którym nie ułatwilibyśmy się tak prędko, przytoczymy w krótkości najogólniejsze prawa, rządzące przemianą sił psychicznych. I tak: nasamprzód, w psychice, równie jak w fizyce, praca wytworzona zawsze równa się siłom spotrzebowanym; inaczej mówiąc, siły nie tworzą się, nie przybywają, tylko zmieniają postać. Powtóre, w psychice równie jak w fizyce, siły przeciwne ścierają się i zobojętniają: spokój męczennika podczas śmiertelnej tortury, jest tylko zrównaniem dwóch energii przeciwnych, dającym na wypadek zero. Potrzebie, przemiany następują tém szybciej, im mniej napotykają oporu i starcia, a skutki tém są donioślejsze, im większą jest siła zgromadzona w jeden punkt, a mogąca być uwolnioną przez najłżejszą podnieję zewnętrzną. Zastanawiając się, np., nad zjawiskami oczekiwania, możemy dostrzedz różne skutki przemiany sił. Ktoś powiada: słuchajcie, opowiem wam anegdotę śmieszną, niezmiernie śmieszną, będziecie się trzymać za boki. Upredził nas, i nasza energia momusowa rozproszyła się. Opowiedział i zrobił fiasko. Żółkowski na scenie, nie upredził nas, oczekujących jednak czegoś wesołego: znienacka strzelił conceptem i ze wszystkich piersi wybuchnął śmiech. To znaczy, że masa energii była w jednym punkcie zwartą i nietkniętą. Tak samo, jedna zapalka wysadzi w powietrze statek pancerny, gdy zetknie się z masą dynamitu, a stos drzewa mokrego bęże się utleniał sto lat. Poczwarne, jednakowa zatém ilość siły daje pozornie bardzo różne rezultaty, w miarę jak wypuszcza się zwolna lub szybko. Miłość, up., zamieni się w nienawiść natychmiast po stwierdzeniu faktu zdrady; zamieniać się będzie wolno, tleć jak stara bielizna zamknięta, pod szpilkowými uktóciami

drobnych przykrości, wyziewami nudy, i t. p., choć siła jęj będzie taka sama. Zupełnie tak samo rozbijają się drzwi pod jedným uderzeniem tarana lub kilkuset kolejnemi uderzeniami pięści, których suma siły dorówna sile tarana. Jest to jeden z tysiąca dowodów zasady, że spiętość równoważy się z rozpiętością. Ta różnica szybkości nadaje łąto charakterowi, znanionuje czy to geniusz poetyczny, czy artystyczny, stanowi cechę polityczną narodu, lub jednostki wyższej.

Te przemiany sił duszy, ta właściwa psychodynamika, więć odpowiadała metodzie przyjętej przez autora, który wreszcie w innych działach swój książki, nic innego nie czyni nad poszukiwanie i wykładowanie tych przemian w organizmie. Rozłożył on przed czytelnikiem ciało żyjące, ze wszystkimi jego nerwami, tkankami, mięśniami, ze wszystkimi funkcjami, aby w niém wykazać działające siły, a raczej jednę siłę w różnych postaciach i tym sposobem oświecił wielu, mnie przynajmniej, o rzeczach mało u nas upowszechnionych a pożytecznych. Czemuż nie zastosował, o ile dzisiejszy stan nauki pozwala, tój samej metody do stanów świadomości, czyli do tego, co nazywamy władzami duszy, dla objaśnienia ich ze stanowiska spóczesnych nam badań?

Stanowisko autora w tój pracy jest czysto materyalistyczne, takie, jakie być powinno każdego badacza natury; chroni się on jednak od wszelkich ekscesów materyalistycznych, i woli wyrazić roztropną wątpliwość, niż wygłosić kompromitującą pewność. Dwa ustępy końcowe zatytułowane: „Co wiemy, a czego nie wiemy,” tudzież: „Wywody transcendentálne,” wskazują raczej, że dr. Natanson, na równi z wielu zagranicznymi biologii mistrzami, uważa, iż życie bez ucieczenia się do jakiegoś pierwiastku duchowego wytłómaczyć się nie da.

I tak. W tytule: „Co wiemy, a czego nie wiemy,” oświadcza on między innemi, że jakkolwiek substancja roślin i zwierząt składa się z tych samych pierwiastków chemicznych, co i natura martwa, jakkolwiek każde jestestwo żyjące żywi się temi pierwiastkami i przeraabia je na własne ciało, to wszelakoż sprawy organiczne, czy idyodynamiczne, odbywają się tylko w jestestwach już uorganizowanych, a co ważniejsza, jestestwa te powstają tylko z już uorganizowauych: omne vivum ex ovo. Nie jest-że to cicha przymówka do tych, którzy nie tak dawno jeszcze zbierali podpisy na założenie fabryki istot żyjących, i nawet między młodzieżą znajdowali chętnych akcyonaryuszów, a samoródtwo, wbrew poszukiwaniom Pasteura, spać im nie dawało? Autor zatrzymuje się nad tą przepaścią, wiele przypisując nauce, nie śmie jednak twierdzić, czy ona ją kiedy odkryciami swými zapęčni. Lecz z samego postawienia tój wątpliwości, czytelnik dośpięwuje sobie w myśli niedopowiedziane słowa autora. Jeżeli nauka nie będzie zdolną zapełnić tój przepaści, to pomimo łączników pośrednich, odkrytych między światem nieorganicznym i organicznym, pomimo że „natura non facit saltum,” nauka, po wielu wysiłkach zmuszoną będzie uznać odrębność tych światów, zgodzić się na istnienie jakiejś

sity sui generis w jestestwach, które poruszają się, czują i myślą, w jestestwach idyodynamicznych. Bo rzeczywiście i pominiawszy to głupstwo, jakie błąkało się w szeregach najskrajniejszego materializmu, że byle zrobić dobrą analizę jestestwa organicznego i naukę z postępowaniem uposażyć w odpowiednie środki, to można będzie z czasem wyrabiać organizmy¹⁾; jeżeli nauka, po najdłuższych i najściślejszych studjach nie schwyta na uczynku warunków w jakichby gaz jaki, lub kombinacja kilku gazów utworzyła komórkę, zawiązek organizmu najelementarniejszy, to zgodzić się musi na duszę, jako zasadę życia, czy tą duszą będzie psyche, czy pneuma, czy noos starożytnych; czy logos nowożytny, a nierównie obszerniejsze.

Zaraz do niego, za autorem, przyjdziemy. W tytule: „Wywody transcendentalne,” obstając za jednością sity, przybierającą postaci różne, zadaje sobie jednak autor oryginalne a nader trafne pytanie, mające blizki związek z kwestyą poprzednią: „która z tych postaci stanowi pierwsze łańcucha ogniwo, która była primum movens w naturze?” Jak dla niego, tak i dla nas, w odpowiedzi na to pytanie kryje się słowo zagadki stworzenia. Otóż, wobec nauki każda z form sity równie do tego pierwszeństwa ma prawo. „Może więc pierwszą formą być światło, ciepło, lub inna siła fizyczna, a może nią być tém samym prawem i Myśl.” Wprawdzie powiedzianem to było już apodyktycznie dawniej nieco, bo przed osmnastu wiekami: „Na początku było Słowo...” (po grecku logos, co znaczy także myśl); ale dziś okoliczności są odmienne. Dr. Natauson nie ma się za proroka. Przeciwnie, on dopiero po długim, może trzydziestoletnim namyśle, wśród zajęć takiemu pogładowi wprost przeciwnych, wśród zdań przeciwko takiemu twierdzeniu bojujących, może wbrew swemu usposobieniu filozoficznemu, nieśmiało wypowiada to samo.

Smielęj, uczony fizyku! Masz wszelkie prawo godzić się z prorokiem. Myśl!... Czyż wolno filozofowi badającemu naturę ograniczać panowanie Myśli tylko do zawartości czaszki mózgowej? Czyż on nie widzi jęj wszędzie, w całym świecie? Czém są te prawa niezłomne, porządne, przewidujące, jeżeli nie Myślą? Zstąpmy niżej, do szczegółów. Zwierzokrzew nie posiada ani nerwów, ani mózgu; a jednak wyciąga swe narządy w stronę, z kąd domyśla się pożywienia. Ten jego ruch nie jestże wskazówką, wynikiem jakiejś myśli, która w człowieku nareszcie stwierdza tylko istnienie własne i sama jest sobie przedmiotem.

Myśl w człowieku zagrzewa krew, a więc wytwarza ciepło, przemienia się w nie: cała wreszcie psychodynamia zamienić się może w fizodynamię, to jest w ciepło, światło, elektryczność, dźwięk i ruch

¹⁾ Notabene: Berthelot, dla sprawdzenia potęgi chemii, ściśle rozbił cukier fabryczny (ciało martwe) i następnie składał wynalezione pierwiastki według wagi, temperatury i t. p.; otrzymany cukier, zawsze był czémś różny od fabrycznego, poddanego rozbirowi.

mechaniczny; nie zaś nie przeciwi się temu, ażeby siła psychiczna i w naturze nie miała być wszystkich sił innych mistrzynią.

Autor też dojrzałe broni swego przypuszczenia, bez względu na zarzuty, jakie go spotkać mogą ze strony radykalnego materializmu. Z jednej strony powołuje się on na ten fakt, że „prawa rządzące światem, najzupełniej zgodne są w swój treści z prawami logiki, jednej z form energii psychicznej;” i téj to właśnie zgodności zawdzięczają się owe znakomite odkrycia praw natury, odbywane a priori na drodze indukcji. Z drugiej strony, co większa, widzi on wyraźnie w naturze przewidywanie i celowość, a szczególnie w objawach życia organicznego, urządzenia ustanowione „z widocznie zgóry powziętym zamiarem, z przewidywaniem warunków bytu przyszłych, pojawić się mających tworów, z pewnym najlogiczniej podjętym i zgóry zakreślonym planem.” Dla niego, w dalszym ciągu wywodu, świat organiczny, bez tych urządzeń nieodzownych dla wykształcenia się i bytu stworzeń, ostaćby się nie mógł; w oczach jego, potęga rozumu przedstawia największą sumę sił w przyrodzie, a wszystkie objawy psychodynamiczne istnieją poza obrębem psychodynamii ludzkiej (str. 110, 111).

Przeciwko temu rozumowaniu jedenby tylko zarzut poważny uczynić można, a tём jest, że każda siła ażeby mogła się objawić, potrzebuje pewnego przyrządu i odpowiedniego układu cząstek. Ale ponieważ dla objawów fizycznych istnieją różne przyrządy i różne układy cząsteczkowe, któż nam zaręczy że, bez wiedzy nauki dzisiejszej, dla wywarcia efektów psychodynamicznych nie istnieją stosunki molekularne i mechanizmy zupełnie różne od organów mózgu? „Jest to témbardziej postulatem logicznym, — powiada autor (str. 112), — o ile potęga owéj prasiły musiałaby równać się sumie wśzystkich sił działających w świecie. Wszystkie bowiem te siły, tak niezmiernie potężne, byłyby emanacją owéj prasiły, której postać pierwotna reprodukowałaby się w stworzeniu rozumnym, w człowieku. W takiej formie godzi się, — kończy autor, — i należy pojmować odwieczny dogmat ludzkości, że człowiek stworzony na podobieństwo Boga.”

Jak tedy autor swój wywód transcendentálny rozpoczął, tak teraz dokończył słowami Ewangelisty: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo.” Oto rezultat, do którego doprowadziło autora zastanawianie się nad jednością sił w naturze. Widzi on nasamprzód ich różnaitość; ale udowodniają mu, że pod tą pozorną różnaitością kryje się jedność. Objawy rozmaite téj jedności, nazywa on zrazu formami, ale niemniej każda z tych form, czy postaci, ma swą osobną samodzielność, tak jak różne formy sztuk pięknych, będące jednak objawem jednéj idei piękna, i jednéj potęgi twórczéj. To go naprowadza na poszukiwanie téj siły idealnéj, któraby łączyła w sobie ową różnaitość objawów i była tą prawdziwą jednością matematyczną. Ponieważ wszędzie napotyka urządzenia podległe statutom logiki, nic dziwnego że treść logiki, to jest Myśl, czyli

rozum uznał za tę siłę idealną, za tę prasiłę koncentrującą i twórczą, którą nazwał Bogiem. Że zaś myśl w człowieku tylko przychodzi do samopoznania, przeto odwieczny dogmat ludzkości wyszedł sam z siebie.

Książka d-ra Natansona ma znaczenie podwójne. Upowszechnia ona między polskimi czytelnikami światło nauki biologijnej, opartej na najświeższej podstawie, jaką jest jedność sił w naturze; daje wyobrażenie, z pierwszej ręki, o organizmach żyjących, o częściach składowych i ich wzajemnym w organizmie stosunku: a lubo części psychodynamicznej nie traktuje według tej samej miary, jednak i tu w gruncie stoi na stanowisku nauki. Z drugiej strony, oddając dzisiejszej nauce wszelką sprawiedliwość i hołd, poskramia jej uzurpacye i popędliwości jednostronne, a ratując duchowe strony świata, pozostawia nietkniętym moralny grunt ludzkości. Przez taką bezstronność, nie obrzydza ona zaciekań w materialne głębiiny badań, ale owszem ośmiela, zachęca do nich, tych zwłaszcza, którzy dla swych usposobień lub przekonań, mniej są ku temu pochopni.

Mamy żal do autora, iż tej pożytecznej pracy nie nadał odpowiedniego roztoczenia. Ścisłał się, skupiał, streszczał, do wykładu niemal tylko szkicowego lub notatkowego. Ztąd też, specjaliści, jak mniemam, niewiele co odeń dowiedzą się nowego, gdyż dr. Natanson nie czyni odkryć, lecz je tylko zbiera i poswojemu grupuje: profani znów, przez tę treściwość zbyteczną i ciągłe używanie terminów technicznych mniej ogółowi świadomych, zawiele napotkają trudności w zdaniu sobie sprawy ze wszystkich szczegółów teorii. W każdym jednak razie, kto przeczyta tę książkę, nie pozostanie w stanie obojętności: wobec poruszonych kwestyi, będzie myślał i musi myśleć. Dobrze jest, gdy taki skutek chociaż raz kiedyś czytelnik polski zawdzięczy pisarzowi polskiemu, który też dzieło swe oddał „*co gitare ausis.*”

Kazimierz Kaszewski.

Nicolaus Copernicus von Leopold Prove. Erster Band: Das Leben, I Th., 1473—1512. XXVII, p. 413, II Th., 1512—1543, p. 576. Berlin, Weidmannsche Buchhandlung, 1883, in 8-o z 6 fotodrukami.

Mąż, wznecający iskrę Boskiego światła, zakrytego oczom śmiertelników, nie stał samotnie na wyżynie swęj wielkości ponad wirum dążeń i pragnień czasu; ale w kwiecie wieku swego brał żywy udział w życiu społecznem: spodziewał się i cierpiał, cieszył się i walczył. Nie żył, jak inni uczeni, w sztucznej atmosferze ciasnego pokoiku; lecz

przechodził twardą szkołę życia, poznał świat i ludzi—był człowiekiem czynu.

Młodość miał wesołą, wzrastał w szczęśliwych warunkach, nie zaznał walki o chleb codzienny... Życie układało mu się harmonijnie. Już wczesnie odznaczał się siłą woli i niezłomną wytrwałością: były to nieodstępne jego towarzyski na całej drodze życia. Na początku tej drogi otoczyło go liczne towarzystwo. Nie czuł, co to być samotnym i zostawionym sobie. Szedł wygodną ścieżką utartych stosunków. Był chętnie widziany tak w dobranym kole literatów, jak w zamożnych domach bankierów krakowskich; mógł się nawet zbliżyć do otoczenia królewskiego. Akademia Jagiellońska, uwieczona aureolą sławy, sięgającej najdalszych zakątków, wywarła stanowczy wpływ na wrażliwego młodzieńca. Wcześniej, niż inne uniwersytety z tej strony Alp, zetknęła się, jak wiadomo, Akademia krakowska z ojczyzną Horacego i Petrarke. Już w połowie XV wieku przedarli się z tamtąd pionierzy humanizmu na Wschód: „do krainy mlekiem i miodem płynącej.” Nowy duch owiał i Kopernika, wstępującego w świeże, burzliwe życie naukowe. Zużyte formy scholastyczności, która w swoim czasie wydała piękne owoce, staczały śmiertelną walkę z młodymi siłami klasycyzmu. Na katedrach chwiała się jeszcze zwycięstwo, bo młodym entuzyastom stawili czoło wytrawni mężowie. W gorącej walce, która wywierała niezatarte wrażenie na młodzieńczy umysł Kopernika, prowadziły go do obozu śmiałych szermierzy: młodość, zdolności, a może i usposobienie. Tutaj poznał mowę Liwiusza i Cyncerona w całej piękności, a z nią odstąpił mu się widnokrąg świata starożytnego. I zrzucił z siebie genialny młodzieniec spłowiałą sukienkę średniowieczną, błyszczącą niegdyś „jasnych barw tysiącem” i biegł z entuzjazmem na pole samoistnego myślenia. Humanizm, jakkolwiek zapalał jego duszę, nie zaspakajał wszystkich pragnień młodzieńczych. Wabiła go umiejętność, którą miał popchnąć na nowe tory: matematyka i astronomia.

Obie nauki kwitły w owym czasie w Akademii Jagiellońskiej. Jak idealny kierunek wieku odrodzenia pociągał umysły do studyów klasycznych, tak z drugiej strony skłaniały je materialne względy do nauk ścisłych. Potrzebował ich kościół do oznaczenia świąt, ciągnięto z nich korzyści w życiu praktycznym, zwłaszcza w dalekich podróżach morskich, w końcu zwracało się do nich popółstwo w swych astrologicznych marzeniach. Idealne motywa są rzadko jedynie decydujące: w życiu działają także materialne czynniki.

Pierwsze wykształcenie matematyczno-astronomiczne zawdzięcza Kopernik Brudzewskiemu i jego szkole, jakkolwiek nie słuchał nigdy jego wykładów publicznych. Brudzewski zapalił serce młodzieńca natchnieniem do tej wspaniałej nauki, zaostrzył jego wzrok i utrwalił w pewności i prostocie argumentacji, którą do dziś cały świat podziwia.

Wstęp do kapituły warmińskiej ułatwił mu zadanie życia. Tu-

taj dopiero zetknął się z życiem praktycznym, tutaj przebył szkołę polityczną i postawił sobie wielkie cele, których dopiął.

Pobyt we Włoszech rozszerzył jego widnokrąg. Walka Platonczyków ze zwolennikami Arystotelesa zagłębiła jego klasyczne studia i rozjaśniła jego filozoficzny pogląd. W Krakowie poznał Arystotelesa, zmodernizowanego nieco scholastycznymi komentarzami; klasyczni prorocy platońskiej szkoły wtajemniczyli go w niedościgłą ideologią wszechbytu. Na pół ciemne światło filozofii Platona, wznoszącego się do przypuszczenia krążenia naokoło osi, a nawet sięgnającego już po heliocentryczny system świata, zapłodniło świeży, młodzieńczy umysł Kopernika nowymi ideami kosmicznymi. Zażyłość z swym nauczycielem matematyki, Nowarą, człowiekiem śmiałym, który wypowiadał otwarcie swoje zdanie wbrew opinii współczesnej, podniecała jego reformatorskie pomysły w dziedzinie astronomii, zachęcała bystry umysł do wystawienia na fundamencie nietkniętego od wieków systemu Ptolemeusza nowego gmachu wszechświata. Poznanie języka i literatury greckiej w Akademii bolońskiej, otwierającej mu skarby zapatrywań kosmicznych filozofów i astronomów greckich, utwierdziło go w sceptycyzmie do systemu ptolemeuszowskiego.

We Włoszech kosztował Kopernik także szumiącego kielicha życia, klerycy bowiem na uniwersytetach włoskich nie stali pod rygiem dzisiejszych seminarjów duchownych. Zwolnieni od obowiązków swego kościelnego urzędu, żyli tu swobodnie, używając praw i przyjemności akademickiego życia. Młody, rwący się do życia confrater warmiński, nie stanowił pod tym względem wyjątku. Narobił nawet długów, chociaż miał utrzymanie z kapituły i dodatki od wuja.

W kwiecie wieku i umysłowej dojrzałości wrócił Kopernik do kraju, wtajemniczony prawie we wszystkie kierunki humanizmu, z nabytym wielostronnym wykształceniem, zagłębiony szczególnie w naukach ścisłych. Umiejętność prawa i kanonów uwieńczył stopniem doktora prawa kanonicznego. Nawet w sztuce lekarskiej nabył potrzebnej do praktyki wiadomości. Wykształcenie to nie było martwym kapitałem pamięciowym polihistorów, owszem, umysł jego nabrał przez studia filozoficzne takiej giętkości i żywości, że mógł używać swych wiadomości według upodobania. Przy ścisłej obserwacji poszczególnych zjawisk nie spuszczał z oka całości: pierwsze badał tylko ze względu na drugie. Ten wzrok filozoficzny, który go tak wysoko stawia w dziejach ludzkości, wzmacnił też jego sily oporu przeciw odwiecznym przesądom, które złamał w końcu swą teorią obrotu ciał niebieskich. Znajomość świata i bogate doświadczenie, których nabył w podróży za granicą, ochroniły go od jednostronności uczonych, nieznających innego świata, prócz tego, który sobie stworzyli przy lampie.

Te zalety wykształcenia gruntownego i wielostronnego zużytkował kanonik frauenburski podczas swego sześcioletniego pobytu na zamku heilsberskim, przy boku swego wuja, Łukasza Watzelrode, bi-

skupa warmińskiego. Jest to epoka twórczości Kopernika, w której zarysował się wyraźnie plan nieśmiertelnego dzieła, pomyślanego jeszcze na ławach szkolnych, a oddanego potomności z ostatniem technieniem życia. Stosunek do wuja-biskupa wywarł największy wpływ na dalsze koleje jego życia. Łukasz Watzelrode, człowiek wysokiego wykształcenia i nieskazitelnych obyczajów, tchnący miłością wiary i ojczyzny, odznaczał się stałością charakteru i stanowczości, graniczącej czasem bardzo blisko z uporem. Należał on do kategorii ludzi, znanych w starożytności pod nazwą *ἀγέλαστοι*. Poważny, surowy, nie dbał o zdanie obcych, lecz polegał bezwzględnie na sobie, a choć celował zaletami umysłu i serca, nie posiadał zalety, jednającej miłość u ludzi. Długoletnie obcowanie z takim człowiekiem bezwzględny wyrobiło w Koperniku powolność i układowość, co nie łatwo przychodziło synowcowi, dojrzałemu wiekiem i doświadczeniem. Ale z drugiej strony nabył tu Kopernik znajomości stosunków i potrzeb kraju, poznał sprawy publiczne i polityczne, które kierował jego wuj—bystry polityk. Wśród takiego otoczenia uprawił się Kopernik do samoistnego działania na tém polu, na którym okazał wiele energii i zabiegliwości. Sprzeżności kierunków publicznego życia, stykających się na dworze biskupa, budziły w nim się i rozszerzały horyzont umysłowy, bo wygodne, spokojne życie kanonika, mogłoby być usypiająco oddziaływać na umysł astronoma, obserwującego ciała niebieskie. Na dwór biskupa przybywali posłowie polscy i krzyżacy, członkowie sejmu pruskiego, burmistrzowie, wojewodowie i kasztelan pruscy, a Kopernik miał sposobność wejść z nimi w osobiste stosunki. Wielkiej rozmaitości nastęrczały podróże w towarzystwie wuja, jeszcze większe korzyści odnosił zwiedzając z nim sejmy polskie.

Z pobytu w stolicy Rzeczypospolitej (w r. 1508) skorzystał Kopernik, wydając w drukarni Hallerowskiej owoc swoich helenistycznych studiów: „Przekład łaciński listów Teofilakta Simocatta” „pierwsza książka przedstawiająca literaturę grecką w Polsce.” Praca ta zaznacza wyraźnie stanowisko Kopernika, które zajął w umysłowych walkach swej epoki. Na początku XVI wieku uważano każdego, który zajmował się językiem albo literaturą grecką za wolnomyślnego. Wydając przekład z greckiego, stanął Kopernik z otwartą przyłbicą na placu bitwy po stronie nowatorów to jest humanistów.

Jakie stanowisko zajął wobec reformacji? Śmiały reformator na polu astronomii stał wiernie przy wierze katolickiej. Nie zaprzeczał wprawdzie upadku i zdróżności społecznego duchowieństwa, skarżył się na jego zabobonność i świecki kierunek życia, ale nie myślał burzyć odwiecznego gmachu kościoła katolickiego, chciał go tylko restaurować. Przeciwnik gwałtownych przewrotów wiedział z doświadczenia, że nagły rewolucyjny przełom nie zaradzi złemu. Zresztą jako humanista żywił słuszne obawy, że religijne spory i walki zakłócają spokój niezbędny dla młodej i zagrożonej nauki. Spłacając dług odwetu nie chcieli w zamian uczeni

wittenberscy do ostatniej chwili uznać radykalnej teorii obrotu Kopernika. W spornych kwestiach dogmatycznych domagał się pomostu zgody, snać spodziewał się, że odszczepieńcy powrócą na łono Kościoła.

Pobyt Kopernika przy katedrze frauenburskiej był poświęcony studiom naukowym. Owocem ich była rozprawa poprzedzająca nieśmiertelne dzieło „De revolutionibus orbium coelestium“ znane od niedawna p. t.: „Commentariolus de hypothesis motuum coelestium“, i Kopernik wstrzymywał się z ogłoszeniem swej teorii nie z obawy prześladowania, ale z przekonania, że tajemnica nauki nie powinna przekraczać kół uczonych. Kilkakrotnie chwalił kapłaństwo nauki, przestrzegane w szkole pitagorejskiej, a w przedmowie do swego wielkiego dzieła daje temu zapatrywaniu poważny wyraz. Opowiada tu „jak długo z sobą walczył, czy oddać publiczności swoją naukę o obrocie ziemi, czy też nie byłoby może lepiej pójść za przykładem Pitagorejczyków, którzy przekazywali tajemnice mądrości ustnie tylko i jedynie swoim najbliższym.“ Stanowisko jego duchowne nie przeszkadzało mu wcale głoszenia swoich genialnych myśli. W epoce, o której mowa, stało wyższe duchowieństwo na czele postępowych idei, jak tego dowodzą wolnomysłne zapatrywania papieża Leona X.

Na wstępie dzieła „De hypothesis motuum coelestium“, daje Kopernik po krótkim przeglądzie dotychczasowych kosmicznych systemów główne zasady swej heliocentrycznej teorii w sześciu „petycjach“ czyli aksjomatach, znanych dzisiaj powszechnie, ale zdumiewających swą genialną prostotą. Wypowiada w nich wielki reformator nauki, że ziemia jak wszystkie planety okrąża słońce, stojące w środku wszechświata, wyprowadzając całą budowę kosmosu z obrotu 34 kół.

Do charakterystyki Kopernika posłużyć może stosunek jego do Dantyszka. W młodości zbliżyli się na krótki czas. W późniejszych latach żyli na stopie konwencyonalnej. Z chwilą kiedy Dantyszek zasiadł na stolicy biskupstwa warmińskiego, przybrał ten stosunek nieprzyjazny charakter. Przyczyny tej zmiany szukać należy w daremnych usiłowaniach Kopernika wyniesienia na tę godność swego przyjaciela Giesego. Podniecały tę niezgodę wprost przeciwne zapatrywania w piekającej kwestyi reformacyi. Biskup warmiński, niegdyś światowy, wolnomysłny dworak stał się rygorzystą i bezwzględny prześladowcą „kacerzy.“ Podwładny mu kanonik był łagodny, powolny i ludzki wobec wszystkich katolików.

Zwiastunem ciężkiej doli starca, którą mu zgotował przyjaciel młodości było postępowanie biskupa z kanonikiem Aleksandrem Scultet'ym zostającym w bliższych stosunkach z Kopernikiem w naukowych i politycznych dążeniach. Zachowanie się ks. Aleksandra Skulteta dało słuszny powód surowego wystąpienia przeciw niemu ze strony biskupa, pomimo łagodnego postępowania kuryi rzymskiej. Klątwa, którą na niego rzucił, miała spaść na każdego kto by się do niego

zbliżył. Kopernik oświadczył, że nie odstąpi przyjaciela którego „wyżej ceni nad innych.“ Postępowanie Dantyszka z Kopernikiem widocznie nakaz, aby 66-letni starzec oddalił od siebie gospodynią domu, swą daleką krewną, czemu był zupełnie powolny. Cały stosunek obu mężów, zajmujących tak wybitne stanowisko w dziejach naszej oświaty i polityki XVI wieku, wydaje się fałszywym. Poeta i uczoney mieli wiele punktów styecznych, drogi biskupa i kanonika rozchodziły się w przeciwne strony.

Ostatnie lata życia Kopernika w dalekim zakątku Warmii obracają się w ciasniejszém kole. Obok urzędowej czynności zajmuje się głównie praktyką medyczną. Widziny go spieszącego z pomocą lekarską w dalekie strony. Uważany przez współczesnych za znakomitego lekarza, nie wychodził po za mierność. Z pozostałych po nim recept widać, że się trzymał ślepo zasad Avicenny, mistrza sztuki lekarskiej średnich wieków.

Wielostronna działalność genialnego reformatora dała powód do twierdzenia, że był poetą (przypisują mu dwa epigramata); w rzeczywistości był wrażliwym na piękno. Wielbiąc wspaniałość wszechświata wznosił się do poetycznego polotu, lecz język jego jest szorstki i ciężki, poznać ze stylu jak myśl jego walczyła z formą.

Kopernik nie odznaczał się ścisłą obserwacją. Twórca nowego systemu słonecznego był przedewszystkiem filozofem. Obserwacje jego mają tylko względne znaczenie. On swym genialnym wzrokiem poznał, odkrył niejako system wszechświata, udowodniony dopiero w późniejszych czasach. Nie myślał też kłaść fundamentu astronomii w rozległych spostrzeżeniach, ale chodziło mu głównie o przeobrażenie nauki w zasadach.

Na podstawie orzeczeń jego ucznia Retyka, możemy zajrzeć do warsztatu twórczości naukowej autora nieśmiertelnego dzieła „O obrotach ciał niebieskich.”

„Będąc za wolą Bożą, powiada jego uczeń i przyjaciel, świadkiem ciężkiej pracy myślenia, podjętej przez mego mistrza silnym duchem, spostrzegłem dopiero w całej pełni ciężar tej pracy, o której nie miałem wyobrażenia.” „Mój profesor, powiada dalej w swój „Narratio prima,” porównywał wszystkie kosmiczne obserwacje ze swojami i spisywał je za porządkiem do swego użytku. Chcąc postawić jakąś tezę, wychodził z pierwszych obserwacji, a przechodząc je aż do bieżących rozważał starannie, na podstawie jakiego prawa dadzą się pogodzić. Rezultat w ten sposób otrzymany, porównywał znowu z teoriami starożytnych, tudzież Ptolemeusza. Jeżeli w tym wypadku po dokładnej rozwadze przekonał się o mylności dotychczasowych systemów, wtedy dopiero stawał za natchnieniem Bożem swoje teorie wywodząc geometrycznie ich konsekwencye. W końcu omawiał swoje i starożytne obserwacje, prowadzące do przyjętej teorii. Po takiej pracy wyznaczał nowemu prawu miejsce w astronomii.”

Pismo Retyka przeznaczone dla szerszej publiczności, ogrzewa

zapał dla mistrza, którym technic całe przedstawienie, torujące drogę nowemu systemowi. Ale na przeciwników, wzbraniających się uznać prawdy wielkiego odkrycia, działała dopiero zbrojownia naukowych dowodów, wyjętych z dzieła Kopernika.

Wyczekiwano z niecierpliwością ogłoszenia dzieła samego reformatora. Ale ten zwlekał i ociągał się. Nie z obawy prześladowania ze strony katolickiej, to bowiem co dotąd pisano o prześladowaniu przez kościół ks. kanonika, poświęcającego swoje dzieło papieżowi Pawłowi III, należy do oczywistych bajek. Nie spieszył się z ogłoszeniem dzieła z innych względów. Stojący już nad grobem i spokojny z natury myśliciel, chciał spędzić w spokoju resztę swego żywota. Naleganiom przyjaciół przeciwstawiał podobne przykłady starożytnych badaczy, wzbraniających się swoje myśli, przeciwne tradycji, oddać na łup chciwej nowości i bezmyślnej masy. Zresztą poprawiał i dodawał ciągle. Dojrzały owoc długoletnich studiów wydawał mu się niedojrzałym. Ale o nieomylności swych twierdzeń nie wątpił nigdy, podaje je też w kategorycznej formie, nie zaś, jak sądzono, jako hipotezy. Zanim wyzionął ducha wielki astronom, oglądał jeszcze swoje dzieło w druku. Koniec jego życia był początkiem nieśmiertelności.

Ten czynny i bogaty w owoc żywot Kopernika, który tu z lekka tylko naszkicowano na podstawie najnowszych badań, wziął sobie za przedmiot długoletnich studiów uczony niemiecki, Leopold Prove, w dziele zakrojoném na wielkie rozmiary, którego dwa pierwsze tomy, obejmujące tylko życie Kopernika, wyszły niedawno z druku.

Uznając nienatą wartość nagromadzonego w tém dziele materiału historycznego, uważamy je za chybione jako biografię; pomijając znany bowiem furor germanicus Prove'go, strzegącego już od lat trzydziestu ¹⁾ ze złą, możnaby prawie sądzić, wiarą, nieprzystającą Kopernikowi narodowości niemieckiej, jest niniejsze dzieło nowém usiłowaniem na tém polu uzurpacji germanizmu, zatykającego wytrwale uszy na przekonywające dowody w dziełach i poszukiwaniach nowszych Romera (*Beitraege zur Beantwortung der Frage nach d. Nationalitaet des Nic. Kopernik*, 1872), Wołyńskiego („Kopernik w Italii,” 1873), Polkowskiego („Kopernikiana,” t. 3), A. P. („Biblioteka Warszawska,” 1873, t. I, str. 520—532).

Tendencyjność i niezajomość, czy omijanie naszej literatury, odnoszącej się do Kopernika, oto kardynalne wady dzieła Prove'go, który jako nadworny historyk pruski „pod egidą JCK. Wysokości,” uważa za obowiązek powrócić ojczyźnie „wielkiego prusaka.” Pod względem metody przedstawienia, możnaby zarzucić autorowi zbyt nie nagromadzenie ekskursów i polemiczno-krytycznych wycieczek, tudzież przesadne rozszerzenie tła historycznego, w którego ramach ginie charakterystyka Kopernika jako człowieka i astronoma.

¹⁾ Od r. 1853 do 1883 wydał Prove 12 dzieł i rozpraw w celu udowodnienia pochodzenia niemieckiego Kopernika. *Przyp. Red.*

W pierwszej części przedstawia Prove dzieje Torunia, miejsca urodzenia Kopernika, od założenia aż do XV wieku, koleje antenatów i rodziców Kopernika, zastanawiając się dłużej nad imieniem, z którego wywodzi niemiecką narodowość wielkiego astronoma. Dowiadujemy się tu między innymi że „aż do połowy XVI wieku ani słowa nie napisano w języku polskim!“ (I, 17), że „polsko-litewska przemoc nie obaliła zakonu krzyżackiego pod Grunwaldem“ (I, 13). Te i tym podobne wycieczki spotykamy niemal na każdej karcie. Prove dowodzi tu, że Kopernik podpisując się najczęściej „Coppernic,“ udowodnił swego niemieckiego pochodzenia, gdy język polski nie zna podwójnych spółgłosek ani akcentu na trzeciej głosce od końca. Pomijając chwiejność pisowni w aktach średniowiecznych, na której nie należy budować, to przecież nie zechce nikt na seryo wnosić z pisowni niemieckiej na niemieckie pochodzenie. Przytoczone w wielkiej ilości osoby imienia Koperników, są zbyt oderwane i niezostające w żadnym stosunku pokrewieństwa z naszym astronomem, aby mogły zaważyć na szali. W ogólności, źródło pochodzenia Kopernika pozostaje zawsze jeszcze zakryte. Na podstawie archiwalnych badań wykazał Prove między innymi, że ojciec Kopernika był kupcem (Grosshändler) w Krakowie, potem w Toruniu.

Z młodości Kopernika zaznaczamy tylko, że Kopernik nie słucał publicznych wykładów Brudzewskiego, i że skończył w jesieni 1494 roku triennium w Akademii krakowskiej. Prove wyklucza drugi pobyt Kopernika w Krakowie i jego profesurę tamże. Podczas dwuletniego pobytu w kraju rodzinnym (w Toruniu i Heilsbergu od 1494—1496), starając się napróżno o kanonią warmijską, zostaje Kopernik przy kapitule frauenburskiej. Ta okoliczność daje dr. Prove'mu sposobność przedstawienia dziejów biskupstwa i kanonii warmińskiej z pruskiego stanowiska. Jeszcze przed nominacją na kanonika wyjechał Kopernik w roku 1496 do Włoch (w jesieni tego roku przekroczył Alpy), gdzie spędził najpiękniejsze lata swego życia. Dziesięcioletni jego pobyt na klasycznej ziemi dzieli Prove na dwa okresy: 1) na uniwersytecie bonońskim (1496—1500) i 2) na padewskim (1501—1503). Między temi okresami przypada jego pobyt w Rzymie i powrót do ojczyzny (w roku 1500). W tej epoce włoskiej, oddawał się oprócz matematyczno-astronomicznym, także filozoficznym naukom, a nadto studyował w Bononii prawo, w Padwie zaś kanony, zakończywszy te nauki promocją w Ferrarze. Przy końcu swego pobytu w Padwie oddawał się medycynie. Pierwsza obserwacja astronomiczna Kopernika, którą zacytował w swém dziele, przypada na 9 marca 1497 roku.

Pobyt Kopernika w Italii daje sposobność Prove'mu skreślenia stanu oświaty i życia scholarów we Włoszech przy końcu XV wieku. Imatrykulacja Kopernika na uniwersytecie bonońskim do t. z. natio Germanorum nie dowodzi wcale (jak chce Prove) niemieckiej narodowości naszego astronoma, gdyż, jak wiadomo, podział na „uacye“

w średniowiecznych uniwersytetach nie był skuteczniany podług narodowości, które wówczas nie odgrywały tak wybitnej roli. Nauczycielami Kopernika byli w Bononii: Nowara, Ferro i Codrus. Po wyjeździe z Bononii udał się Kopernik do Rzymu (1500), gdzie miewał publiczne wykłady. Prove zaprzecza słusznie mylnym podaniom o drugim pobycie astronoma w Rzymie. Po otrzymaniu pozwolenia wyjazdu w celu medycznych studyów, przebywa Kopernik w Padwie, czego dowodzi Prove na podstawie jego doktorskiego dyplomu z 1503 roku, kreśląc stan tego uniwersytetu podczas pobytu Kopernika. Opisawszy dokładnie medyczne studia Kopernika, wykazuje nieprawdopodobieństwo przypuszczenia, że Kopernik uzyskał tutaj stopień doktorski. Do najlepszych rozdziałów książki należy opowiadanie Prove'go o pobycie Kopernika na zamku heilsberskim (1506—1512) i jego współudziale w administracyjnej i politycznej czynności wuja, biskupa Łukasza Watzelrode. Z autorskiej działalności Kopernika zaznacza Prove nieznanie dawniejszym biografom tłumaczenie listów Teofilakta (druk Hallerowski ¹⁾), przeznaczając Kopernikowi właściwe miejsce między humanistami XVI wieku.

Pobyt Kopernika przy katedrze w Frauenburgu (1512—1516) opisuje Prove szczegółowo i dokładnie, rzucając wiele światła na t. z. Curia Copernicana, w której dokonał nasz astronom wszystkich obserwacji. Niemniej szczegółowo opisane są spory kanonii warmińskiej z królem polskim, Zygmuntem I, o wybór następcy po śmierci Łukasza Watzelrode. I tutaj zajmuje Prove stanowisko pruskiego nadwornego historyka. Większą naukową wartość ma analiza astronomiczna obserwacji Kopernika i opis jego narzędzi, jak: „instrumentum parallacticum,” „astrolabium,” „quadrum Ptolemeusza” i t. d., jakoteż udział Kopernika w reformie kalendarza za r. 1514.

Życie i działalność naszego astronoma na zamku Allenstein dziełi Prove na dwa okresy: 1) od 1516—1519; 2) od 1520—1521. Między te dwa okresy przypada pobyt jego w Frauenburgu (1519—1520). Z tendencyjnych rezultatów Prove'go zaznaczam tylko, że „Kopernik nie miał obserwatorium w Allensteinie” (II, 76), co nie jest wymierzone wprost przeciw polakom. Omijam zaś wycieczki autora przeciw Brosciuszowi, który miał „zagrabić relikwie po Koperniku,” tudzież zapatrywania jego na stosunek Warmii do Zakonu Krzyżaków. Ta epoka namiestnictwa Kopernika nie obfituje w naukowe owoce, przygłuszała je bowiem wojna, urzędowe czynności i praktyka medyczna.

Polityczna czynność Kopernika (od 1521—1531), jego reforma monetarna, tudzież czynność jako generalnego administratora, są opisane dokładnie, ale nie bez wycieczek polemicznych. Wyświecając stosunek wielkiego astronoma do reformacji, wykazuje Prove jego katolickie stanowisko. Przy rozbiorze pisma Kopernika o polepszeniu

¹⁾ Mylne twierdzenie. Zobacz K. Estreichera „Bibliografia polska XV—XVI wieku.” Kraków, 1875, str. 6, kol. 2, pod r. 1509. Red.

pruskiej monety, rzuca się znowu z całą zaciekłością na Romera, dowodzącego narodowości polskiej Kopernika; ale cała jego polemika sprawia przykre nader wrażenie. Omawiając wystąpienie Kopernika przeciw Wernerowi, wspomina Prove o Wapowskim, ale nie zna nawet jego podługoszowej historii! (str. 221, w uwadze). Taką grubą niezajomość naszej literatury napotykać często w poważnym zresztą i pracowitym dziele Prove'go.

Ze śmiercią biskupa Ferbera zmieniają się stosunki w diecezji warmińskiej. Zaczyna się działalność Dantyszka i Hozyusza ze stanowiska polskiego i katolickiego, która nie podoba się naturalnie Prove'mu. Rażą nas przedewszystkiem wycieczki przeciw „fanatykowi” Hozyuszowi, nie poparte żadnemi dowodami. Z ostatniej działalności Kopernika rozjaśnia Prove dokładnie jego czynność lekarską i naukowe stanowisko. Z tego ostatniego względu rozbiera gruntownie „Commentariolus” Kopernika, zawierający dokładnie rozwinięty nowy system słoneczny, dowodzi przekonująco, że „septem sidera” nie są dziełem Kopernika, opisuje umiejętnie cały stan biblioteki Kopernika, a w końcu omawia szczegółowo największe dzieło Kopernika: „De revolutionibus orbium coelestium.” Sumienność i gruntowność niemieckiego badacza zasługuje tutaj na wysokie uznanie. W ogóle te części dzieła, w których nie występuje tendencyjna i polemiczna żyłka autora, odznaczają się gruntownością i ścisłością badania. Rezultaty Prove'go na tej drodze zdobyte, posuwają naukę o potężny krok naprzód.

H. B.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Grudzień 1883.— W myśl propozycji ks. arcybiskupa kardynała Ledóchowskiego (zob. „Bibl. Warsz.” 1883 r., zesz. listopadowy, str. 301), odbyła się dnia 16-go grudnia r. b. instalacja, że tak powiemy, obrazu Jana Matejki: „Jan III pod Wiedniem r. 1683,” w Watykańic, w obecności Jego Świątobliwości Papieża, otoczonego swoim dworem, deputacyi krakowskiej, towarzyszącej samemu mistrzowi i całej kolonii polskiej, przebywającej w Rzymie. Obraz naszego mistrza umieszczono bardzo szczęśliwie w sali poprzedzającej głośnie w świecie chrześcijańskim Stance Rafaela. Kardynał Ledóchowski wprowadził deputacyą polską. Gdy przybył Ojciec Ś-ty, przemówił kardynał Ledóchowski, przedstawiając intencje narodu, składającego Ojcu Św. obraz w ofierze i tłumacząc jego znaczenie. Poczém Ojciec Św. wysłuchał słów prof. Stan. hr. Tarnowskiego, przemawiającego w imieniu deputacyi. Na co odpowiedział Ojciec Św. w gorących i nader życzliwych słowach dla całego naszego społeczeństwa, poczém udzielił błogosławieństwa członkom deputacyi, ich rodzinom i całemu narodowi. Po téj uroczystości przedstawił kardynał Ledóchowski Ojcu Św. członków deputacyi, zaszczyconych każdy osobną dłuższą rozmową Ojca Św. Matejce wręczył Ojciec Św. krzyż komandorski Piusa z gwiazdą. Poczém oglądał z wielką ciekawością obraz, objaśniany przez artystę we wszystkich szczegółach. Wspaniała ceremonia wywarła na obecnych bardzo podniosłe wrażenie, a dzienniki włoskie wyrażają się bardzo pochlebnie o artystycznej wartości samego dzieła.

— W Krakowie w dniu 13 grudnia na posiedzeniu rady zawiadomił prezydent radców, iż od księdza Zosiaka z Ossyaku otrzymał uwiadomienie, iż na restauracyą grobowca Bolesława Śmiałego, potrzebną jest jeszcze kwota 125 złr., o której asganacyą z oszczędności budżetu za r. 1883 uprasza. Wniosek ten prezydyałny został jednogłośnie przyjęty. Następnie przyjęto bez wszelkiej dyskusyi jednogłośnie następujący wniosek: 1) Pod pomnik Mickiewicza od-

stępuje gmina m. Krakowa każde miejsce, czy to w rynku głównym, czyli też na innym placu miejskim, każdego czasu i bezpłatnie w przekonaniu, że komitet pomnika najodpowiedniejsze wybierze miejsce. 2) Na koszt pomnika Adama Mickiewicza przeznaczają gmina 1,500 złr., a suma ta w trzech równych ratach rocznych po 500 złr., ma być co roku najdalej w połowie stycznia z funduszu gminy wypłaconą do funduszu pomnikowego. Prezydent miasta dr. Weigel stwierdza, iż uchwała powzięta została jeduomyślnie; co wywołało w sali liczne oklaski.

— W nowym dziele dr. Hugona Bracchelli p. t. „Państwa europejskie,” znajdujemy ciekawe dane statystyczne o obecnym stanie uniwersytetów w państwach europejskich. Wiadomości te odnoszą się do ostatniego roku szkolnego 1882/3 i są tém cenniejsze, iż autor czerpał je wyłącznie z autentycznych źródeł urzędowych. Według zestawień tedy dr. Bracchelliego posiada obecnie monarchia Austro-Węgierska 10 uniwersytetów z 979 profesorami, docentami i lektorami, oraz 15573 uczniami; Niemcy 22 uniwersytetów z 2,011 profesorami i 25,442 studentami; Anglia posiada właściwych uniwersytetów tylko 8 oprócz 7, tak zwanych „Colleges” które liczą razem 509 profesorów i 18,170 studentów. We Francyi nie ma ani jednego uniwersytetu w naukowem tego słowa znaczeniu, natomiast posiada ten kraj tak zwane „fakultety,” mianowicie 13 jurydycznych, 11 medycznych, 15 wyższych szkół medycznych przygotowawczych, a 30 fakultetów „des Sciences es lettres,” niby filozoficznych. Wszystkie te fakultety liczą razem 1,184 profesorów i 15,526 uczniów. Nadto posiada Francya 5 uniwersytetów katolickich, przeważnie poświęconych teologii. Włochy liczą 17 wszechnic państwowych i 4 wolne uniwersytety z 1,655 profesorami i 11,728 studentami; Rosya 8 uniwersytetów z 709 profesorami 10,305 studentami; Szwecya i Norwegia 4 uniwersytety z 213 profesorami i 3,425 studentami; Holandya 5 uniwersytetów z 192 profesorami i 1,685 studentami; Belgia 4 uniwersytety z 253 profesorami i 4,072 uczniami; Szwajcarya 6 uniwersytetów z 975 profesorami i 2,031 studentami; Hiszpania 10 uniwersytetów z 475 profesorami i 13,722 uczniami; Rumunia 2 uniwersytety z 87 profesorami 693 studentami; wreszcie Portugalia, Grecya, Serbia i Turcyja posiadają po jednym uniwersytecie. Nadmienić tu jednak trzeba, że najwyższy zakład naukowy turecki przypomina raczej francuzkie fakultety a nie dosięga owęj uniwersalności nauki, która jest charakterystycznym znamieniem uniwersytetów w ścisłym tego słowa znaczeniu.

— Dnia 14-go grudnia r. b. zmarł w Passy pod Paryżem Henryk Martin, zasłużony historyk, członek Akademii francuzkiej i zacny, szlachetny człowiek. Ur. 1810 r. Wartość jego dzieł historycznych nie leży w głębokich, krytycznych badaniach; ale w tém, że jego kilkunastotomowa historia Francyi wprowadziła znajomość dziejów francuzkich do szerokich kół narodu francuzkiego, budząc podniosłe uczucia miłości ojczyzny i podniecając do cnót przodków. W dziele H. M. podziwiać trzeba

pewien bałwochwalczy kult swojskości przy wyrozumiałej wprawdzie, ale nie stronniczój krytyce. Miłość własnego kraju nie była u H. Martina skażoną tą arogancją i tém samolubstwem, jakie brudziło prace historyczne Thiersa, który nie umiał być sprawiedliwym względem innych narodów: jedne ścigał i lekcewałzył jaknajniesprawiedliwiej, a przed innymi pełzał bez poważnej racyi. Dzieje polskie straciły w H. Martin'ie może ostatniego, szlachetnego, poważnego przyjaciela i sprawiedliwego sędziego między dzisiejszymi francuzami.

— Dnia 3 grudnia r. b. odbyło się w Akademii umiejętności w Krakowie, pod przewodnictwem d-ra Estreichera zwyczajne posiedzenie wydziału filologicznego. Prezes Majer złożył „Słownik synonimów polskich,“ owoc wieloletnich trudów JE. ks. biskupa Krasińskiego, i wyłożył zasady, podług których praca ta została dokonana. Oświadczył nadto, że sam prezes jakoteż dr. Estreicher i prof. Tarnowski i Malinowski, są dostatecznie poinformowani przez dostojnego autora o treści i zakresie słownika, i uznali za rzecz pożądaną, aby dzieło to było ogłoszone przez Akademię. Wydział podzielił tę opinią i postanowił pracę „Słownik synonimów“ odesłać do komitetu redakcyjnego.

— Dnia 4 grudnia r. b. odbyło się w Akademii umiejętności w Krakowie, wspólne posiedzenie komisji historycznej i komisji historii oświaty i literatury, na którym imieniem wybranego poprzednio komitetu (z pp. Bobrzyńskiego, Smolki i Wisłockiego), p. Bobrzyński przedstawił program najbliższych wydawnictw obu komisji. Zaznaczywszy na wstępie niezmierną dysproporcją pomiędzy ogromem materiału źródłowego a szczupłymi funduszami obu komisji, podniósł konieczność największej oszczędności przy wszystkich publikacjach, a więc ograniczenia się do tego, żeby zawsze, kiedykolwiek to jest możebnem, podawać wydawane akta w formie regestrów i ekscerptów. Dla konsekwentnego przeprowadzenia tej zasady, każdy z wydawców zawczasu powinienby przedstawić komisji plan swojego wydawnictwa do zatwierdzenia i następnie się do niego stosować. Szczupłość funduszy każe się także nateraz powstrzymać od podejmowania nowych, chociaż ważnych bardzo publikacji i ograniczyć do dalszego ciągu takich głównie, któreby szczególniej były doniosłości dla rozświecenia stosunkowo zaniedbanych dziejów wewnętrznych Polski. Dlatego, co się tyczy aktów dyplomatycznych późniejszych, należałoby poprzestać na prowadzeniu dalej wydania „Aktów Jana III,“ starając się o to pilnie, aby obie publikacje pp. Waliszewskiego i Kluczyckiego, zrównały się z sobą pod względem chronologicznym i odtąd postępowały równym krokiem. Natomiast byłoby rzeczą bardzo pożyteczną, aby otworzyć na jednem miejscu wielki zbiór odpisów aktów dyplomatycznych z XVI, XVII i XVIII wieku, z którego mogliby korzystać uczeni, pracujący nad historią polityczną; nad tém jednak należałoby się jeszcze zastanowić dokładniej. Przedewszystkiem wypada przedsiębrać takie wydawnictwa, które pozwolą dokładniej niż dotąd poznać naj-

świetniejszą epokę dziejów polskich, to jest wiek XV; a więc przygotować do druku dalszy ciąg „Kodeksu małopolskiego“ sposobem regestrowym, i drugi tom „Kodeksu listów z wieku XV,“ do którego nie mało materiału się znajdzie. — Przy zupełnej prawie nieznamości stosunków miejskich i historii miast polskich, szczególnie w XVI w., należy wydać jaknajprędzej dalszy ciąg „Kodeksu praw i przywilejów miasta Krakowa.“ Dalszy ciąg korespondencji kardynała Hozjusza jest wielkiej wagi, bo obzajmia dokładniej ze stosunkami kościelnymi w epoce reformacyi. Nareszcie należałoby kontynuować wydawnictwo „Pamiętnika ks. Wielewickiego,“ dla jego niemniej doniosłości. — Dla drugiej komisji, historii oświaty i literatury, postawiono jako program wydawnictwo materiałów źródłowych do historii uniwersytetu krakowskiego, wileńskiego i zamojskiego, ich kolonii, oraz szkół klasztornych, albo katolickich; dalej zbioru starożytniej poezyi polskiej przed Rejem i Kochanowskim, materiałów archiwalnych do biografii głównych pisarzy. Przy szczerpnięciu uposażeniu tej komisji, jednak i tu wypadłoby się ograniczyć tymczasem do wydania rzeczy już przygotowanych, a więc spisu profesorów i wykładów, („Liber diligentiarum“), wydziału filozoficznego krakowskiego z lat 1487—1563; zbioru poetów łacińsko-polskich i zbioru uchwał kolegium większego uniwersytetu krakowskiego 1430—1500. Wszystkie wnioski programu po dłuższej dyskusji zostały przyjęte z drobnymi tylko zmianami; poczem dalsze wydawnictwo kodeksu miejskiego i przygotowanie kodeksu małopolskiego powierzono dotychczasowemu wydawcy p. Piekosińskiemu, jak również korespondencyą Hozjusza pp. Hiplerowi i Zakrzewskiemu. Wydania drugiego tomu kodeksu listów z XV wieku, podjął się pan Smolka, „Pamiętnika Wielewickiego“ ks. Chotkowski; wydania już przygotowanego do druku „Libri diligentiarum“ i przygotowania uchwał kolegium większego podjął się p. Wiśłocki, p. Morawski zaś kierownictwa wydaniem zbioru poetów polsko-łacińskich. Skutkiem poruszonej w końcu programu myśli, że należałoby systematycznie przejrzeć archiwa krakowskie, p. Bobrzyński podjął się zdać sprawę z archiwum miejskiego, ks. Polkowski z kapitulnego, p. Ulanowski z konsystorskiego. Nakoniec uchwalono zakomunikować lwowskiemu gronu komisji cały program wydawnictw i zaprosić je do łącznej i zjednoczonej pracy.

— Na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, które odbyło się dnia 3 b. m., czytał ks. kanonik Korytkowski z Gniezna wyjątki z obszerniej swój pracy „O ks. prymasie Jakobie Uchańskim.“ Ks. K. czerpał z archiwów kapitulnych w Gnieźnie, Krakowie, Poznaniu, Płocku. Z wielkiej obfitości nowego zupełnie materiału powstała wielostronna i bardzo cenna monografia jednego z najgłośniejszych dygnitarzy duchownych Polski XVI stulecia. Ks. K. odczytał tylko niektóre ustępy części pierwszej, omijając rozdziały, które się odnoszą do wewnętrznej administracji biskupstw, którymi kolejno zarządzał Uchański. Wybrał tedy ks. K. tylko te ustępy

swego dzieła, w których kreśli żywot Uchańskiego, jego działalność na zawichrzonym wówczas przez reformacją polu religijnem i politycznym, a lubo doprowadził wątek rozprawy tylko do r. 1565, to już z tych fragmentów pracy występuje w bardzo wybitnych rysach działalność, wpływ i charakter prymasa. Jak się dzieć mogło, że przebiegły Uchański przez długie lata godzić zdołał na zajmowanych stanowiskach własne zdrożne przekonania i plany z dostojnością biskupiem i prymasowskiem, wyświeca szanowny autor z całą dokładnością i talentem.

— Muzeum Zakładu narodowego Imienia Ossolińskich otrzymało, dzięki wydziałowi krajowemu, znakomite dzieło w zakresie architektury, a mianowicie: Egzemplarz złożony z 71 tablic folio (reprodukcji fotogr.) planów odbudowy zamku królewskiego na Wawelu, wykonanych przez p. Prylińskiego. Wiadomość ta nieobojętną zapewne będzie tak dla architektów, jak i dla wszystkich, komu nie obcą znajomość sztuki i miłość dziejowej przeszłości narodu. Dzieło to bowiem wykonane, zdaniem znawców, znakomicie, dokładnością i ścisłością nieustępujące najważniejszym tego rodzaju monografiom, daje nam w przybliżeniu wyobrażenie o wspaniałości tego gmachu, na który składały się wieki. Autor z godną podziwu cierpliwością, a co więcej, z namiętną miłością artysty-polaka, potrafił w niem, ze szczątków nieraz prawie i okruszyn pozostałych lub odkopanych, odtworzyć całość, świadczącą o wysoce wykształconym smaku minionych pokoleń. Oddrzwia, sopraporty, obramowania drzwi i okien, stropy, kominki, gzemsy, kapitele, z całą profuzją ornamentyki gotyckiej i renesansowej, jakież to bogate nastrożca pole do studyów średniowiecznej sztuki! To też jakiegokolwiek mają być w przyszłości losy wawelskiego grodu, stała się już rzecz arcy-dobra i ważna: bo oto przybywa niejedno cenne ogniwo dla historii sztuki i co niemniej ważne, nadarza się przystępna sposobność ogółowi narodu do bliższego poznania siedziby swych królów i kolébki wielkiej swój przeszłości.

— Nakładem firmy Lesmana i Świszczowskiego ukazała się bardzo pożądana broszura p. Adolfa Dygasińskiego p. t.: „Krytyczny katalog książek dla dzieci i młodzieży.” Warsz. 1884, str. 80. Całość rozpada się na III działy stosownie do wieku, mianowicie dział I obejmuje książki dla dzieci, które się uczyć zaczynają, II od 8—12 letnich i III starszych od lat 12-tu. Nie wchodząc w szczegółowy rozbiór wartości pedagogicznej tej klasyfikacji, zaznaczamy z przyjemnością, że ten katalog wyrozumowany, jakkolwiek kuleje niekiedy co do języka (np. str. 9. „Wszystko to zostaje odczute, spostrzeżone i pojęte. Jest to naturalny pochod powstawania władz umysłowych.” Przecież te władze istnieją, tylko je należy kształcić, ćwiczyć, doskonalić) jest pod wielu względami dokładniejszy od podobnej pracy dawniejszej, którą przed kilku laty wydał p. Karłowicz. Nie robimy z tego p. Dyg. zarzutu, że sięgnął do wydawnictw lat dawniejszych, bo i przy dawniejszych książeczkach informacja jest po-

żadaną, ale gdzież jest pewna granica? Zastanawia niekiedy apodyktyczność dwuwierszowych wyroków (str. 69) tam, gdzie pouczać trzeba, jak niemniej jednostronny pogląd na źródło złego (str. 14). Pierwszy raz dowiadujemy się o istnieniu „uczuciu korzystnych w obcowaniu z bliźniini” (str. 21), o tém, że „powiastki mogą służyć na lekturę” (str. 22), że p. K. „traktował książkę w Ateneum” (str. 17), że „autor zapoznaje nas z cudami natury,” zamiast obznajmia nas i t. p. W każdym razie jest to praca dokonana na czasie i może być bardzo pożyteczna dla nieobeznanych zupełnie z pedagogiczną literaturą naszą. — Zasłużona na polu wydawnictw polskich firma Gebethnera i Wolffa wystąpiła wzorem firm zagranicznych z powodu świąt Bożego Narodzenia, z katalogiem ilustrowanym książek pedagogicznych jej nakładem wydanych, w czém także niejedno upodobanie zaspokojenie znaleźć może.

— Konkurs imienia ś. p. Pauliny Krakowowej, ogłoszony w r. z. w Nr. 332 „Tygodnika Ilustrowanego“ i powtórzony w treści przez inne pisma, nie przyniósł dodatniego rezultatu. „Z czterech nadesłanych powieści dla dorastających panien, żadna nie odpowiedziała nietylko warunkom programu, ale i ogólnym, od tego rodzaju utworów wymaganym. Rozumowane sprawozdanie sędziów konkursu, znajduje się w ostatnim Nr. 49 „Tygodnika Ilustrowanego“ z r. b., gdzie też wyrażono i życzenie, aby ze względu na doniosłość przedmiotu i braki w naszej literaturze, nowy termin na d. 1 stycznia 1885 naznaczony, doświadczenie pobudził pióra i dojralsze wywołał prace.”

— Dr. Ernst Kestner wydał dzieło p. t.: „Beitraege zur Geschichte der Stadt Thorn.“ Podług źródeł archiwalnych. Toruń, 1883, str. III, 290. W dziele d-ra Ernesta Kestnera znajdujemy oprócz przedmowy, 11 rozpraw przedstawiających obrazy historyczne z dziejów tego głośnego w swoim czasie miasta Rzpltej polskiej. Studya te sięgają czasów najdawniejszych i postępują aż do nowszej epoki. Autor korzystał z wydanych nie tak dawno „Recessów hanzy (Hansarecesse) i postanowień sejmów Rzeszy niemieckiej, i starał się z pomocą tego nowego materiału źródłowego o przedstawienie historycznego znaczenia Torunia tak pod względem politycznym jako i handlowym. Że nie obyło się przytém bez tendencyjnych sądów i wycieczek, to już rzecz nieunikniona u nowszych historyków pruskich. Bądź co bądź, rzuca i to dzieło nieco nowego światła na dzieje wieku XV i XVI, a mianowicie na epokę wojen Polski z Krzyżakami.

— Dr. Ad. Lichtenheld wydał w Wiedniu dzieło p. t.: „Das Studium der Sprachen, besonders der klassischen, und die intellectuelle Bildung. Auf sprachphilosophischer Grundlage dargestellt.“ Wien, 1882. Str. XVI, 259 (Nauka języków w szczególności klasycznych w stosunku do rozwoju umysłu. Rzecz wyłożona na podstawie nauki filozofii). Dr. Lichtenheld, uderzony spostrzeżeniem, dla czego nie uczymy dzieci w ten sam sposób języków klasycznych, co języków nowszych, zastanawia się ze stanowiska Steinthalowego filozofii mowy

nad znaczeniem nauki języków, jako środka pedagogicznego w ogóle i przychodzi do wniosku, który pod względem pedagogicznym oddaje pierwszeństwo językom klasycznym. Dla nauczycieli, zapatrujących się poważnie na swoje zadanie, okaże się to dzieło bardzo pożytecznym.

— Wiersz T. Lenartowicza, dołączony do przesłanej z Florency fotografii dla pani B. W.: (z gazety „Echo”).

Tak po latach trzydziestu w swe rodzinne strony
Powraca choć w obrazku mazur utęskniony,
Pocieszając się myślą, że z wami zasiędzie,
Przysłuchiwać się naszej prastarzej kołędzie,
I tęł podziwiać szopkę, w której to śmierć hula,
Ciągna bez miłosierdzia i króla i Szmula.
I kędy tak ochoczo przed Najświętszą Matką,
Jakiś hułan z niebaczną skacze Małgorzatką,
Co kęs czasu zabiera, a po czasie kęsie
Dziad po grosze wychodzi i toróbką trzęsie,
I gwiazdką idzie dalej... chłopcy kołacz kruszą,
Boć tam przecie do dziś dnia z szopką chodzić muszą.
I na Wilię przyjaciół gromadzi się nieco...
Do was tam myśli moje jak jaskółki lecą.
Lecz, że to zima ciężka, więc skostniały w biegu,
Zanim do was dolecą, konają na śniegu.
A wy też, nie widzący ptaków w swojej sieni,
Myślicie... on zmieniony; hej! on się nie mieni,
Tylko ginie w tle ciemnym wśród głębokich cieni.

12 grudnia 1883, Florencya.

T. Lenartowicz.

— Ostatnie chwile Słowackiego. W „Kronice Rodzinnej“ znajdujemy wielce ciekawy list JEks. ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, pisany do p. A. E. Odyńca z Ropy pod Grybowem w Galicyi dnia 17-go lipca r. b. Feliński, dzisiejszy arcybiskup tarseński, po raz pierwszy spotkał się z Juliuszem Słowackim w końcu roku 1847 lub na początku 1848, będąc naówczas słuchaczem historii i filozofii w Sorbonie i Kolegium Francuzkiem w Paryżu. Słowacki, dręczony niepokojem wewnętrznym, brnął podówczas coraz głębiej w mgliste wertepy towianizmu. Młodociany Feliński, już wówczas gotujący się do zawodu kapłańskiego, nie uderzył obcesowo na chorego moralnie, ale zawsze dumnego autora „Króla Ducha;“ przeciwnie, każdy cal jego mózgu zdobywał powoli, jak to najlepiej widać z listu samego Słowackiego. Dnia 22-go stycznia 1848 roku autor „Balladyny“ krótko pisał do matki: „Był u mnie Feliński, zdaje mi się, godny kochania chłopiec.“ W następnym miesiącu już czytamy: „Widuję tu dosyć często młodego Felińskiego; co czwartek do mnie przychodzi i zdaje mi się, że mnie kocha...“ W półtora miesiąca potem Słowacki pisze do matki: „Felusia ci polecam, który jest dla mnie czystym

brylantem i skarbem moim; prawdziwie takiego mi potrzeba było.“ We cztery miesiące później pisze że Feluś doznał twardej nędzy, sam wodę nosił i jeść gotował, ale teraz mu dobrze, widujemy się z nim często.“ Nareszcie we wrześniu 1848, po wyjeździe Felińskiego, z Paryża, mówi: „Feluś pisał do mnie z Tyrolu list prawdziwej piękności i wielkiej wagi dla mnie; jest to skarb na przyszłość i jeden z tych, którzy mnie o przyszłość zaspakajają.“ Na kilka dni przed śmiercią, pod koniec marca 1849 roku, Słowacki dyktował Felińskiemu urywki ze swego „Króla Ducha,“ i na jego też rękę zamknął oczy dnia 3 kwietnia 1849 w Paryżu. Owóż taki świadek ostatnich chwil poety tak opisuje te chwile, zwracając mowę do Odyńca: „Pragniesz, dostojny i drogi panie, abym ci udzielił szczegółów o ostatnich chwilach Juliusza Słowackiego, który na moich rękach skonał. Jakkolwiek czwarty dziesiątek lat upływa od tej bolesnej chwili, szczegóły jej wszakże tak żywo tkwią dotąd w mój pamięci, iż mogę je powtórzyć bez obawy sprzeniewierzenia się prawdzie. Kiedy w roku 1849 w początkach wiosny przybyłem z Monachium do Paryża, znalazłem Słowackiego w nierównie gorszym stanie zdrowia niż był ostatniej jesieni. Gardlane suchoty, których od dawna nosił zarodek, zrobiły tak wyraźny postęp, iż niepodobna było nie przewidywać blizkiej katastrofy. Zaledwieśmy się uścisnęli, rzekł do mnie swym poważnym, uroczystym głosem: „Dobrze żeś przyjechał, byłem bardzo osamotniony, a czuję iż szybkim krokiem zbliżam się do końca. Postaraj mi się o jakiego młodego ubożego chłopca, co by zechciał ze mną zamieszkać i pilnować mię w chorobie, bo już sam wystarczyć sobie nie mogę.“ Zaproponowałem mu, że sam najchętniej się do niego przeniosę, ale nie zgodził się na to, przez wzgląd na własne moje obowiązki, które musiałbym zaniedbać. Przyrzekłem więc postarać się o kogo innego; tymczasem zaś przepędzałem przy nim wszystkie wolne od obowiązkowych zajęć chwile. Tak upłynęło dni kilka, w ciągu których chciał uporządkować swe literackie prace, zwłaszcza zaś wykończyć drugi rapsod „Króla Ducha;“ a że sam nie był już w stanie pisać, dyktował mi więc z rękopismu, a ja pisałem na czysto. W wigilię śmierci zaniechał już dyktowania, mówiąc: „Wszystko to marność! Duch mój czuje, iż zakończył swą ziemską robotę, i musi już opuścić to zużyte narzędzie, które mu już powolnien być nie umie. Dzieci mego ducha mu nie przeżyją, ale gdybym mógł, zniszczyłbym z nich niektóre, bo nie z Ducha Bożego były poczęte.“ Wśród tej rozmowy nadszedł młody artysta francuz, bardzo przywiązany do Juliusza i posiadający zupełne jego zaufanie. Chory go serdecznie pozdrowił i oznajmiwszy, iż czuje zbliżanie się śmierci, wręczył mu przygotowany już testament, którego czynił go wykonawcą, i dawał mu potrzebne objaśnienia. Listy wszystkie do siebie pisane polecił spalić; wyłączyliśmy wszakże z tego wyroku listy Zygmunta Krasieńskiego. Nazajutrz rano, kiedy nawiedził chorego, zastałem go mocno cierpiącego i zaniepokojonego. Zaledwie wszedł kazał mi niezwłocznie we-

zwać kapłana z Panem Bogiem, oświadczając, iż czuje się bardzo blizkim zgonu. Nie tracąc chwili, udałem się do wskazanego mi kościoła i wróciłem niebawem w towarzystwie żądanego księdza. Po odbytej spowiedzi, chory pomimo zupełnego sił wyczerpania, tak zapanował potęgą ducha nad drętwiejącem już niemal ciałem, że ukląkł bez pomocy niczyjéj i z wielkiem skupieniem ducha przyjął Przenajświętszy Sakrament. Gdyśmy go następnie położyli, twarz jego promieniata takiem weselem ducha, iż wszelki wyraz cierpienia z niéj zniknął i dziwna błogość oblała całe jego oblicze. Po chwili cichéj modlitwy zwrócił się do mnie i upominał, abym niezależnie od stanowiska, na jakiém śmierć miéj zaskoczy, przyjął zgon nadobdający z należną nieśmiertelnemu duchowi godnością, z synowskiém względem Niebieskiego Ojca zaufaniem. Wtém odźwierny przyniósł list świeżo przyniesiony z poczty. Spojrzawszy na kopertę, chory poznał wnet rękę swéj matki, a nie mogąc już sam czytać polecił mi głośnie przeczytanie listu. Po wysłuchaniu go, rzekł do mnie wzruszony: „Dziękuję Bogu za tę ostatnią a tak miłą sercu mojemu ziemską pociechę. Kiedy zobaczysz moję matkę to powiedz jéj, że gdyby mi było wolno oddać duszę mą w jéj ręce, nie oddawałbym jéj z taką ufnością, z jaką powierzam ją obecnie w ręce Boga mojego.“ W kilka minut późniéj oddech chorego począł się stawać coraz trudniejszym i rzadszym, widocznie zbliżało się konanie. Podtrzymywana na rękę moich głowa jego stawała się coraz bezwładniejszą, śmiertelna bledość pokryła oblicze, ale dziwna pogoda opromieniła w chwili zgonu twarz konającego i jakby zadatek wiekuistego pokoju, pozostała na niéj i po śmierci. Ciężka walka żywota zakończyła się tryumfem prawdy i miłości. — Oto jest słaby szkic tej wzniosléj chwili, co i na moje życie wpłynęło też zbawiennie. — Całém sercem oddany sługa.

Z. S. Felińska.

N e k r o l o g i a .

— † Dnia 1 grudnia 1883 r. umarł ks. *Józefat Szczygielski* we wsi Stoczku Arcichowskim, pod Serockiem, w powiecie Radzyńskim. Ś. p. Józefat urodził się dnia 29 września 1805 r. na Podlasiu we wsi Kobylany. Nauki pobierał w szkole powiatowej białskiej, następnie w seminaryum u św. Krzyża w Warszawie, zkąd przeszedł do Akademii duchownéj, gdzie otrzymał stopień kandydata św. teologii. Zamłody do pozyskania święceń kapłańskich, wszedł jako kleryk do Instytutu Głuchoniemych w Warszawie w r. 1827 na posadę nauczyciela religii, gdzie pod kierunkiem ks. Falkowskiego wykształcił się na biegłego pedagoga. Wyświęcony w r. 1828 na kapłana, przeszedł w r. 1836 do Akademii duchownéj na wice-rektora. W r. 1837 powołany na rektora Instytutu Głuchoniemych, pełnił ten urząd do r. 1863 t. j. do wystąpienia całej emerytury. W r. 1839 i 1840, zwiedził

z rozporządzenia rządu zakłady głuchoniemych za granicą. Instytut Głuchoniemych w Warszawie zawdzięcza ś. p. Józefatowi bardzo wiele tak pod względem materyalnym jako i moralnym i pedagogicznym. Gromadził bowiem różne wieczyste legata, znosił jednorazowe ofiary na rozszerzenie zabudowań, zakupił dom sąsiedni i założył w nim Instytut dla ociemniałych; wykładał głuchoniemym nietylko naukę religii, ale i inne przedmioty, wskazując nauczycielom metodę nauczania. Obok tego pełnił w Akademii duchownej obowiązki profesora dogmatyki. W r. 1857 mianował go arcybiskup Fijałkowski kanonikiem metropolitalnym warszawskim. Jako emeryt zastępował czasowo regensa seminaryum; przez pewien krótki czas zarządzał archidiecezją, poczem przebywał w Rosyi w Carewokokszajsku, ostatecznie w mieście Czernichowie, zkąd wrócił do Warszawy chory, 20 lutego 1877. Po roku pobytu w Warszawie, osiadł na spoczynku w Stoczku pod Serockim, gdzie po długich cierpieniach dokończył prawdziwie chrześcijańskiego i obywatelskiego żywota. Prócz licznych prac, rozrzuconych w „Pamiętniku religijno-moralnym,” pozostawił ś. p. ks. Józefat: 1) „Książkę do nabożeństwa dla głuchoniemych” (Warsz. 1841 i 1855), uważaną dotąd za wzorową. 2) „Pożegnanie zwłok ś. p. ks. Jakóba Falkowskiego” (Warsz. 1850), jest pięknym pomnikiem krasomówstwa. Z większych prac zmarłego wymieniamy 3) dziełko p. t.: „Zgodność Pisma św., podań dziejowych i badań antropologicznych, zoologicznych w przedmiocie jedności rodu ludzkiego.” (Warsz. 1847). W Carewokokszajsku napisał 4) „Metoda praktyczna uczenia głuchoniemych języka polskiego” (drukowana w Pamiętniku Instytutu głuchoniemych, 1882 i 1883 r.). Przed samą prawie śmiercią wydał 5) „Alfabet polski.” Cześć pamięci zacnego kapłana i obywatela!

— † Dnia 10 grudnia 1883 r. umarł w Warszawie **Ignacy Boczyński**, zasłużony nauczyciel i pedagog. Ś. p. Ignacy urodził się w Kraśniku w Lubelskiem, 1826 r. Nauki gimnazyalne kończył w szkole Szczebrzeszyńskiej, uniwersyteckie w Petersburgu, gdzie pozyskał stopień naukowy kandydata filozofii. Powróciwszy do kraju, pracował jako nauczyciel gimnazjalny w Piotrkowie, Radomiu, nakoniec w Warszawie, odznaczając się zawsze sumiennością w sprawowaniu swoich obowiązków. Pierwsze swoje prace literackie z dziedziny pedagogii drukował ś. p. Ignacy w „Dzienniku powszechnym” (1862 r.) i w „Bibliotece Warszawskiej” od 1863—1867 r. (przeważnie rozbiory i krytyki podręczników szkolnych). W tym czasie wydał także przekład polski bardzo treściwych, ale praktycznych podręczników duńczyka Bojesena (z tłumaczenia niem. J. Hoffa) p. t.: „Starożytności rzymskie etc.” (Warsz. 1862) i „Starożytności greckie.” (Warsz. 1863). Z pomiędzy następnych prac ś. p. Ignacego zasługują na uwagę: „Zasady gramatyki języka polskiego według najnowszych wyników nauki i wskazówek dydaktyki. Zrótłostów.” Warsz., 1874. — Składnia z dodatkiem głównych prawideł pisowni. Warsz. 1875. — Wyd. 2 gie. Warsz., 1882. Oprócz tego pisał mniejsze rozprawy: „Jak uczyć hi-

stori?" Nakład Red. „Opiekuna domowego." Warsz., 1874., „Wskaźówki z metodyki nauczania języka ojczystego i literatury." (Przeł. Pedagog. Eug. Babińskiego). — Wdzięczną pamięć uczniów, których powszechną czią był otoczony ś. p. Ignacy, zachowa kraj cały dla sumiennego nauczyciela i dobrego obywatela.

O G Ł O S Z E N I A.

S Ł O W O.

Gazeta codzienna wychodząca w Warszawie,

POD REDAKCYĄ

HENRYKA SIENKIEWICZA,

rozpoczęło z nowym rokiem 1884, trzeci rok istnienia, podaje najnowsze własne telegramy, przeglądy polityczne i artykuły wstępne w pierwszorzędnym sprawach politycznych, obszerny dział korespondencyj krajowych i zagranicznych, artykuły treści społecznej i ekonomicznej, kroniki miejscowe i prowincjonalne, przeglądy artystyczne, naukowe i literackie, obszerną rubrykę rozmaiłości, wiadomości z Cesarstwa, sprawozdania giełdowe etc. Feljeton zapełnia „Słowo" trytomową powieścią „Ogniem i Mieczem," po której ukończeniu, drukować będzie Kajetana Kraszewskiego „Jarząbkową noc," prócz tego teka redakcyi zaopatrzoną jest w utwory najcenniejszych pisarzy krajowych i zagranicznych.

Cena prenumeraty: w Warszawie, rocznie rs. 9, miesięcznie k. 75; na Prowincyi rocznie rs. 12, kwartalnie rs. 3.

Adres Redakcyi: Warszawa, Niecała 1.

PRZEGLĄD TECHNICZNY

ORGAN INŻYNIERÓW I BUDOWNICZYCH KRAJOWYCH,

wychodzić będzie w r. 1884 według tego samego programu, co i w dziewięciu latach ubiegłych. Prenumerować można w redakcyi w Warszawie, ulica Złota, nr. 28e i we wszystkich księgarniach.

Przedpłata wynosi: W Warszawie rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, z przesyłką pocztową rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca Józef Berger.

PILTYŃ I ARCHIWUM PILTYŃSKIE.

PRZEZ

br. Gustawa Manteuffla.

„Każdy zakątek kraju, chociażby na pierwszy rzut oka nie przedstawiał nic nadzwyczajnego, może być przedmiotem studyów, a studia tego rodzaju mogą nie być bez pożytku u nas, którzy swój ziemi tak dobrze, jak nie znamy.” Biorąc za punkt wyjścia te słowa z „Wędrówek” Syrokomli, bez dalszych wstępów przystępuję do obznajomienia czytelnika z Piltyniem i jego archiwum.

a) P i l t y ń .

I.

Piltyń i tak zwana ziemia piltyńska, lub powiat Piltyński, „districtus piltensis aut piltinensis,” są to nazwy, z którymi co chwila się spotykamy w źródłowych dziełach naszych, jak: „Volumina legum,” „Kodeks dyplomatyczny Dogiela,” „Teki Podoskiego” i tylu innych, obejmujących wiek XVI, XVII i XVIII. Przeszłość bowiem tych stron z historią polską ściśle jest związana. Pomimo tego, są one w ogóle tak mało u nas znane, iż częstokroć polakom wypada mówić o Piltyniu jak o ziemi nowo odkrytej, o której nawet bardzo wykształceni nie zawsze mają jasne pojęcie, a wielu nie wie z pewnością, gdzie leży ów Piltyń, jaki był jego ustrój, przeszłość burzliwa, i do jakiego nicestwa doszedł ostatecznie zakątek, noszący dotąd tę nazwę niegdyś tak głośnie.

Piltyń, po niemiecku Pilten, po łotewsku Piltene, obecnie najmniejsza i najnudniejsza miejscina powiatu Windawskiego w gubernii Kurlandzkiej, leży na prawym brzegu rzeki Wenty (po niemiecku Windau), w oddaleniu mil $23\frac{3}{4}$ od Mitawy, pod $57^{\circ} 13'$ północnej szerokości i $39^{\circ} 20'$ wschodniej długości geograficznej, licząc od południka Ferro. Najdawniejsze o nim wiadomości sięgają pierwszej połowy XIII stulecia. Wedle błędnych podań kronikarskich, nie wytrzymujących najmniejszej krytyki historycznej, a prawdopodobnie już w wieku XIV zmyślonych i odtąd kilkakrotnie powtarzanych (ostatniemi la-

ty powtórzył ją między innymi i Słownik geograficzny Siemienowa), król duński, Woldemar II, który, jak wiadomo, w zwyciężkach wyprawach swoich nigdy aż do tej okolicy nie dosięgnął, rzekomo wznosił tu gród warowny. Bajkę tę, nader nieczęście usnutą, prostuje już Arndt w połowie zeszłego stulecia ¹⁾, a wszechstronny Dahlmann gardzi nią i nie wspomina o niej wcale ²⁾. Wiemy zaś ze źródeł niewątpliwych ³⁾, że pierwszy zamek obronny, którego ślady w obszernych zwaliskach przetrwały do dni naszych, może sięgać dopiero czasów biskupich. Z tych bezkształtnych rumowisk wyziera obecnie tylko wieża, na jakiejś niedługo mieściła się zamkowa wartownia.

W r. 1236 założono w tej okolicy biskupstwo kurońskie, czyli piltyńskie ⁴⁾. Obejmowało ono najprzód całą przestrzeń ziemi, leżącą pomiędzy rzekami Wentą i Abawą, pomiędzy Litwą i Semigalią. Następnie ograniczono je do trzeciej części tego obszaru, gdyż $\frac{2}{3}$ zawojowanego kraju, przyznanego biskupowi kurońskiemu tytułem lenna przez cesarza niemieckiego, musiano ustąpić rycerskiemu zakonowi inflanckiemu, który zażądał udziału w zdobyczy. W pierwszych czasach swego istnienia zaliczało się to biskupstwo do Prus ówczesnych, lecz wkrótce wchodzi do związku ziem inflanckich i tym sposobem należało do Inflant w obszerniejszym znaczeniu tego wyrazu ⁵⁾. Jak wszystkie ziemie inflanckie, tak i biskupstwo kurońskie czyli piltyńskie, wchodziło w skład cesarstwa niemieckiego, a jego biskupi w takimże byli postawieni stosunku do rzymskiego, czyli raczej do rzymsko-niemieckiego cesarza i do własnego biskupstwa, jako i wszyscy inni biskupi inflanccy ⁶⁾.

1) J. G. Arndt: „Chronik.” Zweiter Theil, pag. 12 i 13.

2) F. C. Dahlmann: „Geschichte von Dänemark,” 3 tomy, Hamburg 1840. Piąty rozdz. t. I, na str. 355—397, opisuje szczegółowo życie i czyny Woldemara II, noszącego w historii przydomek „Zwycięzcy.”

3) Dr. Ph. Schwartz: „Kurland im dreizehnten Jahrhundert, bis zum Regierungsantritt Bischof Edmund's von Word.” Lipsk, 1875.

T. Kallmeyer: „Die Begründung deutscher Herrschaft und christlichen Glaubens in Kurland.” Ryga, 1859. (Jest to odbitka z Mittheilungen aus der livländischen Geschichte.” Tom IX, zes. 2).

4) Schwartz l. c. str. 44 i 45, tudzież str. 8 wspomnianej rozprawy T. Kallmeyera. Wedle Kallmeyera pierwotne kościoły tego biskupstwa leżały wszystkie w późniejszej ziemi piltyńskiej. Pierwszy założonym został w Sakenhauzie, około dzisiejszego Hazenpotu, drugi w Erwalu, a trzeci w dzisiejszym miasteczku Piltyniu. Pierwszym biskupem był Engelbert. Patrz Bunge: „Urkundenbuch” I, 181: Milites Christi... „Eyngelberto, episcopo ibidem instituto etc.”

5) Dr. Heinrich Hildebrand: „Die Chronik Heinrich's von Lettland, ein Beitrag zu Livland's Historiographie.” (Berlin 1865) pag. 128—130. Dr. Ph. Schwartz l. l. pag. 45 i 46.

6) Bunge: „Einleitung in die liv-esth-und curländische Rechtsgeschichte und Geschichte der Rechtsquellen.” Reval, 1849, str. 89.

II.

Miasto Piltyń wraz z warownym zamkiem biskupim, założoném zostało w roku 1295 ¹⁾ po ostatecznym złamaniu pogańskiej potęgi przez członków kapituły piltyńskiej ²⁾. Składało się ono z początku z małej tylko osady miejskiej, tuż pod zamkiem biskupim leżącej, lecz wkrótce się rozwinęło i wzrosło do znacznych rozmiarów, skutkiem czego kapituła nadaje mu aż dwa osobne herby. Herb większy przedstawia widok miasta z przezroczystymi wieżycami, w mniejszym zaś, podzielonym na dwa pola, widzimy w dolnym polu dwa pastorały złożone w kształcie krzyża św. Andrzeja, a nad nimi, w wierzchnim polu, dwie baszty i kula armatnia unoszą się w powietrzu ³⁾. Roku 1557 nadano miastu prawo miejskie ryskie (utworzone na wzór praw miasta Hamburga), tudzież znaczne dobra dla odpowiedniego utrzymania nie tylko zarządu miejskiego, ale i licznych szkół i kościołów ówczesnych.

III.

Gdy w r. 1560 stany inflanckie zmuszone były szukać zagranicznej pomocy przeciw wojskom groźnego cara, Rewel i cała Estonia podały się Szwedom, właściwe zaś Inflanty oddali mistrz prowincjonalny i arcybiskup pod opiekę Zygmunta Augusta, który, po długo ciągnących się układach, wcielił je do Rzpltej w r. 1562 jako udzielne księstwo, ostatniemu zaś mistrzowi krzyżackiemu, Gotardowi Kettlerowi, oddał Kurlandę, jako lenno. Wtenczas-to powstał obręb piltyński z sekularyzowanego biskupstwa piltyńskiego, które ostatni biskup, Jan Münchhausen, apostata, sprzedał królowi duńskiemu, ten zaś dał swemu bratu, Magnusowi, księciu holsztyńskiemu, co później, w ciągu wojny przez Iwana Groźnego Infantom wydanej, tak smutnego nabył rozgłosu. Gdy zaś umarł książę Magnus (1583 r.), ziemię piltyńską nabywa na prawie zastawném za 30,000 talarów margrabia brandenbur-

¹⁾ Arndt: Chronik I, 345. Possart: „Geographie von Kurland.” Stuttgart, 1843, pag. 308.

²⁾ O złamaniu pogańskiej potęgi w biskupstwie kurońskim, nazywaném odtąd zwykłe biskupstwem piltyńskim, najwierniejsze podaje szczegóły kronika rymowana Ditleba de Alupeke. Krótsze wiadomości podał G. Manteuffel w artykule „Hofcumberge” w Słowniku geograficznym ziem polskich. T. III, str. 92.

³⁾ Brotzgo: „Monumenta” (stanowiące unicum biblioteki miejskiej ryskiej) t. III, fol. 216, gdzie herb mniejszy Piltynia znakomicie jest oddanym. Possart: „Geographie von Kurland” (Stuttgart 1843) str. 309. Wreszcie „Provinzialrecht des Ostseegouvernements,” a mianowicie: Theil II, Beilage IV, § 21, określajacy dokładnie herb miasta Piltynia, będący dotąd w użyciu.

ski, Jerzy Fryderyk, w r. 1585 i tym sposobem zostaje wasalem Polski ¹⁾. Po śmierci Jerzego Fryderyka, wdowa po nim, margrabina brandenburska, ustępuje w r. 1612 niewielką już po nim pozostałą ilość dóbr dominialnych piltyńskich jednemu z ówczesnych dwóch książąt kurlandzkich, Wilhelmowi Kettlerowi, który wszakże nie otrzymał równocześnie i rządów nad ziemią piltyńską, gdyż te już w roku poprzedzającym (1611) przeszły wprost do Polski, a Rzplta natychmiast nazaczyła osobnego starostę piltyńskiego, rezydującego w Hazenpocie i zarządzającego ztamtąd całym tém państewkiem za pomocą kolegium landratów, do którego, z wyjątkiem jedynie członków rad miejskich hazenpockiej i piltyńskiej, wybierano wyłącznie szlachtę rycerską, osiadłą tam od wieków ²⁾. To kolegium, rezydujące stale w mieście Hazenpocie, stanowiło jedyny trybunał w sprawach ziemi piltyńskiej, tak cywilnych, jako i kryminalnych, a od niego szła apelacya już wprost do króla polskiego ³⁾. Oprócz tego, miejscowa szlachta piltyńska miała w swém ręku jurydykcyą cywilną i kryminalną nad wszystkimi bez wyjątku mieszkańcami, przebywającymi stale w obrębie jój dóbr dziedzicznych i tu już bez żadnej apelacyi ⁴⁾. Że zaś ziemia piltyńska była otoczona zewsząd kurlandzkimi posiadłościami, a nawet przez nie poprzecinana ⁵⁾, nic więc dziwnego, że była odtąd przedmiotem długotrwałych zatargów. Pragnęli ją raz na zawsze połączyć z Kurlandją Kettlerowie, duchowieństwo katolickie dążyło wytrwale do przywrócenia jój dawnego charakteru, w Polsce odzywały się głosy za wcieleniem tego nieforemnego pasa ziemi do Rzpltej, a niektórzy królowie polscy zamysłali zamienić go na prywatne swoje dziedzictwo ⁶⁾.

IV.

Dzięki tak sprzecznym dążnościom, używała wzbogacona handlem

¹⁾ Woldemar: „Diplomatarium Piltense” nr. 9415 enthaltend den Bericht des Stadthalters Johann v. Behr, an den König von Dänemark, über die erfolgte Abtretung des Stifts Piltten an den Markgrafen v. Brandenburg, über die Zeit der Gründung des Bisthums etc. d. Piltten d. 20 Januar 1584.” Bajkę o królu duńskim Waldemarze II i tu już znajdujemy powtórzoną.

²⁾ K. G. Sonntag: „Zur Geschichte der Stadt Hasenpoth,” artykuł ogłoszony w „Rigasche Stadtblätter” nr. 81 z r. 1825.

³⁾ O. v. Huhn: „Die Kreisstadt Hasenpoth,” rękopism cenny przechowywany pod numerem 236 w bibliotece rycerstwa inflanckiego w Rydze. Porównaj także J. G. Zigra: „Zur Chronik der Stadt Hasenpoth,” artykuł ogłoszony w dorpackim czasopiśmie „Das Inland” nr. 16 z r. 1836.

⁴⁾ G. Manteuffel, artykuł Hazenpoth w Słowniku geogr. ziem polskich, t. III, str. 43.

⁵⁾ Porównaj mapę: „Tabula geographica Districtus Piltensis nec non Ducatum Curlandiae et Semigalliae a Barnikelio Architecto Mitavionsi rite delineata Norimbergiae, Anno 1747.”

⁶⁾ Otto v. Mirbach: „Kurische Briefe.” Mitau, 1844, t. I, str. 144.

zbożowym szlachta piltyńska zupełnej niezawisłości, a w kraju pano-
wała oligarchiczna anarchia ¹⁾. Szlachta piltyńska przenosiła bezpo-
średnią opiekę Polski, która jej wcale niebyła uciążliwą, nad zależność
od książąt kurlandzkich ²⁾; tylko w chwilach groźnego niebezpieczeń-

¹⁾ W listach francuzkich rodowitego piltyńczyka, kreślonych w XVII
stuleciu w stylu nie koniecznie francuzkim, czytamy: „Comme la Noblesse de
Pilten a joui de paix pendant un bon nombre d'années dans un pays si fertile
et dans une espèce d'indépendance complète, ils ont eu le temps et la com-
modité, de s'enrichir extrêmement.” Na następnej stronie prawi dalej tenże
wielomówny korespondent: „Le voisinage de la mer leur est d'un grand
avantage: car par là ils ont la commodité de transporter beaucoup de leurs
danrées, principalement du froment en grande abondance, qui est très-bon,
et fort recherché par les Hollandais, ce peuple industrieux: car toutes les
années ils viennent quérir avec leurs vaisseaux et l'achètent argent comptant.”
Tegoczensy zaś szlacheć byłej ziemi piltyńskiej, pan Rutenberg, w swój zkađ
inađ nader słabo skreślonej historii prowincyi nadbaltyckich, powiada dosyć
trafnie: „Pilten war ein kleiner aristokratischer Freistaat und wurde von
einem Landrathscolegium zu Hassenpoth regiert, welches vom Adel und aus
Adel gewählt wurde. Dieses so genannte Schwagerregiment, war sehr
nachsichtig gegen die adligen Mitbrüder u. sehr streng gegen die Bauern. Die
regierenden reichbegüterten Familien waren: Die Sackon, die Behr, die
Manteuffel-Szoegel, die Maydell, die Mirbach und andere. Die Zügellosgigkeit
nahm in Pilten ungefähr dieselbe Gestalt an, die Harrien und Wierland un-
ter ähnlichen Verhältnissen gehabt hatten.” (Vide Rutenberg, t. II, pag.
516). Przytoczone przez Rutenberga tak zwane „regierende Familien.” po-
słowały téz zwykle na sejmach Rzeczypospolitej. Karol Manteuffel-Schoegel
(czytaj Sey) dziedzic Kacdangu i Otton Ernest Maydell dziedzic Dondangu,
byli posłami ziemi piltyńskiej na konfederacyą generalną Warszawską w r.
1632. Drugi Karol z tegoż domu Manteuffłów, major Jego Królewskiej
Mości, i drugi Otton Maydell z domu Dondang, kilkadziesiąt lat później
podpisują elekcyą Jana III *salvis per omnia jura vocis liberae*.
(Vide Vol. leg. wydanie J. Ohryzki, t. III str. 352 i t. V, str. 163).

²⁾ Brandt: „Reisen durch Churland und Pilten.” 1673. Was nun
die Edelleut betrifft—są słowa autora = so leben diese in grossen Freiheiten,
welche wohl mehr *licentia* als *libertas* genannt mag werden, wie denn
diese Krankheit fast alle pohlische Edelleut eingenommen, ja sogar dass sie
auch dem Herzog nichts zu Willen wissen, dem sie sich widersetzen nicht
allein im Jagen, dem sie sehr ergeben sind, sonder auch in anderen Sachen,
also dass Deroselber von ihnen viel ausstehen muss; will er sich aber bei der
Krone Pohlen beschweren, so handhaben die Senatoren der Edelleut Freiheit.
Unter allen haben sich ihm am meisten widersetzt die Edelleut von Pilten,
etliche 50 Mann stark, die nur den König von Pohlen vor ihren Herrn aner-
kennen wollen.” Cały ten ustęp przytacza p. Mirbach w swych „Kurische
Briefe” (t. I, str. 198) z egzemplarza przechowanego dotąd w Muzeum kur-
landzkim.

stwa chroniła się pod skrzydła książąt ¹⁾. Podczas wojny szwedzkiej (1655—1657) uznała sama władzę genialnego Jakóba Kettlera, aby korzystać z przyznanej mu neutralności, ale była to tylko unia personalna, której zwolennikami byli zresztą piltyńscy, dopóki nie minęło niebezpieczeństwo. Czyniąc zadość życzeniom księcia Jakóba, mimo przeciwne zabiegi kleru, zezwoliła Rzplta na połączenie Piltynia z Kurlandją, na mocy tak zwanój piltyńskiej transakcyi (1661) ²⁾. To połączenie trwało jednak tylko do roku 1717, w którym ziemia piltyńska przechodzi znowu w bezpośrednie zawiadywanie Rzpltej polskiej, za wyłączeniem jedynie położonych w tej okolicy nielicznych dóbr książęcych.

Taki stan rzeczy był bardzo pożądanym dla szlachty piltyńskiej, gdyż tym sposobem nie miała ona w pobliżu siebie żadnego pośrednika pomiędzy sobą a królem polskim; wybierani zaś z pomiędzy jój własnego grona landraci, mający przedewszystkiem interesa szlachty na celu, uzyskali prawo zwoływania sejmików, których postanowienia tylko dla czczej formy podawano królom polskim do potwierdzenia ³⁾.

Z tego-to czasu datuje podłużny pas ziemi pomiędzy miastem Piltyniem i dawném łożyskiem Wenty w pobliżu wspomnianego zamczyska, a nazywany „das Siebenherrenfeld,” o którego posiadanie, jak głosi odwieczna tradycya miejscowa, walczyło niegdyś ze sobą aż siedmiu panów piltyńskich ⁴⁾. Dzika bowiem niesforność i nieuchodzona burzliwość, była charakterystycznym znamieniem zarówno szlacheckiej spofeczności z nad Wisły i Warty, jak rycerstwa z nad Wenty i Abawy ⁵⁾. Kwitła tu i dotąd kwitnąć nieprzestaje niepomiarkowa-

¹⁾ O. v. Mirbach w „Kurische Briefe” (I, 145) powiada: „Der Piltensche Adel glaubte seinerseits nur in Zeiten der höchsten Noth, wenn er mit einem feindlichem Einfall oder mit schweren Abgaben bedroht war, der Hilfe des Hercogs zu bedürfen und sich seinem unmittelbaren Schutz unterwerfen zu müssen.” Porównaj także najnowszy artykuł T. Schiemanna „Jacob Herzog v. Kurland” ogłoszony w „Allgemeine deutsche Biographie,” t. XIII, str. 540—547.

²⁾ Patrz: „Die letzte Transaction zwischen Jhrer Fürstlichen Durchlaucht zu Churland und der Piltenschen Landschaft d. Grobin, 25 Februar, 1661.” (Rękopism przechowywany starannie w Rydze, w zbiorach Towarzystwa Starożytności). Porównaj także artykuł Teodora Schiemana: „Jacob Herzog von Kurland.”

³⁾ G. Manteuffel: artykuł „Hazenpot” w „Słowniku geograficznym ziem polskich.”

⁴⁾ Por. czasopismo „Das Inland” nr. 8-my z roku 1845.

⁵⁾ Patrz Gebhardi „Geschichte Kurlands” t. II. Powiada tam autor na stronnicy 114: „Der Adel Piltens, der durch die freigebigen Verleihungen des Herzogs Magni, auch durch den Getreidehandel mit Holland und durch ein oft unbarmherzig geübtes Strandrecht sehr reich und mächtig geworden und an eine Freicheit, die weit gesteckte Grenzen hatte, gewohnt war,—

na gościnność, której njemną stroną było niegdyś zbytnie rozmiłowanie się w rozkoszach jadła i napoju ¹⁾. Rezydencye szlachty piltyńskiej stały dla wszystkich otworem, jak gospody; wszędzie rozlegał się gwar wesołych biesiad ²⁾. Nie było najzwyczajniejszego bankietu bez

überliess sich einer Ungebundenheit, die bisweilen in Zügellosigkeit und Unfug ausartete."

¹⁾ Szlachcic piltyński Freiherr v. Blomberg w swych słynnych „Listach z podróży,” pisanych w r. 1698, ogłoszonych drukiem w języku angielskim w r. 1701, a we francuzkim w r. 1705, p. t.: „Description de la Livonie et. on y décrit les Duchez de Courlande et de Semigallie et la Province de Pilten, enfin on y trouve le voyage de l'auteur en Hollande l'an 1698,” wychwalając gościnność swych rodaków, powiada na str. 302: „Ils sont fort portés à l'hospitalité les Gentilshommes de Pilten: car comme les auberges de ce pays sont fort mal pourvues pour les Voyageurs, qui que ce soit peut sans façon s'adresser à la maison d'un Gentilhomme, où on le recevra et traitera fort honnêtement pendant plusieurs jours, sans attendre d'autre reconnaissance qu'un remerciement.” Czytamy tamże na str. 304: „C'est un crime parmi eux de refuser le toit à qui que ce soit: chacun le reçoit et le traite selon ses forces.” „Ils ne mettent point de différence entre un homme de leur connaissance et un inconnu, mais ils leur font à tous la même reception. Ce n'est pas une honte parmi eux de passer le jour et la nuit à boire.” Na str. 303 pisze tonże piltyńczyk o swych rodakach: „On trouve dans les Gentilshommes de ce pays les véritables caractères que Tacite „De Morib: Germ.” cap. 21 seq. donne aux anciens Germains, lorsqu'il dit: „Convietibus et hospitibus non alia gens effusius indulget. Quemcumque mortalium arcere tecto nefas habetur, pro fortuna quisque apparatis epulis excipit. Cum defecere, qui modo hospes fuerat, monstrator hospitii et comes proximam domum non invitati adeunt.” „Diem noctemque continuare potando, nulli probrum.” (Patrz Lettre XV, pag. 304).

²⁾ Tych rezydencyi, cząstkowo wspaniałych, wylicza cały szereg rodowity piltyńczyk Blomberg w pracy powyższej przytoczonej, mówiąc na str. 301: „Maydel de Dondangen passe pour être riche d'un million de florins et il est seigneur d'une étendue de pays d'environ cinquante milles d'Angleterre, tous pleins de Vassau et de Tenans, le long de la côte de mer. La famille des Bohrs possède les châteaux de Edwahlen, de Schleck et plusieurs autres: ils font une grande figure de même que le Land-Maréchal Manteuffel-Szoegel de la famille de Mandewel dans son beau château de Katzdangen, car il a de grands bien comme aussi Blomberg de Dserwen et Stroken: surtout la grande et nombreuse famille de Sacken ou Osten, qui sont maitres de plusieurs belles maisons de campagne et de beaux châteaux, tel que sont: Sackenhusen, Virginal, Bahten, Apricken, etc.” Rezydencye te istnieją dotąd. Opisuje je „Słownik geograficzny ziem polskich,” wydawany w Warszawie przez Władysława Walewskiego. O wspomnianych powyżej piltyńskich panach możnowładnych, wyraża się w sposób następujący prof. K. W. Cruse w swém znaném dziele: „Curland unter den Herzögen,” wydaném w Mitawie,

obfitych libacyi. Podczas uczt, gdy wino podnosiło ogólną temperaturę biesiadników, bardzo często przychodziło do kłótni i bójk ¹⁾. Spory lub procesa załatwiano chętniej z szablą w rękę niż przez adwokatów ²⁾. Pojedynkomania grasowała w całym kraju, ale słynęły z niej szczególnie niektóre uprzywilejowane miejscowości, do których i Piltyń należał, o czém świadczy charakterystyczne przysłowie:

w r. 1833: „Unter ihnen befanden sich mehrere, die ein gleiches Recht auf Fürstenwürde und Unabhängigkeit zu haben meinten als der Herzog von Cur-land.” (Vide Cruse l. l. t. I, pag. 43)

¹⁾ Czytamy bowiem w książce tegoż rodowitego piltyńczyka: „Il y a encore une pernicieuse coutume en vogue parmi eux: ce sont les Duels, qui commencent ordinairement par de querelles dans leurs fréquents festins où ils boivent avec excès. De là il arrive souvent qu'ils se battent et qu'ils se tuent les uns les autres. Ce n'est pas toujours dans la chaleur de la passion qu'ils se battent, mais souvent le lendemain ou quelque autre jour, avec délibération etc.” (Vide: Blomberg, l. l., pag. 305).

²⁾ Niektóre z powyższych ustępów Blomberga przytacza wspomina-ny już przez nas O. von Mirbach do trafnej charakterystyki szlachty piltyń-skiej, jaką podaje w swych cennych, jakkolwiek sposobem felietonowym kre-ślonych „Kurische Briefe” (vide: Mirbach, l. l., tom I, pag. 144—153). Natomiast przysłowie dotyczące pojedynkomanii Piltynia przystosowuje szan. autor do Bowsku (I, 118), a na str. 148 tegoż tomu błędnie się odwołuje do rewelskiego kronikarza Kelcha, który nie tylko nie jest żadną powagą history-yczną, ale i którego jedyna książka: „Lifländische historia,“ wcale nie zawiera przytoczonych przez Mirbacha słów o szlachcie, równie ostrych, jak grubych. Też same ustępy Mirbacha, zapożyczone od Blomberga i rzekomo od Kelcha, znajdujemy także w „Przewodniku naukowo-literackim” (Rocznik IX, str. 486 i 487), lecz nie do szlachty piltyńskiej przystosowane. Ktoby tylko chciał zajrzeć do tomu I, str. 147 i 148, wspomnianych powyżej „Listów Mirbacha,“ jakich zresztą autor artykułu w „Przewodniku naukowo-literackim” wcale nie cytuje, ten przyjsć musi mimowolnie do następującego wniosku: autor artyku-łu polskiego nie czytał wcale ani przytaczanego w swej pracy Kelcha, ani téż równoczesnego temu kronikarzowi Blomberga, którego z pewnym naci-skiem nazywa późniejszym od Kelcha, a poprostu czerpał swe obrazy z listów Mirbacha. Lecz i do tych listów nie zawsze zaglądał z należytą uwagą. Mir- bach znówu, aczkolwiek mylnie, mieni w nich Kelcha nowszym history-kiem, niż rzekomo nim jest Blomberg. Nie wdając się bynajmniej w rozbiór krytyczny sympatycznej pracy, ogłoszonej w „Przewodniku naukowo-litera-ckim” p. t.: „Potomkowie Krzyżaków,“ w której tyle źródeł niemieckich już wybornie znajdujemy spolszczonych, zaznaczamy tu powyższe uwagi jedynie w celu przypomnienia pisząym poważniejsze monografie dziejowe, że docho- dzenie właściwego źródła przy pojedynczych cytacjach i odpowiedni wybór tych ostatnich, pozostanie zawsze warunkiem niezbędnym każdej prawdziwie pożytecznej pracy historycznej.

„Wer von Pilten kommt ungeschlagen
Der kann doch wohl von Glücke sagen.”

Że zaś nikt niewykonywał juryzdykcyi na tradycyjnym kawale ziemi piltyńskiej, zwanym „das Siebenherrenfeld,” służył on z dawien dawna za schronienie dla wszystkich pojedynkujących się, czyli tak zwanych „Herrn Duellanten” ¹⁾. W r. 1761 kupił tę przestrzeń ziemi od ówczesnego miejscowego pastora Kühne za 2011 złotych kurlandzkich dziedzic rozległych dóbr po-Maydellowskich, zwanych Dondang, ksiązę Sacken, jak to czytamy w oficjalnej relacji rady miejskiej piltyńskiej z roku 1799. W ciągu wieku XVIII panowała w Piltyniu większa jeszcze anarchia niż w Polsce, a piltyńczycy znajdowali się często w przykrzejszém jeszcze położeniu niż polacy. Nie wcielając się stanowczo do organizmu Rzpltej, weszli jako osobne państewko w skład rosyjskiego cesarstwa z pewnemi przywilejami. Piltyń, jak wiadomo, równocześnie z Kurlandją w roku 1796 poddaje się dobrowolnie berłu rosyjskiemu, do r. 1817 posiada zarząd osobny i swoje prawa wyłączne, a od r. 1817, w którym konstytucją piltyńską ostatecznie zniesiono, wchodzi w skład gubernii kurlandzkiej, tworząc w niej trzy powiaty: grobiński, hazenpocki i znaczną część windawskiego ²⁾.

V.

Miasto Piltyń już od początku XVI stulecia upadać zaczęło; odkąd i kapituła biskupia i kolegium landratów piltyńskich usadowiły się stale w Hazenpocie. Obecnie nie posiada Piltyń nawet burmistrza. Radę miejską składają tam: wójt sądowy czyli tak zwany „Gerichtsvogt” i dwóch tylko radzców miejskich „Rathsherren.” To téż dzisiaj miejscina ta do najlichszych w Kurlandji należy. Położenie jój nader niekorzystne. Zawszad jest okrążoną piaszczystemi równinami i obszernymi borami. Upadek miasta datuje głównie od czasu, w którym Wenta zmieniła swe dawne łożysko, oddalone o 2¼ mili od dzisiejszego koryta téj rzeki. Piltyń liczy obecnie ogółem tylko pięć ulic i zaułków, jeden kościół protestancki, murowany, w r. 1708 wzieziony, jedną synagogę żydowską, 14 domów murowanych i 108 drewnianych. Spis ludności z r. 1882 wykazał zaledwie 1617 mieszkańców płci obojga, z których 628 wyznania protestanckiego a 989 wyznania mojżeszowego. W tymże roku liczono tu 32 kupców trzecięj gildyi—wszyscy izraelci, trudniący się drobnym handlem i szacherką. Piltyń jest więc

¹⁾ Patrz: „Inland,” Nr. 8, z r. 1845.

²⁾ G. Manteuffel, artykuł: „Hazenpot,” w „Słowniku geograficznym ziem polskich,” t. III, str. 43 i 44, tudzież cenny artykuł prof. Cruse, ogłoszony w „Mitaucher Taschenkalender pro 1827” p. t.: „Der ehemalige piltenscho Kreis.” Oprócz tego porównaj pracę Klopmana w dorpackiém czasopiśmie: „Das Inland” z r. 1847, str. 78.

obecnie tylko nędznym gniazdeczkiem żydowskim „ein echtes Judenest,“ jak mawiają w Kurlandyi. Czasy jego dawniej potęgi biskupiej przypomina już tylko ruina zamczyska z wieżycą nawpół przeciętą, której część jedna aż dotąd wznosi się groźnie ku niebu, druga zaś spokojnie spoczywa w głębi dawnego łożyska rzeki Wenty.

O rozmiarach tegoczesnego Piltynia powziąć można niejaki wyobrażenie, przeglądając budżet miejski na rok 1883 wydany, a który kurlandzka gazeta gubernialna całkowicie ogłosiła. Zarówno przychody jak rozchody miasta, nie przewyższają tu oznaczonej zawczasu cyfry 1540 rubli 74 kopiejek. Rozchody na zarząd miejski wynoszą ogółem nie więcej jak 355 rubli, a koszta roczne na utrzymanie zarządu policyjnego w miasteczku Piltyniu, pokrywa nader skromna suma 36 rubli. Z budżetu przychodów rocznych tego liliputowego grodu, wyliczonych z wielką sumiennością w „Kurlandzkiej gazecie gubernialnej,“ wymieniam jeszcze następujące: przychód roczny z miejskich porębów leśnych (Forstreveneuen) rs. 15; łowy wlesie miejskim przynoszą miastu rocznego dochodu (Jagdreveneuen) rs. 12 i tyleż pobiera kasa miejska za wynajęcie mieszkania pastuchów miejskich (für die Stadtkuhhirtenwohnung). Z podatku literatów (an Literatensteuer) wpływa rocznie rs. 1 kop. 50! „O alte piltensche Bischofsherrlichkeit, wohin bist du verschwunden!“—temi słowy kończy sprawozdanie z tegorocznego budżetu miasta Piltynia, znajdujący się na dowcipnym szyderstwie redaktor gazety „Für Stadt und Land.“ My zaś jeszcze nadmienimy, że już od r. 1768 istnieje w tój podupadłej mieścinie kasa oszczędności dla wdów i sierot i że jój kapitał dochodzi obecnie do 22,314 rs. Jest tu i dom przytułku założony w r. 1743. Ten posiada zaledwie pięćset kilkadziesiąt rubli kapitału. Fabryki nie ma w Piltynie żadnej. Jarmarków dorocznych liczą dwa (2 lutego i 29 września). Obszar ziemi miejskiej wynosi obecnie 1142 dziesięcin.

Co atoli najbardziej zasługuje na wzmiankę, to słynne archiwum piltyńskie, przez uczonych badaczy przeszłości naszej dotąd zbyt mało uwzględniane, dlatego postanowiliśmy obeznać z niem bliżej czytelników „Biblioteki Warszawskiej.“

b) Archiwum piltyńskie.

I.

Archiwum piltyńskie mieści się obecnie w gmachu rycerstwa kurlandzkiego w Mitawie. W ciągu r. 1875 uporządkował je całkowicie dr. Teodor Schiemann, biograf kilku książąt kurlandzkich; jako zdolny historyk dość ogólnie ceniony ¹⁾, i w swoim sprawozdaniu z tój

¹⁾ Najbardziej ustalił swe imię pracą p. t.: „Herzog Friedrich Wilhelm, nach bisher ungedrucktem Material,“ ogłoszoną w „Baltische Monatschrift,“ t. XXII, pag. 120—145, tudzież biografią: „Jacob Herzog von Kurland,“ którą oddrukowano w dzieło zbiorowem: „Allgem. d. Biographie.“

ważnej czynności, odczytaném publicznie na zgromadzeniu Towarzystwa historycznego prowincyi nadbaltyckich, niewahał się wyznać, że nigdzie w tym kraju nie znajdują się dokumenta historyczne tak nieprzerwanym ciągiem po sobie idące, jak w archiwum piltyńskim¹⁾. Ciekawe te zbiory obejmują niemal trzy stulecia (1556—1817). Prawie wszystkie przywileje i tranzakcye przechowane tu są w oryginałach lub w kopiach autentycznych. Najdawniejszy z dokumentów z roku 1556, zatwierdza Ulryka von Behr na biskupstwie kurońskim. Dokument to nader ciekawej redakcyei, (przechowany w archiwum piltyńskim pod nr. 246), przedstawia nam w formie niemal dramatycznej cały bieg instalacji biskupiěj. Dziekana ówczesnego, Krzysztofa Wolffa, wprowadza jako osobę przemawiającą. Czytamy tedy, iż biskup Jan leży w ciężkiej niemocy; że z powodu coraz bardziej szerzącej się luterskiej herczyi, okazuje się nieodzowną potrzebą przystąpić nakoniec do wyboru koadjutora biskupiego²⁾. W tym więc celu zwołano kapitułę do Hazenpotu. Następuje sprawozdanie z wyborów kapitulnych. Wszyscy się zgadzają na wybór Ulryka Behra, kanonika kościoła kurońskiego „salvo tamen beneplacito Sedis Apostolicae.“ Przytém załączone akta najrozmaitsze jako to: zgodzenie się biskupa Jana, przyjęcie wyboru kapitulnego przez samego koadjutora i aż piętnaście rozmaitych punktów, jakich nowoobрани koadjutor biskupi obiecuje trzymać się ściśle „aut in urbe aut extra urbem in partibus.“ Wspomniany dokument pisany na papierze, składa się z 22 stronnic in folio i robi wrażenie projektu, gdyż pozostawione w nim są do późniejszego zapetnienia miejsca, przeznaczone oczywiście na datę i miesiąc.

Oddrukowana w Dogiela „Provisio Principis“ z dnia 28 listopada r. 1561³⁾ przechowuje się tutaj w kopii autentycznej, oryginał zaś

1) Zob. „Mittheilungen aus dem Gebiete der Geschichte Liv-Est und Kurlands“ (Riga, 1880), t. XII, pag. 295—306. Treść jago główną, wypisaną ręką autora, znaleźliśmy przy katalogu w archiwum piltyńskim. Te cenne notaty służyły nam za głównego przewodnika przy przoglądzie zbiorów archiwalnych piltyńskich. Zawierają ono najrozmaitsze uwagi w osobnym zeszycie o siedmiu stronach in 4-to, w ciągu maja r. 1875 ręką autora skreślone. Rękopism ten przyłączył dr. Schiemann do dawnego katalogu archiwum, pisanego w r. 1825. Ten zajmuje 52 stronnic in folio i nosi tytuł: „Consignation des Piltenschen Archivs, Anno 1825.“

2) „Notum est vobis omnibus, są słowa dokumentu, qualiter Nostra Ecclesia Curoniensis in ultimis fere Christianorum finibus situata, atque Nos omnes Ecclesiasticae Personae a triginta Annis proximis, vel circa, pernicioso ac pestilentissima secta ac haeresi Luthorana vexati, impetiti, agitati, turbati et damnificati fuimus.“ (Vide docum., pag. 1).

3) Vide Dogiel: „Codex diplomaticus Regni Poloniae etc.“ Vilnae, 1759, t. V, pag. 250.

mieści się w kurlandzkim archiwum książęcym, które dr. Schiemann również starannie uporządkował.

Słynny traktat kronenburski z dnia 10 kwietnia r. 1585, figuruje w archiwum piltyńskim w niemieckim przekładzie, zdradzającym pisarza XVI stulecia; ale znacznie poprawniejszy niż znany przekład ogłoszony przez Nettelblatta ¹⁾. Tekst oryginalny łaciński tegoż słynnego traktatu przechowuje się tutaj w kopiach późniejszych.

Nader ciekawymi są pamiętniki historyczne, pisane wkrótce po r. 1587 pod tytułem: „Kurzer Bericht durch was gelegenheit und aus was gründen, die Aussbeute des etwa gewesenen Stifts zu Churland, gegen das Schloss und Gebiete Sonnenburgh auf Oesel, sambt den Höfen Leall und Madsel in der Wyke, hergeflossen und angestellet, auch endlich in die fürstliche Churische Investitur gebracht worden.“

Lieżna serya dokumentów oryginalnych wykazuje najjaśniej stosunki Piltynia do Brandenburgii, z czasu przed traktatem kronenburskim, który, jak wiadomo, zakończył ostatecznie spory polsko-duńskie za pośrednictwem Brandenburgii.

Znajdujemy tu także kopią autentyczną zastawnego kontraktu, zawartego w Krakowie w dniu 7 czerwca r. 1585 pomiędzy królem Stefanem Batorym a Jerzym Fryderykiem margrabią brandenburskim. Tekst tego kontraktu błędnie u Dogiela oddrukowany ²⁾, dałby się więc obecnie z łatwością sprostować wedle wspomnianej kopii. Do tegoż działu archiwum piltyńskiego należą liczne relacye o działalności radczy brandenburskiego Lewina von Bülow, który uskutecznił ugodę pomiędzy Polską a Danią. tudzież formuła przysięgi, jaką piltyńczycy w dniu 29 lipca r. 1585 wykonywać musieli wstępując w nowy stosunek zależności nie tylko względem Brandenburgii ale i względem Rzpltej polskiej.

Następuje cały szereg dokumentów pergaminowych w wybornie zachowanych oryginałach, których treścią jest powiększej części potwierdzenie najrozmaitszych praw Piltynia, wydawanych pomiędzy rokiem 1591 i 1669.

II.

Najszcześliwiej zostały przechowane główne dokumenta, wyświetlające stosunki prawne Ziemi piltyńskiej. Tu pomiędzy innymi zwracają na siebie uwagę badacza „Leges et statuta districtus Piltensis“ (datowane z Warszawy r. 1611 d. 28 października), troskliwie w ory-

¹⁾ Fascio. rer. Curland, II.

²⁾ Vide Dogiel: „Codex dipl.“ t. V, pag. 324, „Stephanus Rex Arcem Piltensem universumque Episcopatum Curonicum Georgio Friderico Marchioni Brandenburgensi Duci Prussiae in summa triginta millium Talerorum obligat. Dat. Cracoviae d. 7 Junii, Anno 1585.“

ginalne zachowane a oznaczone w archiwum numerem 266. Stanowią one spory zeszyt o 44 stronach in folio. Oczywiście często były używane, jak tego wyraźnym są dowodem liczne notaty, wypisane na marginesach. Do tych mianowicie praw i statutów odnosi się artykuł konstytucyjny sejmu walnego koronnego w Warszawie z r. 1611, dnia 9 listopada: „Szlachtę powiatu Piltyńskiego, przy dawnych wolnościach ich, a z strony czynienia sprawiedliwości między nimi samymi, przy dawnych zwyczajach jako dotąd byli, zostawujemy. W czym Xiążęta Ich Mość Kurlandscy, którzy na wykupienie starostw w powiecie Piltyńskim, wolność mają, nie deregować y w odprawieniu Sądów na miejscach zwykłych, żadnego impedymentu czynić nie mają. Wszakże appellacye od sądów ich do Nas, y Sądu Naszego, a nie gdzie indziej iść mają, tak iako sprawy sądowe Inflantskie“¹⁾.

Rozkaz piltyńskiego kolegium landratów, z dnia 31 maja r. 1617 przez który kalendarz gregoryański do Piltyńsk wprowadzono, przechowano tu w bardzo dawniej kopii autentycznej, a słynna „Formula Regiminis Piltensis“ (d. d. Hazenpot, 1617, 9 maj), str. 10 in folio zajmująca, zachowała się w cennym oryginalu, oznaczonym w archiwum numerem 267. Jak mało piltyńczycy ufali komisji polskiej, ustanowionej dla uregulowania stosunków prawnych najprzód w Kurlandyi, a następnie i w Piltyńsku, wykazuje jasno pamiętnik z r. 1617, w którym piszący rozodzi się nad tém, dlaczego mianowicie bracia szlachta piltyńska tak bardzo się obawiają przedstawiać swe liczne przywileje komisji złożonej wyłącznie z Polaków. W tym właśnie czasie zakończyły się zatargi szlachty z powodu słynnej sprawy braci Noldów i księcia Wilhelma Kettlera²⁾. Dlatego więc w Piltyńsku usiłowano usunąć się ostatecznie od wszelkich wpływów kurlandzkich.

1) Vide Vol. leg. (wydanie J. Ohryzki), t. III, pag. 27, artykuł 30 „Powiat Piltyński.“

2) Tok nader ciekawy całej tej sprawy opisuje szczegółowo K. W. Cruse w swém dwutomowém dziele: „Curland unter den Herzögen“ (Mitau, 1833). T. I, księga 2-ga, str. 83 — 99 i 101 — 103. Zwróciwszy najpierw uwagę czytelnika na to, iż sam Gotard Kettler przyczynił się poniekąd do opisujących się w tym odsyłaczu smutnych wypadków, przekazując kraj obudwom synom w niepodzielne władanie, pojąjemy następujące ustępy z przytoczonego powyżej cennego dzieła prof. Crusego, ustępy wybornie już spolszczone w sympatycznej pracy p. Klemensa Kanteckiego p. t.: „Potomkowie Krzyżaków.“ „Książę Wilhelm stawał się coraz gwałtowniejszym, popędliwszym, w namiętnych wybuchach niepoohamowanym. Nowe urządzenia, zaprowadzone po śmierci starego Kettlera, nie mogły przypaść do gustu szlachcie. Dotykało to ją boleśnie, że między ceremoniami, przepisaniem przy akcie hołdu, nakazano i tę, aby szlachcie w znak uległości odbierał od księcia chorągiew na kłęczkach, i od spełnienia tego przepisu uczyniono zależnym przyznanie dzierżonych przez szlachtę majątków. Malkontenci nazwali to „longobardzkim bałwochwalczym ceremoniałem“, a zarazem przypomnieli, że

Księżę Wilhelm jeszcze nie wypłacił Brandenburgii całej należności, przeto margrabina wdowa, Zofia von Brandenburg-Anspach,

cały stan rycerski, na mocy przywileju Zygmunta Augusta, posiada swe dobra nie prawem louném lecz tytułem własności, niepotrzebuje więc poddawać się tak przestarzałym i upokarzającym obrzędom. (Patrz K. W. Cruse l. l. pag. 84).

Coraz więcej gromadziło się odtąd w Kurlandyi materyałów palnych; potrzeba było tylko iskry, aby przyszło do wybuchu. (Patrz „Przewodnik naukowo-literacki,“ Rocznik IX, str. 493). Dotąd chodzili malkontenci samopas, nie działali solidarnie, brakło im porządnej organizacyi, brakło wodzów, którzyby nimi systematycznie kierowali. Zmieniła się postać rzeczy, odkąd na czele opozycyi stanęli bracia Noldowie, Gotard i Magnus, urażeni wyrokiem, wydanym przez Wilhelma w procesie kryminalnym, jaki toczyli z Buttlerem. Już słabł opór szlachty, gdy przykład i namowy tych śmiałych ludzi dodały chwiejnym odwagi i powiękzały szeregi rokосу. W odwet za okazywaną jawnie opozycyą, dopuszczał się Wilhelm różnych nadużyć i gwałtów w dobrach Noldów i innych swych przeciwników, traktował szlachtę wyniosło, lekceważąco i po grubiańsku, powoływał do służby wojskowej raz na to, aby ją niezwłocznie rozpuścić, oświadczając, że choiał się tylko przekonać, czy się dawniejszej krunąbrności pozbyli, to znowu bez celu przez długie miesiące wodził po kraju. Do żywego tém bezprawiem oburzona szlachta, postanowiła nie stawać nadal osobiście na książece wezwanie. Magnus Nolde, korzystając z wpływu, jaki miał w Warszawie jako dworzania Zygmunta III, przedłożył królowi skargi swych zionków i wyjednał nieprzyjazny dla ksiąząt reskrypt. Wilhelm ze swój strony oskarżył malkontentów jako buntowników i uzyskał przeciw nim królewski dekret, albowiem—dodaje trafnie p. Kantecki — dwór warszawski zamiast wydawać sąd na podstawie dokładnie zbadanego stanu rzeczy, wyrokował zwykle po wysłuchaniu jednéj ze stron, a odwoływał wyrok, gdy strona potępiona domagała się tego i umiała chodzić około interesów.“ Wkrótce po odniesieniu tego sukcesu, Wilhelm, chcąc kuć zelazo póki gorące, pospieszył do Warszawy (r. 1605), poczem udał się zagranicę, idąc w tém za radą brata Frydryka, który się spodziewał, że czas zatrze przykre wrażenia przeszłych nieporozumień. Jakoż zawezwane niebawem przez księcia Frydryka Kettlera rycerstwo zgromadziło się licznie i wyruszyło pod jego wodzą na pola Kirchholmu. Szwedzi przeważni liczbą, pewni już byli zwycięstwa nad Chodkiewiczem, gdy wtém ks. Frydryk z zastępem 300 jeźdźców, zjawił się na lewym brzegu Dźwiny, przeszedł wpływ rzekę i uderzył z tyłu na nieprzyjaciela. Dywersya ta, jak wiadomo, sprawiła wielki popłoch w szwedzkich szeregach i przechyliła szalę zwycięstwa na stronę polaków; stanowczéj klęski szwedów o mało niedopelnilo schwytywanie króla-uzurpatora. Mateusz von dor Recke, już Karola IX pochwyił za ramię, lecz Henryk Wrede, poświęcając się za swego pana, stanął pomiędzy nim a dzielnym kurlandczykiem, i otrzymał cios śmiertelny. Karol wydobyl się szczęśliwie z matni, ale jego liliputowy miecz i kapelusz (des Königs Schwert, Hut und kostbare Hutschnur), pozostały w ręku kurlandz-

w r. 1617 przelewa swe prawa na lepij płacącego starostę Hermana Maydela; przeciw téj kombinacyi margrabiny wdowy, protestuje gwał-

kiego szlachoiica jako zwycięzkie trofea, dowodzące dotąd, że miał w ręku dostojnego jeńca. Miecz ten historyczny, przechowujący się w zamku Neuenburg, należącym do ordynacyi starodawnego rodu von der Recke, figuruje obecnie na wystawie w Rydze, gdzie go piszący niejednokrotnie oglądał; kapeluszu zaś już oddawna uległ zniszczeniu.

Wojenno zasługi obu książąt dobrze dla nich usposabiały króla i Rzeczpospolitą, bo i Wilhelm zaskarbił sobie niejaki prawa do względów, zdobywając Dyament pod Rygą. (Conf. l. l. pag. 494). W kraju jednak, powróciwszy z zagranicy, poczynił sobie po dawnemu namiętnie i zuchwale, gwałtownością swoją stawiając sprawę ua ostrzu noża, zagrabiając dobra Noldów i innych za to, że nie chcieli składać hołdu na kłęczkach.

Po obu stronach rosła zawziętość — w obydwóch obozach wrzało i kipiło. Nakoniec po rozmaitych przejściach, które zbyt długo byłoby opowiadać w tym odsyłaczu, po decyzji polskiej komisyi, że dobra szlacheckie na mocy przywileju Zygmunta Augusta z lennych zamieniły się na dziedziczne, a więc hołd stał się zbytecznym — poszła sprawa przed forum sejmku Rzeczypospolitej. Wilhelm zanadto dufając swym wojennym zasługom i poparciem swych szwagrów Radziwiłłów (najstarsza z córek Gotarda Kettlera, księżniczka Anna, już od r. 1586 była żoną Jana Olbrychta Radziwiłła), spełnił tę nieroztropność, że odmówił sądowi kompetencyi i nie stanął.

Ale i bracia Noldowie przebrali miarę, w oskarżeniach swych tak bezwzględnie odzywając się o księciu: „Nachbar Wilhelm Kettler, der sich einen Herzog von Curland nenne“ są ich słowa — że to zaczęło razić wzrosłego w zasadach legitymizmu Zygmunta III. Dla tego powołał król przed siebie Wilhelma. Przybyli wtody obydwaj książęta, lecz gdy sprawa przybierała niekorzystny dla nich obrót, opuścił stolicę bez pożegnania się z dworem najprzód Wilhelm, następnie i Frydryk. (Porównaj K. W. Cruse l. l. I, 93 i 94). Tymczasem idąca ręka w rękę z Noldami szlachta kurlandzka, domagała się natarczywie zwołania krajowego sejmku w celu usunięcia nadużyć, lecz zawsze na próżno. Przedsięwzięto więc prowadzić walkę do upadłego. Gdy i królewski rozkaz w téj mierze nie odniósł pożądanego skutku, Zygmunt III sam zwołał sejm kurlandzki.

Dumni wasale, mając na rokoshu Zebrzydowskiego świeży przykład, jak słabą jest władza elekcyjnego króla, jak ją można bezkarnie lekceważyć, nietylko uważali za właściwe sprzeciwić się woli królewskiej, lecz nawet ośmielili się przez swych urzędników zdzierać pisma konwokacyjne. Były to tak warażnie już buntownicze objawy, że złego wrażenia, jakie sprawiły, nie zdołały zatrzeć silne starania Radziwiłłów. Szlachta kurlandzka, która już poprzednio żądała zupełnego zniesienia w procesach instancyi książęcej, a zastąpienia jój bezpośrednią apelacyą do króla, postanowiła nie uznawać wcale Wilhelma swym władcą. (Patrz „Przew. nauk. lit.“ Rocznik IX, str. 495).

Jak świadczą zgodnie historycy niemieccy, niemal powszechném było wtedy w Kurlandyi życzenie pozbycia się obu książąt i urzędzenia stosunku

townie ksiązę Fryderyk Kettler. Maydell szuka pomocy w Polsce i znajduje ją, a spór zacięty, prowadzący ostatecznie do bezpośrednie-

do Polski na wzór Prus królewskich, gdzie, jak wiadomo, władza spoczywała w ręku radców, mianowanych przez króla polskiego. W silném już przekonaniu o wielkich korzyściach takiej zmiany, musiał utwierdzić szlachtę kurlandzką tragiczny wypadek, który się wydarzył w dniu 21 sierpnia r. 1615. Magnus Noldo, jadąc z polecenia królewskiego do Rygi, w celu uśmierzenia nieporozumień pomiędzy miastem i Jezuitami, stanął z bratem Gotardem w Mitawie i zamieszkał w pobliżu książęcego zamku. Z tej okazji postanowił skorzystać Wilhelm, aby się raz na zawsze pozbyć śmiertelnych wrogów. Bez względu przeto na prawo krajowe, nie pozwalające nawet więzić szlachcica, nie przekonanego prawnie, bez względu na poręczoną prawami międzynarodowemi nietykalność posłów, wysłał przeciw nim o jedenastej w nocy, gromadę żołnierzy pod wodzą dwóch urzędników, którzy wydali rozkaz zamordowania braci Noldów. Oprawcy wyciągnawszy obu braci przy świetle pochodni na pobliski plac zamkowy, zabili bezbronych wielu śmiertelnymi ciosami, pastwili się nad trupami aż do południa dnia następnego i wtedy dopiero zakopali je w miejscu, przeznaczonem dla chowania ludzi bez czci i wiary (auf cinem verlassenen, itzt nur für unehrliche Leute „histrionibus“ benutten Begräbnissplatze), jak się wyraża K. W. Cruse, przytaczający słowa powyższe z oryginalnego ówczesnego dokumentu. Wszystkie okoliczności, jakie towarzyszyły temu straszmemu występкови, wskazują, że nie był to czyn, dokonany pod wrażeniem chwilowego zaślepienia i zemsty, lecz raczej zbrodnia na zimno naprzód obmyślana i spełniona cum dolo malo, a rzecz charakterystyczna, że nawet po fakcie dokonanym sprawcy z Wilhelmem na czele, nietylko nie doznawali skrupułów i wyrzutów sumienia, lecz nawet nie próbowali ukryć swęj radości. Na zamku mitawskim obchodzono mniemany sukces dziękczynnemi modły i tryumfalnemi bankietami, jak gdyby po walném zwycięztwie, odniesioném nad nieprzyjacielem kraju, a sam Wilhelm w piśmie wystosowaném do króla 1-go lutego r. 1616 miał czoło choć w niejasnych i dwuznacznych słowach, wyستاwić zamordowanie Noldów, jako wymiar sądowęj sprawiedliwości. (Patrz Kantecki l. l. pag. 496 i K. W. Cruse I, 97). Szlachta była tak dalece zniechęcona dotychczasowými rządami książąt, że spodziewając się detronizacyi obydwóch, zaleciła na ten wypadek swym delegatom w instrukcyi z dnia 15 lutego r. 1616, prosić o formalne zatwierdzenie krajowych przywilejów, zaprotestować (sich verbitten) przeciw mianowaniu nowego pana i w razie rozdzielenia kraju na starostwa, domagać się uwzględnienia przy tém szlachty miejscowęj. Sam występny książę nie ludił się snąc widokami pomyślnego skutku procesu i nadzieją przebaczenia, skoro nietylko wysłanej przez dwór warszawski komisyi nie uznał, lecz powołany przez króla do stolicy, nawet pełnomocników nie wysłał, jak to uczynił starszy brat jego Frydrik, i nie czekając na wyrok, wszedł w tajne porozumienie z nieprzyjacielem Polski, królem szwedzkim Gustawem Adolfem. Zygmunt III, skazując na banicyą występnego księcia ułaskawił równocześnie jego brata Frydryka jako nierównio mniej winnego i po oczyszczeniu się jego z zarzutów,

go poddania się Piltynia Rzpltej polskiej, wywołuje cały szereg ciekawych rozpraw polemicznych.

Pod tytułem: „Summaria deductio episcopatus Curoniensis saecularisati,“ „Summaria demonstratio“ i t. p., rozbierają się prawa i interesa partyi najrozmaitszych. Kurlandya straciła już w owym czasie faktycznie cały swój wpływ na Piltyń, a spór wzmiankowany zakończono ostatecznie dopiero w dniu 12 czerwca 1656, gdy Jan Kazimierz osobnym królewskim dekretem na to zezwała, by Otton Maydell, potomek wyżej wspomnianego Hermana, przelał swe prawa do ziemi piltyńskiej na księcia Jakóba Kettlera. Do zupełnego wyjaśnienia tej dziwnie zawikłanej sprawy, posiada archiwum piltyńskie w całym szeregu dokumentów autentycznych źródła nader ciekawe, z których dotąd prawie nikt jeszcze nie czerpał.

III.

Lata następne zatrudnione były inwazyą szwedzką. Usadowili się Szwedzi wygodnie w Piltyniu i zaprowadzili tam obok właściwych miejscowych, swe własne rządy, któremi kierowała żelazna dłoń hrabiego Magnusa de la Gardie. Przechowało się tu mnóstwo jego pism do landratów piltyńskich. Są to przeważnie kwity z przyjętych sum kontrybucyjnych, lub też admonicje najrozmaitszego rodzaju. Te cięż-

nadał mu ponownie rządy nad zawichrzoną kilkunastoletnimi zatargami Kurlandya. Książę Frydryk zostawszy panem całej Kurlandyi, rządził nią spokojnie i szczęśliwie, unikając troskliwie wszelkich zatargów z podwładnymi. Komisya polska, wyznaczona głównie w celu spełnienia wyroku nad występnym Wilhelmem, wywiązawszy się z tego zadania i uwolniwszy kurlandczyków od poddańczej przysięgi dla Wilhelma Kettlera, przystąpiła do ułożenia nowego ustawodawstwa dla Kurlandyi, p. t.: „Formula regiminis“ i nowego prawa krajowego p. t.: „Jura et leges in usum Nobilitatis Curlandiae et Semigalliae a nobis promulgata,“ który to tytuł już sam najlepiej dowodzi, iż w owych czasach o jednym tylko staniu wyłącznie myślano. Te kurlandzkie statuta oddrukował Dogiel całkowicie. (Porównaj Dogiel „Codex dipl. Regni Poloniae, t. V, pag. 368). Rozpocząwszy swe posiedzenia w d. 6 lutego do pierwszej połowy marca r. 1617 uporała się komisya polska zarówno ze sprawą Noldów i ks. Wilhelma, jak z czynnościami prawodawczemi i owoc swych trudów ogłosiła w d. 18 marca. Słynna „Formula regiminis“ opiera się, jak wiadomo, na pactach subjectionis, na przepisach, dotyczących się inwestytury, na dawnych dokumentach i recesach, a przy układaniu wspomnianych powyżej kurlandzkich statutów „Jura et leges in usum etc.“ wzięto za wzór ustawy piltyńskie, obostrzając jednak znacznie prawo karne. Natomiast „Formula regiminis Piltensis,“ w której szlachcie piltyńskiej zastrzeżono zupełną niezależność od księcia kurlandzkiego, zaledwie w dniu 9 maja tegoż r. ogłoszoną zostaje, jak tego najlepszym jest dowodem wspomniany już wyżej jój oryginał, przechowany dotąd w całości w archiwum piltyńskiem.

kie dla Piltyńia czasy znajdujemy opisane w sporym pamiętniku, tworzącym całą księgę starannie oprawną a noszącą tytuł: „Piltens Zustand unter der Regierung Karl Gustav's von Schweden in den Jahren 1655—1657.“ Księga ta opatrzoną jest nie tylko kopiami pism rozmaitych z lat powyżej przytoczonych, ale i obszernym wstępem historycznym.

Dziwnym zaiste sposobem znajduje się w archiwum piltyńskim zeszyt spory pod tytułem: „Diarium Actorum Stockholmensium d. d. 1655, Jul. 6—14.“ Są to sprawy najrozmaitsze, traktowane pomiędzy Polską a Szwecyą przed wybuchem wojny szwedzko-polskiej.

Gdy po zawarciu traktatu oliwskiego, książę Jakób wrócił następnie do Kurlandyi, zaczęły się nanowo jego rokowania z Piltyńiem. Już w r. 1661 przychodzi do ugody, zwanéj „transactio piltensis“, a w ciągu miesiąca września tegoż roku książę Jakób przez komisją polską najformalniej do Piltyńia zostaje wprowadzonym, gdyż kolegium landratów prosiło Rzpltę o zupełne wcielenie do Kurlandyi tego nieforemnego pasa ziemi, otoczonego zewsząd kurlandzkimi posiadłościami, za wyłączeniem jedynie brzegów morskich po obu stronach przylądka Domesnez i około tak niegdyś stynnéj przystani Sackenmünde ¹⁾. Wszelako już wtenczas istniało pomiędzy szlachtą piltyńską dość silne stronnictwo, które o zlaniu się z Kurlandyą nie słysząc nie chciało. Wyrazem żywym usposobienia tego stronnictwa, jest przechowane tu w oryginale pismo: „Wohlmeinende Warnung eines treuen Patrioten an sämtlichen Adel des Piltenschen Kreises.“ Pismo to następnie drukiem ogłoszono ²⁾, a stronnictwo, które tę odezwę starannie na wsze strony rozpowszechniało, nabrało stopniowo tyle powagi w kraju, że w r. 1666 posłowie ziemscy piltyńscy zaprotestowali uroczyście przeciw już dokonaniem połączeniu z Kurlandyą, skutkiem czego w marcu r. 1667 ustanowiono komisją królewskopolską w celu bliższego rozpatrzenia pretensyi domu książąt kurlandzkich do ziemi piltyńskiej ³⁾. Sprawa ta wkrótce tak niekorzystny dla książąt przyjmuje obrót, że książę Jakób w r. 1669 wysłał swych najzdolniejszych radców — Krzysztofa Henryka Puttkamera i Adama

¹⁾ Patrz: „Słownik geograficzny ziem polskich“ (Warszawa, 1882), t. III, str. 43. Porównaj także mapę geograficzną: „Tabula geographica Districtus Piltensis nec non Ducatum Curlandiae et Semigalliae a Barukelio Architecto Mitaviensi rite delineata.“ Anno 1747. Norimbergiae.

²⁾ Wypisujemy cały tytuł, zachowując właściwą owym czasom pisownią: „Wollmeinende Warnungsschrift Eines treuen Patrioten, an sämtlichen Adel des Piltenschen Kreyses“ (Im Jahr 1663). Egzemplarz tego pisma całkowity, wcale nieuszkodzony, przechowuje muzeum kurlandzkie pod numerem 678. W dorpackiej bibliotece znajdujemy równie tę broszurę, wszelako w uszkodzonym egzemplarzu.

³⁾ „Volumina legum“, t. IV, str. 472: „Reassumptio komisii między obywatelami Powiatu Piltyńskiego, a Xciem Jmcią Kurlandzkim.“

Szuberta do Warszawy dla poparcia swoich interesów ¹⁾. Z powodu tego powstała luźna literatura za, lub przeciw pretensyom domu kurlandzkiego. Zaledwie w r. 1674 przychodzi do nowój ugody. Szlachta piltyńska pod tym tylko warunkiem obiecuje zawrzeć „pacta unionis,“ jeśli książę Jakób na polskim sejmie elekcyjnym zdoła uzyskać aprobacją na połączenie Piltynia z Kurlandją ²⁾. Projektowana atoli w téj chwili unia zaledwie w r. 1680 w dniu 8 kwietnia ostatecznie przysła do skutku.

Tok całej sprawy wykazują oryginalne dokumenta licznie w archiwum piltyńskiem nagromadzone. Spora wiązka projektów do tych „pacta unionis“ dowodzi wyraźnie, jak zacięcie każde z dwóch stronictw obstawało przy swoich prawach.

IV.

W r. 1685 dnia 22 września, książę Frydryk Kazimierz odnowił zawarte przez jego ojca „pacta unionis“ i sprawa ta zdawała się ostatecznie załatwioną, gdy wtém z innéj już zupełnie strony nowe piltyńczykom zagraża niebezpieczeństwo.

Mikołaj Korwin Poptawski, gorliwy biskup inflancki, który pierwszy osiadł w Dynaburgu przy katedrze, będąc zarazem kościołem parafialnym, wizytował dyecezyą, wznosił i odnawiał kościoły, rozkrzewiał światło wiary, — objawia nagle swoje pretensye do ziemi piltyńskiej, opierając je na tém, iż biskupstwo kurońskie zupełnie bezpodstawnie zostało sekularyzowaném ³⁾. Gorliwy biskup znajduje po-

¹⁾ Pierwszy z nich ogłosił następnie broszurę w formacie in folio p. t.: „Summaria deductio juris Ill. Ducibus Curlandiae in districtum Piltensem competentis“ (Anno 1685, bez oznaczenia miejsca druku), którą zresztą Mikołaj Chwałkowo-Chwałkowski już w roku poprzedzającym (1684) w dziele swoim: „Regni Poloniae jus publicum,“ na str. 514 et sequentes całkowicie oddrukował.

²⁾ Porównaj instrukcyą, daną na sejm do Warszawy dziedzicowi dóbr Kaczdanga, JPanu Karolowi Janowi Manteufflowi, posłowi rycerstwa piltyńskiego, przez koło tegoż rycerstwa, w dniu 2 grudnia r. 1678. Instrukcyja ta dotąd starannie jest przechowywaną w archiwum piltyńskiem pod n-rem 117 (Conv. sub Lit. 9). Tytuł jéj: „Instruction dem Herrn Pohnlich Koeniglichen Leutenandt Carl Johann Manteuffel genaunt Szoegel, Erbherrn auff Katzdangen, alsz unser Mit-Bruder und ungezweiffelter Bevollmächtigtter einmütiglich erwehlet zum Reichstagsdelegierten bey ihrer Koeniglich Majestaet unserem allergnaedigsten Koenige und Herrn. So geschehen zum Hasenpoth, d. 2 Dec., Anno 1678.“ O dziedzicach dóbr Katzdangen powziąć może czytelnik szczegóły w wydawanym obecnie w Warszawie „Słowniku geograficznym,“ t. III, str. 911 i 912.

³⁾ Ta sekularyzacyja oczywiście nigdy przez Rzym uznana nie była, jeśli zażarty antagonista Stolicy Apostolskiej, dr. Teodor Schiemann, w biografii

parcie u króla Jana III, który niezwłocznie prosi papieża, aby raczył złać prawa piltyńskie na biskupa inflanckiego. Działo się to w roku 1683.

Łatwo pojąć, że te intencje rzymsko-katolickiego pasterza żadnemu z dwóch stronnictw piltyńskich nieprzypadły do smaku. Ani piltyńscy partykularzyści, ani też gorliwi stronnicy unii z Kurlandją, nie słyszeć niechcieli o biskupie inflanckim, z którym równocześnie i katolicyzm wkraczałby nanowo do ziemi już najzupełniej zlutrzezonj. W tym też duchu przemawia o biskupstwie piltyńskiem obszerny memoriał, jaki w r. 1684 wyszedł z pod piora predykanta Dawida Wernera, co już przedtém nabył pewnego rozgłosu przez nędzny wyciąg z kroniki Henryka Łotysza, przez niego osobiście napisany, i dlatego w tej sprawie występuje jako „theologiae cultor et historiographus Livoniae“¹⁾.

Tymczasem rzeczy wzięły zwykły kierunek. Reskrypt królewski z dnia 15 grudnia r. 1685 oznajmuje zaniepokojonemu rycerstwu, iż do Piltynia ma zjechać komisya dla ścisłego zbadania pretensyi biskupa Popławskiego. Komisya ta niebawem tyle napędza strachu mieszkańcom ziemi piltyńskiej, że zaczęli wzywać pomocy tych wszystkich mocarstw, które niegdyś gwarantowały traktat kronenburski. Mamy tu kopie owych pism prawdziwie rozpaczliwych. W nich uskarżają się piltyńczycy na rzekomy ucisk wyznania protestanckiego; wszelako nie wychodzą z granic interwencyi dyplomatycznj, o jaką w swoich rozpaczliwych odezwach jedynie błagają. Prośby i poselstwa piltyńskiej szlachty śpieszą teraz bezustannie do Warszawy. Z wielką trudnością osiągają one tylko ten rezultat, iż bohater chrześcijański, król

księcia Jakóba powyżej przytoczonj mógł powiedzieć: „Als (im Jahre 1669) bekannt wurde, dass die Generalstaaten und der Prinz von Oranien wegen Vermählung mit einer kurländischen Prinzessin verhandelten, erfolgte ein förmlicher Protest des päpstlichen Nuntius gegen Investirung Herzogs Jacob's mit den Bisthümern Kurland (sic!) und Pilten. Das Heirathsproject zerschlug sich übrigens und daher blieb der päpstliche Protest ohne Wirkung.“ Zaznaczamy nawiasem, że słowo sic! niewłaściwie tu włącibia szan. autor. Niedość biegły w paleografii i dyplomatyce, odczytał on błędnie: „Curoniensis et Piltinensis“, zamiast: „Curoniensis seu Piltinensis“ i śmiało Stolicy Apostolskiej zarzuca, iż nie wie sama dokładnie, ilu i jakimi zarządza dyecezyami? W dalszym ciągu pracy niniejszj będziemy zniewoleni zaznaczyć jeszcze bardziej lekkomyślne traktowanie danych źródłowych przez tegoż woale zdolnego, ale dziwnie lekkomyślnego autora, który się częstokroć stronniejszym wydaje, niż nim jest w istocie.

¹⁾ Porównaj D. Werner: „Annales antiquae Livoniae“, rękopism istniejący aż w dwóch egzemplarzach w zbiorach biblioteki miejskiej w Rydze. Tenże Dawid Werner w końcu XVII stulecia był domowym predykantem (Hausprediger) u dynaburskiego starosty, Jana Andrzeja Platera, oczywiście zanim ten Plater (po r. 1690) przyjął wyznanie rzymsko-katolickie.

Jan III, objawia uroczyście: „że nie może ostatecznie sam jeden aprobować rezolucyi, jaką na korzyść biskupa wydała zesłana do Piltynia komisya.” W taki wszakże sposób piltyńczycy wygrywają na czasie, a po r. 1685 występują z protestem nader energicznym. Tymczasem Mikołaj Korwin-Popławski już od r. 1685 pisze się biskupem piltyńskim.

W archiwum przechowują dalej starannie dziennik Fromholda Sackena o całym toku tój sprawy od d. 28 maja do d. 13 sierpnia roku 1688 z tém większą ścisłością prowadzony, że tym razem sądy relacyjne królewskie otrzymały polecenie rozstrzygnąć rzecz ostatecznie. I to nowe stadium sprawy piltyńskiej wywołuje cały szereg pism polemicznych, których tylko najmniejsza część znana jest naszym bibliografom. Z tych pism widzimy wyraźnie, że nie sam biskup Mikołaj Popławski, ale raczej legat papieżki Pallavicini, był właściwym instygatorem tego nowego stadium sprawy piltyńskiej, której nawet jeszcze i w roku 1697 ostatecznie nie rozstrzygnięto. Groźna wojna północna przecina dopiéro nagle ów spór tak niezwykle zacięty, który potem już za ledwie w r. 1711 nanowo się wszczyna. Gorliwy pasterz inflancki mianujący się równocześnie i biskupem piltyńskim, Mikołaj Popławski, postąpił w r. 1709 na biskupstwo kujawskie i poznańskie, a niebawem (r. 1710) na arcybiskupstwo lwowskie. Obowiązki pasterza inflanckiego spełnia tymczasowo do r. 1711 koadjutor inflancki, Teodor z Ludynghauzu Wolff, a po wyniesieniu tego zanego koadjutora na katedrę chełmińską, obejmuje stałe rządy nad dyecezyą inflancką energiczny biskup Krzysztof Antoni Szembek, który zaraz po swojej instalacji wystąpił z pretensyami swemi do biskupstwa piltyńskiego. Uroszczenia te spotęgowały istniejący oddawna antagonizm pomiędzy ostatnim Kettlerem a jego podwładnymi. „Stosunki łączące ich — są słowa pana K. Kanteckiego, powtórzone za Kruzem ¹⁾ — doszły do stanu naprężenia, który lada chwila groził zerwaniem zbyt wyciągniętej struny. Inicyatywa pod tym względem wyszła od Piltyńczyków, którzy zamiłowaniem swobody a raczej samowoli, przewyższali nawet kurlandzkich sąsiadów. Przyciśnięci przez biskupa inflanckiego Krzysztofa Szembeka, który za przykładem swych poprzedników, z wielką energią chodził około przywrócenia kościołowi dawnego biskupstwa piltyńskiego, udali się landraci piltyńscy do księcia. Ferdynand Kettler nie przyjąwszy zgłaszających się, tak ich tém uraził, że zanieśli do króla i Rzpłtęj prośbę o uwolnienie ich od wszelkich obowiązków względem księcia i przyznania szlachcie piltyńskiej niezależności, zastrzeżonej w tak zwanéj „formule regiminis piltiniensis z r. 1617.“ Żądaniu temu stało się zadość i odtąd stanowi znów powiat piltyński odrębny państwowy organizm, pozostający tylko pod

¹⁾ Kantecki: „Potomkowie Krzyżaków“ w „Przewodniku naukowo-literackim“ (Roznik IX z r. 1881, str. 700). Kruze: „Curland unter den Herzögen.“ Mitau, 1833, t. I, str. 239 i 240.

bezpośrednią opieką króla i Rzpltej¹⁾. Komisye, poselstwa, protesty, memoryały rękopiśmienne i drukowane następują w tych latach jedno po drugim²⁾. W r. 1713 dochodziło już niemal do tego, iż chciano zgodzić całą tę sprawę znaczną opłatą pieniężną. Ponieważ zaś napatykały się wielkie trudności w zebraniu sumy znaczniejszej w kraju przez wojnę wycieńczoną, a także dlatego, że wymagania Krzysztofa Antoniego Szembeka były istotnie dość wysokimi; piltyńczycy wzywają powtórnie interwencyi zagranicznych mocarstw protestanckich, z liczby których najprzód król angielski Jerzy, wstawia się aż dwa razy za Piltyniem: najprzód w r. 1715 a następnie i w r. 1717.

Za przykładem króla angielskiego, postępują wkrótce Prusy, Dania, a nawet Holandya. Całą tę korespondencyą międzynarodową, znajdujemy w archiwum piltyńskiem jużto w cennych oryginałach, jużto w kopjach autentycznych. Przechowuje je archiwum w fascykułach oznaczonych numerami 396—401. Wszystkie niezmiernie ciekawe.

V.

Po postąpieniu Krzysztofa Szembeka na biskupstwo kaliskie i pomezzańskie (episcopatus Vladislaviensis et Pomesaniae) r. 1716, rządzili dyecezyą najprzód biskup koadjutor inflancki Piotr Tarło (od r. 1716—1719), następnie biskupi dyecezyalni inflancko-piltyńscy: Stanisław Hozyusz (od r. 1719—1722), August Wessel (od r. 1722—1735), Konstanty Moszyński (od r. 1736—1738), Wacław Sierakowski (od r. 1738—1741) i Józef na Kozielsku Puzyna (od r. 1741—1752)³⁾, co wszakże gorliwemu o dobro kościoła Szembekowi wcale

¹⁾ Vide „Vol. leg.“ (wyd. J. Ohryzki), t. VI, pag. 148, gdzie wyraźnie czytamy: „Szlachtę Piltyńską przy konstytucyach in rem onych uchwalonych et circa formulam regiminis Piltinensis anni 1617 in toto zachowujemy et executionem ejusdem formulae mieć chcemy salvis juribus Ecclesiae Romanae-Catholicae, et circa praejudicium sprawy Piltyńskiej, in deliberatione nostri promulgandi decreti, wiszącey.“

²⁾ Znajdujemy je wszystkie przechowane starannie w archiwum piltyńskiem.

³⁾ Wszyscy dokładali swoich starań w prowadzeniu zawikłanej sprawy o biskupstwo piltyńskie, jak to widzimy z następujących słów relacyi o stanie biskupstwa inflanckiego w r. 1749, za czasów biskupa Puzyna do Stolicy Apostolskiej przedstawionój: „Zelavère post hoc Illustrissimi Szembek consecutivè succedanei Episcopi Livonienses Illustrissimi Hosius, Wessel, Moszyński, Sierakowski et modernus feliciter dirigens Dioecesem Josephus Dominicus de Kozielsk Puzyna, verum hucusque sine auxiliatrice efficaci Dextera inefficax permanet causa, ubi citra offensam Serenissimae Majestatis causa proponi non vult. Imo contraria pars, sive possessores Bonorum Episcopaliū gloriant (licet id non praejudicet causae Episcopali) se gaudere tali rescripto, ut non citius compareant, nisi illis demandatum fuerit. Rogat itaque demississime ut

nie przeszkadzało popierać raz już wszczętej sprawy o biskupstwo piltyńskie. Po długich zatargach nabywa on bowiem w r. 1727 d. 12 lipca dobra Lehnen, Litzen i Maggerkaul, wchodzące w owym czasie w skład ziemi piltyńskiej, jako i cała parafia amboleńska, następnie od powiatu piltyńskiego zupełnie oddzielona. O nabyciu wspomnianych dóbr przez biskupa Krzysztofa Antoniego Szembeka świadczą pomiędzy innymi najautentyczniejsze oryginalne dokumenta cesyjne i sprzedażne, datowane z dnia 12 lipca 1727 r., a przechowane w całości w archiwum piltyńskim pod numerami 422 i 423 ¹⁾.

pro autoritate Ecclesiae efficacia felicem finem capiat.“ Porównaj rękopism przechowany w archiwum katolickiego kościoła mitawskiego p. t.: „Status Religionis Romanae-Catholicae Episcopatus Livoniae, Semigalliae et Curoniae sive Piltinensis tempore Josephi de Kozielsk Pusinae, Episcopi Livoniensis etc., de anno 1749-no descriptus.“ Rękopism powyższy zawiera stronice 25 in folio. Udzielonym nam został uprzejmie przez proboszcza mitawskiego wraz z drugą niemniej cenną relacją o stanie tegoż biskupstwa infancko-piltyńskiego, jeszcze w r. 1715 przez biskupa Krzysztofa Szembeka dla papieża Klementa XI osobiście redagowaną.

¹⁾ Wspomina o tém i przytoczona powyżej relacja o stanie biskupstwa infanckiego z r. 1749 na str. 11 temi słowy: „Gratae memoriae Celsissimus Szembek, ut in districtu Piltinensi pedem figere possset, bona coemit Lehnen, Muggerkaul et Litzen pretio fere in duplo praevalente bonis. Eademque bona in perpetuum legavit, donavit succedaneis Episcopis Livoniensibus. In hisdem bonis facta est fundatio parochiae cum scitu et voluntate p. m. Celsissimi Pronatis. Item cum voluntate protuno Illustrissimi Episcopi Moszyński, ubi modernus Illustrissimus Loci Ordinarius noster non sine magnis sumptibus pulcherrimam aedificat Ecclesiam.“ Słowa powyższe potwierdzają w części sprawiedliwość uwagi wypowiedzianej w t. VIII „Encyklopedyi kościelnej“ na str. 109, w której autor, odwołując się do str. 513 czwartego tomu „Teki Podoskiego“, powiada wyraźnie: „iż Szembek wyjednał dekret królewski, nakazujący zwrócenie dóbr piltyńskich biskupowi za sumę 30,000 talarów, jaką sumę biskup Szembek zaraz spłacił i wystawił w Lehnen rezydencją biskupią, zobowiązawszy następców do rezydowania tamże.“ Tu ta tylko zachodzi różnica, że autor artykułu w „Encyklopedyi kościelnej“, ma nim być ksiądz Knapiński, nie zajrawszy oczywiście do źródeł archiwalnych, rozprawia z tonem powagi nieomylniej o 30,000 talarów albertyńskich, wypłaconych rzekomo przez Szembeka szlachcie piltyńskiej, a przejrzane przez nas autentyczne dokumenta cesyjne i sprzedażne wykazują tylko skromną sumę 21,859 złotych albertyńskich, przyjętą z rąk biskupa za majątności Lehnen, Litzen i Maggerkaul. Atoli większej się jeszcze dopuszcza stronności młody dr. fil. T. Schiemann, wygłaszający w swém sprawozdaniu o znaném mu najdokładniej archiwum piltyńskim słowa następujące: „Endlich 1728 wird Szembek abgewiesen, freilich nicht ohne Schädigung der piltenschen Interessen; er musste mit den Gütern Lehnen, Litzen und Maggerkaul abgefunden werden.“ (Vide T. Schiemann w „Baltische Monatschrift“, t. VII, str.

Aż dotąd łatwo się dają śledzić fata piltyńskie drogą poszukiwań archiwalnych, zapomocą najautentyczniejszych oryginalnych dokumentów tego prawdziwie wzorowo utrzymanego archiwum. Stanowią one wprawdzie suchy, ale zupełnie wierny szkielet historii krajowej. To też wyznać trzeba, że bogate zbiory archiwalne piltyńskie całkowicie wystarczają nietylko do powiązania w jedną całość pojedynczych wypadków z ciekawej przeszłości Piltynia, ale mogą się znakomicie przyczynić do rozjaśnienia niejednej karty historii Rzeczypospolitej polskiej ¹⁾.
(d. n.).

302). A więc wedle p. Schiemanna, który, mówiąc nawiasem, przy każdej sposobności protestantów nadbałtyckich pragnie koniecznie wykierować na nieszczęśliwe ofiary srogiej zacieklności religijnej polaków-katolików, dobra powyższe otrzymał Szembek ze szkodą piltyńczyków bezpłatnie! Ktoby tylko chciał zadać sobie trud zajrzenia do n-rów 422 i 423, uporządkowanego przez tegoż p. Schiemanna archiwum piltyńskiego, ten przyjsć musi niezaprzeczenie do następującego wniosku: p. dr. Teodor Schiemann, o którym wiadomo ogólnie że nie bołduje antynaukowej zasadzie „L'histoire n'est au fond qu'un mensonge convenu,” nie zaglądał wcale do wspomnianych dwóch dokumentów cesyjnych i sprzedażnych, tak starannie w archiwum piltyńskim dotąd przechowanych, a poprostu wciągnął je machinalnie do tworzonego przez siebie wyciągu z istniejącego już od r. 1825 katalogu tego archiwum. Trudno bowiem przypuścić, aby historyk fachowy i zdolny, pisząc poważne sprawozdanie z tak ważnej czynności, jaką jest bezwarunkowo ostateczne uporządkowanie cennego historycznego archiwum, mógł najzupełniej przepomnieć o głównych warunkach każdej pożytecznej pracy historycznej, o warunkach, które niegdys już przez Cyceronu równie jasno jak pięknie streszczone zostały temi słowy: „Prima historiae lex sit, ne quid falsi dicere audeat; deinde, ne quid veri non audeat, ne qua suspicio gratiae sit in scribendo, ne qua simultatio.”

¹⁾ Wiadomości o pojedynczych archiwach czy to miejskich czy prywatnych, przychodzą obok archiwów państwowych, z nader pożądaną pomocą badaczom dziejów polskich. Uznając wartość sumiennego studjum sz. autora, pragnęlibyśmy więcej tego rodzaju publikacji, choćby w formie wyrozumowanego katalogu, jakiego wzór podał nam w roku zeszłym dr. Jan Leniek w publikacji, wywołanej jubileuszem Sobieskiego, p. t.: „Sobieszciana.“ Z archiwum hr. Przez dzieckich w Warszawie. Kraków, 1883, str. 35. W tym „Przyczynku do wiadomości o archiwach prywatnych w Polsce,” znajdzie badacz dziejów Jana III spis nader ciekawy obfitego materiału historycznego, zgromadzonego przez hr. Przez dzieckich, spis, gdzie nie ograniczono się do samego tytułu dokumentu, ale podano treściwie całą jego osnovę. Takie zregestrowanie materiału archiwalnego może w wielu razach zastąpić publikacją samych dokumentów.
Red.

O WŁASNEJ SILE,

KOMEDIA W TRZECH AKTACH WIERSZEM,

ORYGINALNIE NAPISANA *).

PRZEZ

Juliana Adolfa Świącickiego.

AKT II.

Scena przedstawia salon elegancko umeblowany; drzwi w środku i z lewej od widzów.

Scena I.

HRABIA (*wchodzi ubrany we fraku*).

Podobno nieobecni w domu gospodarze.
Tém lepiej! Panna Wanda sama się ukaże:
Pogawędzim we dwoje! (*Po chwili*). Al! mocnom ciekawy,
Jak wreszcie serca mego zakończą się sprawy!
Bym miał dostać od kosza, przypuszczać mi trudno;
Miałaby się nadzieją tumanić ułudną
W chwili, gdy widmo nędzy do domu się wciska?
Straszno temu gościowi przyglądać się zbliżka!
Każdy zresztą wie o tém, kto puls życia śledzi,
Że kobiety dla złota wyrzekną się miedzi,
Choćby przy téj tranzakcyi, jak często się zdarza,
Nie było nawet mowy o stopniach ołtarza!... (*po chwili*).
Jużto przyznać należy, że Alfred zuch wielki;
Przez lat parę wysączył wszystko... do kropelki!...
Pełną kasę ojcowską znicował aż do dna!...
Tak, chwila do oświadczyn dziś arcy wygodna;

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za styczeń r. b.

Boć rodzina już wszelkich środków pozbawiona,
 W tej pozycji, majątek i hrabiów korona
 U stóp mojej bogini złożone w pokorze,
 Dadzą klucz, którym tkliwe jej serce otworzę!
 Zkąd mi się wziął ten ogień? klnę się na swą duszę,
 Że nie wiem—lecz to pewna, że ją zdobyć muszę,
 Że dziś wszystko dla Wandy postawię na kartę.
 Tak, do kroków zwycięskich dziś pole otwarte.
 Ja, Don Chuan, w tryumfach serca osiwiaty,
 Miałebym nie otrzymać szlachciancezki małej?
 Precz z tą myślą! (*Spostrzega Wandę, wchodzącą z lewej*).
 Al baczność! bóstwo już przybywa.

Scena 2.

WANDA (*ubrana czarno*).

Witam pana! wizyta dziś niezbyt szczęśliwa:
 Rodziców nie ma w domu!

HRABIA.

Tym słowom się dziwię,
 Skoro panią spotykam... trafiłem szczęśliwie!..

WANDA (*jakby nierozumiejąc*).

Jeśli pana zbyt ważny interes sprowadza,
 Rodzice prędko wrócą!

HRABIA.

Gość może przeszkadza?
 Może pani dziś obcym przybyszom nie rada?
 Proszę wyznać otwarciel!..

WANDA (*zimno*).

Czemu pan nie siada? (*Oboje siadają*).

HRABIA (*po chwili milczenia*).

Wdzięczy jestem losowi za tę chwilę ciszy,
 Bo z ust mych dzisiaj pani wyznanie usłyszy,
 Które o szczęściu mojem decydować będzie.
 Mogę mówić?

WANDA (*zamyślona*).

Swobodę zostawiam w tym względzie.

HRABIA.

Dziękuję! Wszak odmowa uczuć mych nie zrani,
Gdy podniosę błagalny głos o rękę pani?

WANDA (*jakby ocknąwszy się nagle, w najwyższym zdumieniu*):

Pan żąda mojej ręki?!

HRABIA.

Czemuż to zdziwienie?

WANDA.

Zkądże panu dziś przyszło myśleć o hymenie?
Trzebaż było się żenić przed dwudziestu laty!

HRABIA (*spokojnie*).

Zawsze ma czas, kto w skarby uczucia bogaty!

WANDA.

Nie mam zamiaru przeczyć tej powieści staréj,
Żeń się pan—lecz stosownéj radzę szukać pary:
Boć z nas byłaby para bardzo niedobrana,
Mogłabym raczéj córką, niż żoną być pana.

HRABIA.

Małżeństwa takie można rachować na krocie.

WANDA.

Mnożyć śmieszność, nie zbywa panu na ochocie,
Argument—wyznać muszę—niesmak we mnie budzi;
To logika dla owiec, lecz nigdy dla ludzi,
Co mają wśród przyrody rozumem królować!
Zamiast tępić śmieszności, mamyż im hołdować?

HRABIA.

Nawet słów tych surowość jeszcze mnie nie zraża.

WANDA.

Chciałżebyś pan przebojem stanąć u ołtarza?
Czas już młodszym weselne pozostawić gody!

HRABIA.

Starym zwać się nie może, kto sercem jest młody!

WANDA (*poważnie*).

Niechże więc i tak będzie! zmieniając ton mowy
Dodam, że jako człowiek młody, bo sercowy,
Nie chciałbyś przecie z taką łączyć się kobietą,
Która pana nie kocha?!

HRABIA.

Kładę głośnie veto!
Dla poetów, to tylko niezbędny warunek;
Dla mnie, tymczasem, zwykły wystarcza szacunek.

WANDA.

Szczególne abnegacya!... Pan hrabia dobrodziej
Zapomniał, że cokolwiek i o mnie tu chodzi.
Ja zaś szczęście duchowe wprzód mając na względzie,
Temu oddam swą rękę, kto serce zdobędzie.

HRABIA.

Czyż tak wielką w jęj myśli chcę sprawić odmianę?
Daj mi pani swą rączkę, a serce... dostanę!...

WANDA.

Droga arcywygodna! By skończyć rzecz całą,
Wiedz pan, że serce moje już dawno wybrało!

HRABIA (*obojętnie*).

O! pocóż pani o tém w téj chwili wspomina?
Miłość jęj wszystkim znana... to żadna nowina!
Wieści téj już oddawna pełne wszystkie strony.

WANDA (*blednąc—w najwyższém oburzeniu*).

Albom ja bezprzytomna, lub paneś szalony!
Jakto? znając uczucie, co pierś mą rozrywa,
Śmiesz pan żądać méj ręki? Sądzisz, że szczęśliwa
Z panem... zabiwszy serce, stanę u ołtarza?
Tym projektem pan siebie hańbi... mnie znieważa!...

HRABIA (*zdziwiony*).

Ależ pani, to drobiazg...

WANDA (*przerywając*).

O! tak, w pańskiej sferze
Pod uwagę się takich drobiazgów nie bierze!

Na szczęście, ducha swego karmiłam w tym świecie,
 Gdzie uczuciem nie wolno frymarzyć kobiecie,
 I handlu własnym sercem brać za życia godło!...
 Gdy czuć nie chce jest wstrętą; kiedy zdradza—podłą!..
 Pan sądzisz, że uczucie, skarb święty, jedyny,
 Można stłumić dla fraszki... zdeptać bez przyczyny?

HRABIA.

Właśnie sądząc przeciwnie, mam błogą nadzieję,
 Że stosunek z Henrykiem jak dym się rozwieje.
 Miłość, przyzna to pani, wtedy jest możliwa,
 Gdy z bliźnięcej dwóch tonów harmonii wypływa;
 Niechaj jeden z tych tonów rozdźwięku dokona,
 Harmonia zniknąć musi... miłość pogrzebiona!..

WANDA.

Zgoda!.. lecz w czém te słowa nas dwojga dotyczą?

HRABIA.

Przykro mi serce pani zaprawiać goryczą,
 Lecz wyznam, bo tu przecież o przyszłość jej chodzi,
 Że pau Henryk...

WANDA (*niecierpliwie*).

Cóż Henryk?..

HRABIA.

Zwyczajnie jak młodzi,

Żódkę życia sterowi rozkoszy powierza,
 Pedagog... na baletnic zmienił się rycerza,
 Figle jego w Paryżu głośne co się zowie!

WANDA (*która chwilowo zbladła, przyszedłszy do siebie, mówi z kamiennym spokojem*).

Co się też nie wylęgnie w intrygantów głowie!
 O! jesteś pan w tej chwili śmieszny... nieskończenie,
 Ten koncept byłby dobry w powieści... na scenie!..
 Ale kto dla swych celów w życiu go używa,
 Nic nie burzy, a tylko pogardę zdobywa...
 Łatwo odszukać źródło, z kąd płyną te słowa.
 Pan sądziłeś, że niby gaska powieściowa,
 Fałszywym słowom jego z łatwością uwierzę,
 Stargam przeszłość, by zemście poślubić przymierzel!

(*z pogardą*) Żal mi pana!..

HRABIA.

A jednak...

WANDA.

Dosyć o tém mowy!

HRABIA (*spokojnie*).

A jednak ojca pani kłopot finansowy...

WANDA (*w oburzeniu*).

Ha! tego już zawiele!... Panes zbyt łaskawy!
 Kto pana upoważnił mieszać się w te sprawy?
 Rozumiem: usłyszawszy o naszej ruinie,
 Pragniesz pan dobić targu w nieszczęścia godzinie,
 Sądząc, że dziś wszechwładna potęgą mamona
 Wszystkie śmieszne skrupuły w mój duszy pokona.
 Wszak prawda, panie hrabio, byłbyś przysiągł na to,
 Że się wyprę Henryka, by zostać bogatą,
 I w brylantach ślubnego dostąpić kobierca!
 O! panu równie głowy brakuje... jak serca!
 Żegnam pana... (*chce odejść*).

HRABIA (*zatrzymując ją*).

Przepraszam. . to do mnie należy.
 Wychodzę z przekonaniem, że pani uwierzy
 W szlachetność moich starań i zmieni swe zdanie.
 Żegnam panią!

WANDA (*nie odwracając się*).Na zawszel... (*Hrabia wychodzi*).

Scena 3.

WANDA (*sama, w silnym wzruszeniu chodzi gwałtownie po pokoju*).

To Boże skaranie!

Henryk, mistrz mój najmiłszy i przyjaciel... zdradza!
 Czuję, że dawna zmysłów opuszcza mię władza! (*po chwili*)
 O, nie!... to być nie może... Henryk się nie zmieni!
 Ten, co wskrzesił mię z prochu, co blaskiem promieni
 Swego ducha ogrzewał i karmił lat tyle,
 Ten nikczemnym nie może być ani na chwilę.
 O! tak... czas wyrwać z serca niepewności zmię,
 Zawiść ludzka miłości mojej nie zabije...
 O! za chwilę zwątpienia... w tej nieszczęść powodzi,
 Kiedyś, serce cię moje, Henryku, nagrodzi!...
 Ale bo ty nic nie wiész, tam, na obcej ziemi,
 Jak się los strasznie pastwi nad dziećmi twojemi;

Że Marylka straszliwej uległa chorobie,
 Że Wanda dnie i noce czuwa... śniąc o tobie!
 Że ojciec drogi w strasznej pograżon rozpaczy,
 Że nam wszystkim zagraża śmierć... lub byt żebraczy!
 O! tak! wtedy, Henryku, ty dowiesz się o tém,
 Gdy dumna... dłoń twą zacną ściskając z powrotem,
 Cień przeszłości z letejskich dobędę strumieni,
 Widzę, jak się tve lice blaskiem rozpromieni,
 Jak szczęścia łzami mężka nabrzmieje powieka,
 Gdy poznasz, żeś w swój Wandzi wychował... człowieka.
 Czas do choréj! (*śpieszy ku wyjściu*).

S c e n a 4.

WANDA i PANNA BRYGIDA.

BRYGIDA (*wchodząc*).

A! witam mojego anioła!...

WANDA (*całując ją w rękę*).

Zkądże ciocia tak śpieszy?

BRYGIDA (*pokornie spuszczać oczy*).

Z kościoła... z kościoła...

WANDA.

Tak późno? Czyż to kościół otwarty w téj porze?

BRYGIDA (*zgorazona*).

Bij się w piersi, grzesznico! (*składając ręce*): O! przebacz jój
 [Boże,
 Jutro dzień Matki Boskiéj!... wilia Narodzenia,
 Kościół święci nieszpory i stosowne pienia!...

WANDA.

Ach! prawda, zapomniałam...

BRYGIDA.

Cóż słysząc nowego?

WANDA.

Smutek, ciociu.

BRYGIDA.

Od smutku niech was święci strzegą!

Cóż Marylka?

O WŁASNEJ SILE.

WANDA (*smutno*).

Dziś gorzej!...

BRYGIDA.

Wpadła w recydywę?

WANDA.

E! gdzieżtam!...

BRYGIDA.

Radzę wcześniej zakupić wotywę,

I na intencję chorój pomodlić się szczerze.

A ojciec?..

WANDA.

Zdrów!...

BRYGIDA.

Ruiny do serca nie bierze?

WANDA.

Od rana do wieczora trapi się i biedzi,

Rozpacz szarpie mu duszę...

BRYGIDA.

Czy był u spowiedzi?

Poradz mu... to na smutek lekarstwo jedyne!

WANDA.

Na smutek... tak... zapewne!... lecz nie na ruinę!..

BRYGIDA.

A matka?

WANDA.

Téż rozpacza!...

BRYGIDA.

Wszystko ma granice!

Przeboli... niechaj tylko zakupi gromnicę

Przed ołtarz i co piątek lampkę niech ślubuje.

A cóż Alfred porabia?

WANDA (*ze drżeniem*).

Nie wiem!..

BRYGIDA.

Wojażuje!...

Szkoda chłopca!... od zguby niech go Bóg ochraniał
 Nieraz (odpuść mu, Boże!) spał podczas kazania;
 W kościele bywał rzadko... i nie z pobożności...
 Spowiedź świętą przedrwiwał!.. O, matko litości!
 Nawróć go!...

WANDA.

Cóż tam słyhać u cioci?

BRYGIDA (*skromnie*).

Nie wiele!

O świat nie dbam, modlitwą zajęta w kościele,
 Ziemskie też do mnie sprawy przystępu nie mają!
 Ale, ale! wiesz, Wandziu, co ludzie gadają!
 Ze pan Henryk... (*z oburzeniem*): o! godzien piekielnych pło-
 [mieni!...

Podobno się w Paryżu z baletnicą żenił...
 Któżby sądził, że duszę takim grzechem zbrudził!

WANDA (*z widocznym drżeniem w głosie*).

Czy to ciocia baletnic nie liczy do ludzi?...

BRYGIDA.

Panie odpuść!... Sodomal... człek mową się kala!...
 Mówią, że chcąc się pozbyć jakiegoś rywala,
 Musiał do pojedynku stawać aż trzy razy!...
 Co tu hańby... zgorzenia... co Boskiej obraży!..

WANDA (*z udanym spokojem*).

Zkądże płyną te wieści?...

BRYGIDA.

Ależ, moja duszo,

Pełno ich; mnie, co żadne marności nie wzruszą,
 Bo nigdy przecież nie wiem, co się dzieje w mieście,
 Ta nowina spotkała dzisiaj razy dwieście!
 Wiem to i od Sabinki... O! gadzina mała!
 Czy wiesz, co mi prócz tego jeszcze powiedziała?
 Właśnie w skupieniu ducha do kościoła idę,
 Gdy nagle słodko wita ktoś pannę Brygidę.
 Oglądam się: Sabina.— „Co słyhać?”—zapyta,
 Wiesz przecie, jak to grzesznie ciekawa kobieta.
 „Czy to prawda, że hrabia o Wandę się stara?”
 Naturalnie, odrzekłam, aż w śmiech ta poczwara!
 Panie, miej litość nad nią!... o! biada jój, biada!...
 Czy wiesz, Wandziu, że ona raz w rok się spowiada?!

(*zcicha*):
 Gorzej jeszcze... o! w piersiach czuję wstydu wrzątek,
 Ludzie mówią... że z masłem jada w Wielki piątek!
 „Hrabia kocha się w Wandzie,” z szyderstwem zapieje,
 „Co za śmieszność, by takie piastować nadzieje!
 Prędnij tu, na mój dłoni, warkocze wyrosną,
 Niżli hrabia dla Wandy zdradzi chęć miłosną.
 Raczej ziemia w odwiecznym zatrzyma się pędzie,
 Przysięgam... Wanda nigdy hrabiną nie będzie!”
 Jędzal!... co za przysmaczek dała mi poranny,
 I to jeszcze w wigilią do Najświętszej Panny!...
 Cóż ty na to, Wandeczko?

WANDA (*obojętnie*).

Przyjemnie się dziwię!
 Jakto nie trzeba ludzi sądzić zbyt skwapliwie.
 Dotąd mi się Sabina gąską wydawała,
 Lecz teraz widzę jasno...

BRYGIDA (*przerywając*).

Że to gęś... gęś cała!...

WANDA.

Przeciwnie, biorąc miarę ze słów waszych wątku,
 Nie mogę dzisiaj wątpić już o jej rozsądku.

BRYGIDA.

Bluznisz, Wandziu, ze skrucłą odmów pięć pacierzy.

WANDA.

Bynajmniej!... gdy Sabina ploteczkom nie wierzy,
 Dowodząc, że hrabiną nigdy nie zostanę,
 Widać, że jest rozsądna!...

BRYGIDA.

O! dziecię kochane!

Co ty mówisz?

WANDA.

Co czuję.

BRYGIDA (*uspakajając ją*).

Nie martw się daremno.
 Jeśli chcesz, możesz, duszko, zakład trzymać ze mną,
 Chociażby o dwie komże dla ojca Benona,
 Że sprawa twoja z hrabią jest jakby skończona.

WANDA (z intencją).

O tém wątpić nie mogę!

BRYGIDA.

Oświadczy się pewnie,
Dziś lub jutro przyjedzie złożyć hołd królownie.

WANDA.

Już przybył.

BRYGIDA (*szybko*).

Przybył? kiedy?

WANDA.

Przed chwilą.

BRYGIDA.

A poco?

WANDA.

W konkury.

BRYGIDA.

O! widziałam jak pędził karocą:
Iskry z pod kopyt końskich sypały się gradem;
Po licu jego zgadłam, tak szlachetnie bladem,
Że hrabia jedzie zdobyć siostrzeniczkę miłą.

WANDA.

I to myśli niebieskich cioci nie zamięciło?

BRYGIDA (*zawstydzona*).

Zapewne... lecz uczucie... pokrewieństwa władza...

WANDA (*podchwytując*).

Prowadzi ku ofierze, co duszy przeszkadza.
Że też ciocia wie wszystkol...

BRYGIDA (*pokornie*).

Przypadek.

WANDA.

Przypadki

Częste.

BRYGIDA.

Dzisiaj!

WANDA.

A prawda! w wilią Bożej Matki.

BRYGIDA.

Więc tedy Pan Bóg ziścił wszystkie me nadzieje.
Hrabia był?

WANDA.

Był.

BRYGIDA.

Sabina żółcią się zaleje.
Jestem pewna, gdy ciebie w karecie zobaczy,
Dostanie obłąkania i... umrze z rozpacz!

WANDA (z ironią).

Co za szczęście!...

BRYGIDA (nie odczuwając ironii).

Tak, dziecię!... Henryk, to biédota.
Że ma rozum? cóż z tego? kiedy nie ma złota!
Młodszy trochę? Dzieciństwo! z hrabią się zrównacie,
Lepiej z głupim w pałacach, niż z rozumnym w chacie.

WANDA (j. w.).

Któżby wątpił?

BRYGIDA (j. w.).

O! wielki Bóg czuwa nad nami.
Więc tedy już pan hrabia był z oświadczeniami?

WANDA.

Zażądał mojej ręki adonis marcowy.

BRYGIDA.

Cóż ty na to?

WANDA.

Że klepki wypadły mu z głowy.
A że głowa już stara, otóż wielka bieda:
Iż to pudło bez mózgu pobić się już nie da.

BRYGIDA (przerazona).

Ty mu tak powiedziałaś?

WANDA.

Mniej więcój w te słowa!

BRYGIDA.

O! nad tobą dłoń Boga zawisła surowa.
 A błagałam—pamiętasz, ów wieczór jesienny?
 Błagałam, abyś wszystkie święciła nowenny;
 Daremnie. (*Widząc śmiejącą się Wandę*).
 Ty się śmiejesz?

WANDA.

Nie mogę inaczej!

BRYGIDA.

O! żałuję...

WANDA (*podchwytyjąc*).

Że Sabcia nie umrze z rozpaczy?
 Cóż znowu... niechaj żyje... jest jeszcze tak młoda.

BRYGIDA (*z gniewem*).

Ma już przeszło trzydziestkę.

WANDA (*śmiejąc się*).

Czyż takich nie szkoda?
 Ciocia przecież w dziewictwie żyje trochę dłużej.

BRYGIDA (*zapominając się, w gniewie*).

W dziewictwie!... no, no! proszę! Ciocia Bogu służy,
 Światem gardził!...

WANDA.

O! z czasem ciocia się przekona,
 I dla Sabci zakwaśne będą winogrona!

BRYGIDA (*rozdrażniona*).

Cóżto znaczy?

WANDA (*obojętnie*).

Bajeczka!

BRYGIDA (*podnosząc się*).

Jeśli się nie mylę,
 Rodziców nie ma w domu?...

WANDA.

Powrócą za chwilę.

Właśnie idą!

Scena 5.

WANDA, BRYGIDA i DRZYMSCY.

BRYGIDA (*podając rękę Drzymskiemu*).

A! witam, witam, panie bracie.

(*Całując się z Drzymską*).

Jak się miewa siostrzyczka? Zkądże to wracacie?

DRZYMSKA.

Z narady od prawników.

DRZYMSKI.

Mów raczój z Golgoty.

BRYGIDA.

Jakże sprawa?

DRZYMSKI.

Pamdzieu, żyć nie ma ochoty...

Straszna próba!

BRYGIDA.

Cóż przecie wynikło z narady?

DRZYMSKA.

Że trzeba wszystko stracić!

DRZYMSKI (*ponuro*).

Na dziady, na dziady!

BRYGIDA.

A cóż proces Marylki?

DRZYMSKI (*machnąwszy ręką*).

O! wieki ubiegą,

Nim się skończy... trwać będzie aż do dnia sądnego!

A bodaj ich, pamdzieu!...

BRYGIDA (*przestraszona*).

Przeklinać, broń Boże!

Trzeba prosić!

DRZYMSKA.

Bez grosza?

DRZYMSKI (*zabierając się do wyjścia*).

Tak! co to pomoże!

BRYGIDA.

A gdyby z Pasternackim wejść w porozumienie?

DRZYMSKI.

Probowałem—napróżno—twarde ma sumienie (*wychodząc*):
Trzeba się przebrać trochę...

Scena 6.

Też, prócz DRZYMSKIEGO.

BRYGIDA (*do siostry*).

Czy wiesz, moja droga,
Że pan hrabia był tutaj?

DRZYMSKA (*żywo*).

Był hrabia? na Bogal
Jakżeście go przyjęły?

BRYGIDA (*z naciskiem*).

Wandzia przyjmowała.
Ja nie byłam w téj porze.

DRZYMSKA.

Cóż, Wandziu?

WANDA (*n. s.*).

Drzę cała.

BRYGIDA (*widząc na co się zanosi, całuje siostrę*).

Do widzenia (*ściska Wandę*), bądź zdrowa, pogadajcie sobie,
A ja muszę do domu śpieszyć (*n. s.*). Lepiej zrobię,
Gdy wyjdę (*wychodzi*).

Scena 7.

DRZYMSKA i WANDA.

DRZYMSKA.

Cóż ci hrabia zwiastował, Wandeczko?

WANDA.

Nie wiele. Posiedzenie skończyliśmy sprzeczką.

DRZYMSKA (z *niepokojem*).

Od udręczeń uwolnij mą duszę strapioną...

WANDA.

Przypuszczał, że ja mogę zostać jego żoną.

DRZYMSKA (z *radością*).

Więc oświadczył się hrabia? Od zmysłów odchodzę.
Cóż ty na to?

WANDA.

Odrzekłam, że zawiódł się srodze,
Gdy mię liczył do sprzętów, które kupić można.

DRZYMSKA (z *przerażoną*).

Miałaby mowa twoja być tak nieostrożna?
Chcesz-że własnej rodziny zatruć szczęście całe?

WANDA (z *godnością*).

Nie rozumiem! Sądziłam, że matki pochwałę
Zdobędę, postępując uczciwie i godnie.
Widzisz błąd w mym postępku, matko?

DRZYMSKA.

Widzę zbrodnię!

Musisz być jego żoną!

WANDA.

Twój głos mię przeraża!
Muszę, matko, że wstrętem stanąć u ołtarza?
Muszę hańbą się okryć? To zbyt silne słowo!
Można córce sukienkę narzucić balową,
Można ją do niemiłej zniewolić wizyty,
Lecz kazać, by się miana uczciwej kobiety
Wyrzekła... by z człowiekiem co odrazę budzi,
Okupując wstyd złotem, żyła pośród ludzi?!
Tego przecież od córki matka nie zażąda!...

DRZYMSKA.

Dzieciak jesteś. Czyż sądzisz, że to świat nie wgląda
W pobudki, które dzieciom poświęcać się każą?
Z dumną po drodze życia może kroczyć twarzą,
Kto rodzicom swym składa hołd z ofiary takięj.

WANDA

Świat często mieni zdrowiem rozkładu oznakił
 Poświęcenie! O! jeśli która z dziewic grona
 Z tych bezmyślnych, dziecinnie próżnych lalek ciała,
 Powie wam, że torturami losu zniewolona
 Depcze miłość... że ona zdeptać ją musiała...
 Że z powodu próśb ojca, błagań matki staréj,
 Trzeba było swe serce sprzedać... dla ofiary.
 W odpowiedzi na bezwstyd, świat może téj damie,
 Ażeby poświęceniem w błąd ludzi nie wiodła,
 Za gęsie bohaterstwo w twarz bluzgnąć, że kłamie
 I jest jako automat, bezmyślna, lub podła;
 Bo gdy na łzy rodziców, lub sąsiadów plotki,
 W poczuciu swéj godności nie znalazła tarczy,
 Można przysiąc, że albo ma umysł idiotki,
 Lub kruszczu chciwie żądna, miłością frymarczy.

DRZYMSKA.

Ty bluźnisz!

WANDA.

O! zaręczam, dziś nikt się nie mami
 I śmiesznie z niemowlęcym tłumem nie powtarza,
 By teraz którą z dziewic gwałtem, łańcuchami,
 Wbrew najświętszym jéj prawom wlekli do ołtarza...

DRZYMSKA.

Boże wielki! gdzież serce podzielaś, dziewczyno?
 Więc nie trzeba ratować rodziców, gdy giną?!

WANDA.

Przeciwnie, to dla dziecka obowiązek słodki,
 Lecz czyż kiedy, mateczko, cel uświęca środki?
 Czyż uczciwi podobnym teoryom uwierzą,
 Że od głodu ratować się można kradzieżą!
 Gdy córka, aby matkę ocalić od głodu,
 Wszelkich życia rozkoszy zrzeknie się zamłodu;
 Kiedy w walce z niedolą nic jéj nie ustrasza:
 Ni sukienka wytarta, ni mrozy poddasza,
 Resztkami sił starganych, w ogromie boleści,
 Hoduje starą matkę, tuli ją i pieści,...
 Dnie całe i od zmroku pracując do rana
 Jak anioł—śród przepaści—żyje nieskalana,
 Choć ból straszny pożera jéj pierś suchotniczą;
 Takich ofiar świat nie zna, takie się nie liczą...
 Lecz gdy dziewczę, co myślą bogactwa wciąż łowi,
 Za marny kruszec rękę zaprzeda starcowi,

I z człowieka, ohydnie w towar się zamienia,
Taki handel świat uczci mianem... poświęceniał?

DRZYMSKA.

Mówisz, jakby ci była obca dola nasza:
Czyż cię rozpacz najdroższych sercu nie przestrasza?
Wieszże ty co to nędza, co głodu męczarnie,
Co to jest pędzić życie bez dostatków, marnie?
Czyliż się dusza twoja wyrzutem nie splami,
Gdy żyć będziem jałmużną, a poić się łzami?
Łaknąć chleba... ciepłego pożądać ogniska...
Na tę przyszłość twe serce bólem się nie ściska?
Czyjeż ręce, od zguby rodziców ochronią,
Jeśli ich córka w przepaść własną spycha dłonią?

WANDA (ze łzami w głosie).

Nie, matko, Bóg nam tego nie przeznaczył krzyża.
Prawda, że chwila próby tajemna się zbliża,
Lecz czyż wtedy się wasze zgryzoty ukoją,
Kiedy córka je hańbą okupi wam swoją?!
Pomyśl, matko, mieć serce miłością drgające,
Duszę, w ogień iluzji młodzieńczych bogatą,
Z utęsknieniem za wiedzą myśl wysyłać w gońce,
Wierzyć w szczęście na ziemi, a Boga czcić za to
I z takimi skarbami, śniąc dołą szczęśliwą,
Złączyć się w najpiękniejsze na ziemi ogniwo
Z człowiekiem, co wstrętniejszy nam jest niż gadzina,
Co ciałem, sercem, duszą—trupa przypomina,
Raczej skonać, niż takiej wyczekiwać doli!...

DRZYMSKA (sucho).

Romanse! Do hrabiego przywykniesz powoli.
Ou znów nie taki straszny jak ci się wydaje,
Krew dobra i dystynkcyą tchnące obyczaje.
Zamiast żywot rozpaczny pędzić jak żebracy,
Będziem tonąć w dostatkach.

WANDA (zimno i stanowczo).

Będziemy żyć z pracy!
Sploty krzewów na wątlęj oprą się łodydze.

DRZYMSKA (z gniewem):

Musisz!

WANDA (w uniesieniu).

Matko, miej litość; ja fałszem się brzydzę!

Czyż Bóg na to rodziców córkami obdarza,
 By zhańbione wleczono do stopni ołtarza?
 Na toż Stwórcę wam daje święte imię matki,
 By handlem córek nędzne osiągać dostatki
 I znamieniem bezwstydu piętnować ich twarze?
 Z kamienia serca macie!...

DRZYMSKA (*padając na kanapę z gestem rozpaczny*).

Ha! Pan Bóg cię skarże!

Własna córka! o! Boże, to cios nazbyt srogi!

WANDA (*widząc rozpacz matki, rzuca się do jej nóg ze łzami w oczach i mówi całując ją konwulsyjnie*).

Matko moja, z pokorą całuję twe nogi!
 Przebacz mi to bluźnierstwo, przebacz ukochana;
 Serce wije się w mękach, pierś bólem wezbrała;
 Zmusiły tracę, o! matko, miej litość nademną,
 Nie odpychaj... przygarnij do łona...

DRZYMSKA (*odpychając ją*).

Daremno!

Scena 8.

Też i DRZYMSKI.

DRZYMSKI (*wszełszy w czasie ostatnich słów Wandy—po chwili zdziwienia*).

Co się stało?

WANDA (*powstrzymując matkę, na klęczkach*).

Litości!...

DRZYMSKI (*z niepokojem*).

Żono!...

DRZYMSKA (*odepchnąwszy Wandę*).

Precz odemnie!...

Dziecko, co matce bluźnić umiało nikczemnie,
 Niegodne jest litości! (*zimno*): nie znam panny więcej!
 (*wychodzi*).

Scena 9.

WANDA i DRZYMSKI.

WANDA (*rzucając się za nią*).

Matko! czyż cię nie wzruszy ten żal mój dziecięcy?

DRZYMSKI (*wzruszony, powstrzymuje Wandę, biorąc ją w objęcia*).
Co się stało, pamdzieju, powiedz, dziecię moje?

WANDA (*tuląc się do ojca*).

Ty nie przeklniesz mnie, ojcze?

DRZYMSKI.

Zkąd te niepokoje?

WANDA.

Ojcze mój, powiedz prawdę, czy to myśl dziecinna,
Kobięta się sprzedawać nigdy nie powinna?!...

DRZYMSKI.

Naturalnie, pamdzieju, a któż wąpi o tém!...

WANDA.

Wszak kobięta za sercem ma iść, nie za złotem?!...

DRZYMSKI.

Ależ ty mi jak anioł szczebioczesz rozumnie!...

WANDA.

Chciałbyś, ojcze, swą córkę prędko widzieć w trumnie?

DRZYMSKI.

Co ty mówisz, pamdzieju, aż słuchoać niemiło!

WANDA.

Tak, ojcze, to zameżcie Wandę-by zabiło.

DRZYMSKI.

Zameżcie?... jakie?...

WANDA.

Z hrabią.

DRZYMSKI.

To historia cała!

Któż cię nagli, pamdzieju?...

WANDA.

Matka!

DRZYMSKI.

Zwaryowała!...

(całując ją):

W tym względzie będziesz zawsze panią własnej woli,
Pieszczotki swojej krzywdzić ojciec nie pozwoli.

WANDA *(z radością)*.

Dzięki, ojczel! *(po chwili ze strachem)* Gniew matki, ha! to pa-
[lec Boży!...

DRZYMSKI.

Cóż znowul... Gniew przeminie... matka się posroży,
Pamdzieju i zapomni... toć znamy ją przecie.

WANDA.

Matka chce mnie koniecznie oglądać w karecie,
A ja wbrew przekonaniu postąpić nie mogę.
Dla pieniędzy uczciwą stracić życia drogę,
Czyż się godzi?... Wiem, prawda, jesteśmy dziś w biedzie,
Chwila ciężka...

DRZYMSKI.

Oj ciężka... strasznie się nie wiedzie!...

WANDA.

Ależ z biedy wybrniemy.

DRZYMSKI.

Wybrniemy.

WANDA.

Nie długo!...

DRZYMSKI.

Tak, pamdziejul!...

WANDA.

Nie hańbą, lecz własną zasługą.

DRZYMSKI.

Pan Bóg dobry! *(n. s.)* Nic nie wiem jak my to wybrniemy!WANDA *(prowadząc ojca do kanapy)*.

Pozwól, ojczel, na chwilę, razem odpoczniemy,
Chcę poddać twojej sankcyi wszystkie moje plany.

DRZYMSKI.

Prześlizgnie. *(siada)* Siądź tu przy mnie, mój ptaszku ko-
[chany

I, pamdzieju, żadaną dysputę poprowadź!...

WANDA *(oparta na ramieniu ojca patrząc mu w oczy z miłością, mówi wolno i dobitnie).*

By nie zginać, mój ojczu, musimy pracować,
Wszystkę moc do jednego skupimy ogniska;
Taranem woli drogę przebijem szeroką,
Ziarnem trudów posiejem przeszłości zwałiska
Spotykając pioruny losu... oko w oko!...

DRZYMSKI *(uradowany).*

Ślicznie mówisz, o droga ty moja dziecino,
Z ustek twoich, pamdzieju, zdroje szczęścia płyną,
Lecz *(chmurząc się)* wieszże ty słowiczku, że są ludzie tacy,
Którzy jak ja, pojęcia nie mają o pracy. *(ze smutkiem)*
Nic nie umiem, pamdzieju!...

WANDA.

To mnie nie przestrasza...

DRZYMSKI *(z komiczną rozpaczą).*

Jam chyba, do jednego zdolny gieryłasza,
Matka—tylko się kłócić potrafi niezgorzój,
Gdzież tu myśleć o pracy?...

WANDA.

Wszystko się ułoży.
Posłuchaj mnie, ojczulku. To co się zostało
Spieniężymy niezwłocznie.

DRZYMSKI.

Mało tego..., mało!...

WANDA.

Wystarczy, aby potem za sprzedane graty,
W środku miasta dwa piękne zakupić warsztaty.

DRZYMSKI *(żegnając się).*

W imię Ojca i Syna... Warsztaty... Kochanie
Co ty mówisz?...

WANDA.

Że ojciec majstrem dziś zostanie,

Córa twa będzie księgi oprawiać... Marylka
Szyć buciki... a każda swobodniejsza chwilka
Poświęci się muzyce, wiedzy, lekcjom może,
Jak wypadnie... Gdy Mania opuści swe łożo,
Walną w tój kwestyi społem odbędziem rozprawę,
Teraz zaś, wiedz mój ojcze...

DRZYMSKI (*przerwywając*).

No, no, to ciekawe!

WANDA.

Żeśmy razem z Marylką więcej niż rok cały
Obok książki, rzemiosło wspólnie uprawiali
I jako miły owoc pracy przedsięwziętej
Posiadamy stosowne od cechu patenty,
Na mocy których warsztat założyć nam wolno.
Gdy więc każda z nas dzisiaj do pracy jest zdolną,
Iść będziem, w imię Boże, wciąż dalej i dalej
Pod pieczę waszych skrzydeł.—Będziecie czuwali
By w zgodzie i porządku pracowała działwa.
Cóż, ojezulku, twych pojęć nie obrazi dratwa?...

DRZYMSKI (*ze łzami*).

O! skarbie ty mój śliczny... pójdz w moje objęcia;
Błogosław Boże wszystkie twoje przedsięwzięcia,
Zlewaj szczęście na tego rodziny anioła.

WANDA (*wyrwywając się z uścisku—ze smutkiem*)

A gniew matki?...

DRZYMSKI.

Hamdziej, nie martw się tęp zgoła
(*podnosząc się*).

Aby matkę złagodzić, pospieszę w tym celu. (*wychodzi*).

Scena 10.

WANDA (*sama—patrząc za ojcem*).

O! tak! śpiesz się, najdroższy dziecka przyjacielu,
By wyjednać u matki przebaczenie winy (*wchodzi Henryk*).

Scena 11.

WANDA i HENRYK.

WANDA.

Co? Henryk? To sen chyba!...

HENRYK (*okrywając jej ręce pocałunkami*).

Wando!

WANDA.

Mój jedyny!...

Ty u nas?

HENRYK.

Wprost z wagonu.

WANDA.

Z radości drzę cała.

Nigdy twój obecności bardziej nie żądała!

(*Przypominając sobie słowa Brygidy*):

Więc to plotki, wszak prawda, baśnie, gadaniny?

Siądźże tu, mów a prędjź, wszystko, mój jedyny! (*siada*).

HENRYK (*siadając*).

O jakich mówisz plotkach?

WANDA (*jakby wstydząc się słów swoich*).

El! to żart, nie więcj.

Ach! opowiedz pan dzieje tych kilku miesięcy

Utęsknienia...

HENRYK.

Czy za mną?

WANDA.

I pytasz pan o to?

HENRYK.

O! dzięki za te słowa!

WANDA.

Więc mów pan.

HENRYK.

Z ochotą.

WANDA.

Ale naprzód opowiedz pan jak to się stało,
 Ześ przyjechał. Zagadką to dla mnie nie małą,
 Boś pisał, że cię jeszcze podróż na Wschód czeka,
 Ześ miał dotrzeć do pierwszej kolebki człowieka
 I w krainach, gdzie ryczą lwy i palma kwitnie,
 Swe studia orientalne wzbogacać zaszczytnie.

HENRYK (*patrząc w ziemię*).

Tak, Wando, lecz pierwotne zmieniałem zamiary,
Bo już dziś nie sądzono mi pić z dawniej czary.

WANDA.

A to czemu?

HENRYK.

Trud wielki, straszny... i nad siły.

A korzyść...

WANDA (*smutno*).

Więc się twoje plany odmieniły?

HENRYK.

Przejrzałem...

WANDA.

I tak prędko?

HENRYK.

Lepiej, że dość wcześnie.

WANDA.

Ależ twoja wytrwałość?

HENRYK.

Złamana boleśnie.

WANDA.

Henryku, ja twym słowom uwierzyć nie mogę.
Przed tygodniem kreśliłeś celów swoich drogę
W tym liście, który jeszcze tu na sercu noszę.
Możesz chory? zgnębiony?

HENRYK.

Wszystkiego potroszę.

Czy mój powrót cię martwi?

WANDA.

Ach! duszę mą rani.

HENRYK (*z goryczą*).

To szczerości! Więc jam gość już nie miły dla pani?

WANDA.

Broń Boże! tylko serce, ach! szepcze mi o tém,

Że się coś tajemnego wiąże z twym powrotem.
Powiedz prawdę, zaklinam cię na przyszłość naszą!

HENRYK.

I owszem, skoro płonne obawy cię straszą.
Kiedy zamiar wyjazdu zrodził się w mój głowie,
Toć, wówczas, myśmy, droga, nie byli po słowie.
O! jam się wzajemności nie domyślał jeszcze!
Lecz gdy słodkie twych wyznań przejęty mnie dreszcze,
Gdy słowo „kocham“ troskę rozwiało ponurą,
Już wtedy myśl wyjazdu była mi torturą.
Złamawszy gorączkowo tę boleść tajemną,
Wyjechałem; niestety—i „kocham“ wraz zemną.
Grób mi odtąd przecierał z wnętrza każdej księgi.
Myśl, karlejąc, traciła szersze widnokregi
W tych więzach, co stanowią śmierć już za żywota.

WANDA.

Jakież miano tych więzów, Henryku?

HENRYK.

Tęsknota!

Zamiast marnieć, tą jedną gorączką trawiony,
Wolałem na ojczyste powrócić zagony.
I oto jam przy tobie—nic nas nie rozdzieli (*biorąc jej rękę*):
Będziem odtąd żyć razem... spokojni, weseli.
Skróćmy termin ślubu naszego daleki,
Jeszcze miesiąc—a moją zostaniesz na wieki.
(*Widząc łzy w oczach Wandy*):
Łzy w oczach twoich, Wando, i boleść na twarzy?

WANDA (*ze łzami w głosie*).

Henryku! tyś z ofiarą przyszedł dla nędzarzy!

HENRYK.

Nie rozumiem.

WANDA.

Dość. Kłamstwo nie przyda się na nic.
O! ty mój obłudniku szlachetny bez granic!...
Ha! wyznaj... napisano ci o naszej biedzie.
Pan Henryk list odebrał i do Wandy jedzie,
Grzebiąc z żalem cel wzniosły, który miał przed sobą,
Przyjechał, by się naszą podzielić żałobą. (*z ekstazą*):
Jeśli prawda, jak głoszą prowansalów dzieje,
Ze miłość albo kona, albo potężnieje,

To dziś wulkan mam w każdej uczucia iskierce.
Wyzwałeś mnie, Henryku, w szczytny bój na serce,
A więc stając do walki z bronią równą miary,
Pocisk ofiar twych tarczą odbijam ofiary.

HENRYK.

Nie się twego, najmilsza, wzroku nie ustrzeżę:
Odgadłaś—to i lepiej—pomówimy szczerze.
Wiem wszystko i dlatego jestem obok ciebie.
Stało się zadość serca mojego potrzebie,
Lecz ofiar nie upatruj, Wando, w mym powrocie.
Przyjeżdżam, bo nie mogłem oprzeć się...

WANDA (*podchwytując z bolesną ironią*).

Tęsknocie?

HENRYK.

Obowiązkom najświętszym jakie los nam daje.
Mógłbym sam dalekie zamieszkiwać kraje
I spokojny swym studjom poświęcać się jeszcze,
Gdyby mi pierś przecucia targały złowieszcze
Żem cię zabił, skazując na walk srogich życie.
A dziś los mnie, przysięgam, nagradza sownie,
Zbliżając w taki sposób chwilę upragnioną.

WANDA.

A przyszłość?

HENRYK.

Tyś jej treścią, szczęściem i koroną!

WANDA.

Nie! z męczeństwem graniczy ta ofiara łzawa;
Korzyć się przed nią—muszę; przyjąć—nie mam prawa.
Od tego egoizmu niech mnie Bóg uchowa!

HENRYK.

Ale cóż ja poświęcam?

WANDA.

Niech mówią twe słowa.

(*Wyjawszy list z zagorsu*):

„Oryentalnych prac niwa pustką u nas leży.
Tój katedry brak dotąd—z krzywdą dla młodzieży;
By szkołę oryentalną tam u nas wytworzyć,
Tonę w pracy. Ach! gdyby owoców jój dożyć!
Muszę wytrwać do końca w przedsięwzięciu swoim.

Już lat dziesięć te studia zdobywam przebojem.
 Nie długo! Tu korzystam, lecz już nie tak wiele.
 Na Wschodzie kres mych studyów! Kto ma takie cele,
 Musi wiedzę jak napój czerpać wprost z krynicy.“
(po chwili, patrząc na Henryka, którego twarz zdradza silne przygnębienie).
 O! cześć wam, wy szlachetni ducha zapaśnicy!

HENRYK.

Nic nie stracę, o! wierz mi!

WANDA.

Nie, Henryku drogil...
 Ja mam tobie, najmilszy, być kulą u nogi
 I wstrętnym egoizmem orle łamać skrzydła?!
 Nie, nigdy!... Ach! ja samabym sobie obrzydła,
 Druzgocząc przyszłość twoją rękami własnymi;
 Zwichnąć cele takiego syna biednej ziemi,
 To zbrodniał...

HENRYK.

Toż ja będę pracował przy tobie.

WANDA.

Będziesz płakał zbolaty, na pragnień swych grobie,
 Że wydarłam ci z życia czas nieodzyskany.

(Po chwili z rezygnacją):

A więc między indyjskie pośpieszaj kapłany,
 Żeby wrócić wnet z nimbem tryumfu u czoła,
 Na szczytne stanowisko wiedzy apostoła.

HENRYK.

Ależ, Wando, przez Boga, porzuć te skrupuły!
 Mogęż jechać? Ach! mnieby tam życie zatruty
 Obawy, że nie wytrwasz tak bez bratniej tarczy;
 Że do pracy mozolnej sił tobie nie starczy.
 Czyż utrzymać rodzinę sama jesteś w stanie?

WANDA *(z goryczą).*

Więc na marne iść musi moje wychowanie?
 Więc teorie twe, tylko czczym wyrazem były?
 Kobieta liczyć nie ma nic na własne siły,
 Lecz bezsilna, jak powój, tulić się przy dębic?

HENRYK.

Bynajmniej, sceptycyzmem twój wiary nie ziębię;
 Ależ siły na czarną zachowaj godzinę.

WANDA (*z siłą*).

Dzięki tobie, mój mistrzu, da Pan Bóg nie zginę.

HENRYK (*rozpromieniony*).

Nie zginie—kto ma wolę jak ty, opokowa!...
 Lecz nie wyjdę ztąd, póki przysięgi twój słowo
 Nie uzbroi mnie w pewność, że gdybyś na chwilę
 Straciła ufność w skutek walk o własnej sile,
 Natychmiast do powrotu zawieszysz Henryka.

WANDA.

Przysięgam!

HENRYK (*całując jej rękę*).

O! mój skarbie!

(*Słychać za sceną nadzwyczaj rzewne dźwięki fortepianu, trwające do zapadnięcia kurtyny. Henryk i Wanda słuchają przez chwilę z widocznym wrażeniem*).

Co to za muzyka?

(*Wanda przerażona silnie, wybucha tłumionym łkaniem*).

Wandziu moja, co tobie?

WANDA (*usiłując zapanować nad wzruszeniem*).

Nic... nic... ukochany.

Zdało mi się, że jęły nad trumną organy.

HENRYK.

Nie rozumiem.

WANDA.

Marylki to jest hymn grobowy.

Biedne dziecko! Od strasznej z Alfredem rozmowy
 Zaniemogła śmiertelnie; dziś już trochę lepij;
 Ale nic jej nie wzrusza, nie bawi, nie krzepi.
 A skoro serce bardziej krwawić się zaczyna,
 Zrywa się... gorączkowo biegnie do pianina
 I gra jakąś melodyą łzami przesiąkniętą. (*z przerażeniem*):
 Ta muzyka, to straszne dziś dla mnie memento.

HENRYK.

Zkąd ta myśl?

WANDA (*z głęoką boleścią pod wpływem dręczącego ją przecucia*).

Gdyby taki zawód serca... Boże!

Zmysły tracę... dwa lata... i ja kiedyś może
 Taką pieśń z mych nadziei zanuć cmentarza!...

HENRYK.

Wando! .

WANDA.

Przebacz! Ach! dźwięk ten mrozi mnie... przeraża...
 Nie dziw się, mój jedyny... twój wyjazd tak blizki...

(*Tuląc się do niego*).

O! kochaj!... nie porzucisz mnie dla odaliski?

HENRYK (*obejmując kibić Wandy, która zwiśnęła na jego ramieniu—mówi z ogniem głębokiego uczucia*).

Gdybym w milion serc trupich przelewał bez miary
 Ogień, twoją w mych piersiach rozpalony siłą,
 W milionie serc straszne wzuiciłbym pożary
 I jeszczeby mi ognia na wieczność starczyło!...
 Gdyby cześć, którą tobie ślubuje ma dusza,
 Bóg na wszystkie stworzenia rozdzielił dla siebie,
 Mógłby pierwszy raz chórom swym obwieścić w niebie,
 Że nie ma w podświetlonych kregach... ateusza!
 Gdybym Bogu... szatanom... ha! nie wiem już komu
 Miał zwrócić to uczucie lub głowę dać za nie,
 Wolałbym raczej światy pograć w otchłanie,
 Niż jednego miłości tej rzec się atomu.
 Kocham cię, jak promienne myśli moich słońce,
 Jak źródło, z kądem mi święte wytryska natchnienie,
 Za serce, cnót anielskich tętnami drgające,
 Za uśmiech... łzy i mowę... kocham nieskończenie!...
 Jest motłoch, co przed złotem korną chyli głowę,
 Są ludzie, w których przemoc wzbudza trwogi dreszcze,
 Bezsilnym—grozą trudy życia syzyfowe,
 Marzyciela i widmo przerazi złowieszcze.
 Mnie, gdym panem sumienia, świat niczém nie strwoży,
 Do walk z losem niezłomną mam wolę tytana,
 Duszy méj nie przeraził nigdy palec Boży,
 Przed tobą drzę jak dziecko... i zginam kolana.
 Kocham cię!... Czujesz, droga, bezmiar tego słowa?...
 Głosząc je, jam potęgą swą pijany... dumny...
 Czuję, że mnie całe g o nie złożą do trumny,
 Iskier ducha nie zamknie bryła granitowa!
 Póki ty w moim sercu królujesz wszechwładnie,
 Póki z marzeń mnie swoich nie zepchniesz ołtarza,
 Życie czarem mnie nęci i śmierć nie przeraża,
 Bo gdy skonam, kwiat ducha mego... nie przepadnie.

(*Całuje Wandę w czoło*).

WANDA (*w upojeniu*).

O najinilszy!... (*po chwili*) Ha!... przedzj spies się do podróży!
Jeszcze chwilka.., nie wytrwam... serce mi to wróży...

(*gorączkowo*):

Wyjeżdżaj... dziś... natychmiast... nie trać ani chwili...

HENRYK (*obejmując ją i składając na jej czole ostatni pocałunek*).

O święta!.. (*wychodzi powoli patrząc z głębokim współczuciem na skamieniałą w boleści Wandę*).

Scena 12.

WANDA (*sama—po wyjściu Henryka, z okrzykiem tajonej rozpacz*).

Już mi wieko nad trumną zabili!...

(*Eka przez chwilę, poczem uspokoiwszy się, mówi, kładąc rękę na sercu*).

Ze to serce nie pękło dziś jeszcze—jest skałą!...

Czy słabiuchna lepianka moc gromów powstrzyma?...
Rzecz dziwna, kiedy wielki dzień czynu się zbliża,

Czuję trwoję dziecięcia—i siłę olbrzyma!...

Gdzie mam czerpać odwagę... ha! tam u stóp krzyża!...

(*Kłęka przed krucyfiksem i mówi głosem wiary głębokiej*).

Stwórcu! niechaj mi Twoje wyroki pozwolą

Wytrwale z krwawą życia potykać się dolą,

Ukrzepiaj siłę serce słabiuchnej kobiety,

Co przebojem iść musi do pragnień swych mety,

By nędzne dla rodziców wywalczyć dostatki;

Nie karz mnie, że rozkazom nie posłuszna matki,

W uniesieniu, goryczą zatrulałam jej chwilę,

Pragnąc z więzów niedoli wyjść... o własnej sile

(*wstając*).

O! teraz kipi we mnie nadzieja wygasta,

Bóg... miłość... trud żelazny... oto moje hasła!...

(*Wybiega na lewo od widzów—zasłona spali*).

(*d. n.*).

Wykopalisko monet X i XI w.

DOKONANE W ROKU 1882.

Sebastyan Bieńkowski, sędziwy i poważany włościanin w Okuniu pod Nowymdworem, przechodząc w pierwszych dniach maja 1882 roku przez wydmgę piaszczystą na lewym brzegu Narwi, między Okuninem, pamiętnym pobytom Napoleona I (23 grudnia 1806 r.) a wsią Górą dostrzegł na piasku odwianą kupkę blaszek srebrnych. Zebrawszy starannie ten niewielki skarb, bo tylko sześćdziesiąt i kilka sztuk wynoszący, nie ułakomił się na kilkanaście złotych, któreby ze sprzedaży jego mógł osiągnąć, ale poczuwał się do obowiązku oddać monety we właściwe ręce, aby z nich zrobiono naukowy użytek. Dzięki temu roztropnemu i bezinteresownemu postąpieniu Bieńkowskiego, dostałem z trzeciej ręki 16 sztuk z tego wykopaliska, a zajęchawszy, na otrzymaną wiadomość, na miejsce do Okunina nabyłem jeszcze siedm sztuk z rąk Bieńkowskiego, a trzy sztuki nieco później w Warszawie z drugiej połowy wykopaliska, którą pozwolono mi przejrzeć. Tak więc doszło do mych rąk sztuk 26, czyli połowa całego skarbu; w Okuniu zostało tylko kilka połamanych pieniążków Knuta angielskiego. Z całego tego wykopaliska nie widziałem tylko siedmiu sztuk mieszczkowatych zwanych wendyjsko-polskimi, które się od drugiej połowy wykopaliska odłączyły, nim ją zdołałem odszukać. Ubytek ten nie przeszkadza naukowemu zbadaniu i ocenieniu wykopaliska, gdyż odłączone monety należą do bardzo pospolitych i są bez wpływu na historyczne określenie znalezionej skarbu.

Blisko połowa wykopaliska składała się, jak to pospolicie bywa, z sztuk zniszczonych lub dla niedbałego wybicia, niedających się odczytać i rozpoznać. W lepszej połowie znalazłem następujące monety: 1) Solid Bolesława Chrobrego (992—1025); strona główna: popiersie króla mało widoczne skutkiem zniszczenia, napis zupełnie starty. Na stronie odwrotnej w środku krzyż, którego ramiona znów krzyżami zakończone; z słowiańskiego napisu: Bolesław widać tylko litery... CA. B'Ł; waga 1,2 grama.

Pieniądz ten nie był jeszcze znany, kiedy w r. 1847 ukazało się znakomite dzieło Kazimierza Stronczyńskiego p. t. Pieniądze Piastów. Pierwszy jego egzemplarz, znaleziony w r. 1848 pod Pinczowem, opisał tenże autor w Bibliotece Warszawskiej r. 1848 tom I str. 97. Drugi egzemplarz pojawił się na wyspie Bornholm; rysunek obu pomieścił p. Stronczyński w nowém opracowaniu średniowiecznej naszej numizmatyki, którego tom pierwszy ukazał się świeżo p. t. Dawne Monety Polskie. Piotrków 1883. Zobacz tamże tabl. III nr. 2 i 4. Trzy odmiany téj rzadkiej, zapewne w Kijowie w r. 1018 bitéj, monety znamy dotychczas; egzemplarz okuniński najwięcej rysunkiem jest zbliżony do pinczowskiego. Za kijowskiém pochodzeniem téj monety przemawia prócz napisu wschodni jój charakter, wyróżniający ją na pierwszy rzut oka od 18 innych tego króla solidów, opatrzonych łacińskimi napisami.

2) Denar Henryka I (r. 919—936) bity w Verdun. Str. głównej napis POIRI, w środku REX, str. odwrotna: krzyż, w otoku napis IOVD; wielkość 8 linii, waga gramów 1,06. Zobacz Dannenberg, Die deutschen Münzen der sächsischen und fränkischen Zeit, tabl. 4 nr. 92.

3) Denar Etelreda króla angielskiego (r. 978—1016) podobny do rysunku Lelewela w Numismatique du moyen age, tabl. XIII nr. 1, wielkość 9 linii, waga gramów 2,06.

4) Denar Kanuta angielskiego (r. 1017—1035); na str. gł. popiersie, w otoku napis: CNVT REX AN; na odwr. krzyż anglosaksoński, napis: EADPOL ON LVN t. j. Eadwold on Lundene, jak u Lelewela, Trzebań str. 108 nr. 13, tab. III nr. 14: wielkość 9, waga 1,01 grama.

5) Denar Ottona III (r. 983—1002) bity może w Minden. Główna str. krzyż równoramienny z kółkami między ramionami, w otoku napis: ODDO MRVN; na odwrociu napis: S. COLONIA, dołem M i krzyż kawalerski; podobny do Dannenberga nr. 342, h, i; wielkość 9, waga gramów 1,26.

6) Denar Henryka III (r. 1046—1056) bity w Worms. Na głównej stronie popiersie, w otoku napis ... RIC IMPERATOR; na odwrotnej krzyż równoramienny z kółkami między ramionami; w otoku napis: HEN... VS; wielkość 9, waga 1,19 grama, podobny u Dannenberga nr. 847.

7) Denar Henryka V bawarskiego (r. 1017—1026). Na stronie głównej wśród krzyża anglosaksońskiego napis HCINCAC; na odwrotniej pod szczytem kościoła napis CON; w otoku napis CONIAT. CONAIT, wielkość 9 lin., waga gramów 1,31; podobny u Dannenberga str. 419 nr. 1090 d.

8) Denar biskupa Bernolda (r. 1027—1054) bity w Deventer. Na str. gł. popiersie, w otoku napis BERNVO; na odwr. krzyż równoramienny z kulkami między ramionami, w otoku napis .ERNOV; wielkość 9, waga 1,12 grama, podobny u Dannenberga nr. 572.

9) Denar Andrzeja węgierskiego (r. 1046—1060). Na stronie głównej krzyż z potrójnych linii, w otoku napis REX. ANDREAS; na odwrotnej krzyż równoramienny z trójkątami między ramionami, w otoku napis PANONEIA. Wielkość 9 linii, waga 0,61 grama, podobny na tablicach Eggera nr. 14.

10) Denar Wratysława czeskiego (r. 1061—1095). Na stronie głównej popiersie króla z proporcem w prawej, kulą po lewej stronie głowy, w otoku napis VRATIZLAV; na odwrotnej popiersie świętego z krzyżem po prawej stronie, w otoku napis SCS WENCESVS t. j. Sanctus Wenceslaus; wielkość 7 linii, waga 0,85 grama, podobny u Stronczyńskiego Pieniądze Piastów, tablica monet czeskich II nr. 10.

11) Denar zapewne anglosaksoński mający po jednej stronie zamiast popiersia koronę oddzieloną długim mieczem od dolnej części monety, na której widać literę H pod krzyżem równoramiennym i cztery łańcuszki perok, jakby ozdobę piersi panującego; górą napis wspak idący, dla mnie niezrozumiały NEROE +E+O. Na odwrotnej krzyż anglosaksoński z kółkami między ramionami, w otoku pojedyncze litery TMIC poprzedzielane kółkami i krzyżykami. Ani u Lelewela w Numismatique du moyen age, ani w Hildebranda opisie monet angielskich nie znajdują tego typu. Litera H na stronie głównej naprowadza na Hardeknuta angielskiego i duńskiego (r. 1040—1042), a w takim razie moneta może być pochodzenia duńskiego. Waga (gram. 0,87) i rodzaj roboty przypominają monety Hardyknuta z ślimakiem (mój egzemplarz waży 0,95 grama), jak u Lelewela, Trzebuńskie tabl. II nr. 19—23. Dannenberg tej monety nie zna, a listownie skłania się do uznania jej za duńską.

12) Denar mnie nieznan; na stronie głównej na krześle z wysoką poręczą siedzi osoba w fałdzistej szacie; z napisu otokowego tylko litery LIDD rozpoznać można; na stronie odwrotnej brodata głowa stojąca na czaszy, zapewne głowa św. Jana; z napisu otokowego widać tylko litery SIHA, zapewne mające znaczyć Sanctus Johannes; wielkość 8 linii, waga 1,32 grama. Ta moneta podług Dannenberga (str. 469) ma już swą literaturę, bo egzemplarze są dość liczne, lecz zawsze z niezupełnymi napisami; Koehne porównywał 19 egzemplarzy, lecz nie doszedł, gdzie pieniądz był bity.

13) Dziesięć sztuk denarów Ottona III (r. 983—1002) z napisem: „Odo Dei gratia rex” na głównej, oraz „Atelhit” na odwrotnej stronie.

14) Dziewiętnaście sztuk wendyjsko-polskich przypisywanych Ryxie, w okazach powszechnie znanych.

Pozostałe niewyszczególnione pieniążki były albo całkiem starte albo też okazały się naśladowaniem niedołącznym innych monet w o-wych czasach będących w obiegu. Wykopalisko przedstawione w powyższym spisie wymaga dla czytelnika mniej obeznanego z naszą numizmatyką kilku objaśnień, gdyż pod wielu względami okazuje się zagadkowym. Dla niejednego najbardziej zadziwiającym będzie pewnie stosunek monety zagranicznej do krajowej: na 60 sztuk obcych, jedna

sztuka krajowa. Dla numizmatyka stosunek ten jest rzeczą pospolitą, bo dość liczne wykopaliska monet zakopanych w wieku XI-tym okazują zawsze to samo zjawisko. Stosunek ten w okunińskim wykopalisku jest nawet mniej rażącym niż w wykopalisku trzebuńskim, obejmującym około 2000 sztuk; między 250 sztukami trzebuńskimi, które rozpatrywał Lelewel, nie było ani jednej sztuki polskiej; pod tym względem Okunin okazał się łaskawszym od Trzebunia. Czyż w tym czasie nie bito w Polsce monety?

Chcąc na to pytanie odpowiedzieć, musimy się jeszcze rozpatrzyć w skarbie znalezionym w Okuninie dla wykazania jaką przestrzeń czasu przedstawia. Panowanie książąt, którzy złożyli się na skarb okuniński zaczyna się rokiem 919 a kończy na roku 1096. Gdyby monety niemieckie Henryka I w tym wykopalisku znalezione pochodziły z pierwszych lat jego panowania, a monety Wratysława czeskiego z ostatnich lat panowania, monety okunińskie obejmowałyby lat 176.

Jeśli czas zakopania skarbu okunińskiego położymy pod r. 1065, jak nas do tego upoważnia moneta Wratysława czeskiego (1061—1095) nie zniszczona obiegiem, okaże się, że między r. 919 a rokiem 1065 bił u nas Mieczysław I nie zbyt mało, a Bolesław Chrobry nawet dość dużo, bo na nieogłoszonej jeszcze tablicy dzieła p. Stronczyńskiego ukaże się 21 odmian monet tego króla; przed r. 1065 była i mennica Bolesława II czynną, a wykopaliska inne dość szczerze dostarczają monet tego króla. Licznie jawiąca się w wykopaliskach z XI wieku moneta zagraniczna nie da się przeto wyttómaczyć nieczynnością mennic krajowych. Do pewnego stopnia obecność monet obcych na naszej ziemi tłómaczy się charakterem kosmopolitycznym monety średniowiecznej. Już w pierwszych trzech wiekach naszej ery były u nas w obiegu denary rzymskie od Wespazjana aż do Konstantego Wielkiego i to wyłącznie prawie, bo dość liczne wykopaliska z owych wieków, np. nad Liwcem pod Węgrowem (260 sztuk) składają się wyłącznie z rzymskich monet. W VIII-ym i IX-tym wieku obiegały u nas monety arabskie, kufickimi zwane, bez przymieszki innych, jak tego przykład dają, inne pominawszy, skarby wykopane w Psarach pod Ołobokiem i w Gwiazdowie w powiecie gnieźnieńskim. Od X-tego wieku widzimy na przestrzeni dawniej Polski w obiegu monety angielskie, duńskie, czeskie, niemieckie i węgierskie a w ich towarzystwie w maleńkim procencie monety krajowe. To też obecność monet obcych w wykopaliskach pochodzących z XI wieku nie zadziwia nas ani w Okuninie ani w żadnym inuém miejscu dostarczającym owoczesnej monety, ale zadziwia nas rażąca przewaga monety obcej nad krajową. Jak ją tłómaczyć? Czy niedostatkiem skarbu i ubóstwem kraju? Zapewne nie. Obraz nieprzebranych skarbów Chrobrego nakreślony przez kronikarzów przy opisie odwiedzin Ottona III w Gnieźnie świadczy wymownie i dowodnie o zamożności księcia, jego dworu i jego drużyny. Lecz nie sam książę i nie sama jego drużyna opływała w dostatkach. Za jego panowania każdy ziemia-

nin nosił ciężkie złote łańcuchy, a kobiety tak były obsypane złotymi koronami, naszyjnikami, naramiennikami i drogiemi kamieniami, że je podtrzymywać było trzeba, aby podołały ciężarowi tych kosztowności. Gallus opisujący ten dostatek wyraźnie powiada (rozdz. 12), że ten przepych pochodził z obfitości pieniędzy. Gdzie kraj cały jest tak bogaty, tam zamożność skarbu królewskiego nie pochodzi z ucisku poddanych, bo dla tych wedle świadectwa Gallusa Bolesław nie panem był, ale ojcem; nikt tam nie krył się z swym dobytkiem podczas przejazdu króla, ale naród cisnął się do niego, aby go z rozpogodzonym obliczem oglądać. Taki obraz czasów Chrobrego nakreślił Gallus i nie mamy powodu posądzać go o przesadę w tym opisie; powtórzyłem ten opis dosłownie za kronikarzem i dosłownie go rozumiem. Dostatek ten przetrwał zapewne po śmierci Bolesława lat kilkadziesiąt, bo naród bogaty nie może odrazu zubożeć. Słowa Marcina Galla znajdują potwierdzenie w licznych wykopaliskach monet, które w XI wieku ziemi powierzono; skarby polskie w XI wieku były nieprzebrane i nieprzebrane są ich wykopaliska. Zapewne nie o wszystkich wiemy, bo lud kryje się zazwyczaj z tem, co szczęście podało do ręki, a starozakonni nabywcy wolą często powierzyć nabytek tygłowi niż szukać korzystniejszego zbycia. A przecież nie ma roku, żeby nie wykryto skarbu z owych szczęśliwszych czasów. Kiedy to piszę, dochodzi mnie wiadomość o nowym skarbie, odkrytym w okolicy Nasielska. Nie wszystkie wprawdzie liczą na tysiące sztuk, jak wykopalisko trzebuńskie lub najnowsze w Rzeczkach 8 funtów wążące, ale za to skarby te są liczne i rozrzucone po całym kraju. Dowodzi to, jak sądzić można, że kraj cały opływał w dostatki, bo przecież nie wszyscy i nie wszystko zakopywali, a skarby w naszych czasach dobywane z ziemi są zapewne maleńką częścią tego, co krajowcy wówczas posiadali. Zadałoby mię zaprowadziło badanie, z kąd się brał ten dostatek; dla tego poprzestaję na zastrzeżeniu, że źródła jego niekoniecznie szukać należy w łupach wojennych, gdyż w tym razie musielibyśmy i napływ monet rzymskich w II i III wieku, i pojawienie się monet arabskich w VIII i IX wieku tłómaczyć wojennemi zdobyczami, do czego brak nam wszelkich podstaw, bo przecież wyprawy wojenne naszych książąt nie sięgały ani do Arabii w poprzednich wiekach, ani do Anglii w X lub XI wieku, aby zaopatrzyć kraj w monety arabskie lub angielskie, których zapasy spoczywają w ziemi. Moneta odległych krajów płynęła zapewne do Polski drogami handlowemi jako środek wymiany za to, co posiadał i wytwarzał kraj, choćby nam na okazanie tego zbywało na świadectwach kronikarskich. Wykopaliska monet i innych starożytności są właśnie tą kroniką, w której szukać nam przychodzi światła dla rozjaśnienia ówczesnego ekonomicznego położenia kraju, bo w kronikach pisanych częstobyśmy go daremnie szukali. Przewaga monety obcej w wykopaliskach nie da się przeto tłómaczyć ubóstwem kraju, bo właśnie te wykopaliska dowodzą rzeczy przeciwniej i ostatecznie potrzeba tylko było napływającą

obcą monetę przebić na krajową, a przedstawiłby nam się całkiem odmienny obraz naszej rzeczy menniczej.

Wypada nam przeto obejrzeć się za innym sposobem wytłómaczenia obfitości monety obcej w naszym kraju w XI wieku.

Stosunek monet obcych do krajowych w wykopaliskach XI wieku, tak zagadkowy dla nas, da się poniekąd wytłómaczyć skarbowością ówczesną, bardzo odmienną od nowoczesnej. W naszych czasach między skarbem kraju a ludnością kraju jest ciągły przypływ i odpływ przez pobieranie podatków w monecie krajowej oraz przez płacę urzędników licznych i jeszcze liczniejszego wojska. Całkiem inaczej przedstawia nam się skarbowość w wieku XI. Daniny poddanych składane bywają nie w monecie brzęczącej, lecz w produktach krajowych, których odbiorem zajmował się urzędnik książęcy w opolu ustanowiony. Tak składano daninę zwaną stroża, ustanowioną przez Bolesława Chrobrego a składaną w życie i owsie na utrzymanie straży popogranicznych zamkach książęcych osadzonej ¹⁾. Pobierając daniny w produktach krajowych nie płacił ich panujący pieniędzmi, a pieniądz skarbowy nie przechodził przeto do kalety rolnika. Pieniądz skarbowy był obracany przeważnie na potrzeby państwa i kościoła. Bolesław Chrobry hojnie sypał pieniędzmi, gdzie tego wymagała potrzeba państwa i kościoła, i był z tego znany. Wspomniałem już o tém, jak bogato udarował Ottona III i jego drużynę aż do ostatniego hajduka po odwiedzinach w Gnieźnie. Wedle świadectw współczesnych znaczny nakład ważył na wykupienie ciała ś. Wojciecha ²⁾, a prusacy znając hojność króla umieli ją wyzyskać ³⁾. Podobnie wykupił ciało ś. Brunona i towarzyszków z nim razem poległych ⁴⁾, jak w ogóle nie oszczędzał swego skarbu na nawrócenie prusaków; ma my o tém świadectwo ś. Brunona w liście pisanym do Henryka II ⁵⁾.

Może jeszcze szczerzej rozporządzał swym skarbem Bolesław w celach politycznych, nie wzdrygając się nawet użyć przekupstwa,

¹⁾ Ipse (Boleslaus) tamen quoddam tributum in Polonia, quod stroża dicitur, fertur statuisse ita, quod quilibet de aratro sive unco unam mensuram siliginis et aliam avenae ad regni granarium annis singulis praesentabant. Kronika Boguchwała i Godysława Paska u Bielowskiego, Monumenta Poloniae hist. t. II, str. 483.

²⁾ Boleslao pecunia sua viatori data ipsum emit caput sanctum (Adalberti) ac misso magni thesauri pondere nuntios suos ad redimendum reliquum corpus direxit. Passio s. Adalb. Monum. I, str. 156.

³⁾ A duce finitimo Boleslao grandem pecuniam accepturos se putant. Bruno, vita s. Adalberti w Bielow. Monumen. I, str. 221.

⁴⁾ Bruno multa a Bolislao caeterisque divitibus suscepit—corpora martyrum inseputa iacuerunt, quoad Bolislavus id comperiens eadem mercatur. Thietmar u Bielowskiego: Monumenta, t. I, str. 293.

⁵⁾ Boleslavo nulli pecuniae (ad convertendos Pruzos) parcere decrevit. Bielow: Monumenta, Pol. hist. I, str. 227.

gdy tego wymagały okoliczności. Thietmar pomawia go pod r. 1002 o usiłowane przekupienie Miśnjczyków lub wprost o chęć kupienia ich od cesarza ¹⁾. Pod r. 1007 czytamy u tegoż Thietmara o oskarżeniach przez Łużyczan zanieśionych do cesarza, że Bolesław namową i pieniędzmi ujął ich sobie usiłuje ²⁾.

Kiedy w r. 1015 Bolesław, pełen tysiącznych przebiegów, jak powiada o nim Thietmar, wysłał syna swego Mieczysława do króla czeskiego Udalryka, aby go nakłonił do wspólnego działania przeciw Henrykowi II, Udalryk nie tylko nie zgodził się na przymierze, ale nawet Mieczysława uwięził a następnie wydał Henrykowi, u którego Mieczysław czas jakiś przesiedział w więzieniu. Bolesław zaniepokojony takim obrotem rzeczy, użył najskuteczniejszego środka, aby syna wyostać z niewoli, a środkiem takim były pieniądze, zapewne na ten raz hojniej posypane. Z goryczą opowiada Thietmar, że część rady cesarskiej była przekupiona i że pieniądź wziął w tej sprawie górę nad rozumem politycznym, wskutek czego nie tylko uwolniono Mieczysława, ale go nawet z wielką czcią odesłano ojcu ³⁾.

Temi drogami chodził często pieniądź do skarbu Chrobrego należący i jego imieniem znaczony. Pieniądź ten znał lepiej drogę do nieprzyjaciół niż do kalety poddanych, którzy go podobno nie potrzebowali, bo potrzeby życia pokrywała własna praca a zbytku kmieć nie znał.

Myliłby się jednakże, kto by sądził, że Chrobry w ten sposób gospodarował groszem wziętym od poddanych i z krzywdą kraju: kronikarz Gallus wręcz mu daje świadectwo, że był trwonicielem, ale nie cudzego mienia ⁴⁾. Nie ulega wątpliwości, że łupy wojenne zasilaty skarb Chrobrego od czasu do czasu, choć nie wyłącznie, bo skarb ten był zasilany zapewne także z tych źródeł, z których czerpał kmieć swój pieniądź, chowany w ziemi i po ośmiu wiekach z niej na pociechę numizmatyków dobywany; kmiociom bowiem chciałbym przyznać zakopywane pospolicie w polu kapitały XI wieku. Kmieć składał w zbożu daninę do skarbu książęcego, a co pozostawało nad własną potrzebę sprzedawał za pieniądź taki, jakim rozporządzały ościenne

¹⁾ Boleslaus Misnensaes pecunia corrumpere clam temptat. Thietmar u Bielow. Monumenta, t. I, str. 265. — Boleslaus autem Misnensemurbem tantummodo innumerabili pecunia acquirere satagebat. Thietm. str. 268.

²⁾ Regi (Henrico) multa sibi contraria molientem asserebant, seque ad haec perficienda verbis et pecunia ab eodem introduci affirmabant. Thietmar w Monument. t. I, str. 280.

³⁾ Pars optimum corrupta, vicit pecunia consilium, et ut hoc Boleslao carius esset, Misconem reduxit. Thietmar w Bielow. Monumenta, I, str. 297.

⁴⁾ Hic est vere pater patriae, hic defensor, hic est dominus, non alienae pecuniae dissipator, sed honestus reipublicae dispensator, qui damnum rustici violenter ab hostibus illatum castello reputat. Gallus w Bielow. Monument, I, str. 410.

kraje pokrywające swój niedostatek dorobkiem polskiego rolnika; tu źródło obcej monety w obiegu.

Brak pieniężnych stosunków między kmieciem a królewskim skarbem tłumaczy nam nieobecność monety krajowej w kalecie kmieć i przewagę monety obcej w wykopaliskach. Odpływ monety skarbowej za granicę, poświadczony miejscami z kronik przywiedzionymi, a trwający jak się zdaje przez cały wiek XI i kosmopolityczny charakter ówczesnej monety objaśnia, jakim sposobem naodwrot monety Mieczysława I lub Bolesława Chrobrego dostały się na wyspę Bornholm, gdzie je wykopano za dni naszych. Pieniądz krajowy w tak drobnej ilości znajdujący w wykopaliskach z XI wieku pochodzących, nastęrcza podejrzenie, że dostał się tutaj dopiero po odbytej wycieczce za granicę, i wracał do kraju w towarzystwie obcej monety.

Ten sposób wytłómaczenia przewagi monety obcej między pieniędzmi w kraju obiegającymi uważałbym za prawdopodobny, ile że innego sposobu wyjaśnienia tej zagadki nie widzę. Tak skarbowość ówczesną pojmując zrozumiemy także, jakim sposobem w Okuninie znalazł się obcy pieniądz Wratysława panującego w Czechach od r. 1061, a nie było monety krajowej Bolesława Śmiatego, choć tenże wstąpił na tron o trzy lata wcześniej od Wratysława.

Józef Przyborowski.

STANISŁAW HR. WODZICKI,

PREZES SENATU B. RZECZYPOSPOLITEJ KRAKOWSKIEJ *)

(PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW KRAKOWA, 1815—1830).

NAPISAŁ

Mieczysław Krzymosąd-Kępiński.

V.

Przy ciągle wzrastającym roznamiętnieniu stronnictw i stosunków, na które się składały drobne, ale w małym tym kraiku dosyć poważne czynniki i wypadki, przy coraz silniejszym wzburzeniu umysłów, wicherzących spokój Rzeczypospolitej i napastujących osobę prezesa senatu, zbliżał się czas sejmikowy 1828 r. Na dwa tygodnie przed zebraniem sejmików, ostrzegał senat osobną odezwą wszystkich wójtów gmin, tak miejskich jak wiejskich, że już od dwóch lat obowiązuje ściśle artykuł 19 konstytucyi, a zatem powinni się przy wyborach do niego stosować. Podobną instrukcją ponowił delegowanym na sejm senatorom: Bartłowi, ks. Bystrzanowskiemu i Sobolewskiemu, a gdy Bartel większością głosów obrany został marszałkiem sejmowym, polecił mu senat powtórnie zastosowanie się do tego artykułu konstytucyi, dołączając notę rezydentów rosyjskiego i austriackiego, napominającą senat do ścisłego zachowania artykułów przepisanych konstytucją. Nadto, przed rozpoczęciem posiedzenia, na którym postanowił Bartel wybór prezydenta, przesłał senat delegowanym z swojego grona noty wszystkich trzech rezydentów z wezwaniem, aby je natychmiast komunikowali marszałkowi, z zastrzeżeniem doręczenia tych rozporządzeń w obecności rezydentów na posiedzeniu sejmu. Intrygi stronnictwa przewrotu, głoszącego nową erę pomyślności dla Rzeczypospolitej krakowskiej, przeforsowały swojego kandydata na marszałka, braty stanowczo górę w sejmie, napróżno bowiem wielu z reprezentantów domagało się przeczytania wspomnianych ekspedycyi, daremnie odwo-

*) Dalszy ciąg — zob. zeszyt grudniowy, 1883.

ływano się do wyraźnego polecenia senatu: zapamiętały Bartel, rzuciwszy pogardliwie nierozpieczętowaną notę na stronę, przystąpił w dniu 15 grudnia 1828 r. do wyboru prezydenta senatu. Z wielkiem zdziwieniem obecnych wyszedł z urny Józef Nikorowicz większością jednej kreski i to w ten sposób jedynie, że Adam Siemoński, który także ubiegał się o krzesło prezesa, odstąpił przed kreskowaniem pięć wotów przyjaciół swoich Nikorowiczowi. Arbitralność marszałka sejmowego, Bartla, nie ograniczyła się tylko na wyborze prezydenta; nie odpieczętował bowiem wspomnianej ekspedycyi od senatu, dopóki nie zostały uskutecznione wybory na senatorów, sędziów pokoju i innych konstytucyjnych urzędników.

Dziwném się wydało mieszkańcom Krakowa, że Nikorowicz, urzędnik dożywotni, nader spokojną posadę mający, hojnie wynagrodzony przez Rzeczpospolitą, gdyż z dodatkami przewyższała jego pensya dochody prezesa senatu, zmienia dotychczasową posadę prezesa sądu dożywotnią na niepewne trzechlecie kłopotliwego i przykrego urzędowania; domyślano się jednakowoż, że to nie było wynikiem ambicyi ociężałego Nikorowicza, ale raczej owocem intryg malkontentów; że był on tylko parawanem, zasłaniającym stronnictwo przewrotu, dążące bądź cobądź do usunięcia prezydenta Wodzickiego. Nie będziemy wspominać wszystkich arbitralności, jakich się w czasie urzędowania dopuszczał marszałek sejmowy, zaznaczyć jednak wypada, że czternastu dobrze myślących posłów zaprotestowało przeciw działalności Bartla, a dla uniknienia odpowiedzialności za uchwały, za wybory i za pogwałcenie artykułu 19 konstytucyi, za przykładem Jana Microszewskiego, uznając sejm za nielegalny, opuściło Izbę. Stronnicy Nikorowicza przerachowali się atoli, forytując swego kandydata do krzesła prezesa, a działając lekkomyślnie, zapomnieli o zatwierdzeniu wyboru przez trzy dwory opiekuńcze, które w dwa tygodnie po dokonanych wyborze przesłały notę do senatu, mocą której tak sejm sam, jak jego wszystkie uchwały, wybory i inne czynności, uznano za nielegalne i zupełnie niebyłe ¹⁾. Zastraszony senat w nowym swoim składzie, uniewinnił siebie i reprezentacyą sejmową w osobnej nocie do rezydentów, a na-

1) Oto dokumenta w téj sprawie:

I. Note I. Monsieur le Président du Sénat! Les plenipotentaires des 3 hautes Cours coprotectrices, ayant eu l'honneur d'informer Son Excellence, Monsieur le Président du Sénat, de décisions suprêmes de leurs Cours respectifs au sujet du maintien de l'article 19 de la Constitution de la ville libre de Cracovie, dans la voie confidentionelle, la qu'elle jusqu'ici ils jugent la plus convenable et conciliante, — et n'ayant point encore reçu de reponse satisfaisante, — s'empresent de déclarer à S. E., que persistant dans la manière qu'ils ont adopté pour leurs démarches, ils prient S. E. M. le Président, qu'il veuille bien par l'entremise du Sénat ou la Sienna propre, manifester au Président de l'assablée de Representants les hautes décisions de leurs augustes Cours respectives telles, qu'elles ont été communiqués à Son Excellence.

wet udał się do trzech monarchów-protektorów, usprawiedliwiając swoje czynności i prosząc o rozstrzygnięcie wątpliwego sporu. Tym-

Ils prient on même tems S. E. d'agréez l'assurance renouvelée de leur haute considération. (signé): Darrest. Zarzecki. Le Baron d'Oechsner.

II. Note. Les soussignés étant suffisamment informés, que plusieurs membres, qui ont siégé à la Diète se trouvent plus ou moins depourvus des qualifications prescrites par l'article 19 de la Constitution et se référant à la teneur de cette loi fondamentale, ainsi qu'à leurs notes antérieures, par lesquelles ils ont manifesté les volontés de leurs hautes Cours respectives à l'égard de cet article s'empressent de déclarer au louable Sénat de la ville libre de Cracovie et de son territoire, qu'ils ne peuvent reconnaître et considérer comme légal qu'un ordre de choses émanant d'une stricte observation eut tout sens de l'article susdit de la Constitution, en invitant le Sénat en conséquence à vouloir se conformer strictement à cette volonté suprême des trois augustes Cours coprotectrices, comme garantes de cette Charte sanctionnée par Elles. Fait à Cracovie le 3 Janvier 1828. (signé): Darrest. Zarzecki. Le Baron Oechsner.

III. Note. Les soussignés en se référant à leur note collective du 3 Janvier, par laquelle ils ont déclaré au louable Sénat ne pouvoir reconnaître comme légal qu'un ordre de choses conforme à l'article 19 de la Constitution et aux volontés suprêmes de leurs hautes Cours respectives énoncée à ce sujet, et ne pouvant en aucune manière admettre les justifications, qui leur furent présentées à cet égard par le Sénat en date du 3 Janvier, Nro 16; vû que l'assertion, que le Sénat n'avoit point connaissance du défaut de qualifications de plusieurs membres de l'assemblée législative et qu'il n'avoit pas de droit légal de s'en informer manquoit tous fondaments et étoit même en contradiction évidente avec la teneur de l'article 80 du statut organique, et vû, qu'en outre l'argument offert par le Sénat, comme quoi il n'avoit point été informé à tems de volontés suprêmes des hautes Cours, relativement à l'observation de l'article 19, ne se trouve être qu'illusoire, en ce que la volonté précitée des 3 hautes Cours n'introduisoit point une loi nouvelle, mais qu'elles insistoit uniquement sur l'observation rigoureuse de la loi fondamentale, de laquelle on auroit jamais du s'écarter, reconnoissent enfin, que la Constitution ayant été violée par la composition de la dernière diète, ainsi que par sa marche il étoit moins importante d'établir, si la faute en étoit au Sénat ou à la Chambre elle-même. Les soussignés au nom et conformément aux ordres suprêmes de leurs hautes Cours respectives s'empressent de déclarer à Son Excellence M. le Président et au louable Sénat, „que tous les actes de la dernière diète seront regardés illegals et nuls,” que l'ancien ordre de choses tel qu'il avoit subsisté avant l'ouverture de la dit assemblée auroit à être rétabli et seroit maintenu sous le Présidence de M. le Comte Stanislas Wodzicki, jusqu'à ce que les définitions plus définitives pouvoient être prises dans les voyes de la Constitution.

Cracovic, le 25 fevrier 1828.

Darrest. Zarzecki. Le Baron d'Oechsner.

czasem Wodzicki w dniu 31 grudnia 1827 r., jako w ostatnim swego urzędowania, pożegnał senatorów oświadczeniem, że posłuszny prawu, składa godność prezesa i pieczęć w ręce towarzyszy pracy, z życzeniem najszczerzszym, aby pod nowym rządem i przy świeżym naczelniku kraju wzrastała pomyślność Rzeczypospolitej, której przewodniczył lat przeszło dwanaście. Samo się przez się rozumie, że z rezydentami z dniem ustąpienia zerwał wszelkie stosunki urzędowe. Po ustąpieniu Wodzickiego zapanowała w rządzie krakowskim zupełna anarchia. Nikorowicz, niepewny potwierdzenia swego urzędu przez mocarstwa opiekuńcze, nie stawiał się 1-go stycznia do objęcia godności prezesa, z obawy utracenia posady prezesa sądu apelacyjnego; podobnie i inni senatorowie, niepewni jutra, bo niepewni potwierdzenia w nowej swiej godności, ociągali się z objęciem urzędów, tak, że śmiało rzec można, iż od dnia 1-go stycznia aż do 27 lutego r. 1828, Kraków pozbawionym był głowy, pozbawiony rządu, jakby w najlepszych czasach bezkrólestwa, wskutek czego nie uchwalono nawet budżetu. Niedługo wszakże czekano na odpowiedź rezydentów, którzy w imieniu dworów swoich, zbijając punkt za punktem wywody senatu, oświadczyli powtórnie, że gabinety, uważając sejm i jego czynności za zupełnie niebyłe i nie prawomocne, przywracają statu quo ante jeszcze przed zebraniem sejmku, z wezwaniem, aby senat zaprosił byłego *de jura et facto* prezydenta Wodzickiego do objęcia steru rządów Rzeczypospolitej krakowskiej. Przestraszeni senatorowie stanowczością opiekuńczych dworów potracili głowy, zaślepienie jednakowoż i zawiść nowych członków rządu przeciw Wodzickiemu zaszło tak daleko, że jeszcze kilkanaście dni zwlekano, nie chcąc się zastosować do poleceń opiekuńczych mocarstw, aż do stanowczej odpowiedzi samych monarchów. Niebawem i tutaj nastąpiło przykre rozczarowanie, a rezonujący najwięcej prowizoryczni członkowie senatu oniemieli z przerażenia, kiedy wszystkie trzy ekspedycje do monarchów zwróciła im poczta... nierozpieczętowane. Rezydenci zaś, stosując się do wyraźnych poleceń monarchów-wzewali Wodzickiego osobną notą z dnia 27 lutego ¹⁾ do objęcia na

¹⁾ Note. Monsieur le Président du Sénat! Nous avons l'honneur, M. le Président du Sénat, de communiquer à Votre Excellence ci-près la déclaration, que par ordres suprêmes de nos hautes Cours respectives, nous venons d'adresser au louable Sénat à l'effet du retablissement de l'ordre de choses tel, qu'il subsistait avant l'ouverture de la soi-disante diète déclarée illégale.

C'est avec la plus vive satisfaction, que nous voyons par la V. E. replacée à la tête de ce gouvernement-ci et renoués les relations d'offices et de confiance, que nous avons eu l'honneur d'entretenir avec Elle. Agréer M. le Président avec ces assurances, en même tems celles de notre très haute considération.

Cracovie, le 27 fevrier 1828.

Darrest. Zarzecki. Le Baron d'Oechsner.

nowo dawnego urzędu, wskutek czego i deputacya nowego senatu zaprosiła go do objęcia naczelnego rządu kraju. Przeglądając papiery po ś. p. Stanisławie Wodzickim, możemy osądzić bezstronnie, z jaką ofiarą i zaparciem się miłości własnej przystępował Wodzicki do objęcia wstępnego mu urzędowania; długo się wahał, wzdrygając się na myśl piastowania godności nie przez wolny wybór, ale niejako narzuconej przez siłę wypadków i okoliczności, dobro jednakowoż publiczne, które tego wymagało, chęć ocalenia od prześladowania posłów sobie przyjaznych, którzy z protestem opuścili izbę, ta myśl wreszcie, że w razie nieprzyjęcia przez niego godności prezydenta, wyznaczą dwory opiekuńcze obcego urzędnika, jako komisarza, ze swego ramienia, przez co chociaż względnie, jednakowoż zawsze niezależny był polityczny Rzeczypospolitej na szwank będzie narażony;—wszystko to były względy nadto ważne i donośne, żeby skłonić Wodzickiego do pewnej abnegacyi, do poświęcenia swoich sił i zdrowia sprawie publicznej. Przyjął tedy godność prezesa, z zastrzeżeniem wszakże, że ją piastować będzie tylko do zebrania sejmu i miał przynajmniej to zadowolenie, że dzień objęcia urzędu był uroczyste powitany przez mieszkańców oświetleniem miasta, oklaskami publiczności, zgromadzonej w teatrze, przy odśpiewaniu pieśni okolicznościowych, słowem, powszechną radością publiczną, z kąd wynikał wniosek usprawiedliwiony, że nie ogół mieszkańców, ale tylko klika stronniczych demagogów była mu wrogą.

Tymczasem środki podjęte przez gabinety, zabiłziały tylko rany, ale nie goiły ich radykalnie. Kiedy bowiem wzburzone namiętności polityczne wezmały górę, nie dają się tak łatwo w krótkim czasie uspokoić, zwłaszcza, kiedy interes osobisty kilkunastu menerów jest główną sprężyną, jaka porusza opinią publiczną. Do uśmierzenia takich namiętności, potrzeba niezbędnie prócz dostatecznej sily materialnej jakiejś wyższej powagi, kierującej się prawidłami opartymi na doświadczeniu i znajomości stosunków lokalnych,—potrzeba głębokiej wytrawności sądu, bez czego łatwo się zabłąkać w abstrakcyjne teorie. W powszechnym chaosie, jaki opanował Kraków, widział Wodzicki potrzebę reformy, a nie chcąc brać na siebie całej odpowiedzialności w obec braku zaufania jednostek, zażądał od dworów mianowania oddzielnego komitetu, któryby się zajął obmyśleniem środków zwrócenia interesów Rzeczypospolitej krakowskiej na drogę więcej sprzyjającą porządkowi rzeczy. Za zgodą więc gabinetów wyznaczono komitet, do którego wchodził prezydent senatu, trzech rezydentów i trzech senatorów, najwięcej zaufania mieszkańców mających a w liczbie przedmiotów będących zadaniem komitetu, poruczono mu także sprawdzanie tytułów, na których opierały się wybory sejmów zwyczajnych z lat 1824—1826, bądź urzędników sądowych, bądź administracyjnych, celem uznania, czy przy nich nie pogwałcono artykułu 19 konstytucyi ¹⁾.

¹⁾ Artykuł ten jest zanadto ważnym i za często przyjdzie nam się do

Prócz tego, dwór rosyjski oznajmił osobną notą z d. 12 listopada 1828 r., że wolą jego jest, ażeby ci tylko z poddanych Królestwa Polskiego w kraju tutejszym przypuszczeni byli do godności i urzędowania, którzy w r. 1824 na to otrzymali pozwolenie; gdyby zaś który z urzędników podobnego pozwolenia nie miał, powinien się o nie postarać bezwzględnie, a w razie odmówienia przez władzę, utracą tém samém swój urząd. W skutek tego rozporządzenia, podali, dotknięci tém rozporządzeniem urzędnicy prośby do rządu Królestwa Polskiego. Niektórzy otrzymali pozwolenie, niektórym zaś, a w szczególności b. marszałkowi sejmu Bartłowi, kilku urzędnikom sądowym i profesorom Akademii odmówiono, z którego powodu komitet ustanowiony przez dwory dla uporządkowania interesów Rzeczypospolitej, wykreślił z listy senatorów najzagorzalszych czterech oponentów, mianowicie: Bartła, Wasserraba, Soczyńskiego i Kucieńskiego.

Później nieco, dwory opiekuńcze uważając, że niektóre artykuły konstytucyi są niezrozumiałe i podpadają różnemu tłómaczeniu, poleciły znowu mianować komitet, dla naradzenia się względem stosownych poprawek i to z zastrzeżeniem wyraźném, że ci tylko senatorowie mogą do niego należeć, którzy tak w sejmie, jak w senacie obsta-

niegō odwoływać, abyśmy go nie potrzebowali przytoczyć dla lepszego zrozumienia rzeczy w całej rozciągłości. Brzmiał on w tych słowach:

Article XIX. Pour être élu Représentant d'une commune il faudra:

1. avoir vingt six ans accomplis.

2. avoir fait le Cours complet d'études à l'Université de Cracovic ou dans une Universités précitées.

3. avoir une propriété immeuble, taxée à nonante florins de Pologne et acquise au moins un an avant l'élection.

Toutes ces conditions exprimées à l'article present, ne seront plus applicables à Ceux, qui durent l'existence du Duché de Varsovie avoient géré des fonctions dependentes de la nomination du Roy.

4. Aucun fonctionnaire public salarié, de même qu'aucun avocat public ne pourra être élu Représentant, que du consentement du Sénat, sur le rapport préalable fait de l'autorité dont il depend. Le Sénat en refusant son consentement alleguera des raisons.

5. Aucun fonctionnaire public salarié ne pourra en aucun cas posséder deux places quelconques.

Cependant s'il étoit élu, il lui seroit permis d'en resigner une à son ohoix, ce que s'étend jusqu'aux avocats, qui pour conserver une place salariée deveront se demettre de leur office.

Do ostatniego punktu zasadniczego zrobił wspomniany wyżej komitet następujący dodatek:

ad 5. Les personnes, qui presentement seroyent en possession de deux ou trois places, tant judiciaires qu'academiques n'en pourront retenir qu'une seule à leur choix et presenteront aussitôt au Sénat à cet effet leur déclaration.

wali przy art. 19 konstytucji. Kierując się powyższemi wskazówkami, zaprosił Wodzicki do komitetu z grona senatorów: Bystrzanowskiego, Grodzickiego, Żgłowskiego, Michałowskiego, Sobolewskiego i sekretarza generalnego Jacka Mieroszewskiego. Żeby zaś nie podejrzewali niechętni, iż knuje się coś podstępnego na szkodę mieszkańców, zaprosił do obrad znakomitszych obywateli krakowskich, mianowicie Adama Krzyżanowskiego, Jana Mieroszewskiego, generała Paszkowskiego, Drakégo i wielu innych, których nazwisk wyliczać nie będziemy, zwłaszcza, że dyskusye komitetu toczyły się przy drzwiach otwartych. Nadmienić jednak wypada, że gdy przyszła kolej na artykuły dotyczące się sądownictwa, powołał Wodzicki do obrad obu prezesów sądowych Nikorowicza i Makólskiego, aby mogli zrobić stosowne wnioski i poprawki, dotyczące się tak ważnej instytucji. Przejrzawszy w ten sposób wszystkie artykuły konstytucji, sporządzono protokół, podpisany przez wszystkich w obradach uczestniczących, przywołując powody, które zniewoliły komitet do poprawek. Po kilku posiedzeniach wyłączenie z rezydentami, większa część zaprowadzonych zmian została bez zmiany przyjętą, część zaś uległa pewnej modyfikacji, w skutek czego nowy protokół sporządzony i podpisany przez wszystkich, t. j. przez prezydenta, senatorów i 3 rezydentów, przesłano senatowi do tymczasowego zachowania w archiwum, drugi zaś egzemplarz udzielono dworom do rąk ich rezydentów. Zdawałoby się, że udział senatorów, rezydentów, prezydentów sądu i wreszcie szerszej publiczności w obradach komitetu, uwolni Wodzickiego od odpowiedzialności za zmiany artykułów konstytucji, — praca ta bowiem dokonana była wspólnie i uchwaloną zwykłą większością głosów, na które zupełnie nie wpływał Wodzicki. Tak jednak nie było i niktby się pewnie dzisiaj nie domyślił, że właśnie w pracy tej nad zmianami konstytucji, dokonanej zresztą za wolań dworów opiekuńczych, widziano dążenie do absolutyzmu, do samowładczej „tyranii” prezydenta.

Tymczasem horyzont polityczny w Europie w ogóle a w szczególności w Królestwie Polskiem, począł się powoli zapełniać chmurami, atmosfera stawała się coraz cięższą, w powietrzu czuć było zbliżające się wypadki. Niezależne od nas warunki, nie pozwalają nam zastanawiać się szczegółowo nad zdarzeniami, jakie się rozgrywać począły na szerszej przestrzeni krajów polskich, zaznaczamy jednak ze względu na tok naszej pracy, że zajścia, jakie miały miejsce w Warszawie na sejmie w r. 1828 i poprzednich, głównie ze strony partyi Kaliszaków, pod wodzą niektórych frazeologów, jak Niemojewscy, albo gorących oponentów jak Godlewski, Krysiński, Barzykowski, obok utopistów i zwolenników teoryi Benjamina Constant, chcących je zastosować na ojczyznym gruncie, że, mówię, te zajścia burzliwe, będące pobudką dalszych nieszczęść, znajdowały szeroki odgłos na bruku krakowskim. Znany sąd sejmowy pod łaską Piotra Bielińskiego, zelektryzował Kraków, wywołując powszechny entuzjazm, a kroki przedsięwzięte przez Nowossiltzow’a, Szaniawskiego i innych przeciwko

młodzieży uniwersyteckiej, odbity się w murach grodu Jagiellonów. Już wyżej zaznaczyliśmy tajne związki między słuchaczami Akademii jagiellońskiej, które, jakkolwiek nie miały cechy socjalizmu, zapuszczającego coraz silniej korzenie po wszystkich niemal uniwersytetach Europy, niemniej jednak miały wszelką cechę konspiracji, dążącej do przewrotu w kraju i łączności z innemi szkołami Królestwa i Litwy. Nowossiltzow zaś uważał Rzeczpospolitą krakowską za główne siedlisko konspiracji i wszelakich buntów, tam więc skierował starania, by surowemi środkami stłumić żarzewie w zarodzie. Generał Załuski zdawał się tutaj zupełnie stosownym czynnikiem. Żołnierz z powołania, nawykły do ślepej karności, był téż i ślepym wykonawcą rozkazów przemożnych dygnitarzy, a z natury absolutny i burzliwy, nie znoszący opozycji, dawał wszelką gwarancją uległości i tę pewność, że jako władza wykonawcza przywróci w szkołach krakowskich pożądaną ładu i porządek. Jakoż właśnie w czasach, kiedy najgoręcej wrzały namietności na bruku krakowskim, kiedy wszystkie czynniki grały w całej pełni życia, zjawia się na horyzoncie Krakowa pochmurna postać Józefa Załuskiego, jako Kuratora Akademii jagiellońskiej. Dziwna to była zaiste natura, którą mimo danych, jakie mamy pod ręką, nie łatwo dziś sprawiedliwie ocenić. Nie można go obwiniać o brak dobrej woli i dobrych chęci względem powierzonej jego pieczy młodzieży, nie można go oskarżać o brak starań u władz wyższych o dobro Akademii krakowskiej, a jednak wszystko, cokolwiek przedsięwziął, było jakby obliczone umyślnie na to, żeby pozbawić go sympatii i powagi równie u powładnych profesorów jak i u młodzieży szkolnej. Z listów generała Załuskiego, jakie mamy przed sobą, widzimy jego troskliwość o przyszłość młodzieży i o los Akademii. Powołany do boku monarchy jako fliegel-adjutant cesarza Mikołaja, na pole działań wojennych przeciwko Turcyi w r. 1828, nie szczędzi zabiegów ni pracy, ale zajmuje się losem Akademii bezprzestannie, czy to w biegu kuryerskim, czy podczas przepragania koni, czy w obozowym namiocie, kiedy go zdala dochodzi głucho łoskot karabinów, grzmot dział i przeraźliwe sygnały wojenne, czy to w pochodzie przy boku cesarza; słowem wszędzie: na popasie w Krupcu, lub Brześciu Litewskim, jako kuryer w Odessie, czy wreszcie w Bazardziku, Szumli. Oprócz tego prowadzi rozgałęzioną korespondencją z prezydentem Wodzickim, z baronem Mohrenheimem, z Nowossiltzowem, lub wreszcie ustnie wuosi proźby do monarchy, o zwolnienie surowych środków, przedsięwziętych przeciwko młodzieży krakowskiej. Listy generała Załuskiego w tej sprawie pisane są liczne, zaliczne nawet, byśmy je mogli przytaczać wszystkie, świadczą one jednak tak korzystnie o jego dobrych chęciach i staraniach koło Akademii, że rzucają nowe światło na tę piękną zkładiną, marsową postać, która dla miłości kraju znaczyła znojem i krwią swoją obszerne place boju od skwarnego nieba hiszpańskiego aż po lodowate śniegi Berezyny, i nie dopuszczają zarzutu tak ciężkiego i bolesnego, jakim go obarczali współcześni demagodzy krakowscy. Oto u. p. pisze generał Załuski

do Stanisława Wodzickiego, z Brześcia Litewskiego 19 czerwca 1828 roku. „Jaśnie Wielmożny Panie Dobrodziej! Dziwnym wypadkiem, w biegu prawie kuryerskim, mam więcej do pisania czasu, niżeli w Warszawie. Cokolwiek zrobić było można, to się zrobiło; o skutku będzie miał JWPD. wiadomość przez p. I. Mieroszewskiego a później przez rezydentów. Co dodać wypadnie lub potwierdzić albo poprzeć w głównej kwaterze, to będzie moim obowiązkiem. Pana Franciszka ¹⁾ widziałem w dobrém zdrowiu, podobno weźmą go do Banku. Chciéj JWPD. rozpatrzyć się dokładniej w sprawie Boduszyńskiego i Soczyńskiego, — mojmé zdaniem nie mogą być obaj przypuszczeni do katedr ani bydź profesorami a stosownie do woli wyższej w Warszawie epuracya do więcej członków Uniwersytetu rozciągniętą będzie. Osoby, które dla dobrej sprawy ryzykowały się a w szczególności pana Hubego i innych uciśnionych, racz JWPD. wziąć pod swoją opiekę i protekcyą, skargę Godkowskiego na sędziego Soczyńskiego miéj JWPD. w pamięci, i racz się względem niéj porozumieć z panem Mieroszewskim. Mam najlepszą nadzieję, że się wszystko i wyświeci, że Rzeczpospolita przyjdzie do takiego porządku i ładu, jakiego nigdy nie miała. Wszystko to będzie pod kierunkiem JWPD. i będzie od prawdziwie dobrze myślących zależało, a więc byłby wstyd wielki, gdyby się nie udało, ale skoro słuszność i rozsądek staną w miejsce passy i intrygi, zdaje się, że skutek nie będzie wątpliwym. Łasce się Pańskiej i pamięci oddając, pozostaję i t. d. *Józef Załuski.*”

W trzy tygodnie później pisze znowu generał do Wodzickiego. „Bazardzik 9 lipca (27 czerwca) 1828. JWPD. Onegdajszego dnia łączywszy się z Najjaśniejszym Panem, korzystam z pierwszój wolnej chwili, żeby JWPD. to złożyć uszanowanie zdaleka, którym przejętym jestem dla JWPD. szanownej i uwielbionej odemnie osoby zawsze i na każdym miejscu. Jechałem na Brzeście, Dubno, Żytomierz, Berdyczów, Tulczyn, Bałtę, Dubollary do Kiszieniewa, tu kupowałem konie powozowe i juczne, na te musiałem czekać nad Dunajem w fortecy zdanéj przez turków, Izakezy, odtąd przez Babadah podwójnym marszem ścigałem główną kwaterę Naj. Pana. Onegdaj była utarczka pod Bazardzikiem, wczoraj widziano gdzie indziej podjazdy nieprzyjaciela, dziś zdaje się, że przekonawszy się o naszej sile, ustąpił. Mamy tu ambasadora Francyi, ministra Hannoveru, posła Danii generała-adjutanta, fliegel-adjutanta i kilku oficerów pruskich. W ten moment nadjechał pułkownik Hauke z 6 oficerami polskimi kwatermistrzowstwa i inżynierów, ma ich z sobą 17. Zapewne już p. Jan Mieroszewski oznajmił JWPD., jak baron Mohrenheim prostym, łatwym i skutecznym sposobem, zamyśla ustalić porządek w Reczy-

¹⁾ Franciszek hr. Wodzicki, podówczas urzędnik Banku polskiego, później dzielny porucznik ułanów, odznaczony krzyżem zasługi wojskowej za waleczność, jest synem hr. Stanisława Wodzickiego i Anny z hrabiów Jabłonowskich. P. A.

pospolitej krakowskiej. Przedmiot ten będzie miał i już miał czynnego tłumacza przy JW. vice-kanclerzu Nesselrode a nawet przy samym NPanu. O ile będę mógł, będę się starał o przyspieszenie decyzji tego dzieła. Sądzę, że JWPD. po tylu kłopotach, znajdziesz spokoju i przyjemność i ujrzysz skutek szlachetnych swoich usiłowań. Wiele w tej materji pisać jeszcze nie mogę, dopiero co poznawszy pozycyą i kształt namiotów tego prawdziwie monarchicznego obozu, gdzie codzień przynajmniej na sto osób pod jednym namiotem jest obiad, smaczny, czysty i obity na samém srebrze wyłaczaném, z wodą zdrojową, winami różnemi, kompotami etc. i winem desserowém. Ale za to całe dnie spędzamy na koniu przy monarsze 30-letnim, zdrowym, czynnym, chcącym wszystko widzieć i wszędzie własnémi oczyma. Względem uniwersytetu miałem wczoraj list od JWP. Zarzeckiego i od p. Girtlera, z tych zaspokojony jestem, że przedmiot pp. Boduszyńskiego i Stotwińskiego, pozostanie aż do decyzji dworów według mego postanowienia, co mię cieszy, lubo to wreszcie inaczej być nie może, bo ani Warszawa, ani obóz i wojna nie dadzą mi uczynić zwłoki w moich prerogatywach kuratora. Przejeżdżając przez piękne, bujne, rozkwitłe i balsamicznój woni pełne laski i gaje Tureccyzny, zawsze sobie przypominam osobę i upodobanie JWPD., — kto wie, czyby przy końcu kampanji nie dało się co przywieść ciekawego, ale na to potrzebaby, żeby JWPD. przysłał nomenklatury tutejszój flory, jeżeli takowa się znajduje. Oddając się łasce JWPD., zostaję i t. d.

J. Załuski.“

P. S. JW. generał-minister Grabowski zdrowiuteńki, spędza dni na koniu, Matuszewicz, Turkuł, Kaczanowski, Tomaszynski, składają koloniją polską w Turcyi, oprócz oficerów. Niech JWPan raczy pisać do mnie z wszystkiemi ciekawościami zagranicznymi, mianowicie ograniczonymi, nawet jaką gazetę lub ćwiartkę z niéj niech mi raczy przysłać, byż może, że co interesującego od Pana, co wprost najwyżej będzie łatwo przedłożyć.

I jeszcze jeden z tych listów, pisanych przez generała prawie „na bębnie,“ przy grzmocie dział dochodzącym zdala, wśród ruchu i gwaru wojennego z myślą uciekającą na niwę ojczystą, aby polepszyć położenie młodzieży i przybytku nauk; list dowodzący, że Załuski nie szczędził możliwych starań, aby cofnąć surowe rozporządzenie rządu warszawskiego, względem zakazu młodzieży Królestwa uczęszczania do Akademii krakowskiej. Pozory wszelkie mówią przeciw Załuskiemu. Nie myślimy temu przeczyć, że kurator postępował arbitralnie, usuwając profesorów z ich posad, wydalając zagranicę młodzież z Królestwa Polskiego, ale to nie dosyć, ścisła krytyka historyczna, nie powinna poprzestawać na pozorach zewnętrznych, nie powinna się poddawać wpływowi opinii, ale obowiązkiem jéj jest zbadać rzecz gruntownie, zważyć na szali bezstronności czynniki, wpływy i warunki, w jakich działały odnośne osobistości, zbadać współczesne okoliczności zacho-

dzące w kraju, walkę żywiołów ścierających się z namiętnością godną lepszej sprawy.

Oto ten ciekawy dla historyka Rzeczypospolitej krakowskiej dokument.

„Bazardzik 2 sierpnia 1828 r. Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodziej!

„Drugi list z tego miejsca do JWPD. piszę, lecz ten wieziony przez kuryera do Berlina jadącego, może wcześniej JWPD. dojdzie i poprzednie moje listy wyprzedzi. Nowiny tutejsze powierzyłem listowi do p. Zarzeckiego a teraz dla krótkości tyle, czém tylko uwagę JW-nego Pana Dobr. w następujących przedmiotach zastanowić pragnę. Dotąd br. Mohrenheim nie nadesłał żadnego planu ani noty do JW. Nesselrode, względem umówionych z nim w Warszawie postanowień, o których JWPD. wiadomo przez p. Mioszszewskiego. Nie od rzeczy będzie, ażebyś JWPD. jeżeli nie posiadasz w tej mierze zaspokajających wiadomości, od siebie do br. Mohrenheim napisał, przypominając szybkość mijającego czasu i trwający w szkołach nieład. Przytem upraszam łaski pańskiej o pismo tak do br. Mohrenheim jak i do JW. Nowossiltzow'a z przedstawieniem, że rok szkolny nowy, tuż, tuż się zbliża, że kurator ogłosił, iż bez wyraźnego indywidualnego pozwolenia Jego Cesarzewiczowskiej Mości, żaden młodzieniec z Polski do szkół krakowskich nie będzie przypuszczony, żeby ci panowie raczyli tak uciążliwe postanowienie jak najrychlej przed otworzeniem kursów zwolnić i uzyskać od wielkiego księcia, chociaż kiedy inaczej się nie da, dla dzieci do r. n. p. 16-go. Uczyn JWPD. uwagę, że Kraków będąc w codziennych stosunkach z Królestwem, mając duchowieństwo wspólne, nie może mieć ściśle szkół dla młodzieży Królestwa zamkniętych. To samo racz JWPD. napisać do generała Różnieckiego. Można się odwołać i do traktatu i do zgromadzonej kuratoryi i nie szczędząc mię w niczém do ostrych kroków przez kuratora przedsiębranych i t. d. W ten moment słycać kanonadę od Warny, pod którą zapewne flota nasza po wzięciu Anapy w Azji podpłynęła, a którą od ziemi oblegamy także. Oczekujemy tu jakiegoś Lorda angielskiego, tudzież księcia Hessen-Homburg, którzy gdy przyjadą, corpus dyplomatyczny będzie ledwie nie w komplecie z całego świata. Bodajby tak wielkie towarzystwo ministrów różnych dworów dało mi najprędzej przywieźć korzyści dla naszej Akademii, jej uczniów i miasta i złożyć JWPD. moje uszanowanie.— Tymczasem upraszam o wiadomość z Jego łaski i donoszę, że oprócz Warszawy i Zarzeckiego, może JWPD. korespondować ze mną i przez Radziwiłłów, gdzie Bojanowicz chętnie do mnie listy ekspedyować będzie. Polecam się łasce i t. d.

J. Załuski.”

Jeżeli w listach Załuskiego jaśnieje dobra wola i widne są niezapreczenie najlepsze chęci względem rozwoju Akademii, to nie można zaprzeczyć, że postępowanie kuratora z powodu braku taktu w sprawach administracyjno-pedagogicznych, nie zawsze zgadzało

się z jego intencjami. Mięszął się niepowołany do uchwał senatu, słowem odgrywał rolę tyrańca w zakresie swój władzy, tyrańca tém gorszego, że nie zawsze działał za pomocą środków, zgadzających się z przepisami konstytucyi. Był to jego przekonanie sumienne, że tylko żelazną ręką utrzyma rozbujające żywioły Akademii w karność i ładu? bywał to myśl może, że ślepą uległością dla rozkazów przysyłanych z Warszawy, zastoni młodzież od większych nieszczęść i prześladowania? Trudno na te kwestye odpowiedzieć, to jednak pewna, że generał Załuski w otwartej i ciągłej będąc z podwładnymi walce, która musiała przeszkadzać naukom, ściągając na siebie nienawiść nietylko profesorów, młodzieży szkolnej, ale i wielkiej części mieszkańców Krakowa. Wodzicki nie mógł tolerować arbitralnych kroków Załuskiego z obowiązku naczelnika kraju, a jakkolwiek krewnemu i pod pewnym względem współwyznawcy zasad, robił nieraz energiczne uwagi, albo się wprost sprzeciwiał jego samowładnym edyktom — gdy to nie pomogło, czuł się w obowiązku dla zapobieżenia zgubnym skutkom działalności Załuskiego, zrobić relacyą do konserwatorów. Wskutek tego energicznego wystąpienia Wodzickiego, uznały dwory za stosowne zawiesić statut w tej chwili obowiązujący i przywrócić statut z r. 1821. (d. n.).

FAUST GOETHEGO

i polskie przekłady tej tragedyi.

Największe dzieło arcyministra niemieckiego oddawna stało się już wspólną własnością wszystkich cywilizowanych narodów. Na tkanec ludowego podania, osnuł genialny poeta wielki poemat ludzkości, zbierając doń barwy i myśli z całego zapasu współczesnej cywilizacji, poruszył kwestye i zagadki, wstrząsające sercem wszystkich myślących ludzi, a chociaż mówił bezpośrednio tylko do swego narodu, wszelako zrozumiwały go, przyjęły z zapałem i wszystkie inne; „Faust“ stał się płodnym ziarnkiem, które na gruncie rozmaitych wyobrażeń i stosunków społecznych u różnych narodów, wydało téż różne owoce.

W naszej literaturze znalazły myśli w „Fauście“ zawarte, grunt urodzajny; dramat i poemat fantastyczno-filozoficzny wystrzelił w bujne kwiaty, a w najpóźniejszych jeszcze epigonach naszego romantyzmu dostrzedz można podmuchu, płynącego z Fausta pracowni. Nie dziw téż, że wcześniej już i u nas zabrano się do przekładu tego poematu. Oto spis dotychczasowych, drukiem ogłoszonych przekładów.

1. Józefa Paszkowskiego: wyjątek z „Fausta,“ tragedyi Goethego (monolog Fausta, „Ogród,“ „Kapliczka“) w „Bibl. Warsz.,“ r. 1841.

2. A. J. Szabrańskiego: „Wyjątek z Fausta,“ tragedyi Goethego („Sen z sobótki, czyli złote wesele Oberona,“ „Dzień pochmurny,“ „Noc,“ „Więzienie“), w „Bibl. Warsz.,“ 1841.

3. Alfonsa Walickiego: „Faust,“ tragedia Goethego. (Część I). Wilno, 1844 w „Arcydziełach dramatycznych,“ t. I.

4. Włodzimierza Wolskiego: „Wyjątek z tragedyi Goethego Faust“ (monolog Fausta, „Gretchen przy kołowrotku,“ „Las i jaskinia,“ „Gretchen przed obrazem Matki Bolejącej,“ „Śpiew Mefistofelesa“) w Bibl. Warsz., r. 1848.

5. Z. Z. (A. Krajewskiego): „Faust,“ tragedia Goethego. (Część I), w „Bibl. Warsz.,“ rok 1857, (przedruk w „Bibliotece“ Mrówki, Lwów, 1882).

6. Feliksa Jezierskiego: „Faust.“ Część I i II w „Bibliotece najcenniejszych utworów literatury europejskiej.“ Warszawa, 1880.

7. Józefa Paszkowskiego: „Faust“. Część I i II w „Przeglądzie Polskim.“ Kraków, 1881—1882 i w osobnej odbitce. Prócz tego mniejsze wyjątki i urywki.

8. W noworoczniku Korwella „Niezapominajki,“ za r. 1814.

9. W poezjach Hier. Feldmanowskiego, Poznań, 1883 i t. d.

Z przeglądu tych przekładów wynika najprzód ciekawe spostrzeżenie, że największa ich część przypada na czas od 1840—1850, (bo należy tu policzyć i przekład Z. Z. (Krajewskiego), który wedle słów tłómacza („Bibliot. Warszawsk.“ 1857, II, str. 663), powstał równocześnie z przekładem Walickiego, a raczej jeszcze przed nim. Czy pierwsze próby przekładu dokonane przez Paszkowskiego, tak zachęcająco podziały, czyli może duch Fausta wisiał niejako w powietrzu nad naszą literaturą? To ostatnie zdaje się prawdopodobnem, jeżeli zważymy ówczesny wpływ filozofii i literatury niemieckiej, roznoszony po kraju przez młodzież wracającą z berlińskiej wszechuczy, a z drugiej strony pohopność do tłómaczeń z obcych języków od czasu, gdy w kraju natchnienia narodowej poezji zamilknać, lub daleko uciekać musiały. Jakkolwiekby, rzecz się ma, faktem jest, że okres powyżej naznaczony, nadzwyczaj jest bogatym w przekłady „Fausta,“ a centralnym ich punktem i zbiornikiem, są ówczesne roczniki „Biblioteki Warszawskiej.“ Od tego czasu aż po dni nasze, więc przez przeciąg lat prawie czterdziestu, nie słychać o żadnym nowym przekładzie, aż dopiero w czasach ostatnich pojawiają się dwa tłómaczenia, tém przedewszystkiém różniące się od dawniejszych, że podają dzieło całe, obie części tragedyi, gdy przedtem przekładano tylko część pierwszą.

Część druga poematu, już z natury swój mniej przystępna, zaciemniona aparatem mitologicznym, pełna aluzji niezrozumiałych w pierwszej chwili, najeżona trudnościami formy, nie dająca jasnego poglądu myśli od pierwszego rzutu oka, nie zachęcała i nie wabiła tłómaczy, tak jak i u własnego narodu nie znalazła zrazu uznania; owszem, w wielu pismach, komentujących z owego czasu a nawet i z późniejszych okresów, czuć niejako żal do poety, iż prowadził dalej wątek części pierwszej, a jeżeli go już chciał prowadzić, że zaanglił myśl i wiódł ją w koła i regiony trudne do zrozumienia. W przypisku przedmowy do swego przekładu mówi np. Z. Z. (Krajewski) o „tak zwanęj drugiej części „Fausta,“ negując związek wewnętrzny między nią a częścią pierwszą, zaprzeczając wprost możliwości, by poeta mocą swój wyobraźni i wnioskowania z danych premis zdołał rozwiązać zagadki i kwestye, które dopiero w odległej przyszłości doczekać się mogą rozwiązania.

Mimo, że już od chwili pojawienia się drugiej części „Fausta,“ w pośmiertnych pismach Goethego, rzucono się całym rojem do studjowania jój i objaśniania, do wykazania planu całości i wyświecenia

przewodniej myśli, mimo pism Ch. H. Weisse'go, F. Deycks'a, K. G. Carus'a, W. E. Webera, Vischera, Rötchera, E. Meyera, M. Carriere'a, Loeper'a, Schröera, Kuno Fischera, O. Marbacha, H. Schreyera, H. Düntzera i wielu innych, wydanych między rokiem 1834 a 1881, nie przyjęła się jeszcze część druga tragedyi tak, jak szczęśliwsza, bo pozornie do zrozumienia łatwiejsza część pierwsza. Mówi się o niej i dzisiaj jeszcze z czcią i uszanowaniem, jak o Klapsztocka „Messyadzie,” lecz deleko jeszcze do ocenienia i uznania w szerokich kołach.

Témbardziej téż uznać nam należy—na razie, bez względu na rezultat ich pracy — odwagę i wytrwałość tłómaczy, którzy nie zważając na trudności, podjęli ciężkie i zmusne zadanie przekładu części drugiej.

Przystępując do ocenienia dotychczasowych tłómaczeń, wypada najprzód określić stanowisko krytyka w obec tych usiłowań przyswojenia naszemu piśmiennictwu arcydzieła niemieckiej literatury. Piśmiennictwa różnych narodów różnemi kroczą drogami: jedne rozwijają się własną siłą, czerpią z zasobów ducha własnego narodu; inne zaczynają swój rozkwit i kończą go przekładami. Przekłady są często ziarnem rozplodu myśli, która na narodowym gruncie bogato się rozwija i budzi uspione siły, to znów są to egzotyczne kwiaty, przeniesione na grzędę własną, dla przystrojenia i ubarwienia.

Nasza poezya wyśpiewała narodowi wszystko, co w danej chwili powiedzieć miała, brzmiała wszystkimi tonami boleści, rozkoszy i zapału i zostawiła nam snopy kwiecica bujne, barwne i wonne, a gdy na razie wyschło źródło natchnień, przystępujemy do zdobienia grędy kwiatami z obcych stron: tłómaczymy dzieła obce, w silnym przekonaniu, iż nie możemy już uronić cechy narodowej i nie spaczmy kierunku własnego ducha, ale rozszerzamy horyzont i otwieramy nieznanne światy. Tłómacząc dzieła obce, potrójny zaciągamy obowiązek: względem autora, którego dzieło przekładamy, względem narodu, dla którego pracować chcemy, i względem naszej literackiej przeszłości.

Z obowiązków tych trudnych wywiązać się może tłómacz, gdy poda wiernie myśl autora, przedstawi się narodowi w szacie przystępnej i naturalnej, a w pracy swój stanie na wysokości zdobyczy i rezultatów, przez poprzednie epoki uzyskanych; jeżeli zrozumie autora, ale téż i czas swój, i swój naród, i swą poezyą. Jest to w przekładaniu wierność w najszerszém tego słowa znaczeniu, wierność, do której i dzieło tłómaczone i literatura, której się to dzieło przyswaja, prawo mają niezaprzeczone; ideał przekładu, do którego dążyć należy, a chociaż bardzo rzadko daném jest zbliżyć się do niego, niemniej jednak wszystkie usiłowania, których rezultat w jednym z powyższych kierunków nie dorasta wytkniętej miary, pozostaną jedynie próbami, mniej lub więcej nieudolnemi, a często wskazującemi, jak tłómaczyć nie należy.

„Faust” Goethego jest dla tłómacza bardzo wdzięcznym, lecz bardzo trudnym zadaniem. Wdzięcznym, bo daje mu sposobność roz-

winięcia całego bogactwa języka i formy, całej skali uczucia, nastroju i usposobienia, nie nuży jednostajnością, nie wyczerpuje zapasu słów, rymów i wierszy; lecz ciągle zmieniając poetyczną szatę, pozwala zachować werwę i polot bez wymuszenia i naciągania. Przekład może być na każdym miejscu świeży i barwny, jak oryginał, a właściwość podziału i układu tej tragedji wymaga prawie, aby tłumacz przystępował doń z coraz to innym nastrojem, z świeżym zawsze umysłem; pozwala mu wybrać zawsze scenę, stosowną do usposobienia. Jak Goethe zajmował się „Faustem” przez cały przeciąg długiego swego życia i zostawił w nim ślady różnych epok, różnych stopni rozwoju, tak i tłumacz jedynie przez długie obcowanie może żyć się z postaciami tragedji, zrozumieć je i przystąpić dopiero do przyswojenia ich własnej literaturze.

Z tych samych powodów jest też zadanie to nadzwyczaj trudnym. Tłumacz tak musi wżyć się i wniść w oryginał, iżby odczuł każdy odcień myśli i uczucia i zdołał przerzucać się całą naturą z jednej sfery życia w drugą, z dziedziny filozoficznych zaciekań w gwar tłumy, z miłosnej sielanki w otchłań zwątpienia i rozpacz, z szczytów Brockenu nad brzegi Penejosu. Wszystkie tony tej wielkiej pieśni, którą poeta wygrywał przez życie całe na strunach swego serca i myśli, błędzącej czasem po manowcach, a szukającej zawsze prawdy i zadowolenia, powinny w sercu tłumacza znaleźć echo, aby wylać się mogły na papier równie prawdziwie, równie jasno, poprostu, jak wypłynęły z pod pióra poety. Bo że tłumacz nie zawsze tam sprostą, gdzie bogata instrumentacja, nie na zwykłe obliczone ucho, i przez to nie pozwala łatwo zrozumieć melodyi, a fazy pojedyncze w pieśń się nie zlewają jeszcze, łatwiej przebaczyć i wyrozumieć; ale tam, gdzie bez sztuki, bez wszelkich artystycznych wysiłków, melodia sama porywa nas, tam szkoda najdrobniejszego szczegółu, najmniej napozór znaczącego zwrotu, a Goethe, przemawiający w części pierwszej „Fausta” chłodnym frazesem, naciągniętą figurą, tą mową, która z głowy, a nie z serca płynie, nie jest już Goethem.

Chcąc dokładnie ocenić wartość dotychczasowych polskich przekładów „Fausta,” wypadałoby krok za krokiem śledzić, o ile one zadaniu swemu odpowiedziały, jaki ich wzajemny stosunek do siebie, ile jeden od drugiego skorzystał i jaki ich stosunek do oryginału. Praca taka przekraczałaby jednak granice, w których tu poruszać się możemy, a może też wskutek zbytnej drobiazgowości nie dałaby ogólnego obrazu, zwłaszcza, że zarzuty, niestety, przeciw wszystkim przekładom się znajdują. Wybierzemy więc tylko szczególnie charakterystyczne miejsca do porównania i ocenienia.

Jedną tylko jeszcze ogólną mamy zrobić uwagę. Z gruntownego porównania naszych przekładów wynika spostrzeżenie dość charakterystyczne, iż tłumacze bardzo mało, a raczej prawie nic, ani z prac swych poprzedników, ani z przekładów „Fausta” na inne języki, nie korzystali. Każdy z nich przedsiębrał pracę na nowo, ufając zupełnie

własnym siłom, ignorując usiłowania innych, nie mierząc swego przekładu miarą poprzednich. Jest w tém pewna zaleta i korzyść pewna, bo tłumacz, trzymając się bezpośrednio oryginału, może być świeższym i naturalniejszym i stwierdzić może kongenialność swą z wielkim poetą; lecz ci, którzy dotąd brali się do przekładu „Fausta,” wszyscy, z wyjątkiem Włodzimierza Wolskiego, nie wiele zdradzali daru poetycznego, a o jakiejś kongenialności i mowy być nie może. Jeżeli zaś w przekładach swoich do mniej lub więcej dostatecznych doszli rezultatów, to jedynie zawdzięczyć mogą pracy rozumu, analizie pojęć i myśli oryginału. W takich warunkach korzystanie z poprzednich prac jest obowiązkiem, a zaniedbanie tegoż mści się na przekładzie samym. Co już poprzednik dobrze zrozumiał i oddał, to tłumacz późniejszy znowu zaciera i psuje nieraz, zaniechawszy poinformowania się i porównania ¹⁾).

Zacznijmy przegląd nasz od wiersza wstępnego („Zueignung”) „przypisania” lub „dedykacyi,” jak tłumaczą nasze przekłady, i porównajmy pierwszą zaraz zwrotkę z oryginałem:

Goethe: Ihr naht euch wieder, schwankende Gestalten,
 Die früh sich einst dem trüben Blick gezeigt.
 Versuch' ich wohl euch diesmal festzuhalten?
 Fühl' ich mein Herz noch diesem Wahn geneigt?
 Ihr drängt euch zu! Nun gut, so mögt ihr walten,
 Wie ihr aus Dunst und Nebel um mich steigt;
 Mein Busen fühlt sich jugendlich erschüttert
 Vom Zauberhauch, der euren Zug umwittert.

Walicki: Ulotne kształty! Wyż to mię znowu witacie,
 Coście niegdyś mętnemu zjawily się oku?
 Czy dziś ująć się wieszczą wyobraźni dacie?
 Czy serce zdolne jeszcze do tego uroku?
 Chcecie, oto mię woli swój posłusznym macie.
 Stawicie się w mgły lotnej czarownym obłoku;
 W piersi méj znów młodości ożylogień święty
 Waszych lotów oddechem czarownie rozdepty.

Z. Z. (Krajewski):

Widzę was znowu, zamglone postacie,
 Znajome niegdyś marzącemu oku;
 Czyż mnie i teraz oczarować macie?
 Uczujesz serce moc tego uroku?

¹⁾ Namby się zdawało, że nie tyle należałoby kłaść nacisku na uwzględnianie przekładów poprzednich, ile na komentarze dzieła, którego dokładnie zrozumienie nie jest łatwe i wymaga głębszych studyów; bez znajomości komentarzów nie może być do dokładném i wymaganiom krytyki zadość czyniącém tłumaczeniu. Przyp. Red.

Wasz tłum się zbliża; już mnie otaczacie
Do koła wschodząc z ciemnego obłoku!
Wasza jest chwila! Pierś moję rozgrzewa
Czarowne technienie, które was owiewa.

Jezierski: Chwiejne wy mary! znówżeście w powrocie?
Senne was oczy w lat ranku dojrzały,
Czyż mam i teraz przytrzymać was w locie?
Czyż sercu dawno nakazać mam szaleć?
Ha, więc bywajcie, Królujcie mi, krocie
Kształtów zamglawnych, bom wskrzeszałam już cały,
Bo młodzieńczością drga krew mego łona,
W waszym zastępie tchem czaru otchniona.

Paszkowski: Znowu przedemną, wy chwiejne postacie,
Coście smętnemu niegdyś błysły oku!
Spróbuję, czy dziś przytrzymać się dacie?
Czy jeszcze doznam tych marzeń uroku?
Wy się cisnicie, już wy mną władacie,
W koło mnie wstając z pośród mgły i mroku,
Pierś mą młodzieńcze wzruszenie porywa
Za technieniem czaru, co wasz lot owiewa.

Cóż się stało z tą zwrotką w przekładach? Prześliczna apostrofa do mgławych owych postaci z księgi ludowej, które rozkołysawszy w młodości duszę poety, pokochawszy jego wrażliwą, lecz silnie też oddziaływającą naturę, wracały doń przez cały ciąg życia, tęskne wołanie za towarzyszami młodości, których grono po świecie się rozprysło i nowszych już pieśni nie słyszy, oddają tłomacze zapewne dość wiernie co do myśli głównej, ale tracą koloryt i ton; znikło blade, drżące, księżycowe światło, rozlane po tych oktavach, które pozbawione mgłkich rymów, stały się dziwnie zwykłemi, pospolitemi. Kombinacya dźwięków dur i moll w uczuciu i słowie, na której całe wrażenie polega, rozlało się w powszedni tok wierszy nie rytmicznych, tylko w przekładzie Krajewskiego mimowolnie prawie jambiczna miara się wydziera. Walicki wiersze przedłużył, nastrój zniżył, — Jezierski, chociaż co do myśli wierny, napełnił zwrotki amplifikacyami niepotrzebnymi i już zdradza swą skłonność do niezwykajnych zwrotów, wyrazów ad hoc ukutych, która w dalszym ciągu jego pracy w niemiłą manierę się wyradza; — Paszkowski nareszcie wierny też co do myśli, ale dziwnie pospolity w wyrażeniu się.

W szczegółach widać też nie dość wmyślenia w zamiar autora. I tak np. „Dem trüben Blick“ w drugim wierszu, znaczy tu oczywiście spojrzenie nie dość jeszcze jasne, nie tak jasno widzące, jak w wieku dojrzałym, — wzrok dziecięcy, nie umiejący dokładnie rozróżniać i chwycić kształtów. Od tego znaczenia najdalej odbiegł Paszkowski, mieniąc oko „smętném,“ zbliżył się nieco Walicki, mówiąc o oku „mętném,“ ale dał obraz niejasny, choć dosłownie wierny; Je-

zierski oddalił się znowu, dobierając wyrazu „senne oczy,” chociaż wstawiając cały szereg myśli, możnaby ten wyraz jeszcze usprawiedliwić; najswobodniej przetłómaczył Krajewski: „marzące oko,” a chociaż przekład ten nasuwa tu i myśl inną, obcą oryginałowi, wszelako trzymając się tego kierunku myśli, którym szedł tłómacz, i interpelując kilka łatwo się nasuwających członów, — co zresztą liryce nieobcém, — przyznać należy, iż wyrażenie to dosyć szczęśliwe.

Kiedy pod wpływem wspomnień i pamiątek rzewne uczucie owłada poetę, — „das strenge Herz, es fühlt sich mild und weich,” (zwrotka 4 wiersz 6), — rozrzewniają się téż i tłómacze w różny sposób, ale dziwnie niedołącznie. Paszkowski pisze najwierniej, chociaż dość nie smacznie mówi: „To mężne serce w miękkim czuciu taje,” Krajewski pisze o „rozrzewnieniu w surowém sercu,” Jezierski amplifikuje i dowolnie zmienia: „Aż mężkość w rzewną niemoc się rozplynie,” a nareszcie Walicki nie waha się twierdzić, że „dzikie serce zwolna łagodzi się, miękcil“

Lecz przejdźmy do dramatycznej akcji. Tłómacz, któremu się wstęp liryczny nie udał, może bronić się, iż zmuszony był i dedykacją przekładać, lecz tylko jako konieczny dodatek, a talent jego, chociaż nieudolny w liryce, świetnie zajaśnieć może w dramatycznym dyalogu. Pomijamy prolog pierwszy, „na scenie,” a zatrzymamy się na razie przy „prologu w niebie,” a mianowicie przy postaci Mefistofelesa, stojącego przed tronem „Pana.” Przedziwna ta postać, mieszanina praktycznego rozumu, szatańskiej pychy, przewrotności i jakiejś diabelskiej dobroduszości i jowialności, postać może najciekawsza, jaką stworzył kiedy geniusz poety z małych rysów ludowej tradycyi, — jest kamieniem probierczym dla tłómacza. Łatwiej oddać majestat „Pana,” pełne zachwytu anielskie chóry, filozoficzne zaciekania „Fausta,” dźwięki miłości i rozpacz, niż ten suchy, nieraz twarady, obleśny, zawsze drżący, właściwą sobie humorystyką zabarwiony ton szatana.

O człowieku powiada Mefistofel wobec „Pana:”

Der kleine Gott der Welt bleibt stets von gleichem Schlag
Und ist so wunderlich, als wie am ersten Tag.

Walicki i Krajewski wprost cały ten prolog opuścili, czy zrażeni trudnościami, czy powodowani dziwną tą pruderyą, widzieli niestosowność w wprowadzeniu szatana w rozmowie z „Panem?” Jezierski nie zrozumiał wcale o co chodzi, wyraz „wunderlich” „dziwaczny,” wziął za „wunderbar, cudowny,” i tłómaczył téż powyższe dwa wiersze tak, że nie mając oryginału pod ręką niktby myśli prawdziwej nie odgadł:

„Mały Bóg świata zawsze ten sam, jego dzieło (?)

„Wciąż tak cudowne, jak w dniu pierwszym się poczęło.”

A może chciał być ironicznym i wziął wyraz „cudowne” w ujęciem jakimś znaczeniu? lecz téj ironii niepodobna się doszukać, a ca-

ły charakterystyczny zwrot przepadł niepowrotnie. Paszkowski wier-
niejszy i bliższy prawdy:

„Ów ziemski bożek zawsze jest ten samy (sic!)
„I zawsze równie dziwnym go znamy.”

ale też znowu pospolity i niesmaczny w wyrażeniu.

Monolog pierwszy Fausta widocznie dla każdego z tłumaczy był pierwszą zachętą do przekładu; myśli tu zawarte: zniechęcenie do zwykłej i powszedniej wiedzy, pragnienie rozwiązania zagadek życia i świata, nieposkromione, odwieczne dążenie ludzkiej duszy, tak po prostu, tak naturalnie tu skreślone, typowa ta postać niezadowolonego mędrca, wszystko to stało się w duszę rzuconém ziarnem, które, kiełkując zwolna i rozrastając się doprowadziło każdego z tłumaczy do postanowienia zajęcia się przekładem. Ponieważ każdy z nich w myśli kiedyś takie miał chwile zwątpienia i pragnął kiedyś i jak Faust pożądał, więc uważał wspólność tę swoją z twórcą arcydzieła, za ściste pokrewieństwo duchowe, za kongenialność uzdolniającą go, by stał się pośrednikiem między narodem swym a natchnieniami niemieckiego wieszczka. Nie omylimy się zapewne twierząc, że ten monolog pierwszy jak zachęcił tłumaczy do pracy, tak i w ogólności u nas identyfikuje się prawie z całym dziełem, brany jest za główną myśl całego poematu: zadzierżgnięty węzeł bardziej interesuje, niż usiłowania rozmotania splecionych nici, zagadka bardziej niż rozwiązanie. Toż gdy się kilka wierszy przekładu mniej lub więcej szczęśliwie powiodło, gdy idea monologu mniej lub więcej w tłumaczeniu odnaleźć się dała, nie pytał się tłumacz sam siebie dalej, czy poprzestać na tej próbie, czy są warunki powodzenia w innych, zupełnie odmiennych scenach tragedyi, czy jest artystą i poetą o tyle, by poważić się na arcydzieło sztuki, na kunsztowną formę, czy nie braknie zapału, werwy i zrozumienia nareszcie. Każdy tłumaczył dalej, dla tego, że zaczął, i oto, w czém leży główna wada wszystkich przekładów ¹⁾.

Z przyczyn tu przytoczonych wynika jednakże, że monolog Fausta w wszystkich przekładach wypadł stosunkowo najlepiej; każdy z tłumaczy wykazał wiele werwy, chociaż każdy z nich wedle swego indywidualnego usposobienia modyfikuje ton i myśl, osłabia lub wzmacnia niektóre zwroty, akcentuje silniej lub słabiej pewne wyrażenia. Z przekładu tego monologu możnaby snuć wnioski o stanie ducha tłumacza, śledzić za biegiem jego myśli, zapłodnionej słowem Goethego i siłacęj się oddać je w ojczystym języku. Pod wrażeniem potężnym wznosi się Paszkowski po nad zwykłą pospolitość i oschłość wyrażenia a oddaje wiernie co do słowa myśl autora, nie przepominając ani jednego epitetu, ani jednego określenia; Krajewski traktuje swobodnie słowa, ale zachowuje wierność myśli i śmiałym połotem usiłuje podnieść się do wysokości oryginału; Walicki podobnie wiernie idzie w ślad za poetą; Jezierski chociaż zawsze rozlubowany w niezwykłych

¹⁾ Hypotezę tę należałoby dokładniej wymotywować. *Przyp. Red.*

konstrukcyach i nowotworach językowych, chociaż sam sobie stwarza trudności, dodając czasem rym w środku wiersza, chociaż amplifikuje niepotrzebnie np.

Przebrnąłem więc wskroś fakultety,
Prawny, medyczny, filozoficzny,
I w teologii, (tak, tak, niestety)
Przysiadłszy fałd, brnąłem na gwałt.
Cóżem ja dziś? za znoje bez przerw,
Szaleniec, tak mądry jak pierw i t. d.

lecz ma też chwile dziwnie szczęśliwe, odbijające jaskrawo od tyłu innych ustępów jego przekładu i od prac współzawodników. Nieraz nie zrozumieć dokładnie myśli, nieraz zapędzi się w zdanie i rym, z którego niepodobna się wydostać i wtedy ratuje się pierwszym lepszym słowem np.

Puszek krocic, szkieł, napięty m
Zatykanym instrumentem (??)

lecz przyznać trzeba, iż ta śmiałość właśnie usposabia go często szczęśliwie; zdaje się, iż to wśród tłumaczy umysł najbardziej rzecz zgłębiający, obrotny i podniosły.

Ale najwyżej wśród tłumaczy tego ustępu wzniósł się bezsprzecznie Wolski. Mamy tylko fragment, poczynający się od chwili, gdy Faust bierze Nostradama księgę do ręki. Forma poetyczna oryginału zachowana tu nadzwyczaj wiernie a polot świetny i śmiały. Scena między Faustem a „Duchem ziemi” przełożona z wielką siłą, tak że czyni wrażenie prawdziwie poetycznego natchnienia. Tłumacz otrząsnął się z więzów dosłownej wierności i przez to stał się wiernym dopiero, na jego wierszach nie znać przymusu ni mozolnej roboty, płyną wartkim, szumnym prądem, zwyciężają wszystkie trudności. W istocie żałować należy, że ten prawdziwie poetyczny umysł nie dał nam całego przekładu, a może czuł, że fragment jeden udać się może, ale inna to rzecz porwać się na całość?

Dla porównania przytaczamy z tej sceny kilka słów Ducha ziemi w oryginale i w przekładach:

Goethe.

In Lebensfluten, im Thatensturm

Wall' ich auf und ab,

Webe hin und her!

Geburt und Grab,

Ein ewiges Meer,

Ein wechselnd Weben

Ein glühend Leben.

So schaff' ich am sausenden Web-

stuhl der Zeit

Und wirke der Gottheit lebendiges

Kleid.

Walicki.

W odmęt działań, w życia tonie

Ja się nurzam, technieniem gonie

Zgon i tworzenie

Morskie bezdonie

Wiecznie tkank nieustająca

Życie wiecznie gorzące,

Tak ja tworzę na czasu bystrego

[warstacio

I w żywej bóstwu wysięguję

[szacio.

Krajewski:

W falach żywota, w czynów nawale
Bezustannie się przelewam,
I w różne strony powiewam!

Plód i zniszczenie,
Morze wiczyzste,
Tkanie barwiste,
Życia uczucie,

Tak na czasu waresztacie, huczającym
[woiż tworze,
Woiż wyrabiam żywe szaty Boże.

Paszkowski:

W falach życia, w wirach czynu

Krażę i wionę
W tę i tę stronę.
Kolebki, groby
I morze wrzące,
Przemienne doby
Życia kwitnące.

Ja wszystko to przedę kołowrotem lat
I bóstwu dostaczam wicoznie żywych
[szat.

Jezierski:

Przez życia prąd dziejotwórczy
Wschodzę i schodzę w zjawiska,
Snuję i zwę—to ja,

Grób i kołyska,
Morze bez dna,
Życie wiekuiasty zar
Przemot bez krosów i miar.

To ja na krosnach czasu szumiące
[przędziwo,
Bóstwu dziergam suknię żywą.

Wolski.

Śród życia fal, śród działań burz

Wszystko u mych stóp,
Wznoszę, zniżam skroń.
Kolebka, grób,
Wicozysta toń!
Przędziwa mknące,
Istnienie wrące!

W przedzadle huczniém czasu tworzę
[sam
I bóstwu szatę ożywioną tkam.

Tylko przekład Wolskiego zachowuje téż charakterystyczny, chociaż w polskim języku trudny rym męzki. Sili się nań często Paszkowski, lecz z nie bardzo pomyslnym skutkiem. Rym męzki, jeżeli nie włada nim prawdziwy artysta, wrażliwy na harmonią dźwięków i obdarzony smakiem estetycznym, staje się w naszój poczty łatwo banalnym i pospolitym; to co w niemieckim oryginalu jest świetną szatą myśli, harmonijną muzyką wiersza, wyłaniającą się jak dźwięczny akord z rytmicznej melodyi, — staje się pod ręką niefortunnego tłómacza niejako obcą, pożyczoną suknią, za ciasną lub za przestronną, — w wierszu bez rytmu i miary brzmi jak huczny lecz fałszywy ton, uderzony niewprawną ręką dyletanta. To samo da się powiedzieć o poetycznej formie przeslicznych chórów aniołów, niewiast i uczniów, które w czytaniu nawet śpiewać się każą. Bogaty trójzgłoskowy daktyliczny rym z wydzwiękiem nie akcentowanym wprawdzie, ale niemiernie przeto poważnym, zastępują tłómacze zwykłym żeńskim rymem, łatwym i powszednim, który nigdy nie zdoła oddać muzyki słowa, tak niby naturalnie, a w rzeczy samej niezmiernie sztucznie wywołanej. Goethe, ten arcy mistrz formy, w szacie nieudolnie przykrojonej, zaniedbaniej i lichiej, nie jest już tym samym Goethem, chociażby nawet tłómaczowi udało się oddać wiernie jego myśli: zupełna harmonia między treścią a formą, ścisły wewnętrzny związek tych czynników poezji, to znamię mistrza-poety.

Scena „przed bramą“ prawie we wszystkich przekładach nie źle

jest oddaną. Jest téż to jedna ze scen najłatwiejszych, szczególnie w pierwszej połowie, aż do rozmowy „Fausta“ z Wagnerem, forma jéj dość swobodna da się nagiąć do treści przystępnej. Przebiwszy się przez trudną scenę poprzednią, znajdują tu tłumacze niejako chwilę wypoczynku, nabierają téż werwy i zacięcia, oddają w całości trafnie ton rozmowy niższych warstw mieszczańskich, lecz wyznać trzeba, iż wpadłszy raz na tor stosowny, idą nieco za daleko, dają się unieść dobremu humorowi, i niepotrzebnie przesadzają w pospolitości, dobierając barw jaskrawszych niż chciał poeta. Najdalej posuwa się Paszkowski, a przekład jego, zwykle oschły i suchy, lecz dosłownie wierny, w téj scenie staje się swobodnym, ale na szkodę swoją. Oto kilka przykładów:

Bürgermädchen.

Da sieh' mir nur die schönen Knaben,
Es ist wahrhaftig eine Schmach!
Gesellschaft könnten sie die allerbeste haben
Und laufen diesen Mägden nach.

Mieszczka (?).

Oto mi kawalerowie
Przyzwoicie, co się zowie,
Mogliby pochodzić z nami
A gonią za szurgotami (sic!).

Erster Schüler.

Die Hand, die Samtags ihren Besen führt,
Wird Sonntags dich am besten karessieren.

Pierwszy Student.

Kłodziasta (?) ręka, co przez tydzień pierze,
W święto najlepiej umie karessować.

Dritter Bürger.

Herr Nachbar, ja, so lass' ich's auch geschehen:
Sie mögen sich die Köpfe spalten,
Mag alles durch einander gehen
Doch nur zu Hause bleib's beim Alton.

Trzeci Obywatel.

Tak, tak, sąsiedzic, niech tamoi, co lubią
Szudry i udry, skubią się i czubią,
Niech się świat dąsa i wstrząsa bez miary,
Byleby w domu trwał porządek stary.

Z innych tłumaczy najlepiej dochował miary i tonu Krajewski. W rozmowie „Fausta“ z Wagnerem, pełnej głębokich myśli, niezmiernie ważnej dla charakterystyki postaci niezadowolonego z siebie mędrca, a przygotowującej zjawienie się Mefistofela, podobniez tylko Krajewski został wiernym autorowi i nie wplótł żadnej niepotrzebnej amplifikacji, nie sfałszował myśli, jako się może mimowolnie innym tłumaczom wydarzyło. Tak naprzykład tłumaczy Jezierski słowa „Fausta.“

„(Ich war) an Hofnung reich, an Glauben fest.“

po prostu: „Miałem wiarę i nadzieję.“ Myśl została niby ta sama; a jednak nie. „Faust“ wspomina czas, który dlań już dawno minął, dzisiaj on już „nie bogaty w nadzieję, nie silny w wierze;“ to, co mu dawniej dawało spokój i zadowolenie wewnętrzne, utracił, zaszedł na rozdroże a o wyborze ścieżki ma stanowić najbliższa przyszłość. W tłumaczeniu ważna ta spowiedź mija bez wrażenia, a skutkiem tego może pewna strona charakteru „Fausta“ stać się niejasną. Podobnie wyrażenie Wagnera (u tego samego tłumacza) „talent odziedziczony“ zamiast:

„Die Kunst, die man ihm übertrug.“

okazuje nie dość głębokie wniknięcie w charakter tego szkolnego filozofa. Wagner może wspominać i rozumieć tylko skrawki i obrzynki wiedzy, które moralną pracą nagromadził; siebie i mędrca w ogóle rozumie tylko jako repositorium wiadomości, a talentem wedle niego pamięć i sztuka wygłoszenia, o działaniu samoistném lub oddziaływaniu człowieka na wiedzę nagromadzoną nie może mieć wyobrażenia. Jedno słowo, przetożone bez zastanowienia, przekręca i paczy całą myśl autora.

Kiedy później Faust objawia tęsknotę za królestwem duchów, kiedy mówi, że za płaszcz cudowny dałby płaszcz królewski, przestrzega Wagner rozmarzonego mistrza przed tém złudném królestwem. Tu włożył poeta w usta szkolnego mędrca ciekawą, krótką a dosadną charakterystykę dążeń wieku, z różnych stron idących, w obec których Wagner, jak to z charakteru jego naturalnie wypływa, zachowuje się niedowierzająco i pesymistycznie; najszerszj mówi o prądach z zachodu, które naprzód osłode przynoszą, a potem niszczą wszystko: „und lispeln english, wenn sie lügen.“ Te słowa dawniejsi tłumacze oddali dobrze, chociaż każdy na swój sposób:

Walicki: Posłańców nieba godło na się biorą,
I niosą obłąd ludziom i zagładę.

Krajewski: Udadą nieba dobroczynnych dzieci,
Pieszczota z wierzchu, a złośliwość na dnie.

Jezierski: Każdy z nich nieba wysłańcem się mieni,
Śpieszy na hasło twe, śpieszy zdradziecko,
Zwodząc szatańsko, a nieśko szepleni!

Tylko Paszkowski poszedł zupełnie oryginalną drogą:

Zesłanie swoje od nieba wywodzi,
A kiedy kłamię, po angielsku gada (!).

Po pojawieniu się złowrogiego psa (na którego Jezierski każe Faustowi wołać: „Sa, pudliku drogi, sa tu, na!”), następuje drugi wielki monolog Fausta: zakłęcie; nareszcie z za pieca występuje Mefistofel i przedstawia się po kilku szyderczych słowach:

Ich bin der Geist, der stets verneint.

Silne to wyrażenie, głębokie myślą, skupiające w sobie wszystko negatywne, wszystko krytykujące lub destrukcyjne w jedną siłę negacyi, w jedną osobę, stanowczo nie udało się tłumaczom. Walicki i Jezierski tłumaczą:

Ja jestem duchem przeczenia.

Krajewski i Paszkowski zaś:

Jam duchem, co zawsze przeczy.

Pierwszy przekład znosi osobistość, a natomiast wprowadza alegoryę, przypominającą owe dawne szkolne definicje olimpijskich bogów, jak: boga słońca, bogini ciemności, polowania etc.; drugi zaś, chociaż dosłownie wierny, kładzie cały nacisk na osobistość, przyczepiając jej treść w słabo skonstruowanym zdaniu względnem, jakgdyby przeczenie było tylko przypadkowym akcesoryum, a nie istotą samą Mefistofela. Zdaniem naszym, najtrafniejszym byłby przekład, któryby skupił właśnie w rzeczowniku istotę przeczenia, chociażby z opuszczeniem słowa: „duch,” albo też silniejsze zaakcentowanie zdania względnego z pełnym, ważnym, męzkim rymem na końcu. Usterki takie, napozór drobne, w rzeczy samej bardzo są znacznymi, gdyż jednem niedość trafnie dobranem słowem zmieniają całą charakterystykę postaci.

O scenach „w piwnicy Auerbacha” i „w kuchni czarownicy” to samo nam wypadnie powiedzieć, co wyżej o scenie „przed bramą.” Rubasność wyrażenia w oryginale tłumacze przesadzają, uniesieni werwą, nie wzdygają się przed wyrazami trudnemi do zacytowania, które powaga Goethego ma pokrywać. Jest to krzywdą wyrządzona dziełu i autorowi. Jakkolwiek „Faust” zapewne nie dla dorastających panien pisany, to Goethe nie używa nigdy z lubością wyrazów obrażających uszy; gdy wypada mu użyć drastyczniejszego wyrazu, wplata go w rytm i wiersz nieznacznie i naturalnie, tak, że prawie nie można sobie tego zdania lub zwrotu inaczej wyobrazić. Inna rzecz jednak w przekładzie: tłumacze biorą wyraz dwuznaczny lub fatalnie jednoznaczny za rzecz główną, silą się na przekład ile możności dosadny, a gdy ani sztuką rymotwórczą nie dorównywiają pierwowzorowi, ani nie wznoszą się do zupełnego przeniknięcia myśli oryginału, wygląda

nieraz, jakoby tłumaczenie téj lub owéj sceny podjętém było właśnie dla wprowadzenia onych wyrażeń.

Pierwsze zjawienie się Małgorzaty (Gretchen) było znowu dla tłumaczy przejściem bardzo trudnem. Ta postać dziewczęcia prostego, naiwnego, nieświadomego niebezpieczeństw miłości, stanowi szkopuł, o który rozbijają się usiłowania przekładu. Język każdy wyrabia w sobie zwroty i słowa, zrosnięte z rozwojem obyczajów i zwyczajów, urządzeń społecznych, odwiecznych konwenansów, posiada od-cienia tak delikatne i nieznaczące dla ucha cudzoziemca, że ten ich od-czuć nie może. Tak się stało i tutaj z wyrazem: „Fräulein.” Faust spotkawszy Małgorzatę, zaczepia ją:

Mein schönes Fräulein, darf ich wagen,
Meinen Arm und Geleit Ihr anzutragen?

a Małgorzata na to:

Bin weder Fräulein, weder schön,
Kann ungeleitet nach Hause gehn.

Tytuł „Fräulein” (panna), jakkolwiek ze zwyczaju przynależny tylko dziewczom szlacheckiego rodu, jak „Frau,” (pani), szlachciankom w ogół, w odniesieniu do nieznanoméj dziewczyny mieszczańskiego stanu, był wprawdzie delikatnym komplementem, usprawiedliwionym tylko galanterijną przydawką „schön,” a zresztą zmodyfikowanym nieco przemową w wierszu drugim: „Ihr.” W odpowiedzi Małgorzaty czuć pewną naiwną, prawdziwie kobięcą kokieterią, bo chociaż miała prawo zaprzeczyć tytułowi „Fräulein,” to zaprzeczenie epitetu „schön” na seryo wzięte być nie mogło. Nie można téż wystawić sobie tych słów wypowiedzianych z gniewem, któryby jeszcze takie zaprzeczenie w czambuł usprawiedliwiał; owszem, jest w tém nieco uszczypliwości, jako kara za obcesowy atak śmiałka, który jednak od pierwszej chwili korzystnie zrobił wrażenie i męzką postacią i miłym podrażnieniem próżności i miłości własnej. Jakże tłumacze wybrnęli z tego zadania?

Walicki. Mogę z się, piękna pani, spodziewać,
Że moje towarzystwo nie będzie jój gniewa ó?
— Ja nie—Pani, piękności w sobie nie znachodzę,
I bez towarzystwa zawsze jedna odchodzę.

Krajewski: „Jesli mi piękna dama nie zabrania,
To odprowadziłbym do mieszkania!”
— „Nie jestem ani piękna, ani dama,
Bardzo dziękuję, ja trafię i sama!”

Jezierski: „Czy wolno pięknej ofiarować damie
Spółtowarzystwo, opiekę i ramię?”
— „Ani piękna, ani dama,
A bez opieki zajdę i sama!”

P a s z k o w s k i: „Piękna damo, czy mogę
 „Podać ci rękę na drogę?“
 — „Anim piękna, anim dama,
 „Mogę iść do domu sama.“

„Dama“ w trzech ostatnich przekładach wprowadzoną została chyba dla rymu, bo inaczej trudno wytłómaczyć użycia właśnie najniestosowniejszego, najniezgrabniejszego wyrazu. Chociaż bowiem tytuł „Pani“ w codzienném używaniu jest u nas spopolitowany, w każdym razie jest on jedynie stosownym, i gdyby Walicki odpowiedź Małgorzaty był mniej niezręcznie przetóżył, gdyby był wpadł na ton, w wierszu drugim téj odpowiedzi prac Krajewskiego uchwycony, przekład jego byłby najlepszy. Tak jednak, jak tłómaczenia tych pierwszych słów miłosnego epizodu się przedstawiają, trzeba wyznać, że żadne z nich zadowolnić nie może. To samo odnosi się do wszystkich dalszych scen z Małgorzatą.

Żaden z przekładów nie oddaje prostoty niemieckiej Gretchen; wymuszone i naciągane wiersze, słowa i rymy zastępują naturalną naiwność, widzimy jakąś prostotę sztuczną, robioną—i ginie nastrój idylliczny, dziewczę ziemsko-idealne przetwarza się w przekładzie na dziewicę lub dziewczynę, więc wznosi się lub oburza. Tylko na lutni prawdziwego poety mogły się znaleźć równie dźwięczne i mite tony, rymotwórcy sprostać zadaniu nie mogli.

Szczególnie razi to w przekładach ballady „okrólu z Thule“ i w pieśni „przy kołowrotku“ Pierwsza pozbawiona męzkich rymów, (tylko Paszkowski sili się na rym czasem zbyt łatwy, czasem widocznie naciągany) z wydłużonemi wierszami, straciła melodyjność i powab; urocza prostota ludowej poezyi, tak po mistrzowsku przez poetę uchwycona, tajemniczy wątek ballady, dźwięk i muzyka wiersza, wszystko to rozplynęło się w morzu trywialności. W przekładach drugiej pieśni napróżno szukałbyś odblasku uczucia, miotającego sercem dziewczęcia, nieświadomego przepaści, do której się zbliża; nieświadoma walka miłości, tęsknoty i obawy, stopniowe rozmarzenie, dochodzące aż do zapomnienia wszystkiego, tragedye miłości w miniaturze, wszystko to przybrało jeden szary koloryt, nudny i bez wyrazu, poprzerzynany kulawemi rymami lub (jak u Jezierskiego) upstrzony wykrzyknikami, niby przekład włoskiego libretta. Najlepiej jeszcze wypadł przekład Wolskiego; rytm tu zachowany z dziwną wiernością, nastrój i ton prawdziwy, gdyby nie kilka niezręcznych i nieprawidłowych rymów, możnaby przyjąć go za minimum, które tłómacz osiągnąć powinien.

Dopiero, gdy cierpienie ciężkie dziewczęcia duszę przygniotło i złamało, gdy odebrało jój swobodę myśli i uczucia, i prostotę gotębia, gdy stał się dziewczęcy pyłek na rozkwitłych listkach, więc gdy wyraźniej się oddzieliły elementa boleści, odnajdują tłómacze nieco siły i przekłady ich stają się coraz lepszymi. Tak np. sceny „przy

studni,“ „w kościele“ w większej części wypadły szczęśliwie, a nawet gorąca, żarliwa modlitwa przed obrazem Matki Boskiej, chociaż na wskroś liryczna, bez porównania lepiej się udała, niż wszystkie sceny poprzednie. Już to boleść zawsze nam lepiej znana niż rozkosze i dla oddania niedoli język każdy stokroć więcej ma zasobów, niż dla wesołego pienia. Tłómacze niezależni od siebie, nie oglądając się jeden na drugiego, uchwycili dobrze akord cierpienia i rozpaczy, a chociaż w wykonaniu nie wszystkim szczęście dopisało, jednak przynajmniej żaden nie sfałszował myśli. Oto próba:

Goethe.

Paszkowski (przekład z r. 1841).

Ach neige,
Du Schmerzenreiche,
Das Antlitz gnädig meiner Noth!
Das Schwert im Herzen,
Mit tausend Schmerzen
Blickst du auf deines Sohnes Tod.
Zum Vater blickst du,
Und Seufzer schickst du
Hinauf um sein und deine Noth!

Wzorceś nót boski,
Zwróć na me troski,
Ach, zwróć łaskawe spojrzenie!
Z mieczem utkwionym
W łonie zbroszonym
Patrzysz na syna cierpienie.
Kłęcząc w Ogrojcu
Polecasz Ojcu
Jego i swoje westchnienie.

Wolski.

Krajewski.

Cierpiąca,
Ty bolejąca,
Oblicze łaski do mnie niż!
Miecz w twojém łonie
Skrwawiony tonie
Spoglądasz tam na syna krzyż!
Wzrok w górę mkniciesz Ty,
Westchnienie ślesz Ty
W strapieniu twem i syna drżysz!

Matko Bolesna!
Ku méj niedoli
Zwróć twe oblicze łaskawe!
Co z mieczem w sercu
Patrzysz strapiona
Na syna męki krwawe.
Ślesz ku Ojcu spojrzenia
I ciężkie westchnienia,
By skończył jego cierpienia.

Walicki.

Jeziński.

Matko boleści,
Na me wołanie
Zeszlij twoje zlitowanie!
Miecz w twojém łonie
Zbolałem tonie
Kiedy na syna patrzysz konanie.
Wzrok w niebo wznosisz
I Ojca prosisz
Dla Cię, dla Syna o zmiłowanie.

Ach, przez boleść wielką,
Boga rodzicielko,
Wejrz na pokutnicy znój!
Ty z mieczem w świętej krwi łona,
Tysiącem mąk trawiona
Patrzysz, jak kona syn twój.
Westchnieniem, żałości licem
Skarżysz się przed rodzicem
Na własny, na syna znój.

Paszkowski (przekład nowy).

Ach, zwróć spojrzenie
Na me cierpienie,

Orędowniczko jedyna.
 Z mieczem utkwionym
 W sercu skrwawioném
 Patrzysz na śmierć swego syna.
 Wzrok twój się wznosi
 I ojca prosi
 Westchnieniem pierś twa matczy na.

Pominąwszy amplifikacje i skrócenia, mniej lub więcej usprawiedliwione, wszędzie myśl główna z potoku słów rozmaicie dobranych, na jaw wychodzi, forma też zachowana przynajmniej w przybliżeniu, tylko Wolski znowu, jakkolwiek z pewnym wysileniem i gwałtem, językowi zadany (w siódmym wierszu), najdokładniej przekład swój do miary zastosował.

„Noc Walpurgi“ przedstawia dla tłumacza innego rodzaju trudności. Tłum, chaos, wrzątek, szalony zamęt, charakterystyka prądów społecznych, filozoficznych, religijnych, aluzje literackie, dzisiaj po latach stu bez komentarza zaledwie zrozumiałe, wszystko to złożone w orkiestrę zgiełkliwą, wrzaskliwą, a zamknięte w krótkich czterowierszowych zwrotkach; szyderstwo, dowcip, oburzenie, podniosłość—splcione i zmieszane z sobą, oto trudność, która tłumacza do rozpacz doprowadzić może. To też przekłady wszystkie wykazują właśnie w tej scenie tyle błędnego zrozumienia, niezgrabności a nawet śmieszności, że obawiamy się nawet wdawać w przytaczanie przykładów. Jedną tylko zwrotkę podajemy dla charakterystyki, a zwłaszcza dla porównania pracy jeszcze jednego tłumacza, którego dotąd nie było sposobności przedstawić. Oto zwrotka pod tytułem: „Geist, der sich erst bildet,“ wyszydzająca niezręczne, nieudatne poetyczne próby, bez harmonii i miary w częściach, bez związku i planu.

Goethe.

Spinnenfuss und Krötenbauch
 Und Flügelchen dem Wichtchen!
 Zwar ein Thierchen gibt es nicht,
 Doch gibt es ein Gedichtchen!

Walicki.

Z nóg pająk, z brzucha ropucha;
 Na barkach lotne skrzydelka,
 Na zwierzątko nie dosta wa,
 Ale będą wierszydelka.

Jezierski.

Ropuchy brzuch, nóżki pajęczce.
 Skrzydelka dla dobrodzieja;
 Czy jest taki zwierz? za to nie ręczę,
 Lecz jest taka epopeja.

Szabrański.

Pajęczce nóżki i żabi brzuch,
 Piórka na skrzydełkach krótkie:
 Nie jest to zwierze, nie jest to duch,
 Ale poema malutkie.

Krajewski.

Nózek, skrzydełek, kadłubka
 Potrzebuje to żyjátko:
 Nie jest to wprawdzie zwierzątko,
 Ale poematu próbka.

Paszkowski.

Brzuszek żabi, nóżki prządka;
 Skrzydelka podlotka:
 Nie ma jeszcze form zwierzątk a,
 Lecz jest już ramotka.

Prócz Krajewskiego, żaden z tłumaczy właściwej myśli nie rozumiał, a chociaż słowa w ich przekładach brzmią niby podobnie, jednak na pierwszy rzut oka poznać można różnicę między ich pojmowaniem rzeczy a jedynym trafnym przekładem. Dla pracy Szabrańskiego wystarcza sownie ta jedna próbka, by stawić ją poniżej wszystkich tłumaczeń, o których dotąd mówiliśmy. Brak i zrozumienia i artystycznego poczucia, więc wszelkiej kwalifikacyi.

Z pierwszej części „Fausta,“ nad jedną jeszcze sceną zastanowić się nam wypadnie: nad jedną prozaiczną sceną poematu, wsuniętą (w r. 1806) dla połączenia scen: „Noc Walpurgi“ i „Wieżenie.“ Po gwarze i hałasie, po szale i wirze myśli, rytmu i rymu na Łysogórskim szczycie, to nagłe przejście do prozy twardej, uamiętniej, przypominającej prozę z epoki „Sturm und Drang,“ tworzy efekt nadzwyczajny, otrzeźwiający, przerażający. Tłumacze efektu tego nie rozumieją, a biorąc tę niezmiernie trudną do przekładu scenę za chwilę wypoczynku po wysiłkach poprzedniego ustępu, rozmazali jedność i siłę wyrażenia w zwykłych, konwencyonalnych zdaniach, zaopatrzonych tylko wzorem oryginału w pauzy, kropki i wykrzykniki. Nie rozumieją, że proza, gdy idzie za natchnieniem fantazyi, wolna, nie skrepowana niczem, jest najłżejszą, najswobodniejszą szatą myśli, która wyrwawszy się z pęt rymu i rytmu, buja w przestworzu; proza w przekładach „Fausta,“ to najzwyklejsza, studencka próbka tłumaczenia, a nawet pisarz tak bogato uposażony jak Krajewski, nie zdołał stanąć na wysokości zadania.

Scena ostatnia, związana myślą najściślej z ustępami, w których postać Małgorzaty występuje, dzieli w przeważnej części zalety owych scen i ich wady.

Doszliliśmy więc do końca pierwszej części „Fausta,“ a rezultat spostrzeżeń naszych da się streścić w te, niestety, dla tłumaczy nie bardzo pochlebne słowa, że dotąd nie mamy jeszcze przekładu, który byłby godnym i wielkiego pierwowzoru i stanowiska naszej literatury. Jeżeliby przyszło scharakteryzować pojedyncze przekłady pod względem ich wad i zalet, tudzież jako prace przygotowawcze dla przyszłego jakiegoś genialnego tłumacza, to obok pięknych, podniosłych, często prawdziwie poetycznych urywków Wolskiego, najwyżej wypadnie postawić pracę Krajewskiego i pod względem zrozumienia i przeniknięcia oryginału, jako też pod względem estetycznego umiarkowania w użyciu zasobów języka, rozszerzeń i skróceń, swobody i dosłownej wierności. Jezierski przenika też niewątpliwie myśl niemieckiego poety, ale popadłszy w manierę tworzenia nowych, górnolotnych, nienaturalnych, duchowi polskiego języka obcych wyrażen, dykcyi przesadnej, dziwacznych konstrukcyi—przynosi im sam ujmę swjej pracy, mozołnej widocznie i pilnej; udało mu się niejedno, lecz do doskonałości daleko. Paszkowskiego przekład suchy, trzeźwy, mimo niektórych zalet, jest raczej robotą, niż dziełem poetycznego umysłu.

Druga część „Fausta“ ma dotąd tylko dwóch tłumaczy. Wspomnieliśmy na początku uwag niniejszych, iż tłumacze i krytycy, trzymający się artystycznego stanowiska, za złe prawie mają Goethemu, iż prowadził dalej wątek tragedii ludzkiego umysłu, w części pierwszej rozpoczęty; ale przyznając dramatyczność pomysłu w scenach z Gretchen, wielbiąc wielkość i głębokość scen wstępnych, prologów i monologów, zapominają, iż te ostatnie wtedy dopiero nabierają właściwego znaczenia, jeżeli rozterka duszy, walka niepohamowanej, wiecznie naprzód dążącej natury ludzkiej z warunkami doczesnego istnienia, do jakiegoś będzie doprowadzoną rezultatu, do krzyku rozpaczliwego upadającego bohatera, czy do harmonijnej zgody wrogich ostateczności. Dramat, którego bohaterką byłoby dziewczę uwiedzione, ginące za to, że wierzyło i kochało; porywający prawdą i siłą, wielki sam przez się, nie może jednak wyczerpać tak wielkiego zadania, jakim jest zagadka ludzkiej natury i przeznaczenia człowieka; jest on tylko epizodem świetnym i potężnym, ale niemiłej przeto wplecionym tylko dla tego, aby zaznaczyć jedną fazę owiej walki, jeden zawód, poryw jeden, zakończony dysonansem przykrym, którego nie zacierają głos z góry, zwiastujący, że zgubiona w oczach świata grzesznica jest uratowana.

W pochodzie myśli od jednej do drugiej sceny pierwszej części brakłoby związku, zostałyby tylko luźne fragmenty, gdyby część druga nie dawała klucza do ich zrozumienia. Prawda, że klucz ten nie łatwy do zdobycia, że nie następuje się na pierwszy rzut oka, ale wymaga wmyślenia się i wgłębienia w utwór dojrzalego i sędziwego wieku poety, stojącego na szczycie doświadczenia niedostępnego innym i z wyżynu swych obejmujących zakryte horyzonty; lecz znaczna część trudności, uprzedzeń, niechęci i niedowierzania, polega na dotychczasowym sposobie komentowania tego dzieła. Komentarz stojący-li na gruncie alegoryi, usiłujący wyjaśnić każdą scenę dla siebie, każdą postać, nieledwie każde słowo; usiłujący równoległe z słowami poety snuć tkanekę myśli własnej, niby prozaiczne, dostępne odbicie poetycznych fantasmagoryi, z natury rzeczy popaść musi w zbytnią drobiazgowość, rozszczepiającą promienie myśli, musi zgubić wątek prawdziwy i zatrzeć wrażenie całości. Alegorya nie mogła być celem poety, sprzeciwia się temu już całe założenie „Fausta” i mnóstwo scen, w których tylko uparty komentator dopatrzyć się jęj może; alegoryi poeta używa tylko tam, gdzie ona sama następuje się jako wygodny, lecz jasny i przejrzysty środek obrazowego wyłuszczenia zapatrywań na świat i życie, a więc w „pochodzie maskowym” i „klasycznej noży Walpurgi.” Inne sceny fantastyczne (fabrykacja papierowych pieniędzy, Faust i Helena, cały akt I), wskazane już i koniecznie w wątek legendy o Faucie w starych księgach ludowych wplecione, lub nasuwające się mimowolnie z okazji pewnych wypadków i przewrotów w dziejach ludzkości, którą Faust typowo, nie alegorycznie, przedstawia, nie potrzebują téż alegorycznego tłumaczenia, ale wystarcza w nich zupełne, a nawet jedynie do celu prowadzi pojmowanie z historycznego

i dramatycznego stanowiska. Komentatorowie nowsi wstąpili na tę drogę, dla tego też rozjaśniła się znacznie główna idea poematu, usunęły się trudności, a wielki utwór doczekał téj chwili, o czém niedawno i pomyśleć nie można było, że tę osławioną część drugą, ten zbiór zagadek starego dziwaka, jak wyrzekano, wprowadzony na scenę, dopięćro całą wielką myśl poety w właściwém świetle przedstawił.

Tłómacz z natury rzeczy musi być komentatorem, a jeżeli już w pierwszej części Fausta, wygranęj na wszystkich tonach skali człowieczego serca, szalone trzeba było pokonywać trudności, to w części drugiej iście proteuszowej trzeba natury, by wszędzie znaleźć ton właściwy, przetwarzać się z kolei w setki osób i postaci i przemawiać głosem dla każdej stosownym, przebić się przez ciemnię zachwyków, głębokich refleksyi, mglistych obrazów, oddać zgiełk akcji chaotycznej nieraz, wrzaskliwej, dowcipnej, okraszonej humorem i zaprawionej ironią, którą tu, jak i w części pierwszej, lecz z większą dozą dobroduszości i potulności, Mefistofel przedstawia.

Wyniki pracy tłómaczów w części pierwszej „Fausta” nie pozwalają nam wróżyć wiele dobrego o wywiązaniu się z zadania stokroć trudniejszego. Zważmy tylko trudności, jakie sprawiać musi sama forma poetyczna. Goethe w utworach swoich lat młodszych niezbyt ściśle dochowujący metrycznych prawideł, ufający raczej wrodzonej melodyi języka, niż pedantycznym przepisom, w tém dziele lat dojrzałych i zgrzybiałych doprowadził wersyfikacją do najwyższej doskonałości; igrając prawie z trudnościami rytmu, łączy go z rymem dźwięcznym zawsze i pełnym, to znów przemawia logaedycznymi miarami starożytnych chórów, a forma wiersza nie obrana nigdy na oślep, ale ściśle związana z treścią, tak, że zmieniając ją, trudno wierność myśli zachować.

Jakże z zadania tego wywiązali się tłómacze?

Jeżeli w poetycznym utworze ucho przyzwyczai się zadawałniać jedynie przyrodzoną muzyką mowy naszój, to wobec bogactw dźwięków nie szuka wcale i nie pragnie sztucznych sposobów podniesienia melodyjności poetycznej formy, a swobodny prąd dźwięków nieprzyjemnie przerywałby nawet takt monotony. Ale jeżeli z unystu obróto się rytmiczną regularność, jeżeli, jak w dziele niniejszém, rytmiczność ta jest jedną z wybitnych cech i warunkiem koniecznym, to wyłamywanie się z jój prawideł bardzo przykre czyni wrażenie. Ucho wdrożone w tok rytmu niemiło dotkniętém się czuje, gdy tok ten przerwać trzeba dla naturalnego akcentu, przypadającego w słowie lub w zdaniu nie tam, gdzie należałoby się go spodziewać. W czytaniu cichym niktą wprawdzie te usterki: ależ głyby w dziele poetyckim o ciche czytanie chodziło, niepotrzebny rytm zupełnie; czytając zaś głośno, doznaje się w takim wypadku uczucia, jakby zazgrzytało coś nieprzyjemnie, tak, że raczej zaakcentuje się fałszywie, niżby miało się tok wiersza zatra-

cię. Takich zaś usterek znaleźć możemy niestety bardzo wiele, prawie w każdym rytmicznym ustępie, np.:

Wszelka myśl poczęta zdrowo,
Tobie niech posługę czyni,
Matko, dziewico, królowo,
Bądź miłościwa, bogini. (Jeziński).

lub:
Płynie noc, gwiazdki nadobne
Łączą się wśród modrych fal;
W chwiejnych falach oziminy
Zasiewu, dojrzewa rdzeń. (Paszkowski).

Akcent naturalny słów: „dziewico, miłościwa, gwiazdki, zasiewu,” przerywa tok trochaiczny i wszelkie pojęcie o rytmie wywraca.

Tyle co do formy. Co do treści dzieje się nie lepiej. Niepodobna przytaczać i wykazywać wszystkich miejsc w ogromnym tym utworze, w których spostrzegamy uchybienia i niedostatki; ograniczymy się więc na kilku charakterystycznych.

Po scenie przebudzenia się i ozdrowienia „Fausta“ na łonie natury, wprowadza nas poeta do cesarskiego pałacu, (obaj tłumacze przekładają niefortunnie wyraz niemiecki „die Pfalz“ przez „Palatynat“) a Mefistofel wdziera się przed tron, aby objąć opróżnioną posadę nadwornego błazna. Tłum dworaków szepece na widok nowego darmozjada.

Ein neuor Narr zu neuor Pein!
Wo kommt er her? wie kam er ein?
Der Alte fiel—der hat's verthan!
Es war ein Fass—nun ist's ein Span.

W przekładach brzmi to, jak następuje:

Jeziński:

Znów mamy błazna,—ha, ty poczwarko?
Zkąd rodem? czy się wśliznął tu szparką?
Grat stary poszedł na rozsypkę,
Mieliśmy beczkę, dostajem szczypkę.

Paszkowski:

Nowy błazen,— nowy brzuch,
Czy go tutaj wniósł zły duch?
Stary truteń kłapnął snadź,
Pękła beczka—mamy kadź!

Przytaczamy ten ustęp dla okazania, jak szkodliwie na pracę tłumaczy wpływ może zbyt czyste spoufalenie się z autorem, jeżeli tém chce się zastąpić wniknięcie w myśl i cześć dla pierwowzoru. Tłó-

macze bez ceremonii zmieniają myśl poety, przekształcają dowolnie formę, dobierają epitetów wedle natchnienia swego dobrego humoru, sztukują rym na koszt prawdy i zdrowego sensu.

Ze sceny z Baccaleureusem wyjmujemy następujący ustęp, stwierdzający jeszcze może jaskrawiej powyższe nasze słowa;

Goethe.

Am Lookenkopf und Spitzenkragen
Empfandet ihr ein kindliches Behagen.
Ihr trugt wohl niemals einen Zopf?
Heut' schau' ich euch im Schwedenkopf.
Ganz resolut und wacker seht ihr aus;
Kommt nur nicht absolut nach Haus.

Jeziński.

Pan dzieckiem lubieś nie warkocz kiciasty,
Lecz kędziór puklasty, kołnierzyk spiczasty.
Dziś weale rzecz inna, nie widać już dziecka,
Dziś kędziór na głowie przyoięty ze szwedzka,
Świetnie, rezolutnie! lecz się absolutnie
Nie pokaż nikomu, niewracaj do domu.

Paszkowski.

Kołnierz w koronkach, z głową utrefioną
Podobał ci się jak zwyczajnie dziecku.
Nigdy harcapa nie nosieś pono?
Dziś nosisz włosy po szwedzku,
Pięknie wyglądasz, weale rezolutnie,
Lecz nie do domu idziesz absolutnie.

Czy można w przykładach dopatrzeć się myśli pierwotnej? Pominąwszy dziwaczne pomysły Jezińskiego o „spiczastym kołnierzyku“ (zamiast „koronkowym“) lub Paszkowskiego o „kołnierzyku z utrefioną głową“ widzimy szczególnie w ostatnim wierszu bezmyślne tłómaczenie wyrazów, zatracenie zupełne ironii i dwuznaczności w słowie „absolut“ zawartój, a widocznej przecież z porównania z myślą wierszy poprzednich.

Nareszcie porównajmy jeszcze ze sceny ostatniej śpiew „jednej z pokutnic“ (Una poenitentium, sonst Gretchen genannt).

Goethe.

Neige, neige,
Du Ohnegleiche
Du Strahlenreiche
Dein Antlitz gnädig meinem Glück!
Der früh Geliebte
Nicht mehr Getrübte
Er kommt zurück.

Jezierski:

Wysłuchaj mnie,
 Promienna zorzą,
 Nad światy wsze
 Miłością Bożą
 Ty wzwyż wzniesiona.
 Zwróć błogie oblicze twe!
 Mroku przeniósłszy znój
 Już nie cierpi, nie kona,
 Już wraca niegdyś luby mój.

Paszkowski:

Ach, zwróć spojrzenie,
 O! nie zrównana,
 Słońcem odziana,
 Na moje uszczęśliwienie
 Dawno kochany
 Już nie stroskany
 Powraca znów.

Fantazya rymotwórcza uniosła Jezierskiego tak, że zapomniał iż wyraźnym zamiarem poety był tu kontrast do modlitwy Małgorzaty z pierwszej części. Paszkowski pamiętał o tém, lecz niezręcznym wyrażeniem i tanim nadzwyczaj rymem zatarł wrażenie.

Jakaż więc wartość tych prac mozolnych, ciężkich a podwójnie niewdzięcznych? Nie przeczyni, są miejsca dobre, są inne, w których drobne zmiany mogłyby rzecz znacznie poprawić, ale w ogóle przekładom tym bardzo jeszcze daleko do względnej nawet doskonałości; przebiwszy się przez tyle tłumaczeń, musimy nareszcie wyznać smutny rezultat poszukiwań naszych, iż pomimo wszelkich usiłowań przyswojenia tego utworu, pomimo zastępu tłumaczy, dotąd „Fausta“ w naszej literaturze nie mamy.

L. German.

PRACE MATEMATYCZNE

Ś. P. HENRYKA MUKLANOWICZA,
I REKOPISM JEGO DZIEŁA O MIERNICTWIE.

PRZEZ

T. Skomorowskiego.

Nic tak nie powstrzymuje postępu wiedzy, jak słusznie wyraził się o obecnym stanie nauk matematycznych prof. Smith w swojej mowie inauguracyjnej na jednej z dorocznych sesyj Towarzystwa matematycznego angielskiego ¹⁾, jak brak odpowiednich naukowych dzieł, któreby poprowadzić mogły studyjującego do granic wiedzy w pewnych kierunkach, któreby uwolniły umysł jego od ciasnych poglądów, a tém samém skierowały go ku własnym samodzielnyim badaniom, któreby, mając ciągle na widoku cel główny, wprowadziły go odrazu in medias res, wskazując, w ogólnych zarysach przynajmniej, w jaki sposób się dla nauki pracuje, co na tém polu zrobiono i co jeszcze mniej więcej do zrobienia pozostaje.

Opinia ta uczonego profesora angielskiego odnosi się zarówno do wielkich gałęzi wiedzy, mających uniwersalne znaczenie, jak i do drobniejszych, nierozgłośnych nieraz jęj gałązek, które, nie wyrównyując pierwszym pod względem doniosłości i ogólnego charakteru, wybitne przecież zajmują miejsce pod względem praktycznego zastosowania.

Wielkie są, bez zaprzeczenia, zasługi założyciela nowych fundamentów nauki, znoszącęj rozdział między algebrą i geometryą, z których pierwsza, jak utrzymywali niektórzy (a między innymi i zmarły niedawno matematyk nasz, prof. Frączkiewicz), jest nauką ścisłą, nauką prawdziwie filozoficzną, gdy przeciwnie geometrya (mianowicie analityczna) jest nauką konwencyonalną, umowną, i tą ścisłością się nie

¹⁾ „On the present State of Mathematical Science,” Address of Professor H. J. S. Smith at the Meeting of the Mathematical Society, etc.

odznacza. Algebra i geometrya uczonego matematyka lwowskiego (prof. Wincentego Żmurki) zlewają się w jedną naukę w jego systemie, zasady jego geometryi nabywają pewnej ogólności, a z drugiej strony widoczność i przejrzystość geometryczna występuje na wszystkich punktach algebry. Nie są to już zatem dwie nauki, ale jedna o dwóch obliczach: algebraicznym i geometrycznym.

Ale również niemałe są zasługi tych, którzy, pracując lat kilkadziesiąt w obranym zawodzie naukowym, więcej specjalnym, lubo w skromniejszym zakresie, przygotowują, oparte na tej wieloletniej praktyce, dzieła pożyteczne, których ogół przedtém nie posiadał, jakkolwiek traktowany przez nich przedmiot nie ma tak uniwersalnego znaczenia i skierowany jest więcej do praktycznych celów.

Mamy tu na myśli prace na polu miernictwa zmarłego w końcu roku zeszłego geometry ś. p. Henryka Muklanowicza, tak ogłoszone drukiem, jako też i te, które w rękopiśmie pozostawił, a które obecnie w naszych znajdując się rękach.

Jak wątpliwości nie ulega, że pod względem pierwszych zasad matematyki, tą drogą, jaką sobie wytknął uczony profesor lwowski, nikt przed nim nie szedł jeszcze, tak również prawdą jest, że zasłużony nasz geometra warszawski, który, tak prywatnie w biurze swoim, lub też jako publiczny nauczyciel miernictwa, wykształcił nie jedno pokolenie pracowników w tym zawodzie, już-to wydał, już przygotował do druku rękopisma dzieł, których nam brak, że zatem piewszy występuje na tém polu.

Ale co to jest miernictwo? zapyta może nie jeden z czytelników, nie poświęcający się specjalnie tej nauce.

Jednym z najpierwszych zastosowań matematyki, zastosowań znanych od niepamiętnych czasów, była niewątpliwie nauka miernictwa, która i po dzień dzisiejszy jest jedną z gałęzi wiedzy najpowszechniejszego użytku. Wywołała ją potrzeba pomiaru ziemi, konieczność rozgraniczania własności ziemskiej nawet w tych już pierwotnych czasach, kiedy człowiek zaledwie przyszedł do pojęcia własności, kiedy po pierwszy raz wyrzekł: „to moje, a to twoje!” Rzecz naturalna, że pierwotne sposoby tego rozgraniczania, tego rozdziału ziemi, musiały być niedokładne i proste, jak prostą była natura tego pierwotnego człowieka; początkowo bowiem dosyć było dopełniać pomiaru krokami, przy zastosowaniu jedności porównania, czyli miary kształtu najprościejszego. W następstwie zaczęto używać sposobów więcej skomplikowanych, metod rysunkowych, na zasadach matematyki opartych, przy stosowaniu do pomiaru wielkich przestrzeni ziemi rachunku, któryby pozwolił nadawać otrzymany wypadkom możliwą ścisłość.

Nauka miernictwa, względnie do sposobu, w jaki traktowaną była, rozpadła się czasem na dwa działy: miernictwo niższe, czyli topografię, i miernictwo wyższe, czyli geodezyę.

W miernictwie niższym uważa się, jak wiadomo, wymierzaną

przestrzeń za płaską, czyli, innemi słowy, nie bierze się pod uwagę krzywizny ziemi. Metoda ta, rzecz prosta, tylko w pewnych granicach daje dokładne rezultaty mierzenia. Granice te jednak są dosyć szerokie i w wielu przypadkach, przy pomiarze ziemi, zasady miernictwa niższego są wystarczające do celów praktycznych; łatwo bowiem dowieść, przy pomocy trygonometrii, że mierząc np. kwadrat, którego bok wynosi 1250 prętów, a tém samém powierzchnia przeszło 173 włóki, bez względu na krzywiznę ziemi, to jest uważając kwadrat ten za płaski, otrzymamy różnicę w długości jego boku, wynoszącą zaledwie $\frac{1}{20}$ pręta liniowego, a w całej powierzchni $\frac{1}{400}$ pręta kwadratowego, co oczywiście, w największej liczbie przypadków, nie może mieć wpływu na ścisłość otrzymywanych rezultatów.

Inaczej się rzecz ma przy dopełnianiu pomiaru wielkich przestrzeni ziemi na zasadach geodezyi, gdzie kulistość ziemi mieć należy na uwadze, oraz gdzie częstokroć oznaczamy wielkości za pomocą samej tylko obserwacyi. W tym razie niedokładność narzędzi do tego celu używanych, wpływ zmysłów naszych na bieg obserwacyi, oraz inne przyczyny zewnętrzne, których nie raz przewidzieć i których ustrzedz się niepodobna, stanowią owe ujemne czynniki, wpływające na ostateczny rezultat, a których w rachunku pomijać nie należy.

Jeżeli wielkość jaką oznaczamy bezpośrednio, za pomocą mierzenia, to wiadomą jest rzeczą, że średnia arytmetyczna wszystkich obserwacyi jest wartością najprawdopodobniejszą. W trójkącie np. prostokreślnym, którego dwa kąty oznaczone zostały na gruncie przez wielokrotne mierzenie i wzięcie średnich arytmetycznych, znajdziemy łatwo dokładną wartość na kąt trzeci, będący, jak wiadomo, dopełnieniem sumy dwóch pozostałych kątów trójkąta danego do dwóch kątów prostych, i to wystarcza przy pomiarach topograficznych.

Nie tak łatwo wszakże sprostować, przy geodezyjnych pomiarach, ewentualne błędy obserwacyi. W tym ostatnim przypadku, jak wiadomo specjalistom na tém polu, posiłkować się nie raz trzeba rachunkiem prawdopodobieństwa i metodą najmniejszych kwadratów, stanowiącemi jedną z najsubtelniejszych gałęzi matematyki wyższej ¹⁾.

¹⁾ Objasnimy to przykładem. W trójkącie prostokreślnym sprostowanie, o którym mowa, wykonywa się bardzo łatwo, jakieśmy widzieli wyżej. Trudności jednak są większe, kiedy idzie o trójkąt kulisty. Przypuśćmy np., że mamy przeprowadzić sprostowanie resp. oznaczyć prawdopodobne błędy obserwacyi, powstałe przy wymierzaniu na gruncie 3 kątów trójkąta kulistego, oznaczonych z niejednakową dokładnością, że liczby m , n i p wyrażają, ile razy mierzone były kąty tego trójkąta, które oznaczamy przez A , B , C , że rezultaty tego mierzenia są: α , β i γ , oraz, że suma tych trzech kątów jest: $180^\circ + \epsilon'$. Prawdziwą przewyżkę ϵ sumy 3 kątów trójkąta nad 2 kąty proste obliczymy, jak wiadomo, podług wzoru:

$$\epsilon = \frac{c^2 \sin A \sin B}{2r^2 \sin A \sin B \operatorname{tg} 1''}$$

Piśmiennictwo polskie jest nadzwyczaj ubogie w dzieła, poświęcone wyżej wymienionym gałęziom miernictwa. Oprócz bowiem miernictwa niższego, napisanego przez Wrześniowskiego, oraz dwóch dzieł o geodezyi Polańskiego i Szachina (wydanych jeszcze w latach 1816 i 1829), nie mieliśmy innych. Te ostatnie, jako oparte na wyższym rachunku i odwołujące się ciągle do astronomii, nie mogły znaleźć powszechnego zastosowania w praktyce, wskutek czego b. Komisya Rządowa Przychodów i Skarbu, chcąc poniekąd uzupełnić miernictwo ułożone przez Wrześniowskiego, w którym geodezya pozostała nie tkniętą, wydała, w r. 1839, t. zw. Instrukcyę pomiarową, obejmującą przepisy dla pomiaru dóbr rządowych, które też b. Rada administracyjna Królestwa Polskiego zatwierdziła ¹⁾. W Instrukcyi tej pomieszczono przepisy i wzory, czerpane z geodezyi; ze względu jednak na jej przeznaczenie, nie zostały tam podane wywody pomienionych wzorów, co nadzwyczaj utrudniało zrozumienie i zastosowanie tej gałęzi wiedzy.

Dla zaradzenia temu brakowi, ś. p. Henryk Muklanowicz, jeszcze przed 30 laty, wydał oddzielny dział geodezyi, to jest t. z. trójkątowanie ²⁾, będące częścią naukową, czyli niejako dopełnieniem wspomnianej Instrukcyi przez b. Komisję Rządową Przychodów i Skar-

Ponieważ błędy obserwacji są w danym razie:

$$A - \alpha, B - \beta \text{ i } \varphi - A - B$$

gdzie $\varphi = 180^\circ + \varepsilon - \gamma$, przeto idzie w obecnym przypadku o oznaczenie A i B tak, aby suma kwadratów błędów, pomnożonych przez odpowiednie miary dokładności (m, n i p), to jest suma:

$$m(A - \alpha)^2 + n(B - \beta)^2 + p(\varphi - A - B)^2$$

była najmniejszą. Dla oznaczenia zatem wartości A i B , odpowiadających temu minimum, bierzemy pierwsze pochodne powyższej funkcyi względem A i B , przyrównujemy je do zera, a rozwiązując odpowiednie równania i kładąc dla skrótienia:

$$mn + mp + np = q$$

otrzymamy następująco sprostowano wartości dla kątów szukanych:

$$A = \alpha + \frac{np}{q} (\varepsilon - \varepsilon'); B = \beta + \frac{mp}{q} (\varepsilon - \varepsilon'); C = \gamma + \frac{mn}{q} (\varepsilon - \varepsilon').$$

Dodając do siebie te 3 równania, otrzymujemy:

$$A + B + C = \alpha + \beta + \gamma + \varepsilon - \varepsilon' = 180^\circ + \varepsilon$$

jak i być powinno.

¹⁾ Na kilkanaście lat przedtém, bo jeszcze w r. 1818, b. Komisya Rządowa Spraw Wewnętrznych i Policji wydała znowu Instrukcyę, zawierającą przepisy przy pomiarze miast obowiązujące.

²⁾ „Trójkątowanie drugiego rzędu.“ Napisał Henryk Muklanowicz, Warszawa, w drukarni Józefa Ungra, 1852.

bu ogłoszonej, a jako owoc kilkodziesięcioletniej swojej pracy praktycznej w zawodzie mierniczym, pozostawił po sobie w rękopiśmie obszernie dzieło o miernictwie. Trójkątowanie Muklanowicza cieszyło się wielkiem powodzeniem i bardzo było cenione ¹⁾, ze względu na swoją praktyczność w zastosowaniu, czego najlepszym dowodem jest jego zupełne wyczerpanie w handlu księgarskim. Autor przy wykładzie rzeczy, jak to sam zaznacza we wstępie do pomienionego dziełka, posiłkował się wszędzie prawie prawami matematyki niższej, trygonometrią i algebrą, aby tym sposobem uczynić je o ile można jak najprzystępniejszem. Jakkolwiek objaśnił w niem głównie trójkątowanie drugiego rzędu, jako uzupełnienie Instrukcyi przez b. Komisję Skarbu wydanej, to jednak starał się dać czytelnikom pewne pojęcie o trójkątowaniu rzędu pierwszego.

Dokładna znajomość przedmiotu, nabyte doświadczenie w ciągu długiej praktyki w obranym zawodzie, oraz wielka praktyczność, a nadto jego znana uczciwość, zwróciły na Muklanowicza powszechną uwagę i spowodowały, że powierzano mu, jako geometrce, najważniejsze sprawy tego rodzaju, z pomiędzy których ważniejsze były: spór graniczny między Bankiem Polskim a Przybylskim, między miastem Olkuszem a Kramstą, między magistratem miasta Warszawy a Königsbergerem, że już pominiemy inne. Muklanowicz wykształcił również, jakeśmy nadmienili wyżej, nie jedno pokolenie geometrów, już to prywatnie, już wreszcie jako nauczyciel miernictwa w szkołach publicznych, gdzie lat parę wykładał tę naukę, a w rękopiśmie miernictwa pozostawił społeczeństwu naszemu owoc kilkodziesięcioletniej swojej działalności na polu tej nauki.

Brak w języku polskim dzieła, któreby, obok wywodów teoretycznych, obejmowało obowiązujące przepisy i praktyczne wskazówki, dające możność geometrce uczynienia sporządzonego planu użytecznym pod względem administracyjnym, ekonomicznym i prawnym, skłonił głównie autora, jak to sam zaznacza we wstępie, do podjęcia pomienionej pracy. Ze względu, że wymienione wyżej Instrukcyje pomiarowe, obejmujące wskazówki i przepisy, których pominięcie czyni pomiar nie tylko niedokładnym i nie na wiele przydatnym, ale nadto nieobliczone szkody przynieść mogącym, wyczerpane są zupełnie z handlu księgarskiego, autor, w opracowanem przez siebie miernictwie, przytoczył dosłownie te przepisy, które odnoszą się do robót pomiarowych i których zachowanie jest obowiązkiem każdego dobrego geometry, zwracając przytém uwagę na różnicę ich od przepisów, obowiązujących w ościennych krajach, jak również od przepisów, mających zastosowanie przy pomiarze gruntów, przeszłych na własność

¹⁾ Na niektóre trafne spostrzeżenia autora powoływali się nieraz nasi matematycy, a między nimi i J. K. Steczkowski, b. professor uniwersytetu Jagiellońskiego, w swoich dziełach matematycznych.

włościan w Królestwie Polskiem, a objętych prawami, wydanemi przez Ministeryum Spraw Wewnętrznych Cesarstwa w r. 1871.

Dzieło w mowie będące obejmuje 14 głównych rozdziałów.

Dawszy przedewszystkiem, w dwóch pierwszych rozdziałach, ogólne pojęcie miar, planów, stosunku ich do gruntu, a tém samém kreślenia i użycia podziałek, opisuje następnie narzędzia do pomiarów liniowych i kątowych — łańcuch, taśmę, łąkę, węgielnicę prostą, ruchomą i zwierciadlaną, ekier (rozdział III), busolę, kątomiar różnych układów, pantometr, stolik mierniczy, dyoptrę, libellę i t. p. (rozdziały IV, V, VI i VII), — podaje sposoby sprawdzenia ich dokładności i użycia, wskazując rozwiązanie różnych zadań, jakie mogą się nastęrczyć w praktyce mierniczej.

W rozdziałach VIII i IX podaje ogólne przepisy dopełniania pomiaru szczegółowego jakiémkolwiek z wyżej wymienionych narzędzi, oraz sposoby zaprowadzenia związku ogółowego, liniowego, graficznego, trygonometrycznego ¹⁾, i rachunkowo-rysunkowego ²⁾, objaśniając konieczność zaprowadzenia takiego związku.

Z kolei traktuje autor o sposobach rysowania i kolorowania planów, jak równieź opisywania takowych, umieszczania odsyłaczy dla utrzymania związku między planem i rejestrem, tak aby każdy, jak powiada, z największą łatwością mógł znaleźć w rejestrze szczegół, wskazany na mapie i nawzajem. Dalej podaje sposoby obrachowania powierzchni tak, aby takowa była zgodną z gruntem i wykazywała prawdziwą jego rozległość, objaśnia użycie różnych planimetrów (powierzchniomerzy), czyli wyrachowanie powierzchni mierzonego gruntu, układanie rejestrów pomiarowych (rozdz. IX), traktuje o sposobach przekonania się o dokładności roboty mierniczej, to jest wskazuje sposoby dopełniania rewizji pomiarów (rozdz. XI).

Osobny rozdział (X) poświęca wykładowi sposobów sporządzania odrysów na tę samę podziałkę co pierworysy, lub na podziałkę mniejszą, wskazując jednocześnie zasady budowy i użycia pantografów i mikrografów.

¹⁾ Punkta główne, połączone z sobą liniami, stanowią szereg ozyli sied trójkątów, pokrywających daną do pomiaru przestrzeń. Jeżeli takie punkta wyznaczmy trygonometrycznie, obliczając za pomocą rachunku wzajemną ich od siebie odległość, oraz odległość każdego z nich od dwóch linii stałych wiadomego położenia, zwanych osiami współrzędnymi, to związek taki nosi nazwę rachunkowego, trygonometrycznego, albo tryangulacyjnego. Zaprowadzenie zaś takiego związku nazywa się, jak wiadomo, tryangulacją czyli trójkątowaniem, które opisał autor w wymienionej wyżej przez nas oddzielnej broszurze.

²⁾ Związek pomieniony różni się od trygonometrycznego tém, jak wiadomo, że kąty mierzą się nie teodolitem, albo innym jakim kątomiarom, dającym wypadki ściśle do 10'', ale kreślą się na planie stolikowym i odcinują za pomocą tablicy linii trygonometrycznych (wstaw lub stycznych).

Ze względu, że w praktyce zachodzi często potrzeba podzielenia danego majątku na części mniejsze oznaczonej wartości, autor, w rozdziałach XII i XIII, traktuje o klasyfikacji gruntów, dzieleniu ich i układaniu odpowiednich rejestrów podziałowych i klasyfikacyjnych.

Wreszcie, gdy spokojne posiadanie własności ziemskiej wymaga doskonałego oznaczenia na gruncie i opisanie czy to dawno już istniejących, czy też nowo wyprowadzonych granic, przeto autor, w sposób o ile można wyczerpujący, podaje szereg czynności mierniczych, kwestyj granicznych dotyczących.

Granica, jak wiadomo, może być naturalną, to jest iść biegiem rzeki, parowu, drogi, grobli, lub też iść kierunkiem linii prostej, łamaniej lub krzywjej, wytkniętej na gruncie. Tego rodzaju linię, dla naznaczenia, że jest graniczną, potrzeba, jak wiadomo, opatrzyć pewnymi znakami, łatwo dającymi się odróżnić od innych, przypadkowo mogących być na gruncie.

Już za Cesarstwa Rzymskiego, jak powiada cytowany przez autora Picullus Flaccus, oznaczano granice drzewami, rowami, palami, kamieniami nagromadzonemi w miejscu ogrodzonym, kamieniami wypolerowanemi, z napisami lub numerami porządkowemi, które kładziono bądź na załamach granicy, bądź w pewnych stałych odległościach. Kamienie te miały swoją formę. I tak, Latinus i Myfontius powiadają—ciągnie autor—że na górzystych miejscach kładą się okrągłe kamienie, „quos Augusteos vocant.“ Vitalis i Arcadius wykazują, iż każdą rozległość oddzielnym znakiem oznaczano, i tak: znak wazonu 54 stopy, kamień zaś czworogranny 650 stóp oznaczał. Kopce, jakich na całej rozległości Rzeczypospolitej Polskiej używano w dawnych czasach do oznaczania granic, sypane z ziemi i kamieni, miały podobno wziąć początek z dawnych Włoch. U nas od w. XIV, a mianowicie w wieku XV i XVI, znajdujemy już w dokumentach granicznych wzmianki o tego rodzaju kopcach¹⁾. Oprócz oznaczenia na gruncie granicy kopcami, drzewami z naciosami, lub innemi znakami, sporządzano jeszcze protokół, czyli opisanie granicy. Opisanie te były jednak, powiększej części, tak niedokładne, że skoro przez czas znaki graniczne zostały na gruncie zatarte, to bardzo trudno było odszukać prawdziwy kierunek granic, i odwieczne o to prowadzone były spory.

Jeżeli granica była sporną, to zwykle jedna strona wykazywała linię, którą uważać chciała za granicę, i linia ta zwała się duktem.

Punkt, od którego strona rozpoczynała prowadzenie duktu, zwał się początkiem duktu, czyli punktem a q u o, koniec zaś duktu zwał się punktem a d q u e m.

Linia, wskazywana przez drugą stronę ościenną jako granica, zowie się reduktem, i podobnież ma swój punkt a q u o, czyli początek,

¹⁾ Ob. dokument z r. 1597 w dziele: „Odwieczny spór o granice między dobrami Bolesław, a miastem Olkuszem.“ Warszawa, 1880, p. 103.

i punkt *ad quem*, czyli koniec reduktu. Przestrzeń, leżąca między duktem i reduktem, stanowi miejsce sporne, czyli kontrowers.

Jeżeli cały kontrowers jest w posiadaniu strony rozpoczynającej proces (powodowej), to dukt jój stanowi zarazem linię posesoryjną, t. j. linię, która oddziela użytkownika strony powodowej od użytkowników strony pozwanej, redukt zaś w takim razie idzie po gruncie, nie znajdującym się w posiadaniu téj strony, która go prowadzi, ale strony przeciwnéj.

Tak samo rzecz się ma, jeżeli kontrowers znajduje się w posiadaniu strony pozwanej: redukt stanowi linię posesoryjną, a dukt linię poszukiwanéj granicy.

Jeżeli kontrowers jest częścią w posiadaniu jednéj strony, częścią zaś w posiadaniu drugiéj strony, to oprócz duktu i reduktu, koniecznie prowadzić należy i linię posesoryjną, czyli linię, wskazującą jakoby dzisiejszą granicę, poza którą sięgają pretensye obu stron.

Z całej pracy pomiarowej naznaczenie i ustalenie granic jest czynnością najważniejszą, i dlatego kreśląc ten dorywczy szkic pracy ś. p. Muklanowicza, kwestyi téj bliżej dotykamy.

Granica pewna, t. j. dokładnie ustalona, stanowi o rzeczywistéj wartości własności; dlatego tak nakreślenie granic na planie, jakoteż oznaczenie ich granicznemi znakami, a w końcu opisanie dokładne, to jest takie, żeby z niego, bez żadnych dalszych objaśnień, w razie potrzeby, każdy ich punkt, zatracony na gruncie, dał się wysledzić i powrócić na dawne miejsce, z pewnością i środkami o ile można najłatwiejszemi, powinno być celem największéj uwagi i troskliwości geometry.

W królestwie Polskiem są, jak wiadomo, dwa rodzaje majątków czyli własności ziemskich:

1) Dworska, podlegająca jurysdykcyi ogólnych ustanowionych sądów, t. j. w sprawach posesoryjnych, kiedy idzie o użytkowanie, a nie o własność, czyli raczej kiedy idzie o wyjaśnienie, w czyjém bezsporném posiadaniu zostawała ziemia, o którą spór się rozpoczął, rok jeden przed datą skargi o naruszenie posesyi. Przesądzenie sporu należy do sądów pokoju lub gminnych, stosownie do tego, czy spór toczy się w mieście czy téż w gminie. W sprawach zaś, kiedy idzie o to, w czyjém ręku pozostać ma nazawsze sporna miejscowość, kwestyę tę rozstrzyga Sąd okręgowy w pierwszej, a Izba sądowa w drugiéj instancyi.

2) Majętność włościańska, podlegająca jurysdykcyi komisarzy włościańskich, władz gubernialnych i czasowéj komisyi włościańskiej w Petersburgu, a pod ogólne sądy podchodząca wtedy tylko, gdy to władze włościańskie za właściwe uznają.

Przy rozgraniczaniu tedy dóbr ziemskich na te dwa rodzaje majątności zwracać należy pilną uwagę.

Jeżeli dwaj sąsiedzi, jawni z wykazu hipotecznego właściciele majątków ziemskich, pragną dobrowolnie ustalić granice swych posiadłości, to geometra, wprowadziwszy granicę na gruncie i opatryw-

szy ją znakami granicznymi, spisz odpowiedni protokół, a strony działające powinny bezzwłocznie zeznać stosowny akt ustalenia granic przed notaryuszem, a mapę, rejestr pomiarowy, oraz protokół graniczny każdej majątności złożyć do dokumentów właściwej księgi wieczystej; gdyż wszelkie układy prywatne, tyżące się własności ziemskiej, chociażby nawet były przez obie strony podpisane, a tém samém i układy graniczne, zgodnie z przepisami Kodeksu postępow. cyw., nie mają żadnej wartości.

Jeżeli jeden z właścicieli graniczących z sobą posiadłości nie życzy sobie odnowienia i ustalenia granicy, chociaż takowa sporną nie jest, to geometryce nie służy prawo odnawiania, na jej kierunku, jakichbądź istniejących kopców i znaków, a tém bardziej sypania nowych kopców lub stawiania jakichbądź znaków granicznych, ale właściciel, żądający zabezpieczenia granicy, powinien wystąpić o to z prośbą do właściwego Sądu okręgowego, i ten, po zbadaniu żądania, nakaże odnowienie granic lub wynikłe spory graniczne rozsądzi; między bowiem dwiema własnościami, w żadnym razie, ani odnowienie dawnych, ani wyprowadzenie nowych granic, bez zezwolenia i wiedzy stron obu-dwóch lub wyroku Sądu, nastąpić nie może.“

Przytoczyliśmy parę ustępów dosłownie, aby dać czytelnikom pewne pojęcie o sposobie i zakresie traktowania danego przedmiotu przez autora.

Rozumie się samo przez się, że nie możemy tu wchodzić w bliższy rozbiór, albo też streszczać ciekawsze kwestye, nawet w tym jednym rozdziale przez autora traktowane, gdyż to rozszerzyłyby znacznie ramy niniejszego sprawozdania. Nadmieniamy tylko ogólnie, że autor wskazuje w nim zasady, jakie przestrzegać należy przy sporządzaniu map miejsca spornego, aby dostarczyć sądom materyałów, koniecznych potrzebnych do sprawiedliwego ocenienia pretensyj stron spór wiodących; często bowiem, przez nieuwagę lub brak potrzebnych w tym względzie wiadomości działającego geometry, pominięte być mogą te wskazówki, które są właśnie niezbędne do wyjaśnienia istoty sporu.

Przy opisywaniu granic autor podaje wszystko to, co obejmować powinien protokół graniczny, wskazuje sposób sporządzania opisów geodezyjnych, jakie są wymagane przy pomiarach włościańskich, wykłada różnicę, zachodzącą między protokołem granicznym, a opisem geodezyjnym, podaje sposoby odszukania i przywrócenia zatartej i zniszczonej na gruncie granicy na podstawie dobrze sporządzonego protokołu granicznego lub opisu geodezyjnego.

W końcu pomieszcza autor w dziele swoim sposoby praktyczne dzielenia danej przestrzeni na części, jak np. przy zaprowadzeniu płodozmianu, prowadzeniu dróg, rowów, i t. p., które to wiadomości są bardzo pożyteczne i potrzebne dla postępowych ziemian.

Taką jest, w ogólnych zarysach, treść dzieła, które ś. p. Muklanowicz do druku przygotował. Do pracy tej dołączone są liczne ta-

blice rysunkowe i rachunkowe, obejmujące wzory rysowania planów, ich kolorowania, wzory druku i pisma do wszelkich opisów na planach pomiarowych, miary wysokości liter i liczb do wszelkich napisów na planach w pręcikach podziałki normalnej, z oznaczeniem rodzaju liter i liczb, wreszcie 244 figury, objaśniające tekst dzieła.

Ś. p. Muklanowicz pracował pożytecznie lat trzydzieści kilka w obranym zawodzie, i na tém polu nikt inny podobnych zasług przeciwstawionym mu być nie może. Jakiśmy wyżej zaznaczyli, przygotował on nie jedno pokolenie zdolnych geometrów, którzy nieraz zawdzięczali mu byt i karierę, i pracą swoją dobrze się zasłużył krajowi. Społeczeństwo tedy nasze spłaci dług wdzięczności, popierając wydanie pozostawionego w rękopiśmie dzieła, jakiego brak naszej literaturze, i przychodząc tém samym z pomocą rodzinie ś. p. Muklanowicza, której majątku po sobie nie zostawił.

W końcu nadmieniamy jeszcze, że nowe wydanie dawniejszego dziełka tegoż autora p. t.: „Trójkątowanie,“ wyczerpanego z handlu księgarskiego, a stanowiącego jedną całość z miernictwem, którego szkic dorywczy rzuciliśmy w niniejszém sprawozdaniu, byłoby również bardzo pożądaném.

Podając niniejszą wiadomość o rękopiśmie miernictwa ś. p. H. Muklanowicza, chcieliśmy zwrócić na ten rękopism uwagę redakcyj, wydawców i mecenasów nauki, dla których dobro kraju naszego nie jest obojętném.

O STOSUNKACH SZKOLNYCH I EKONOMICZNYCH

W W. KS. POZNAŃSKIEM.

PRZEZ

Ludwika Żychlińskiego.

Rzut oka na stosunki szkolne W. Ks. Poznańskiego w przeciągu ostatnich lat 60-ciu.—Analfabeci.—Głosy prasy niemieckiej o wadliwości organizacji szkół elementarnych w Prusach.—Środki obrony, jakie daje konstytucya przeciw systemowi szkolnemu.—Słówko o kółkach włościańskich.—O stosunkach własności w W. Ks. Poznańskim i w Prusach.—O upadku stanu włościańskiego.—Ile u nas ubyłoby gospodarstw włościańskich.

W r. 1815 uznała władza najwyższa język polski za równouprawniony z niemieckim. W ministryum oświaty w Berlinie zasiadali wówczas: Hardenberg, Ancillon i Humboldt, a jak się zapatrywali na żywot ludów, pokazuje jaknajwyraźniej reskrypt ministryalny z 23-go grudnia 1822 r., będący odpowiedzią na odezwę t. z. regencyi: „jak ma postępować z wpajaniem języka niemieckiego w ludność polską?” W odpowiedzi téj czytamy: „Chodzi niezawodnie rządowi o to, aby ludność tameczna umiała po niemiecku i tym sposobem uczestniczyć mogła we wszystkich korzyściach instytucyi państwowych, ale ztąd nie wypływa bynajmniej potrzeba niemczenia téj ludności. Ktoby mniemał, że do jęj kształcenia przyczyni się najlepiej niemczenie, ten popełniałby błąd bardzo gruby. Wykształcenie tak jednostki, jak narodu, warunkuje tylko mowa ojczysta. Chcieć w jęj miejsce wszczepiać mowę obcą, byłoby poczynaniem przewrotném nawet w pojedynczych razach, a cóż dopiero w zasadzie, mianowicie gdy zważymy, że polacy mają bogaty i odrębnie ukształcony język. Chcąc skutecznie chodzić około ich wykształcenia, trzeba im pozostawić własną mowę; rząd wymaga tylko zaprowadzenia w szkołach wyższych języka niemieckiego jako przedmiotu nauki i baczenia na to, aby uczniowie, opuszczający szkołę, władać nim się nauczyli.” Instrukcya ta poczęła jednak wkrótce widocznie szwankować; władze szkolne przeniosły bowiem liceum ry-

dzyńskie, w którym językiem wykładowym był polski, do Leszna i powierzyły w nowym tym zakładzie posady nauczycielskie w połowie osobom nie znającym języka polskiego, a równocześnie zaprowadziły i w poznańskim gimnazjum ś. Maryi Magdaleny w trzech wyższych klasach język niemiecki jako wykładowy. Sejm pierwszy prowincjonalny z r. 1827 ¹⁾ zaniósł o to skargę do króla pruskiego i pragnąc czuwać nad szkołami, wniósł wedle myśli księcia Antoniego Sułkowskiego, marszałka sejmowego, prośbę o pozwolenie utworzenia eforatu szkolnego, w którego skład wchodzić miało 7-u członków sejmowych, a 5-u pozasejmowych. Odpowiedź Korony odmówiła utworzenia eforatu, natomiast potwierdziła powyższą instrukcją ministerium oświaty, dodając wszelako, że rząd konieczny wzgląd mieć musi na to, że $\frac{2}{3}$ ludności W. Ks. Poznańskiego jest pochodzenia niemieckiego.

Po r. 1830 uległo rozporządzenie z r. 1822 radykalnej zmianie. Z czterech gimnazyjów, jakie wówczas istniały w Ks. Poznańskim, zaprowadzono w trzech niemiecki język jako wykładowy, w jednym tylko pozostawiono jeszcze język polski jako wykładowy, ale tylko w dwóch najniższych klasach. Że i w szkołach elementarnych chciano język nasz zepchnąć na poślednie miejsce, dowodzi publikowane w Dzienniku Urzędowym z r. 1833 obwieszczenie tej treści, iż nauczyciele elementarni posiadać winni odtąd gruntowną znajomość języka niemieckiego, podczas gdy polski nie powinien im być całkiem obcy. Sejm prowincjonalny z r. 1837 wystąpił jednomyślnie (a więc razem z członkami niemcami), prosząc, ażeby specjalnie w gimnazjum ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu i w gimnazjum w Lesznie językiem wykładowym dla trzech niższych klas był język polski i ażeby w ogóle we wszystkich szkołach język polski używany był obok niemieckiego, jeśli tego zrozumienie wykładu wymaga. Na dowód, że wykład niemiecki nie przynosi pożądaných owoców, załączył sejm wykaz abiturjentów, od r. 1816 począwszy. Otóż od r. 1816—1825, a więc w czasie, gdy wykład był polskim, dostarczyły szkoły wyższe 154 abiturjentów, podczas gdy w przeciągu czasu od r. 1830—1835 zdało tylko 45 uczniów egzamen dojrzałości. Odpowiedź Korony nie uwzględniła jednak tego przedłożenia. Podczas tedy, gdy młodzież nasza zmuszona była przyswajać sobie język niemiecki, nim jeszcze dokładnego o naukach nabyła pojęcia, nie potrzebowała tego młodzież niemiecka i nie uczyła się po polsku. Ztąd wyniknął ten skutek, że uniejętność obu języków napotykała się we władzach rządowych coraz rzadziej. Po r. 1840, gdy wstąpił na tron król Fryderyk Wilhelm IV, zaczęto w części zawracać na dawne tory: Instrukcja językowa z dnia 22 maja 1842 r. opiewała: „że o głównym języku dla szkółek i dla szkół miejskich stanowić ma język większości uczęszczających dzieci, z tą różnicą, że w wyższych klasach szkół miejskich winien być językiem wykładowym język nie-

¹⁾ „Historja sejmów W. Ka. Poznańskiego,” przez Ludwika Żychlińskiego, tomów 2.

miecki. Nauczyciele seminaryów nauczycielskich obowiązani są posiadać obydwa języki, chociaż wykładowym językiem jest przeważnie język niemiecki. Redakcja książek naukowych ma być w dwóch językach, a nauczycielów obowiązkiem przedsięwzięcie częstych repetycyi z uczniami celem przekonania się, czy zrozumieli dostatecznie wykład niemiecki. W gimnazyach polskich wykładać mają w czterech niższych klasach tylko tacy nauczyciele, którzy biegli są w obu językach, a wykładać przeważnie po polsku, podczas gdy w dwóch najwyższych klasach winien odbywać się wykład przeważnie po niemiecku." W myśl tej instrukcyi mogli uczniowie rozwinać swój umysł dostatecznie dla słuchania w następstwie z korzyścią wykładu niemieckiego. Nadwierzano wprawdzie w skutek mnogich drobiazgowych „objaśnień i dopełnień” przepisy instrukcyi, ale przynajmniej paragrafu, dotyczącego nauki religii w ojczystym ucznia języku, ściśle przestrzegano.

Nadszedł rok 1872. I otóż zjawia się rozporządzenie z d. 16 listopada 1872 r. tej treści: „Podług sprawozdań władzy prowincjonalnej panuje w prowincyi poznańskiej wielka różnorodność języka wykładowego w nauce religii po szkołach wyższych, a ludzie fachowi różnie o tém opiniują. Pragnąc jednolitości, bez uwłaczania przytém przedmiotowi, wnieśliśmy do Króla JMci o odpowiednią zmianę instrukcyi z r. 1842, o ile ona odnosi się do używania języka polskiego jako wykładowego, poczem Najj. Pan rozporządził racyt, odnośnie do zastrzeżenia, jakie instrukcyja rzeczona zawiera, że odtąd stosować się ma w wyższych szkołach prowincyi nauka religii do tych samych przepisów o języku wykładowym, jakie obowiązują przy nauce innych przedmiotów szkolnych.” W trop za tém rozporządzeniem wyszło nowe z roku 1873, którego treść nakazywała metodę, mającą ułatwiać dzieciom polskim nauczenie się coraz dokładniejsze języka niemieckiego, a dla języka polskiego zastrzegając tylko, że dozwalała używać go do pomocy o tyle, o ile tego wymagać będzie zrozumienie przez dzieci polskie przedmiotu wykładanego po niemiecku. Minęło odtąd lat 10 i oto wychodzi w marcu 1883 r. rozporządzenie, zawierające przepisy pisania imion i nazwisk dzieci polskich, mających imiona i nazwiska brzmiące po niemiecku, jako niemieckie. Wedle tych przepisów „nakazano wszelkie imiona zapisywać w pierwszej linii w formie niemieckiej, a gdyby forma ich była inną w polskim, jak w niemieckim języku i naodwrot, nakazano do niemieckiej formy dodawać w nawiasie polską. O pisaniu nazwisk rozstrzygać mają urzędowe spisy, przysyłane nauczycielom przez władze policyjno-administracyjne. Pod żadnym zaś warunkiem, brzmi dalszy ustęp rozporządzenia, „nie wolno nazwisk z niemiecka brzmiących przekreślać” polską pisownią i aby osiągnąć ten cel, zapisywać należy z niemiecka brzmiące nazwiska dzieci, których policyjna władza nie wpisała jeszcze, dopóty ortografią niemiecką, dopóki metryka nie udowodni innej pisowni. O nazwiskach brzmiących z niemiecka, a już na polskie „przekreślonych” i w tém przekreśleniu w spisie umieszczonych, należy dać znać w przeciagu

dwóch tygodni inspektorom szkolnym. Inspektorów należy także zawiadamiać bezzwłocznie o tém, gdyby się pojawiły nowe przekręcania nazwisk." Jak wykazało doświadczenie półroczne, dopomogły przepisy te do zagarnięcia wszystkich dzieci, których nazwiska brzmiały z niemiecka, lub odnieść się dały do źródłosłowa niemieckiego, do kategorii dzieci niemieckich. Zważywszy, że rozporządzenie z r. 1873 zawierało w sobie paragraf, wedle którego „dzieci niemieckiej narodowości muszą wszędzie po niemiecku pobierać naukę religii,” a alinea 2-gie tegoż rozporządzenia przepisywało: „że gdzie dzieci znają język niemiecki, tam i naukę religii wykładać można a po niemiecku, przychodzimy do przekonania, że rozporządzenie z r. 1873, istna puszka Pandory, pozostawiło język polski jako jeden z przedmiotów nauki, oraz pozostawiło wykład polski religii, ale orzekano zarazem, że to tymczasowe tylko jest ustępstwo, albowiem gdy dzieci postąpią w znajomości języka niemieckiego, wtedy wszystko, a więc i religia wykładana będzie po niemiecku. Kiedyż spodziewano się tego postępu dzieci w języku niemieckim? Któż zadczyduje o tym terminie? Odpowiedział na to niebawem reskrypt regencyjny z 7 kwietnia 1883 r., nakazujący: „aby w tych publicznych i prywatnych szkołach, w których liczba dzieci, mówiących po niemiecku, wynosi połowę dzieci, odbywał się wykład religii po niemiecku, we wszystkich trzech i więcej klasowych szkołach miejskich, dla wszystkich dzieci oddziałów średnich i najwyższych. Na wyjątki pozwoli regencya tylko w pojedynczych wypadkach i w tym celu nakazuje nadesłanie sobie szczegółowych sprawozdań w przeciągu miesięcy dwóch.” W praktyce miał ten reskrypt takie znaczenie: dzieci uznane przez inspektorów za niemieckie, uczyć się będą już w najniższym oddziale religii po niemiecku, inne zaś dzieci podzielone będą na kategorie: 1) dzieci jednoklasowych szkół, gdzie, jeśli połowa dzieci uznanych będzie za niemieckie, uczyć się będą wszystkie dzieci religii po niemiecku; 2) dzieci w szkołach dwu lub więcej klasowych, t. j. w miastach, gdzie uczyć się będą religii, tak w średnich, jak i wyższych oddziałach, tylko po niemiecku. Co zaś do szkół wiejskich, do których głównie polskie uczęszczają dzieci, wyda władza szkolna obowiązujące przepisy dopiero po nadejściu sprawozdań inspektorskich. Rozporządzenie, czyli reskrypt ten z 7 kwietnia r. z., publikowany z urzędu dnia 16 kwietnia, wejść miał w życie już 1 maja 1883 r.

Wszczął się popłoch nielada i w familiach i w dziennikarstwie i to nietylko naszym, ale i niemieckim, a mianowicie katolickim i prusko-zachowawczym i minister widział się spowodowany złagodzić reskrypt z 7-go kw., reskrytem z 27-go kw., który opiewa „że wykład religii odbywać się ma w szkołach jedno i więcej klasowych, tylko wtenczas po niemiecku, jeśli dzieci polskie postąpiły tak daleko w znajomości języka niemieckiego, iż rozumieją i pojmują dokładnie przedmiot w nim wykładany. Inspektorowie przystać mają ku temu celowi osobne o każdej szkole sprawozdanie i wstrzymać się

z wykonywaniem reskryptu dopóty, dopóki rzeczy ostatecznie nie rozstrzygnie regencya.“ Ostatni reskrypt byłby złagodzeniem poprzedniego, gdyby nie samym tylko inspektorom szkolnym przysługiwało prawo wydawania sądu, które z dzieci dostatecznie rozumie język niemiecki; skoro jednak tylko oni mieli prawo o tém orzekać, a już raz orzekli byli tak, że na mocy tego ich orzeczenia wydała regencya reskrypt swój z 7-go kwietnia, przeto ani ojcowie rodziny, ani prasa, ani wreszcie posłowie nie przestali o naprawę złego kołatać, ani słusznie zarazem utrzymując, że przecież reskrypt łagodzący z 27-go kwietnia nie znosi w niczem zasady, podług której wykład nauki religii ma się odbywać po niemiecku we wszystkich szkołach. Minister oświecenia starał się usprawiedliwić system, grzeszący przeciw zasadom wszelkiej pedagogiki, i przytaczał ogromną ilość dat statystycznych, które mu nadesłano z Poznańskiego, a które miały niezbicie udowodniać, że środki, zarządzane przez regencyą poznańską, miały tylko na celu bronić Niemców przed... polonizacją. Tymczasem, wykazało się niebawem, że daty, nadesłane ministrowi, miały się z prawdą, a wykaz na autentycznych oparty dokumentach, kazali posłowie w osobnej wydrukować broszurze ¹⁾ i wręczyli ją wszystkim posłom i ministrom.

Podczas gdy w ten obiektywny sposób usiłowaliśmy przekonać ministra i posłów niemieckich o niesłuszności nam wyrządzonej, nie przestawała prasa odwoływać się i na konstytucyą, która w § 4 głosi równouprawnienie obywateli, kiedy tymczasem rozporządzenia szkolne łamią to równouprawnienie, uciekając się do jedułej miary na korzyść niemieckich, a do drugiey na krzywdę polskich dzieci. Np. jeśli wśród 100 dzieci polskich mieściło się kilkanaście niemieckich, to tworzone dla tych ostatnich osobny oddział nauki religii, jeśli zaś w szkole była jedna połowa dzieci polskich, a druga niemieckich, wtedy ustawała nauka religii w języku polskim. Ostatecznie ujrzał się sam minister w bardzo niemiłym położeniu. Zaledwie bowiem na zażalenia posłów naszych wygłosił był w sejmie: „macie panowie naukę religii, jakeście się o nią dopominali, albowiem tylko istnieje 44 wyjątków, w których religia nie jest wykładaną polskim dzieciom po polsku,“ aliści w trzy tygodnie później wydała regencya poznańska rozporządzenie z 7-go kwietnia, w którym nakazuje, aby wykład nauki religii odbywał się bez wyjątku po niemiecku w średnich i wyższych oddziałach wszystkich szkół ludowych, a niektórzy inspektorowie pozwalają sobie iść jeszcze dalej i zaprowadzają już w najniższym oddziale wykład religii niemiecki. Uznawszy minister, że łagodzący reskrypt z 27 kwietnia postradał znaczenie, wobec dostarczanych bezustannie dowodów samowoli regencyi Poznańskiej z jedułej, a fałszywych „barychtów“ z dru-

¹⁾ Wo ist die Wahrheit? Ein Beitrag zu den Verhandlungen im Abgeordneten-Hause über den Antrag der polnischen Abgeordneten vom 14 März 1883. Posen.

gięj strony, zdobył się na krok, względnie śmiały i polecił regencyi poznańskiej, aby cofnęła natychmiast wszystkie na mocy reskryptów z 7 kwietnia oraz z 27 kwietnia wydane rozporządzenia, o ile dotyczą udzielania dzieciom polskim religii po niemiecku. Skutkiem tego rozkazu cofnąć musiała regencya na d. 12 czerwca r. b. osobnym okólnikiem rozporządzenia swoje z 7 i z 27 kwietnia i nakazać inspektorom przywrócenie status quo ante. Minister, przyparty w sejmie mnogimi zarzutami, nie wahał się na dobitkę oświadczyć, „iż regencya poznańska przekroczyła swe atrybucye, postąpiła bowiem bez „wszelkiego porozumienia” się z kierującymi i decydującymi politycznie osobami instancyi centralnych, a nawet bez porozumienia się z politycznym urzędnikiem prowincyi poznańskiej, który wydał rozporządzenie z r. 1873.”

Niesłychana to zaiste rzecz w rocznikach państwa, uorganizowanego z taką drobiazgową, jak pruskie dyscypliną.

Najnowszy stan rzeczy jest taki: Rozporządzenie z 12-go czerwca przyniosło dzieciom szkół elementarnych pewną ulgę, wszelako daleko jeszcze do tego, aby faktycznie w całej swęj rozciągłości weszło w życie. Prasa znosi bezustannie niemal z różnych stron Księstwa fakta, które gdy zebrane zostaną w całość, wykażą, że upokorzona falanga germanizatorów nie dała za wygraną i że z gorliwością wielką usiłuje — mimo rozporządzenia z 12 czerwca — obezwładniać naukę religii przez to, że zatrzymuje w wielu miejscach wykład jej niemiecki, na mocy dozwolonej całkiem fikcyi, jakoby niemieckie lub z niemieckiego brzmiące nazwisko dzieci stanowiło nieodwołalnie o narodowości dziecka. Na takie poczynanie bodaj inne znaleźć można lekarstwo, jak § konstytucyi, dotyczący śledztwa parlamentarnego. Obiektywnego zbadania sprawy żądać powinniśmy jaknajprędzej, a że wiele za tém przemawia, iż nareszcie po latach 40 oczekiwania, przedłożony zostanie sejmowi berlińskiemu projekt do ustawy szkolnej, rzeczą jest naszą, aby dokumenta nagromadzić i w zwartym szeregu z niemi wystąpić. Nieposłuszeństwo podrzędnych organów władzy szkolnej, tak jaskrawo objawione, a trwające częściowo i dzisiaj, pochodzi zapewne stąd, że ani żaden członek z gremium regencyi, ani żaden inspektor szkolny nie został usunięty. Nie jestże to ironią, ażeby w państwie konstytucyjnem rozstrzygał nie sam obywatel o swęj narodowości, ale urzędnik policyjny współ z inspektorem szkolnym?

Najlepszą, najobiektywniejszą krytykę postępowania władzy poznańskiej szkolnej, mieści w sobie sprawozdanie ministryum wojny z roku etatowego 1882, dotyczące analfabetów. Z pomiędzy 88,480 rekrutów przypada analfabetów:

W ziemi Hohenzollern	0,00%
„ Szlezwigo-Holsztynie	0,11
„ Nassawii	0,24
„ Prowincyi saskiej	0,31

W Hanowerze	0,33
„ Brandenburgii	0,33
„ Westfalii	0,35
„ Prowincyi nadreńskiej	0,38
„ Prowincyi pomorskiej	0,68
„ Szlązku	2,31 w obwodzie Opol- [skim 4, 22 ^o]
„ Prusach wschodnich	6,57
„ Prusach zachodnich	8,47
„ W. Ks. Poznańskim	11,00 (i to: w obwodzie

Pozn. 12,89^oo, w ob. Bydg. 7,10^oo).

Widzimy z tego, że wszędzie, gdzie istnieje ludność polska, alfabetowi w znacznej pojawiają się liczbie; dodajmy teraz, że przez alfabetów rozumie ministerium takich, którzy w żadnym języku czytać i pisać nie nauczyli się, dodajmy, że sprawozdanie ministerium z r. 1881 wykazywało n. p. dla poznańskiej prowincyi 9¹/₂^oo analfabetów, a przekonamy się, że liczba ich z roku na rok rośnie.

W ostatnich czasach zaczyna prasa niemiecka wszelkich odcieni poddawać gruntownej krytyce organizacyą szkół elementarnych w Prusiech, i wyrabia się coraz bardziej przekonanie, że zadowolenie, z jakim niedawno jeszcze patrzano na tę organizacyą, graniczy z zarozumiałością. Jeden z dzienników berlińskich pisze n. p. w końcu września: „Stopień oświaty, jaki osiąga dziecko w szkole elementarnej, nie odpowiada uczuwaną potrzebę; czegoż bowiem nauczyła szkoła elementarna? Pisać, czytać i rachować. Tymczasem jest to tylko warunek wstępny rozwoju rozumowego, przypuściwszy, że nauka czytania służy zawsze w parze z zrozumieniem przedmiotu. Oświata ludu kończy się zwykle na szkole elementarnej, zależy więc na tém, aby ta szkoła nauczyła wszystkiego, czego w swym obrębie nauczyć może. A tymczasem jakże się rzecz ma, mianowicie na wsiach? To, czego się dziecko przez lat siedm nauczy, mogłoby się snadnie przez rok nauczyć!” Z polecenia ministra spraw szkolnych wyszedł drukiem „Memoryał o szkołach ludowych w Prusiech,” będący uzupełnieniem czasopisma bióra statystycznego i zawiera następujące dane: W roku 1878 zobowiązanych było uczęszczać do szkół elementarnych w państwie pruskim 4,340,600 dzieci. Z téj liczby pobierało 42^oo naukę w szkołach o normalnej frekwencji i przypadało na jednego nauczyciela 80 dzieci; — 230,500 dzieci, t. j. 5^oo, korzystało tylko z północnych szkół. — „Uderzać powinno pedagogów — pisze dalej tenże dziennik — że stan rzeczy taki, w którym 80 dzieci przypada na jednego nauczyciela, zowie się stosunkiem normalnym, dalej, że nauka wogóle jest możliwa, gdy liczba dzieci podwaja się, a nawet potraja. Doświadczenie wykazuje coraz jaskrawiej niedomagania panującego systemu.” Pomyślmy teraz, że jeśli szkoła elementarna dla dzieci niemieckich już tak kuleje, jakże dopiero kuleć musi dla dzieci naszych?

Konserwatywny „Reichsbote” tak się znów odzywa: „Zamiast żeby Prusy zwalczały faktycznie niedomagania szkoły, pojawiające się coraz wyraźniej, wytworzyły sobie teorią opiewającą, że szkoła tylko do państwa należy i że tylko państwo zarządzać i rozporządzać w tej dziedzinie powinno. Tę zasadę zastosowywano tak w szkołach katolickich jak i protestanckich, z czego stronnictwo, zowiące się liberalnym pruskim, skorzystało, aby na mocy logicznych wywodów pchać rząd do coraz absolutniejszego występowania przeciw wszelkiemu Kościołowi. Teoria byłego ministra oświecenia, Falcka, pozostawiająca Kościołowi li prawo uskarżeń się, sprzeciwia się i historii i rozumowi. Wedle prawa historycznego i naturalnego, obchodzi szkoła nietylko państwo, ale także Kościół i familię; wszystkie te trzy czynniki mają swoje prawa do szkoły. Jeśli więc państwo nie zważa ani na Kościół, ani na familię, wytwarza szkody, które się potem mszczą na niem.”

Jakież istnieją środki obronne przeciw systemowi szkolnemu, oprócz zbierania materiałów i wystąpienia potem z niemi na sejmach? Wiece, w których rozbierają się kwestye szkolne i na których formułują się rezolucye, wystosowywane, bądź do naczelnego prezesa, bądź do ministra, bądź do samego sejmu i szerzenie opartej oświaty pośród ludu, za pomocą czytelní ludowych. Lud nasz chętnie się oświeca. Sprawozdania Towarzystwa czytelní ludowych stwierdzają, iż lud coraz liczniej dopomina się o strawę umysłową. Dzisiaj istnieje już w księstwie siedmdziesiąt biblioteczek ludowych po miastach, nie licząc małych wiejskich, ale wszystkie nie wystarczają bynajmniej w obec rozbudzonej chęci oświecania się. Stosunki nasze nie pozwalają niestety! w obec tylu potrzeb, przychodzić w pomoc Towarzystwu dość obfitym groszem. Jeśli gdzie, to u nas nazwać można obywatela jako tako miennego, przedewszystkiem zaś obywatela wiejskiego, — stworzeniem składkującym. Dość spojrzeć chociażby tylko w dzienniki, aby się przekonać na co nie składkują obywatele... Naliczyłem składek aż na 20 różnych celów, większych i mniejszych, stałych i doraźnych, samorzutnych, lub mniej więcej przymusem wydobywanych.

Kiedy już wspominałem o Towarzystwie czytelní ludowych, nie wypada zamilczeć o Kótkach włościańskich. Przybyło ich sześć w ostatnich miesiącach. Jak to bywa, w jednych kótkach pełno ruchu, ochota wielka, w drugich sporadycznie tylko objawia się życie, a jest i takich nie mało, które tylko wegetują. Poczucie ich potrzeby jeszcze nie dość przeszło w krew i kości, a przecież w nich spoczywa jedna z najwalniejszych dźwigni żywota naszego, jeden z najwalniejszych środków uratowania tego, co uratować można z mocno zagrożonej puszczyny przodków. Kto z ludu uczęszcza na Kótko, ten też chętnie poczy się z księżki, pożyczonej z czytelní, a i na odwrót zdarza się, że przeczytanie jakiejś praktycznej książeczki wzbudzi w tym i owym z ludu chęć uczestniczenia w pracach Kótki, mającego na celu polep-

senie gospodarstw włościańskich przez stosowniejszą pracę około roli i t. p., przyczém jasno się przedstawia rozumowi chłopskiemu potrzeba solidarności i ruguje się tym sposobem powoli z jego duszy to sobkostwo, któremu zwykł był tak często ulegać.

Że i stan włościański materyalnie u nas upada, nie podpada wątpliwości. O kureczeniu się w rękach naszych własności większej już parę razy donosiłem. Dziś chcę pomówić i o większej i o małej u nas własności, oraz porównać naszą prowincyą z trzema graniczącemi z nią prowincjami, aby unaocznić stosunek, w jakim zostaje nasza, a tych prowincji własność ziemska. Dostępne mi dzieła ¹⁾ nigdzie ani słówkiem nie napomykają o rozdziale własności w Poznańskim wedle narodowości, z nich więc niczego dowiedzieć się nie można w tym względzie. Oparci na własném dochodzeniu, możemy, co do większej własności u nas brak ten dopełnić, natomiast co do mniejszej własności nic bliższego odszukać nie potrafiiliśmy, ograniczyć się więc musimy na podaniu różnicy cyfr większej własności naszej a niemieckiej. Poprzednio nadmienimy tylko jeszcze, że cała przestrzeń rolna W. Ks. Poznańskiego obejmuje 12,110,326 morgów. Z tej liczby przypada na większą własność 6,507,816 morg., a na mniejszą 5,602,500 morgów. W naszym ręku jest dziś własności większej 2,685,000 morgów ²⁾.

Rozdział własności gruntowej sprowadzić można do trzech typów: własności większej, średniej i małej, przyczem zauważyć należy, że gdzie jeden z tych typów napotykamy, tam on też nadaje przeważny charakter rozdziałowi własności.

Rozdział własności gruntowej na przeważnie większą własność ³⁾ zachodzi w części prowincji pomorskiej, na Szlązku, w prowincji pruskiej, oraz w W. Ks. Poznańskim. W prowincji brandeburskiej przeważa raczej własność średnia.

Tuż przed r. 1870 stanowił rozdział zagospodarowanej własności gruntowej, wedle obszaru:

¹⁾ Lette: Vertheilung des Grund-Eigenthums in Preussen. Meissen: Der Boden und die landwirthschaftlichen Verhältnisse in Preussen. Von Miaskowski: Grundeigenthums vertheilung ein deutsches Reiche. V. Miaskowski: Die gegenwärtige Lage des Bauernstandes in Preussen. Referat und Schlussvotum, erstattet in der Sitzung des Königl. Landes-Oekonomie Collegiums vom 14—17 Februar 1883. Bäuerliche Zustände in Deutschland. Berichte des Vereins für Social-politik. Leipzig, I und II Band 1883.

²⁾ W sumie większej własności niemieckiej mieści się Królewsczyny 821,000 morgów.

³⁾ Ekonomiści stawiają za normę własności większej, własność obejmującą co najmniej 600 morgów, a to dla tego, że renta gruntowa wystarcza już od własności 600 morgowej począwszy, na utrzymanie właściciela wraz z familią.

Z każdych 100 posiadłości i z każdych 100 morg. przestrzeni.

	niżej 5 morgów		od 5 do 30 m.		od 30 do 300 m.		od 300 do 600 m.		wyżej 600 m.	
	posia- dłość	pre- strzeń	posia- dłość	pre- strzeń	posia- dłość	pre- strzeń	posia- dłość	pre- strzeń	posia- dłość	pre- strzeń
W pr. pruskiej...	26,57	0,58	24,07	3,24	44,78	43,95	2,35	8,30	2,23	43,93
W Brandenburgii.	40,08	1,04	27,14	4,69	29,65	38,09	1,41	6,42	1,42	49,83
W Szląsku	42,61	2,17	38,61	11,77	17,30	30,75	0,42	4,09	1,06	51,22
W W. K. Pozn...	23,16	0,58	30,85	5,16	42,48	32,54	1,01	4,39	2,50	57,33
Na Pomorzu.....	35,48	0,77	31,62	3,82	28,52	27,31	1,56	5,45	2,82	62,65

Weźmy teraz na uwagę własność gruntową w tychże prowincjach, należąca do korony, do państwa, do korporacji, do fideikomisu a z każdych 100 morgów zagospodarowanej przestrzeni przypadnie na:

Wedle kategorii własności	Pomorze	Brandenburg	Szląsk	Pruska prowincya	W. Ks. Poznańsk.
1. Na własność korony i członków domu królewskiego..	0,51	1,43	1,02	0,42	0,05
2. Na własność państwa:					
a) domeny	3,09	1,76	0,76	1,49	1,16
b) lasy.....	6,54	10,60	4,29	12,20	5,49
c) rozmaita własność.....	0,08	0,30	0,06	1,60	0,08
3. Na własność miast	3,18	28,9	2,63	1,00	0,50
4. Na własność wsi korpor.....	0,25	0,45	0,36	0,24	0,34
5. Na własność kościelną	1,93	1,66	1,20	1,18	1,72
6. Na własność wyższych szkół i uniwersytetów	0,51	0,88	0,02	0,01	0,01
7. Na własność innych szkół ..	0,20	0,16	0,11	0,21	0,20
8. Na własność t. z. sztyftów..	0,79	0,72	0,36	0,21	0,21
9. Na własność fideikomisów ..	15,10	8,41	11,00	1,70	1,68
	32,24	28,46	21,81	20,21	11,53

Wedle tego, pozostaje więc własności o wolnym ruchu:

Na Pomorzu	67,78
w Brandenburgii	71,54
w Szląsku	78,19

w prowincyi Pruskiej . . . 79,79
w W. Ks. Poznańskim . . . 88,47

Z czego wypływa, że Poznańskie ma z wszystkich wzwyż wymienionych prowincyi najwięcej własności, w ciągłym pozostającej ruchu.

Jeśli trzymać się będziemy normy ekonomistów wzwyż przytoczonych i policzymy każdą, nad 600 morgów wynoszącą własność, do kategorii większej własności, otrzymamy następujący bilans większej własności, odnośnie do obszaru całkowitego poszczególnych prowincyi:

Dla prowincyi Pruskiej . . . 43,93
 „ prowincyi Brandenburskiej 49,83
 „ prowincyi Szlązkiej . . . 51,22
 „ W. Ks. Poznańskiego . . . 57,33
 „ prowincyi Pomorskiej . . . 62,65

Jeśli oznaczymy przestrzeń W. Ks. Poznańskiego liczbą 1000, wypadnie na większą własność 533^o/_o, na drobną zaś 467^o/_o. Zważywszy na powyższe tabele, widzimy, że prowincye Pomorska i W. Ks. Poznańskie mają najwięcej wielkiej własności wśród reszty prowincyi wschodnich państwa Pruskiego.

Już w korespondencyach poprzednich zwracałem uwagę na upadek gospodarstw włościańskich. Gdzież szukać przyczyny tego faktu, który w całych niemal Prusiech stwierdzają badania rządowe i nierządowe? Przedewszystkiem upadają włościanie: na Pomorzu, w górnym Szlązku i w Poznańskim, a dalej w prowincyi Saskiej, w Nassawskim i nad Renem. Szczegółowe daty o Szlązku w ogóle i o Poznańskim podamy poniżej, a tymczasem poszukajmy przyczyn tego upadku. Są one rozliczne, ale główna spoczywać się zdaje w wadliwości prawa, które daje włościanom zupełną swobodę dysponowania swą własnością, t. j. pozwala bądź sprzedać ją jednemu z dzieci, bądź podzielić między dzieci w równych częściach i to albo in natura, albo przez sprzedaż w obce ręce. Jestem wprawdzie zwolennikiem wielkiej wolności, ale trudno zamykać oczu na fakt ogólny, a specjalnie już zagrożonemu tutaj bytowi naszemu tak szkodliwy. Prawo o regulacji spadków poddali w ostatnim czasie mnodzy uczeni niemieccy dokładnej analizie i przyszli do rezultatu, że prowadzi ono, odnośnie do gospodarstw włościańskich, raz do ich przeciążenia, powtórę do przymusowej sprzedaży, lub rozdrobienia szkodliwego, sprowadzającego za sobą szybką zmianę właścicieli, co znów wytwarza ostatecznie albo nieproduktywność parceli, albo absorbują ich przez kapitał ruchomy, t. j. wytwarza stan rzeczy, zagrażający zmianą roździuła własności wiejskiej, który dotąd jest jeszcze normalny, in pejus. Konkluzją sąg opierają autorowie wzwyż wymienieni na wielkim materiale faktów, sumiennie i jasno zestawionych, z których rezultat, chociaż tylko odnośnie do Szlązka i do W. Ks. Poznańskiego, niebawem czytelnikowi podamy. Wprzódystanówmy się chwilę nad innymi jeszcze przyczynami upadku gospodarstw włościańskich. Do takich po-

liczyć musimy przedewszystkiem: 1) zbyt szybkie przejście od gospodarki in natura, do gospodarki pieniężnej; 2) wzrost płacy i podwyższenia podatków; 3) konkurencya dalekich krajów, skutkiem której pewne produkta gospodarcze spadły w cenie, a przynajmniej nie tak się podniosły, jak tego wymaga zwyżka kosztów producyi i wzrost podatków; 4) niezaradność wieśniaka w samémże prowadzeniu gospodarstwa; 5) niezważanie jego na zmianę konjunktur, tak co się tyczy kultury jak i kredytu; wreszcie 6), nieuwaga rządu, który nie postarał się dość wcześniej o zaprowadzenie, lub choć popieranie stosownych dla małej własności instytucyi. Co do ostatniego punktu, w niczém n. p. nie poparł rząd takiej instytucyi, jak nasze Kółka włościańskie. Istnieje wprawdzie nowo założony instytut kredytowy dla drobnej własności; ale taksa minimalna jeszcze jest za wysoką dla niemałej części włościańskich naszych gospodarstw. Ma prezes naczelny W. Ks. Poznańskiego do dyspozycyi fundusze, przeznaczone na subwencyonowanie hodowli chmielu i pasiek, na rozdzielanie drzew owocowych, na podniesienie gospodarstw włościańskich, ale my o tych funduszach tylko słyszemy. Stowarzyszenia niemieckie rolnicze otrzymują 45500 marek subwencyi, my znów tylko o nich słyszyniy.

Regulacyą włościańską rozpoczęto u nas w r. 1823, w Brandenburgii i na Szlązku w r. 1816. Meissen ¹⁾ obliczył, że od r. 1816 w Brandenburgii i na Szlązku, a od r. 1823 w W. Ks. Poznańskim, ubyto gospodarstw włościańskich sprzężajnych: w Brandenburgii 4,29%, w Szlązku 1,22%, a w Poznańskim tylko 0,43%. Miaskowski, (profesor w Wrocławiu) ²⁾, wykazuje, że w Szlązku znikło od r. 1850 do 1880 własności włościańs. 4922; z téj liczby 3142 skutkiem działów spadkowych, a reszta skutkiem zbytniego obdłużenia, którego przeważną przyczynę stanowiło przeciążenie (?) gruntu przez działy między rodzeństwem.

Mała własność w Księstwie doznała od roku 1859 — 1880 ubytku bardzo znacznego, gdyż znikło aż 8396 gospodarstw włościańskich. W ogóle zesza liczba gospodarzy sprzężajnych z 48,000 na 36,450, a za to przybyło 8,250 niesprężajnych. O ile mi są znane stosunki, przypada tak ubytek gospodarstw sprzężajnych, jak i przybytek niesprężajnych, przynajmniej w $\frac{3}{4}$, na włościan naszych. W pewnej czasteczce przyczynia się do ubytku i emigracya za morze, która dotąd jeszcze nie ustaje. Statystyka ³⁾ stwierdziła, że emigracya z państwa pruskiego wynosiła w r. 1880 aż 106,090 głów, czyli $2\frac{1}{3}\%$ ludności. Najwięcej z téj liczby przypadło na Prusy zachodnie, bo 8,5%; potem na Pomorze 6,5%, trzecie miejsce zajmuje W. Ks. Poznańskie z 5,9%.

¹⁾ Der Boden und die landwirtschaftl. Verhältnisse in Preussen.

²⁾ Das Erbrecht und die Grundeigentums-Vertheilung im deutschen Reiche 1882.

³⁾ Bodiker: Die preussische Auswanderung.

Mówiąc o ubytku własności gruntowej, zwróciliśmy uwagę na różne przyczyny ubytku małej przedewszystkiém własności. Dla dopełnienia obrazu przyczyn, pospieszamy w końcu nadmienić jeszcze o jednej przyczynie, mianowicie o „ordynacyi subhastacyjnej.“ Tę ordynacyą zastąpi od 1 listopada r. b. nowa, uwzględniająca bardziej interes właścicieli gruntowych. Sąd będzie odtąd zobowiązany ustanawiać najniższą cenę, a więc nie będą już nadal mogli wyzyskiwacze nabywać nieruchomości za bezcen. Tę najniższą cenę ustanowić winien sąd przed terminem licytacyjnym, a ustanowić tak, aby nie spadli z hipoteki wierzyciele, stojący przed ekstrahentem subhasty. Dwojaki więc ma cel nowa ordynacya: zasłonić właściciela przed lichwiarskimi wyzyskiwaczami i upewnić tych wierzycieli, których należytość stoi przed należytością subhastującego.

POLEMIKA.

I.

Obrona wydawcy Kodeksu Wielkopolskiego przeciw p. Stanisławowi Marońskiemu.

Zarzutów, które spotkały wydawcę Kodeksu Wielkopolskiego w tak poważnym piśmie, jak „Biblioteka Warszawska“ ze strony autora „Obrazu ekonomiczno-statystycznego archidiecezyi gnieźnieńskiej,“ wydrukowanego w zeszycie październikowym r. b., nie należy w interesie nauki pozostawić w milczeniu.

Za powód wystąpienia przeciw wydawcy Kodeksu W. P. posłużyło autorowi „Obrazu“ najpierw to twierdzenie, że miejscowość Barow w nr. 898 Kodeksu jest identyczną ze znikłą miejscowością Cebur, Zbar w okolicy Trzemeszna, podczas kiedy ona ma oznaczać m. Bobrowniki, oddalone o trzy mile od Włocławka. Ponieważ z treści tego dokumentu koniecznie wypada, że miejscowość Barow musiała się znajdować w pobliżu miasta Vladislavia, rozstrzyga zatem o położeniu Barowa pytanie, czy Vladislavia n-ru 898 Kodeksu oznacza Inowrocław, czy Włocławek; oba bowiem miasta najczęściej tym mianem oznaczano, bez dodatku Juvenis lub Senis.

Nie można wszakże wątpić, że Vladislavia znaczy tu Inowrocław, bo książę Przemysław, który się tu i w wielu dokumentach pisze dux Cuiavie et dominus Vladislavie, w innym dokumencie pisze się dux Cuiavie et dominus Vladislavie Juvenis, (Rzyszcz. Mucz. C. d. P. II, p. 654), jako też wiadomym jest, że Włocławek z obszarem nie tworzył nigdy osobnej dzielnicy książąt kujawskich, tylko że należał do ziemi Brzeskiej, podczas kiedy Inowrocław, począwszy od śmierci Kazimierza, księcia kujawskiego († 1268), aż do Kazimierza W. zawsze za osobną uważano dzielnicę. Oprócz tego zwracamy jeszcze uwagę p. M. na ten fakt, że wymienieni we wspomnianym n-rze 898 Kodeksu W. P. cives et consules civitatis Vladislavie Dithericus de Thurau i Petrus Mancossa, występują w n-rze 833 w dokumencie tegoż księcia Przemysława, danym in Juveni Vladislavia, jako świadkowie. Wbrew zatem powyższemu faktom i wbrew zdaniu Muczkowskiemu, o czym

przemilcza, autor „Obrazu“ tłómaczy tu Vladislavia przez Włocławek, a w skutku tego mylnego przypuszczenia, Barow przez Bobrowniki. Nie przeczę bynajmniej, że tożsamość miejscowości Barow nr. 898 a Cebur lub Zbar w okolicy Trzemeszna jest wątpliwą; na wytłómaczenie moje niech wszakże posłuży ta okoliczność, że kiedy trudno mi było pojąć takie zniknięcie bez śladu miejsca niegdyś znacznego i warownego, przypuszczałem jego odzycie w kasztelanii i ziemi Zbarskiej, ponieważ zupełnie analogiczny przykład Wyszogrodu mógł mi tu za wskazówkę posłużyć. Do kwestyi Barowa dołącza jeszcze p. St. M. pośrednią naganę wydawcy Kodeksu, że we wspomnianym dokumencie identyfikuje terram Zaborensem z ziemią Zbarską w okolicy Trzemeszna, kiedy ona tam jest wymieniona w łączności z kasztelaniami de Seicen i de Racenze. Pochodzi to ztąd, że wziętem mylnie Racenze za Raciążek w Kujawach, ziemię przyległą ziemi Zbarskiej; uważny czytelnik Kodeksu W. P. znajdzie przecież dokładne sprostowanie tych pomyłek w t. III, pag. 780, w t. IV p. 43 i w Indeksie pod Raciąż i Zaborensis terra.

Autor „Obrazu,” nazywając objaśnienia topograficzne Kodeksu W. P. „odgadywaniami,” czynionemi, jak to następnie się okazuje, bezmyślnie, tylko według „prostego podobieństwa brzmienia” bierze pohop, do wytykań błędów, w tym względzie przez wydawcę popełnionych. Będę się starał kolejno na zarzuty jego odpowiedzieć, pomijając pewne drażliwości, któremi autor „Obrazu” uwagi swe obficie przypisać uznał za stosowne. I tak pisze p. St. M., że owe objaśnienia jeszcze jako tako ujdą, gdy powiadam, że Bolechow znaczy Bolechowo, Bechów Biechowe, Opol Opole, i t. p. Na to mu odpowiadam, że przypuszczam, że dla niego i wielu innych takie objaśnienia są zapewne zbyteczne, ale czy dla wszystkich? a mianowicie dla cudzoziemców? Czyż analogicznie z owoczesną pisownią Bolechow nie mógłby się dziś nazywać Bolekow lub Boleszow, Bechów Bekow lub Bychów, Opol, Opolin, lub Opolew i t. p.? A potem, gdzie znaleźć granicę pomiędzy miejscowościami, których dzisiejszą nazwę potrzebaby było jeszcze podawać, a których nie ma? Mnie się zdawało, że objaśnienia podawać bez wyjątku było rzeczą stosowną, nie opuszczałem téż dla téj zasady żadnych, nawet najpowszechniej znanych np. Visla, Varssovia i t. d., i mogę upewnić autora „Obrazu,” że postępowałem w ten sposób, nie dla popisywania się z moją erudycją. Na następujące z kolei zapytanie: dlaczego w nr. 586 Kodeksu Wielkopolskiego Zpini (nie Zpirzi, jak wydrukowano w „Obrazie”), nazwałem Świdnicą, odpowiadam, że poszedłem za pierwszemi powagami w rzeczach szląskich: Wattenbachem i Grünhagenem („Regesten zur Schlesischen Geschichte,” Lief. 1, s. 38); następnie omyłkę przy Zentschaw (nie Zentichow, jak wydrukowano), że się z niemiecka dziś nazywa Senslau, a nie Stezlau, a po polsku Zanisławski, sprostowałem w tomie IV, str. 45. Rugno, które z kolei przychodzi, jest nazwiskiem jeziora, nie wsi; z położenia topograficz-

nego przypuszczałem, że ono mogło leżeć pod wsią Rajkowy (nie Rajkcy, jak wydrukowano); być wszakże może, że mylnie je wyróżniłem pomiędzy 23 jeziorami w dokumencie wymienionemi i tuż obok siebie leżącemi. Rudno, jak autor „Obrazu“ Rugno chce wytłómaczyć, nie znajduję w okolicy Kartuz, w której wspomniane jeziora leżą; wieś Rudno leży pod Świeciem w odległości nie $\frac{3}{4}$, lecz około 15 mil. Charakterystycznym jest następujący z kolei zarzut autora „Obrazu.“ Píše on na dowód, że wydawca Kodeksu Wielkopolskiego „podaje objaśnienia topograficzne, miarkując się po największej części tylko prostém podobieństwem brzmienia, przyczém faktyczne sprzeczności nie wchodzą w rachubę,“ że w dokumencie nr. 206 Kodeksu Wielkopolskiego, którym książę pomorski Świętopełk, nadał arcybiskupom gnieźnieńskim, trzy wsie na północ Kamienia Pomorskiego położone, wydawca jedną z nich, Cololens, objaśnił przez Samokłęski, leżące około 8 mil na południe. Rzecz prosta, że każdy czytelnik musi tu mniemać, że to położenie darowizny na północ Kamienia jest w samym dokumencie wyrażone, i musi się zdumić nad bezmyślnością wydawcy; tymczasem rzecz się ma całkiem inaczej, bo o położeniu darowizny w dokumencie wcale nie ma mowy, a sam surowy krytyk dowiedzieć się mógł o niém tylko z objaśnienia tych miejscowości, umieszczonego w tomie IV str. 34, bo dokument ten dotąd był nieznanym, a z 10 nazw miejscowości tam wymienionych, żadna dziś nie istnieje, wyjąwszy jedną tylko, Orel, przezwaną dziś Wordel.

Sprawiedliwość i ścisłość naukowa byłyby tu wymagały, aby krytyk był nie opuścił, że te miejscowości pierwotnie mylnie, lubo prawdopodobnie interpretowane. Grusevo przez Kruszew, Mochle przez Mochle, Oreb przez Orle, Palice przez Bielice, leżą tak jak Samokłęski jedna blisko drugiej na południe Kamienia; lecz to byłoby zmniejszało winę wydawcy: podniósł zatem tylko Samokłęski, których dowolne tłómaczenie z Cololens, położone z innemi, prawdopodobniejszemi, prędzejby uszło, samo zaś oderwane, jest niewątpliwie rządzającym.

Następnie autor „Obrazu“ uderza na wydawcę Kodeksu Wielkopolskiego, że w nr. 8 przetłómaczył „Rugorum provincia“ przez wyspę Rugią. Wina sama przez się zdaje się nie być zbyt ciężką, bo zaraz píše, że to jest dotąd kwestyą sporną, czy przez tę nazwę należy rozumieć Ruś, czy Rugią; oburza go to tylko, że wydawca Kodeksu „nie znający odnośnej literatury historycznej,“ kategorycznie tłómaczy ją przez Rugią, i przytacza zaraz poważny poczet źródłowych pisarzy, przemawiających za tém, że przez provincia Rugorum, należy rozumieć Ruś. Muszę się zatem przed nim wypowiedzieć, że objaśnienie moje zaczerpnąłem z Hasselbacha i Kosegartena: Codex Pomeraniae diplomaticus, str. 59—60, gdzie dziwném igrzyskiem losów, znajduje się cała ciężka artylerya argumentów autora „Obrazu,“ jako to: Continuator Reginonis i wzmiankowana przez niego księżniczka Helena, Annales Quedlinburgenses wraz z oznaczeniem ich miejsca

w Pertzu, Annales Lamb. i Dytmara Merseburskiego Chronic, w tym samym porządku, co u niego uszykowana. Opuszczam tu cytowania autorów, których wspomniony Kodeks Pomorski, jako za interpretacją prowincie Rugorum przez wyspę Rugią przemawiających przytacza, a które dla mnie były więcej przekonywającemi, przyznaje się jednak chętnie do winy, żem zbłądził, nie pisząc w odnośnem miejscu Kodeksu Wielkopolskiego, Rugorum provincia, czy znaczy wyspę Rugią, czy Ruś, nie jest rozstrzygniętem.

Ostatni wreszcie, a słuszny zarzut, który autor „Obrazu“ czyni wydawcy Kodeksu Wielkopolskiego jest ten, że w nr. 1121 przetłómaczył Praburch przez Prabuty, zamiast przez Bydgoszcz, tylko że tenże nie dlatego błąd zrobił, jak autor „Obrazu“ łaskawie przypuszcza, że się nie troszczył o treść dokumentu, tylko przeciwnie, że go brał zadosłownie. Jeżeli bowiem w tekście brzmi: „terrarium que inter aquam Wyzła usque ad aquam Necz in Cuiavia sunt sita et Praburch, to przecież Bydgoszcz zawsze należała do Kujaw, a leży również pomiędzy Notecią a Wisłą; zdawaćby się zatem mogło, że owego Praburch, oddzielnego od Kujaw przez et, należy szukać poza obrębem wyżej oznaczonym. Tymczasem wydawca Kodeksu Wielkopolskiego, nie bacząc, że tamtoczesna dyplomatyka właśnie przy oznaczaniu przedmiotów topograficznych była nader nie ścisłą, szukał Praburch poza granicami Kujaw, a tłómacząc je przez Prabuty, popełnił duży błąd historyczny. Zresztą oddalenie Prabut od Kujaw o 18 mil, które autor „Obrazu“ tak podnosi, nic tu nie znaczy; według brzmienia dokumentu, mogło Praburch leżeć np. na pograniczu ziemi Dobrzyńskiej lub Michałowskiej, w jeszcze większej odległości.

Poznań, w listopadzie 1883 r.

Wydawca Kodeksu Wielkopolskiego.

II.

Odpowiedź p. Marońskiego.

Wydawca Kodeksu Wielkopolskiego nie zgadza się na zdanie moje co do Barowa, twierdząc, że Barów zamek i miasto, wymieniony w dokumencie z r. 1306, nr. 898, jest miejscowością znikłą i identyczną z grodem Zbar. Ja zaś wykazałem, że ponieważ gród ten znikły leżał niegdyś w Wielkopolsce, a onego Barowa wedle treści dokumentu tylko w kujawsko-dobrzyńskiej ziemi księcia Przemysława szukać wolno, twierdzenie zatem wydawcy jest mylne. W odpowiedzi swój przyznaje nam wprawdzie szan. wydawca słuszność, chociaż nader warunkowo. Nam się przecież mocno zdaje, że tu o wątpliwości

mowy być nie może, skoro tylko rozbierzemy gruntownie treść samego dokumentu.

Rozpoznawszy zatem z osnowy dokumentu, gdzie Barowa jedynie szukać można, wykazałem dalej na podstawie historyczno-lingwistycznych refleksyi, że nim tylko być mogą Bobrowniki, wielce obronny, a w dziejach naszych znany zamek księcia Przemysława, położony w ziemi dobrzyńskiej nad Wisłą. Podług zdania wydawcy, rozstrzyga kwestyą objaśnienie, czy w dokumencie zachodzące „Vladislavia” oznacza Włocławek lub Inowrocław. Gdyby to prawdą było, to płynąłby ztąd wniosek, że biorąc mylnie owo Vladislavia za Włocławek, a nie za Inowrocław, mylnie też wytlómaczyłem Barów przez Bobrowniki. Objasnienie takie nietylko nie rozstrzyga kwestyi, ale nawet wcale jest obojętném. Wedle treści dokumentu chodziło o to, aby Pawłowi de Panelstein, staroście króla Wacława, wojującego z Łokietkiem, zapewnić możność, w razie gdyby Łokietek opanował zamek Barów, cofnąć się do „Vladislavii,” żeby tam zyskać punkt oparcia, zkądby ów zamek mógł nieprzyjacielowi odebrać. W tym zaś względzie nietylko Włocławek, ale i Inowrocław, chociaż cokolwiek dalej położony, zupełnie był dogodnym i przydatnym. Dla tego zaś, że to objaśnienie było rzeczą obojętną, nie miałem też powodu zwracać na to uwagi, że Mączkowski przez Vladislavia rozumie Inowrocław.

W dalszym postępie odpowiedzi pisze wydawca, jakoby przyznał, iż objaśnienia jego Bolechowa, Biechowa, Opola ujdą. Bynajmniej. Chociaż na materialne ich objaśnienie się godzę, to, jak to łatwo ze związku wyrozumić można, metodzie dość wyraźnie przyganiłem z powodu, iż objaśnianie nazw tak jasnych, jak powyższe, jest rzeczą zbyteczną, gdyż są one bez celu, skoro położenie ich dowodnie nie jest bliżej oznaczone. Zrozumiał też to wydawca, bo stara się niebawem rzecz tę wyjaśnić; szkoda tylko, że uczynił to argumentami, które wedle zdania mego nie dopisują. Żeby z nazwami, jak Visla, Varsovia, nie miał sobie nawet i niemiecki badacz dać rady, temu trudno wierzyć. Graucę zaś znaleźć, które nazwy potrzebują interpretacyi, a które nie, to już jest rzeczą umiejętnego wydawcy dyplomataryusza. Co do nas, to wymagamy, żeby w Kodeksie dyplomatycznym wątpliwe i niejasne nazwy krytycznie i naukowo były objaśnione; niejścowości zaś z nazwami, czy to jasnymi, czy wątpliwymi, żeby co do położenia, w miarę tego, jak się bliżej określić dadzą, bliżej też określone zostały. Badacz, biorący do ręki dyplomataryusz, żąda, żeby tam znalazł materiały krytycznie opracowany i żeby się nie potrzebował trudzić pracą, która do wydawcy należy. Jeżeli zaś zaopatrzenie tekstu w gruntowne i krytycznie uzasadnione objaśnienia topograficzne nie da się przeprowadzić, z powodu może, żeby objętość dzieła dojsćby mogła do rozmiarów większych, jak zamierzonym było: to już lepiej, żeby co do topografii żadnych nie było objaśnień. Bijącą w oczy ilustracją tego są właśnie objaśnienia Kodeksu Wielkopolskiego, które, gdy nie określają stanowczo i dokładnie położenia daniej

miejsowości, to są nie tylko zbyt czynnym, ale nawet szkodliwym, bo nie raz i w błąd wprowadzającym ciężarem.

Następnie widzi wydawca Kodeksu Wielkopolskiego osobiste zaczepki w zarzucie, który mu uczyniłem z powodu objaśnienia nazwy Cololens. Otóż zarzuca mi szan. wydawca, że dopiero z objaśnień, podanych mu przez ks. K., a w indeksie Kodeksu umieszczonych, dowiedziałem się, iż ów Cololens leży na północ Kamienia pomorskiego, że łatwem mi zatem było powiedzieć, że to nie Samokłęski. Najprzód jest to rzeczą wcale obojętną, jaką drogą przyszedłem do przekonania, że Cololens nie mogą być Samokłęski. Celem moim było, jak to wydawca słusznie zauważył, uzasadnić moje twierdzenie, że odgadywania Kodeksu Wielkopolskiego miarkują się po największej części tylko prostem podobieństwem brzmień, przyczem faktyczne sprzeczności nie wchodzi w rachubę. To zaś stwierdza identyfikowanie Cololensu z Samokłęskami. Uniewinnia się wprawdzie wydawca tém, że z samego dokumentu nie mógł wyrozumić położenia miejscowości. W takim razie powinien był zapisać, że odnośnego objaśnienia dać nie jest w stanie.

Co do drugiego punktu, to muszę nadmienić, że nie potrzebowałem czerpać mojego wniosku z Indeksu, ale z samego tekstu. Czytając bowiem odnośny dokument Świętopełka II, księcia gdańsko-pomorskiego, z r. 1237, w tomie I Kodeksu pod nr. 206 wydrukowany, spostrzegłem, że książę rozporządza dobrami „in dominio meo,” a więc na Pomorzu położonemi; dalej, że dobra te daje arcybiskupowi gnieźnieńskiemu; wreszcie, że obszerny klucz dóbr kamieńskich należał do arcybiskupów gnieźnieńskich. Te wskazówki były dostateczne, żeby od razu przenieść się w okolice Kamienia, a znalazłszy w pobliżu, bo mniejszej w odległości półniłowej, wieś Orle, z niem. Wordel i jezioro Muchel, przekonałem się, że Orle, to Orle dokumentu, a Muchel wskazało mi znikłą osadę Mochle, której nazwę tylko jezioro przechowało. Gdy zaś o $\frac{1}{3}$ mili na wschód leży wieś Obkas, uważałem, że to jest ów dotąd ani w Indeksie nie wytłomaczony Cololens, w formie oczywiście skażonej w grafice nazwy Obkaz.

W dalszym ciągu twierdzi szan. wydawca Kodeksu Wielkopolskiego, że „sprawiedliwość i ścisłość naukowa” tego byłoby tu wymagały, abym był nie opuścił, że owe miejscowości Gruzevo i t. d., tak jak Samokłęski, jedna bliżko drugiej na południe Kamienia leżały i wyciąga zdąd wnioski ubliżające poważnej pracy naukowej. W powołanym dokumencie nr. 206 tłomaczy sz. wydawca Grusevo przez Kruszyn ¹⁾. Objasnienie to nie zadawalnia czytelnika, który chciałby bliżej poznać ten Kruszyn, bo słownik geograficzny wskazuje około 15 ta-

¹⁾ Tak samo objaśnia wydawca miejscowości owe w dokumencie Kodeksu Wielkopolskiego z r. 1272, nr. 544. Tymczasem w odpowiedzi swój tłomaczy ją inaczej, mianowicie przez Kruszew. Zmianę tę uważam za prosty błąd drukarski, bo nie przypuszczam żadnej niełojalnej intencji.

kich nazw na obszarze Wielkopolski, Pomorza, ziemi Chełmińskiej, Kujaw i Mazowsza. Aby odgadnąć, który Kruszyn wydawca miał na myśli, przypuszczaliśmy że interpretator baczył na treść owego dokumentu pomorskiego, wskazującą dzierżawy księcia pomorskiego, że zatem na Pomorzu trzeba szukać owego Kruszyna. Najbliższy Kamieniowi Kruszyn na Pomorzu leży 8 mil na północ od Kamienia; lecz wydawca, jak z następnych objaśnień widzimy, nie myślał o tym Kruszynie. Objasnienia bowiem sz. wydawcy zwracają się przeważnie do powiatu bydgoskiego, gdzie ośm z pomiędzy tych 10-ciu miejscowości poumieszczał, mianowicie: Grusewo ma być to samo co Kruszyn, Mochle to niby Mochle bydg., Police to co z niemiecka Alt-Belitz, Bloto to Białebłoto, Gori to co Gorki przyłączone; Soravebloto to może Żurczyn; Mostek i Kamonijaz nie odgadnione. Prócz tego Orel to niby Orle na Krainie w powiecie wyrzyskim, a Cololens to Samokłęski na Pałukach w powiecie szubińskim położone. Wydawca kładzie przycisk na to, iż owe miejscowości jedna blisko drugiej na południe Kamienia leżały. Odległość ich od Samokłęsk następująca: Mochle 3 mile, Bielica stara 3 mile, Białebłoto 2½ mili, Górki przyłączone 2½ mili, Orle 3 mile. Terytorjum, na którym miejscowości te leżą, obejmuje 12 mil □. Pojęcie bliskości jest bardzo relatywném; sens przynależny miarkuje się miarą stosunków i okoliczności. Jak w naszej kwestyi, to dają miarę dokument powyższy nr. 206 i drugi dokument z r. 1284 pod nr. 544 także w I t. Kodeksu W. P. wydrukowany. Mocą tego drugiego dokumentu, zeznaje Mściwój II, syn i następca Świętopełka II, iż nie słusznie zagarnąwszy dobra: Mochle, Orel i Crusevo przez ojca arcybiskupowi gnieźnieńskiemu danych, takowe przez pomyłkę Szczepanowi Chmalimirowiczowi darował; że wskutek tego błąd swój naprawiając, stolicy arcybiskupiej dobra owe wraca. W pierwszym dokumencie powiedziano: Grusevo videlicet Mochle ac Orel... Termini autem sive gades earundem villarum sic denominantur: Mostek, Palice, Bloto, Gori, Soravebloto, Cololens, Kamonijaz." W drugim zaś czytamy: „super hereditate Mochle et sortibus adja centibus Orel et Crusevo.“ Tak więc jasno powiedziano, że miejscowości owe ze sobą graniczą i że sobie przyległe. Jakżeż więc wbrew temu wyraźnemu orzeczeniu można myśleć o miejscowościach rozrzuconych na obszarze 12 mil □ wielkim, a licznemi osadami przedzielonych. Jakżeż można sądzić, że Kruszyn, Orle i Mochle wsie, po 4 mile od siebie oddalone, są sobie przyległemi, adjacentes? Idźmy dalej: Świętopełk wyraźnie powiada, że dobra powyższe leżą in dominio meo, w mojem państwie. Wbrew temu szuka i znajduje je wydawca, nie bacząc na historyczne względy, po za granicami państwa tego księcia w Kujawach, a nawet w Wielkopolsce, gdzie Samokłęski leżą. Możeby chciał odeprzeć, że Świętopełk był czas niejakiś w posiadaniu miasta Bydgoszczy. Ależ wiemy, że to był czas wcale nie długi, i że w roku 1239

Bydgoszcz postradał ¹⁾). Krom tego, syn jego Mściwój II, nigdy ani pędzi nie dzierzył kujawskiej ziemi, a co do Wielkopolski, to już o tém wcale mowy być nie może.

Co do kwestyi o Rugorum provincia, to sam wydawca faktyczną jej stronę załatwił, gdy przyznał, że mam słusność, i że powinien był powiedzieć, że czy owa provincia Rugorum znaczy wyspę Rugią, czy téż Ruś, to jest rzeczą nierozstrzygniętą, a nie jak to uczynił, że oznacza Rugią.—Chodzi tylko jeszcze o objaśnienie formalnej strony i metody, która i tu dość charakterystycznie nam się przedstawia. Otóż miała mnie oburzyć niezajomość wydawcy odnośnej literatury historycznej, jako téż kategoryczne tłumaczenie owego provincia Rugorum przez wyspę Rugią.

Skoro wydawcy nie było rzeczą tajną, że provincia Rugorum jest kwestyą sporą, to należało mu objaśnić czytelnika co do swojej opinii, a nie podnosić dowolnie kwestyi spornej do znaczenia faktu historycznego. Ale wydawca tłumaczy się, że poznawszy odnośne źródła w Kosegarteu Codex Dipl. Pomer.: poszedł za autorami przez Kosegarta powołanymi i więcéj go przekonywającymi. Są nimi: Neander (około r. 1830), Fabricius (r. 1841), Berthold (1839), Kosegarten (r. 1843). Z tych Neander wątpliwość kwestyi zaznacza; Fabricius wedle Kosegarta zdaje się za Rugią przemawiać, gdy tymczasem w własnym swém dziele ²⁾ pisze, że rzecz to wątpliwa. Tylko Berthold już więcéj stanowczo za Rugią się oświadcza, podczas gdy Kosegarten przeciwnego jest zdania. Na podstawie tych sprzecznych i niepewnych opinii chcieć rozstrzygnąć kwestyą, która szerszego wyjaśnienia wymaga, nie odpowiada warunkom naukowej krytyki, mianowicie, że powołani autorowie, kilkadziesiąt lat wstecz piszący, już tylko są wyrazem przestarzałych zapatrywań na tę kwestyą. Świadczy o przynależnym dorzucić tylko może nowsza informacja historyograficzna. Wydawcy zaimponowało następnie „dziwne igrzysko losów,” gdy spostrzegł że „cała ciężka moja artylerya argumentów,” znajduje się w powołanym pomorskim dyplomatarjuszu, i to w tym samym porządku, jak ją ustawiłem. Najprzód zwracam uwagę wydawcy K. W. na to, że przytoczone przez Kosegarta źródła, nie tworzą „całej ciężkiej artyleryi“ przezemnie wprowadzonej. Jest ona liczniejszą. Kosegarten nie zna annalisty saskiego, którego przywiódłem. Co zaś do dziwnego zjawiska, to się wydawcy wytłumaczy w sposób następujący. Od wielu lat zajęty pracami badawczo-historycznymi, zebrałem sporo kollektaneów i wyciągów, z których oddawna już korzystam w pracach moich, między innemi w „Die stammverwandtschaftlichen und politischen Beziehungen Pommern's zu Polen etc.” drukowanej r. 1866, na str. 36. Bacząc na to, że tu tylko chodzi o to, by co do danéj kwestyi czytelnikowi umożliwić wytworzenie

¹⁾ Chron. Archid. Jana z Czarnk. ap. Sommersberg II, 91.

²⁾ Urkunden für die Geschichte des Fürst. Rügen, I, 66.

sobie własnego sądu, że więc obojętną jest rzeczą, z kąd odnośne biórę dowody; z praktycznych tylko względów dogodności, a nie dla popisywania się erudycją, powołałem z niego odpowiednie cytaty.

W dalszym toku swęj odpowiedzi zaczepia wydawca monitum moje co do nazwy Praburch, którą on przez Prabuty, a nie jak być powinno, przez Bromberg (Bydgoszcz) wytkłomaczył. Sz. wydawca przyznając słuszność zarzutu mojego, dodaje przecież, że błędu tego nie zrobił dla tego, iż się nie troszczył o treść dokumentu, ale dla tego, że go wziął zbyt dosłownie, t. j. literalnie formą Praburch. Dwodem tego tłómaczenie Praburcha przez Prabuty, miasto leżące w ziemi przeszło 18 mil od Kujaw oddalonęj, która nie leży pomiędzy Notecią a Wisłą, ale na Wschód od tęg rzeki, w posiadaniu Krzyżaków będąca, nigdy do Polski nie należała i o którą książęta polscy z Krzyżakami nigdy nie wojowali. Troszcząc się atoli w krytyczny, a nietylko mechaniczny sposób o treść dokumentu, musiałby wydawca jednak z historycznych względów wyrozumieć, że gdy Jan, król czeski, poręcza Krzyżakom posiadanie ziemi kujawskięj i Praburcha, w razie, żeby miało przyjść do zgody pomiędzy nim a Łokietkiem, że tu może być mowa tylko o ziemiach pomiędzy Krzyżakiem a Polską spornych, a do nich, jakeśmy co dopiero powiedzieli, nie należała nigdy ziemia, w której Prabuty leżą.

Pisałem w Pelplinie w miesiącu grudniu r. 1883.

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Kinsky und Feuquières,” von dr. Edmund Schebek. Berlin, 1882.

Genialni poeci mają przywilej wskrzeszania postaci dziejowych. Tak Fryderyk Schiller wskrzesił z dawno zapomnianych podań miejscowych postać Tella, przyćmioną pyłem wieków i niegodnemi szyderstwami Woltera czarującą postać Dziewicy Orleańskiej, tudzież zamgloną w walce dwóch światów religijnych postać pięknej Maryi Stuart, przedewszystkiem zaś najgłośniejszego obok Gustawa Adolfa bohatera wojny trzydziestoletniej Wallensteina. W słynnym wstępie do „Trylogii Wallensteina” wieszcz powiedział o nim:

Von der Parteien Hass und Gunst verwirrt,
Schwankt sein Charakterbild in der Geschichte.

Właśnie takie sporne typy dziejów otwierają pisarzom dramatycznym pole najwdzięczniejszej pracy, a wielki poeta niemiecki umiał należycie skorzystać z mgły, otaczającej postać Wallensteina. Swoją drogą dopiero dramat Schillera pobudził na nowo badania historyczne nad tym przedmiotem; najznakomitsi nowsi dziejopisarze niemieccy usiłowali rozwiązać zagadkę, czy Wallenstein był winny? czy zginął jako zdrajca cesarza? czy przeciwnie, Kamaryla wiedeńska wprawiała świat w zdumienie niewdzięcznością Austrii? Że zaś dotąd nie udało się stanowczo rozwiązać zagadki, o tém świadczą nieustannie ponawiające się nowe przyczynki do nader bogatej literatury Wallensteina.

Niepodobna przytoczyć ani nawet tytułów niezliczonych dzieł, traktujących o tym przedmiocie. Przypomnimy więc z starszych autorów tylko cesarskiego historyografa wiedeńskiego Hurtera, który ob staje przy zdradzie księcia Frydlandu, i dzieło słynnego Gfrörera, który przeciwnie dowodzi, że naczelny wódz armii cesarskiej dyplomaty-

cznemi rokowaniami swemi pragnął pomieszać szyki nieprzyjaciół, a zatem padł jako ofiara niecnej intrygi dworskiej. W Czechach był czas, kiedy zamyślano podnieść Wallensteina do godności bohatera narodowego, który zamierzał na wzór Jerzego z Podiebradu wskrzesić słowiańskie królestwo czeskie. Najznakomitszy z nowszych dziejopisarzy czeskich, Gindely, zachwiał tą teorią, wykazując germanizatorskie dążności, któremi się kierował Wallenstein w urządzeniu swego księstwa frydlandzkiego i jiczyńskiego. W tym samym duchu były minister Iireczek, wydawca pamiętników hrabiego Slawaty, wystawiając tego męża stanu, którego strącenie z sali radnej zamku królewskiego na Hradczynie dało początek wojnie trzydziestoletniej, w świetle patryoty czeskiego, tém samém rzuca gruby cień na przeciwnika jego, Wallensteina.

Tymczasem znowu śród młodszych dziejopisarzy niemieckich wystąpiło kilku z gorącą obroną Wallensteina. W r. 1881 dr. Edmund Schebek pod tyt.: „Die Lösung der Wallensteinfrage” ogłosił grube dzieło, w którym przedstawia Wallensteina jako ofiarę przewrotności hr. Slawaty. Autor sam streszcza swój wykład w następujących słowach: „Widzimy teraz wyptoszonego z kryjówki tego, w którym uosobniało się fatum Wallensteina, widzimy odstonięte ciemne manowce, któremi szedł, aby go przywieść do upadku. Jak mamy nazwać czynność jego (Slawaty)? Choćbyśmy ją uważali jako skutek pomieszania zmysłów, nie byłaby mniej złowrogą. Natomiast oczyszczona z zarzutu zdrady, jako postać słoneczna, bohater książki naszej podnosi się z nędzy, która dotąd osłaniała dzieje jego. Jego przekonania i charakter, jego sposób wojowania i dzieło pokojowe, jego zachowanie się względem przyjaciół i przeciwników, występują nagle w nowém świetle. Uważając wielkość cesarza i niepodległość cesarstwa jako główny cel swój, Wallenstein okazuje się jako jedyny śmiały wyznawca idei państwowej w wojnie trzydziestoletniej. Z téj idei wynikają wszystkie jego czyny i zamysły. Czy zginął, ponieważ czas nie dojrzał jeszcze do urzeczywistnienia jego zamiarów; czy dla tego, że wrogi los nie sprzyjał mu, trudno będzie rozstrzygnąć; to pewna, że zarzut zdrady nie był uzasadniony. Znika więc Wallenstein dramatu z historyografii, a poniekąd Faust poezyi staje się rzeczywistością.”

Z tém wszystkiém, autor widocznie uczuł niedostatek swych dowodów, usiłował więc dostarczyć nowych w wymienioném w tytule dziele: „Kinsky und Feuquières.” Że Wallenstein układał się z elektorami saskim i brandenburskim, nie zakłopotano naszego autora, bo to dla dziejopisarza, należącego do téj samej szkoły, co np. Oncken, jest tylko dowodem, że książę Frydlandu rzeczywiście miał na oku dobro cesarstwa niemieckiego! Natomiast niemiecki obrońca Wallensteina znajduje się w przykrém położeniu wobec konszachtów swego bohatera z rządem francuzkim. Układy te od stycznia r. 1633, aż do zgonu Wallensteina w owej ponurój salce ratusza w Chebie (w marcu roku 1634), w imieniu dworu francuzkiego prowadził margrabia de Feu-

quières, gubernator Metz, w imieniu Wallensteina hrabia Wilhelm Kinsky. Rozpoczęły się one na podstawie przedłożonego przez hrabiego Kinskiego kwestyonarza téj treści: 1) W jaki sposób król (francuzki) obroni księcia przed cesarzem? 2) Jakiéj deklaracyi król domaga się od księcia? 3) Czy wojsko księcia ma wyruszyć, dokąd i przeciwko komu, czy téz raczój celem lepszego ukrycia zamiarów ma pozostać na miejscu? 4) Jak mamy zachować się względem księcia bawarskiego? 5) Czy król (francuzki) zamyśla uwiadomić o téj sprawie elektorów saskiego i brandenburskiego i kanclerza Oxenstiernę? 6) Czy po doszłym układzie książę otrzyma naczelne dowództwo nad sprzymierzonymi wojskami?

Układ zaś dochodził do skutku na mocy następujących wskazówek, przesłanych margrabiemu de l'euquières z St. Germain en Laye 1 lutego r. 1634: 1) Książę Frydlandu zobowiązuje się zerwać otwarcie z cesarzem bądź z odpowiednią deklaracyą, bądź zabierając Czechy lub inną prowincyą austryacką. 2) Zobowiązuje się utrzymywać 14 do 15,000 wojska. 3) Nie zawrze pokoju lub rozejmu ani z cesarzem, ani z innym władcą domu rakuzkiego bez przyzwolenia króla. 4) Pod temi warunkami król obiecuje wypłacać mu rocznie milion liwrów. 5) Król wraz z swymi sprzymierzeńcami utrzyma księcia w spokojném posiadaniu krajów, które przedtém posiadał w Niemczech. 6) Król nie zawrze z cesarzem pokoju bez przypuszczenia doń księcia Frydlandu.—Że dwór francuzki podejrzewał księcia o zamiar przywłaszczenia sobie korony czeskiej, poświadcza przypisek w instrukcyi dla p. Feuquières, aby pisemnie króla francuzkiego nie zobowiązywał co do zabezpieczenia księciu Czech, „ponieważ to monarchia elekcyjna, a król nie może w téj sprawie działać bez porozumienia się z sprzymierzeńcami swymi; gdyby jednak sprzymierzeńcy na to przystali, król księcia w zabiegach o koronę czeską gorliwie popierać będzie.” Król francuzki już był podpisał traktat zawarty na tych podstawach (rękopis znajduje się w ministeryum spraw zagranicznych w Paryżu, gdzie go widział prof. Gindely; porównać tegoż: „Von Archiven zu Archiven” w Löhera „Archivaeische Zeitschrift,” r. 1881, VI, str. 268), gdy nadeszła wieść o katastrofie w Chebie (Eger).

Korespondencya margrabiego de Feuquières stanowi zatem przekonywający dowód konszachtów księcia Frydlandu z wrogami cesarza i nie podobna też tych układów uniewinnić rzekomą troskliwością jego o dobro państwa niemieckiego, którą autor nasz uniewinnia układy księcia z elektorami brandenburskim i saskim. Jednakże szlachetny zresztą zapał oczyszczenia pamięci swego bohatera z zarzutu zdrady natchnął p. Schebeka myślą, któraby dowodziła wielkiej bystrości krytycznej, gdyby tylko była prawdziwą. Autor nasz twierdzi i usiłuje dowieść, że owych rokowań z posłem francuzkim nie prowadził wcale w imieniu Wallensteina rzeczywisty hrabia Wilhelm Kinsky, lecz człowiek, który sobie przywłaszczył to nazwisko a działał z pole-

cenia wrogiej Wallensteinowi kamaryli wiedeńskiej, pragnącej w ten misterny sposób przygotować dowody zdrady Wallensteina.

Hrabia Wilhelm Kinsky, ożeniony z hrabianką Terczkówną, posiadał znaczne dobra w północnych Czechach. Do niego należały też Cieplice (Teplitz), dziś własność księcia Clary. Żaden z gości kąpielowych, przebywających w Cieplicach, nie omieszka zwiedzić pobliskiej „góry zamkowej.” Z tego dość wyniosłego wzgórza, w dzień pogodny używamy przepysznego widoku na szeroką, zasianą pięknymi wioskami dolinę, której widnokrąg północny zamyka pasmo stromych gór. Tylko zapadłe ściany i sklep, w którym mieści się nędzna gospoda, przypominają turystom, że niegdyś wierzchołek wzgórza zdołał pałac a nawet znajdowała się tu dość silna warownia. Właśnie hr. Wilhelm Kinsky około r. 1625 wystawił tę warownią, jak później podejrzewali przeciwnicy, w tym celu, aby Wallensteinowi zapewnić w tych stronach strategiczny punkt oparcia. Około r. 1629 hr. Kinsky przenosi się do Saksonii, gdzie zwykle przebywał w Pirnie. Jakkolwiek protestant, nie był skompromitowany w powstaniu stanów czeskich, nie utracił dóbr swych, z księciem Frydlandu dopiero w ostatnich latach pozostawał w bliższych stosunkach przyjaźni i pokrewieństwa, aż do r. 1633 nie miał żadnego udziału w rokowaniach dyplomatycznych. Ztąd autor nasz wnioskuje, że hr. Kinsky nie mógł się układać w imieniu Wallensteina z margrabią Feuquières. Wielką wagę przywiązuje do faktu, że w tym czasie, kiedy Pseudo-Kinsky znosił się z posłem francuzkim, rzeczywisty hrabia Wilhelm Kinsky w imieniu Wallensteina toczył wręcz odmienne układy z elektorem saskim. Okoliczność ta owszem zbija dowodzenie autora. P. Feuquières bowiem znajdował się najczęściej w Dreźnie. Wszelkie zatem prawdopodobieństwo przemawia za tēn, że rzeczywisty hr. Kinsky z polecenia Wallensteina traktował i z posłem francuzkim i z dworem saskim, choć z każdym z osobna i potajemnie. Tak też rzecz sądził poseł francuzki, gdy w liście do O. Józefa (Egeryi kardynała Richelieu) 7 marca 1634 pisał: „Z listu nadeszłego z wojska księcia Bernarda wejmarskiego, którego kopią załączam, przekonasz się, że oszustwa, w których używaniu książę Frydlandu szukał swęj sławy, stały się jedyną przyczyną jego zguby.” Sama przez się nasuwa się też uwaga, że poseł francuzki nie byłby przez cały rok toczył tak ważnych układów z osobą, której identyczność nie była należycie skonstatowana. Wprawdzie autor powołuje się na tajemniczość, która te układy osłaniała. Tymczasem właśnie ta tajemniczość tēn bardziej zmuszała posła francuzkiego, aby uzyskać pewność co do osoby pośrednika.

Po tych niefortunnych dowodach, aby się tak wyrazić, formalnego znaczenia, autor przytacza szereg innych, opartych nibyto na wewnętrznej niemożliwości tych układów. Pomimo zręcznych kombinacji, ostatecznie jednak wszystko tu jest poprostu *petitio principii*. Autor bowiem rozumuje tak: ponieważ Wallenstein miał na oku jedynie dobro cesarstwa, ponieważ w tym celu jedynie układał się z ele-

ktorem saskim, ponieważ nie był zdrajcą i t. d., przeto też niepodobna, aby z Francją toczył rokowania téj treści, jaką odsłania koresp. p. de Feuquières! Już potém podług zasady „is fecit cui prodest,“ było łatwą rzeczą, odszukać Mefista, który przebiegle ułożył całą tę komedią dyplomatyczną, tak krwawo zakończoną w Chebie. Reżyserem, według autora, nie był kto inny, jak hr. Wilhelm Slavata, względem którego przypuszcza tylko tę łagodzącą okoliczność, że jeżeli nie był najprzewrotniejszym intrygantem, to może działał w pomieszczeniu zmysłów, będącém następstwem fatalnego skoku z sali radnej na Hraszczynie. I tu znów ta sama petitio principii. Ponieważ w depeszach Kińskiego i p. de Feuquières, znajdują się dowody zdrady i różne szczegóły ujemne, dotyczące charakteru Wallenstein'a, przeto korespondencyą urządził z pewnością ten, który w podobny sposób wyrażał się o Wallenstein'ie w swych pismach i w swych przedstawieniach do cesarza, a zatém hr. Slavata!

Słowem „qui trop embrasse, mal étreint.“ Śmiałej hipotezy, że w miejsce hrabiego Wilhelma Kinskiego, zamordowanego z generałami Wallensteina w téj sali zamkowej, której gołe mury ponuro sterczą dziś jeszcze w Chebie, rokowania z p. de Feuquières toczył przywłaściciel imienia Kinskiego oraz agent kamaryli wiedeńskiej, wprawdzie nie można zgóry odrzucić, ale na teraz jest to też tylko hipoteza. Dowodów przekonywających autor nie dostarczył. Praca jego o tyle tylko jest ciekawém zjawiskiem, że świadczy o namiętnym zapale, z jakim teraz niektórzy dziejopisarze niemieccy usiłują oczyścić pamięć Wallensteina.

Ktokolwiek wczytał się trochę dokładniej w te ponure dzieje wojny trzydziestoletniej, ktokolwiek obejrzał ten wspaniały, wystawiony według własnych planów Wallensteina pałac w Pradze o królewskim, ozdobionym włoskimi freskami przysionku, fantastycznych grotach i łaźni, wykwintnych salach, złocistych kaplicach i t. d., nie wątpi, że Wallenstein był człowiekiem niepospolitym, któremu w czasach, kiedy cesarstwo niemieckie, według słów kanclerza Ozensterny, było „utrzymaną tylko z łaski Bożej konfuzyą,“ nie było łatwém oprzeć się pokusie sięgnięcia jeszcze wyżej, jak po mitrę książęcą. Trzeba też pamiętać o tém, że będąc naczelnym wodzem wojsk cesarskich, był równocześnie udzielnym księciem rzeszy niemieckiej. To, co z pierwszego względu było zdradą, z drugiego względu było dyplomacją, która, gdyby się była udała, byłaby księcia Frydlanda postawiła może tak wysoko, jak w 120 lat później Fryderyka II. Może właśnie ta analogia tłómaczy gorliwość zabiegów dziejopisarzy niemieckich o oczyszczenie pamięci Wallensteina z wiekowych zarzutów.

E. Lipnicki.

„Geschichte des Zeitalters der Entdeckungen” von dr. S. Ruge, Berlin, 1882, str. 542.

Jednym z najwybitniejszych kierunków tegoczesnych, jest powszechny zapał do odkryć i do zbadania nieznanych dotąd lub nie znanych dokładnie części i ustroju świata. Wszystkie narody w ostatnich latach wysyłały śmiałych podróżników; wszystkie też przyczyniają się do z bogacenia ciągle wzrastającej literatury odkryć i podróży. Jedni na tém polu pracują głównie w celach naukowych, drudzy w celach handlowych, inni w celach politycznych, jak zwłaszcza rząd francuzki, który się zabiera do opanowania bardzo ważnej pozycji strategicznej w samym przedsiönku 400-milionowego państwa chińskiego. Słowem zamiary naukowe, handlowe, kolonizacyjne, jak w XVI stuleciu, tak i teraz znowu łączą się i wprawiają w ruch zaopatrzone dziś w wydoskonaloną broń wszelkiego rodzaju siły starój, przeludnionej, nurtowanej sprzeczñemi zasadami i interesami, trochę już ciasnej Europy.

W takich czasach warto niekiedy przypomnieć sobie dawniejsze, wiekopomne zabiegi na tém samym polu. Wymienione w tytule dzieło p. Rugego, prof. król. politechniki drezdeńskiej, oparte na gruntownych badaniach fachowych, odznaczające się przytém jasnym i wykwintnym wykładem, zawiera treściwe dzieje odkryć nowych dróg i lądów. Pierwsza księga wykłada najdawniejsze, bardzo powierzchowne, niezadawalniające, często dziwaczne pojęcia geograficzne pierwszych X wieków epoki chrześcijańskiej. Druga księga pod napisem: „Przysionek wielkiego okresu” opisuje podróże, podjęte w celu zbadania Azyi. Około r. 1000 przed Chr., w Europie znajomość Azyi ograniczała się do Ziemi Świętej. Dopiero powstanie potężnego państwa mongołów zwróciło powszechną uwagę na środkową Azyą. Na dworze wielkiego hana w Karakorum nad Bajkałem, wysłañcy papieża spotykają się z francuzami i węgrami. Chrześcianie dostępują wpływowych stanowisk w państwie mongołów. Hanowie Kublai i Hulaka rodzą się z matek chrześcijańskich. Poselstwa i listy coraz częściej odtąd wymieniane pomiędzy Europą a środkową Azyą. Mocno też umysły chrześcijańskie zaprzętały podania o tajemniczym presbiterze Janie, który daleko na Wschodzie miał panować nad narodem chrześcijańskim, i o którym pierwszy wspomniął kronikarz niemiecki Otton z Freisingenu. Przez kilka wieków misjonarze, kupcy i dyplomaci europejscy czynią poszukiwania, celem odkrycia tego tajemniczego chrześcijańskiego kraju. Jeszcze w XVI stuleciu król portugalski wysłał w tym celu poselstwo.

Pierwszy papież Innocenty IV, na pamiętnym soborze w Lugdunie w r. 1245 postanowił wejść bezpośrednio w stosunek z wielkim hanem i wysłał przeto dwie deputacje na Wschód. Pierwsza skła-

dała się z Dominikanów, z których jeden tylko Andrzej de Lonjumel w r. 1248 czy 1249 dotarł do stolicy hana Karakorom. Drugie poselstwo składało się z Franciszkanów, Wawrzyńca portugalskiego, Benedykta Polaka i Jana Piano di Carpino. Wyjechawszy w pierwsze święto wielkanocne r. 1245 z Lugdunu, deputacya ta przez Pragę, Wrocław, Kraków i Kijów przybyła do obozu hana Batu nad Wołgą a zaopatrzona przez niego w straż i przewodników, d. 22 lipca stanęła w Karakorom, gdzie właśnie obwołano wielkim hanem Kujuka. Następnego roku poselstwo powróciło tą samą drogą do domu. Relacye zdali Piano di Carpino i Benedykt Polak ¹⁾. Dalszych wiadomości o tych stronach dostarczył zakonnik francuzki Rubruk, wysłany na wiosnę r. 1253 przez Ludwika ś. do wielkiego hana. Największą sławę jednak zjednał sobie wenecyanin Marek Polo, który w listopadzie r. 1271 wyjechał do Azji. Na podstawie znakomitych prac Fauthiera („Le livre de Marco Polo,“ 2 vol. Paris 1865); Yulego („The book of ser Marco Polo,“ London, 1875) i Richthofena (o Chinach), autor dokładnie opisuje drogę, którą słynny podróżnik przez sam środek Azji dotarł do Chin, gdzie przez kilkanaście lat piastował wysokie urzędy, aż w r. 1295 z poselstwem cesarza chińskiego morzem około Indyi i przez zatokę perską powrócił do Wenecyi. W tym samym roku uwieziony w bitwie pod Corzola i osadzony w więzieniu w Genui, tam swemu towarzyszkowi pizańczykowi Rusticiauo dzieje swego pobytu w Azji podyktował najprzód w języku staro-francuzkim, z którego przełożono je niebawem na łaciński i włoski. Z razu ciekawa relacya Pola nie wywarła silnego wrażenia, Dante nie wspomina o niej. Pierwszy wpływ Pola na kartografię, uwydatnia się na słynnej karcie katalańskiej, z r. 1375, (ułożonej dla króla franc. Karola V w Mallorre i przechowywanej w bibliotece narodowej w Paryżu). W XV i XVI stuleciu wszyscy kartografowie korzystali z wskazówek Marka Pola, jednakoż Kolumb, jak dowodzi nasz autor, znał go tylko z listu Toscanellogo a w swych pismach ani razu nie wymienia nazwiska Pola. Równocześnie z wenecyaninem przebywał w Azji włoski Franciszkanin Jan z Montecorvino (ur. 1247, † około 1328), który w liście z r. 1292 opisał Indye, później zaś dotarł również do Chin i został nawet pierwszym i ostatnim arcybiskupem gminy chrześcijańskiej w Kambalu. Jego śladem przybył do Chin i opisał je O. Odorich z Pordenone († r. 1331 w Udinie). Ostatnią wielką podróż przez środkową Azją odbył Franciszkanin O. Jan z Marignolli, ur. 1290, wysłany w grudniu r. 1338 od papieża Benedykta XIII z Avignonu do wielkiego hana, u którego w Kambalu przebywał 3 — 4 lat jako poseł papieżki, następnie po różnych przygodach morzem około Indyi, przez Ormuz, Bagdad w r. 1353 powrócił do Avignonu. O żywym zajęciu, jakie budziły wyprawy misyonarzy i kupców do Azji świadczy wydany na początku XIV stulecia przez włocho Pegolottego

¹⁾ Porównać: Wiszniewski, hist. lit. pol., t. II.

p. t.: „Libro di divisamenti di Paesi” niejako pierwszy Baedeker, wskazujący dokładnie drogę do Chin. Upadek dynastii mongolskiej w Chinach (1368) i szczerne zamknięcie granic Państwa Niebieskiego nagle przerwały rozkwitujące stosunki dyplomatyczne i handlowe z Europą.

W trzeciej księdze autor wykłada zabiegi około odkrycia drogi morskiej do Indyi. Pierwszym najpłodniejszym w następstwa czynem była wyprawa Dyonizego Diaza, który w r. 1445 dotarł do „Przylądka Zielonego” i tu w zwrotnikowej strefie ujrzał bujną wegetacją i silny, nawet piękny szczep mieszkańców. Teorie Arystotelesa i Ptolomeusza o niezamieszkalności strefy zwrotnikowej rozbiły się o „Zielony Przylądek.” Nauczono się tam ufać więcej własnemu doświadczeniu, aniżeli pismom powag greckich. „Mało jest nazw geograficznych, powiada autor, tak szczęśliwie dobranych i tak nasuwających się same przez się, jak nazwa Przylądka Zielonego, wyskakującego daleko w morze wysmukłego grzbietu gór, pokrytego bujnemi palmami. Pod ich cieniem pogrzebana geografia średniowieczna.” Pomijając dalszy treściwy i jasny opis wypraw Bartłomieja Diaza, Vasca de Gama, Cabrała, który w r. 1500 niezależnie od Kolumba odkrył Brazylią, tudzież czynów słynnych wicekrólów portugalskich w Indyach, przystępujemy natychmiast do drugiego rozdziału, traktującego o wyprawach hiszpańskich, a mianowicie o Kolumbie.

Autor nasz należy do rzędu tych coraz to liczniejszych dziś dziopisarzy albo historyozofów, którzy w dziejach nie widzą zrządzenia Opatrzności, jak Bossuet, ani też ślepego trafu, jak Macchiavelli i Fryderyk II, lecz konieczność; przeto wielkim mężom nie przyznawają roli twórczej, lecz wystawiają ich jako, choć nie ślepe, ale jednak dość niewolnicze narzędzie okoliczności, wypadków, potrzeb i prądów ogólnych. Amerykę północną odkrył już na początku X-go stulecia normandczyk Gunnbjörn, w drodze do Islandyi zapędzony do Grönlandu. Około r. 985 osiadł tam Erik Czerwony, wygnany za zabójstwo z Norwegii, i nazwał kraj odkrytą ziemią zieloną, grünes Land, ztąd Grönland. Niebawem chrześcijaństwo utorowało tam sobie drogę. Od początku XII stulecia istniało biskupstwo grenlandzkie, ostatni zawiadawał nióm osobiście Alfr od 1368 do 1378, ale aż do r. 1537 istnieli tytularni biskupi Grenlandyi. Słowem, Ameryka była odkryta pięć wieków przed Kolumbem, tylko że wówczas odkrycie to nie odpowiadało powszechnym prądom i potrzebom, a więc poszło w niepamięć. Z drugiej strony w kilka lat po pierwszych wyprawach Kolumba, ale samodzielnie odkrył Amerykę południową Cabral. „Droga portugalczyków, powiada autor z powodu tego odkrycia Cabrała, była tego rodzaju, że rychlej czy później statki portugalskie, dążące do Indyi musiały odkryć południową Amerykę, chociażby śmiały plan Kolumba nie był dostąpił poparcia i nie był został wykonany.” Oczywiście z takiego punktu widzenia zastugę Kolumba można sprowadzić do skromnych rozmiarów, co nie przeszkadza, że w sumieniu ludzkości

na mocy szlachetnego charakteru, wyrwałości a zwłaszcza cierpieni i zawodów pozostanie on na zawsze jedną z najjaśniejszych postaci dziejowych.

Ciekawe szczegóły przytacza autor co do powstania nazwy Ameryki. Pierwszy użył tego wyrazu Marcin Waltzemüller, profesor przy gimnazjum St.-Dié w wydanej w r. 1507: „Cosmographiae indroductio.“ W rozdziale 9-tym swego dzieła Waltzemüller przytacza krótki opis Europy, Afryki i Azji, i dodaje: „Teraz nie tylko te części świata są dokładniej znane, ale nadto odkrytą została przez Ameriga Vespucciego czwarta część, którą należałoby nazwać Ameryką, czyli ziemią Amerika, zwłaszcza że i Europa i Azya otrzymały nazwy niewieście.“ Na tém miejscu, zdaniem prof. Rugiego, po raz pierwszy w piśmiennictwie pojawia się nazwa Ameryka. Następnie zjawia się w wydany w Strasburgu r. 1509 „globus mundi“ i na znajdującej się w Wiednin karcie z tegoż roku. W dwa lata potem czytamy tę nazwę w dramacie angielskim: „A new interlude,“ w r. 1512 w liście Vadianusa do Rudolfa Agricoli, w r. 1516 na ciekawej karcie świata Leonarda da Vinci, w r. 1531 na karcie świata francuzkiego kosmografa Aroncyusza Finacusa i t. d. Z tem wszystkiem w XVI stuleciu nazwa ta nie była powszechnie przyjętą, zwłaszcza Amerykę południową zwano jeszcze najczęściej Peruana lub Brazylia; dopiero w XVII stuleciu nazwa Ameryki weszła w zwyczaj.

W szeregu słynnych konkwistadorów hiszpańskich najwyżej stawia autor i najżywszemi barwami opisuje Corteza. Obok tego śmiałego zdobywcy, największą sympatyą autora cieszy się odkrywca drogi do Indyi w kierunku zachodnim, oraz pierwszy podróżnik około świata, Fernao Magalhães, którego prof. Ruge uważa jako najgieniałniejszego z wszystkich podróżników hiszpańskich i portugalskich. W dwóch ostatnich rozdziałach autor opisuje mniej zajmujące usiłowania francuzów, anglików i holandczyków, aby znaleźć drogę do Indyi około bieguna północnego.

Dzieło zdobią liczne portrety (Marco Polo, Vasco de Gama, Alfons d'Albuquerque, Kolumb, Cortez, Magalhães i t. d.), podobizny (pierwszego ulotnego pisemku o odkryciu Ameryki, domu w Valladolidzie, w którym umarł Kolumb, listów Ameriga Vespucciego, ruin meksykańskich, chińskich pieniędzy papierowych w XIV wieku i t. d.) oraz karty, jako to karta świata, dołączona do strasburskiego wydania Ptolomeusza z r. 1513, karta katalańska z r. 1375, karta świata Fra Mauro z r. 1459 (Wenecya), podobizna globusu Behaima z roku 1492, pierwsza karta Ameryki skreślona w r. 1500 przez Jana de la Cosa i t. d.

E. L.

„Sur la densité de l'oxygène liquide.“ *Comptes rendus de l'Académie des sciences*, z 16 lipca 1883 r. „Ueber das spezifische Gewicht des flüssigen Sauerstoffs.“ *Annalen der Physik und Chemie*, 1883, t. XX, przez Zygm. Wróblewskiego.

Jak swego czasu zwróciliśmy uwagę czytelników „Bibl. Warsz.” na rezultaty głośnych doświadczeń nad skropleniem gazów stałych, doświadczeń, które szeroko wstawiły imię dwóch profesorów krakowskich: Wróblewskiego i Olszewskiego, tak i dzisiaj zamierzamy dać relacją o nową pracę jednego z tych uczonych, mniej uderzającej napozór i nietyle, co poprzednia, zajmującej dla ogółu, ale za to bardzo subtelnej i pod względem trudności eksperymentalnej zasługującej na uwagę świata uczonego.

W rozprawie, której tytuł w nagłówku wypisaliśmy, szło profesorowi Wróblewskiemu o oznaczenie ciężaru gatunkowego tlenu w stanie ciekłym. Kwestyą tę podniósł Dumas w r. 1877 zaraz po znanym doświadczeniu Pictet'a nad skropleniem tlenu i wyraził był wtedy przekonanie, że gęstość tlenu w stanie stałym jest zapewne równa 1, a gęstość tego pierwiastku ciekłego niewiele od téj cyfry się różni; jeżeli bowiem tlen i siarka są ciała izomorficzne, to muszą mieć jednakowe iloczyny z ciężarów atomowych przez ciężary gatunkowe (czyli, jak Dumas to nazywa, równe być muszą „volumes atomiques”). Ponieważ iloczyn taki dla siarki wynosi $32/2=16$, przeto gęstość tlenu musi wynosić $16/16=1$.

Zgodnie z tą opinią uczonego akademika zdawało się Pictet'owi, iż ze swoich doświadczeń wyprowadził na gęstość tlenu cyfrę 0,9883, albo 0,9787, istotnie mało różniące się od 1 („Ann. de chimie et de physique,” 13, str. 197—198, 1878). Wszelako już wkrótce potem wystąpił Offret z uwagą, że wyliczenie to musi być błędne i że najprawdopodobniejszą jest cyfra 0,84 („Ann. de chimie et de physique,” 19, str. 271—283, 1880).

Wróblewski stawia zarzuty i jednemu i drugiemu z tych wyliczeń, dowodząc, że zostały one wyprowadzone z doświadczeń niedość ściśle do tego celu zastosowanych: u Pictet'a tylko część tlenu była skroploną; ale znowu Offret, który tę część słusznie chce odtrącić, zapomina, że objętość nieskroplonej części tlenu nie da się dokładnie obliczyć.

Przytacza też Wróblewski, bez uwag krytycznych, doświadczenia nad tym samym przedmiotem, wykonane przez pp. Cailletet i Hautefeuille („Comptes rendus,” 92, 1086—1090, 1881), którzy, mieszając tlen i kwas węglowy w stosunku określonym, a poddając mieszaninę wpływowi różnych temperatur i różnych ciśnień, otrzymali wiele cyfr na gęstość tlenu, od 0,58 do 0,89.

Własne swoje poszukiwania gęstości tlenu dokonywał profesor

krakowski za pomocą tego samego przyrządu, którego był używał do skroplenia tlenu. Nie wdając się w opis tego aparatu i przebiegu doświadczeń, co nas téż oczywiście zmusza do pominięcia matematycznego wywodu cyfry ostatecznej, zaznaczymy, iż według p. Wróblewskiego najprawdopodobniejsza wartość ciężaru gatunkowego tlenu w stanie ciekłym wynosi przy temperaturze około -130° C. i pod ciśnieniem skroplenia 0,899.

Cyfra ta, dodaje p. Wróblewski, nie wyklucza zgoła słuszności poglądu Dumas'a, który słusznie twierdzi: że gdy gazy w stanie ciekłym mają bardzo wielkie współczynniki rozszerzalności, to niezawodnie gdyby tylko można było tlen jeszcze bardziej oziębnić, gęstość jego byłaby coraz bliższą 1; że zresztą tak znaleziona objętość atomowa tlenu nie więcej się różni od objętości atomowej siarki, jak się po większej części różnią między sobą objętości atomowe pierwiastków do wspólnej grupy należących.

F. Sulimierski.

Paul Deschanel, La question du Tonkin. Paris. Berger-Levrault et Comp., 1883, str. 8, VII i 505.

Geografia nazywa Tonkinem północną część dzisiejszego państwa Anamickiego, obliczaną na 150,000 do 160,000 kilometrów kwadratowych, przestrzeń równającą się, według obliczenia prof. Czerne'go, razem wziętej rozległości Galicyi, Czech i Morawii. Pod względem położenia geograficznego styka się Tonkin z południową granicą Chin południowych, a w szczególności z bogatemi prowincjami chińskimi Yunnan i Kwangsi.

Sprawa tonkińska jest jedném z tych zawikłań wojenno-politycznych, które od czasu do czasu prawie niespodzianie nawiedzają Rzeczpospolitą francuzką i mają zawsze tę niemiłą stronę, że na pierwszy rzut oka wydają się być fatalnym skutkiem polityki bez pewnego jasnego programu, polityki awanturniczej, błędnej, niepewnej siebie, którą się kłopotliwie odznaczają rządzący dziś Francją doktrynerzy. Mogłoby się często zdawać, że chodzi im więcej o zwycięstwo doktryny aniżeli o utrwalenie ogólnych interesów i praw narodu. Polityka taka pozbawiła dzisiaj Francją w znacznej mierze tego wpływu, jaki z korzyścią dla cywilizacji wywierała w Egipcie, odstąpiła w sprawie Tunisu i Madagaskaru aspiracje zaborcze, nie różniące się w zasadzie niczem od zuchwałości supremacji cesarskiej. I w Tonkinie naraża ta polityka na szwank nie tylko sławę oręża francuzkiego, ale wystawia naród na niebezpieczeństwo wojny z Chinami. Naród francuzki czuje instynktowo niebezpieczeństwo takiej sytuacji,—dąsa się i deklamuje Bóg wie przeciw komu; ale w ogóle, wpatrzony w anioła materyalizmu, którego aniołem pokoju być mieni, nie zapala się jeszcze do tych za-

morskich kwestyi, — prawie jakby unikał wniknięcia w głąb rzeczy i w istotne tych zawikłań i swego poniżenia przyczyny.

Książka p. P. Deschanel położyła sobie za zadanie zapalić i roz-
entuzyazmować naród francuzki dla kwestyi i dla sprawy tonkińskiej;
ale przytém zawiera wiele wiadomości, które jako informacja do oryen-
towania się w danej chwili i w daném położeniu, zasługują na uwagę
szerszej publiczności.

Dla osiągnięcia zamierzonego przez siebie celu zainteresowania
Francuzów dla sprawy tonkińskiej, zastanawia się przedewszystkiém
p. Deschanel nad ogólném znaczeniem dzisiejszej polityki kolonialnej
Rzeczypospolitej francuzkiej, której najostrzejsze żądło ma być zwró-
cone przeciwko „zatrważającemu” (formidable) rozprzeźrzeniu się
rasy anglosaksońskiej, a która to polityka ma znowu być niezawodnym
środkiem podźwignięcia na wyższy szczebel powalonego przez Niemcy
narodu francuzkiego. Indyc zagangesowe są tylko jednym, ale w danej
chwili jedynym przedmiotem, jedynym celem téj polityki. Po przeglą-
dzie dawniejszych stosunków, jakie zachodziły między Francją a Kró-
lestwem Anamickiem, stosunków objaśniających okoliczności, wśród
których powstały w tamtych stronach obwarowane osady francuzkie,
czytamy dosyć szeroki rozbiór zatargów, które po zawarciu traktatu
w r. 1874 bezustannie się odzywały. Autor uwidatnia wpływ i cha-
rakteryzuje podstępna rolę, jaką tu odgrywali Anamicy, — równie
„flagi” czarne, jak i żółte, — intrygi rządu chińskiego, nawet oso-
biste interesa i widoki pojedynczych, wysoko postawionych manda-
rynów. Opis wyprawy dowódcy p. Rivier’a zamyka tę historyczną
relacją, której nie tajonym, a może i głośnym zamiarem jest równo-
cześnie dowieść, że utrzymanie sytuacji, wytworzonej przez traktat
z roku 1874, jest niemożliwe, z interesami francuzkiemi sprzeczne,
z polityką wielkiego narodu, z chwałą i aureolą Francyi niezgodne.

Autor, nie widząc, zdaje się, sam prostej, przez organiczny ro-
zwoj stosunków wskazanej jedynéj drogi wyjścia z tego labiryntu,
w jaki wplątał Francją doktryneryzm radykalizmu, wystarczający
chwilowo w Paryżu, ale zaambarasowany na szerokiej arenie dziejów
ludzkości, ucieka się do konsyderacyi nad różnemi alternatywami, któ-
rych Francya wśród wielkiego kłopotu chwycićby się mogła. Stawia
ich tedy trzy, mianowicie: 1) aneksya Tonkinu do Królestwa Anami-
ckiego, 2) oderwanie go zupełne od Anamu pod protektoratem Francyi,
albo wreszcie 3) protektorat Francyi nad Królestwem Anami-
ckiem, połączoneń ściśle z Tonkinem. Ostatnią kombinacją uważa
p. Deschanel za jedynie racjonalną i możliwą, a więc w żadnym razie
o wyrzeczeniu się Tonkinu przez Francją mowy być nie może. Wnio-
sek swój stara się p. Deschanel szczegółowo uzasadnić, rozwodząc się
szeroko nad obfitością bogactw, w jakie przyroda kraj ten uposażyła
i wskazując ogromne praktyczne znaczenie, jakie terytoryum to posia-
da, tudzież przez to, że stanowi najpewniejszą i najbezpieczniejszą bramę
zawojowania Chin południowych, a to mianowicie przez to, że Rze-

ka Czerwona jest najlepszym kanałem, przez który może wtargnąć cywilizacja—rozumie się i panowanie francuzkie do południowej części Państwa Niebieskiego.

Dzieło p. Deschanel jest w każdym razie pracą na dobre, pracą bardzo pożądaną dla gruntownego oryentowania się w kwestyi bieżącej, w kwestyi, której ogólnohistorycznego znaczenia odmówić nie można. Wartość zaś jego nie leży tyle w wywodach samego autora, ile raczej w obfitych źródłach naukowych, na które się p. Deschanel powołuje w uwagach, demonstrujących i popierających pojedyncze szczegóły i fakta. Ciekawem jest także studjum p. Villard, ogłoszone drukiem w Saïgonie o konstytucyi, administracyi i kulturze w Królestwie Anamickim, studjum, które p. Deschanel w całości dołączył do swojej pracy.

Prócz tego jest dzieło p. Deschanel i z tego względu ciekawem zjawiskiem, że świadczy o nadzwyczajnej przenikliwości, intuicyi, prawie diwinacyi autora, jak to słusznie zauważył p. F. L. w „Deutsche Literaturzeitung,” z którego treściwój relacyi korzystamy (Nr. 1, r. b). W chwili, gdy książka p. Deschanel była już pod prasą, żył jeszcze król Anamu, Tuduc. Następstwo po nim spadało na rzecz jednego z trzech jego synów. Ani o bombardowaniu fortów Thouân-An, ani o traktacie zawartym w Huë nie mogło być jeszcze mowy. Skoro jednak autor rachuje się już (str. 199) z ewentualną śmiercią króla, jako z faktem nadzwyczajnej dla Francyi doniosłości, skoro stanowczo utrzymuje, że polityka Francyi nie powinna pod żadnym warunkiem dopuścić któregokolwiek z jego synów do następstwa po nim; skoro wreszcie po nagłej śmierci Tuduc'a żaden z nich, lecz znany jako stronnik i zwolennik Francyi Disiep-Hoa na osierocony tron wstępuje, a po nastąpieniu niebawem otruciu jego dalsza polityka francuzka rozwija się nawet w najdrobniejszych szczegółach aż do traktatu, w Huë zawartego, w kierunku przez autora wskazanym, niby za jego dyrektywą i instrukcją, to nie można zaprzeczyć p. Deschanel tego jasnego, trzeźwego poglądu na dane stosunki, poglądu, który granicząc z zastanowieniem godną intuicyą i inspiracyą, dodaje szczególnój wartości jego wywodom.

Przy tém wszystkiém spotykamy w dziele tém opinie, poglądy i twierdzenia, które grzesząc pewną powierzchownością, dowodzą tylko tendencyi, którąśmy na początku téj relacyi zaznaczyli, mianowicie: zapalenia francuzów do popierania sprawy tonkińskiej w myśl intencyi rządu republikańskiego. Uwaga ta odnosi się przedewszystkiém do dwóch kwestyi ogólniejszego interesu. Autor, pragnąc zapalić imaginacyą francuzów, kreśli zanadto jaskrawemi barwami pożądlivość zdobyczo-handlarską anglików w danéj chwili,—nie dosyć na tém, trwoży ich najwrażliwszém, bo jeszcze dobrze pamiętném straszidłem okupacyi niemieckiej w Królestwie Anamickim. Kombinacyi tych nie można do téj chwili żadnemi dowodami poważnemi uzasadnić i trzeba być wielkim młodzieniaszkiem nietylko w polityce, ale

i w historii najnowszych czasów, żeby na ten temat fantazyować. Praktyczna polityka rachuje się przedewszystkiem i wyłącznie z warunkami danej chwili: dzieła np. księcia Bismarcka cieszą się powodzeniem nie dla tego, że sprawca ich przyszłość przewiduje, ale dla tego, że teraz niejszość doskonale rozumie.

Jest jeszcze jedno straszycło, które francuzów w tej sprawie dreszczem trwogi przejmuje, mianowicie możliwość zawikłań wojennych z Chinami, tudzież obawa przed wniiesaniem się dyplomacyi europejskiej do tej sprawy. Ostatniej kwestyi nie stara się p. Deschanel nawet zajrzeć śmiało w oczy; ale upewnia swoich ziomków, że żadne z państw europejskich nie śni nawet o zakłóceniu z tego powodu spokoju Europy, na tak wyborniej harmonii interesów europejskich oparte go. Co zaś do Chin, to utrzymuje p. Deschanel, że sama Anglia nie pozwoliłaby na wojnę, której bezpośrednim skutkiem byłaby natychmiastowa blokada wszystkich portów chińskich i nietylko straty, ale upadek handlu angielskiego. A gdzież się podziała pożądlliwość zaborcza rasy anglo-saksońskiej? Czy autor zapomniał o postępowaniu Anglii w r. 1860, kiedy to właśnie Francya wymogła na Anglii zaprzestania blokady portów chińskich, żeby przez to nie popchnąć chińczyków do rozpacz?

Przytoczymy wreszcie jeden ustęp z dzieła p. Deschanel, który dowodzi, że nawet klęski z r. 1869 i 1870, w znacznej części spowodowane lekceważeniem przeciwnika i wynikłym ztąd popłochem, nie wyleczyły francuzów z tej lekkomyślności, z jaką się zapatrywali zwykli na stosunki międzynarodowe i na siły obronne innych krajów. Czytamy na str. 321: „qu'on le sache bien, en moins de quinze jours notre flotte serait maîtresse de Peking—c'est l'avis unanime de tous les militaires européens qui connaissent les lieux.“ A zatem Peking jest miastem nadmorskiem! Prócz tego czy autor zapomniał zupełnie o przebiegu ekspedycyi francuzko-angielskiej w r. 1860? czy nie starał się zasięgnąć żadnych wiadomości o tém, co chińczycy od tego czasu w organizacyi i uzbrojeniu swojej armii zrobili, ani o tych obronnych środkach, które od owiej chwili przekształciły prawie zupełnie całą przestrzeń gruntu pominądzy ujściem rzeki Peiho a Pekingiem? W interesie cywilizacyi europejskiej należałoby życzyć Fraucyi, żeby tak świeża nauka (r. 1869) w las nie poszła.

KORESPONDENCYA.

Do Redakeyi Biblioteki Warszawskiej.

Szanowny Redaktorze!

W artykule p. J. T. Hodiego: „Zarys filozofii rodzimój,” pomieszczonym w zeszytce styczniowym „Biblioteki Warszawskiej,” odczytuję na str. 27 przypisek, którego treść sprostować uważam sobie za obowiązek. Autor twierdzi, jakoby ja w „Zarysie literatury polskiej z ostatnich lat 16-tu” zapewniał, „że młodzież, która u nas zapoczątkowała kierunek pozytywistyczny, mówiła o Comcie, broniła jego zasad, nie czytając go wcale.” Przytoczenie to daje widocznie p. Hodi pamięci, gdyż nie wypisuje stronicy, na której zdanie powyższe znaleźćby można. Otóż, pozwałam sobie zauważyć, że pamięć zawiodła autora; zdania bowiem takiego nie wypowiedziałem nigdzie, a to, jakie wypowiedziałem, znajduje się na str. 64 i brzmi tak:

„Znalazło się naturalnie kilku, może kilkunastu, co powodowani sumiennością, zajrzeli do źródła, z kąd mądrość płynęła; odczytali sobie jeżeli nie samego Comte’a, to Littrégo, i nabrali mniejwięcej dokładnego pojęcia o metodzie i całości nauki pozytywnej; ale znaczna większość, zarówno z wolenników, jak i przeciwników zadawała się naprędce gdzieś pochwytanemi frazesami, modelując je według upodobania i według potrzeby.” A więc mówiłem tu najprzód zarówno o zwolennikach, jak i o przeciwnikach pozytywizmu; powtóre: odróżniłem zwykły tłum zwolenników od tych, co „zapoczątkowali kierunek pozytywistyczny;” potrzecie: mówiłem o znacznej większości, nie zaś o wszystkich zwolennikach lub przeciwnikach.

Trzy błędy, popełnione w jednym krótkim zdaniu, powinnyby na przyszłość przestrzedz p. Hodiego, że cytowanie cudzych zdań z pamięci, bez zająrzenia do książki, naraża na bardzo smutny wypadek

wykrzywiania tych zdań, a następnie, pod wpływem poczucia sunienności, na równie może smutną potrzebę odwoływania tego, co się wyrzekło.

24 stycznia 1884 r.

Z poważaniem:

Piotr Chmielowski ¹⁾.

¹⁾ Nie uprzedzając odpowiedzi samego autora wskazanego artykułu, który powinien dokładnie przytaczać cytowane zdania obce, sądzimy, że w tym razie nie chodziło p. J. T. Hodiemu tyle o tekstualne twierdzenie p. Chmielowskiego, ale raczej tylko o zaznaczenie ogólnej sytuacji występujących ze sobą do walki szeregów, nie znających dokładnie kopii, którą kruszyć mieli. O tém „zapoczątkowaniu kierunku pozytywistycznego” u nas mówiąc, sięgnęlibyśmy jeszcze trochę dalej i głębiej, a wtedy zgodzimy się z p. Chmielowskim, że bardzo wielu najzarliwiej rozprawiało o Comcie, którzy go wcale nie czytali. A dzisiaj ilu go badało, ilu go dokładnie rozumie? *Red.*

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Styczeń 1884. — Posiedzenie Komisji antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie. Pierwsze po feryach letnich posiedzenie Komisji antropologicznej Akademii Umiejętności odbyło się 26 listopada pod przewodnictwem prezesa Akademii d-ra J. Majera. Po zagajeniu posiedzenia przez przewodniczącego, sekretarz Komisji, dr. J. Kopernicki odczytał protokół posiedzenia poprzedniego i po przyjęciu go przez obecnych, przedstawił Komisji nadesłane dla jej użytku nowe materyały i prace naukowe. Jako materyały dla działu antropologii w znaczeniu ściślejszém nadesłali swe spostrzeżenia antropometryczne na osobach żywych dokonane, pp. dr. Bieńczyński z powiatu Dobromilskiego, Janowski z Drohobyskiego, Kałychanowski z Kamianockiego, Mazurkiewicz z Kraśnieńskiego, Tyrolski ze Zbarskiego, Wroński z Grybowskiego i Gotlickiego, Żuliński z Jasielskiego i Przybylski z Nowego-Sącza. Ostatnie tylko z wymienionych tu spostrzeżeń (z Nowego-Sącza) okazały się nieprzydatnymi, gdyż dokonane zostały z pominięciem tych wskazówek, które podane były na ten cel przez Komisję. Z prac w zakresie etnologicznym nadesłali: 1) Panna Michalina Tomaszewska ze wsi Cebuli w powiecie Jarosławskim „Opis obrzędów weselnych ludu ruskiego” z téjże wsi z dodatkiem kilku piosnek świątecznych (szczodrówek) i żniwiarskich; 2) Pani Lipińska, rękopis pozostały po ś. p. jej mężu Józefie Lipińskim, autorze wydanego w r. 1842 „Zbioru pieśni ludu Wielkopolskiego” zawierający niewydane dotąd „Wiadomości etnograficzne i pieśni ludowe Wielkopolski;” 3) Pan Czesław Neyman, adwokat przysięgły z Kijowa, — rękopis zawierający „Materiały etnograficzne z okolic Pliskowa” (w lipowieckiem), zebrane przez panią Zofią Didkowską, a przez niego uporządkowane, oraz uwagami krytycznymi i wskazówkami porównawczymi objaśnione; 4) Pani hr. Lucyna Stadnicka z Niemierowa (Podola), „Opis obrzędów weselnych, oraz zbiór 111-tu pieśni ludowych, 140 tu przystów i 3-ch zamawiań z Bracławszczyzny. Wszystkie wy-

mienione prace zostały przez Komisją przyjęte z uznaniem i zalecone do wydania w zbiorze wiadomości do antropologii krajowej. Wspomniany rękopis po ś. p. J. Lipińskim, członek Akademii p. O. Kolberg już przejrzał, rzeczy zasługujące w nim na wydanie uporządkował, uwagami swojemi objaśnił i do druku przygotował. Następnie przewodniczący powiadomił członków, iż druk tomu VIII zbioru wiadomości do antropologii krajowej został już rozpoczęty, poczem wyraził swoje uwagi o przedmiocie i kierunku prac naukowych Komisji w roku rozpoczętym pożądanym i zamierzonym. Po wyczerpaniu rozpraw nad tym przedmiotem posiedzenie zostało zamknięte.

G. O.

— Od czasu jak antropologia wykryła wielkie podobieństwo, niekiedy prawie identyczność, pewnych dzisiejszych ludów dzikich, pierwotnych, z ludami epoki przedhistorycznej, których sposób życia dokładnie poznajemy z wykopalisk, od téj chwili badanie zwyczajów tych ludów dzikich, dotąd więcéj przygodne i dyletanckie, nabrało cechy naukowej i przedstawia żywy interes humanitarny, bo ludy te są niejako żyjącymi dokumentami naszej przeszłości i odpowiadają różnym stadyom rozwoju ludzkości. Znacomity antropolog de Quatrefages, wychodząc ze stanowiska blizkiego związku, jaki tu łączy przeszłość z terażniejszością, wydał świeżo obszernie dzieło francuzkie p. t.: „Ludzie kopalni i ludzie dzicy,” którego treść jest bardzo bogatą i stanowi poniekąd syntezę dzisiejszéj wiedzy naszej o tym przedmiocie. — Że człowiek istniał w epoce czwartorzędowej, na to się już zgodzili wszyscy bez wyjątku uczeni, i, co ważniejsza, nietylko już nikt o egzystencji przedhistorycznego człowieka nie wątpi, ale nawet znamy w wielu szczegółach warunki téj egzystencji. Co do epoki trzeciorzędowej, to istnienie człowieka w téj odlegléj epoce, stanowi dotąd kwestyą sporną i to témbardziej sporną, że się z nią wiążą rozliczne wnioski poboczne; choć te nie powinny się zgoła mieszać do nauki ścisłej i, bądź co bądź, jeżeli opóźnią niekiedy jéj postęp, to nigdy nie na dtugo. W sprawie, o której mówimy, i głębsi teolodzy i wolnomyśliciele schodzili się niekiedy wzajemnie na tym gruncie, że jacyś ludzie niższej organizacyi, mniej lub więcéj do małp podobni, mogli poprzedzić na ziemi dzisiejszy rodzaj ludzki; tylko że według teologów ci poprzednicy nasi, te istoty pitekoidalne, znikły z lica ziemi wraz ze wszystkimi tworam i tego aktu stworzenia, którego były przedstawicielami najdoskonalszymi; według zaś wolnomyślicieli, byli to nasi przodkowie, i my jesteśmy ich potomstwem w prostéj linii. Pan de Quatrefages pomija te wnioski oderwane jako nienaukowe, ale z niektórych dowiedzionych faktów sam wnosi, że w epoce trzeciorzędowej człowiek prawdopodobnie już istniał. Nic jednak więcéj o nim, prócz tego że istniał, nie ośmiela się twierdzić dla braku dokumentów. — Streściwszy w systematyczném, ile możności, przedstawieniu wszystko co dotąd wiemy o rasach z epoki czwartorzędowej, o ich mieszanu się, zlewaniu cech i kumulowaniu, rzuciwszy tym sposobem nowe, starsze od klasy-

cznego, światło, na tworzenie się ludów europejskich i skład ich etniczny, de Quatrefages przechodzi do uwag o dzikich ludach, przyczem ogranicza się prawie wyłącznie na ludach Melanezyi i Polinezyi. — Papuas są według niego, rasą wyłącznie śródmorską, która jednak, aczkolwiek dziś zajmuje tylko Nową Gwineę i wyspy sąsiednie, miała niegdyś swoje chwile większej rozprężliwości i rozproszyła się była aż do niektórych wysp Mikronezyi, Nowej Zelandyi i wysp Wielkiejnocy, to jest na wschód i południe do samych krańców tego morskiego świata. — Negritosy, których niedawno prawie wcale nie znano a których i dotąd niektórzy antropologowie nie odróżniają od papuasów, rozszerzyli się przeciwnie ku zachodowi i północo-zachodowi. Zostały po nich niezawodne ślady w Japonii; do dziś spotyka się ich na Filipinach i na wielu wyspach archipelagu malajskiego; wyłącznie oni zaludniają Andamany. Niegdyś znajdowali się też na obu półwyspach indyjskich aż do stóp Himalajów i poza rzekę Indus. Onito stanowili ów typ azjatyckich pigmeów, o których mówią Pliniusz i Ktezyasz, a ci znowu Etyopowie o czarnej cerze i gładkich włosach, którzy wchodzili w skład armii Kserksesa, byli ich mieszańcami. — Dwa długie rozdziały poświęca de Quatrefages innéj rasie czarnej, nielicznój i skupionéj, ale zato bardzo interesującej dla antropologa, to jest Tasmańczykom, których ostatni reprezentant, kobieta, zmarła w roku 1877. Zagłada zupełna tego ludu w ciągu zaledwie 72 lat, zagłada ludu, który mieszkał na przestrzeni 4,400 mil (lieues) kw., jest dla nauki zagadką bardzo trudną do rozwiązania i bardzo... bolesną. Całą winę zwałono tu na Europejczyków ucywilizowanych, którzy istotnie często się okazują barbarzyńcami względem dzikich a nigdzie może nie byli tak okrutni jak w Tasmanii. Ale de Quatrefages inną dopatruje przyczynę zagłady. Nie chce on bynajmniej przez to łagodzić zbrodni, których się dopuszczali angielscy osadnicy i wygnańcy względem tego ludu, tak iż przeciwko nim odzywały się i w Anglii i w kolonii samej głośnie protestu ludzi poważnych a w szczególności Darwina; sądzi jednak, że ani wojna i towarzyszące jéj klęski, ani rzezie nieodłączne od przymusowego wywłaszczania nie były główną przyczyną wyćpienia téj rasy. Wygasła ona głównie pod wpływem tego nieokreślonego i niewytłómaczonego stanu wrażliwości na choroby, który europejczycy wnoszą z sobą wszędzie, dokąd tylko w granicach wyspiarskiego świata przybędą i który jak grom z jasnego nieba spada na ludy jak najbardziej napozór kwitnące. Jednym z elementów téj „choroby“, bo tak ją nazwać można, są niezawodnie suchoty płucne. Następuje tu przytém prawie spółcześnie wzrost śmiertelności i ubytek płodności. Na jednéj z wysp Markizów ludność w ciągu trzech lat, bez wojen i prześladowań, spadła z 400 dusz na 250, i dla zrównoważenia 150 wypadków śmierci, zdarzyły się tylko 3 czy 4 urodzenia. Nic dziwnego że w takich warunkach dzikie ludy wyspiarskie muszą wymierać pośpiesznie, i to też musi być najważniejszy powód szybkiéj zagłady nieszczęśliwych tasmańczyków. — Rzut oka na historiją ogólną ras

polinezyjskich, poparty mapą ich wędrówek, jest bardzo ciekawym ustępem, bo świadczy, że w tej epoce, w której my, Europejczycy, znaleźliśmy tylko żeglugę przybrzeżną, lub co najwyżej puszczaliśmy się na morze Śródziemne, oni przepływali ocean od krańca do krańca. Niemniej są ciekawe szczegóły dotyczące Nowej Zelandyi, w znacznej części zebrane na miejscu, przez uczonych tej kolonii, bo trzeba wiedzieć, że w tej krainie, przed półwiekiem jeszcze ludożerczów w całym swoim składzie, dziś istnieją wielkie miasta, akademie i muzea. „Transactions“ nowozelandzkiego Instytutu, jak się de Quatrefages wyraża, podają wiele ważnego materiału do historii miejscowych ras ludzkości, głównie, ma się rozumieć, maorysów. „Thungi,“ czyli „mądrzy ludzie“ maoryscy przechowują dużo pieśni historycznych, z których odbudowano dzieje tego ludu i datę migracji jego tutaj z wysp Manaja, oznaczonego ściśle na pierwsze lata XV wieku naszej ery. Ale i przedtym żyli tu ludzie, których szczątki dotąd się wydobywa, tylko ludzie rasy papuaskiej, po której zresztą i w dzisiejszych Maorach tu i owdzie ślady pierwotnego mieszania się pozostały. — Dwa ostatnie rozdziały Quatrefages poświęca szczepom ludzkim, żyjącym w znacznej odległości od powyższych. A więc najprzód todasy, maleńkie plemię z głębi gór Nilgheries, które pod każdym względem, fizycznym, umysłowym, społecznym, różni się całkowicie od wszystkich innych szczepów zamieszkujących Indyę Wschodnią. Todasy palą zwłoki ludzkie, czaszki więc bardzo trudno od nich dostać; ale pan Janssen w czasie swjej wyprawy astronomicznej do Indyj, żyjąc długo między nimi, przywiózł sporo rysunków i fotogramów a nawet wykonał pewne pomiary antropometryczne, które Quatrefages spożytkował. Tu nawiasowo wspomnimy, że towarzysząca w wyprawie p. Janssenowi małżonka, pomieściła w „Le Tour du monde“ ciekawe szczegóły o todasach. — Ostatni rozdział zajmuje się Finnami fińlandzkimi. Tu Quatrefages posiłkował się głównie pięknym dziełem Gustawa Retziusa, który od czasów przedhistorycznych dopatruje w ludności tego kraju dwa typy etniczne, niegdyś zapewne bardziej niż dziś wyraźne: tawastlandzki i karelski. Pierwszy należy niezawodnie do wielkiej rasy fińskiej, rozproszonj po Azji i Europie wschodniej; drugiego pochodzenia trudno wykryć. Lecz wyższe instynkta np. prądy poetyczne rozwinęły się głównie wśród tego drugiego typu, i jego bar-dowie pozostawili po sobie Kalewałę, której rozrzucone pieśni tak szczęśliwie zestawił Lönnrot. Z powodu tej cechy intelektualnej i niektórych znamion fizycznych Quatrefages zalicza Karelczyków do wielkiej rasy aryjskiej, której też zawdzięczamy wszystkie inne wielkie epepe od Ramajany, Iliady i Eneidy aż do nowożytnych arcydzieł poetycznych.

F. S.

— Poszukiwania w zakresie archeologii przedhistorycznej prowadzą się głównie w mogiłach (kurhany, cmentarzyska), jaskiniach i na dnie jezior. W niektórych krajach, stosownie do warunków orograficznych i hydrograficznych, kwitnie głównie archeologia cmentar-

na, w innych jaskiniowa a jeszcze w innych jeziorna. Ta ostatnia, która u nas nie znajduje dla siebie wdzięcznego pola i dotąd, z wyjątkiem Gópla, żadnych nawet usiłowań nie wywołała, rozwija się świetnie w Szwajcaryi a głównie w kantonie neuchâtelskim, dzięki stopniowemu i częściowemu osuszaniu jezior Neuchâtel, Morat i Bienne. Archeologowie z motyką w ręku badają, tu grunt stosunkowo już suchy, nie pozostając na łasce wątpliwego połowu siecią i dragami, którzy na innych jeziorach bardzo rzadko daje rezultaty pomyślne. Zebraли też już w Szwajcaryi taką obfitą kolekcję zabytków z epoki „mieszkań nawodnych“ (palafitów), że muzea przedhistoryczne innych krajów są wobec materiału szwajcarskiego drobnostką i wyglądają bardzo ubogo. Właściciel jednej z największych kolekcji szwajcarski dr. Wiktor Gross, lekarz z Neuveville, wydał obecnie dzieło p. t.: „Protohelweci czyli pierwotni osadnicy wybrzeży jezior Bienne i Neuchâtel,“ które daje dobre wyobrażenie o stanie dotychczasowej naszej znajomości życia i przemysłu tych nadjeziornych ludów. Na dołączonych 33 tablicach przedstawił 950 fotograficznych obrazów różnych ze swojego zbioru przedmiotów.— Co przedewszystkiem uderza przy studyowaniu tych szczytków przeszłości, to bogactwo owęj nadjeziornęj ludności, zwłaszcza w epoce znanęj p. n. epoki bronzu. Wszędzie widać ślady olbrzymiej fortuny; ubóstwa nie znać nigdzie. Ludzie ci znali mechaniczne sposoby, zapewne bardzo proste, wbijania w ziemię niezliczonej ilości pali, na których budowali swoje chaty; znali już rolnictwo i hodowlę bydła, tak iż prawie nie potrzebowali się uciekać do dawniejszego już środka zdobywania żywności, do myślistwa; prowadzili rozległy handel, który im dostarczał metali, bursztynu, szklanych paciorków i t. p. wyrobów dalszych krajów. Liczebnie biorąc, masa wyrobów z bronzu znajdujących na przestrzeni stosunkowo szczupłej świadczy, iż tego metalu mieli oni taką obfitość, jaką np. dziś wsie nasze mają obfitość żelaza. Byli też bogatymi Protohelweci już i w epoce kamienia. Nie jest to tak widoczném jak bogactwo w epoce bronzu, ale jest także niewątpliwém, skoro już także mieli bursztyn, nefryt, żadeit, chloromelanit, produkta zdaleka sprowadzane, boć bursztynu musieli z nad Bałtyku otrzymywać a inne wymienione kamienie spotykamy dotąd jedynie w Azji środkowej i południowej.— Epoka jeziorna trwała długo, i w ciągu niej człowiek przeszedł cały cykl rozwoju od cywilizacji pierwotnej, gdy jeszcze nie znał metalu, do wyższej gdy z wolna posiadał już bronz a następnie i żelazo. Cokolwiek o tém twierdzą niektórzy uczeni, dla p. Gross'a istnienie epoki bronzu, przejściowej między epoką kamienia i żelaza, jest rzeczą dowiedzioną zarówno przez wykopaliska wyrobów ręki ludzkiej jak i przez kości zwierząt towarzyszące tym wyrobom. P. Gross odróżnia u Protohelwetów trzy kolejne doby w epoce kamienia. Pierwsza początkowa, odznacza się ordynarnemi wyrobami z gliny, kamieniami grubo obrobionemi, brakiem nefrytu i innych sprowadzanych zdaleka krzemieni. Druga doba przedstawia cywilizacją kamienną w pełnym blasku i wyroby

z kamienia ozdobne, egzotycznego materiału dużo, garncarstwo udoskonalone. W dobie trzeciej zjawiają się już metale. Postęp ten uwydatnia się w różnych stacyach, z których wykopaliska odpowiadają tym cechom.—Ponieważ w dawniej Helwecyi, równie jak w dzisiejszej Szwajcaryi, cyny niema wcale a i miedzi prawie także niema, przeto nasuwa się archeologom pytanie, czy owi palafitowi mieszkańcy znali sztukę robienia bronzu i sprowadzali osobne jego składniki, czy też bronz już gotowy zkądinąd do nich przychodził, a nawet czy nie sprowadzali już gotowych wyrobów, sami wcale nie znając tego przemysłu. Według p. Gross'a niema dowodu na to, iżby sami bronz wyrabiali, ale musieli go sprowadzać lub zdobywać, przyczem i gotowe wyroby temż drogami mogły się im dostawać; niektóre bowiem noszą na sobie wyraźne piętno pochodzenia włoskiego, inne są oryginalne, a jeszcze inne do skandynawskich zbliżone. Liczne odgrzebane piece, kawałki niekształtne bronzu, młoty, kowadła, cęgi i nożyce świadczą, iż przemysł bronzowniczy istniał i na miejscu. *F. S.*

— Ludność W. Ks. Poznańskiego. Według ostatecznych obliczeń biura statystycznego, liczyło W. Ks. Poznańskie dnia 1 grudnia 1880 r. 1,703,397 mieszkańców. Z podanej pierwotnie cyfry 1,669, 029 mieszkańców, przypadło: 1) na miasta 443,623; 2) na wieś 1,225,406, razem 1,669,029. Obliczając na procenta różnych wyznań, liczby powzsze rozpadają się na: 1) katolików 64,5 (1,100,000), 2) protestantów 32,4 (540,000), 3) żydów 3,5 (około 60,000), 4) inne wyznania 0,1 (około 1,000). Liczba żydów jest stosunkowo bardzo znaczna, gdyż kiedy w całym państwie pruskiem, jest ich tylko 1,4 ‰, w Poznańskim jest ich 3,5 ogólnej liczby ludności. Do cyfry 1,703,397 zalicza się jeszcze 57,657 ludzi w W. Ks. Poznańskim urodzonych, atoli w innych częściach monarchii zamieszkałych, tak, że ogólna liczba ludności W. Ks. Poznańskiego wynosi właściwie 1,761,034. Wzrost ludności jest bardzo wielki i wynosi w latach od 1875—1880 r. 5,03 na sto; przyrost ten przewyższa tylko cyfra przyrostu ludności wiejskiej, gdzie wynosi 5,81. Od r. 1878 do 1881 wywędrowało z granic W. Ks. Poznańskiego w ogóle ludzi 31,465, i to w samym 1881 roku 16,655. W. ks. Poznańskie posiada: 1) miast 138, 2) gmin wiejskich 3,417, 4) dominiów 2,234, 4) domów mieszkalnych 157,791, 5) innych schronień ludzkich, jak up. szkut, bud i t. p. 1,101, 6) ognisk domowych 334,184.

— Polacy w Rumunii. Od zarządu Towarzystwa Biblioteki Polskiej w Jassach, w Rumunii otrzymaliśmy następujące sprawozdanie za r. 1883. Mimo uszczuplającej się nieustannie liczby rodaków, przebywających w Rumunii, należało do Towarzystwa Biblioteki Polskiej w ciągu r. b. 70 członków, którzy dość pilnie korzystali z nagromadzonych skarbów literatury ojczystej, ponieważ 46-ciu przeczytało 798 książek. Biblioteka posiada dziś 2,364 numerów o 3,645 tomach. Kilku obywateli ofiarowało 197, z własnych zaś funduszków zakupiliśmy 62 dzieł i czasopism najnowszych. Redakcyje trzynastu cza-

sopism przysyłały nam swe pisma darmo; otrzymywaliśmy zaś za pół ceny siedm czasopism. Dochód Biblioteki wynosił: 2,084 r. 80 ct. Fundusz żelazny wynosił przy końcu 1882 r. 14,500 fr. 40 ct., obecnie zaś podniósł się do 15481 fr. 10., które się rozkładają: a) na fundusz żelazny Biblioteki 6,702 fr. 20 ct.; b) na fundusz szkółki 8,778 fr. 90 ct.

— Czytelnia akademicka w Krakowie ogłosiła sprawozdanie za rok ubiegły. Wydział stowarzyszenia stwierdza w zdaniu sprawy ze swoich czynności, że czytelnia w roku zeszłym zgromadziła liczniejszy zastęp młodzieży i zaznacza ten ważny postęp w jej rozwoju, iż kilkunastu profesorów zapisało się na członków. Przy czytelnii istnieją osobno zorganizowane kółka: filologiczne, geograficzne i historyczne, oraz kółko szachowe. Kapitał zbierany na pomnik Mickiewicza wzrósł w roku zeszłym o 12,000 ztr. z górą. Czytelnia pilnie się także zajmowała popieraniem usiłowań mających na celu szerzenie oświaty ludowej, sprawą teatru w Poznaniu i innymi bieżącymi sprawami. Rozpoczęte poprzednie wydawnictwo „Przeglądu Akademickiego“ w roku zeszłym, zostało zawieszono dla braku poparcia u publiczności. Sekcja literacko-muzyczna urządziła 12 wieczorków, na których członkowie mieli odczyty, a oprócz tego dwa wieczory uroczyste ku uczczeniu pamięci Mickiewicza i Słowackiego. Biblioteka Towarzystwa liczy obecnie 3,639 tomów i otrzymywała 109 czasopism. Dochody funduszu obrotowego wynosiły 2,000 ztr., wydatki 1,965 ztr., fundusz żelazny z 296 ztr. wzrósł w roku zeszłym do 440 ztr. w kasie oszczędności i 150 ztr. w papierach; członków honorowych było 47, zwyczajnych 306, nadzwyczajnych 10.

— W Akademii Umiejętności w Krakowie odbyło się dnia 7-go grudnia r. z. posiedzenie komisji historii sztuki pod przewodnictwem członka Akademii prof. Łuszczkiewicza, który przedstawił przygotowane tablice litografowane do przyszłego zeszytu wydawnictwa komisji, w który wejdą: Studium d-ra Maryana Sokołowskiego o romańskich kościołach w Krobi, Kotłowie, Gieczu i Lubinie; rozprawa sekretarza komisji historii sztuki d-ra Stanisława Tomkowicza i prof. Linquista o zamku Wołek na podstawie dokonanych wspólnie rozkopywań, i rzecz o zamku Lipowcu prof. Łuszczkiewicza. Uchwalono następnie przedstawić do zatwierdzenia wydziałowi filologicznemu kilku nowych pracowników na polu dziejów sztuki w Polsce, których komisya na członków swych powołać pragnie, oraz prosić zarząd Akademii o zawiązanie kółka członków komisji we Lwowie, aby jako takie mogło już brać udział w pracach zapowiedzianego kongresu historyków sztuki. Obradowano w końcu nad przyspieszeniem wydania bogatego materiału co do romańszczyzny w Polsce, pozostającego dotąd w zbiorach komisji i uchwalono na wniosek d-ra Maryana Sokołowskiego, aby po wyczerpaniu tego zasobu, przystąpiono zaraz do wydania w osobnym zeszycie całego szeregu zabytków architektury cywilnej i kościelnej w opracowaniu nowém i z obszernym tekstem, a to

wedle materiału przygotowanego w dawniejszej autograficznej i wyczerpanej już publikacji prof. Łuszczkiewicza. W końcu zastanawiano się nad charakterem wczesnego renesansu w Polsce, a w dyskusji brali udział dr. Sokołowski, prof. Odrzywolski, p. Paweł Popiel i przewodniczący. Prof. Odrzywolski zwrócił uwagę zgromadzenia na ważność pod względem architektonicznym zamku w Książu, oraz na jego stosunek z architekturą pomnika Stefana Batorego na Wawelu.

— Zjazd archeologiczny w Odessie. Szósty zjazd archeologiczny, który ma się odbyć w Odessie 15 sierpnia r. b., rozsyła już zaproszenia do uczestnictwa, a z niemi razem donosi, że zajmie się urządzeniem wystawy starożytności, obejmującej południowe prowincje. Z bogatego jego programu dowiaduje się korespondent „Kraju“, dr. A. J., że potrąconych będzie wiele pytań, mających związek z naszą przeszłością. I tak będą rozpatrywane takie sprawy: 1) O pomnikach średniowiecznej sztuki w Polsce. 2) Jakie mianowicie dzieła polskich i nie polskich dziejopisarzów służyły za źródła, a nawet za wzory dla prac historycznych, dotyczących południowej Rusi, a układanych w XVI i XVII stuleciu? 3) Zbadanie pieczar rozsypanych wzdłuż Dniestru i jego dopływów Zbrucza, Smotrycza, Ladawy i t. d., i określenie ich znaczenia w przedhistorycznym okresie. 4) Oznaczenie grzebalnych typów napotykanych w kurhanach rozrzuconych w kotlinie Dniestru i Bohu, i stosunek ich do wykopalisk galicyjskich, a także do typów grzebalnych w kurhanach, rozszaniach w innych prowincjach południowej Rusi. 5) Archeologiczne i topograficzno-historyczne szczegóły o Zaporozżu, odkryte podczas wycieczki w 1883 r.

— Duplikaty. Niedawno temu w Poznaniu u Kamińskiego, nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk wyszedł: „Katalog duplikatów z Biblioteki Towarzystwa Przyjaciół Nauk“, które nabyć można u konserwatora zbiorów Towarzystwa, p. Klemensa Kanteckiego w Poznaniu, ulica Młyńska, Nr. 35. Jak widać z katalogu, Towarzystwo ma do zbicia więcej niż 1000 dzieł i broszur i 32 mapy. Przejrzawszy ten spis, pisze sprawozdawca „Wiadomości Bibliograficznych“, możemy gorąco zalecić naszej publiczności, aby korzystała z wyborniej okazji i zaopatrzyła swoje zbiory w znakomite książki i ważne dzieła, szczególnie treści historycznej, które Towarzystwo zamierza sprzedać. Ceny są tak umiarkowane, że żaden antykwaryusz nie może z niemi współzawodniczyć.

— P. Bronisław Chlebowski wydał szacowne nader studjum z historii literatury polskiej p. t.: „Jan Kochanowski w świetle własnych utworów.“ Wizerunek literacki. Warszawa, 1884, str. 229.— Jednostronne opinie pp. St. hr. Tarnowskiego i Włodzimierza Spasowicza o tym „Ojcu“ naszej poezji, stały się dla p. Chlebowskiego pobudką do szukania wizerunku poety nie w obcych świadectwach i opiniach osób trzecich, ale w jego własnych dziełach. P. Chlebowski wywiązał się z tego zadania zadawalniająco, bo przedstawił nam na podstawie samodzielnego, krytycznego badania dzieł Kochanowskiego żywy

prawie wizerunek poety, w tonie poważnym i w języku poprawnym, tak, że dziełko czyta się z przyjemnością i korzyścią. Znajdują się atoli w studyum p. Chl. niektóre hipotezy wymagające bliższego wymotywowania.

— Zaskutona firma Gebethnera i Wolffa zbożyciła w ostatnich mieściącach litera turę naszą kilku cennemi publikacyami, między innymi:

Dubiecki Maryan, znany autor cennój monografii historycznej o warowni Kudaku, napisał „Obrazy i studia historyczne,“ zawierające treść ciekawą, chociaż nie we wszystkich artykułach równie gruntośnie i równie krytycznie zbadaną. Czytamy w tym tomie następujące studia: 1) Jan Długosz, pierwszy dziejopis Polski; 2) Osadczy ziemi Mandiu w XVII stuleciu; 3) Gniazdo hetmańskie; 4) Czarniecki w Danii; 5) Miłość wieków ubiegłych; 6) Jeden dzień z życia Piotrkowa w XVIII wieku.

— Spencer Herbert: „Wstęp do socyologii,“ tłómaczył z angielskiego H. Goldberg. Warszawa, 1884, str. 438. Całość składa się z XVI-tu obszernych rozdziałów, omawiających najciekawsze kwestye socyologiczne, biologiczne i psychologiczne (np. uprzedzenia wychowania, uprzedzenia patryotyzmu, uprzedzenia stanowe, polityczne, teologiczne, ćwiczenie umysłu, przygotowanie za pomocą biologii, psychologii i t. p.). Przy widocznej staranności tłómacza o czystość języka, czujemy w niektórych zwrotach stylistycznych ciężkie więzy tłómaczenia.

— Sahi-Beja (pseudonim): „Krwawy dorobek.“ Powieść z życia albańsko-macedońskiego. Warszawa, 1884, str. 323. Autor chwycił żywo swoje obrazy i postaci i przedstawia z całą barwnością energiczne życie mieszkańców, poprzesztających na elementarnych jeszcze warunkach bytu.

— „Gucio zaczarowany,“ powieść dla młodszych dzieci, przez Zofię Urbanowską, z 10-ma rycinami kolorowanemi rysunku C. Jankowskiego. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, w 8-ce, str. 125, r. 1884. Książeczka łączy z zabawą nieco nauki z historyi naturalnej; z przyjemnością więc i pożytkiem mogą dzieci rzecz tę czytać. Wydanie jest staranne, druk duży, odpowiedni dla młodocianych czytelników, ryciny dobrze obmyślane.

— P. Antoni Strzelecki rozpoczął wydawnictwo p. t.: „Biblioteczka rolnicza dla mniejszych gospodarzy.“ Jako pierwsze w téj publikacji dziełko, ukazała się „Nauka o dobrej gospodarce polnej“ przez p. Strzeleckiego, która zaleca się dosyć korzystnie.

— Księgarnia T. Paprockiego wydała powieść J. I. Kraszewskiego: „Noc Majowa.“

— Księgarnia Lesmana i Świszczowskiego dostarczyła czytelnikom dwa tomiki poezyi. Wspominamy na pierwszém miejscu „Poezycy“ Hajoty (Warszawa, 1884, str. 176), płynące przy zręcznej technice wierszowania, niekiedy z głowy, zamiast z watchnionego serca; chociaż sprawiedliwość nakazuje oddać pierwszeństwo „Poezjom“ Cze-

sława (t. III, Warszawa, 1884, str. 185), w których spotykamy ustępy prawdziwego natchnienia poetycznego.

— Stefania Jurkowska wydrukowała w drukarni Buszczyńskiego w Toruniu poemacik p. t.: „W kraju słońca.“ Obrazek z życia artysty. 1883, str. 56. Obok bujnego polotu fantazyi, uderza w tym utworze pewien brak planu kompozycyi estetycznej, przyczém i budowa wiersza szwankuje.

— Księg. Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, ogłosiwszy drugie wydanie znanej czytelnikom Biblioteki Warszawskiej znakomitęj pracy prof. A. Małeckiego p. t.: „Życie i pisma Juliusza Słowackiego—znacznie pomnożone, w trzech tomach, uważała słusznie za swój obowiązek wydać także pomnożone listy Juliusza do matki, które stanowią i dla prof. Małeckiego główne źródło jego studyum. W ten sposób powstała książka p. t.: Listy Juliusza Słowackiego. Wydanie 2-gie Lwów 1883. (Biblioteki Polskiej t. 38 i 39-ty). Oprócz listów do matki znajdujemy tu kilka listów Juliusza do Wojciecha Stattlera i do Zyg. Krasińskiego wraz z odpowiedzią Zygmunta. Publikacya ta objaśnia dokładniej postać Juliusza; ale jęj nie podnosi!

Oprócz tego należy się wdzięczność tęg samej firmie lwowskiej za zbiorowe wydanie „Poezyi Mieczysława Romanowskiego,“ ułożone z całą starannością przez Jana Amborskiego. Lwów 1883 t. I str. 230, t. II, str. 286, t. III str. 237.

— Nakładem tęg samej księgarni wyszło dzieło ważne dla badaczy przeszłości naszej p. t. „Trzy opisy historyczne staro-książęcego grodu Halicza w r. 1860, 1880 i 1882,“ skreślone przez d-ra Izydora Szaraniewicza. Z dołączeniem dokumentów, tablic rysunkowych, budowli i t. p. Lwów 1883, str. 232 i XXXII.

— Trzeci już rok rozpoczął redagowany przez p. Edwarda Jelinka „Słowansky Sbornik.“ Zeszyt za m. styczeń r. b. zawiera: Wzajemne związki rodowe Habsburgów z Polską i Rosyą do roku 1519, przez F. Menczika; „Życie dziewcząt słowackich,“ przez J. Hurbana; „Szlachta na Litwie, jęj rozwój historyczny, znaczenie i sposób życia,“ przez W. L. Kościatkowską; „Słowianie we Włoszech,“ przez J. Baudouin'a de Courtenay; „Dwa słowiańskie pozdrowienia“ (przysłane na otwarcie teatru prazkiego) W. Beży w przekładzie Elizy Krasnohorskiej i Miriama w tłumaczeniu Emila Žitka; „Życiorys satyryka Szechedrina,“ przez F. Chalupę; „Listy p. Szafarzyka do W. A. Maciejowskiego,“ „Bułgarskie mieszkania,“ przez J. Voraczka; „O dwóch kopcach pamiątkowych pod Krakowem,“ przez E. Jelinka; „Rękopisma słowiańskie w bibliotece uniwersyteckiej w Lejdzie,“ przez L. Leger'a; Adresa pisarzów i uczonych słowiańskich, a wreszcie przeglądy literackie i muzyczne.

— P. Polkowski, student uniwersytetu w Giessen, znalazł w bibliotece uniwersyteckiej w Giessen stary rękopism p. t. „Relation aller fürnemmen und gedenkwürdigen Sachen, so sich hin und wider

in Polen zugetragen i t. d.“ Relacya pomieniona nieznanego autora sięga r. 1609-go, przedstawia zatem ważny interes dla badacza téj epoki. Byłoby rzeczą pożądaną, aby p. P. zajął się szczegółowszém rozpatrzeniem tego rękopisu.

Znany uczony angielski Izaak Taylor wydał w Londynie ciekawe dzieło p. t.: „The Alphabet” 2 vol. 8-vo. Dzieło I. Taylora przedstawia w treściwój a jednak gruntownój osnowie rezultaty wieloletnich mozolnych poszukiwań, dokładną historją początku i dalszego rozwoju postaci piśmiennych czyli historją alfabetu. Postęp, jaki w ostatnich czasach zrobiono na polu epigrafiki i paleografii, — wreszcie nagromadzenie obfitych autentycznych dokumentów najstarszych zabytków pisma, wszystko to umożliwiło uczonemu p. Taylorowi dojście do pewnych rezultatów na polu badań, które nie mogły bardzo długo przekroczyć granicy przypuszczeń i hipotez jaknajrozmaitszych. Znakońmity talent pisarski uczonego Anglika pozwolił mu utrzymać treść dzieła na wysokości poglądów ogólniejszych przy niepospolitej erudycyi w szczegółach, przez co stworzył dzieło przystępne dla szerszego koła czytelników.

— Towarzystwo pedagogiczne w Paryżu (Société de l'enseignement supérieur) wydało książkę p. t. *Annuaire des cours de l'enseignement supérieur 1882—1883*. Paris 1883, Masson XI, str. 299 w 8-ce. Rocznik ten przedstawia dokładny spis wszystkich prelekcyi, które wykładano w r. 1883 we wszystkich 17 akademiach francuzkich i należących do nich instytutach, ujemniój w niezależnych od rządu po więkšej części katolickich fakultetach podczas ostatniego roku szkolnego 1882/3. Mamy tedy sposobność ogólnego poglądu na całość wyższego nauczania we Francyi. Pamiętając o tém, że i uniwersytety niemieckie ogłaszają corocznie spis swoich prelekcyi i to z zupełną dokładnością, na której brak skarżą się wydawcy francuzcy, byłoby rzeczą bardzo ciekawą i pożyteczną, gdyby który uczony porównał ze sobą te materyały i przedstawił nam rezultat swoich badań. Pożądanym byłby jeszcze w Roczniku francuzkim spis profesorów wykładających niemniej i liczba słuchaczy w każdym zakładzie, jak to w Niemczech ma miejsce, bo to daje dopiero dokładny obraz ruchu uczącej się młodzieży. — Na czele samego dzieła spotykamy rodzaj przedmowy (str. IX—X-ta), w której czytamy spis wszystkich prelekcyi w samym Paryżu wykładanych w różnych zakładach naukowych zapewne w tym celu, żeby wykazać, albo obfitość nauki, z której w samym Paryżu korzystać można, albo też żeby zwrócić uwagę na to, jak bez potrzeby niektóre gałęzie kilkakrotnie są reprezentowane ze szkodą innych, coby nakazywało potrzebne ujednostajnienie, albo raczej ustosunkowanie przedmiotów.

— W Paryżu wyszło z druku dzieło znanego orientalisty polskiego Biberstein Kazimirskiego p. t. „Dialogue français-persans, précédés d'un précis de la grammaire persane et suivis d'un vocabulaire français-persan.“ 1883. Cena fr. 25. Sami słownik osobno fr. 15,

— W Monachium wyszło sprawozdanie z 25 letniej działalności komisji historycznej, egzystującej przy Akademii bawarskiej, pod prezydencją Leopolda Rankego, p. t.: „Die historische Commission bei der Königl. bairischen Akademie der Wissenschaften 1858—1883. Eine Denkschrift.” München, 1883, str. 106. „Komisya historyczna” przy Akademii bawarskiej jest instytucją naukową, odznaczającą się przed innemi przez to, że nie kępuje się daną miejscowością stolicy lub królestwa bawarskiego; ale jednoczy w idealnym związku wszystkich znakomitszych uczonych całych Niemiec, tak, że obok centralnej dyrekcyi wydawnictwa „Monumenta Germaniae historica” stanowi najważniejsze ognisko studyów i publikacyi historycznych. Podczas krótkiego stosunkowo peryodu swojego istnienia wydała „Komisya” 160 tomów dzieł najpoważniejszych, które dla różnych gałęzi nauk zasadniczą, fundamentalną mają wartość. Obok specjalnych studyów z dziedziny historii niemieckiej ¹⁾ zwraca na siebie uwagę szczególnie wydawnictwo p. t.: „Geschichte der Wissenschaften in Deutschland” t. 19 ²⁾. Wskazany poniżej tak imponujący szereg dzieł naukowych budzi żywy interes w najszerszych kołach cywilizowanego świata, dla tego mniemamy, że pożądaną będzie ta wiadomość o sprawozdaniu, które ogłosili sekretarze téj komisji (z początku (od r. 1858 — 1860) H. Sybel, od r. 1860 W. Giesebrecht), wykazując zawiązek i dalszy rozwój téj nadzwyczaj pożytecznej instytucyi, cieszącej się w wysokim stopniu wspaniałomyślnemi względami i skuteczną opieką bawarskiego domu królewskiego.

¹⁾ „Forschungen zur deutschen Geschichte,” t. 23. Hanserecess, t. 6, p. Koppmayera „Deutsche Reichstagsacten,” t. 8, pod redakcją prof. Weizsäcker’a; „Deutsche Reichstagsacten unter Kaiser Sigmund.” 2 Oddział 1421 — 1426 wyd. Dietricha Kerlen. „Sammlung der deutschen Städtchroniken“ t. 18, pod red. prof. Hegla. — „Allgemeine deutsche Biographie,” pod red. Lilienkron’a i prof. Wegole’go, t. 17. „Korespondenoya Członków rodziny Wittelsbachów — ważna dla dziejów wojny trzydziestoletniej, t. 5, i t. d.

²⁾ „Geschichte der klassischen Philologie in Deutschland von den Anfängen bis zur Gegenwart von Konr. Bursian. — Pod prasą znajduje się: „Die Geschichte der deutschen Historiographie p. prof. Wegela i i.

N e k r o l o g i a.

— † W dniu 31 grudnia 1883 r. zakończył długoletni, zasłużony żywot nestor naszych matematyków, powszechnie szanowany i kochany mąż nauki i pedagog, ś. p. *Augustyn Frączkiewicz*. Urodzony w r. 1798 w Kurozwękach, kształcił się ś. p. Augustyn w szkole normalnej w Staszowie, a następnie od r. 1807 w gimnazyum kieleckim. Od młodu okazywał największe zamiłowanie do nauk matematycznych i w młodzieńczych już latach obrał sobie, jako zadanie życia, zajęcie kiedyś katedry profesora tej nauki. W tym celu w r. 1815 wstąpił do uniwersytetu krakowskiego i ukończywszy tam kurs czteroletni, już pod koniec zastępował profesora matematyki niższej we wszechnicy, której sam niedawno był uczniem. W r. 1819 Frączkiewicz zajął miejsce zastępcy profesora matematyki w szkole wojewódzkiej w Kielcach, po roku zaś powrócił do Krakowa i wykładał tenże przedmiot w liceum św. Anny. Podczas pełnienia tych obowiązków w roku 1825 i 1826, z upoważnienia rządu krakowskiego odbywał podróż naukową za granicę, poczem w r. 1829 w skutku odbytego konkursu powołany został na profesora stałego algebry i rachunku wyższego przy uniwersytecie warszawskim. Po zamknięciu uniwersytetu, Frączkiewicz w r. 1834 mianowano profesorem matematyki przy gimnazyum gubernialnym warszawskim i adjunktem warszawskiego obserwatorium, w roku następnym członkiem komitetu egzaminacyjnego, a w r. 1836 profesorem matematyki czystej na kursach dodatkowych. Po zamianie ich na kursa pedagogiczne został tu inspektorem, nie przestając wykładać ukochanego całą duszą przedmiotu. W r. 1853 Frączkiewicz wystąpił emeryturę i poświęcił się wyłącznie pracom naukowym, nie przeczuwając, że raz jeszcze powołany zostanie na katedrę profesorską w szkole głównej, w której przez całe siedm lat jęj istnienia był jednym ze świeczników ciała profesorskiego. Oprócz rozprawy habilitacyjnej na stopień doktora filozofii, ogłoszonej w języku łacińskim w Krakowie w r. 1828, Frączkiewicz prace swoje, treści wyłącznie matematycznej, ogłaszał w Rocznikach Towarzystwa naukowego krakowskiego, w Dzienniku Warszawskim z r. 1829 i w Bibliotece Warszawskiej, a niejedną zapewne pozostawił w rękopiśmie. Cześć pamięci zasłużonego męża, który trwały pomnik zbudował sobie w sercach swych uczniów!

— † Dnia 30 grudnia 1883 r. umarł w Poznaniu *Konstanty Żupański* zasłużony na polu wydawnictw polskich księgarz-nakładca. Ś. p. Konstanty urodził się r. 1801 w Poznaniu z rodziny greckiej, która razem z innymi przybyła około r. 1770 do Polski z miasta Filippopolis w Macedonii i osiedliła się w Poznaniu, gdzie ojciec ś. p. K., używający do sejmu 4-letniego nazwiska Joannides Constantinides Zupanos, pod wpływem swobody nadanej miastom razem z wielu innymi grekami spolszczył swoje nazwisko i pozyskał prawo obywatelstwa. Ukończywszy nauki w miejscowym gimnazjum, udał się na uniwersytet berliński, gdzie po złożeniu egzaminu na wydziale prawa pracował czas niejakiś przy sądach berlińskich. Wróciwszy po śmierci ojca do Poznania, porzucił zawód urzędniczy i pod wpływem ducha, jaki wówczas panował w W. Ks. Poznańskim, dzieląc kierunek pracy obywatelskiej takich mężów jak K. Libelt, Marcinkowski, Jędrz. Moraczewski, J. Łukaszewicz, Edward Raczyński i inni, założył r. 1840 księgarnią. Uważając księgarnią sortymentową za rzecz podrzędnego znaczenia zwrócił się głównie do wydawnictwa, które przez tyle lat prowadził z wielką zabiegliwością i staranną nader rachunkowością. Oprócz wydanych w r. 1841 „Tablic synchronistycznych do dziejów polskich” Seredyńskiego, „Pieśni o ziemi naszej,” W. Pola, powieści i poezji Luc. Siemieńskiego; zwracał się przeważnie ku dzieciom poważnej nauki, które wówczas nie mogły znaleźć nakładcy. Wydał tedy długi szereg dzieł Lelewela p. t.: „Polska wieków średnich,” „Polska, rzeczy jej i dzieje;” „Narody na ziemiach słowiańskich przed ukazaniem się dziejowóm Polski” i i. Do takich wydawnictw należą dzieła historyczne J. Łukaszewicza: „Hist. szkół w dawniej Polsce,” „Dzieje wyznania helweckiego w Małopolsce,” „Historia kościołów w dawniej diecezyi Poznańskiej,” „Opis powiatu Krotoszyńskiego” i i. Nie mniej na uwagę zasługują „Pamiętniki do dziejów polski w XVIII i XIX wieku. Dzieła K. Libelta, Trentowskiego, Pamiętniki i studia dziejowe Falkowskiego, Dzieje wypadków 1830 i 1831 r., Stanisława Barzykowskiego i w. i. — Bez zabiegliwości i wytrwałości ś. p. K. pozostałoby bardzo wiele dzieł poważnych dotychczas w ukryciu, dla tego żadna bibliografia nie może pominąć zasług nieboszczyka. Cześć jego pamięci!

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca Józef Berger.

Kwestya językowa w Austrii.

NAPISAŁ

Eugeniusz Lipnicki.

Artykuł XIX konstytuocy austryackiej.—Wniosek hr. Wurmbranda, domagający się postanowienia prawnego języka państwowego. — Rozprawy w radzie państwa.

Od dnia 24—29 stycznia r. b. toczyły się w izbie poselskiej wiedeńskiej rady państwa rozprawy najdonioślejsze od czasu uchwalenia praw zasadniczych, czyli konstytucyi w r. 1867. Na samym wstępie jeden z najwymowniejszych mówców lewicy, dr. Tomaszczuk, profesor wszechnicy czerniowieckiej, oświadczył: „Przyszły dziejopisarz naszych czasów, szukając dobitnego przykładu uwydatnienia teraźniejszego położenia Austrii, nie mógłby uczynić trafniejszego wyboru, jak gdyby opowiedział jasno i prawdziwie, spokojnie i przedmiotowo, wstępne dzieje naszych dzisiejszych rozpraw.” I rzeczywiście wiele w tém prawdy. Co zaś dotyczy samych długich, gruntownych, świetnych, chwilami wznoszących się na szczyt parlamentarnej wymowy rozpraw, wyjaśniły one dużo.

Najświetniejszy mówca prawicy, poseł Otton Hausner, w tej mierze oświadczył: „Nie spodziewałem się po tych rozprawach dodatnich rezultatów. Atoli przynaję, że się omyliłem. Dla bezstronnego badacza wynikły bowiem z tych rozpraw dwa jasne fakta, dwie podstawy trafnego ocenienia położenia i stronnictw. Po pierwsze: przyznanie językowi niemieckiemu pewnych prerogatyw, o ile one wydawają się potrzebnymi ze względu na jedność państwa; większość wypowiedziała to tak w wniosku Grocholskiego, jakoteż przez usta wszystkich swych mówców, odpychając domysły i zarzuty rzekomej naszej nienawiści dla języka niemieckiego. Powtóre: stanowcze podniesienie przez mówców prawicy wolnomyślnych zasad naszych względem ludzi używających różnych języków i inaczéj myślących, gdy przeciwnie lewica ciągle powołuje się na przestarzałe tradycje i wzory absolutyzmu, wyrzekając się tém samém nazwy stronnictwa liberalnego i wiernokonstytucyjnego. Mogę więc

spokojnie i zgodnie z prawdą zaznaczyć, że nam należy się tytuł stronnictwa wolnomyślnego i postępowego, gdy panowie (lewica) jesteście wstecznikami i absolutystami.”

Nadto rozprawy wyjaśniły fakt, że stronnictwo niemieckie, jak w r. 1867 pogodziło się z myślą przyznania Węgrom samorządu, tak teraz oswaja się z myślą wyjęcia Galicyi i Dalmacyi z pod zakresu działania germanizacyi. Wszyscy bowiem mówcy lewicy podnosili, że proponowana ustawa o języku państwowym w niczem nie ma naruszać istniejących dziś stosunków w wymienionych dwóch prowincjach, które mają przeciwnie, otrzymać i względnie zachować stanowisko odrębne. Myśl tę poruszono wprawdzie w kołach niemieckich już w r. 1870. Od tego czasu uczyniła ona widocznie znaczny postęp, bo podbiła sobie nawet takich postów niemieckich, którzy dotąd na mocy swych przekonań centralistycznych sprzeciwiali się stanowczo nadaniu którejkolwiek prowincyi odrębnego stanowiska. Zmianę tę w wyobrażeniach stronnictwa niemieckiego sprowadziły czteroletnie rządy hr. Taffego; im więcéj zaś zaostrza się spór pomiędzy Niemcami a Czechami, tém téż stronnictwo niemieckie staje się skłonniejszém przyznać Galicyi i Dalmacyi samorząd, aby wszelkiemi siłami pracować nad germanizacyą Czech i prowincyi, zamieszkanych przez słowenców. Nateraz zapisujemy fakt ten jako dowód, że dawne stronnictwo centralistyczne, wiernokonstytucyjne i t. d., coraz wyraźniej zamienia się w stronnictwo czysto niemieckie, mająco na oku wyłącznie cele niemiecko-narodowe, co staje się rzeczą ważną nietylko ze względu na wewnętrzne sprawy austriackie, lecz także na stosunki międzynarodowe.

Nakoniec wynik głosowania, przy którym upadł i wniosek hrabiego Wurmbraunda i wniosek Grocholskiego, dowodzi, że wprawdzie stronnictwo niemieckie nie było zdolném przeprowadzić doniosłych zmian konstytucyi, do których zdążało, ale téż autonomiści, nie mogąc z pewnością liczyć na swych niemieckich sprzymierzeńców (konserwatywistów), ani téż na rząd (bo ministrowie nie wzięli udziału w głosowaniu nad wnioskiem Grocholskiego), nie zdołali należycie obwarować pozycyi autonomistycznej przed ponownym zamachem lewicy. Przyjęty wniosek Grocholskiego byłby w sposób pożądany zatwierdził autonomistyczny pierwiastek konstytucyi, wykluczający z pod kompetencji rady państwa takie sprawy, jak uporządkowanie stosunków językowych w prowincjach, oraz zgodnie z artykułem XIX o równouprawnieniu narodowości byłby zaznaczył, że prerogatywy, przyznane językowi niemieckiemu, są tylko dobrowolném ustępstwem ze strony innych narodów monarchii habsburskiej. Odrzuceniem obu wniosków kwestya nie została więc załatwiona ani nawet tak, jak spór asesora z rejentem, gdy szarak wpadł w konopie.

Przystępujemy teraz do określenia dziejów i znaczenia artykułu 19-go konstytucyi austriackiej, do objaśnienia wniosku hr. Wurmbraunda i streszczenia odnośnych walnych rozpraw w izbie poselskiej rady państwa wiedeńskiej.

1. Artykuł XIX.

Artykuł XIX konstytucyi austriackiej, czyli tak zwanój „ustawy o powszechnych prawach obywateli,” z 20 grudnia r. 1867, brzmi:

a) Wszystkie narody państwa są równouprawnione i każdy naród posiada nienaruszalne prawo zachowania i opieki swój narodowości i języka.

b) Państwo uznaje równouprawnienie wszystkich języków krajowych w szkole, urzędach i życiu publiczném.

c) W krajach, zamieszkałych przez kilka narodów, publiczne zakłady naukowe urządzone będą w taki sposób, aby bez przymusu uczenia się drugiego języka krajowego, każdy naród otrzymał niezbędne środki celem kształcenia się w swym własnym języku.

Jeżeli wartość konstytucyi zawisała od tego, aby nie była improvizacją, wynikiem chwilowego nastroju i zmiennych konstelacyi parlamentarnych, ani też przyswojeniem sobie obcych, nieodpowiednich wzorów, lecz dojrzałym owocem swojskiej niwy i wyrobem dziejowym, natenczas śmiało nazwać można przytoczony artykuł XIX najcenniejszą częścią konstytucyi austriackiej. Jest on bowiem wynikiem walk i pracy dziejowej, która się rozpoczęła w najdawniejszych, zamierzchłych czasach, gdy nad Dunajem starły się narody szczepu germańskiego, romańskiego i słowiańskiego, do których niebawem dołączył się madziarski, a trwała ta praca dziejowa do najnowszych czasów. Aby dokładniej wyjaśnić artykuł XIX, trzeba opowiedzieć całe długie dzieje narodów, które dziś wchodzi w skład monarchii austriacko-węgierskiej. Trzeba mianowicie przypomnieć, jak się losy tych narodów ważyły na poboju nad Morawą, gdzie zwyciężył Rudolf habsburski a poległ król Ottokar czeski, potem za czasów Macieja Korwina, który pewien dekret podpisał: „datum Viennae in Hungaria,” później na poboju Białej Góry i znowu dnia 12 września r. 1683 pod Wiedniem, w końcu zaś w burzach wojen napoleońskich, z których monarchia austriacka ostatecznie wyszła mniejwięcej w swym składzie dzisiejszym.

Nie sięgając tak daleko w przeszłość Austrii, możnaby dzieje artykułu XIX datować od 11 maja r. 1784, w którym to roku cesarz Józef rozpoczął swój system germanizatorski, podnosząc nietylko język niemiecki do godności państwowego (Staatssprache) i urzędowego (Amtssprache), lecz także wprowadzając go do wszystkich zakładów naukowych całej monarchii austriacko-węgierskiej. Ten bowiem śmiały zamach na przyrodzone i historyczne prawa wywołał po stronie zagrożonych w swych najświętszych interesach narodów ów stanowczy opór, który, wzmagając się w miarę rozkwitu i tryumfów nowożytnej zasady narodowości, wreszcie po długich walkach wydał ów artykuł XIX, będący uroczystym odwołaniem wymienionego rozporządzenia cesarza Józefa z r. 1784. Że jednak pod koniec wieku zeszłego i w pierwszej połowie bieżącego na czele opozycyi przeciwko germanizacyi i centralizacyi stali węgry, którzy nateraz pozostawają po-

za obrębem austriackich sporów językowych, chociaż nie trudno przewidzieć, że zwycięstwo dążności germanizacyjnych w Austrii w przyszłości znowu oddziaływałyby stanowczo na kraje za Litawą, rozważymy tu przeto tylko okres od r. 1848, czyli od pierwszego sejm austriackiego, aż do uchwalenia konstytucyi grudniowej w r. 1867. Główną treść tego okresu stanowi właśnie walka językowa, która ostatecznie skończyła się przynajmniej w teorii artykułem XIX wymienionój konstytucyi.

Ustępując dnia 13 marca r. 1848 z urzędu, piastowanego przez kilkadziesiąt lat i sprawowanego napozór bardzo wspaniale, książe-kanclerz Metternich w liście do cesarza Ferdynanda oświadczył, że się cofa „przed potęgą wyższą, aniżeli jest potęga monarchy.” W liście zaś do cesarza Mikołaja (14 marca) potęgę tę nazwał: „la plus invincible des forces, celle des choses.” Dokładniejszego wyjaśnienia tych wyrazów, które mogą oznaczać tak wiele i różnych rzeczy, nie pozostawił nam książe Metternich. Ale wiemy, że całe życie walczył z ruchem, który na czysto politycznym polu (jak we Włoszech, we Francyi, w Hiszpanii i t. d.) nazywał demagogią, na polu zaś narodowościowym: komunizmem. Oparty na wielce wydoskonalonym systemie szpiegostwa i przymierzy dyplomatycznych gmach księcia Metternicha, runął rzeczywiście pod skombinowanym atakiem prądów postępowych, domagających się wprowadzenia w Austrii nowoczesnych urządzeń konstytucyjnych, a reprezentowanych głównie przez węgry, Niemców i Polaków, tudzież prądów narodowościowych, domagających się dla uciskanych przez germanizacją narodów przywrócenia praw przyrodzonych. Tych ostatnich prądów oczywiście Niemcy Austriacy nie popierali, owszem, z natury rzeczy musieli im być mniej lub więcej przeciwni, ponieważ wszelkie żądania, stawiane przez drugich w imię zasady narodowości, mogły być zaspokojone jedynie kosztem dawniejszej przewagi niemieczyny. Ale przed r. 1848 nie rozróżniano tak ściśle pomiędzy owymi dwojakiemi prądami, które się przeto złąły i wspólnemi siłami obaliły gmach germanizacyjnego absolutyzmu.

Owoce zwycięstwa, odniesionego pod starodawnym hasłem austriackim: „viribus unitis,” była ogłoszona 25 kwietnia r. 1848 przez ministra Pillersdorfa pierwsza konstytucya austriacka. Dziejopisarze tych przekonań, co baron Helfert, opowiadają nam dziś auegdotki, świadczące, że wśród pospółstwa nie wszyscy rozumieli dokładnie, co to znaczy konstytucya, że jedni mieszały ją z kontrybucją, inni znowu byli zdania, iż konstytucya znosi wszelkie podatki i t. d. To jednak pewna, że uciskane przedtym narody słowiańskie doskonale czuły doniosłość artykułu 4-go téj pierwszej konstytucyi, który opiewał: „Wszystkim narodom zabezpiecza się nietykalność ich narodowości i języka.” W taki sposób pierwszy konstytucyjny minister czynił zadość jednemu z dwóch głównych prądów, które w Austrii sprowadziły „nową erę.” Jednakże Niemcy niebawem ochłonęli z zapału, w który ich wprawiło ogłoszenie konstytucyi, i zaczęli przemysłować, jakby po-

mimo konstytucji utrzymać przewagę swego szczepu w Austrii? Skoro więc pierwszy sejm austriacki zebrał się 10 lipca w Wiedniu, rozpoczęły się też niezwłocznie spory językowe. Zaraz na pierwszym posiedzeniu sejmowym pewien poseł, włościanin galicyjski, zażądał tłumaczeń niezrozumiałych wniosków niemieckich. Posłowie niemieccy całkiem trafnie odpowiadali, że w taki sposób sejm stałby się „wieżą babilońską.” Ale kiedy poseł Mayer zaproponował uchwałę: „Językiem obrad sejmu jest niemiecki,” z czego wynikało, że poseł, nie posiadający dokładnie języka niemieckiego, tém samém tracił mandat poselski, było to oczywiście naruszeniem wygłoszonej w artykule 4-tym konstytucji zasady nietykalności praw narodów.

Poseł Biliński oświadczył przeto: „Celem ułatwienia obrad, uczynimy ustępstwo i używać będziemy języka niemieckiego; ale prawnego wyniesienia go do godności jedyne go języka obrad, nie możemy przyjąć, bo taka ustawa naruszałaby prawa innych narodów.” W podobnym duchu oświadczył bardzo rozsądnie poseł Neumann: „Uchwalając takie prawo (o niemieckim języku obrad), wywołamy współzawodnictwo narodowości, wszyscy, którzy nie władają zupełnie językiem niemieckim, wystąpią gromadnie w obronie swój mowy ojczystej; jeżeli natomiast pozostawimy to do ich woli, natenczas niewątpliwie używać będą języka, który jest jedynym środkiem porozumienia się.” Nareszcie książę Jerzy Lubomirski rzekł: „Tylko ten, który nie wierzy w siłę języka niemieckiego, może żądać, aby prawnie był narzucony sejmowi” i zaproponował przejście do porządku dziennego. Epizod ten musieliśmy podnieść z dwóch powodów: najprzód dlatego, ponieważ dotąd istnieje zasada, że w radzie państwa każdy poseł ma prawo przemawiać w swym języku ojczystym, choć w praktyce z tego prawa korzysta obecnie jeden tylko włościanin morawski Skopalik. Powtóre dlatego, ponieważ sposób uczciwy, jakim został załatwiony spór, dotyczący języka obrad parlamentarnych, służy zarazem jako wzór najskuteczniejszej metody załatwiania wszystkich sporów językowych. Byle w zasadzie była uznana równość narodowości, byle im nie narzucano prawnie języka niemieckiego, to tam, gdzie się z praktycznych względów okaże potrzeba używania go, nie będzie żadnej trudności.

Jednak artykuł 4 zabezpieczył tylko „nietykalność narodowości.” Ich równouprawnienie sformułował dopiero wyraźnie wydział konstytucyjny sejmu, obradującego wówczas już w Kromieryżu. Artykuł 21 ułożonej przez tenże wydział konstytucji opiewał: „Wszystkie narody państwa są równouprawnione. Każdy naród ma nienaruszalne prawo zachowania i opieki swój narodowości w ogóle, a w szczególności języka swego. Państwo zabezpiecza równouprawnienie wszystkich języków krajowych w szkole, urzędach i życiu publiczném.” Przy pierwszym odczytaniu projektu konstytucji dnia 21 grudnia 1848 r., artykuł 21 wywołał huczne oklaski całego sejmu. Do rozpraw nad tym artykułem nie przyszło jednak. Dnia 2 grudnia cesarz Ferdy-

nand złożył koronę, którą otrzymał ośmastoletni synowiec jego, arcyksiążę Franciszek Józef. Ośmielony powodzeniem wojsk austriackich w Węgrzech, prezes gabinetu książę Schwarzenberg dnia 7 marca 1849 r. rozwiązał sejm, obradujący w Kromieryżu, równocześnie zaś ogłosił datowaną z 4 marca nową konstytucyą, której artykuł 5 opiewał: „Wszystkie narody są uprawnione i każdy naród ma nie naruszać prawo zachowania i opieki swój narodowości i mowy.“ Ogłoszony równocześnie patent cesarski „o politycznych prawach“ w artykule 4 orzekał: „W celach oświaty ludowej, zakłady naukowe w krajach z mieszaną ludnością, będą urządzone w taki sposób, aby także mniejszość narodowa otrzymała potrzebne środki opieki swego języka i kształcenia się w nim.“

Tak więc wskrzeszona era absolutyzmu — bo konstytucya z 4 marca 1849 r. nie weszła w życie, lecz pozostała martwą literą — nie śmiała jednak otwarcie znieść praw narodowościowych. Owszem, nowy system rozpoczął swą czynność od nadużycia zasady narodowości, celem uciskania jednych przez drugich. W państwie mieszanem pod względem narodowościowym, nie można w zasadzie oprzeć prawa i spokoju publicznego, tylko na równouprawnieniu w wszystkich. W praktyce naturalnie rzecz wygląda nieco inaczej, zwłaszcza kiedy te wszystkie narody nie stoją na równym stopniu oświaty, nie mają równie wielkiej przeszłości historycznej, nie posiadają tych samych sił społecznych i intelektualnych. Naród tak silny, o tak wyrobionym zmyśle politycznym, o tak potężnych jądrach społecznych i tak świetnej przeszłości dziejowej, jak naród madziarski, pomimo zasady równości, w praktyce zdolał sobie zapewnić większe znaczenie, niż niehistoryczny w granicach królestwa węgierskiego lud rumuński; włosi w Tryeście zapewnią sobie przewagę nad ludem słoweńskim i t. d. Otóż, w imię zasady o równouprawnieniu narodowości, nowy system podburzał zęcinnie ludy przeciwko n a r o d o m historycznym, głównie w Węgrzech, gdzie się postugiwano serbami, słowakami i wołochami przeciwko madziarom, ale także w Austrii, gdziekolwiek się stosunki nadawały ku temu. Swoją drogą równocześnie wzmagała się germanizacya.

Na wiosnę 1851 r. odbywały się w Wiedniu narady, na których się przekonano — tak oświadczał patent cesarski z 20 sierpnia — „że konstytucya z 4 marca 1849 r. ani w swych podstawach nie odpowiada stosunkom monarchii austriackiej, ani też nie może być w całości przeprowadzona.“ Twierdzenie to odnosiło się przedewszystkiem do artykułu 5. Pozbywszy się téj przeszkody, rząd, nie ustawiając w podburzaniu ludo w przeciwko n a r o d o m historycznym (wyjąwszy Niemców), powrócił stanowczo do germanizacyjnych dążeń cesarza Józefa II. Zaczęto od wprowadzenia języka niemieckiego jako wykładowego do wszystkich szkół średnich monarchii (rozporządzenie z 16 grudnia 1854 r.). Wszelako już w r. 1857 wskutek podróży cesarza do Węgier nastąpił pewien zwrot, ostatecznie zaś złudzenie, aby się

i powagę państwa można oprzeć na podburzaniu jednych narodowości przeciwko drugim, a równocześnie na systematycznej germanizacji wszystkich, rozchwiało się na pobojuwiskach włoskich, pod Solferinem i Magentą. Skutkiem tych klęsk, które wstrząsnęły podwalinami monarchii, było zwołanie tak zwaną „wzmocnioną radą państwa“ w maju 1860 r., tudzież ogłoszenie „październikowego dyplomu,“ który bardzo wstrzeźliwy co do kwestyi narodowościowej, od budowanie państwa opierał na uznaniu ogniw historycznych, krajowych.

Jednak germanizm natychmiast rozpoczął nanowo walkę z narodowościami, choć teraz pod firmą konstytucyjną. Ogłoszona przez p. Schmerlinga dnia 26 lutego nowa konstytucya nie mieściła w sobie artykułu, zabezpieczającego narodom równe prawa. Owszem, pan Schmerling był zdecydowany przeprowadzić zupełną germanizacyą przynajmniej w Austryi, a to głównie ze względów na politykę zagraniczną. P. Schmerling należał do rzędu tych mężów stanu austriackich, którzy nie pojmowali możliwości odłączenia Austryi od Niemiec, lecz domagali się dla Austryi pierwszego miejsca w związku niemieckim. Od księcia Metternicha tęp się tylko różnił, że pierwszy hegemonią austriacką w Niemczech opierał na zwalczaniu „demagogów, anarchistów, ideologów“ i t. d., gdy przeciwnie p. Schmerling spodziewał się tę samą hegemonią utrwalić na podstawie konstytucyjnej i liberalnej. W każdym razie, warunkiem hegemonii austriackiej w Niemczech, była pewna niemiecka powierzchnia Austryi. Przeczuwał to już cesarz Józef II, choć w owych czasach zasada narodowości nie miała jeszcze tego znaczenia, co w r. 1861. Józef II nie był bynajmniej entuzyastą niemieckim, ponieważ jednak posiadał koronę cesarstwa niemieckiego i pragnął przekazać ją swoim następcom, przeto nadawał Austryi fizyognomią niemiecką. W liście do pewnego magnata węgierskiego, który czynił przedstawienia przeciwko wprowadzeniu języka niemieckiego jako krajowego i rządowego do Węgier, cesarz Józef II oświadczał: „Jestem cesarzem państwa niemieckiego; przeto inne moje kraje są prowincjami, stanowiącemi organiczną część całości, której jestem głową. Gdyby królestwo węgierskie było najważniejszą moją posiadłością, natenczas wyniosłbym język madziarski do godności języka państwowego tych krajów; ale tak ma się rzecz inaczej“¹⁾. A zatem nie jakaś gorąca miłość dla języka niemieckiego lub przekonanie o jego doskonałości i wyższości, tudzież o niższości innych języków monarchii, lecz jedynie wzgląd na Niemcy, których Józef był cesarzem, prawda że tylko „malowanym,“ skłaniał go do niefortunnych usiłowań germanizacyjnych.

Ten sam utylitaryzm nakazywał germanizować Austryą panu Schmerlingowi, usiłującemu przywrócić przewagę Austryi w Niemczech. Zatrzymaliśmy się zaś nieco dłużej przy tej kwestyi, ponieważ ona tło-

¹⁾ Dr. Albert Jäger „Kaiser Josef II u. Leopold II,“ str. 60.

maczy także, dla czego Niemcy Austriacy w r. 1867, w rok po wyparciu Austrii z Niemiec, przystali bez zastrzeżeń na zasadę równouprawnienia narodów, zabezpieczoną w artykule XIX konstytucji grudniowej, i dlaczego znowu teraz to stronnictwo niemieckie, oczarowane zwycięstwami nad Francją i utworzeniem nowego cesarstwa niemieckiego i marzące znowu o zjednoczeniu Niemców, choć już nie pod firmą hegemonii austriackiej, czyni śmiały zamach na ów artykuł XIX.

Zamysły p. Schmerlinga, niewykonalne, bo oparte na niemożliwej fikcji, wywołały natychmiast stanowczy opór, zagrożonych w swych prawach, choć pod maską konstytucyjną narodów. W dzień Nowego roku 1861, Smolka przybył na czele deputacyi do Wiednia, żądając przyznania językowi krajowemu w Galicyi praw przynależnych. W kwietniu tegoż roku, sejm galicyjski zaprotestował przeciwko dokonanej w r. 1859 germanizacyi wszechnicy jagiellońskiej i domagał się wprowadzenia języka krajowego do urzędów. Kiedy zaś 29 kwietnia zebrała się w Wiedniu rada państwa, zaraz na pierwszym posiedzeniu rozpoczęły się spory językowe, aż opozycja słowiańska przeparała, aby posłom było wolno złożyć przyrzeczenie w języku ojczystym. W połączeniu takim, w obec rządu, podejrzanego o zamiary germanizacyjne, każdy, choćby napozór najdrobniejszy wypadek wywołuje rozdrażnienie i staje się pretekstem walki. Pretekstu takiego w maju 1861 roku dostarczyło utworzenie „najwyższej rady wychowania.“ Dnia 15 maja dr. Rieger wystąpił z interpelacją, dotyczącą téj instytucyi. W skutek wymijającej odpowiedzi p. Schmerlinga, dnia 7 czerwca wniósł interpelacją dr. Dietl, oświadczając, że taka „rada wychowania“ naruszałaby samorząd i zabezpieczone przez „dyplom październikowy“ prawa Galicyi. Dnia 8 czerwca poseł słoweński dr. Toman zagadnął ministra, dlaczego dotąd w gimnazyach Krainy nie odbywa się nauka w języku ojczystym?

Na te interpelacje wreszcie odpowiedział p. Schmerling dnia 19 czerwca i to w sposób, który potem dla wszystkich ministrów centralistycznych i germanizatorskich stał się stereotypowym. Prezes gabinetu oświadczył bowiem: „rząd pragnie spełnić życzenie narodowości, wprowadzając powoli także język krajowy do szkół (średnich). Wszelako językiem krajowym stać się może tylko ten, który się znajduje na takim stopniu rozwoju, że są profesorowie, którzy się w nim kształcili, i że posiada piśmiennictwo, dostarczające potrzebnych książek szkolnych. Jakkolwiek więc „rząd pragnie spełnić w téj mierze życzenia narodowości, z drugiej strony uważa jako swój obowiązek, mieć przede wszystkim na oku kulturę i naukę.“ Oświadczenie ministra, że języki krajowe będą wprowadzone do szkół „powoli,“ zakrawało na gorzką ironią w obec faktu, że obcy język niemiecki odrazu im narzucono. Z błędnego zaś koła, które zakreślił minister, twierdząc, że tylko wykształcony język może być wykładowym w gimnazyach, a z drugiej strony, odmawiając narodowościom środków, potrzebnych do kształcenia i podniesienia swego języka, z tego błędnego koła nie ma żadnego

wyjścia. W inię téj zasady nie można było wprawdzie odmówić Galicyi szkół krajowych, boć nie było podobieństwem odmówić tamtejszemu językowi krajowemu odpowiedniego wykształcenia, ale nawet jeszcze po uchwaleniu artykułu XIX konstytucyi grudniowej, aż do roku 1880, odmawiano czechom wszechnicy, twierdząc, że nie posiadają dostatecznej liczby wykształconych w języku krajowym profesorów, i w inię téj saméj teoryi do dnia dzisiejszego odmawiają słowiencom przynależnych im praw narodowych, zwłaszcza w szkole. Minister zaś, powodujący się podobnemi teoryami, postąpił sobie bardzo rozważnie, gdy w konstytucyi lutowej nie powtórzył artykułu o równouprawnieniu, zawartego w dawniejszych konstytucyach austriackich. Boć „opieka,“ którą tam państwo zabezpieczało narodowościom, właśnie w tém miała się objawiać, aby państwo starało się o rozwój niewykształconego dostatecznie języka krajowego; system zaś p. Schmerlinga nie myślał się „opiekować“ narodowościami, lecz zamierzał, pod jakim bądź pretekstem, odmówić im niezbędnych środków narodowego wykształcenia i rozwoju.

Rada państwa odtąd stała się widownią nieustannéj zaciętej walki zagrożonych w swych najświętszych prawach narodów przeciwko nowéj epoce germanizacyjnój. Upadek tego systemu w roku 1865 sprowadził jednak przedewszystkiem polityczny opór węgrows, walczących z centralizmem p. Schmerlinga w inię historycznej autonomii korony św. Szczepana. Krótki epizod rządów hr. Belcredi'ego w roku 1865 i 1866 możemy pominąć, ponieważ on zasadniczo nie wyjaśnił i nie uporządkował kwestyi językowej, jakkolwiek w praktyce usunął germanizacyjne dążności przeszłego systemu.

Stanowczą zmianę sprowadziły dopiero wypadki roku 1866. I w tym razie pokazało się, jak ściśle dzisiaj są związane ze sobą interesa wszystkich narodów, jak nie wolno traktować tak zwanéj polityki zagranicznej jako rzeczy oderwanéj, jak raczej stosunki wewnętrzne oddziaływają ciągle stanowczo na politykę zagraniczną i odwrotnie. Germanizacją w Austrii można było usprawiedliwiać względami utylitarnemi, dopóki Austria kusiła się o utrzymanie hegemonii w rzeszy niemieckiej. Aby utrzymać tę hegemonią, Austria musiała przywdziać szatę niemiecką, chociaż nie mogła przeistoczyć swéj natury. Skoro jednak bitwa pod Sadową i traktat prazki przecięły historyczny związek Austrii z Niemcami, tém samém upadł główny argument, którym cesarz Józef II, ks. Metternich i Schmerling powodowali się w swych zapędach germanizacyjnych. To téż niebawem z inicjatywy cesarskiej pojawiła się ustawa o wprowadzeniu języka krajowego do szkół galicyjskich (22 czerwca r. 1867) i o utworzeniu rady szkolnej krajowej dla Galicyi (25 czerwca). Co więcéj, nawet silna niemiecka większość ówczesnej rady państwa, pomimo nieobecności posłów czeskich, do uchwalenia nowéj konstytucyi zabrała się w duchu sprawiedliwym i wolnym od germanizatorskich dążności p. Schmer-

linga, przynajmniej o tyle, o ile chodziło o uporządkowanie stosunku narodowości.

Wydział konstytucyjny (w czerwcu r. 1867), przywrócił więc nasamprzód artykuł 5-ty konstytucji z r. 1849: „Wszystkie narody państwa są równouprawnione i każdy naród ma nienaruszalne prawo zachowania i opieki swój narodowości i swego języka.” Wobec historycznej i faktycznej przewagi narodu niemieckiego, i po gorzkich za wodach, doznanych pomimo owego artykułu, złożona z Polaków, słowenców, i włochoń mniejszość wydziału, na której czele stał dr. Florian Ziemiałkowski, zażądała jeszcze wyraźniejszych rękojmi. I na to przystała niemiecka większość komisji, dodawając niejako objaśnienie owego zdania, téj treści: „Państwo zabezpiecza równouprawnienie wszystkich krajowych języków w szkole, urzędach i życiu publiczném.” Wprawdzie na pierwszy rzut oka zdaje nam się, że równouprawnienie narodów mieści w sobie równouprawnienie ich języków, że zatem drugi ustęp jest zupełnie zbytecznym. A jednak tak nie jest. Centraliści bowiem pierwszy tłómaczyli i dziś znowu tłómaczą tak, że tylko osobnikom wszystkich narodów, jako równym obywatelom państwa, przysługują równe prawa np. zgromadzania się, petycji, używania swobodnej prasy, że np. polak, czech i t. d. tak samo jak Niemiec może zostać ministrem, namiestnikiem i t. d. i że nadto zabezpiecza się językom nietykalność i opiekę, ale nie równość. Wprawdzie interpretacja taka jest widocznie naciągana, skoro jednak mogła na jaw wystąpić, ustęp drugi, usuwający wszelką wątpliwość i zabezpieczający równość nie tylko obywateli różnych narodowości, lecz także wszystkich krajowych języków w szkole, urzędach i życiu publiczném, a zatem w tych wszystkich kierunkach, które w państwie jednolitem przynależały do języka państwowego, — nie był wcale zbytecznym. Ten też drugi ustęp stanowczo zagradza drogę usiłowaniu, zmierzającym do wyniesienia języka niemieckiego do godności państwowego, a zatem wyniesienia go ponad drugie, jakkolwiek zobaczymy, że sofistyka niemiecka odkryła przecież środek, aby podobny zamach „uzasadnić.”

Ten ustęp drugi artykułu XIX: „Państwo zabezpiecza równouprawnienie” i t. d. był przejęty dosłownie z elaboratu wydziału konstytucyjnego sejmiku kromieryskiego z r. 1848. Tymczasem w konstytucji grudniowej zamiast wyrazu „zabezpiecza” czytamy wyraz uznaje. Zmianę tę wprowadziła wówczas izba panów i to na mocy następującego rozumowania: Prawdopodobnie zabezpieczenie zupełnego równouprawnienia narodowości w szkołach i urzędach nie będzie w praktyce dotrzymane; „nie zdawało się rzeczą właściwą przyrzekać coś, o czém przewidzieć można, że nie będzie bezwzględnie spełnione, dla tego proponujemy w miejsce wyrazu „zabezpiecza” położyć wyraz: „uznaje.” Do téj uchwały izby panów następnie przystąpiła także izba poselska i tak powstał drugi ustęp artykułu XIX w dzisiejszym swém brzmieniu. Oczywiście więc ustęp ten brzmi teraz mniej sta-

nowczo, aniżeli w artykule 21-szym, wypracowanej w Kromieryżu konstytucyi. Na mocy tego ustępu rząd w praktyce wobec żądań narodowych może się szczerze tłumaczyć, że przeprowadzić równouprawnienie narodowości w urzędach i szkole, może tylko o tyle, o ile się stosunki nadają ku temu, że więc dziś jeszcze niepodobna np. utworzyć wszechnicy słoweńskiej, ponieważ słoweńcy nie wydali dotąd znakomych profesorów historii, prawa, nauk przyrodniczych, że z tego samego powodu niepodobna założyć w Czerniowcach wszechnicy rumuńskiej i t. d. Jednakże w teorii a mianowicie odnośnie do kwestyi, która świeżo stała na porządku dziennym, ustęp drugi artykułu 19-go zupełnie wystarcza. Skoro bowiem państwo uznaje równouprawnienie wszystkich narodowości i języków w szkole, urzędach i życiu publicznem, tém samém nie uznaje żadnego języka uprzywilejowanego, nie uznaje w zasadzie, którą zawsze trzeba rozróżniać od praktyki niemieckiego języka państwowego. Bo równouprawnienie języków, a język państwowy to tak samo są pojęcia sprzeczne i wykluczające się nawzajem, jak np. równouprawnienie wyznań a kościół państwowy. Państwo „uznawające” pierwsze, nie może uznawać drugiego. Aby nas przekonać o zgodności takich sprzeczności, trzeba by, jak trafnie zauważył dr. Rieger wśród ostatnich rozpraw, ułożyć najprzód „niemiecką logikę państwową.”

Oprócz dwóch wymienionych ustępów, artykuł XIX zawiera jeszcze trzeci, który znowu ma swe odrębne dzieje. Pierwsze były ustępstwem Niemców na rzecz Słowian, były dowodem szczerych chęci ówczesnej większości niemieckiej uspokojenia narodów słowiańskich, były powrotem do tej szczerze liberalnej polityki, która zapanowała w r. 1848 jako reakcja przeciwko absolutyzmowi księcia Metternicha, były nareszcie zręczeniem się wszelkich nadziei co do odzyskania utraconej na pobjawisku Sadowy przewagi w Niemczech. Trzecim natomiast ustępem Niemcy zabezpieczali się przed Czechami. Sejm czeski bowiem dnia 25 maja r. 1863 uchwalił był ustawę o obowiązkowej nauce obu języków krajowych w gimnazyach królestwa czeskiego; na mocy więc tej ustawy w gimnazyach niemieckich język czeski miał stanowić przedmiot nauki obowiązkowej. W r. 1863, za rządów p. Schmerlinga, uchwała ta sejmu czeskiego minęła prawie nieopstrzeżona. Ale gdy za rządów hr. Belcrediego 18 stycznia r. 1866 nagle uzyskała sankcją cesarską, powstała ogromna wrzawa zwłaszcza wśród Niemców czeskich. Dowodzono, iż nietylko ubliża Niemcom, że ich dzieci mają się uczyć po czesku, ale twierdzono nawet, że ustawa ta sprowadzi za sobą wynarodowienie Niemców czeskich, bo gimnazyści niemieccy, skoro się nauczą po czesku, staną się Czechami i t. d. Aby zapobiedz temu domniemanemu niebezpieczeństwu, niemiecka większość rady państwa dodała więc trzeci ustęp, wykluczający wszelki przymus uczenia się drugiego języka krajowego. Polacy, słoweńcy i dalmatyńcy — Czechów nie było w radzie państwa — stojąc przy zasadzie wolności i równości języków, nie mieli naturalnie

żadnego powodu opierać się tej poprawce niemieckiej, wykluczającą wszelki przymus uczenia się drugiego języka krajowego. Trzeci ten ustęp artykułu XIX zabezpiecza więc wprawdzie prawa Niemców przed domniemaną niebezpieczeństwem zczeszczenia, ale też na odwrót zabezpiecza Czechów przed wprowadzeniem do szkół czeskich nauki języka niemieckiego jako obowiązkowego ¹⁾.

Ale i w tym względzie zapatrywania Niemców od r. 1867 uległy znacznej zmianie. Dziś znowu pragną oni, nie tyle zabezpieczyć się przed Czechizacją, ile raczej rozpocząć na nowo germanizację, zwłaszcza w krajach korony czeskiej. Ale tu, jak ów pentagram w celi Fausta, ustęp trzeci art. XIX stanowczo wzbrania wejścia. Jest tylko jeden środek, aby przez śmiałą interpretacją art. XIX usunąć przeszkodę, mianowicie: trzeba dowieść, że artykuł ten, mówiąc o językach krajowych, nie odnosi się bynajmniej do języka niemieckiego, który jest czemś wyższem, bo językiem państwowym. Skoro ta różnica będzie uznana, natenczas wprawdzie w gimnazyach niemieckich Czech nie będzie istniał przymus nauki języka czeskiego, który jest tylko krajowym, ale w gimnazyach czeskich będzie istniał przymus uczenia się języka niemieckiego, który nie tylko jest krajowym, lecz i państwowym!

Bądź jak bądź, artykuł XIX konstytucji grudniowej był, jak trafnie jeden z jego twórców, poseł dr. Sturm, oświadczył w rozprawach nad budżetem 23 kwietnia r. 1880, wynikiem kompromisu pomiędzy ówczesną większością niemiecką liberalną, przejętą wspomnieniami r. 1848, a mniejszością słowiańską, broniącą wytrwale zasady równouprawnienia narodów. Właśnie dla tego, że tego artykułu nie narzuciła większość parlamentarna, lecz że powstał z porozumienia się obu stron i że w sposób normalny zakończył wiekowe spory językowe, stanowi on najważniejszą podwalinę życia publicznego w Austrii.

2. Wniosek hrabiego Wurmbanda.

„Mettre la loi au dessus de l'homme est un problème en politique que je compare à celui de la quadrature du cercle en géométrie” — powiedział J. J. Rousseau. Istotnie wartość praw zależy przede-

¹⁾ Zeszłego roku poseł czeski, profesor wszechnicy czeskiej Kvioczała, zaproponował w klubie sejmowym uchwalenie prawa, któreby wzbraniało rodzicom czeskim posyłać swe dzieci do szkół niemieckich. Klub wniosku tego nie postawił jednak w sejmie krajowym i też pewnie tego nigdy nie uczyni, co innego bowiem odradza rodzicom czeskim, aby swych dzieci nie posyłali do szkół niemieckich, a co innego zakazywał im to na mocy prawa. Takie prawo byłoby istnym potworem prawodawczym a nadto w niezem nieuprzedliwiony sposób podawałoby w wątpliwość patriotyzm, rozsądek i dobrą wolę rodziców czeskich.

wszystkiem od tego, czy one są w zgodzie z przekonaniem, dążnościami i obyczajami narodu. Do téj wysokości, aby być: „*schiavi della legge per poter essere liberi cittadini*,” rzadko tylko dojrzewają społeczeństwa. Do niewolniczej wierności i uległości wobec praw i ustaw wtedy tylko poczuwamy się, jeżeli te prawa odpowiadają naszym interesom a nawet przesądom. W przeciwnym razie najdoskonalwsze w teorii prawo pozostanie bezskuteczne. I tak artykuł XIX konstytucyi austriackiej w oderwaniu znaczeniu jest niezawodnie ideałem zbawiennego uporządkowania stosunków narodowościowych w państwie mieszanem. Jest on dalej dla narodów słowiańskich, Rumuńczyków i Włochów prawdziwem palladium najświętszych interesów narodowych. W najsmutniejszych czasach artykuł ten, zabezpieczający wszystkim narodom monarchii równe prawa, przyświeca im jako jasna gwiazda, albo jak mówi Schiller w wspaniałej scenie na Rütli w „*Tellu*.”

„*Ist es gleich Nacht, so leuchtet unser Recht.*“

Inaczej artykuł XIX-ty przedstawia się Niemcom. Wprawdzie wygłoszona tam zasada równych praw nie ubliża sprawiedliwie pojętemu prawu niemieckiej narodowości w Austrii. Owszem, im wyżej cenimy i wytrwalej bronimy własnego prawa, tem też szczerzej powinniśmy uszanować prawa drugich. Bez sprawiedliwości bowiem, nietylko państwa, jak powiedział ś. Augustyn, lecz cała społeczność ludzka staje się tylko wielką „*jaskinią łotrów*.” Pominąwszy jednak fakt, iż nadto stwierdzony w dziejach, że szczerp germański w stosunku do innych narodów, nie odznaczał się nigdy głębokiem poczuciem praw drugich, trzeba nadto zważyć wyjątkowe stanowisko Niemców austriackich. Aż do roku 1848, po części nawet aż do r. 1867, łudzili się oni przekonaniem, że całą monarchią austriacko-węgierską zdołają nietylko opanować politycznie, lecz także pod względem narodowym zdobyć dla swego szczerpu. W r. 1867 posiadali oni, przynajmniej w Austrii, wszystkie najwyższe urzędy wojskowe i cywilne, język niemiecki (wyjąwszy Galicyą i Dalmacyą) miał stanowczą przewagę we wszystkich prowincjach. Utraciwszy Węgry a po części Galicyą, Niemcy austriaccy więc w imię swego rzekomego postannictwa dziejowego przypisywali sobie tém pewniejsze prawo, zgermanizować przynajmniej resztki Austrii. Jeżeli pomimo tego drugim narodom w teorii uczynili tak wielkie ustępstwo, jakim ze stanowiska interesu niemieckiego musiał się wydawać artykuł XIX-ty, stało się to oczywiście pod tém tajnym zastrzeżeniem, które zresztą w ostatnich rozprawach całkiem otwarcie wyznawał poseł Plener, że on na zawsze pozostanie martwą literą. Taka *reservatio mentalis* wydawała im się tem skuteczniejszą, że wówczas byli mocno przekonani, iż w Austrii rząd autonomistyczny może się zjawić co najwięcej jako epizod kilkumiesięczny i jako wyjątek od reguły, którą będzie zawsze ministerjum centralistyczne, niemieckie. To też od r. 1867 do 1879 pomimo arty-

kułu XIX-go konstytucyi, niewiele się zmieniło w stosunkach narodowościowych (wyjąwszy zawsze Galicyą). Wprawdzie w Czechach i na Morawii założono kilka czeskich szkół średnich, w Krainie otworzono kilka klas słoweńskich, zresztą jednak w „szkołach, urządach i życiu publiczném” przeważała niemieczyzna, jak gdyby artykuł XIX-ty konstytucyi grudniowej wcale nie istniał. To też w tym czasie wprawdzie opozycya słowiańska ciągle w imię tego artykułu domagała się przyrzeczonych wszystkim narodom praw, natomiast panujące niemieckie stronnictwo nie podnosiło żadnych zarzutów przeciwko owemu artykułowi, nie wystawiało go jako niejasny i nie domagało się bliższego określenia jego znaczenia.

Dopiero z nastaniem rządów hr. Taaffego nagle położenie się zmieniło. Odkąd niemcy przekonali się, że w Wiedniu jest możliwy rząd, któryby zechciał nie uważać art. XIX jako martwej litery, lecz który pragnie zabrać się do wprowadzenia go w życie choćby w najskromniejszych granicach. Odtąd nagle zaczęto się po stronie niemieckiej gorliwie nim zajmować, przeistaczać jego znaczenie najśmielszém rozumowaniem, wreszcie domagać się ustawy, któraby zniosła tę teoretyczną rękojmię, jakiej innym narodom dostarcza. Proces ten rozpoczął się już w pierwszych miesiącach rządów hr. Taaffego. I tak w rozprawach nad budżetem, w kwietniu r. 1880, poseł centralistyczny Czedit, były szef sekcji w ministryum oświaty, wykazywał konieczność, aby w wszystkich szkołach austryackich uczono języka niemieckiego, i dodał: „Twierdzą, że artykuł XIX-ty konstytucyi stoi temu na przeszkodzie. Przyznaję, że nigdy tak nie pojmowałem téj ustawy. Jeżeli tam bowiem stoi, że nie wolno nikogo zmuszać do uczenia się drugiego języka, to przecież tam nie stoi, że się to odnosi tylko do języków nowożytnych, gdy tymczasem języki grecki i łaciński mogą być obowiązkowym przedmiotem szkolnym. Tém samém prawem więc i niemiecki język może być obowiązkowym i powinien nim być a potem też wykazałaby się zbyteczność zakładów szkolnych” z nauką różnych języków ¹⁾. Szanowny poseł dopuścił się nasamprzód sofizmu, bo konstytucya nie opiewa, że nie wolno zmuszać do uczenia się drugiego języka, lecz wyraźnie powiada: drugiego języka krajowego. To nie odnosi się więc ani do angielskiego, ani do francuzkiego, ani do greckiego języka, lecz jedynie do języków austryackich. Dopóki więc istnieje artykuł XIX-ty rzeczywiście w gimnazyach słowiańskich, nie może być przymusu uczenia się po niemiecku. Powtóre zaś p. Czedit z wielką szczerością odsłonił ostatnie cele swego stronnictwa. Gdyby bowiem głównie chodziło o to, aby młodzież wyćwiczyć w języku niemieckim, natenczas istotnie gimnazya „różnojęzyczne” byłyby zbyteczne i wystarczyłyby gimnazya niemieckie, jak mniemał Józef II, ks. Metternich, p. Schmerling, — jak sądzi rząd pruski — co wszystko jednak wręcz się sprzeciwia artykułowi XIX konstytucyi z r. 1867.

¹⁾ „Stenographische Protocolle,” IX Session, str. 2391.

W tym samym duchu poseł Lustkandel dowodził, że, chociaż wymieniony artykuł uznaje równe prawa wszystkich języków, niemiecki przecież jest ważniejszy od drugich, raz ponieważ to jest język szczerpu niemieckiego, powtóre dla tego, ponieważ wszystkie inne narody monarchii muszą się nim posługiwać, celem porozumienia się pomiędzy sobą ¹⁾. Poseł Sturm, jeden z twórców artykułu XIX, nagle odkrywał w nim pewną niejasność i domagał się ustawy szczegółowej, celem odpowiedniej interpretacji jego ²⁾. Nakoniec, streszczając niejako wszystko to, co przed nim napomknęli mówcy lewicy, dr. Herbst, także jeden z twórców artykułu o równouprawnieniu narodowości, oświadczył: „Państwo musi mieć język państwowy” i t. d. ³⁾.

W kilkanaście dni po tych rozprawach, dnia 10 maja r. 1880 hr. Wurmbrand wystąpił z swym wnioskiem, który uzasadniał 4 grudnia, o czém poniżej. Tu zwrócimy jeszcze uwagę na niektóre sofistyczne wywody mówców lewicy w następnych rozprawach nad budżetem w kwietniu r. 1881. „Widzimy — oświadczył były minister hr. Mannsfeld — jak stronnicy i organa większości parlamentarnej z każdym dniem wyraźniej podnoszą prawa narodowości w przeciwstawieniu do interesów państwa, a rząd nie prostuje tak fałszywego pojęcia rzeczy. Równouprawnienie narodowości nie może mieć innego sensu, jak równouprawnienie obywateli.” Otóż nowa, śmiała interpretacja artykułu XIX. Zdaniem hr. Mannsfelda zabezpiecza on tylko równouprawnienie osobników wszystkich narodowości, orzeka więc, że polak, czech i t. d. może tak samo zostać ministrem, generałem, szefem sekcji, profesorem i t. d. jak Niemiec. Gdyby taka interpretacja była słuszna, natenczas cała ustawa grudniowa składałaby się z samych pleonazmów. Albowiem artykuł 2 tej ustawy opiewa: „Przed prawem wszyscy obywatele są równi.” Jeszcze wyraźniej zaś artykuł 3 dodaje: „Urzędy publiczne są dostępne w równej mierze wszystkim obywatelom.” Słowem pierwsze 18 artykułów traktują o prawach osobistych, artykuł XIX zaś nie odnosi się już do praw indywidualnych, lecz do praw narodów. Gdyby w tej mierze mogła istnieć jakakolwiek wątpliwość, usuwa ją ustęp drugi artykułu XIX, który wyraźnie uznaje równouprawnienie języków. Wszelkie tego rodzaju zastrzeżenia hr. Mannsfeld zbijał oświadczeniem: „Tak pojęte równouprawnienie narodowości, nie jest czém innym, jak tylko komunizmem narodowości” ⁴⁾.

W podobnym duchu hr. Scharschmidt wykladał: „Jeżeli pod względem językowym przyznano wszystkim narodowościom prawa, nie zapominajmy, że istnieje także prawo państwa i że także liczyć się trzeba z tym prawem i z interesem państwa. Otóż zdaje mi się, że na

1) „Sten. Prot.” str. 2573.

2) Ibidem, str. 2620.

3) Ibidem, str. 2707.

4) Ibidem, str. 4915.

ujmę państwa w wykonaniu artykułu XIX zaszczyli już za daleko tak w urzędach, jako i w szkole." Potem znowu poseł Sturm powrócił do teoryi hr. Mannsfelda, twierdząc, że artykuł XIX odnosi się tylko do obywateli różnych narodowości, i dodając, że ponieważ język niemiecki i tak jest de facto językiem państwowym, przeto prawica nie ma żadnego powodu opierać się wnioskowi hr. Wurmbanda. „My, rzekł, taką kodyfikacją uważamy jako warunek pożądanego usunięcia sporów narodowościowych. Bo nie w naszym interesie, lecz w interesie państwa domagamy się uznania języka niemieckiego jako państwowego. Z natury rzeczy język niemiecki w Austrii przed wszystkiemi posiada wyższość, ponieważ nietylko jest językiem krajowym, lecz językiem monarchii całej i językiem światowym, a nie jest to zaiste wina języka niemieckiego, że inne nie są mu równemi, a zatem też nie mogą być stawiane z nim na równi ¹⁾." Tak więc widzimy, jak w stosunkowo krótkim czasie na mocy śmiałych rozumowań i sylogizmów, nawet sami twórcy artykułu XIX, jak dopiero co wymieniony dr. Sturm, który nawet w r. 1867 był sprawozdawcą wydziału konstytucyjnego i jako taki bronił owego artykułu w izbie, doszli do wniosków, wręcz sprzecznych z dziejami, duchem i brzmieniem tego artykułu.

Wszystko to streściło się ostatecznie w wniosku hr. Wurmbanda który opiewa:

„Wysoka izba raczy uchwalić: „Wzywamy rząd, aby w wykonaniu artykułu XIX ustawy zasadniczej z dnia 21 grudnia r. 1867 o powszechnych prawach obywateli, przedłożył (wypracował) ustawę, któraby, przy zachowaniu języka niemieckiego jako państwowego (Staatssprache), uporządkowała używanie języków krajowych w urzędach, szkole i w publicznem życiu.”

Najrzęczniejszy stylista nie byłby świetniejszym wywiązał się z zadania swego, jak tu uczynił hr. Wurmband. Najprzód bowiem wnioskowi swemu nadał niewinną formę nie uchwały parlamentarniej, lecz wezwania rządu do przedłożenia ustawy. Do uchwalenia ustawy parlamenta przystępują zawsze z większą rozwagą, aniżeli do uchwalenia rezolucyi, która nie staje się tém samém obowiązującą ustawą, lecz tylko wyraża jakieś życzenie. W danym razie nie jeden z posłów prawicy parlamentarniej wobec wniosku hr. Wurmbanda mógł rozumować tak: „i cóż, jeżeli uchwalimy ten wniosek? Wszakże rząd ma wypracować ustawę. Rząd zaś, to nasz rząd; przeciw gabinet hrabiego Taaffego nie wypracuje i nie przedłoży ustawy językowej, naruszającej prawa narodowości. Uczynimy więc lewicy ustępstwo, przychyliając się do jęj wniosku, a ufajmy, że ustawa, którą opracuje rząd, nie będzie dla nas szkodliwą.” Z początku też wielu posłów prawicy, biorąc rzeczy powierzchownie, rozumowało w ten sposób, a nawet jeszcze w ostatnich dniach przed rozprawami parlamentarnemi jeden z urzę-

¹⁾ „Stenogr. Prot.” str. 5063.

dowych dzienników wiedeńskich („Presse)” występował z takim tłumaczeniem rzeczy.

Następnie wnioskodawca główną myśl równie zrecznie ukrył w zdaniu nawiasowém: „unter Festhaltung der deutschen Sprache als Staatssprache.” Zdania nawiasowe kładziemy w środku zaczętego zdania czy to celem objaśnienia wyrazu, co tylko wyrzeczonego, czy też celem podania czytelnikowi jakiejś wiadomości, nie należącej wprawdzie do rzeczy, ale jak dla niego jednak potrzebnej do zrozumienia dalszego toku opowiadania.—Tak uczy nauka o zdaniu złożoném. Tymczasem w wniosku hrabiego Wurmbranda, słowa wtrącone w nawiasie, stanowią główne zdanie i zawierają najniebezpieczniejszą treść wniosku. Z podanych powyżej objaśnień artykułu XIX konstytucyi, przekonali się czytelnicy, że nietylko nie uznaje on żadnego języka państwowego, lecz nadto, uznawając wyraźnie równouprawienie wszystkich języków monarchii, tém samém legalnie wyklucza język państwowy. Mówiąc więc o wykonaniu artykułu XIX „przy zachowaniu języka niemieckiego jako państwowego,” hr. Wurmbrand pod niewinną formą zdania nawiasowego, nie objaśnił owego artykułu, jakby się to wydawać mogło nieobeznanym z nim dokładnie, lecz wypowiedział zasadę, wręcz mu przeciwną. Uchwalając zaś wniosek w téj formie większość autonomistyczna byłaby uznała tę sprzeczną z artykułem XIX zasadę o istnieniu (legalném) języka państwowego, który ma być tylko „zachowanym.” Mniejsza o to, jakby potem wypadła ustawa, opracowana stosownie do życzenia lewicy przez rząd; sam fakt uchwalenia wniosku z owém zdaniem nawiasowém, byłby na zawsze zniósł zasadę bezwzględnego uprawnienia języków monarchii i zawierałby uznanie niemieckiego języka państwowego. Stronnictwo centralistyczne, po uchwaleniu swego wniosku, nie potrzebowałoby wcale domagać się natrętnie przedłożenia przez rząd ustawy językowej; owszem, niemcy zaprzestaliby może domagać się takiego prawa, bo oparci na uchwale parlamentarnej, oznaczającej język niemiecki jako państwowy, w praktyce mogliby ztąd wyprowadzać wszelkie następstwa germanizacyjne, przed którymi właśnie strzeże nas artykuł XIX konstytucyi.

Ale wniosek hr. Wurmbranda zawierał jeszcze trzeci nader niebezpieczny haczyk. Oprócz „zachowania niemieckiego języka państwowego” domaga się bowiem od rządu przedłożenia ustawy „porządkującej używanie języków krajowych w urzędach, szkole i życiu publiczném.” Ustawę taką, przedłożoną przez rząd, miałyby uchwalić rada państwa; a zatém wniosek przypisuje jój prawo uporządkowania, aby się wyrazić krótko, stosunków językowych i narodowościowych—zawsze nibyto „w wykonaniu artykułu XIX.” Owóż i to znowu wręcz się sprzeciwia konstytucyi austriackiej. Konstytucya z r. 1867 składa się z kilku tak zwanych praw zasadniczych (Staats-Grundgesetze) o reprezentacyi państwowej (rada państwa), o sprawach spólnych (austriacko-węgierskich), o powszechnych prawach obywateli i t. d.

Prawo o reprezentacji państwowej (Reichsvertretung) bardzo dokładnie określa kompetencją rady państwa. I tak artykuł XI tego prawa orzeka: „Do zakresu działania rady państwa należy: zbadanie i uchwalenie traktatów handlowych, wszelkie sprawy, dotyczące uporządkowania obowiązku wojskowego, roczne uchwalenie budżetu, prawodawstwo o stosunkach wyznaniowych“ i t. d. Następny zaś artykuł XII opiewa: „Wszelkie inne przedmioty prawodawstwa, nie przyznane w tém prawie wyraźnie radzie państwa, należą do kompetencji sejmów krajowych i w drodze konstytucyjnej będą załatwione w tych sejmach i z niemi.” Otóż w artykule XI pomiędzy sprawami, należącymi do kompetencji rady państwa, nie są wymienione sprawy językowe i narodowościowe, a zatem téż uchwalenie praw językowych „w wykonaniu artykułu XIX“ nie należy do kompetencji rady państwa, lecz do kompetencji sejmów krajowych. Wprawdzie centraliści rozumują tak: tém samém prawem, na mocy którego rada państwa uchwaliła ustawy poszczególne w wykonaniu artykułu XIV: ustawy o powszechnych prawach obywateli (artykuł XIV zabezpiecza swobodę wyznania), tém samém prawem może téż uchwalić ustawy poszczególne w wykonaniu artykułu XIX teje ustawy. Tymczasem artykuł XI prawa zasadniczego o reprezentacji państwowej wyraźnie przypisuje radzie państwa prawodawstwo w sprawach wyznaniowych (artykuł XI, litera h), więc rada państwa była i jest kompetentna, uchalać ustawy wyznaniowe albo interkonfesyjne, natomiast, jak już zauważyliśmy, artykuł XI pomiędzy przedmiotami, należącymi do prawodawczego zakresu rady państwa, nie wylicza spraw językowych i narodowościowych.

Chociażby jednak konstytucya nie przyznawała wyraźnie sejmom prawa uporządkowywania kwestyi narodowościowych i językowych, byłoby zawsze rzeczą niewątpliwą, że tylko tam w odpowiedni sposób rozwiązane być mogą. W radzie państwa zmienia się większość parlamentarna, często zawisła od kilku głosów tylko. Natomiast narody, zamieszkujące różne prowincye austryackie są trwałym wyrobem przyrody i dziejów. N. p. w Tryeście i okolicy mieszka 130,000 ludzi, z których około 50,000 zalicza się do szczepu słoweńców, reszta do szczepu włoskiego. Wobec tych dwóch ścierających się narodowości, państwo austryackie nie może uczynić nic innego, jak uznać zasadniczo ich równouprawnienie. Gdyby zaś rada państwa uchwaliła ustawę językową, któraby w szczegółach „porządkowała” stosunek dwóch narodów, zamieszkujących Tryest i okolicę, a zatem np. wymieniała liczbę szkół włoskich i słoweńskich, orzekała, w jakim razie w radzie miejskiej tryestyńskiej, która jest zarazem sejmem krajowym dla Tryestu i terytorium, ma się używać język włoski, a w jakim słoweński, ilu urzędników krajowych mają otrzymać włoski, a ilu słoweński i t. d. — natenczas taka ustawa choćby nawet w teorii najspawiedliwsza, w praktyce jednak okazałaby się z pewnością szkodliwą, niewykonalną i nie zabezpieczyłaby pokoju pomiędzy dwie-

ma narodowościami Tryestu, lecz przeciwnie rozogniaby spory. Zupełnie sprawiedliwej ustawy tego rodzaju po parlamencie ani nawet spodziewać się nie można. Większość bowiem centralistyczna ułożyłaby ją niezawodnie na korzyść włochoń, większość autonomistyczna zaś na korzyść słoweńców, których postowie zasiadają na prawicy — swoją drogą niemcy na zasadzie „duobus litigantibus tertius gaudet” niezawodnie dowodziliby, że ponieważ włosi spierają się z słoweńcami, przeto będzie dla obu najzbawienniej, jeżeli w Tryeście jedynie język niemiecki stanie się językiem krajowym. Wszakże to według tej teoryi, Bach w r. 1854 prowincjom, choćby zupełnie wolnym od znacznego żywiołu niemieckiego, narzucał język niemiecki!

Nie pozostaje więc, jak poprzestać na wygłoszonej w konstytucyi zasadzie równouprawnienia narodowości, zresztą zaś przyznać sejmom wolność uporządkowania stosunku narodowości według praw, zwyczajów i potrzeb krajowych. I tak, aby jeszcze raz użyć przykładu Tryestu, rozumie się samo przez się, że naród o tój świetnej przeszłości dziejowej, co włosi, szczerzący się tak wyrobionym językiem i piśmiennictwem, które zajmowało często i dziś tóż zajmuje pierwszorzędne stanowisko, że naród, który wydał Danta, Petrarę i Boccaccia w wieku, kiedy w Niemczech taki Hartmann von d. Aue albo Wolfram von Eschenbach jękali się w języku, który dziś filolodzy germańscy muszą dopiero przekładać, aby go zrozumieli niemcy, że, powiadamy, naród włoski w „urzędach, szkole i publiczném życiu” w praktyce zdoła sobie zapewnić zawsze przewagę nad narodem słoweńskim, który nie miał żadnej przeszłości dziejowej, nie może się wykazać świetną literaturą, ani nawet nie posiada pono dostatecznego zasobu książek szkolnych dla wyższych zakładów naukowych. Zepchnąć więc włochoń na poziom słoweńców za pomocą ustawy państwowej pozostanie na zawsze równie daremném usiłowaniem, jak podnieść nagle słoweńców na te wyżyny narodowe, na których stoją włosi. Zbyteczna przypomnieć, że i w niektórych innych prowincjach istnieją podobne stosunki, że obok wysoko wykształconego narodu stoi mniej oświecony i młodszy. Stosunek ten w sposób pożądanym może być uporządkowany w sejmach krajowych i to przy wyrozumiałości narodu dojrzalego i starszego a zarazem przy należytem uwzględnieniu przez naród młodszy i mniej dojrzaly, że nie może nagle żądać tego wszystkiego dla siebie, co sobie drugi zasłużył może tysiącletnią pracą. Uchwalona zaś w myśl wniosku hr. Wurmbanda ustawa, porządkująca odrazu stosunki narodowościowe we wszystkich krajach monarchii, sprowadziłaby tylko albo chaos, albo germanizacyą.

Widzimy więc jak ten wniosek w trzech czy czterech wierszach zawierał najdonioślejsze rzeczy, potraçał o najżywotniejsze zagadki monarchii austriackiej, był niejako ową puszką piękną, ale zesłaną na zgubę śmiertelników Pandory, z której wszelkie nieszczęścia rozsypały się pomiędzy ludźmi, a tylko kwiat nadziei, włożony przez Jowisza, utkwiał na dnie.

Uzasadniając swój wniosek dnia 4 grudnia r. 1880 hr. Wurmbbrand w sposób mistrzowski odegrał rolę pocziwca, istnego niewiniątka, o którym z hrabią von Savern można było powiedzieć: „Dies Kind, kein Engel ist so rein!“ Najprzód, aby sobie zjednać konserwatystów i czarno-żółtych lojalistów, zasiadających na prawicy, rzekł: „My mężowie postępu, lub jeżeli panowie przy tej nazwie obstajecie, mężowie liberalni, w tej kwestyi stoimy na gruncie zachowawczym i to wyłącznie na tym gruncie, pragniemy bowiem utrzymać to, do czego zdążyli wielcy monarchowie nasi (Józef II) i przy czem obstawali najznakomitsi austriacy mężowie stanu (Metternich, Schmerling, Bach!). Wy zaś panowie przyjęliście do waszego programu zasadę narodowości, będącą nowożytnym pojęciem demokratycznym, a domagając się dla niej równego prawa, zapomnieliście, jak to często czynią stronnictwa demokratyczne, że takie oderwane pojęcia w życiu praktycznym posiadają tylko wartość względną. Tak stanęliście w sprzeczności z tradycją tego państwa i popieraliście zachcianki, które ostabiają potęgę państwową i mogą się stać bardzo niebezpiecznymi, ponieważ w dalszej konsenkweny muszą doprowadzić do decentralizacji, jakiej nie zniesie żadna monarchia.“ Popierając tedy wniosek swój z „zachowawczego“ stanowiska, hr. Wurmbbrand przypomniał przedewszystkiem znane germanizacyjne rozporządzenia cesarza Józefa II-go, zapominając oczywiście, że gdyby konserwatyzm zależał na zachowaniu wszystkich instytucji, które istniały przed 100 a może przed 200 laty, wszelki postęp i rozwój stałby się niemożliwym. Następnie mówca za pomocą tych samych naciąganych interpretacji, któreśmy powyżej objaśnili, usiłował wykazać domniemaną niejasność artykułu XIX, twierdząc mianowicie, że ten artykuł tylko innym językom zabezpiecza równouprawnienie pomiędzy sobą, nie odnosi się zaś wcale do języka niemieckiego, który jako język państwowy (*petitio principii*) stoi po nad wszystkimi inuemi tylko krajowemi językami monarchii. Język niemiecki jest *de facto* językiem państwowym, przeto też legalnie musi być uznany jako taki: oto główna treść tych wywodów. Nakoniec słuszność swego wniosku uzasadniał niebezpieczeństwami, na jakie nibyto narażonym jest teraz język niemiecki:

„Czyliż, rzekł, nie odpychają nas na każdym kroku? Czyż nie widzimy, jak nasz najbliższy sąsiad (Węgry), choć tam każdy wykształcony mówi po niemiecku, gdzie tylko może, usuwa i uciska język niemiecki, i jak tam w prasie obelgi przeciwko nam stoją na porządku dziennym („bardzo trafnie,“ po lewicy). Czyliż mam panom odczytać artykuły dzienników peszteńskich i lwowskich w sprawie niemieckiego teatru ¹⁾, (głosy z prawicy: „To tu nie należy“) albo też o położeniu Niemców na wszechnicy prazkiej (głosy z lewicy: „bardzo dobrze“)? Albo czy mam przypomnieć, że w delegacji austriackiej poseł

¹⁾ Pojawił się wtedy w „Gazecie Narodowej“ artykuł ognisty przeciwko otworzeniu teatru niemieckiego we Lwowie.

dalmacki (dr. Klaič) zmusił spólnego ministra, który jest madziarem (był to Szlavy) wystąpić w obronie języka niemieckiego?“

Po tej mowie hr. Wurmbranda, wystawiającego śmiały zamach na konstytucyę i na prawa wszystkich narodów monarchii, jako rzecz najnaturalniejszą i najniewiuniejszą w świecie, zabrał głos w imieniu prawicy były prezes gabinetu z r. 1871 hr. Karol Hohenwart. Mówca oświadczył, że on sam wprawdzie najchętniej byłby wniosek ten odrzucił zaraz w pierwszym czytaniu, że nie obawia się bynajmniej, aby ludność w odrzuceniu wniosku dopatrywała się pogwałcenia mniejszości parlamentarnej, że jednakże, ponieważ lewica zdaje się przywiązywać do wniosku tak wielką wagę, prawica przeto z grzeczności będzie głosowała za odesłaniem go do specjalnej komisji. Tak się też stało, wyznaczona zaś do zbadania wniosku hr. Wurmbranda komisya (Sprachen-Ausschuss), na pierwszym swém posiedzeniu dnia 2 kwietnia 1881 r., wybrała p. Kazimierza Grocholskiego marszałkiem, na drugim zaś dnia 22 stycznia 1883 r. p. Madejskiego sprawozdawcą.

Komisya „językowa“ odbyła więc w ogóle tylko 2 posiedzenia. Rozprawy na pierwszym zaczęły się od tego, że kilku członków zwróciło się do wnioskodawcy z zapytaniem, co on rozumie przez język państwowy? Wszelako hr. Wurmbrand oświadczył, iż przedewszystkiem pragnie się dowiedzieć, co rząd sądzi o jego wniosku? Odpowiadając na to pytanie, hr. Taaffe rzekł: „Trzeba rozważyć, czy przedłożenie żądanego projektu ustawy byłoby na czasie? Otóż rząd sądzi, że to dopiero wtedy byłoby na czasie, gdyby poprzednio uastąpiło porozumienie pomiędzy różnemi narodowościami i stronnictwami. Projekt rządowy bowiem, któryby w parlamencie mógł zostać zmieniony lub też uchwalony szczerą większością głosów, nie byłby zbawienym ani dla państwa, ani dla krajów. Czy owo porozumienie już przyszło do skutku, osądzicie sami panowie. Dalej zachodzi pytanie, czy można wniosek hr. Wurmbranda wyprowadzić z artykułu XIX-go konstytucyi i co wnioskodawca rozumie przez język państwowy? Jeżeli to jest język, którym się posługują urzędy, a zatem służbowy, to odnośne rozporządzenia przysługują władzy wykonawczej; rząd starał się uczynić zażość praktycznym potrzebom, to też powstały rozmaite rozporządzenia i w różnych krajach różne języki służbowe, jak np.: w Galicyi, w południowym Tyrolu, Istrii i t. d. Czy może wnioskodawca ma na myśli język, w którym obradują ciała parlamentarne? W radzie państwa, pomimo artykułu XIX, wszyscy posługują się językiem niemieckim; ale zamienić ten zwyczaj w prawo, nie wydaje mi się słusznym. Jeżeli zaś chodzi o sejmy krajowe, to oczywiście byłoby rzeczą niemożliwą narzucić wszystkim niemiecki, jako język obrad. Przedewszystkiem więc muszę wezwać wnioskodawcę, aby wyjaśnił, co rozumie przez język państwowy i do których korporacji chce go zastosować?“

Na to hr. Wurmbrand odpowiedział, że skoro rząd nie uznaje

à priori potrzeby prawnego uporządkowania języka państwowego, wszelka definicya byłaby zbytęzną, jakoż ani na pierwszém, ani na drugiem posiedzeniu hr. Wurmbbrand tój definicyi nie dał. Dlaczego? Czy może pojęcie języka państwowego nie było dotąd ściśle określoném? Czy trudno powiedzieć, czém jest i jakie prawa posiada język państwowy we Francyi, albo w Niemczech, gdzie przed kilku laty został legalnie wprowadzony? Czy konstytucya węgierska, wprowadzając madziarski język państwowy, nie orzekła wyraźnie, że będzie wyjątkowym językiem obrad parlamentarnych rządu we wszystkich gałęziach i autentycznego tekstu praw węgierskich? Nareszcie wystarczało zajrzeć do wielce gruntownego dzieła d-ra Gumpłowicza ¹⁾, albo po prostu wyliczyć te prawa, których język niemiecki dziś w Austrii używa, nie na mocy ustawy, lecz na mocy dobrowolnego ustępstwa ze strony innych narodów, aby odpowiedzieć, co rozumiemy przez język państwowy. Ów napozór dziwaczny upór hr. Wurmbbrand i jego przyjaciół politycznych tłómaczy się jednak tém, że wahali się zakreślić pojęciu języka niemieckiego zbyt ciasne granice, aby nie zrazić sobie fanatyków germanizacyi; z drugiej strony zaś wzdrygali się też zakreślić mu zbyt szerokie granice, aby tém samém nie naruszyć zbyt wyraźnie konstytucyi i nie wywołać rozpaczliwej opozycyi ze strony zagrożonych w swych prawach i interesach narodów. Najwygodniój było przeto wprowadzić tylnemi schodami (owo zdanie nawiasowe wniosku hrabiego Wurmbbrand) język państwowy do uchwał parlamentarnych, późniój zaś według nadarzającej się sposobności, „von Fall zu Fall,” aby użyć znanego oświadczenia hr. Andrassego, z przyjętego i utartego znowu wyrazu języka państwowego wyprowadzać coraz to donioślejsze następstwa kierunku germanizacyjnego.

Jeżeli więc powody, które wstrzymały hr. Wurmbbrand i jego towarzyszy od sformułowania pojęcia języka państwowego, są nam zupełnie jasne, to też rzecz naturalna, że tak hr. Taaffe, jakoteż autonomistyczni członkowie wydziału językowego, obstawali przy zdaniu, że dopóki nie będzie przedłożona dokładna definicya języka państwowego, nie można przystać na wniosek hr. Wurmbbrand. Z tego więc powodu, jakoteż z innych, któreśmy powyżej wyłożyli nieco obszerniej, aniżeli to uczynił w swém sprawozdaniu komisji językowej dr. Madejski, autonomistyczna większość słusznie proponowała: przejść nad owym wnioskiem do porządku dziennego, czyli odrzucić go sans phrase.

W imieniu centralistycznej mniejszości komisji zalecał dr. Sturm przyjęcie wniosku, twierdząc, że radzie państwa przysługuje prawo uchwalenia prawa wykonawczego lub dodatkowego do artykułu XIX ustawy o ogólnych prawach obywateli; dalej, że ten artykuł nie odnosi się wcale do języka niemieckiego, lecz tylko do innych języków krajowych; nakoniec, że ponieważ język niemiecki, używany w radzie pań-

¹⁾ Das Recht der Nationalitäten und Sprachen in Oesterreich-Ungarn. Innsbruck, 1879, str. 239.

stwa, w wojsku, w władzach centralnych, w traktatach międzynarodowych, na obligacjach austriackich, jest de facto językiem państwowym, przeto téż musi być wyraźnie uznany jako państwowy.

Sprawozdania komisji językowej ¹⁾, ogłoszone 9 marca r. 1883, dopiero dnia 24 stycznia r. b. stanęły na porządku obrad izby poselskiej.

3. Rozprawy w radzie państwa.

Pomiędzy ogłoszeniem sprawozdania komisji językowej w marcu r. 1883 a rozpoczęciem rozpraw parlamentarnych 24 stycznia r. b., zaszły wypadki, zmieniające poniekąd położenie w radzie państwa. Jak wiadomo, większość autonomistyczna izby poselskiej składa się z 4 klubów: polskiego, czeskiego, hohenwartowskiego i centralnego, którego prezesem jest książę Alfred Lichtenstein ²⁾. Ten ostatni klub składa się wyłącznie z postów niemieckich, konserwatystów, wybranych w Górnej Austrii i Styrii. W komisji językowej konserwatyści niemieccy, mianowicie hr. Hohenwart i baron Hayden przemawiali dobitnie przeciwko wnioskowi hr. Wurmblanda i głosowali za prostym przejściem do porządku dziennego, czyli za odrzuceniem wniosku sans phrase.

Tymczasem nietylko lewica rozwinęła wielką agitacją, nie bardzo zresztą niebezpieczną, ponieważ w kołach wyborców konserwatywnych mało posiada wpływu, ale co ważniejsza, wystąpił także w obronie wniosku hr. Wurmblanda hofrath Lienbacher. Były prokurator wiedeński za rządów Schmerlinga i znany z tych czasów jako gorliwy przesładowca prasy, usunięty z urzędu za czasów p. Herbsta, p. Lienbacher w r. 1873 wszedł do izby poselskiej, wybrany w Salzburgu. Przystąpił wtedy do klubu hr. Hohenwarta i odznaczył się zdolnościami krasomówczemi, prawda, że pewnego sofistycznego kierunku. W nowowybranej izbie poselskiej (1879) znowu należał z początku do klubu hr. Hohenwarta, był nawet wiceprezesem klubu i członkiem złożonej z 15 delegatów tak zwanéj „komisji wykonawczej“ prawicy. W dwa lata później jednak, przyprowadził do skutku secesyą około 20 postów niemieckich, którzy wystąpili z klubu hr. Hohenwarta, mieszczącego w sobie także postów słoweńskich, dalmatyńskich, rumuńskich (z Bukowiny) i włoskich, i założyli czysto niemiecki klub konserwatywny, którego marszałkiem obrano księcia Alfreda Liechtensteina. Ale i tu p. Lienbacher nie długo wytrwał. W rok po założeniu nowego klubu opuścił go z dwoma kolegami, wybranymi w Salzburgu i stał się, jak to nazywa żargon parlamentarny, „dzikiem“, to jest postem nie należącym do żadnej frakcyi.

Owóz w zeszłej jesieni p. Lienbacher rozpoczął śmiałą agitacją

¹⁾ Bericht des Sprachenausschusses. Wiedeń, drukarnia rządowa.

²⁾ Bliższe szczegóły o składzie stronnictw w radzie państwa, podaliśmy w artykule: „Czterolecie rządów hr. Taaffeego“, „Bibl. Warsz.“, 1883, t. II.

za uznaniem języka państwowego. Najprzód wystąpił w jego obronie w wydanej bezimiennie broszurze: „Otwarte słowo,“ potem wygłaszał mowy na zgromadzeniach ludowych w Salzburgu, nakoniec krótko przed zebraniem się rady państwa oświadczył, że będzie głosował i przemawiał w izbie za wnioskiem hr. Wurmbranda. Podobna ewolucja posła, który przez lat kilka zajmował wybitne stanowisko pomiędzy koryfeuszami prawicy i który, choć „dziki,“ posiadał pewien wpływ w gronie niemieckich posłów konserwatywnych, położenie prawicy czyniło trudnym. Obliczano, że wynik głosowania nad wnioskiem hr. Wurmbranda, będzie zależał od kilku tylko głosów. Gdyby się udało panu Lienbacherowi przeciągnąć choć tylko pięciu niemieckich posłów konserwatywnych na stronę owego wniosku, lewica mogła uzyskać większość. Chodziło więc o to, aby koniecznie skłonić wszystkich tych konserwatystów niemieckich do głosowania przeciwko wnioskowi.

W tym celu wytrawny mąż stanu, marszałek koła polskiego, dr. Kazimierz Grocholski zaproponował najprzód w Komisji wykonawczej prawicy, a przyjętą tam, w pełnej izbie rezolucją, czyli tak zwany „motywowany porządek dzienny“ téj treści:

„Zważywszy, że uchwalenie ustawy do przeprowadzenia postanowień art. XIX ustaw zasadniczych o ogólnych prawach obywateli, w myśl brzmienia paragrafu 11 ustaw zasadniczych o reprezentacji państwa nie należy do kompetencji rady państwa; „zważywszy uastępnie, że pomijając kwestyą kompetencji, podług trafnych wywodów sprawozdania komisji, znaczenie języka niemieckiego w dziedzinie wspólnych interesów, w życiu publicznym jak i w administracji państwa, o ile jedność państwa tego wymaga, nie jest przez nikogo zaprzeczane, a w skutek prawnopolitycznego połączenia królestw i krajów, w skutek wspólności interesów ludów monarchii i w skutek dobrowolnego uznania i wykonywania dostateczną ma gwarancyą; „przechodzi izba nad wnioskiem: „Wzywa się rząd aby w wykonaniu art. XIX ustaw zasadniczych z dnia 21 grudnia 1867 r. o ogólnych prawach obywateli, przedłożył projekt do ustawy, któraby ustanawiając język niemiecki, jako język państwowy, uregulowała stosunki języków w kraju używanych, w urzędzie, szkole i życiu publicznym” — do porządku dziennego.“

Jak wykazaliśmy powyżej, wniosek hr. Wurmbranda zawierał dwie równie niebezpieczne rzeczy: 1) przypisywał radzie państwa prawo do uchwalenia ustawy, porządkującej wszystkie narodowościowe i językowe stosunki monarchii; 2) domagał się uznania języka niemieckiego jako państwowego. Rezolucya p. Grocholskiego w pierwszej części waruje stanowisko autonomistyczne, zgodne w tym razie z konstytucyą, że radzie państwa nie przysługuje prawo uchwalania ogólnej ustawy językowej; w drugiej zaś części, choć odrzuca język państwowy, zaspakaja jednak Niemców, zapewniając, że prawica nie zamierza targnąć się na te pozycye, które obecnie język niemiecki zajmuje w Austrii, nie na mocy prawa, lecz na mocy zwyczaju, po-

trzeb praktycznych i dobrowolnego ustępstwa ze strony słowian. Zapewnienie takie, wypowiedziane w uroczystej formie uchwały parlamentarniej, mogło istotnie zaspokoić tych wszystkich uczciwych Niemców, którym zależy jedynie na utrzymaniu faktycznej przewagi języka niemieckiego w Austrii, a którym nie chodzi o upokorzenie narodów drugich przez narzucenie im języka niemieckiego jako państwowego.

Rezolucya p. Grocholskiego wyznaczyła więc rozprawom od razu dwojaki cel: wyjaśnienie kwestyi kompetencyi rady państwa, powtóre zaś znaczenia, zakresu i potrzeby języka państwowego. Pierwszą kwestyą, nadzwyczaj doniosłą ze stanowiska formalistyki konstytucyjnej, zupełnie wyjaśnili najpoważniejsi mówcy prawicy, hr. Hohenwart, Grocholski, Rieger i hr. Henryk Clam-Martinić tudzież Madejski. Wykazali oni z brzmienia konstytucyi z r. 1867, że radzie państwa nie przysługuje prawo uchwalenia ustawy wykonawczej do artykułu XIX i że swego czasu Niemieccy autorowie konstytucyi byli tego samego zdania, gdyż ówczesny wydział konstytucyjny wyraźnie oświadczył, że rada państwa nie ma prawa uchwalać ustaw wykonawczych (Ausführungsgesetze) do artykułu XIX, ponieważ to należy częścią do władzy wykonawczej (o ile chodzi o język służbowy), częścią do sejmów krajowych, o ile chodzi o uporządkowanie wzajemnego stosunku narodowości w pojedynczych prowincjach. Jakkolwiek jednak ta kwestya kompetencyi jest bardzo ważną ze stanowiska konstytucyi austriackiej, wszelako narody, wchodzące dziś w skład monarchii habsburskiej, istniały długo przed konstytucyą z r. 1867, i miały swe przyrodzone, historyczne i zagwarantowane różnemi przyrzeczeniami monarchów prawa. Chociażby więc konstytucya pozwałała radzie państwa uchwalić prawo, porządkujące stosunki narodowościowe, to z innych względów zasadniczych i praktycznych trzebaby się uchwałom takim oprzeć! W tym względzie bardzo trafnie zauważył hr. Clam-Martinić: „Chociażby jednak dostawało radzie państwa kompetencyi, zachodzi tu według mego przekonania przeszkoda niepodobieństwa. Uważam jako niepodobieństwo, aby wszelkie skomplikowane stosunki narodowościowe pod względem szkoły, urzędów i publicznego życia mogły być uporządkowane na mocy jednolitej, uchwalonej tu ustawy. W różnych krajach monarchii istnieje taka różnaitość stosunków, że podobna ustawa musiałaby się rozpaść na tyle rozdziałów, ile jest prowincyi, a jednak przez to, że tu uchwalimy, iż żądamy takiej ustawy, trudność nie będzie rozwiązana. Prócz tego bardzo słusznie podniesiono niewczesność takiej uchwały. Są kwestye, których rozwiązanie często właśnie dla tego staje się tak trudnym, ponieważ poruszono je zbyt wczesnie albo na miejscu niewłaściwym. Wtedy dopiero sprzeczności dobitnie występują na jaw, i co byto zamierzonym w celu porozumienia się, właśnie zupełnie rozdzwaja“¹⁾.

¹⁾ „Stenogr. Protocol,“ str. 16, 163.

Pomijając więc dalsze wywody mówców prawicy, dotyczące kwestyi kompetencyi rady państwa, co po wyjaśnieniu, podaném powyżej i tak dla czytelników naszych nie będzie wątpliwém, zaznaczymy tylko, że żaden z mówców lewicy nie usiłował na seryo dowieść owęj kompetencyi, lecz wszyscy poprzestali na samych ogólnikach. Przechodzimy więc do drugiego przedmiotu walki parlamentarnéj. Tu rozprawy dotykały mianowicie trzech pytań: 1) Co to jest język państwowy? 2) W imię jakich praw lewica domaga się utwierdzenia języka niemieckiego jako państwowego? 3) Dlaczego tego teraz się domaga?

Pierwsze pytanie poruszyli wszyscy mówcy prawicy i wszyscy mówcy lewicy nibyto odpowiadali. Z tém wszystkiém kwestya ta nie została zupełnie wyjaśnioną. I tak poseł Lienbacher szumnie zapowiedzianą definicyą języka państwowego dał w sposób następujący: „Język państwowy, panowie, to język państwa (powszechna wesotość). Sumienny profesor odpowie mi na to: bardzo pięknie, mój drogi, powiedz mi teraz jeszcze, co jest język a co państwo, a wtedy będziemy mieli definicyą języka państwowego (wesotość). Czyż rzeczywiście mamy sobie dopiero wyjaśnić znaczenie języka i państwa?... Państwo jest tak samo osobą, jak każda inna osoba w pojęciu prawniczém, i tak samo nie można mu zaprzeczać języków jak osobie prywatnéj. Mógłbym powiedzieć, że język państwowy jest językiem macierzyńskim (Muttersprache) państwa:“ i t. d. Jeden z mówców prawicy hr. Clam-Martinić definicyą tę nazwał „zdumiewająco naiwną“ (von verblüffender Naivität). I tak jest rzeczywiście. Bo najprzód państwo można wprawdzie z wielu względów porównywać z osobnikiem, ale nie można go z nim identyfikować¹⁾. Gdyby zaś państwa, tak samo jak jednostkom język był przyrodzony, jak twierdzi p. Lienbacher, dlaczegoż w Austrii tym językiem przyrodzonym miałby właśnie być język niemiecki? Dlaczego nie węgierski albo czeski, skoro Węgry i Czechy stanowią potężne królestwa, zanim Austria powstała?

Poważniej rzecz tę traktował poseł Tomaszczuk, profesor wszechnicy czerniowieckiej, jeden z najzdolniejszych mówców lewicy. Rzekł on: „Kwestya języka państwowego może być poruszona jedynie w państwie mieszaném. Bo gdzie państwo a naród są tém samém, tam nie potrzeba dopiero wyrażnie ogłaszać języka państwowego, którym być może tylko język narodu (np. we Francyi). Ale państwo, zamieszkałe przez kilka narodowości, nie może istnieć bez świadomości politycznéj spólności. Warunkiem takiej świadomości jest łatwe i zupełne porozumienie się wzajemne we wszystkich kierunkach publicznego życia, ku czemu służy język. Z tych przestaniek wynika, że właśnie mieszane państwa potrzebują języka, któremuby jako pierwszemu inter

¹⁾ Jak to np. nozynył prof. Schaeffle w uozononém i zajmującym, ale jednak opartém na błędnych podstawach dziele: „Bau und Leben des socialen Körper.“ Tomów 4, wyd. nowe w Tybindzie, 1883.

pares przyznano pewne przywileje i którego nauka w całym państwie byłaby obowiązkowa." Tymczasem o to chodzi, jakie granice mamy zakresić przywilejom języka państwowego, aby uczynić zadość potrzebom państwa, a równocześnie nie naruszać przyrodzonych praw innych języków?

Posel Beer, także jedna z naukowych znakomitości obozu niemieckiego, oświadczył: „mógłbym wymienić długi szereg dzieł, traktujących o tym przedmiocie (o języku państwowym). Przed kilkunastu laty znakomity niemiecki statysta (Mohl?) napisał dzieło o kwestyi narodowościowej, uwzględniając przedewszystkiem Austryę. Wprawdzie nie używa on wyrazu: „język państwowy,” lecz wyrazu „powszechny język krajowy” (allgemeine Landessprache), lecz te wyrazy w pojęciu autora są identyczne. Zresztą możemy wskazać na polaka, który dokładnie wyjaśnił znaczenie wyrazu „język państwowy.” Jest to profesor Gumplowicz. Nie potrzeba jednak wcale odwoływać się do literatury o tym przedmiocie, wystarczy bowiem zajrzeć do dziejów Austryi.” Czegoż jednak dowodzą dzieje Austryi? Dowodzą, że inaczej pojmował język państwowy cesarz Józef II, inaczej następca jego cesarz Leopold II, inaczej rok 1848 i znowu inaczej system roku 1867.

Jeden tylko z posłów lewicy i to ten, który do tego był przed innymi zobowiązany, wnioskodawca hr. Wurmbbrand, wystąpił z definicyą dokładną: „Nie żądamy niczego innego, jak zachowania stosunków istniejących. Jakież są te stosunki? Język niemiecki jest językiem władz centralnych (ministra) w służbie wewnętrznej i w znoszeniu się z wyższemi władzami krajowemi, najwyższego trybunału, dziennika ustaw państwowych, wojska, jest służbowym językiem pro foro interno wszystkich władz państwowych, wyjąwszy Tyrol południowy, Dalmacyę i Galicyę, podania w języku niemieckim przyjmują wszystkie władze, wyjąwszy Tyrol południowy i Dalmacyę. Oto są stosunki faktyczne. Szerszych granic nie zakreslamy. Czyż skodyfikować to jest rzeczą tak bardzo trudną i czyż tak wytrawni mężowie stanu nie mogą pojąć, że w wniosku domagamy się zachowania status quo?” Zawsze jeszcze nasuwałoby się pytanie, czyli wobec artykułu XIX można językowi niemieckiemu przyznać w drodze prawodawczej takie przywileje; definicya jednak byłaby dostateczna, ścisła i jasna, gdyby jej mówca nie był wyprzedził wstępem tej treści: „Sądzę, że przemawiam w imieniu całej lewicy, więc proszę o uwagę, bo nie ścierpię, aby w przyszłych latach wyrzucano mi to, co dziś powiem. Takie granice języka państwowego zakreslamy dziś, i tylko dziś i to w ramach wniosku naszego; jutro albo pojutrze oświadczenie dzisiejsze nie będzie nas obowiązywało. A zatem panowie (prawica) macie dziś jeszcze bardzo korzystną sposobność, bylebyście z niej skorzystali.” Tak więc i ta definicya traci wszelką praktyczną wartość, jest warunkowa, odnosi się do pewnej chwili, jutro lub pojutrze Niemcy dla niemieckiego języ-

ka państwowego mogliby się domagać wszelkich innych praw z ujmą innych języków ¹⁾).

Pod jednym atoli względem kwestya języka państwowego została dokładnie wyjaśniona, pod względem, aby się tak wyrazić, terytoryalnym. Wszyscy bowiem mówcy lewicy zapewniali, że wprowadzenie niemieckiego języka państwowego nie ma naruszać praw, których języki krajowe używają obecnie w Galicyi i Dalmacyi. Oświadczył to wnioskodawca hr. Wurmbbrand w przytoczonym powyżej ustępie swój mowy. To samo powtórzył prof. Tomaszczuk, podnosząc, że już ze względu na położenie geograficzne, Galicya i Dalmacya mogą otrzymać odrębne stanowisko. Z swój strony trzech mówcy czescy: dr. Rieger, hr. Clam-Martinić i dr. Gregr, z tych oświadczeń wyprowadzali wnioski, że lewicy nie chodzi o jedność państwa, lecz o zgermanizowanie pewnej tylko części państwa. Wreszcie najdokładniej wyświecił rzecz poseł Plener, generalny mówca lewicy. Zaznaczywszy, że lewica nie myśli naruszać stosunków, istniejących w prowincjach włoskich, tudzież w Galicyi, gdzie w r. 1869 uznano język polski jako język władz krajowych, dodał: „Że inaczej obchodzimy się z włołchami, dalmatyńcami i polakami, aniżeli z czechami i słoweńcami, to prawda. Ale to nie jest naruszeniem logiki, lecz tłómaczy się względami historycznymi i geograficznymi. Kraj czeski leży w środku ludności niemieckiej, ze wszystkich stron niemcy otaczają czechów, najdalej wysuniętych na zachód słowian. Tym więc Austria, jeżeli w ogóle chce istnieć, nie może przyznać odrębnego stanowiska, jak Galicyi, Dalmacyi i potudniowemu Tyrolowi, leżącym na periferyi państwa. Nie wynika to z nienawiści do narodu czeskiego, lecz z warunków bytu Austrii, która nie może zezwolić, aby w jój sercu powstał organizm słowiański, któryby klinem wbijał się w środek ludności niemieckiej.” P. Plener, syn byłego ministra skarbu, uchodził dotąd za jednego z najgorliwszych centralistów i popisywał się zawsze pewną nienawiścią do Galicyi. Jeżeli teraz nawet ten mówca przyznawał jój pewną odrębność, świadczy to, że lewica, czyli stronnictwo niemieckie, wreszcie oswoiło się z myślą wypuszczenia Galicyi z pod żelaznej obręczy germanizacyjnego centralizmu, byle zjednoczonemi siłami zgnieść czechów i słoweńców. Że p. Schönerer wystąpił nawet z odpowiednim wnioskiem („wzywa się rząd, aby z wykluczeniem Galicyi, Bukowiny i Dalmacyi, przygotował

¹⁾ Hr. Wurmbbrand oświadczył wyraźnie, że nie domaga się ogłoszenia języka niemieckiego jedynym językiem obrad rady państwa. Tak poważny dziennik, jak „Allgemeine Zeitung” (dawniejsza augsburska, a teraz monachijska), mocno się tém gorszy i zapewnia, że w takim razie niebawem nastanie chaos, bo wszyscy posłowie w radzie państwa będą przemawiać w swych językach ojczystych. Oczywiście „Allg. Zeitung” nie wie, że i tak wolno jest posłom w radzie państwa przemawiać w języku ojczystym, że jednak z powodów praktycznych z tego prawa nie korzystają. Oświadczenie więc hr. Wurmbbrand w tej mierze w niczém nie zmienia status quo ante.

ustawę o niemieckim języku państwowym w tych granicach, w których w Węgrzech jest językiem państwowym madziarski¹⁾, mniejszą ma doniosłość, bo p. Schönener od lat 14-tu działa w tym duchu; ale jako daleko wysunięta naprzód wedetta stronnictwa niemieckiego, na teraz nie posiada jeszcze wpływu na bieg spraw parlamentarnych. Bądź jakbądź, z rozpraw o kwestyi językowej wynika, że stronnictwo centralistyczne w miarę, jak się zamienia w stronnictwo czysto niemieckie, coraz to wyraźniej godzi się z myślą przyznania Galicyi (i Dalmacyi) odrębnego stanowiska. Dopóki istnieć będzie autonomistyczna większość rady państwa, odnośne propozycje Niemców nie mają praktycznej wartości, to też poseł Hausner słusznie odrzucił je, „ponieważ przyjmując je, wyrzeklibyśmy się naszych wiernych sprzymierzeńców w walce o autonomią i równouprawnienie.” Gdyby jednak albo rząd hr. Taaffego wszedł na tory centralizmu, albo też stanął u steru państwa nowy rząd centralistyczny, wtenczas niezawodnie owe kombinacje, naznaczone przez hr. Wurmbraunda, p. Plenera i t. d., stanęłyby ponownie na porządku dziennym.

Po tém zбочeniu powracamy do drugiego pytania, stanowiącego jedną z nici czerwonych rozpraw językowych: W imię jakich praw lewica dla języka niemieckiego domagała się tytułu państwowego? Nasamprzód w imię rzekomych praw historycznych. Wszyscy mówcy lewicy dowodzili, że język niemiecki był i jest państwowym, że więc dziś chodzi tylko o to, aby go uznać jako stan legalny. Wszyscy też naturalnie powoływali się na Maryą Teresę i Józefa II. Uczony poseł Beer sięgnął jednak w odleglejszą przeszłość: „Można powiedzieć, rzekł on, że skoro się państwo austryackie narodziło i zaczęło jąkać, jąkało się po niemiecku. W r. 1528, a zatem w dwa lata po wyborze Ferdynanda na króla Czech i Węgier, zjawiło się pierwsze rozporządzenie o niemieckim języku państwowym. W r. 1548 trybunał apelacyjny prazki otrzymał rozkaz, aby przyjmował podania w języku niemieckim. Dnia 5 sierpnia r. 1555 cesarz Ferdynand polecił sądom czeskim używać w potrzebie języka niemieckiego, równocześnie w austryackich sądach w miejsce łaciny wprowadzał język niemiecki. Że te usiłowania w następném stuleciu zostały wstrzymane, tłumaczy się ówczesnemi wypadkami (wojna 30-letnia, wojny tureckie i francuzkie). Od chwili jednak, gdy w Austrii powstały władze centralne, posługiwały się językiem niemieckim, tak mianowicie Hofkriegsrath. Rzecz uwagi godna, że właśnie dyplomaci pierwsi zalecali większą jednolitość administracyi. I tak znajduję niedrukowaną dotąd depeszę, przesłaną r. 1712 z Utrechtu do cesarza, której autor podnosi potrzebę zrobienia z tyłu pięknych krajów jednolitéj, (t o t a m) Austrii. Marya Teresa dopiero to przeprowadziła...”¹⁾ Wszystkie podobne reminiscencye, uzasadniające nibyto niemiecki język państwowy względami historycznemi, nie odnoszą się ani do Galicyi, ani do Dalmacyi. Najdobi-

¹⁾ „Stenogr. Protocoll,” str. 11, 189.

tniej zasadę, objaśnioną przez posła Beera historycznymi przykładami, wypowiedział poseł Rechbauer, twierdząc: „Państwo austriackie powstało pracą niemieckiego szczepu.” Brzmi to bardzo uroczyście. Pominąwszy jednak pytanie, czy Ferdynand I był Niemcem, a nie raczej hiszpańczykiem, jak jego brat, Karol V, rzecz jasna, że gdyby w r. 1526 węgry i czesi nie byli (pod warunkiem zachowania swych praw i swobód narodowych) wybrali Ferdynanda swym królem (po zgonie Ludwika Jagiellończyka pod Mohaczem), Austria, t. j. wielkie państwo austriackie, nie byłoby wcale powstało. A zatem tém samém prawem, którym poseł Rechbauer Niemców nazywa twórcami Austrii, możnaby ten tytuł reklamować dla Węgrów lub Czechów.

Powtóre zaś uzasadniono potrzebę uznania języka niemieckiego jako państwowego wrodzoną wyższością języka niemieckiego. Dr. Rechbauer oświadczył: „Pominąwszy względy historyczne, język niemiecki dla tego powinien być uznany jako państwowy, ponieważ jest jedynym w Austrii językiem światowym; języki innych narodów austriackich mają ograniczony zakres działania, i nie są znane w obcowaniu światowém.” Poseł Beer dowodził: „Pytanie, dlaczego właśnie język niemiecki był wybranym na język państwowy, rozwiązuje się łatwo, skoro sobie przypomnimy stan innych języków ludowych w zeszłym stuleciu. Ani czeski, ani słoweński wówczas nie święciły swego odrodzenia. Aż do końca tego stulecia nie było ani czeskiej, ani słoweńskiej literatury. W takich okolicznościach nie pozostawało, jak uciec się do języka niemieckiego.” Tu możnaby wszelako nadmienić, że i literatura niemiecka w Austrii nie wydała w w. XVIII bardzo świetnych owoców. Na takie argumenta dowcipnie odpowiedział poseł czeski dr. Edward Gregr: „Nikt więc odemnie nie szanuje płodów duchowego życia narodu niemieckiego i wiem, że ten naród wystawił sobie duchową pracą wysoką świątynię chwaty. Ile jednak przyczynili się do tego Niemcy z Bukowiny, nie wyczytałem w żadnych dziejach oświaty (wesołość na prawicy), a ile się przyczynili nasi Niemieccy współobywatele w Czechach, to wiemy doskonale. Nie przemawiajcież tak dumnie panowie, jak gdybyście byli wydali Goethego, Schillera, Humboldta, gdy zaś ciągle powołujecie się na wielki naród niemiecki i jego kulturę, zawsze to przypomina mi ubogich krewnych, którzy się przechwalają bogatym stryjem” (powszechna wesołość). I co do tej kwestyi jednak, lewica uznawała wyjątkowe stanowisko Galicyi i prowincyi włoskich. I tak zaraz pierwszy mówca, prof. Tomaszczuk oświadczył: „Uznawając uzdolnienie wszystkich języków monarchii, trzeba przecie przyznać, że z nielicznymi wyjątkami nie dostąpiły tego stopnia rozwoju, na którym stanął niemiecki. Powiadam, z niektórymi wyjątkami. Każdy z nas szanuje wysoką wartość literatury włoskiej. Nie było potrzeba przypominać nam, jak się to stało w tych dniach, Danta i Petrarke, bo i bez tego naród włoski uznajemy jako naród oświecony pierwszego rzędu. Nie mniej też uznaję, że w piśmiennictwie polskiem wciela się starożytna i samo-

dzielna oświata. To téż jest rzeczą bardzo pomyślną, że i włoskie i polskie pola językowe pod względem geograficznym są tak położone, iż tym językom można było przyznać pewną odrębność, której nie naruszamy, która jednak pozostawia jeszcze dosyć miejsca dla języka państwowego“¹⁾.

Co nareszcie dotyczy trzeciego pytania: dlaczego właśnie teraz Niemcy domagają się legalnego zabezpieczenia przywilejów języka niemieckiego?—rozumie się, że wszyscy mówcy lewicy odpowiadali na to pytanie. Pierwszy, prof. Tomaszczuk, wyliczywszy różne niebezpieczeństwa, które obecnie grożą językowi niemieckiemu, pomiędzy temi polonizacją Bukowiny, rzekł: „Czyliż panowie nie widzicie w tém żadnego niebezpieczeństwa dla jedności państwa, że teraz u nas można już odbyć wszelkie nauki od szkoły ludowej aż do wszechnicy bez znajomości języka niemieckiego? Prawda, że tak daleko posuwają się tylko czesi; bo w szkołach średnich (gimnazyach) galicyjskich pielęgnują naukę języka niemieckiego. Skoro jednak się uda, do czego w Czechach zdąża znaczne stronnictwo, aby tam dorosło pokolenie wykształconych ludzi, nie znających języka niemieckiego, wtedy język niemiecki będzie wprawdzie wyparty; ale jak to zawsze się dzieje u narodów mniejszych, okaże się potrzeba oparcia się na inną, większą kulturze“ (rosyjskiej) i t. d. Hrabia Wurmbrand ubolewał, że narodowość niemiecka, zamiast czynić postępy w Austryi, coraz to więcej traci grunt pod nogami i dodał: „Jeżeli dziś zdejmiecie wyższy pokład aparatu administracyjnego, który się musiał germanizować, ponieważ język niemiecki był państwowym, jak dawniej, za czasów przewagi łaciny, latinizował się, i jeżeli nie zaliczycie do Niemców wykształconych mieszczan, którzy rozumieją po niemiecku, wtedy znajdziecie, że właściwy lud niemiecki dziś jeszcze znajduje się w tych samych granicach, co przed siedmiuset laty.“ To świadczy tylko o daremności usiłowań germanizacyjnych, ale czyliż ze stanowiska sprawiedliwości i międzynarodowego prawa wypada ubolewać nad tém, że naród niemiecki w Austryi pozostał jak twierdzi hr. Wurmbrand, w swych pierwotnych, naturalnych granicach? Dr. Rechbauer rzekł: „Kiedyśmy w r. 1867 obradowali nad artykułem XIX konstytucyi, poruszono pytanie, czyliby nie należało zabezpieczyć praw języka państwowego? Zapewniano atoli, że to całkiem zbyteczne, ponieważ nikt nie podaje go w wątpliwość. Ubiegło lat piętnaście, a jakże ta myśl powszechnego uznania praw języka niemieckiego została w tył usunięta! (a wniosek Grocholskiego?). Kodyfikacya może nie byłaby potrzebna, gdybyśmy nie musieli się obawiać, że owo uznanie języka niemieckiego coraz więcej zniknie. Zwłaszcza w najnowszych czasach i pod rządem obecnym obawy takie wzmagają się. Przypominam rozporządzenia językowe, usunięcie urzędników niemieckich z wyższych posad. Nawet generałowie i gubernatorowie wystawieni są na uamię-

¹⁾ „Sten. Prot.“ str. 11—110.

ne zaczepki, skoro popierają język niemiecki (generał Wranowicz, namiestnik Dalmacyi). Jakie to namiętne protestacye wywołało rozporządzenie naczelnego generała w Czechach (Filipowicz), aby oficerowie używali języka niemieckiego?“

Jako zamachy na język niemiecki, poseł Plener wymienił pamiętnik postów czeskich z r. 1879, domagający się, aby w Czechach język czeski był służbowym władz sądowych, dalej projekt profesora Kwiczaty, który się domaga od sejmu czeskiego prawa, zabraniającego rodzicom czeskim posyłania swych dzieci do szkół niemieckich i t. d. Następnie przypomniał, że poseł Gregr, który w radzie państwa uznaje zalety języka niemieckiego, niedawno temu wydał broszurę, w której słowa Riegera, że każdy wykształcony czech powinien umieć po niemiecku, nazwał słowem złowrogiem („Osudne słowo“), i zamachem na honor i byt narodu czeskiego. Dalej mówca zauważył: „Znacie panowie listy proskrypcyjne takich osób, które w Czechach kupują u Niemców, a takie rzeczy nie wydarzają się w żadnym innym kraju, chyba w południowej Ameryce. To gorsze, niż rozporządzenie językowe, bo to czuje każdy obywatel, każda niewiasta, każda osoba prywatna, kiedy widzi się obrzucanym obelgami jedynie dlatego ponieważ jest Niemcem, i że w ulicach Pragi, kiedy się odezwie w języku niemieckim, wołają: „zabijcie go, Niemca. Takim sposobem stosunki w Czechach stawają się nieznośnymi.“ Pominąwszy fakt, że z pojedynczych zajęć nie można przecież, jak to czyni pan Plener, robić zaraz metody i że w istocie nikt nie słyszał, aby w ulicach Pragi zabijano Niemców, pominąwszy to, trzeba się jednak zapytać, czyliż owa, dość zresztą naturalna i usprawiedliwiona długim uciskiem niechęć Czechów do Niemców, ustanie w skutek — ogłoszenia języka niemieckiego jako państwowego? Czyliż przeciwnie czesi nie uważaliby tego za nową niesprawiedliwość i za nowy zamach na zagwarantowane sobie w konstytucyi prawa narodowe i czy wtedy nie staraliby się tym energiczniej i wbrew ustawie niesprawiedliwej, krzawić swęj narodowości? A potem, czyliż Niemcy Austriacy pod względem tolerancyi narodowej, mniejszym narodom Austrii przyświecają dobrym przykładem? Czy stronnicy i organa p. Plenera nie podburzają mas niemieckich przeciwko Polakom i Czechom przewrotnemi insynuacyami? Bardzo trafnie dzienniki w niemieckim napisie lub stampilii jakiego banku polskiego, dopatrują się zaraz zachcianek germanizacyjnych. Ale można to wytłómaczyć sobie, że narody długo uciskane i zagrożone w swych zasadniczych prawach, nawet pod konstytucyą wolnomyślną, nie wyrzekną się odrazu podejrzliwości i obaw. Niepojętém zaś jest, że reprezentanci narodu, który zawsze zajmował stanowisko panujące i też dziś je zajmuje, powodują się taką lekkomyślnością i taką nieufnością w swą siłę, jakgdyby naród niemiecki mógł zginąć wskutek nominacyi Polaka lub Czecha ministrem, albo nawet generalnym

dyrektorem kolei żelaznej (wesołość), polskiego rozkładu jazdy, czeskiego wyroku sądowego, lub słoweńskiej instrukcyi szkolnej.“

Słowem, na twierdzenie prof. Tomaszczuka: „Za czteroletnich rządów hr. Taafego, używanie języka niemieckiego z każdym dniem więcej zostało ścieśniane,“ mówcy lewicy nie umieli przytoczyć innego dowodu, jak tylko jedyne rozporządzenie rządowe z kwietnia r. 1880, które w myśl artykułu XIX konstytucyi, wprowadza równouprawnienie obu języków krajowych w sądach czeskich. Natomiast najpoważniejsi mówcy prawicy, mianowicie hr. Hohenwart, dr. Kazimierz Grocholski, dr. Riger, hr. Clam-Martinic, ks. Jerzy Czartoryski i t. d., zapewniali w imieniu prawicy, że o ile używanie języka niemieckiego okazuje się potrzebném w interesie państwa i administracyi, słowianie pomimo artykułu XIX konstytucyi o równouprawnieniu narodowości i języków, uznawają przywileje języka niemieckiego i nie myślą ich naruszać. Odrzucenie wniosku hr. Wurmbanda, niczém nie usprawiedliwionego przez mówców lewicy, zostało więc jaknajdokładniej uzasadnione przez mówców prawicy.

Rzeczywiście też wniosek ten upadł w imienném głosowaniu dnia 29 stycznia: 186 posłów głosowało przeciwko niemu, 155 za nim. Cała prawica, ministrowie, którzy posiadają mandat poselski (Dunajewski, Ziemiałkowski, Prażak, Pino, Falkenhayn), oraz klub hr. Coroniniego, złożony przeważnie z posłów włoskich, głosowali przeciwko wnioskowi hr. Wurmbanda, za nim głosowała zjednoczona lewica, do której przyłączył się poseł Lienbacher z dwoma kolegami salzburskimi. Tak więc usiłowania stronnictwa niemieckiego wprowadzenia manowcami języka niemieckiego do prawa publicznego Austrii spełzły na niczém—na teraz.

Dodajemy na teraz, albowiem równocześnie upadł też wniosek Grocholskiego, uzyskawszy tylko 167 przeciwko 174 głosom, co tłumaczy się tém, że ministrowie wstrzymali się od głosowania, zaś klub hr. Coroniniego głosował z lewicą przeciwko wnioskowi Grocholskiego. Wniosek ten, odmawiający radzie państwa kompetencyi do uchwalenia ustawy językowej, gdyby się był stał uchwałą parlamentarną, byłby tém samém zagroził drogę nowym zamachom niemieckim na artykuł XIX konstytucyi. Wszelkie odnośne propozycye w duchu wniosku hr. Wurmbanda, możnaby było w przyszłości odrzucić zgóry, powołując się na uchwałę parlamentarną, wykluczającą te kwestye z zakresu działania rady państwa. Wniosek Grocholskiego miał więc na celu utwierdzenie autonomistycznych pierwiastków konstytucyi, i z tego względu, uchwalony przez izbę, byłby oznaczał prawdziwą zdobycz dla zasad autonomistycznych. Powtóre, zaznaczając dobrowolne ustępstwa, czynione przez słowian na rzecz języka niemieckiego, wprawdzie nie przygotowywał, jak to twierdzili wszyscy mówcy lewicy, zamachów na język niemiecki, bo, jak zauważył poseł Hausner, nie chcemy ani niemieckiego, ani słowiańskiego języka państwowego, ani też, jak twierdził p. Plener, nie opierał się na zdaniu: „tolerantur, sed non ap-

probantur," ale — w sposób pożądaný zaznaczał zasadę równouprawnienia, choć w praktyce narody nie-niemieckie gotowe czynić ustępstwa.

Odrzucenie więc wniosku Grocholskiego jest dotkliwą porażką obozu autonomistycznego a zarazem rządu, który nie śmiał poprzeć go stanowczo. Stronnictwo niemieckie może teraz lada dzień ponowić pod jakąbądź formą wniosek hr. Wurmbranda. Najmniej w tym względzie zagrożone Galicya i Dalmacya. Natomiast—a rozprawy wyjaśniły to dostatecznie—stronnictwo niemieckie zdąży teraz wszelkimi siłami do zgniecenia Czechów i Słoweńców.

1 lutego, 1884 r.

PIERWSI ORYENTALIŚCI I ARCHEOLOGOWIE POLSCY ¹⁾.

NAPISZAŁ

Ludwik Dębicki.

Moda orientalizmu.—Wpływy Wschodu na Polskę.—Stosunek księcia generała Adama Czartoryskiego z baszą chocimskim.—Orientalista Pougens w Paryżu.—Wiesiołowski i Broniewski w Petersburgu.—Józef Hamid w Wiedniu.—Jan Potocki.—Wacław Rzewuski.—Aleksander Sapieha.—Zoryan Chodakowski.—Michał Bohusz.—Ks. Żukowski w Krymie.—Ruś.

Pod koniec XVIII i na początku naszego stulecia, zapanowała powszechna w Europie moda Wschodu, badań, studyów i podróży orientalnych. Podróże do Lewantu, jak wówczas mawiano, wabiły swoją niezwykłością umysły, żądne świeżych wrażeń i nadzwyczajnych przygód. Od Chateaubrianda aż do Byrona, cały zastęp znakomitości zwracał się w te nieznane strony. Akademie i towarzystwa uczonych, zaczawszy od Akademii francuskiej aż do tych gniazd erudycji, jakimi były drugorzędne nawet stolice książąt niemieckich, zajmowały się pilnie nauką języków wschodnich, badań geograficznych, przyrodniczych i ciekawości archeologicznych Wschodu. Była w téj niejasnej początkowo ciekawości pewna chęć nieposkromiona szukania świeżych pierwiastków nowszej kultury i cywilizacji, ponieważ obfita dotąd puścizna oświaty i kultury klasycznej zdawała się już być wyczerpaną. I rzeczywiście, obok zwrotu do wieków średnich, poznanie fantastycznego Wschodu, miało stać się ważnym czynnikiem w przygotowującym się zwolna nowym zwrocie, powiedzielibyśmy nieomal, w przygotowującej się nieznacznie rewolucji w mniej drapieżnej, ale bardziej stanowczej formie w dziedzinie poezji i literatury europejskiej.

¹⁾ Artykuł niniejszy stanowi ustęp z obszerniejszego dzieła, osnutego na materyałach rodzinnego archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie.

Dla Polaków nie był Wschód już oddawna światem obcym, nieznanym. Od wieków mierzyli się z nim w różnych zapasach: wojna, jasyr i poselstwa, stawiały ich w bezpośredniej i ustawicznej styczności tak z islamizmem przez Stambuł i przez Turcyą Europejską, jak w dalszym postępie z samém wnętrzem Azji przez hordy tatarów nogajskich, zapuszczających swe zagony i szlaki z dalekich pustyń azyatyckich w samo serce Rzpltej. Czy skorzystała z tych zapasów nauka i cywilizacya? Czy z tego zetknięcia, zawsze obronnego, wynieśliśmy i zachowaliśmy jedynie bogate stroje, tkane złotem materye, haftowane złotem tyftyki, zbyt kowne namioty, imponujące chorągwie i nieco łupów wojennych? Lubo nie dla zaspokojenia ciekawości badawczej jeżdżono w poselstwa do „Turek,“ to jednak nauka języków wschodnich była niezbędną kwalifikacyą dyplomatów polskich, łączyła się z zawodem rycerskim tych, co jeździli „do Turek.” Naukę języka tureckiego zaleca na pierwszym miejscu w iustrukcyi dla swoich synów Jakób Sobieski. Wśród takiego położenia i sytuacji historycznej, wzięliśmy od Turków i tatarów znaczny zapas słów i wprowadziliśmy tych jeńców do języka polskiego; z postępem czasu przyznaliśmy im indygenat zupełny w literaturze naszej—i szanujemy nawet dziś tych młodszych obywateli na niwie wyobrażeń cywilizacyi i oświaty zachodniej. Stało się to tém łatwiej, że towarzyszyły im imponujące formy zewnętrzne: kontusz polski czerkieskie ma pochodzenie. Tą drogą dostaje się do Polski wiele pojęć i przedmiotów nieznanych na Zachodzie, a jak bierzemy krzywą karabelę aż z Damaszku, a pasy przetykane złotem z wzorów wschodnich tkanin, tak przenosimy od Turków dla pokojowych szlachty otia ulubioną lukę z długim cybuchem. Nietylko w stroju i obyczaju, ale i w literaturze są ślady tego sąsiedztwa z Wschodem: wszak poczye poetów Iranu, jak Saadi, równie wzorzyste jak perskie kobierce, poraz pierwszy dostają się do Europy w przekładach polskich Otwinowskiego. Straż od ściany tureckiej nie ustawała, choć już powódź tatarska wstrzymana u źródła skonsolidowaniem się cesarstwa moskiewskiego i choć potęgę islamu w Europie złamał Sobieski pod Wiedniem. „Mohort” Wincentego Pola nie jest poetyczną fikcyą; ale typem historycznym naszej sytuacji dziejowej: Mohort, to rycerz skamieniały, do końca nieruchomie stojący na kresach, choć zkądinąd wiszą nad Rzpltą groźne chmury. Jestto wierna postać gasnącej w narodzie rycerskości, która wśród gnuśniejącej społeczności nie przenikając gromów największego niebezpieczeństwa, szła z przyzwyczajenia na ową straż graniczną od pochańców. Obok poczucia obrony, wabiła w tę stronę także pewna rycerska fantazyja, o czém świadczy między innymi Stanisław Poniatowski, ojciec króla, który oddawszy swój oręż i swoje umysłowe zdolności w usługę Karolowi XII, gdy zwyciężony znalazł się w granicach państwa ottomańskiego — okazuje taką znajomość języka, charakteru i obyczajów wschodnich, że swym osobistym wpływem jedna zwyciężonemu krole-

wi opiekę i pomoc baszów i sułtana i odgrywa nader wpływową rolę w Stambule.

Coś podobnego spostrzegamy także i u księcia Adama Czartoryskiego. Potrójny, rzec można, pociąg wabił księcia generała ziem podolskich w stronę orientu: tradycja panów polskich, przewidywania polityczne i współczesna ciekawość głośniejszych uczonych świata europejskiego. Ilekroć przedsiębrał objazd dóbr swoich na Podolu i Ukrainie, a zarazem lustracją wojsk, będących pod jego komendą, zwykł był zwiedzać najpierw fortecę polską Kamieniec, gdzie major Orłowski komenderował załogą i był zarazem plenipotentem księcia, następnie zaś odwiedzał zwykle baszę w Chocimiu. Jedną z takich wizyt, w której wzięła udział także księżna generałowa, opisuje Niemcewicz: „Basza przyjął nas otoczony całym swym dworem. Między urzęduikami dworu tego był także i błazen, śmieszna, niepocieszna figurka, dziko ubrana, z mnóstwem małych młoteczków za pasem. Wykrzywania się atoli jego nie rozrywały posępnego baszy, nic prawie nie mówił: dano kawę i luki, rozdano każdemu po chustce ze złotemi brzegami; gdyśmy się oddalali, zapytała księżna znajomego tatar, mówiącego po polsku, dlaczego basza tak smutny; „nic to, rzekł, wczoraj przywidziało się baszy, że jedna z żon jego jest mu niewierną, więc kazał ją obszyć w wór, wrzucić w Dniestr i utopić; dziś rano przekonał się, że była niewinną, jest więc trochę markotny, ale to przejdzie.” Odwiedziła księżna seraj baszy, wysokim parkanem ogrodzony, znalazła w nim z tuzin żon, wszystkie tłuste i białe, w tém bowiem piękność u turków zależy. Zaproszeni byliśmy na obiad: dla każdego był osobny stolik niski przy samej prawie ziemi, usiedliśmy na dywanie ze skurczonemi nogami, przyniesiono ze czterdzieści potraw drobno siekanych, jedna po drugiej tak prędko, że ledwo skosztować było można, tak wraz odnoszono napowrót.”

Tragiczna anegdotka, o której wspomniał Niemcewicz, nie przeszkodziła księciu wejść w bliższe stosunki z baszą chocimskim. W archiwum rodzimem Czartoryskich pozostały ślady luźnej korespondencji baszy pismem tureckim. Jakiéj natury jest ta korespondencya, czy dotyczy spraw politycznych lub wojskowych, czy mieści także szczegóły odnoszące się do studyów orientalnych, którym się książę z wielkiem oddawał zamiłowaniem,—odsłonić może tylko znawca języka tureckiego, których nie brakowało na dworze puławskim. Książę miał młodego turczynka, którego powołaniem była obsługa fajczarni, on to po obiedzie podawał i zapalał fajki księciu i zebrany gościom. Był i drugi poddany padyszacha do koni wschodnich; ale nie był to muzułmanin, choć nosił zawój, lule, fez. Pijał przytem swobodnie wino, napój wzbroniony przez proroka, a nadto jako gorliwy chrześcianin ilekroć był w stanie nietrzeźwym, co w późniejszych latach często się mu zdarzało, zwykł był pałaszem rąbać chwasty lub jarzyny w ogrodzie, tłómacząc sobie że ścina głowy niewiernych żydów, którzy zamordowali Chrystusa Pana. Ów antisemita puław-

ski był ormianinem katolikiem, nosił się po turecku, mówił i pisał kilkoma językami wschodnimi. Nie trzeba było tak wielkiego dworu, jakim był dwór książęcy w Puławach, aby wśród służby najrozmaitszego stroju, pajuków, hajduków, kozaków i węgryznów, mieć także i turczynka do koni lub fajek, bo jak dziś moda każe czasem na murzyna poczernić, którego z chłopców kredensowych, tak zdarzało się wówczas, iż szlachta przebierała po turecku miejscowego pachotka. Te szczegóły z dworu puławskiego, dowodzą wymownie, do jakiego stopnia i ludzie i rzeczy wschodnie były w powszechnym w owoczesnej Polsce zwyczaju, jak niemi lubiono się otaczać nawet w codziennym życiu.

Książę Czartoryski, dzielący te gusta, zajmuje się kwestyą wschodnią także i ze względów politycznych: utrzymuje stałą korespondencyą z posłami, których Stanisław August wysyła do Stambułu, i informuje się od nich o usposobieniach panujących w Dywanie i u wielkiej Porty, śledzi widoki Stanisława Augusta, zamierzającego wspólnie z Rosyą wydać Turcyi wojnę, rozważa znaczenie polityczne tego faktu, gdy sułtan, jedyny z mocarstw europejskich oprócz papieża, nie uznaje dokonanych w środkowej Europie przeobrażeń politycznych, gdy wychodzący polscy doznają w Turcyi nie tylko opieki, ale i otuchy. Podejrzewany przez dyplomacyą o intrygi z dostojnikami tureckimi Czartoryski, zajmuje się jednak w daleko wyższym stopniu Wschodem z pobudek naukowych niż politycznych, bo godłem jego było owo klasyczne: *homo sum, nihil humanum a me alienum esse puto*. Zapalony do studyów lingwistycznych i hipotez etymologicznych, zna języki: hebrajski, chaldejski, syryjski, zajmuje się literaturą perską, w języku indyjskim koresponduje z jednym lordem angielskim i zabiera się do studyów nad sanskrytem.

Paryżki stały korespondent księcia, p. Pougens, członek Akademii, jest z powołania orientalistą: jako biegły znawca sanskrytu, układa dykcyonarz etymologiczny. Z Puław otrzymuje ciągle zamówienia dzieł dotyczących Wschodu, jakie się wówczas pojawiały, jak dzieła uczonego włoskiego Viscontego i słynnego profesora Sorbony, Sylwestra de Sacy, o Egipcie; Brahma, posła holenderskiego, o Chinach. Książę dziękuje mu za nadesłanie przekładu poezyi perskich Hafis'a, którego mieni perskim Horacym i zapytuje: „czy nikt nie przełoży słynnej pieśni o kuku, śpiewanej w serajach?” W innych listach zasypuje p. Pougens pytaniami w rzeczach porównawczej filologii, jak np.: „czytając opis miasta Benares, spotkałem opis wyspy na Gangesie: Nowai Vispa, jakgdyby Wisła zrobiła nową wyspę?” To znów przesyła do odczytania napis w nieznanym języku, prawdopodobnie arabskim, wyryty na świeżo nabytym do zbiorów puławskich lapis lazuli: „oryentaliści paryżcy niechaj oznaczą.” Najusilniej się domaga zakupna przedmiotów muzealnych, mających związek ze Wscho-

dem, a gdy Pougens to uskutecznił, największą sprawił przez to księciu przyjemność.

Gdy po upadku Rzeczypospolitej stosunek ze Stambułem przerwany lub utrudniony został, staje się Petersburg najlepszym punktem do zbierania informacji o rzeczach dalekiego Wschodu. To też w Petersburgu ma książę swego korespondenta naukowego w osobie Krzysztofa Wiesiołowskiego, który poświęcał się specjalnie nauce orientaliów. Poczynając od r. 1796, regularnie przysyła Wiesiołowski do Puław wiadomości o wyprawach naukowych i o stosunkach politycznych Rosyi ze Wschodem. Z polecenia księcia podejmuje sam podróż do kraju Kurdów w r. 1811. Poset francuzki przy dworze petersburskim, Aleksander de Ribeaupierre, zaprzyjaźniony z domem Czartoryskich, donosi księciu o dwóch jego synach; ale znając upodobania księcia, zbiera dlań wszelkie wiadomości, odnoszące się do Wschodu. Z tych relacyi dowiadujemy się zajmujących szczegółów, w jaki sposób zawiązała Rosya poraz pierwszy stosunki z Japonią. Stało się to skutkiem dobrego przyjęcia, jakiego doznało w Jeddo dwóch rosyjan, ocalonych z rozbitego wśród burzy okrętu rosyjskiego. Gorzej atoli powiodło się generałowi Łazarewowi z królową Gruzji. Wschodnia ta Lukrecya kazała zamordować przedsiębiorczego dyplomatę za zbytęcną jego galanteryą.

Równocześnie z Krzysztofem Wiesiołowskim przebywa w Petersburgu inny orientalista, polak Broniewski, będący w służbie dyplomatycznej rządu rosyjskiego. Broniewskiego wysłano z Ołomuńca w roku 1806 do Konstantynopola dla spisania ratyfikacyi traktatu między Rosyą a Turcyą. Broniewski, nie poprzestając na swojej misyi dyplomatycznej, zakupuje w Stambule słowniki tureckie, arabskie, perskie i wysyła je wraz z burkami kaukazkiemi do Puław, w dowód swęj osobistęj dla księcia generała wdzięczności. Oprócz tego, zajmuje się Broniewski z polecenia księcia sprowadzeniem koni perskich, jako najodpowiedniejszych do odświeżenia ginącej już w kraju rasy koni polskich. Wreszcie przysyła z dalekiego Wschodu via Petersburg do zbiorów puławskich: plan miasta Pekinu, oraz sześć malowideł chińskich. Broniewski, korespondujący z księciem generałem w przedmiotach dotyczących orientu, dochodzi w Petersburgu do wysokiego urzędu, a następnie obejmuje ważne posady na Kaukazie i w Krymie.

Gdy przez swoje stosunki w Rosyi stara się książę generał zbierać informacje z dalekiego Wschodu i przedmioty muzealne drogą ładową, nie zaniedbuje w tym samym celu dawnych swych przyjaciół z lat młodych w Anglii. Sir Henry Grey zajmował wysokie urzędowe stanowisko w Indyach, z czego książę nie omieszkął korzystać. Koresponduje z nim w języku angielskim, powołując się na cytaty oryginalne indyjskie, a w odpowiedziach otrzymuje od Sir Greya obszernie relacye z jego podróży, przedsięwziętej w głąb Indyi, oraz różne przedmioty, mające zdobić świątynię Sybilli. Korespon-

dencyą angielską prowadzi także książkę o rzeczach Wschodu w ostatnich latach swego życia (1819—20) z majorem Begg.

W Wiedniu zaś następuje się księciu inny pośrednik do rzeczy wschodnich, osobistość nieco zagadkowej postaci. Obyczajem, strojem, a nawet nazwiskiem wydaje się być synem Wschodu i wyznawcą proroka; ale wykształcenie, ogładę i naukę ma europejską. Jakaś awanturnicza przygoda rzuciła go za młodu do Turcyi, z kąd powróciwszy do stolicy cesarstwa austriackiego, nie zdjął już fezu i zachował przez resztę życia przybrane nazwisko: Józef Hamid. Kim on był pierwotnie, nie wyjaśniają nasze źródła; mówią tylko, że Hamid otoczył się w Wiedniu oryentalnym przepychem i zachował tę pohopność do bogatych podarków, która charakteryzuje wschodnich Nababów. Hamid łączy uczyłość z ekscentrycznością, bogactwo i zbytek z poezją, wysokie poczucie honoru z pewną tajemniczością i awanturniczością. Hamid używa wielkiego wzięcia w Wiedniu, zaprzyjaźnia się z gronem polaków i pisuje częste do księcia generała listy między r. 1810—1815. Wróciwszy z jednej ze swoich licznych wypraw na Wschód, przesyła do Puław gościniec: sześć pudełek z kości stoniowej z sześcioma farbami: czarną na oczy surme, z aloesu na rzęsy wesme, na włosy boja, alhema na paznogie, ruzmę na lica, ugmen na brodę. Listy Hamida pisane po francuzku, ale w stylu oryentalnym, pełne przenośni i poetycznych obrazów, jak np. zakończenie jednego z nich: „piasek tego listu mieszam z prochem pod Twemi stopami.”

Nie zatrzymywalibyśmy się tak długo nad tą stroną naukowych predylekcyi księcia do orientu, gdyby z nią się nie wiązała osobna szkoła czy grupa ludzi wyższego umysłu, bujnej fantazyi i niepodległego usposobienia, którzy, idąc za tym prądem oryentalizmu, na Wschodzie szukać mieli zapomnienia doli kraju i tój wolności, której już nie było w ojezżyźnie.

Pierwsze tu miejsce w tym zastępie oryentalistów polskich, zajmuje Jan Potocki, syn Józefa Potockiego krajczego koronnego i Teresy z Ossolińskich. Wychowany wraz z bratem Sewerynem w Szwajcaryi, zaciąga się za młodu do wojska austriackiego i odbywa kampanią bawarską w r. 1778, poczem wczesnie rozpoczyna szereg podróży, które chwilowo przerywa w r. 1783 małżeństwo z słynną, czarującą pięknoscią Julią ks. Lubomirską, córką marszałka koronnego a rodzoną księcia generała siostrzenicą. Do Warszawy powraca Jan Potocki po dwuletnim pobycie w Stambule w r. 1788, aby jako poseł poznański zasiąść na wielkim sejmie. Należąc do stronnictwa patryotycznego, do którego wiedzie go duch postępowy, dążący do reform społecznych, z dwoma szwagrami Ignacym i Stanisławem Potockimi, zbliża się i do swego wuja księcia generała; w czasie sejmu zasiada w sądzie sprawy Ponińskiego. W wyższym atoli daleko stopniu aniżeli sprawy polityczne zajmują Jana Potockiego kwestye naukowe i filozoficzne. Jan Potocki przedstawia jedną z najpotężniejszych organizacji umysłowych swego czasu—i jeden z najbardziej ekscentry-

cznych typów epoki. Przedewszystkiem odznacza się niezmierną ławnością pióra: to co pisze, drukuje w własnej drukarni w swym pałacu przy ulicy Rymarskiej, ale drukuje tylko po kilkanaście egzemplarzy, tak, że znaczna część jego dzieł stała się rzadkością bibliograficzną, lub przepadła bez śladu. Ekscentryczność i lekceważenie owych płodów naukowych posuwa do tego stopnia, że wydrukowawszy raz dziełko treści naukowej, gdy ono nie zwróciło na siebie uwagi ludzi, na których kompetencją liczył Potocki — kazał cały nakład wrzucić na groble, aby tym sposobem w czasie zimowych roztopów naprawić drogę. Jedna to z licznych anegdot o dziwactwach tego męża uczonego i o jego fantazyjach wielkopolskich. Nie dość, że pierwszy odbywa wyprawy naukowe do krajów, gdzie dotąd stopa europejczyka nie powstała — Potocki, chciwy wrażeń nadzwyczajnych, pragnie wzbic się po nad ten padoł ziemski i zadziwia gawieź warszawską, gdy z Blanchardem puszcza się pierwszy balonem nad szczyty i wieże stolicy w podróż nadpowietrzną. Wszystkie te przygody otoczyły postać Jana Potockiego urokiem nadzwyczajności.

Potocki rzuca myśli nowe, często mające piętno genialności — i świadome o wszechstronności, właściwej epoce encyklopedyzmu. Zajmuje się literaturą klasyczną i teatrem, a kiedy dotąd w Théâtre français w tragediach Racina i Corneilla przedstawiano greków i rzymian w perukach pudrowanych i haftowanych frakach, on namawia Talme, aby występował w greckich chlamidach i tunikach rzymskich, co dało początek wielkiej rewolucyi w dziejach sceny nowożytnej. Od greków i rzymian zwraca się do starożytnych scytów i sarmatów. Pierwszy wśród słowian rozpoczyna badanie początków Słowiańszczyzny, podejmuje w tym celu podróże, rozkopuje kurhany, porównywa pisarzy greckich z podaniami miejscowemi, czyni studia lingwistyczne i etymologiczne, ogłaszając je w licznych swoich broszurach. Badawcza namiętność znajduje u Potockiego znakomite ułatwienie w wielkiej fortunie i we fantazyi wielkiego pana niczém się nie kępującego. Okrąża więc całą kulę ziemską. Pomiedzy półwyspem Koreą a Chinami odkrywa nieznanne wyspy, które odtąd noszą nazwę archipelagu Jana Potockiego. W Wiedniu zaprzyjaźnia się z wspomnianym już Hamidem i puszcza się z nim w nową podróż naukową z końcem 1791 r. do Maroko, a przygody téj wyprawy spisuje w bardzo zajmującym dzienniku podróży. Gnany ciągle żądzą odkryć i badań, z palących pustyń Afryki zwraca się do podbiegunowych stref, a po ostatnim rozbiorze Polski podejmuje podróż do Syberyi, le pays vierge pour la science européenne, jak się charakterystycznie wyraża. O ile wiemy dyaryusz téj podróży syberyjskiej nie był ogłoszony drukiem, lub téż zaginął; dlatego sądzimy, że nie będzie rzeczą zbyt cenną, podać tu kilka ustępów z korespondencji syberyjskiej Jana Potockiego z księciem generałem. W obszernym liście francuzkim datowanym z Tomska, podróżnik nasz zdaje szczegółową sprawę z odbytej drogi.

Na wstępie oburza się na wyrażenie księcia, że ulega manii orientalnój, i powiada, że najszlachetniejszą namiętnością, to namiętność Wschodu. Następnie daje odpowiedź na kwestyonaryusz, przesłany mu przez księcia za pośrednictwem Matuszewicza, z którym spotkał się w Petersburgu na samém wyjeźdźnym. Książę zapytywał: co się dzieje w Gruzji? jakie Rosya będzie mogła ciągnąć korzyści handlowe ze swych niekończących się dróg i granic wschodnich? Czy oświata ludności syberyjskiej jest możebna, jaka cywilizacyjna przyszłość tych krajów? Co się dzieje w Kandacharze? Którędy trakt z Rosji do Tybetu? Czy prawda, że chińczyki tomów wypędzali? Kto panuje w Samarkandzie? Czy są mapy tych krajów? Gdzie się podział Gajos, archirej moźdzacki? Czy muzułman bej z małą hordą trzyma się za Wołgą?

Potocki odpowiada na niektóre z tych pytań w opisie podróży. Opisuje Perinę, wspaniałą grotę pod Kungur, jak w Zawod zwiedzał fabrykę złotych wyrobów Kunfa, genialnego człowieka, będącą własnością księcia Strogonowa. Strogonow zaprowadził w Katyrenenburgu warsztaty obrabiania topazów. Najpiękniejsze wazony wyrzynają chłopi syberyjscy z zielonego jaspisu niezmiernej twardości, według modelów nadsyłanych z Europy. Robota podobna do Kamei starożytnych. Kopalnie złota w Breskowie zajmują naszego turystę, nie tylko ze względu na ich niezmiernie bogactwo, ale na dobry byt, w jakim znalazł tutaj skazańców zbrodniarzy. Był obecnym na koncercie danym przez kryminalistów. Rozmawiał wiele z nimi i dowiedział się od nich, że doznają u swoich nadzorców ludzkiego obojęcia. Ckliwy filantrop robi tu uwagę, że „zbrodnia u ludu jest najczęściej następstwem nędzy i że jest ostatnim wyrazem nieszczęścia.” W Tobolsku spotkał się z żądaniem gimnazjum i z pragnieniem oświaty. Krajowi temu potrzeba komunikacyi i kanałów, a zakwitnie handlem. W Tobolsku spotkał kompanią geograficzną z Niemców złożoną, istnieje tam teatr, gdzie grywają komedye Kotzebuego na rosyjskie tłumaczone. Za Tobolskiem kończy się ziemia urodzajna i rozpoczynają się płaszczyny bezludne. Do tych relacyi, które tu skreśliśmy, dodaje Potocki uwagi: „Filozofowie mówią, że Rosya nie powinna dążyć do rozszerzania swych granic, ale do zaludnienia swych olbrzymich pustyni. A jednak amerykanie, którzy są najmoralniejszym ludem (?) jaki znamy, zabierają ziemię dzikich, gdy im przypada. Zakupili oni świeżo Luizyanę od Francyi, ale gdy Francuzi ją zabrali bezprawnie hiszpanom, wygląda to tak, jak gdyby kradli rzecz skradzioną. Ale wszelkie panowanie bierze swój początek w uzurpacyi. Moralność panujących zawisła na tém, aby przestrzegać dobra swych poddanych z najmniejszą szkodą sąsiadów. Zwłaszcza zaś potrzeba mieć jakiś racjonalny i konsekwentny system, bez czego polityka staje się tylko grą namiętności!” Teorya to paradoksalna i niebezpieczna, którą z samęj podróży wyprowadza nasz turysta, bo nie tylko że usprawiedliwia uzurpacyą, jako źródło wszelkie-

go panowania, ale nadto taką doktryną w polityce — można usprawiedliwić wszelkie bezprawie. Po powrocie odzywa się znów pan Jan do księcia generała z Antonina na Wołyniu w r. 1814.

„Otrzymałem miły list księcia, przypomniał on mi lata mojej młodości, gdy raczyłeś się mną zajmować. Gdy z wiekiem i wypadkami nauczyłem się porównywać, doszedłem do przekonania, że nikt z ludzi moich czasów nie okazywał tyle rozumu, wiadomości, zacności i przywiązania do swego kraju nad Ciebie, Książę. Mój syn, który ma już wiele krwi Czartoryskich w żyłach, bodajby jój jeszcze więcej przelał w żyły swoich wnuków, a nie mógłby czerpać z lepszego źródła.” Ostatni ustęp jest aluzją do układającego się właśnie podówczas małżeństwa między Alfredem Potockim, synem Jana z księżniczką Józefą Czartoryską, córką ks. Józefa stolnika litewskiego.

Z wszystkich dzieł Jana Potockiego najwięcej znaną jest fantastyczna powieść jego sześciotomowa p. t.: „Rękopism znaleziony w Saragossie,” gdzie poza bujnością fantazyi, odkrywa nam się głębsza idea filozoficznego umysłu, wykarmionego za młodu mądrością francuzkich encyklopedystów. Umysł Potockiego nie znajdował jednak w nich zaspokojenia i równowagi i nie odnalazł drogi, wiodącej do prawd wiary, aż wreszcie niczem nie zaspokojony, kończy tę walkę samobójstwem.

Jeśli bujna ta natura, pochłaniająca w sobie świat cały wrażeń, badań, problematów, przypomina swém usposobieniem ów proces duchowy, który równocześnie Goethe przedstawił w „Fauście” — to inna współczesna postać, nad swą wartość i miarę upoetyzowana, postać Emira znajduje echo w wierszach o Farysie Mickiewicza i Bałńskiego.

Wacława Rzewuskiego, syna, wnuka i prawnuka trzech z rzędu wielkich hetmanów koronnych, nie można porównać ani pod względem nauki ani co do podniosłości umysłu z Janem Potockim. Była to bowiem tylko wybujała fantazyja młodego polskiego pana, goniącego jak Farys za słońcem i wolném powietrzem, za huryskami i rumakami wśród piasków Arabistanu. A jednak Rzewuski o wiele w kraju popularniejszy, przeszedł w poetyczną legendę. Czemu to przypisać? Jan Potocki jest crudytem i filozofem, jest jednym z ekscentrycznych objawów ducha wieku, téj próżni, jaką w duszach téj generacyi otwiera filozofia w jój przełomie od wolteryanizmu do racjonalizmu Kanta; typ to bardziej kosmopolityczny. Potocki przesycony Zachodem i nie zaspokojony jego cywilizacją, przerzuca się na Wschód. Ekscentryczność i typowość Rzewuskiego miała zaś tło czysto rodzime: był to fantastyczny, błędny rycerz, który mógł wyrosć tylko u nas, wśród tragicznych warunków swego rodu i narodu. Rycerz ten przechowuje nawet przywary tradycyjne hulaszczego życia i polskiej egsageracyi, którą przystraja wschodnią fantazyją, a gdy ugania się z beduinami po pustyniach Arabii, czuć za nim jeszcze step ukraiń-

ski, przed nim zaś wśród tych przygód turysty rozściela się pole bitwy pod Daszowem, gdzie miał ponieść śmierć bohaterską.

Obie te postacie są zbyt odrębne, abyśmy je mieli zaliczać do grona tych mężów, którzy w Puławach znachodzili swoje ognisko, jednocząc się tam we wspólnej pracy, lub ztamtąd wynosząc inspiracje i kierunek. Ale w przeglądzie ludzi współczesnych, którzy z Puławami w blizkich zostawali stosunkach, pominąć ich nie należało. Łączący ich z księciem generałem blizki związek krwi, łączyło ich wspólne, lubo odmienne zamiłowanie Wschodu.

Emir Rzewuski należy już do młodszego pokolenia i jest synem siostrzenicy księcia generała, a siostry swęj pięknej Julii Lubomirskiej, pierwszej żony Jana Potockiego. Listy jego pisywane do Puław, są bardzo lakoniczne i nie mają ani cechy naukowej ani głębszej treści, ale za to przedstawiają tę wartość, że zawiadamiają o przesyłce ogierów arabskich, sprowadzonych z puszczy, o przesyłce szalów tureckich i innych pamiątek orientalnych, przeznaczonych do zbiorów księżny.

Do téj grupy podróżników po wschodnich krainach, zaliczyćby można mniej ekscentrycznego i więcej z krajem związanego księcia Aleksandra Sapiehę. Nie był to duch wykolejony, szukający drugiej ojczyzny gdzieś za morzami, ani téż specjalista w rzeczach orientalnych, ale człowiek poważny. Podróżował wiele po Grecyi i Turcyi europejskiej, a zostawił nam bardzo cenny opis swęj podróży po krajach południowej Słowiańszczyzny. Jest to pierwsze studjum etnograficzne i obyczajowe, jakie posiadamy w literaturze polskiej o naszych współplemiennikach nad Adryatykiem i u stoku Bałkanów. Dziś jeszcze nie straciła na wartości i znaczeniu ta książka w tém, co podaje o Dalmacyi, Hercegowinie, Bośni, Czarnogórze, Serbii i Albanii. Aleksander Sapieha podejmuje podróż swęj, tak w owych czasach niezwykłą, w latach 1806 i 1807. Z Wiednia wyprawia się do Zagrzebia. Przypomnijmy sobie, że była to właśnie chwila, kiedy u Lindego w Wiedniu otwiera się z inicjatywy księcia generała i Ossolińskiego pierwsze ognisko, zbliżające między sobą wielu uczonych słowian. Sapieha nie mógł pozostać poza granicami starożytności i intencji rozbudzenia ruchu słowiańskiego w Wiedniu — a w relacyi swęj podróży, jedynę książkę, jaką drukował ¹⁾, złożył dowód tych usiłowań słowiańskich, wychodzących z Puław. Dodać należy, że księcia Sapiehę łączyła ścisła zażyłość z Puławami, zażyłość, która niebawem ma utrwalić małżeństwo Adama Czartoryskiego z jedynaczką Anną Sapieżanką.

Z Puław puszcza się z polecenia i na koszt księcia jeden z pierwszych w Polsce badaczów starożytności w naukową podróż po szerokiej Słowiańszczyźnie, mówimy o Adamie Czarnockim.

Adam Dołęga Czarnocki ur. w r. 1784, szlachcic ziemi

¹⁾ Opis téj podróży drukowany w Wiedniu, r. 1811.

chełmskiej, wychowany u Pijarów w Międzyrzeczu, potem w Lyceum krzemienieckim, odbywa kampanią 1812 r. w piątym pułku piechoty pod Macdonaldem; pojmany w niewolę przez kozaków pod Borysowem, i odesłany do gubernii czernichowskiej, zabiera się tam po raz pierwszy do rozkopywania kurhanów i grodzyszcz, do zbierania legend i pieśni gminnych, i wnet przemieniwszy nazwisko zniemia naturę, rzeczy można obleka się w innego człowieka, który pod imieniem Zoryana Chodakowskiego, zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy światem naukowym polskim a uczonymi rosyjskimi.

Czarnecki jeszcze jako uczeń krzemieniecki zwrócił na siebie uwagę Tadeusza Czackiego i księcia kuratora; zaprzyjaźnił się zwłaszcza z Łukaszem Gołębiowskim, który z polecenia księcia generała odpisywał dla Biblioteki puławskiej część dokumentów historycznych z Tek Naruszewiczowskich i z młodym Lachem Szyrmą, który przenosi się następnie do Puław jako nauczyciel wnuka księcia generała. Przez te stosunki przechował się w korespondencji puławskiej obfity materiał dla mało dotąd znanój biografii głośnego badacza.

Chodakowski, bo pod tém przybraném nazwiskiem występować on odtąd będzie nie tylko jako autor, ale nawet w prywatnych stosunkach, z głębi Rosyi odwołuje się do Towarzystwa przyjaciół nauk warszawskiego i przesyła na ręce Staszica plan badań przedchrześcijańskiej Słowiańszczyzny. Gdy nie znany dotąd w nauce jeniec rosyjski żąda funduszów dla podróży naukowych od Białego do Czarnego morza, Prezes Towarzystwa daje odmowną odpowiedź, w której przebijają pewna nieufność do studyowania krajów, leżących po za obszarem historycznej Polski.

Z Puław przeciwnie nadchodzi zachęta i obietnica wnet czynnem poparta: „Gdy to wszystko dojrzeje — pisze Chodakowski do Gołębiowskiego — i srebrne lub złote wiosło dadzą mi już w rękę dla kierowania się po rzekach słowiańskich, ruszę po ich krainach, a ta wędrówka długo pociągnie, aż nadejdzie ta chwila, w której będę mógł na brzegu Wisły w przysionku Sybilli, uściskać pana i do syta z nim pomówić.“

Jakoż, bez zwłoki książę generał przesyła pierwszą pieniężną subwencją w r. 1814, wezwawszy do udziału w niej ordynata Zamoyckiego. Chodakowski powraca z głębi Rosyi na Podole, a z tamtąd podejmuje różne wyprawy i wycieczki archeologiczne, wspierany i zasilany stale przez księcia generała. Dopiero w r. 1818 publikacja kilku jego rozpraw zwraca nań uwagę niektórych uczonych. Książę kurator przedstawia uniwersytetowi wileńskiemu pismo Chodakowskiego o starożytnościach słowiańskich, oraz prospekt, jakie z tych badań mogą dla nauki spłynąć pożytki. Chodakowski rozwijał tu już naukową metodę. Do tego, co starzy pisarze, zaczawszy od greków i rzymian, aż do kronikarzy niemieckich, podają o ludach zamieszkujących północny wschód Europy, przykłada on próbiez tego, co dziś na tym przestworze z żywych wysłedzić się da świadectw, a więc z podań ludo-

wych, obrzędów, gusek, ze starych rozkopanych grodzisk, żalników i mogił; porównywając te dwa rodzaje źródeł, piśmienne i żyjące w etnografii krajów, dodaje do tego krytyczny rozbiór mitologii słowiańskiej, oraz badanie o początkach herbów, o ile one są czysto rodzime.

Prospekt ten badań na szeroką skalę przychylniejsze znalazł przyjęcie w gronie profesorów wileńskich, niż w kole uczonych warszawskich. Wsparty na zdaniu uniwersytetu książe kurator, przedstawia ów prospekt w Petersburgu, wysyła tam Chodakowskiego, zaopatrzywszy go w listy polecające do Rumiancowa i ks. Urusowa. Protekcja odnosi skutek: ministerjum oświaty postanawia udzielić nie tylko wszelkiego poparcia dla uczonego polaka, ale przyznaje mu roczną pensją 2000 rubli i dodatek 1000 rubli na koszt podróży i na pomocnika. W Petersburgu Chodakowski wchodzi w naukową styczność z Karamzynem, który za jego pośrednictwem sprowadza z Warszawy i Krzemieńca wiele źródeł do swój historii państwa rosyjskiego, naodwrot udzielając odpisów niektórych nieznanych w Polsce dokumentów do naszych dziejów. Tu spotyka Tadeusza Bułharyna, który pisze powieści rosyjskie na tle dziejów polskich. Za pomocnika i towarzysza podróży nie chce wziąć uczonego filologa Fischera, aby Niemcy się nie przechwalali, że w badaniu starożytności słowiańskich nie możemy się obejść bez ich pomocy i bierze młodego rosyjanina, z literaturą polską obeznanego, Kosselowskiego.

Życie tułaczce, które przez cały szereg lat aż do końca prowadzi Chodakowski, oddaje się z niezmiernym zapałem podjętym zadaniom, ma jednak urozmaicenie romantyczne. Na drodze z Połocka do Petersburga zjeżdża się na popasie Zoryan z młodą i urodziwą panną, która właśnie odwoziła swą kuzynkę do instytutu w Smolnym Monastyrze dla sierot szlacheckich: dalsza droga wypadła w jednym kierunku.

„Jechaliśmy razem, w jednym czasie zaprzęgano nam konie po stacyach i razem zatrzymywaliśmy się, kiedy było potrzeba jedzenia lub odetchnienia w przeciągłej drodze. Mieliliśmy czas poznać siebie, przywyknąć. Muie, puszczającemu się w tę stronę, gdzie trzeba często przepościć się i różne mieć niewygody ztąd jedynie, że nie mam czasu myśleć o sobie, przyszła myśl proponować tej pani wojaż nierozdzielny, wzajemną pomoc, słowem, wieczną drużbę. Uważałem bowiem, że ta pani sposobem niemieckim cuda sprawia na kuchni, zawsze pod ręką jakąś ma robotkę i w charakterze coś więcej, jak kobieta lękliwa. Tego mi było potrzeba. Nieodstępnie przez dni kilka błagałem ją, użyłem całej wymowy mojej i nakoniec otrzymałem zezwolenie, że Konstancya Fleming będzie Chodakowską. Psków z niedawnego czasu mając kościółek katolicki, uwieńczył nasz sojusz i odtąd droga ponad jeziorem Czudskiem do Petersburga była drogą przyjemności i pokazała, jaką ma być, gdy zapuszcze się w okolice Dźwiny północnej, nad Wołgę, Donem i Dunajem, lub za Karpatami. Przy-

bywszy nad Nowę, padliśmy do nóg dobrej matki, której błogosławieństwo było jedynie potrzebne do zupełnego szczęścia naszego."

W niezwyklej zaiste warunkach zawarte małżeństwo nie wstrzymało na chwilę dalszych naukowych wypraw, tylko odbywanych już we dwoje. Po roku wspólnych tych wędrówek donosi Chodakowski z Nowogrodu do Puław:

"Moja żona, nierozdzielna towarzyska moich podróży, oświadcza dzięki za łaskawą o niej pamięć i obwinia mnie, że nie piszę do Puław. W Ładodze powiła była mi syna; nazwaliśmy go Olesiem, bo protorej nie chciał chrzcic pod imieniem słowiańskim, i oddawszy go w opiekę Horodziczynęj Ankowskięj, która naczepiła się nam ze swoją rzadką wymową i przyjaźnią, utraciliśmy miłe dziecko. Opfakaliśmy stratę jego i okropną myłkę naszą; odebrałem napowrót dziecicę, żeby je w dni kilka własną ręką pogrzebać. Trudno polakowi rodzic się na cudzej ziemi! mówiłem to w żalu i zagrzebłem drogie dziecicę wśród cerkwi starożytnęj w zamku Staręj Ładogi."

Obfity plan tych ustawicznych peregrynacji Chodakowskiego po Litwie, w głębi Rosyi, w mniejszęj stosunkowo części znany jest w Polsce; większą część swych sprawozdań pisze Chodakowski po rosyjsku i przesyła do Petersburga, do czego był zobowiązany, podróżując na koszt ministerium oświaty. Mimo tego, wywiera on bardzo silny wpływ na młodszą zwłaszcza generacyą pisarzów naszych. Archeologia, jako umiejętność sięgająca do przedhistorycznej epoki, tam, gdzie kolebka narodów słowiańskich, uważa go słusznie za swego protoplastę, bo od Chodakowskiego i Surowieckiego zaczyna się u nas naukowe w tym kierunku badanie, zwłaszcza gdy pisma Jana Potockiego mało w kraju były znane. Chodakowski oddziaływa pośrednio i na poezyą, bo romantykowi wileńskiemu i ukraińskiemu, szukającym rodzinnych motywów, zbiory jego pieśni gminnych wskazują złotą żyłę poetyczności ludu, z której dotąd nikt nie czerpał. Młodzież pójdzie jego śladem, aby zbierać dalej to pokłosie klechd, pieśni, przysłów i podań, a w piersiach młodych poetów rozżarzy miłość, że tak powiemy, etnograficzną do pewnych dzielnic, zwłaszcza wschodnich. Wpływ ten znać w Krzemieńcu i jego uczniach, znać go w poezjach Bohdana Zaleskiego, Goszczyńskiego; oddziała on również i na grono młodych literatów na uniwersytecie lwowskim, którzy ideą słowiańską i pieśnią gminną bronią się od ducha germanizacji.

Nie był atoli ten kierunek bez niebezpiecznej jednostronności, a nawet skrajności. Chodakowski tak się zakochał w przedhistorycznej Słowiańszczyźnie, że nie rozumie i odpycha ducha historycznego własnego narodu, z taką czcią zbliża się do kamiennych bożków lub świętych drzew, o których przechowała się pogańska legenda, że kapłanom, którzy tu nieśli ewangelią, nie może nigdy przebaczyć, iż niszczyli pogańskie bożyszcza. Słusznie też w rozbiorze pism Chodakowskiego Surowiecki zarzuca mu co najmniej przesadę w tym względzie, twierdząc, że gdyby krzewiciele Chrześcijaństwa nie byli nam

w swych pismach zostawili świadectwa o tém, co zastali, nie byłibyśmy dziś mieli żadnych wiadomości o religii i obyczajach naszych pogańskich praocjów. Chodakowski zdaje się żałować Perkuna, Lelum, Polelum, Marzanny i całego słowiańskiego Olimpu, pała więc nienawiścią do duchowieństwa, a przyjęcie Chrześcijaństwa wydaje mu się być odstępstwem od pierwotnej idei słowiańskiej. Jak w religii ma on wyznaczenie archeologiczne, podobne są jego przekonania, a raczej uprzedzenia społeczne. Stan kmiecy, to prototyp słowiański, gmina najwyższem pojęciem socyologicznem; wszystko inne jest odstępstwem, naleciałością cudzoziemską według jego archeologiczno-słowiańskich pojęć. Gdybyśmy go chcieli chwycić za słowa, posądziłibyśmy go o ateizm i demagogią i dojrzelibyśmy w nim zarodu tego niebezpiecznego kierunku, który im głębiej w pierwostan Słowiańszczyzny sięga, tém bardziej obojętnie dla rozwoju indywidualności dziejowych, a ciągłość cywilizacyjną, łączącą z całym światem, chce zastąpić braterstwem, plemieniem i niwelacją społeczną. Gdyby był myślicielem i politykiem, byłby niebezpieczny, jak ci wszyscy, którzy, zbyt ukochawszy wspólne kolebki, chcą do nich wtłaczać rozrosłych ludzi tytułem wspólności pierwotnego rodu.

A jednak pan Zoryan był to szlachcic i żołnierz, który zabrawszy się do archeologii, fantazyował sobie czasem, ale w gruncie kochał i wyznawał to wszystko, co go od dzieciństwa otaczało i za co walczył w młodości. To też w Puławach nie chwytało go za słowa; nie sądzimy, aby pani Chodakowska pochodziła z tego samego rodu, co księżna Izabela: ale dość już było, że miała to samo nazwisko, aby okoliczność ta zainteresowała fundatorkę Sybilli. Państwo Chodakowsy należą do szerokiej klienteli puławskiej. Sprawozdania naukowe wzbudzają coraz większe zajęcie księcia generała, a uczony turysta koresponduje już nietylko z Lachem Szyrmą i Łukaszem Gołębiowskim, lecz bezpośrednio z samym księciem.

W listach tych, dotąd nie drukowanych, uwydatni nam się ta charakterystyczna postać.

Księżę sprowadza Chodakowskiego w r. 1817 do Puław i poleca mu poszukiwania archeologiczne w Małopolsce i ziemi krakowskiej. Nasz badacz zdaje sprawę z pobytu w Krakowie, nie kryjąc wcale swych uprzedzeń i przesądów. Zbytecznem byłoby tutaj prostować jego spaczne poglądy i chorobliwe sądy o rzeczach i ludziach, o historii narodu i Kościele.

„Było chęcią domu Waszój Księżęcej Mości, aby wyszukiwania Słowiańszczyzny były rozciągnięte do ziemi małopolskiej; jako polak, równie tego pragnąłem. Opieka Czartoryskich ziściła te życzenia. Zasilony ich duchem i szczodrocią, trzeci miesiąc obliczam w mojej wędrówce: korzyść jej nie będzie wyrównywać naszym życzeniom i nakładowi W. Ks. Mości. Dwa stany zagubiły starożytną narodowość tego kraju. Smutną jest rzeczą dla rodaka winić swych ziomeków. Prawda historyczna przez wszystkie wieki bytu naszego ukazuje, że duchowień-

stwo podległe obcej głowie, cudzą mową i nauką rządzące się, zbyt przeważne, wstrząsało nieraz tronem najlepszych królów naszych i widzialnie usposabiło nas na prowincję papieżką. Szlachta opanowana zupełnie przez duchowieństwo, wyrzekłszy się przez ósm wieków swojej mowy, ciągle przyjmowała obce zwyczaje, gardziła narodowością, bo nie chciała mieć nic wspólnego z pospółstwem i lekko dając się kołysać wszelkim zamarzeniom, nie już stałego i odwiecznego dziś nam nie ukazuje. Lud wiejski pod ciężką ręką obu tych stanów nadto skaził się, praca jego nie zapewniona w prawie, igrzyska doroczne konfesyonał za grzech śmiertelny poczytywał, ognie sobótkowe ustały, bo wszelka gałąź jest pańską: wolno mu tylko bawić się w karczmie i kłać za drogo nabytą wesołość. Zginęła słowiańska tradycja między wieśniakami polskimi: ich myśl i pamięć nie zasięga już dalej za ojca. W zbieraniu śpiewów odniosłem pożytku w miarę południowej Rusi, jak I do 10-ciu. Całą zdobyczą moją jest poznanie kolosalnej Łysiej Góry u Ś. Krzyża, której planu na milę w okół bez dozwolenia rządu mieć nie mogę. Zdjęcie rysunku z olbrzymiego bożyszczu w Chęcinach. Przejrzenie się w okolicy Lelowa. Wymiar z rysunków dwóch mogił pod Krakowem i zbiory rzeczy późniejszych dla JO. Księżnej. Listy do biskupa krakowskiego i do prezydenta przyniosły mi chlubną znajomość i rozmowy przy smacznych obiadach, lecz nie więcej. Biskup przestał być Janem Woroniczem, powaga, tytuły i prawa dawnych biskupów mocno go zniewalają, ich przesady są maszyną, Jezuici powinni sami tylko wychowywać dobrych polaków i przykłądną moralność zaszczerpieć; naostatek autor Sybilli Puławskiej, Lechiady i kilku pamiętujących kazań politycznych, wznosił się do napisania historii obrazu ludowego w Częstochowie z wywodem aż do Ś. Łukasza. Zarzycki, przyjemny człowiek, lecz nie wywiczony w zasadach historycznych, nie wie nic o krytyce; wierzy w to wszystko, co powaga sześciu wieków przynależała zardzewiałemu Kadłubkowi. U biskupa na filarze historycznym myszy okropnie nacierają na Popieła. Kraków wśród starych budowli zachowuje wszystkie opinie XVII wieku.

„Historia na krok nie postąpiła i duchowieństwo jeszcze teraz kłóciło Bandtkiego, że miał napisać w rozprawie jednej o Akademii tutejszej, że ta była nie przybytkiem naukowym, lecz zgromadzeniem klasztorńem. Bandtkie wielokroć żałuje, że opuścił Wrocław, skarży się na niedostatek w Krakowie uczonych, nie ma współpracowników, nie ma z kim żyć. Ilekroć wspomni sobie o W. Ks. Mości, zawsze to czyni z wysokim uwielbieniem osoby. Co do mnie, powinienbym jeszcze prędzej Kraków opuścić, niżelim go poznać. Lecz nie uczynię tego. Zbyt mocno upowszechnione bajki o jego początkach; należy dłużej zabawić, aby odkryć, jaki był stan jego w epoce przedchrześcijańskiej. Bo dotąd nie widzę śladu w samym Krakowie, aby w nim była przynajmniej parafia pogańska; jakże bez niej mogła być stolica? Mogiły na Lasocinie i nad Dłubnią, nie dowodzą w tym miejscu stale panujących; podobne i jeszcze większe są: dwie nad Słubną, w Kijow-

skim powiecie, Perepiata i Perepiatycha zwane; Soroka, mogiła niedaleko Werbicza (Granowa), na Ukrainie; Igora pod Korostenun (Iskornią), w Owruckiém; są podobne nad Wołgą w Moskwie, pod Ładogą, są i w Szlązku, jak zapewnia Bandtkie. Wiem, że jest podobna, z kamieni wzniesiona, pod Lipskiem, w kraju Syrbów, czyli Saksonii dzisiejszój. Jest nakoniec znana mi dobrze Mendoga mogiła w Nowogrodzku litewskim. Sypano je dla wodzów znakomitych w miejscach, gdzie którego śmierć spotkała, lecz nie koniecznie pod ich stolicami. Historia zmyślona liczy od Krakusa do Mieczysława niemały poczet panujących. Czemuż według tój liczby ich mogli nie widzimy; dwie tylko są i na milę roztracone; widzimy, że przypadek wojny tém rządził. Dowiedziałem się, że w Olkuszu są dwa bożyszcza z marmuru wyrobione i niedaleko ztąd, w Rokitnie, wykopują się liczne żalki, albo popielnice; pojedę ztąd, aby zdjąć rysunki z pierwszych i otrzymać z drugich.

Kraków, 4 listopada 1817.

Zoryan Chodakowski."

Kraków tak mało słowiański, tak bardzo zachodni i katolicki, wzbudza wszystkie uprzedzenia i niechęci, a Chodakowski nie przebacza nawet Woroniczowi, z jednym tylko Niemcem protestantem Bandtkiem rozumie się ten słowianofil.

Wnet powraca do ulubionych wycieczek wschodnich. W Płocku spotyka rektora OO. Jezuitów, ks. Brzozowskiego, który pyta go, czy nie zwiedził kaplicy św. Józefa w Witebsku. „Widziałem potrzebę objaśnić go, że nie jestem pielgrzymem, zwiedzającym miejsca święte, ale podróżnym, którego epoka bałwochwalstwa zajmuje. Długośmy rozmawiali, wzajemnie chcąc nawrócić siebie, ale bezskutecznie. Zapraszał mnie jeszcze dla widzenia gabinetów swoich, lecz ja wolałem pójść do magistratu, kanonika unickiego na Zadzwinię i innych osób, co mnie uczyły rzeczy wcale nie klasztornych.”

Inny list Chodakowskiego do księcia generała, datowany z Homla pod Bielicą 1819 r.—mieści pewien rodzaj usprawiedliwienia wobec zarzutów, jakie go spotkały w Wilnie i w Warszawie, lubo Towarzystwo przyjaciół nauk zaliczyło go już naówczas w grono swoich członków.

JO. i Miłościwu Książę!

Przed rokiem miałem zaszczyt pisać do W. Ks. Mości z kraju, kędy przodkowie jego domu kilka wieków zliczyli i dla mnie było przyjemnością zwiedzić ich gniazda starodawne w Czartorysku, Klewaniu i Żukowie. Dziś odzywam się z Białej Rusi z domu pana Rumiancowa, który był w posiadaniu przedtém stryja W. Ks. Mości, W. Kanclerza Litt. i rychło spodziewam się być w Pleskowie, który w w. XV cieszył się swobodą i dobrami rządu jednego z przodków Księcia, jak o tém pisze Karamzin w VI tomie Ruskiej historii. Tak w moich podróżach często przypominę się imię szanowne Czartoryskich, i w do-

wód tego posyłam te myśli do Sieniawy. Ja kocham się w ubiegłych wiekach, mam wielkie dla nich uszanowanie, a błogi wiek Księcia jeszcze bardziej wznawia pamięć ich sędziwości. Często patrzę na zbliżone do Zachodu słońce, które mi wskazuje osobę i mieszkanie W. Ks. Mości, a choć mię przedświt uniósł daleko i w chłodniejszą strefę, ja jednak w myślach o Sieniawie znajduję miły jeszcze powiew tego ciepła. Niektórzy z moich ziomeków przedtém łaskawych na mnie umilkli od téj pory, kiedyś zaszedł na drugą stronę Dniepru. Dawnom mówił o potrzebie poznania téj strony, plan mój, czyli sam przedmiot słowiański tego wymagał i w czasie dowiodę, że za Donem i Wołą można być lepszym polakiem jak w Warszawie słowianinem. Uniwersytet Wileński, odmawiając dla mnie pomocy, chciał dowieść, że on jest w ziemi herulów, obojętnych ku wszystkim. Mnie się to nie zdało i prosiłem Towarzystwa warszawskiego o sąd między nami. Wdzięczny jemu jestem za wcielenie mnie w poczet swoich korespondentów, lecz opinia w moim przedmiocie ukazała, że nie jest tak łatwo być słowianinem, i że nie zająwszy się sposobem podobnym mojemu, można sądzić nietrafnie. Zaprzeczyli mi niektóre szczegóły dla tego jedynie, że poczet wyrażonych przezemnie autorów, nic o nich nie wspomina, i zalecają mi temież autorami ograniczyć się, jakby nic do nich dodać już nie można. Ta ufność w starych do nas pisarzach, ta mówię, ostateczność zadziwia mię. Podług tego, na co grzebać się w zasypach Herkulanum, w Illiryi, w Egipcie i po drugich miejscach, wszak one zawierają się w opisach jeszcze dokładniejszych niż nasze. To zaprzysięgłe niewychodzenie nigdy z bibliotek w Warszawie, dalej za nimi nie pokaże. Przekonałem się tylko, że o całości i rodowitych cechach Słowiańszczyzny nie ma co rozprawiać w Warszawie, bo ta jest częścią wielkiego ogółu i późną znakomością, nie łączy się z początkowem źródłem wszystkich u nas. Z tych względów, nie mając co przedsięwziąć u młodych Lachów, obróciłem się na północ ku czcicielom Rusey Kosy. Moje pytania po polsku są w Charkowie, po rusku w Pleskowie, Kazaniu, Nowogrodzie siewierskim i licznych miejscach, a cały plan z kilku mapami u ministra oświecenia księcia Golicyna, do którego pisząc, załączyłem uwagi na Karamzinie, gdzie ten Plutarch Newski, nie mogąc długo utrzymywać się w poprzednim okresie, chyba strasznie i mnie zawadza. Jeśli drudzy nie odniosę korzyści nad Newą, przynajmniej pohamuję historyografa i zrobię go względniejszym ku polakom, których on napastować zaczyna po nieprzyjacielsku od czasów Kazimierza Jagiellończyka, i gdyby moi spółbracia słyszeli, jak po ludzku wszędzie na Rusi występuję, mniej może wąpiłiby o mnie. Słowem gotuję zmianę w dotychczasowych opisaniach naszych, nie mogę mieć spokojnych i dorazu przychylnych słuchaczy i tu nawet. Lecz czas jednych wytrzeźwi, drugich natchnie do pomocy mojej i mnie ubogaci w dowody i sposoby znakomitsze.

Panu Szyrmie dziękuję najczulój za jego pamięć o mnie i opis

starożytnego Grodziska na pograniczu(?) Prus wschodnich koło Kalisza, życzyłbym jeszcze wiedzieć, jak krajowcy zowią ten usep ziemny i jakiej wsi jest on najbliższym, żebym podług kierunku słońca mógł ten punkt na mapie oznaczyć.

Polecam się łaskawym względom W. Ks. Mości i mocno życzę, aby promienie zachodzącego słońca Jego jeszcze przyświecały moim spółziomkom i mnie samemu, który pragnę z najdalszych krańców mojej wędrówki, jeszcze przez wiele lat dowodzić Sieniawie w hołdzie tej czci wysokiej i wdzięczności, z którą zawsze jest

Waszój Księżęcej Mości Dobrodzieja najuniżeńszymi sługą

Zoryan Chodakowski.

Homel pod miastem Bielicą 19 sierpnia 1819 r.

Zoryan Chodakowski w sile wieku, bo licząc 41 lat umiera wśród jednej ze swych podróży naukowych w Twerskiej gubernii. Dzieła jego nigdy w całości nie zostały ogłoszone drukiem. Zbiór tylko pieśni i legend w dwu tomach i rozprawa o Słowiańszczyźnie przed Chrześcijaństwem ukazała się po polsku, część rękopismów znajduje się w zbiorach Biblioteki Czartoryskich w Krakowie, większą atoli potowę wdowa przesała do Moskwy na ręce p. Polewoja.

Jeśli podziwiać wypada wielką wyrozumiałość księcia generała w stosunkach z Chodakowskim, że przez wzgląd na jego zdolność badawczą i zastugi naukowe daleko posuwał tolerancją dla opinii tak krańcowych, uietylko pod względem religijnym, ale i społecznym, to znów zupełna zgodność zasad i poglądów łączyła naszego mecenasa z mężem zbliżonym doń wiekiem a poważnego w stanowisku, który także jeden z pierwszych zajmuje się naukowo archeologią i lingwistyką.

Mężem tym był ksiądz Ksawery Michał Bohusz, (ur. 1746 † 1823) były wizytator szkół na Litwie, prałat i kanonik kapituły wileńskiej, a rodzony brat podkanclerzego litewskiego i posła na wielki sejm. Uczony ksiądz Bohusz spełniał postugi publiczne i różne tęż spadały na niego w długim życiu dostojęstwa. Stanisław August odznacza go orderem ś. Stanisława, uniwersytet wileński mianuje go swym członkiem honorowym, a cesarz Paweł kuratorem szkół. Podeszły już w leciech, usuwa się z kapituły wileńskiej i przenosi się do Warszawy, gdzie należy do pierwszego grona założycieli Towarzystwa przyjaciół nauk i Towarzystwa gospodarskiego, a nawet pomimo sędziwego wieku, pełni obowiązki sędziego pokoju miasta Warszawy. Prałat ten wielkiej powagi i zacności charakteru, jest przedewszystkiem mężem naukowym. Litwin z krwi i kości, zajmuje się pierwszy z pośród uczonych naszych badaniem języka litewskiego, tak w samém źródłosłowie odrębnego, i pisze obszerną rozprawę „o początkach narodu i języka litewskiego.” (Wilno 1806 r. str. 207). Jak wtałał Bohusz językiem ludu, dowodzi ttómaczenie z Vergila Ziemiaństwa na

język litewski, a praca ta pozostała w rękopiśmie wraz z wielu piśmami autora, które ukrywają do dziś dnia ważne materiały do konfederacji barskiej, trzy tomy. Akta kapituły wileńskiej i opis podróży zagranicę. Drukiem ogłosił książd Bohusz piękną rozprawę, chrześcijańskim natchnioną duchem w obronie ubogich do żebractwa przymuszonych, aby ich nie zamykano i projekta budowli z niepalonej cegły, jako materiału trwałego a taniego na mieszkanie dla włościan. Od badania języka litewskiego zwraca się książd prałat do pisowni polskiej i rozprawia się z Onufrem Kopczyńskim, którego uważano podówczas za niebezpiecznego nowatora. Od ruskich latopisów i najstarszych aktów litewskich, przechodzi do polskiego Kadłubka, broniąc go od krytycznego rozbioru Szelera, a wyprzedza tą pracą rozprawę Lelewela o Mateuszu herbu Cholewa.

Pisanie w różnych materyach stawało się koniecznością w czasach, kiedy piszących był tak nieliczny zastęp. Jeśli opracowanie przedmiotu nie zawsze na tém wypadło odpowiednio, to z tój wszechstronności zyskiwał umysł ludzi ówczesnych, bo uczoność niezamknięta w szufladzie jednéj specjalności, dawała ogólniejsze poglądy. O ile książd Bohusz wyprzedzał w poszukiwaniach archeologicznych Chodakowskiego i Surowieckiego, dowodzi list, pisany do księcia generała z Warszawy w r. 1808. Była to odpowiedź na pochlebną ocenę świeżo ogłoszonej drukiem książki Bohusza o języku litewskim, i na gorące słowa zachęty, do dalszych studyów w tym przedmiocie, jakie autorowi przestał książę generał.

„Widzę z zapału W. Ks. Mości, że wre w nim krew litewska — pisze ks. Bohusz — że czujesz się prawdziwie ksiązęciem litewskim. Ależ, mój ksiązę, zgubiłeś mapę Litwy, w której już dawno byłeś. Ja przed kilku laty, będąc wizytatorem szkół w trzech guberniach, przejeżdżając zatém wszędy i wzdłuż całą Litwę, już wtenczas ciekawie wszędy wybadywałem, czy gdzie jakiego nie znajdę monumentu, jakiego rękopisu, jakiego nakoniec dokumentu litewskiego? Zupelną wszędy znalazłem niewiedomość, obojętność, jakąś umysłów odrętwiałość i przesąd, że nie warto jest trudzić się rzeczą, która się na nic nie przyda. Kiedy zacząłem pisać moję rozprawę, napisałem do wszystkich w Litwie, od których spodziewałem się otrzymać jakąkolwiek informacyą, a pisałem nie do uniwersytetu, nie do kapituł, bo wiedziałem, że się ztamtąd niczego nie nauczę, ale do tych, co uchodzili za umiejących najlepiej po litewsku, do kilku plebanów, do seniora w Kiejdanach, do mieszczan w Kownie, do Pijarów w Wilkomierzu, do Bernardynów w Leleczach i tam dalej. Czy uwierzysz temu ksiązę? żaden z nich nawet nieodpowiedział. Jeden Lachnicki marszałek, mój siostrzan, przysłał mi książeczkę litewską przez jednego plebana niedawno wydaną, a zatém makaronizmów polskich pełniuteńką o nauce chrześcijańskiej. Tak wszelkiej pozbawiony pomocy, postarałem się i w Królewcu z trudnością dostałem gramatykę i słownik litewski. Przez cały kwartał wpiery uczyłem się języka litewskiego, nim do pisania rozprawy przystąpiłem. Zwalono w Wil-

nie zamek i pałac Jagiełłów, czy go wprzód przynajmniej przerysowano? Na jeziorze trockiém jest wyspa, na której było mieszkanie kilku książąt litewskich. Byłże na niej literat który? Może nawet nie wiedzą, że tam książęta mieszkali? Znalazł nieboszczyk Kossakowski, wojewoda w Wojtkuszkach, czysty brans srebra w laseczki stopionego z napisami do kogo należały; darował ich kilka uniwersytetowi. Zrazu wielka ciekawość, co te laseczki znaczą? Teraz w gabinecie spokojnie leżą i nikt się nie pyta. Prałatem katedry wileń-kiéj będąc, chciałem przez ciekawość widzieć sklep, gdzie zwłoki są Witolda i Aleksandra. Nikt mi go pokazać nie umiał. Zakrystyan nawet nie wie, że tam są pochowani. Przecież to są fundatorowie katedry! Za panowania Stanisława Augusta miano w Nowogródku wykopać trumnę Mendoga, koronę, berło i pałasz. Wizytatorem będąc, znalazłem w Nowogródku tylko podanie, że spiżową trumnę na dzwon do parafii przelano, resztę miała szlachta między siebie rozebrać i potracić. Należałoby wpierw oświecić ziomków, że poprzednicy byli to bitni ludzie, ale niezupełnie barbarzyńscy, że się naszego początku wstydzic nie mamy potrzeby, że język litewski nie był chłopskim, ale zupełnie polerowanym i tego moją sprawą dowiodłem. Może ona teraz zachęci literatów litewskich do szukania pamiątek.“

Smutne to, ale pouczające szczegóły o ignorancyi i obojętności, jaka zalegała podówczas Litwę. Niebawem atoli za sprawą obu Czar-toryskich, ojca i syna, obudzi się tam ruch naukowy uniwersytetu, a z niego zakwitnie i zabłyśnie literatura i poezya na całą Polskę. To, do czego Bohusz niezdołał współczynnych zachęcić, to znajdzie póź-niej pracowników i badaczy jak Teodor Korbut, Lelewel, Chodźko-wie, Kraszewski, Eustachy Tyszkiewicz, Malinowski i Kirkor. Z ko-respondencyi powyższych widzimy tylko zwłaszcza w rzeczach badania starożytności i języków, że pobudka wychodziła z Puław od starego księ-cia generała. Nietylko, że z współczesnymi uczonymi utrzymuje roz-ciągłą zamianę myśli, planów, wskazówek, nietylko wśród młodzieży szuka przyszłych pracowników, ale zwraca się on i do klasztorów, uty-skując, że kiedy w dawnych wiekach ztamąd wychodziła nauka, dziś zalega tam obojętność, ignorancya i podszechwanie.

Za pośrednictwem swego ajenta literackiego, jakim był w Wilnie księgarz Zawadzki, odnajduje księżę generał u Dominikanów wileń-skich filologa ks. Sebastjana Żukowskiego. Skłania Żukowskiego, aby na dwa lata podjął podróż do Krymu na koszt księcia dla badań archeologicznych, filologicznych i etnograficznych starożytnéj Tauryki. Żukowski przyjmuje proponowane przez księcia warunki i wyjeżdża do Krymu w roku 1809, zaopatrzony w listy polecające do rządzców księ-cia na Ukrainie i do gubernatora Odessy. Czy przywiózł z téj wyprawy jakąś zdobycz i gdzie plan tych studyów Żukowskiego—niewiadomo.

Niemniejszą, jak w obec Litwy, objawia księżę gorliwość i cie-kawość naukową w rzeczach dotyczących Rusi. Na saméj szlachecko-tacińskiej przeszłości nietyle cięży w obec Rusi grzech wielki, ile wiel-

ki, polityczny, społeczny, cywilizacyjny i religijny błąd lekceważenia i ignorowania wszystkiego, co się nie wcieliło w tę społeczność szlachty, a obok niej lub pod nią bytowało. W tém leży tajemnica, dla czego siła atrakcyjna i asymilacyjna zatrzymała się na téj granicy, dokąd sięgał szlachecki pargamin i obrządek łaciński. W epoce budzących się dążeń do wielkich reform, rozprawiano i pisano o wszystkiém, o zbiorowych nobilitacjach, o przypuszczeniu miast do równych ze stanem szlacheckim przywilejów, o równouprawnieniu protestantów i żydów, o tolerancyi dla dysunitów; najmniej stosunkowo zajmują się ci reformatorowie stanem ludu na Rusi. Prawda, że sprawę dysunitów przypomniaty świeże krwawe łuny rzezi hajdamackiej, że była to najpotężniejsza podówczas protekcya—jaką sprawa innowierców, protestantów i żydów, znajdowała gorliwego we dworze berlińskim poplecznika. O polepszenie bytu biskupów i kleru rusińskiego, jeden tylko nuncyusz papieski Litta, czynił przedstawienia, ale pod koniec XVIII wieku na głos Rzymu mało kto zwracał uwagę. Episkopat unicki przywykł już do tego upośledzenia, które mu odmawiało przystępu do senatu, a kler do tego zaniedbania, że okrom kilku bazylianckich konwiktów na całym obszarze Rzpltej nie było jednego seminaryum unickiego, a młodzież ruska, chcąc się oddać kaptańskiemu zawodowi, szła po naukę do prawosławnego Kijowa lub Jas. Nie chcemy twierdzić, aby książę generał ziem podolskich wyróżniał się pod tym względem od współczesnych, aby ogarniał całą religijną, polityczną i społeczną doniosłość téj kwestyi, ale co pojmował wybornie, to naukowe znaczenie i potrzebę poznania zabytków języka ruskiego i jego starych zabytków.

Lingwistyka i archeologia, jak w Wiedniu za pośrednictwem Lindego zbliżyła go do kół słowiańskich, tak znów teraz skłaniała go do poszukiwań starych ruskich latopisów, do zbierania ksiąg cerkiewnych i do badania ludowego narzecza.

Wiemy już, jakie z polecenia księcia Chodakowski czyni obfite zbiory w wschodnich prowincjach kraju. Nie poprzestaje na tém puławski mecenas, ale niezmierną znajduje on trudność w wyszukiwaniu kogoś do odczytywania starych ruskich dokumentów. Szuka go w Wilnie przez Zawadzkiego i Żytomirzu przez Czackiego, we Lwowie za pośrednictwem Józefa Dzieszkowskiego, mecenasa. Ciekawe pod tym względem szczegóły, znajdziemy w dalszej korespondencyi. Z Biblioteki we Lwowie wydobywa kilka starych ruskich druków i odpisy aktów z przywilejami, ale daremnie szuka gramatyki i słownika. Z duchowieństwem unickiém ma książę bardzo dobre zachowanie, a był we Lwowie znakomity podówczas arcybiskup u Ś. Jura, Piotr Bielański, który żyje w przyjaźni z kilkoma rodzinami panów polskich. Książę nie czyni żadnej różnicy w stosunkach towarzyskich z episkopatem i klerem obu obrządków. Równą hojność okazuje dla klasztorów łacińskich, co dla monasterów Bazylianów i Bazylianek, jak świadczą liczne podziękowania i gratulacye przełożonych klasztor-

nych. Ludzkością tą w obejściu i poszanowaniem sukni kapłańskiej jedna sobie tak gorącą sympatią w duchowieństwie ruskiem, że na pogrzeb księcia zjeżdża do Sieniawy około stu plebanów unickich — a kondukt prowadzi biskup unicki z Przemyśla. Ów pociąg do studyów oryentalnych, do lingwistyki i archeologii, który przeważał w wszechstronném zamiłowaniu nauk, zwraca umysł księcia generała do zbadania tego najbliższego nas Wschodu. Sięga on i dalej, bo wchodzi w stosunki ze szczątkami unii w państwie ottomańskiem. Brak nam danych do wyjaśnienia tego stosunku, ale napotykamy w zbiorze korespondencji księcia generała listy włoskie, pełne błogosławieństw i dziękczynień za opiekę, dobrodziejstwa i hojne dary, a noszące podpis Metropolity ormiańskiego w Konstantynopolu.

O WŁASNEJ SILE,

KOMEDIA W TRZECH AKTACH WIERSZEM,

ORYGINALNIE NAPISANA *).

PRZEZ

Juliana Adolfa Święcickiego.

AKT III.

Scena przedstawia pokój bardzo skromnie, ale z gustem umeblowany, na stole książki i dzienniki, drzwi w głębi i po bokach.

Scena I.

DRZYMSCY i dwie dziewczyny z warsztatu, jedna z trzewikami, druga z książką w rękach.

DRZYMSKI (*stoi na froncie sceny i mówi do dziewczyn, oglądając podaną mu książkę*).

Ależ mówię waćpannie, że to dyabło krzywo,
Trza poprawić... Antosia bierze się leniwo
Do pracy. Panna Wanda będzie nie kontenta.

(*Oglądając trzewiki*).

I to liche, pamdzieju, cierpliwości święta
Dopomóż!... Panny Maryi błąd ten nie ucieszy.
Poprawić!...

(*Dziewczyny wychodzą, zostawiając na stole, przez rozłargnienie, jeden trzewik.—
Drzynski mówi do żony, patrząc na zegarek*).

Czas pomyśleć o łaknącej rzeszy,
Co z ochotą pracuje już od szóstej z rana.

(*po chwili stając przed żoną*).

Cóż u dyabła, pamdzieju, znówes zapłakana!

*) Dokończenie—patrz zeszyt za luty r. b.

Powiedz-że mi nareszcie, kobiećto, co tobie...
Gdzie kres twojej, pamdzieju, desperacyi?..

DRZYMSKA (*siedząc zasepiona w fotelu*).

W grobiel

DRZYMSKI.

Otóż masz... jedno w kółko... śliczna mi pociecha!

DRZYMSKA.

Lepiej umrzeć, gdy życie już się nie uśmiecha...

DRZYMSKI.

A to rozpacz! i czegoż brak ci jest, kobiećto?..
Nie jesteś zdrową, dobrze odzianą i sytą?...
Toż cię o nic, pamdzieju, głowa nie zaboli.

DRZYMSKA (*placząc*).

O! w takich żyć warunkach, to konać powoli!

DRZYMSKI (*żywiój*).

I o cóż tobie idzie?..

DRZYMSKA (*ze łzami*).

Ha! upaść tak nizko!..

Żyć z zarobku, z rzemiosła, na wstyd, pośmiewisko...

DRZYMSKI (*coraz żywiój*).

Szlachetna praca wstydem?. Boże! odpuść winy!
Więc lepiej było chyba żyć nam z żebraniiny,
Dławić się chlebem łaski, zaprawnym goryczą?
A toć niechże się słowa twe z rozsądkiem liczą.

DRZYMSKA.

To nad siły!.. krew w żyłach nie łatwo się zmienia!
Mogę znosić bez bólu te upokorzenia,
Które mi tak nas darzy dzieci naszych praca.
Kto nas szukał przed laty, dzisiaj się odwraca,
Prawie wszyscy znajomi boczają się i stronią,
Nawet moja rodzina...

DRZYMSKI (*silnie*).

A więc nie dbaj o nią.

Dla bezmyślnych, pamdzieju, miej litość lub wzgardę!
Spójrz na mnie!.. miałem kiedy oblicze tak harde,

Choć pot zlewa je codzien źródłiskiem obfitém.
 Może chełpić się pracą, kto był pasorzytem!
 Dzisiaj szczęściu naszemu nic nie stawia tamy,
 Bo upadłszy, ratunek sobie zawdzięczamy.
 To też ja, miał się wstydzić, co każdą niedzielę,
 Bez względu, czy tam dawni moi przyjaciele,
 Patrząc na mnie z podełba, krzywią się lub śmieją,
 Rżnę przez Saski, pamdzieju, środkową aleją.
 Niech się motłoch urąga mój szlachetnej dumie!
 Wziąć majątek po przodkach byle truteń umieć.
 Ale kto wśród dostatków spędziwszy pół wieka,
 Wszystko stracił, krom jednej godności człowieka,
 I w upadku, nie plamiąc czci ani na chwilę,
 Umiał dźwignąć się z gędy sam, o w ł a s n é j s i l e,
 Ten może światu jasne pokazywać czoło.

DRZYMSKA.

Szczęśliw, kto na niedolę tak patrzy wesoło.

DRZYMSKI.

Kto spełnia obowiązek...

DRZYMSKA (*plącząc*).

Do szczęścia daleko!

DRZYMSKI.

Hamuj łzy, co ze źródła próżności twój cieką,
 Żeby cię Bóg nie skarał. (*po chwili*): Nieszczęściem jedy-
 [nóm]
 Dla nas—Alfred! Tak... płakać możemy... nad synem...
 To jest źródło udręczeń... i to mnie przestrasza,
 Torturą jest nam dzisiaj pobłażliwość nasza.
 A przekleństwem zbyt małe o dzieci staranie!
 Stało się: dość już o tém. (*patrzac na zegarek*): Kiedyż się
 [dostanie]
 Uczta, pamdzieju, dziatwie piekielnie zgłodniałój?

DRZYMSKA.

Nie długo.

DRZYMSKI (*wypogadzając się*).

A i mnie też apetyt nie mały
 Wygwizduje po kizkach—toć to nie są żarty!
 Człowiek z betów, pamdzieiu, podniósł się o czwartój;
 Spać nie mogę, gdy wiele roboty zalega.
 Zawsze lubię na czysto... od brzega do brzega!

Na szczęście o zupełne o tui m coraz trudniej.
 Ledwie z jednéj roboty warsztat się wyludni,
 Jest druga, trzecia, czwarta, czasami dziesiąta.
 Człek, pamdziej, jak mucha w ukropie się krząta,
 Byle trochę oszczędzić dwie młode majstrowe.
 A u was zamówienia już wszystkie gotowe?
 Przed świętami gwałt wielki.

DRZYMSKA.

Wszystko będzie w porę,
 Choć Józia i Małgosia nie przyszły dziś...

DRZYMSKI.

Chore?

DRZYMSKA.

I hardzo, bo tyfusu podobno dostały,
 Dzieci nasze, przysmaczków wzięwszy zapas cały,
 Pobiegły je odwiedzić.

DRZYMSKI (*wzruszony*).

Anielskie to dziecił

DZIEWCZYNA Z WARSZTATU (*wbiegając*).

Już jest obiad na stole.

DRZYMSKI (*wychodząc*).

To czas żyżo leci!

DRZYMSKA (*do Dziewczyny*).

Któraż z was zapomniała na stole trzewika?
 Tu nie warsztat—zabierz to (*wychodzi*).

Scena 2.

PASTERNAKI. — DYDAK.

PASTERNAKI (*wchodzi z prawej*).

Panienko! (*Dziewczyna wybiega*) to zmyka!..
 Pustki w domu!... (*Idzie naprzód w przekonaniu, że syn za nim postępuje*).

No, smyku, pomnij moje słowa,
 Bądź roztropny. (*ogląda się*).

Nie ma go? gdzież ta ośła głowa?!

(*Biegnie ku drzwiom i otworzywszy je woła półgłosem*).

Pójdź mi zaraz w te pędy, bo ci kark nadkręcę.

DYDAK (za sceną).

Niech mi tata da spokój.

PASTERNAKI (zniecierpliwiony).

Wezmę cię na ręce!

Poczekaj, (wybiega i prowadzi przed sobą skrzywionego Dydaka).
To ty chcesz mnie wystrychnąć na dudka!

DYDAK (wyrwawszy się).

Oczywiście!...

PASTERNAKI.

Milcz trutniu, ze mną sprawa krótka.
Musisz się z nią ożenić!

DYDAK (z rozpaczą).

Zjem garniec szaleju,
Napiję się z gąsiora kantaryd oleju,
A potem wron na polu ułowię ze dwieście,
Ich oczy jak pigułki będę łykał w cieście,
A w końcu, oczywiście, w studni się utopię.

PASTERNAKI.

Ani mrumru, w te pędy! Oj drabie ty, chłopie,
Ja ci tutaj, nicponiu, sprawię kantarydy!...

DYDAK.

Tata mnie tak morduje jak Chrystusa żydy.

PASTERNAKI.

Dam ja ci tu, w te pędy, szalój czy tam wrony.

DYDAK.

Co tata chce odemnie?

PASTERNAKI.

To łeb zatracony!

Słuchajże, procesując się z Drzymskim oddawna,
Przegrałem...

DYDAK (śmiejąc się głupowato).

Oczywiście... to mi rzecz zabawna.
I jabym tak potrafił!

O WŁASNEJ SIŁE.

PASTERNAKI.

Dwukroć sto tysięcy
Trzeba oddać téj pannie...

DYDAK.

Niech sobie zabiera
Niby to, oczywiście, tata nie ma więcej!

PASTERNAKI.

Czy kto widział, w te pędy, takiego frajera?
Gdzieżeś ty rozum podział, głupi poganinie?
Majątek ludziom oddasz, żeby pasać świnie?
Jeśli z nią się ożenisz, jak ci przykazano,
Te krocie, jako posag, przy nas się zostaną.

DYDAK.

Ja się tam kobiet wstydzę, ja nie chcę mieć żony.

PASTERNAKI.

A Wikta? kto jój kupił kaftanik czerwony?
Mów mi zaraz, w te pędy?

DYDAK.

Historia nierówna.
Oczywiście, Wiktusia nie żadna szewcówna.

PASTERNAKI.

Gorzéj jeszcze, hultaju, bo panna służąca.

DYDAK (z zachwytem).

Kto tam pozna!... jak księżna, taka czarująca.

PASTERNAKI.

Otóż ja ci, w te pędy, mówię tu wyraźnie,
Że jeśli się z tą panną nie ożenisz, błaznie,
Wikta precz... wygnam zaraz... niech idzie do czarta.

DYDAK (przestraszony).

Oczywiście, ach Jezu, ona więcej warta
Niżli wszystkie szewcówny!...

PASTERNAKI.

Tak? nie? bez gawędy!

DYDAK (z rezygnacją).

A no tak, oczywiście...

PASTERNAKI.

Więc słuchaj, w te pędy!
Jak się panna Maryanna w tej izbie pokaże,
Kwasy precz—ludzi straszą zasepione twarze.
I ot w takich emablach (pokazuje komicznie podrygując).

Jak właśnie przystoi
Dobréj szlachcie, w te pędy skłonisz się dziewoi.

DYDAK (ponuro).

Oczywiście!...

PASTERNAKI.

A potém, gdy będziecie sami,
Zaczniesz wdychać siarczyście, przewracać oczami,
I powiesz: ja cię kocham, kocham Maryanno!...

DYDAK.

Ja tam nie chcę jój tykać!

PASTERNAKI.

Potém powiesz: pannol
Pragnę z tobą, w te pędy, złączyć się przez księdza.

DYDAK.

Złączyć się, oczywiście, może jaka jędza,
Sekutnica, straszydło...

PASTERNAKI.

Potém cmokniesz w rączkę.

DYDAK (oburzony).

Co znowu! oczywiście tata ma gorączkę.
Któż widział, żeby szlachcie całował szewcównę?
Oho! niedoczekanie!

PASTERNAKI.

Gdy skończysz rozmowę,
Ja wejdę z panem Drzymskim... zrobim zaręczyny
I do domu w te pędy...

DYDAK (z radością).

Do Wikci jedynéj.
To mi raj, oczywiście...

PASTERNAKI.

Ciszéj... ktoś przybywa.

(Marylka wchodzi z miarką w rękach).

Scena 3.

Cią i MARYLKA.

*(Chwila miłozenia, w czasie której Marylka przygląda się z zajęciem gościom komicznie wyglądającym, a Pasternacki dają znaki synowi, żeby się miał na baczności).*PASTERNAKI *(zbliżając się w podskokach ku Marylce, ciągnie za sobą opierającego się syna).*

Czy to panna Maryanna?

MARYLKA *(z uśmiechem).*

Tak!

PASTERNAKI.

Chwila szczęśliwa!

Mam honor się przedstawić... szlachcie o krwi lackiej,
Obywatel z pradziada... Szymon Pasternacki...*(Kłania się przesadnie).*MARYLKA *(wstrzymując się od śmiechu).*

A! słyszałam o panu!...

DYDAK *(n. s.—przyjrawszy się Marylce).*

Ho! nie straszna taka.

PASTERNAKI *(dając synowi znak żeby wyszedł naprzód).*W nim widzi pani syna mojego Dydaka,
Który do spadku po mnie jest dzieckiem jedynym.*(n. s. trącąc syna).*

Mówże co!

DYDAK *(gapiowato).*

Oczywiście... jestem taty synem.

MARYLKA.

Czy tu panów do ojca interes sprowadza?

DYDAK *(n. s. śmiejąc się głupowato).*

Myśli, że po trzewiki.

PASTERNAKI.

Nie! przyjaźni władza!
Czy pan Drzymski jest w domu?

MARYLKA (*zabierając się do wyjścia*).

Zaraz się tu zjawi.

PASTERNAKI (*powstrzymując ją*).

Przepraszam, Dyduś panią w te pędy zabawi,
Ja zaś sam, jeśli można, do ojca pośpieszę.

MARYLKA.

I owszem...

(*Pasternacki wychodzi z lewej, dając znaki synowi żeby się dobrze sprawiał*).

Scena 4.

MARYLKA i DYDAK.

DYDAK (*n. s.*).

Tata drapnął... o ja się powieszę.

MARYLKA.

Wszak panowie z podróży? (*Siała wskazując krzesło*) proszę
[spocząć chwilę.

DYDAK (*siadając bojaźliwie na krawędzi krzesła*).

Oczywiście... sześć godzin jazdy... cztery mile...

Kawał drogi... kasztanek spocił się niezdarą

(*Wzdycha gwałtownie, zwracając oczami*).

MARYLKA.

Panowie jednym koniem?...

DYDAK.

Dwoma?... tęga para.

Bułany swego chowu, na świętego Jana

Skończy równe pięć latek (*wzdycha j. w.*)

MARYLKA.

A kasztan?...

DYDAK.

Kasztana

Kupiliśmy w Łowiczu przed dziesięciu laty.

MARYLKA.

Nie młody!...

DYDAK.

Oczywiście... stary i nosaty.

MARYLKA.

Cóż tu panów sprowadza?...

DYDAK.

E! mówić nie wartol...

MARYLKA.

Jednakże...

DYDAK.

Wojnę z ojcem wieść muszę zażartą.

MARYLKA.

O cóż?...

DYDAK (*krzywiąc się*).

Chce mnie ożenić (*wzdycha*).

MARYLKA.

Czy to pana straszy?...

DYDAK.

Oczywiście, kobieta zjadłaby mnie w kaszy.
Człowiek taki nieśmiały.

MARYLKA.

Przecież pan mężczyzna.

DYDAK.

Tak... chyba... oczywiście... każdy mi to przyzna...
Ale strach!..

MARYLKA.

Trzeba dobrej poszukać dziewczyny.

DYDAK (*n. s. z rozpaczą*).

Czy to czas?... Ratuj Panie mój w Trójcy jedyny.

MARYLKA.

Trza się starać, by wielki posag dostać za nią.

DYDAK (*robiąc komiczny wysilek*).

Oczywiście... dla tego mam się żenić z panią...

MARYLKA.

Co znowu?...

DYDAK (*przypominając sobie słowa ojca*).

Ja cię kocham, kocham Maryanno!...

MARYLKA (*oburzona*).

Jak pan śmiesz w taki sposób mówić do mnie!...

DYDAK.

Panno,

Pragnę z tobą, w te pędy, złączyć się przez księdza.

Cóż mam robić, gdy tata Wiktusię wypędza,

Jeżeli mnie pozbawią téj dziewczyny grackiej,

Oczywiście zmarnieje Dydak Pasternacki.

MARYLKA (*zrozumiawszy sytuację, zapomniła o gniewie i mówi z uśmiechem*):

Nie trwóż się pan, choć jesteś partya pożądaną
Zwolnię cię od przymusu, którym go związano:
Ukochanej Wiktusi nie chcąc wchodzić w drogę,
Powiem ojcu, że pana zaślubić nie mogę.

DYDAK (*uszcześliwiony*).

Oczywiście, niech panią Matka Boska cieszył...

'Teraz i kasztan raźniej do domu pospieszy,

Z radości dam mu w drodze batogów ze trzysta.

(*Zbliżając się nieśmiało do Marylki, całuje ją w rękę*)

Dziękuję...

Scena 5.

MARYLKA, DYDAK, PASTERNAKCI i DRZYMSKI.

PASTERNAKCI (*wchodzi w chwili, kiedy Dydak całuje Marylkę w rękę — zacierając ręce*).

A to urwis jak z czasu korzysta. (*do Drzymskiego*)

Oto mój syn, w te pędy...

DRZYMSKI (*podając mu rękę*).

Witam, witam pana...

(*do Pasternackiego*)

Tęgi chłopiec, pamdzieju.

PASTERNAKI (*wskazując na młodych*).

To para cacana (*głośno*)
O czymże tam mówili teraz państwo młodzi?

MARYLKA.

O bardzo ważnych rzeczach...

DRZYMSKI (*do Pasternackiego*).

Siadaj pan dobrodziej.
(*wskazując krzesło Dydakowi*).
Proszę siadać. (*Dydak siada*).

PASTERNAKI (*wdzięcząc się do Marylki*).

Czy można wiedzieć treść rozmowy?

MARYLKA.

Nie koniecznie... tu chodzi o przedmiot sercowy.

PASTERNAKI (*zadowolony*).

Spodziewałem się tego... młodość nie ma granic
Gdy krew pali, w te pędy,... to i rozum za nic.

DRZYMSKI.

Ho! ho! sąsiad, pamdzieju, jak młokos dowodzi.

PASTERNAKI.

Iacka krew, toć wié o tém pan sąsiad dobrodziej,
Nigdy się nie starzeje.

DRZYMSKI.

Oj krew by to była!

PASTERNAKI.

Mnie jeszcze młodość służy.

DRZYMSKI.

Mnie już opuściła...

PASTERNAKI.

Człowiek się tego trzyma z łaskawości Bożej.

DYDAK (*śmiejąc się głupowato*).

Niech pan Drzymski nie słucha... tata tak barłóży

Oczywiście, raz szliśmy przez łąkę sąsiada
 A tu rów!... trzeba skakać... pilno... trudna rada...!
 Ja się machnę, chlust w górę... i siedzę na płocie
 Tata za mną... fajt kozła... ugrzązł nosem w błocie...
(Śmieje się na całe gardło).

MARYLKA *(oburzona).*

I z ojca się pan śmieje?...

DYDAK.

Oczywiście, z taty *(śmiejąc się).*
 Zawsze młodość udają wszystkie stare graty,
 Prakseada się uważa za młodą kobietę,
 Choć ma dziurę bez oka.. i zęby wybite... *(śmieje się).*

PASTERNAKI *(powściągnąjąc się w gniewie).*

A to urwis dowcipny!... Powiedz chłopcze śmiało,
 O czymże się z panienką tutaj rozmawiało?

MARYLKA.

Gdy pan taki ciekawy—ja wyręcę syna.
 Pan Dydak drży... by kiedy kłótniwa dziewczyna,
 Co jak ja wszystko w domu przebojem zwycięża,
 Nie była jego żoną... do słabego męża,
 Ja znów miałabym, panie, wstręt niepowściągniony,
 A więc ja w nim małżonka, on zaś we mnie żony
 Znalóżebyśmy nie mogli... ot, cała rozmowa.

PASTERNAKI *(zdetonowany).*

Ale wierzaj mi pani.. to jest osła głowa...

MARYLKA.

Nie mam powodu przeczyć...

PASTERNAKI *(zapalając się).*

Na Chrystusa rany.

MARYLKA.

Wierzę... ależ ten przymiot najmniej pożądany.

PASTERNAKI.

Jaki przymiot... w te pędy... syn mój ma przymioty...
 Dowcipny,.. zuch do jada!... tęgi do roboty,
 Tylko nie wié, co mówi, kanalia...

MARYLKA.

Pan Dydak jest rozważny... Nie sędzę,

PASTERNAKCI (z rozpaczą).

(n. s.): Przepadły pieniądze

(głośno do Drzymkiego):

Cóż pan na to?...

DRZYMSKI.

Marylka niech sama stanowi.

PASTERNAKCI.

Całe mienie, w te pędy, oddaję synowi;
Warto, panie szanowny, związać takie stadło.

DRZYMSKI.

Cóż pilnego, pamdzieju, toć nic nie przepadło.
Może zczasem Marylka odmieni swe zdanie.

DYDAK (n. s.).

Jabym miał puścić Wiknę... ho! niedoczekanie!... (głośno):
Oczywiście, niech tata głowy nie zawraca,
Czas jechać...

DRZYMSKI.

Cóż pilnego?...

PASTERNAKCI.

Obowiązek... praca. (n. s. do syna):
Już ja ci chrzest wyprawię! (głośno): do stópek się ściele.

DRZYMSKI.

Przykro mi, że upadły nasze piękne cele;
Ale cóż, trudno gwałcić...

PASTERNAKCI (kłaniając się Maryli).

Nadziei nie tracę.

DRZYMSKI.

Szczęść Boże!...

DYDAK (kłaniając się).

Oczywiście!... (wychodzą).

Scena 6.

MARYLKA i DRZYMSKI.

MARYLKA (*śmiejąc się*).

To śmieszni pajace!

DRZYMSKI.

W tém coś jest, tak, pamdzieju, wizyta ciekawa,
Kto wie, może znów teraz górą twoja sprawa.
Przy pracy człek o wszystkim jakoś zapomina.

(Patrzy na zegarek).

Do dyabła, niezadługo już pierwsza godzina.

(Po chwili wahania).

Nic nie szkodzi, pamdzieju, trzeba pójść do miasta.

MARYLKA.

We mnie zgasła nadzieja.

DRZYMSKI.

Ale we mnie wzrasta. (*wychodzi*).

Scena 7.

MARYLKA i WANDA.

WANDA (*spostrzegając, że nie ma gości*).

Już poszli?..

MARYLKA.

Już.

WANDA.

Nie poznam twego konkurenta.

MARYLKA.

Dzielny chłopak!

WANDA.

Doprawdy?..

MARYLKA.

Serdecznie zajęta...

WANDA.

Jeśli taki, jak ojciec!..

MARYLKA.

Egzemplarz ciekawy.

WANDA.

Godzien serca?...

MARYLKA.

Godniejszy rolniczej wystawy.

*(Za sceną słychać dzwonek).*WANDA *(zrywając się)*.

Matka dzwoniem do pracy przyzywa dziewczęta.

MARYLKA *(czyniąc to samo)*.Biegnę... *(wybiega, zapominając o miarce, którą zostawiła na stole)*.*(Marylka wybiega pierwsza—w chwili, gdy i Wanda ma wyjść, wchodzi Alfred).*

ALFRED.

Marylka w domu?...

WANDA *(wybiegając)*.

Tak, ale zajęta...

S c e n a 8.

ALFRED *(sam, chodząc po pokoju, widocznie czémś żywo zajęty)*.

To nowina! niechże cię... czy dyabli skarali!
 Ale któż się spodziewał... co tu robić dalej!...
 Wygrała!... muszę chyba w Opatrzność uwierzyć,
 Gdy lada chwilę mógłby grom we mnie uderzyć,
 Gdy mnie czeka wstyd... hańba... o! gorzej... kajdany!
 Ratunek spływa z niebios, jak cud niespodziany.
 Wygrała... a bodaj cię... o nędzny idyoto!...
 Taką partya odepchnąć, w rękę trzymać złoto,
 I wypuścić... o! na to trzeba być bałwanem!... *(po chwili)*:
 A gdyby też z obliczem w smutku wykąpaném,
 Z miłosném drzeniem głosu i łezką w źrenicy,
 Stał przed nią pokornie Alfred bladolicy,
 I zdradzając miłości młodzieńczej otchłanie,
 O męczarniach swych takie wypalił kazanie,
 Jakie żądza jój kroców na język przyniesie.
 Myśl dobra... dotąd nie wié o swoim procesie,
 W jój sercu miłość z dawnym ozwie się zapamiętem.
 To psychiczne. Wszak nieraz w romansach czytałem!

Scena 9.

ALFRED i MARYLKA.

(Marylka wbiegając szybko, zabiera zostawioną na stole miarkę i ucieka).

ALFRED.

Witam panią.

MARYLKA *(najojojętniej)*.Dzień dobry! *(chce wyjść)*.

ALFRED.

Tak zimno, zdaleka...

MARYLKA.

Chcesz pan czego?...

ALFRED *(udając zakłopotanie)*.

Ja chciałem...

MARYLKA.

Prędzój... czas ucieka...

ALFRED.

Cóż tak pilno?...

MARYLKA.

Chcesz mię pan narazić na straty!..

Cóż tedy?...

ALFRED.

O! głos pani martwy.. lodowaty...

MARYLKA *(śmiejąc się swobodnie)*.

Co takiego?.. powtórz pan!..

ALFRED *(patetycznie)*.

Ha! udręceń tyle!...

MARYLKA.

Pan jesteś niewyspany... majączysz... *(chce wyjść)*.ALFRED *(powstrzymując ją)*.

Na chwilę

Zostań jeszcze...

MARYLKA (*zniecierpliwiona*).

Lecz, panie, czas leci skrzydlaty...

Prędzój...

ALFRED.

Nie tak, o pani, mówiłaś przed laty...
Głos twój wtedy tak jęczał smętnie i grobowo...
Że... (*zawahał się, nie wiedząc co dalej powiedzieć*).

MARYLKA (*śmiejąc się serdecznie, chwytając małe lusterko ze stołu i zbliża je ku twarzy Alfreda*).

Widziałeś pan mnie śmieszniej romansową?
Przypuszczam, że już jesteś po drugim śniadaniu.

ALFRED (*deklamując coraz żywiej*).

Jam cię jeszcze w młodzieńczych dni moich zaraniu
Tak ukochał... że odtąd ni nędze żywota,
Ni jad zgnitych towarzystw... ni błędów sromota...
Obrazu twego, pani, z duszy méj nie starły.
Dziś, na wieki dla uciech światowych umarły,
U nóg twoich (*klęka*) litości błagam z głębin serca.
O! ja czuję, że szczęścia waszego morderca,
Nie mam dzisiaj żadnego do litości prawa;
Lecz niechaj ubiegłego szczęścia wizya łzawa
Dawny kwiatek twych uczuć do życia powoła,
Niechaj z gniewu oczyści mojego anioła,
I uśmiechem okraśli twarzyczkę jój bladą.

MARYLKA (*śmiejąc się żywo*).

Mogę pana obdarzyć uśmiechów kaskadą,
Słuszność nawet do większej szczerości mnie skłania,
Przyznać muszę... Pan jesteś mistrzem udawania.
Nigdy chyba, jak kłamię wszystkie świata strony,
Głos fałszu nie był bardziej do prawdy zbliżony.
Pan się niepospolitą cieszysz dykcji władzą.

ALFRED (*z gestem rozpaczy*).

Achl!

MARYLKA (*surowo*).

Do czego te śmieszne komedye prowadzą?

ALFRED.

O, pani!... serce moje przeszywasz jak grotem!...

MARYLKA (*zinnno*).

Pan masz serce?... doprawdy nie wiedziałam o tém:
Winszuję... to nabytek ważny, co się zowie...
Teraz wartoby jeszcze pomyśleć... o głowie!...

ALFRED.

Dość szyderstwa, o! mąk tych nie zniosę już dłużej.

MARYLKA.

I pójdziesz pan nareszcie...

(*Kłaniając mu się i zabierając się do wyjścia*).
Szczęśliwej podróży!...

ALFRED (*powstrzymując ją*).

Więc żeby pani moim słowem uwierzyła,
Trzeba...

MARYLKA (*przerywając—dobitnie*).

Moję głupoty... żadna inua siła,
O prawdzie tych wynurzeń dziś mnie nie przekona;
Wiara, której pan żądasz, w mogile złożona
I już jęj nie zmartwychwstać...

ALFRED.

O męko bez granic!...

MARYLKA.

Ta wiara-by się zresztą nie przydała na nic,
Daj mi pan zwierzeń swoich pewność niewzruszoną
I wtedy nawet pańską nie zostanę żoną.

ALFRED (*przechodząc w ton ironii*).

A jednak serce pani do mnie należało,
Wprzód było Wezuwiuszem — dzisiaj martwą skałą;
Ale pocóż szalony wznawiam dzieje stare...

MARYLKA.

Słusznie... i tak w nonsensach przebrałeś pan miarę.
Więc ja pana kochałam?... Śmieszność nad wyrazi!...
Pana?!... Bóg nie pozwoli upaść mi tak nisko,
Ten co żył w mojem sercu, młodzieniec bez skazy,
Miał tylko postać pana... i jego nazwisko!...
On nie żyje!... przed laty... nad jego mogiłą...
Serce się moje straszłą boleścią krwawiło.

Wytrwałam... Bóg pozwolił dożyć odrodzenia.
 Z przeszłości nie zostało nic — okrom wspomnienia.
 Więc pan sądzisz — o pozwol, żebym była szczerą,
 Że można kochać lalkę bezmyślną... szulcra...
 Człowieka bez honoru... bez czci... pasorzyta...
 Czémże w waszém pojęciu jest dzisiaj kobiéta?

ALFRED.

Motylem!...

MARYLKA.

O, zapewne — jakież wasze miano?
 Kiedy z duszą, brudami żywota skalaną,
 Z próżnią w mózgu i serca zimnego strzępami,
 Upodleni przesytem stajecie przed nami,
 Żądając w nieskończonym próżności bezmiarze,
 Byśmy wam kwiaty serca przynosiły w darze...
 Popędy egoizmu dalej was zawiodł!...
 Choćby przedmiot czci naszój okazał się podły,
 Musim kochać — wołacie — to psychiczne prawo ..
 Zkąd wam taką teorię wytwarzać plugawą?!...
 Więzami pokrewieństwa, na arenie świata
 Honor z cnotą... występek z podłością się brata...

ALFRED.

Bywa często inaczej!...

MARYLKA.

Fałsz zrodzony z błota,
 Wylęgła wśród książkowych skandalów ramota,
 Ku wygodzie zgnilizną przesyconej rzeszy.
 O niech pan tą pewnością swe serce rozgrzeszy
 Z uniesień i troskliwie nadal zapamięta:
 Że kobiéta, godnością swój roli przejęta,
 Od dzieciństwa do myśli i czynu wdrożona,
 Nie rzuci się w męczyzny podłego ramiona,
 Wyrzeczce się własnego ogniska i domu,
 A ręki swój wraz z sercem nie da byle komu.

ALFRED.

Więc...

MARYLKA.

Skończ pan!

ALFRED.

O! litości!...

MARYLKA (z pogardą).

Muszę się litować...

ALFRED.

Nie zabijaj...

MARYLKA (zimno).

Dość tego!...

ALFRED.

Do zguby nie prowadź!...

MARYLKA (zabierając się do wyjścia).

Zegnam.

ALFRED.

Zginę, gdy stargasz mić przyszłości złotą?...

MARYLKA.

Niech zginie, komu życie hańbą i sromotą (wybiega).

Scena 10.

ALFRED później HRABIA.

ALFRED (z rozpaczą).

Zgubionym!... trzeba skończyć... w łeb sobie wypalę...

HRABIA (wchodząc—d. s.).

W samą porę—ostatni los rzucam na szalę!...

ALFRED.

Hrabia! (podając mu rękę).

HRABIA (zimno — nie przyjmując ręki).

Witam!

(Wyjmuje pugilares, a z niego ćwiartkę papieru, poczem pokazując papier Alfredowi, mówi spokojnie a zimno):

Czy weksel ten panu jest znany?...

ALFRED (n. s.).

Piektól!...

HRABIA (po chwili milczenia).

Wiész co cię czeka za to?

ALFRED (*z gestem rozpaczny*).

Al...

HRABIA (*kończąc*).

Kajdany!...

ALFRED.

Panie hrabio, przysięgam zwrócić sumę całą
Dziś lub jutro najdalej!...

HRABIA

O nie, to za mało!
Fałszerz cudzych podpisów niech za kraty idzie!...

ALFRED.

Chcesz hańbą dom nasz okryć?...

HRABIA (*z gorzkim uśmiechem i pogardą*).

O! szlachetny wstydzie!...

(*Drwiąc*).

Oto rycerz, co hańby rodzinie oszczędzał!...
To mi dbałość o honor!...

ALFRED.

Nie wiesz co to nędza.
Głodnemu nie uwierzy—kto jé z pełnej misy.

HRABIA

A ojciec—czy też z głodu fałszuje podpisy?...
Panna Wanda czy także...

ALFRED (*przerrywając coraz bardziej przygnębiony*).

Widzę że pan hrabia...

HRABIA (*kończąc*).

Panna Wanda fałszerstwem na życie zarabia?...

ALFRED.

O! przez litość!

HRABIA.

Przepraszam. Powróćmy do sprawy.
Żądasz łaski?...

ALFRED.

O! błagam.

HRABIA.

Więc będę łaskawy.

ALFRED.

O! dzięki ci mój hrabio!

HRABIA.

Skończymy spór zgodnie:
Jeśli siostrze natychmiast wyjawisz twą zbrodnię.

ALFRED.

Co? Wandzi!?

HRABIA.

Tak!

ALFRED.

Szaleństwo!

HRABIA.

Musisz!

ALFRED.

Za nic w świecie!

HRABIA.

No! to ja rzecz policyi opowiem... w sekrecie!..

ALFRED.

Ależ hrabio!

HRABIA.

Czy zgoda?

ALFRED.

I poco?

HRABIA.

Wyłożę
Żeś jest nędznik i zbrodzień—to wyznaj w pokorze
I powiedz, że ratunek spoczywa w jej dłoni;
Powiesz, że ją ubóstwiam, że wciąż myślę o niej.
Że jeżeli mnie rączkę swą powierzyć raczy,
Ciebie z kajdan, dom z hańby wyrwę i z rozpaczy.

ALFRED.

Nie przystanie.

HRABIA.

Tak sądzisz?

ALFRED.

Wiem, że nie ocali.

HRABIA.

Toć serce ma anielskie.

ALFRED.

Lecz duszę ze stali!

HRABIA.

Więc...

ALFRED.

Spróbuję... Zaczekasz hrabio w tój komnacie.

Scena 11.

ALFRED potem WANDA.

ALFRED.

Drzę jak listek! (*zbliża się ku drzwiom warsztatowym i wraca*).
Bodajęs przepadł stary gracie!

(*Scena niema—na twarzy Alfreda znać widoczne pasowanie się wewnętrzne*).

Ha! naprzód, trzeba kielich ten spełnić aż do dna.

(*Otwiera drzwi z prawej*).

Wandziu, proszę na chwilę.

Scena 12.

ALFRED i WANDA.

WANDA (*zimno*).

Chwila niedogodna.

Mów prędko!

(*Milczenie—w czasie którego Wanda spostrzeża niepokój na twarzy Alfreda*).

ALFRED (*nieśmiało*).

Wandziu!...

WANDA (*spokojnie*).

Czekam. Żeś zwiastunem burzy,

To mi serce i twoja bojaźliwość wróży.
Mów prędzej—bo nieszczęście straszniejsze zdaleka.

ALFRED.

O Wandziu! jam zgubiony! Grom, hańba nas czeka!...
Widzisz w mojej osobie nędznego zbrodniarza.
Ja weksel sfałszowałem!...

WANDA (z okrzykiem rozpaczny).

Ach!

(Chwyta za krzesło żeby nie upaść—po chwili, zapanowawszy nad sobą, mówi głosem grobowym).

To cię przeraża?...

ALFRED.

Ach! siostrze, słowa twoje ranią mnie i bolą.

WANDA (wolno a dobitnie).

Komu cnotą występpek—hańba aureolą!...
Czego żądasz?

ALFRED.

Ratunku!...

WANDA.

Odemnie?

ALFRED.

Z twój dłoni.

WANDA.

Atoż jak dłoń cię moja od hańby zasłoni?

ALFRED.

Bo widzisz... (waha się).

WANDA.

Mów!...

ALFRED.

Hrabiego podpis sfałszowałem.

(Wanda wzdryga się, jakgdyby nagle odgadła jaka próba ją czeka).

On cię zawsze z jednakiem ubóstwiałem.

Swój ideał najświętszy widzi w twój osobie.
Więc...

WANDA.

Cóż dalej?...

ALFRED.

Więc przyrzekł weksel zwrócić tobie,
Jeżeli...

WANDA.

Kończ... jeżeli wezmę go za męża (*z pozornym spokojem*).
Projekt dobry...

ALFRED (*z radością*).

Więc serce twe wstręt przezwycięża?
Na wieki siostró moja...

WANDA (*przerywając zimno*).

Weksel jak wysoki?

ALFRED.

Tysiąc rubli.

WANDA.

Hrabiego chcę widzieć bez zwłoki.

ALFRED (*pokazując na drzwi*).

On jest tu...

WANDA

Proś... i zechciej opuścić te progi.

Scena 13.

WANDA, później HRABIA.

WANDA (*głosem wielkiej boleści*).

O! matko ukochana! ojciec ty mój drogi!
Wam tej hańby nie przeżyć...

(*Wchodzi Hrabia i kłania się w milczeniu. — Wanda posągowo zimna oddaje ukłon, poczem siada na kozetce, skinieniem wskazując Hrabiemu krzesło obok siebie*).

Czy hrabiemu na tém
Zależy, by rozprawił się sąd z moim bratem?

HRABIA.

Bynajmniej.

WANDA.

Czy pan hrabia słowo moje ceni?

HRABIA.

Nad wszystkie skarby świata.

WANDA.

Dziś, z własnej kieszeni
Oddam długu połowę, a z następną ratą
Za rok służę. Pan hrabia weksel zwróci—za to
Dam s w ó j rewers. Czy zgoda?

HRABIA.

Nie sędzę.
O! zgodziłbym się, gdyby szło tu o pieniądze.
Czy brat nie mówił pani?

WANDA.

Mówił wszystko szczerze;
Ale ja w ten warunek hrabiego nie wierzę.
Czyż kto kiedy w ten sposób małżonkę zdobywał!

HRABIA.

Jednak dla mnie sposobność to bardzo szczęśliwa,
Gdy wszystkie inne środki do celu nie wiodły.

WANDA.

Ależ środek ten, hrabio, jest...

HRABIA (*podchwytując*).

Śmiały?

WANDA.

Jest podły!
Czemu rzeczy nie nazwać właściwém jój mianem?

HRABIA (*spokojnie*).

Pociski będę czołem odbijał miedzianém.
Już dziś woli méj żadne nie skruszą tarany.
Pani musisz być moją, albo...

WANDA (*zrywając się*).

Obłąkany!...

O WŁASNEJ SILE.

HRABIA (*kończąc*).Albo (*pokazuje weksel*) dowód ten, hańby okryje was piętnem,WANDA (*spokojnie*).Daleko w uniesieniu pan idziesz namiętném.
Ta mi groźba nie straszna.

HRABIA.

Lecz zapewniam panią...

WANDA (*przerywając*).Hańba spada na tego, kto zasłużył na nią.
Mogą trutnie i pszczoły być w jednej rodzinie,
Ale hańba złych dzieci na ojców nie spłynie,
Jeżeli ojciec nigdy nie splamił się niczém.

HRABIA.

Optylizmem się pani kierujesz zwodniczém.

WANDA.

Nie, hrabio, barbarzyński to przesąd i stary,
Któremu nikt rozumny dziś bytu nie przyzna.
Na dębu odwiecznego pan spojrzuj konary:
Jedne kwitną, gdy drugie już trawi zgnilizna!

HRABIA.

Lecz Alfred...

WANDA (*przerywając*).

Každy losu własnego kowalem!

HRABIA (*kończąc myśl zaczetą*).

Zginie!

WANDA (*z uczuciem*).

Pan go nie zgubisz!

HRABIA.

Zgubię—choćby z żalem.

WANDA.

I pan mnie kochasz?

HRABIA.

Liczne złożyłem dowody.
Za lata mąk piekielnych chcę cienia nagrody.

WANDA.

Ta nagroda-by właśnie była panu piekłem.

HRABIA.

Już się wszelkich w tym względzie iluzji wyrzekłem.

WANDA.

Pomyśl pan, czémby zemną życie twoje było?
Całe lata udęczeń żyć z martwą łez bryłą
I méj duszy złamanéj odczuwać męczarnie.
Że téż obraz ten zgrozą pana nie ogarnie!

HRABIA.

I owszem, wprost przeciwnie, ten obraz mię krzepi.
Ja kocham, a ci przecież, co kochają, ślepi.
Chcę panią mieć przy sobie i wszędzie i zawsze.
A ta żądza, to moje słońce najjaskrawsze,
Ono mi zachód życia oblewa purpurą.
Mogę z myślą téj straty zgodzić się ponurą?!

WANDA (*przybierając obojętny ton głosu, jakgdyby zmieniła nagle przedmiot rozmowy*).

Panie hrabio! jak nazwiesz postępek Alfreda?

HRABIA.

Nikczemnym!

WANDA.

Tak, inaczej określić się nie da.
A w tym jego występku co jest złem jedyném?

HRABIA.

To, że fałszu wyrazy poparł fałszu czynem.

WANDA.

Rzecz prosta. A pan czego dziś żadasz odemnie?

HRABIA (*zmieszany*).

Ja... pragnę...

WANDA.

Bym, jak Alfred, działała nikczemnie?
Że bratu hańba grozi—by go zbawić od niej,
Własną zbrodnię do jego mam dorzucać zbrodni?!
Gdzież zdrowego rozsądku podziąłeś pan skalę?

HRABIA.

Przepraszam, ten argument z łatwością obalę.

WANDA.

Ależ, hrabio, nas przepaść w poglądach rozdziela.

HRABIA.

On fałszerzem jest względem swego wierzyiciela,
Gdy pani szczerze, z własnych uczuć się spowiada.
Tu otwartość—tam podstęp: tu szczerokość—tam zdrada.
Ja panią z tym jój wstrętem biorę bez obawy.

WANDA (z *sidą*).

Ależ takie małżeństwo to związek plugawy!...

HRABIA.

Nie dla mnie!...

WANDA.

Gdybyż tylko chodziło o pana!...
Ale jam już i słowem i sercem związana:
Hrabia o tém zapomniał!...

HRABIA.

Za nawias to kładę.

WANDA.

Zamiąć słowo, popełniam nikczemność i zdradę.

HRABIA.

Ależ pani fikcyjne skrupuły wytwarza!...

WANDA.

Czy fikcją także kłamstwo u stopni ołtarza?...
Przestań się pan uragać inéj duszy prostaczej!...

HRABIA.

Ależ świat dziś przebacza...

WANDA (*żywo*).

Bóg mi nie przebaczy!...
A toż słodka pociecha, że świat nie obwini!...
Pomyśl, hrabio, mam stanąć przed Bogiem w świątyni...
By wobec uczestników ślubu i kaptana
Przysięgnąć, żem hrabiemu uczuciem oddana,

Gdy kto inny jest moim życia ideałem!...
Czyś pan kiedy pomyślał o tém?...

HRABIA.

Pomyślałem

I twierdząc: ślub—to forma.

WANDA.

Forma?... Jak dla kogo.

Kobięta tak jest w źródła pociechy ubogą,
Ze pan jęj niczém inném nie zastąpisz wiary.
Dla was może już błędną te uczuć sztandary,
Może wiedza wam starczy za wszystko—ja nie wiem.
Lecz w nas wiara przy wiedzy jest cnoty żarzewiem.
Co sierotę młodziuchną od upadku chroni,
Gdy świat—wdzięków czarami uśmiecha się do nięj?
Co matkę od szaleństwa broni i rozpaczy,
Kiedy skarb swój najdroższy w trumience zobaczy?...
Co ją strzeże od hańby, gdy rzeszy swych dziątek
Łzę skropionych okruszyn rozdziela ostatek?...
Co ją dźwignie, gdy nieszczęść przepętni się miara?...
Przewodnikiem jęj—wiedza, ale tarczą—wiarą!...

HRABIA.

Któż żąda, żeby pani z nią była w rozterce?...

WANDA.

Wszakże teraz pan żąda, bym zabiła serce,
A wiara jest najczystszy m serc ludzkich wykwitem.
Co dla mnie treścią życia, to dla pana mitem!...

HRABIA (*zdumiony*).

Zjawiskol!...

WANDA (*stanowczo a z uczuciem*).

Ależ dosyć. Zakończmy raz przecie.
Panie hrabio, przysięgam ci na wszystko w świecie,
Jak mi ojciec mój, matka i miłość jest droga,
Przysięgam ci na czystość męj duszy, na Boga,
Ze nic zgoła nie skłoni mnie do związku z panem;
Więc nie drażnij się z sercem boleścią targaném,
Na głowę brata mego rzuć ohydy znamię:
Cios taki może zabić mnie, ale—nie złamię!...

HRABIA (*silnie wzruszony —jakby do siebie*).

Dziwnych wrażeń doświadczam... aniół nie kobięta!...

WANDA (z żywym uczuciem).

Ale... na twarzy pana jest dobroć wyryta.
 Coś mi szeptze, że kroku pan nie zrobisz tego,
 Że mi twoje wspomnienia na pomoc przybiegą,
 Kiedyś jeszcze żył sercem w rodziny swój gronie,
 Ja nie mówię tu przecież w Alfreda obronie
 I nie o mnie też idzie—o, pan wie najlepiej!...
 Ale rana się serca mego nie zasklepi,
 Jeżeli ten grom straszny w rodziców uderzył!...
 O nich to błagam, hrabio, z serca... jaknajszczerzej!..

HRABIA (coraz bardziej wzruszony).

Zobaczmy... być może...

WANDA.

Błagać nie przestanę.
 Rodzicom hrabia zadać chcesz śmiertelną ranę?
 Pomyśl pan, gdzie się skryjesz przed sumienia żmiją,
 Jeżeli oni tego ciosu nie przeżyją!...
 Czy chciałbyś ich zabójcą być, hrabio, ich katem?...

HRABIA (który w ciągu ostatnich słów Wandy okazywał silne wzruszenie, kłęka przed nią i mówi z uczuciem).

Dosyć!... Korzę się przed twym, pani, majestatem.
 Zwyciężyłaś!... Patrz, nawet martwą pierś cynika,
 Głos twego bohaterstwa do głębi przenika,
 Druzgocząc w nią cudownie mój upór zwierzęcy.
 O! gdyby takich kobiet było u nas więcej,
 Mniej występków i zbrodni dręczyłoby ziemię.
 Oto weksel (podaje papier).

WANDA (odbierając mówi radośnie):

Więc spada z nas niedoli brzemię.

(ściskając ręce hrabiego).

Wdzięczność moja bez granic!

(Wchodzi Henryk niepostrzeżenie i staje w głębi, słuchając ostatnich słów Wandy).

I już do mogiły

Zaniosę to uczucie...

S c e n a 14.

Ciż i HENRYK.

WANDA (spostrzegłszy Henryka).

Henryk!... (Hrabia wstaje).

HRABIA (*n. s.*).
Gość nie miły!...

HENRYK.
Może przyjąć nie raczy mnie przyszła hrabina?...

HRABIA (*wyniośle*).
Panie!...

HENRYK (*żywo*).
Pół tonu niżej!...

WANDA.
Henrykul!...

HENRYK (*surowo*).
Gadzina!...

WANDA.
O Boże!..
HENRYK (*drwiąc*).

Śliczna para!...

HRABIA.
Pan śmiesz...

HENRYK (*drwiąc*).

Trochę skromniej,
Wszakże pan hrabia spadek odziedziczył po mnie!...

HRABIA.
Kto tak mówi, nie godzien jest tego anioła.

HENRYK (*z przekąsem*).
Może ktoś znów po panu godniejszym być zdoła.

HRABIA (*gwałtownie*).
Ha! dość!...

WANDA (*hamując hrabiego*).

Hrabiol!... (*do Henryka z godnością i spokojem*).
Zkąd takie do obelgi prawo?...

HENRYK.

Niechaj ci serce własne da odpowiedź krwawą.

WANDA (*spokojnie*).

Me serce? Oto jego odpowiedź najczystsza:
W tej chwili już swojego nie poznaję mistrza
W człowieku, który depcze niewinnych zniewagą.

HENRYK (*z ironią*).

Niewinnych! Wszak widziałem rzeczywistość nagą.

WANDA.

Ludzie panu podobni sięgają w głąb rzeczy.

HENRYK.

Czyż i temu, com słyszał tu, pani zaprzeczy?

HRABIA.

Pozory!

WANDA.

Któż uczciwy swych słów się wypiera?

HENRYK.

O! jesteś pani równie występna, jak szczerą!

HRABIA.

Tego nadto!...

Scena 15.

Ciż i DRZYMSKA.

DRZYMSKA (*blada i zapłakana—nie spostrzegając Henryka stojącego na uboczu, biegnie wprost do Hrabiego i ścisną gorączkowo jego ręce*).

O! niechaj Bóg wielki nagrodzi!
Tyś, hrabio, nasz wybawca szlachetny, dobrodziej...
Nie dopuścisz więc wstydu nas wszystkich i syna?

WANDA (*przeżołona*).

Więc mamie...

DRZYMSKA.

Już wiadoma ta z piekiel nowina!
O! tak! Alfred rozmowy tu wystuchał waszój,
Jak się anioł ten broni (*wskazuje na Wandę*) i pan hrabia
[straszy.

Wreszcie, widząc pomyślny rezultat narady,
Do nóg biegnie mi z płaczem, zgnębiony i blady,
Swoją występki z dziecięcą wyznaje pokorą,
A twoję, Wandziu, pomoc uwielbiając skora,

Woła: „matko, to święta—jam w obec niej zwierzę.
W potęgę cnoty, nędznik, dziś dopiero wierzę.
Odtąd inne, przysięgam, chcę rozpocząć życie.
Da Bóg, może mnie lepszym kiedyś zobaczycie *(ze łzami)*:
Przebaczcie—ja na długo już dla was umarłem;
Mogę wcale nie wrócić, ale nigdy—karłem.“
I zniknął *(ociera łzy)*.

WANDA *(ze łzami w głosie)*.

Biedny chłopiec.

HRABIA.

Ten wstyd go ocali.

DRZYMSKA.

Wiedząc, że tu oboje rozmawiacie w sali,
Przybiegłam, by podziękować swe złożyć hrabiemu.

HRABIA.

Dziękujcie, ale tylko aniołowi swemu *(wskazuje Wandę)*.
I mnie także potęga jej cnoty złamała.

DRZYMSKA.

Wandziu! *(tuli ją w objęciach)*.

WANDA.

Matko!

DRZYMSKA.

Jam potwór—wstydem płoną cała.
O! przebacz, wszystkie chwile łez mych i goryczy.
Wiem, że próżność tę moję Pan Bóg mi policzy,
By mnie wznieść—aż takiego gromu trzeba było:
Teraz wiem, jakim praca jest skarbem i siłą.

WANDA *(zwracając się do Henryka, na którego twarzy malowała się w ciągu sceny ostatniej głęboka boleść, mówi z uśmiechem)*

Mnie téj prawdy pan Henryk nauczył przed laty.

DRZYMSKA *(sposztrzeża Henryka)*.

Co? Pan Henryk?

HENRYK *(w milczeniu całuje rękę Drzymskiej, potem klęka przed Wandą)*.

Niegodzien dotknąć twojej szaty.
Straszne bielmo już spadło z mych źrenic w téj chwili:
Możesz gardzić mną, pani!

WANDA (*wesoło*).

Ależ pan się myli.

DRZYMSKA (*zdziwiona*).

Co to znaczy?

WANDA (*z uśmiechem*).

Niewinny spór z panem Henrykiem.

(*Do Henryka*).

Gniew pana był prawdziwej miłości wynikiem;
A więc łatwo przebaczyć grzech, który nie płami.

HENRYK (*wstając*).

Zwłaszcza temu, kto lata przeżył z indyanami,
Śród przygód, których gruba księga nie pomieści!

WANDA.

Ach! jak straszne tu o was przychodziły wieści.

HENRYK (*całując jej rękę*).

A ja nic o najdroższym sercu nie wiedziałem,
Dziś dopiero...

(*Hrabia z widoczną boleścią na twarzy wychodzi ostrożnie, żeby nie zwrócić na siebie uwagi*).

Scena 16.

WANDA, DRZYMSKA, HENRYK i MARYLKA.

MARYLKA (*wchodząc*).

Pan Henryk!

HENRYK (*ściskając jej rękę*).

Witam sercem całym.

MARYLKA.

Więc nareszcie pan wrócił!

Scena 17.

Ciż i PASTERNAKI z synem.

PASTERNAKI (*wchodząc, półgłosem do syna*).

A pójdźże, w te pędy...

Stój przy mnie!

(*Przez cały ciąg rozmowy Dydak ani na chwilę nie odstępował ojca*).
(*głośno*) Padam do nóg! (*całuje Drzymską w rękę*).

DRZYMSKA.

Witam!

PASTERNAKCI.

Idąc tędy,
Wstąpiłem, żeby z panem pomówić słów kilka..

DRZYMSKA.

Męża nie ma...

PASTERNAKCI.

Nie szkodzi, skoro jest...

(Wskazuje na Marylkę, nie mogąc przypomnieć sobie imienia).

DRZYMSKA.

Marylka?...

PASTERNAKCI.

Tak!... w te pędy... lecz możeby nie wypadało...
Tyle osób... na boczkę może...

MARYLKA.

Mów pan śmiało.

Wszyscy, jak tu jesteśmy, to rodzina jedna...

PASTERNAKCI.

To, co powiem... w te pędy... może też przejedna
Uporek panienczki... *(całuje Marylkę w rękę).*

DYDAK *(śmiejąc się gapiowato).*

Ehe! cmoknął tata!...

MARYLKA.

Słucham pilnie...

PASTERNAKCI.

Ot, wielka grozi jemu strata.

*(pokazując na syna).*DYDAK *(zdziwiony).*

Co, mnie?...

PASTERNAKCI *(do syna n. s.).*

Milcz!...

DYDAK.

Oczywiście!...

O WŁASNEJ SILE.

PASTERNAKI.

Nieszczęsny chłopczyzna!
Za panią już, w te pędy, dziś szaląc zaczyna.

DYDAK.

Ja?...

PASTERNAKI (n. s.).

Cicho!...

DYDAK.

Oczywiście...

PASTERNAKI.

Rozstawszy się z wami,
Cztery chustki... w te pędy... oblał biedak łzami.

DYDAK (*śmiejąc się na całe gardło i pobudzając wszystkich do śmiechu*).

Oczywiście ten tata...

PASTERNAKI (*kopiąc go nieznacznie—n. s.*).

Ani mrumru... bydle!

DYDAK (*podskoczywszy z bólu*).

Aj...

PASTERNAKI.

Biedzi się jak srokosz zaplątany w sidle.

DYDAK (*śmiejąc się*).

Jak srokosz!...

PASTERNAKI. (*szczypie syna*).

Może biedak nawet rozum stracić...

I...

WANDA.

To jest nie możebne...

PASTERNAKI.

I życiem przyplącić.

MARYLKA.

Czy podobna!...

PASTERNAKI.

Ten zawód—niech sam Dyduś powie...
Na zdrowie mu nie pójdzie (*trąca syna, żeby mówił*).

DYDAK (*bezmyślnie*).

Nie pójdzie na zdrowiel

DRZYMSKA.

Więc...

PASTERNAKI.

Jak ojciec, ratować przychodzę chłopaka!
O! pani dobrodziejko! przyszła mi myśl...

DRZYMSKA.

Jaka?...

PASTERNAKI

Możemy ot, w te pędy, przez małżeństwa drogę
Proces skończyć... ustępstwo jakieś zrobić mogę.
Krótko mówiąc, ot zaraz, z owęj sumy spornej
Połowę pani spłacę... (*wskazując na Marylkę*).

WANDA (*do Henryka*).

Interes wyborczy!...

PASTERNAKI.

Jeśli panna Marylka...

MARYLKA.

Chęć do zgody dzielę.

PASTERNAKI.

Przyjmie mego Dydusia...

HENRYK (*do Wandy*).

Jest drugie wesele...

PASTERNAKI.

Czy zgoda?...

MARYLKA.

Ależ panie...

PASTERNAKI.

W te pędy, znów ale...
Biedny chłopiec się strawi w miłosnym zapale...
Patrz pani jaki smutny (*trąca go*) na płacz mu się zbiera.

DYDAK (*duszac się od śmiechu*).

Nie wytrzymam od śmiechu...

O WŁASNEJ SILE.

MARYLKA (*wesoło*).

Co za boleść szczerą!

PASTERNAKI.

Przez łzy patrzy na panią spojrzeniem tak miłym (*n. s.*).
Weź chustkę...

DYDAK (*do ojca*).

Oczywiście, w domu zostawiłem...

PASTERNAKI.

Więc czy zgoda?...

MARYLKA.

Nie!

PASTERNAKI.

Czemu?... (*n. s.*). Bierze mnie choroba!...

MARYLKA.

Syn mi się nie podobał... (*Dydak śmieje się*).

PASTERNAKI (*zdumiony*).

On się nie podoba?...
Czyż jemu co brakuje?... Pani spojrzeń raczy...

(*n. s. trącając syna*).

Mówże ty!...

DYDAK (*głupowato*).

Nie brakuje mi nic... (*śmieje się*).

MARYLKA.

Pan wybaczy,

Ale...

PASTERNAKI.

Ciesz się szczęściem do kobiet szalonym!

DYDAK (*oburzony*).

Do Wikty, nie do kobiet!...

PASTERNAKI (*n. s.*).

Milcz! (*d. s.*) Śmierć z tym ga-
[wronem.

MARYLKA.

Nie zaprzeczam.. lecz dla mnie... różne obyczaje...

PASTERNAKI.

On nie jest taki głupi, jak tu się wydaje.
 Że nie śmiały, w te pędy... lecz zuch do kobiety!
 O! nie bity on w ciemię! (*do syna n. s.*) Mów!...

DYDAK (*śmiejąc się*).

Nie w ciemię'm bity.

PASTERNAKI.

Więc nareszcie?...

MARYLKA.

Nie mogę.

PASTERNAKI(*n. s.*).

To kuta dopiero!

Scena 18.

Ciz i DRZYMSKI (*za sceną*).

Wygraliśmy, pamdzieju, znikło dawne zero!...

PASTERNAKI (*n. s.*).Trzeba zmykać... (*głośno*) Więć żegnam!

DRZYMSKA.

Mąż właśnie nadchodzi (*wchodzi Drzymski*).PASTERNAKI (*do Drzymskiego*).

Mam termin.

DYDAK.

Oczywiście!...

DRZYMSKI.

A gdzież pan dobrodziej?

Mam nowinę...

PASTERNAKI (*n. s.*).Żebyś pękł!... (*gł.*) Ja tu wrócę, panie!DYDAK (*n. s.*).

Tata sapie ze złości!...

(Pasternacki idzie od Drzymskiego do Marylki i Wandy, całując każdą w rękę.—
Dydak robi to samo, ustawicznie zachodząc mu drogę).

PASTERNAKI (odpychając syna—n. s.).

A idź-że bałwaniel...

DYDAK (śmiejąc się).

Zły, jak chrzan, oczywiście!...

PASTERNAKI.

Żegnam.

(Wychodzi, dając skinieniem znak synowi, żeby się zbliżył do niego — lecz Dydak obawiając się ojca, wychodzi za nim w przyzwolonej odległości, kłaniając się kilkakrotnie towarzystwu).

DRZYMSKI (znacząco).

Do widzenia! (zacierając ręce z radości).

A to żeśmy, pamdzieju, zdusili szerszenia!...

(Spostrzegając Henryka).

A to co?... czy żrenica moja zażawiona?...

Indyanin, pamdzieju, a pójdźże w ramiona!

(Przyglądając mu się).

Nie wyglądasz mi jakoś, chłopcze, zbyt różowo.

Ale... ale... wiadomość przynoszę wam nową:

Marylka jest już panią!...

DRZYMSKA.

To miła nowina!

DRZYMSKI.

Pasternacki dla tego chciał ożenić syna,

Że rozstać się z majątkiem nie było ochoty.

MARYLKA (n. s.).

Biedny Alfred i jego minęły banknoty!...

HENRYK (biorąc Wandę za rękę).

A ja czy wygram sprawę?

DRZYMSKI (rozrzuwiony).

Na pewno, mój bracie;

Lecz podobno, pamdzieju, wzajem wygrywacie.

(Do Wandy, tuląc ją).

Ten indyjanin cię porwie, córo moja droga.
Cóż robić, skoro serca wam biją tak żywo;
Przyszłość waszę, pamdzieju, składam w ręce Boga!
Oby zawsze promienną była i szczęśliwą.

DRZYMSKA.

Niech wam Bóg dopomoże!

DRZYMSKI.

Pomoże pewnikiem! (*do Henryka*).
Życzę ci, żebyś prędko został czeladnikiem;
Łatwo się téj godności dobić taką głową!

HENRYK.

Na nieszczęście, gdy teraz zabieram majstrową,
Warsztaty zwinąć trzeba.

DRZYMSKI (*smutno*).

Chłopcze mój jedyny,
Wstrzymaj się, muszę swoje sprawić wyzwoliny,
Już niedługo!...

WANDA (*smutno*).

Więc warsztat zwinjemy i czemu?...

HENRYK.

Trzeba się zawodowi poświęcić innemu.
Przy rodzinném ognisku dla rozumnej żony
Roztwiera się świat czynów wielki... nieskończony.
Gwiazda świeżych tryumfów błysnie u jój czoła,
Gdy nowym obowiązkom szlachetnie podoła.
Wiem, że gdyby mi losy klęską zagroziły,
Albo śmiercią,—rachując na ducha jój siły,
Mógłbym umrzeć spokojnie, mocno przekonany,
Że jój łatwo nie złamię życia uragany.
Ta pewność—to bogate córki waszjéj wiano.
Nim to kiedy nastąpi... dziś moje zasoby
Dla nas wszystkich wystarczą.

MARYLKA.

Prócz mojej osoby
I rodziców, co także przy mnie się zostaną.
Czas ziścić me pragnienia—zwinąwszy warsztaty,
Do wioski rzemieślnicze przeniesiem penaty,
By działalność rozwinać między maluczkimi.

DRZYMSKI (*oglądając się dokoła*).

Przykro będzie się rozstać z księgami mojemu.

WANDA.

Czas wam spocząć, by odtąd przypominać mile:
Najszczęśliwszy na świecie byt—o własnej sile.

(*Zasłona spada*).

K O N I E C.

PILTYŃ I ARCHIWUM PILTYŃSKIE *).

PRZEZ

br. Gustawa Manteuffla.

VI.

Najważniejsze miejsce w historii Piltynia zajmują bezwarunkowo postanowienia sejmikowe, tak zwane „Landtagsschlüsse” („lauda”) i pozostające z nimi w ciągłym związku liczne relacye posłów piltyńskich.

Akta sejmowe piltyńskie znajdujemy tu w zupełnym komplecie z lat 130-tu, a mianowicie od r. 1652 do r. 1783. Wszystkie zachowane są w oryginale, obok którego częstokroć dołączono i kopie nader staranne. Sprawy sejmikowe najwyraźniej tu odsłaniają niewymowną nędzę, w jaką groźna wojna północna pogrążyła nie tylko Kurlandya, ale i Piltyń. Kraj, pozbawiony obrońców i opiekunów, był przez długi czas teatrem wojny zażartej. Zajmowali go z kolei już-to szwedzi, już-to polacy i rosyjanie, nakładając coraz to nowe kontrybucye, którym nie było końca; kto chciał, pustoszył i niszczył kraj, w wysokim stopniu już wycieńczony i zrujnowany. Aż do r. 1705 gospodarowali w nim samowolnie szwedzi, potem opanowali go rosyjanie. Gdy Karol XII po zawarciu pokoju Altransztackiego pociągnął na Litwę, uszli rosyjanie z ziemi piltyńskiej, a dzierżyli ją szwedzi aż do nieszczęsnej dla króla szwedzkiego bitwy pod Połtawą, poczem znowu ustąpili miejsca wojskom rosyjskim. Pustki i ruiny zalegały tam, gdzie dawniej wrzało bujne życie, chwasty i zielska zarastały pola, na których złościły się przedtem obfite kłosa. Dobra zupełnie zniszczone i porujnowane, chłopci uciekają do lasów, a pozostających i zdziczałych niepodobna nakłonić do pracy, nie ma zatem komu uprawiać pól, a obawa przed zarazą dopełnia miary udręczenia. Poszukiwania źródłowe archiwalne najwyraźniej odsłaniają niewymowną nędzę, w jaką wojna północna pogrążyła to małe państewko. Wspominałem już wyżej, iż kontrybu-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za luty r. b

cyom nakładanym na ziemię piltyńską, już-to przez wojska szwedzkie, już-to przez polskie i rosyjskie, nie było końca. Daremnie usiłowano je usunąć za pomocą najpokorniej redagowanych petycyi, których minuty przechowują się dotąd w archiwum piltyńskiem. Państewko już najzupełniej wyniszczone musi płacić, musi dostarczać żywności i ludzi, dopóki w kraju istnieje choć jeden talar, dopóki został przy życiu choć jeden mężczyzna mogący broń dźwignąć; „so lange noch Geld und Mannschaft überhaupt vorhanden sind,” są słowa jednej z licznych relacyi o ówczesnym prawdziwie opłakanym stanie tego kraiku. Nic więc dziwnego, iż nakoniec nędza i wyludnienie ziemi piltyńskiej dosięga stopnia, o którym obecnie zaledwieby można powziąć niejakieś wyobrażenie. Gdy po kilkunastoletniem ostatecznem wycieńczeniu zniszczonego już kraju wypisywano nową kontrybucyą w r. 1717, ziemia piltyńska dowiodła faktycznie niepodobieństwa wypłacenia chociażby jednego talara, przedstawiając władzom miejscowym dokładne spisy ludności pozostającej przy życiu w pojedynczych dobrach owego nągdys tak potężnego biskupstwa. Spisy te w archiwum piltyńskiem całkowicie przechowane, wykazują nam najdobitniej ówczesne rozpaczliwe położenie państewka ¹⁾. Tę tylko dobrą stronę mają owe tak ciężkie lata, że w nich Piltyń zaczyna trzymać z książętami Kurlandyi ²⁾.

¹⁾ Pan Teodor Schiemann, porządkując w r. 1875 zbiory tego cennego archiwum, {zwrócił szczególną uwagę badaczy przeszłości dziejowej na dane statyczne, które wyraźnie uwydatnia w wykazach, o jakich tu mowa. W całej parafii neuhauzyńskiej liczone podówczas roboczej ludności męskiej nie więcej jak 95 ludzi, w dobrach Lieben 5, w Boyen 6, w Kalwen 10, w Perbohnen 10, w Kandeln 8, w Neu-Patzen 4, w Alt-Patzen 5, w Assiten i w Buszhofie, licząc razem te dwie obszerne majątności 15, w Wormsaten 7, w Bakhtzen 4, w Elkezem 1, w Apelnikach 3, w Raudenie 7, Rokajszu 3, w Dzeldegalu 4, w Neukracenie 9, w Muchach 1, w Lakszach 3, w Wartagu i Nodagu ogółem 19, w Winaushofie 4, w Ładyku nie było literalnie już ani jednego męskiego robotnika, w Altdorfie wielkim i małym ogółem tylko 6, w Cerrenden 4, w Nogalu 24, w Limboszu zaś w tymże czasie liczone zaledwie dwóch dobrych robotników. A więc w obrębie 34 dóbr mniej lub więcej rozległych, któreśmy na mapie ziemi piltyńskiej dokładnie oznaczyli, istniało w owym czasie nie więcej jak 238 włóścian, co w przecięciu na każdą z majątności stanowi nie więcej jak 6—7 robotników! Nie ma przeto komu uprawiać pól, rzecz oczywista. „Czytając daty powyższe — są słowa d-ra Schiemanna — przestałem już dziwić się, że straszliwe czasy pierwszej ówierci zeszłego stulecia i dotąd jeszcze żyją w pamięci chłopów miejscowych.” T. Schiemann: uzupełnienia katalogu rękopiśmienne w archiwum piltyńskiem, str. 5).

²⁾ T. Schiemann w „Mittheilungen aus dem Gebiete der Geschichte Liv-Est-und Kurlands,” t. XII, str. 308 i w „Baltische Monatschrift,” t. XXII, str. 138. Por. także „Przewodnik naukowo-literacki,” rocznik IX, str. 595—597, gdzie wszakże tylko o Kurlandyi jest mowa.

W tak opłakaném położeniu, serca mieszkańców zwracają się z utęsknieniem ku młodemu Fryderykowi Wilhelmu Kettlerowi, bawiącemu od lat dziecinnych za granicą. Piltyńczycy zarówno jak kurlandczycy widzą w tym szlachetnym, poetycznym, książęcym młodzieńcu swego wybawcę, spodziewają się po nim ratunku, bo jego związek z rosyjską księżniczką łądzi wszystkich nadzieją walnej pomocy i opieki ze strony potężnego nadniewskiego cara. „Zdawało się marzycielom — powiada trafnie pan Klemens Kantecki w pracy powyższej już przytoczonej — że powrócą stosunki z pierwszych lat panowania Gotarga Kettlera, bo namiestnik carski w Rydze, generał Wrangel, oświadczył głośno, że Piotr zamierza nie tylko osadzić księcia w Kurlandyi, lecz także mianować go gubernatorem Infant 1).

Wiadomo wszakże, jak nieszczęśliwie skończył się związek Fryderyka Wilhelma z księżniczką Anną. W pare miesięcy po ślubie, w podróży z Petersburga do Mitawy wyzionął ducha ten szlachetny,

1) „Przewodnik naukowy i literacki,“ rocznik IX, str. 598. Teodor Schiemann „Friedrich Wilhelm Herzog von Kurland nach bisher ungedrucktem Material“ („Baltische Monatschrift,“ t. XXII, str. 120—145), gdzie szlachetność i poświęcenie się dla kraju młodemu księciu Fryderykowi Wilhelmu po mistrzowsku są odmalowane. Ukochał on pierwszą gorącą miłością przyjaciółkę swych sióstr, księżniczkę Karolinę z Wolfenbüttel. Ogłoszona przez d-ra Schiemanna korespondencya, jaką w téj porze prowadził z siostrami Fryderyk Wilhelm, i tamże oddrukowane liczne poetyckie utwory tego zakochanego a tak zdolnego młodzieńca, wskazują najlepiej jak trudno przychodziło mu się pożegnać z marzeniami osobistego szczęścia i poświęcić je dla politycznych celów. „Trzeba było jednak wybierać pomiędzy Karoliną a Kurlandją — zauważył dowcipnie pan Kantecki — księżę przeto, zadając swemu sercu gwałt, zdecydował się przyjąć narzucony sobie warunek.“ W każdym razie nie ulega najmniejszej wątpliwości, że na to jego postanowienie mniej wpłynęły ambicya i żądza panowania, jak raczej chęć ulżenia krajowi, którego stan był prawdziwie rozpaczliwym. „Nik nie wiedział — mówi T. Schiemann w źródłowej biografii młodemu księciu powyższej przytoczonej — kto właściwie w tych burzliwych czasach był panem kraju: Fryderyk Wilhelm, czy jego matka, księżna Elżbieta Zofia, księżę Ferdynand czy najwyżsi radcy, August II czy Stanisław Leszczyński, Piotr I czy Karol XII? Każdy bowiem z tych władców wedle swego widzimisię rozdzielał posady, ogłaszał prawa, rozpisywał podatki. Którzy urzędnicy byli w prawném posiadaniu swych godności, które prawa należało uwzględnić i uznać, jakie podatki miały obowiązywać? Czy starostwo grobińskie, nadane przez starego księcia Ferdynanda Jerzemu Mirbachowi, należało do niego, czy téż do kapitana Koszkuła, któremu je przysądziła księżna Elżbieta Zofia?“ (Porównaj T. Schiemann w „Baltische Monatschrift“ t. XXII str. 138). Słowa powyższe najdosadniej malują rozpaczliwy stan kraju, którego rządy miał objąć szlachetny księżę, wyrastający dopiero z lat pachołowych.

poetyczny młodzieniec, zanim jeszcze naprawdę objął rządy nad swém księstwem ¹⁾.

Zasępił się przeto nanowo horyzont chwilowo wypogodzony, a pojawienie się w Mitawie księżnej Anny (która, ściśle biorąc, nie była wcale księżną kurlandzką, owdowiała bowiem w drodze, zanim ujrzała państwo świeżo zaślubionego księcia), oddało kraj cały w zupełną zawistość północnego sąsiada ²⁾.

Przybywała księżna wdowa z uciążliwemi dla kraju pretensjami, żądając 40,000 rubli rocznie, a ponieważ tak wielkich wymagań niepodobna było zaspokoić ze szczupłych dochodów zrujnowanego państwa, przeto Anna wzięła w zastaw książęce dobra.

VII.

Widoczném było, że Kurlandya przez długie lata niezdoła wyplacić sum, jakich od niej żądano, że dla powstrzymania wierzyciela, będzie się musiała stosować do każdego jego skinienia. Jakoż wpływ rosyjski stał się odtąd wszechwładnym w hołdowniczym kraju Rzpltej polskiej ³⁾. Od tego wpływu nie mógł się i Piltyń żadną miarą ochronić.

W roku 1735 deliberowano poraz pierwszy na sejmiku piltyń-

¹⁾ T. Schiemann „Herzog Friedrich Wilhelm von Kurland, nach bisher ungedrucktem Material” w czasopiśmie „Baltische Monatschrift” t. XXII, str. 145. Porównaj także K. W. Cruse „Curland unter den Herzögen,” t. I, str. 236, gdzie autor o tym związku małżeńskim następująco podaje szczegóły: Obrzęd zaślubin odbył się na dworze cesarskim z całą okazałością w dniu 11 listopada r. 1710, w którym Fryderyk Wilhelm kończył dopiero lat 18. „Festlichkeiten reibeten sich an Festlichkeiten” powiada Cruse „unter andern die, bei der Hochzeit eines kleinen Fürsten an dem Hofe eines sehr grossen, fast sarkastisch aussehende berühmte Zwerghochzeit.” Odtąd następował bankiet po bankiecie, a na każdym wino lało się strumieniem. Młodziuchny książę nie przywykły do wybryków i libacyi, w jakich przychodziło mu tutaj uczestniczyć dla przypodobania się rozmiłowanemu w nich gospodarzowi, popadł w chorobę. Chory już wyruszywszy w drogę na początku stycznia następnego roku, dostał gwałtownej gorączki na pierwszej stacyi, oddalonej o sześć mil od Petersburga. Mimo to pragnąc jaknajprędzej powrócić do ojczyzny, już nazajutrz rano ruszył dalej; zaledwie jednak dojechał do Kippingshofu (drugiej stacyi od nadnewskiej stolicy), tak go siły opuściły, że się położył, aby już nigdy nie powstać. Wyzionął ducha 10/21 stycznia r. 1711, zanim mógł ziszczyć nadzieje i zebrać owoce poniesionej dla kraju ofiary.

²⁾ C. W. Cruse: „Curland unter den Herzögen,” t. I, str. 236—238. T. Schiemann l. l. pag. 145.

³⁾ „Przewodnik naukowy i literacki,” rocznik IX, str. 695.

skim nad wysłaniem poselstwa do nadnewskiego grodu ¹⁾. Powoli bowiem zaczynano się oswajać z myślą, że ztamtąd może da się osiągnąć pomoc skuteczna przeciw grożącemu piltyńczykom tak zwanemu prozelityzmowi katolickiemu, zwłaszcza iż w roku 1745 ówczesny biskup inflancki, Józef na Kozielsku Puzyna, odnowił dawne, a zdaniem piltyńczyków, przez sprzedanie Szembekowi dóbr Lehnen, Litzén i Mugerkaul, już poniekąd zagodzone uroszczenia do byłego biskupstwa piltyńskiego.

W tej sprawie wydelegowano do Warszawy Erdmana Sackena i Derschau'a ²⁾, a przechowane w archiwum piltyńskim relacje obu panów posłów przedstawiają nie tylko wierny obraz ówczesnych stosunków na dworze królewskim, ale wykazują zarazem z jak wielką trudnością zdołali oni w stolicy naszej osiągnąć, iżby królewskie sądy relacyjne nie zajmowały się wcale dalszém śledzeniem sporu piltyńczyków z biskupem inflanckim Puzyną. Atoli ten ostatni nie odstąpił wcale od swoich roszczeń. Zdaje się wszakże, iż pod koniec życia biskupa Puzyny, a zwłaszcza za jego następcy Antoniego Ostrowskiego ³⁾, pretensye do Piltyńia były już tylko czysto pieniężne. Do

¹⁾ „Mittheilungen aus dem Gebiete der Geschichte Liv-Est-und Curlands,” t. XII, str. 303.

²⁾ Obaj ci delegowani wpłynęli na ówczesnego prezydenta landrackiego kolegium w Piltyńie, pana Ulyka von Behr, dziedzica dóbr Szlek, żeby jeszcze przed ich odjazdem do Warszawy w r. 1746, drukiem kazał ogłosić rzadkie dziś dzieło łacińskie: „Controversiae Nobilitatis Piltensis in causa et actione inter illustrissimum et reverendissimum Dominum Nicolaum Poplawsky, episcopum Livoniae, praetensum actorem, et eandem Nobilitatem, ratione praetensae vindicationis episcopatus quondam curoniensis, in judiciis relationum Sacrae Regiae Majestatis propriarum agitata, intercedentes,” (sine loco et anno) stronnic 174 in 4-to obejmujące, a mające ułatwić rozbiór tej zawikłanej sprawy w sądach relacyjnych królewskich. Pierwszych stronnic 37 tej dla nas ciekawej książki, obejmuje wyłączenie samej sprawy, dalsze zaś zapełnia oddruk aż 42 oryginalnych dokumentów, będących z nią w ścisłym związku. Niektórzy z bibliografów ogłosili mylnie, iż księga ta rzekomo w r. 1685 wydana została.

³⁾ Biskup Antoni Ostrowski zarządzał diecezją inflancko-piltyńską od r. 1754—1763, poczem został wyniesionym na biskupstwo kujawskie. Następcą jego na biskupstwie inflanckim był Jan Stefan Giedroyó od roku 1765—1778. Po pierwszym rozbiórze Polski przyłączono biskupstwo inflanckie do nowo-utworzonej archidiecezyi mohylewskiej. Wszelako do formalnego zniesienia biskupstwa inflanckiego, t. j. do r. 1798, następujący pasterze tytułu: „Episcopus Livoniensis et Piltinensis” stale używali: Antoni Mació Sierakowski od r. 1778—1780, Józef Kazimierz Kossakowski od r. 1781—1794 i Jan Nepomucen Kossakowski od r. 1795—1798. O pretensjach pieniężnych biskupa Józefa Kazimierza Kossakowskiego do Piltyńia, rozprawia obszernie Heyking w swych słynnych pamiętnikach rękopiśmien-

takiego wniosku zniewalają, przynajmniej w pewnym stopniu, sumienne poszukiwania archiwalne. Czytamy bowiem w instrukcyi z roku 1756, danėj do Warszawy posłom piltyńskim Korffowi i Stemplowi, „dass ein Vergleich mit dem Bischof nur dann getroffen werden solle, wenn erstens das Don gratuit nicht 10,000 Thaler übersteige und wenn zweitens das fürstlich-kurländische Haus sich verpflichte, die Hälfte der Summe zu tragen. Wenn keine Endschaft zu hoffen—głosi dalėj instrukcyą — sollen sie (to jest posłowie) die Rechte des Districtus Piltensis bei den koeniglichen Relationsgerichten und sonst aller Orten wahren.“

Do prowadzenia kwestyi prawnych tego wieloletniego sporu, zjednano słynnych adwokatów kurlandzkich Ziegenhorna i Schwandera, których staranne elaboraty w zbiorach archiwalnych piltyńskich aż dotąd przetrwały. Rzucają i one wiele światła na tę zawikłaną sprawę.

VIII.

Wojna siedmioletnia bardziej jeszcze zbliża stosunki Piltynia z dworem cesarsko-rosyjskim.

Jakkolwiek z początku nie mało się użalano na ucisk i nadużycia, jakich sobie w tém państewku bezustannie dozwalały wojska rosyjskie, atoli właśnie sprawa o ucisk militarny sprowadza z nadnewską stolicą bliższe rokowania i układy, do których przeważnie użyto syna estońskiego pastora, p. Simolin'a, zajmującego w Mitawie posadę dyplomatyczną ówczesnego ministra-rezydenta cesarzowej Elżbiety ¹⁾.

nych, zużytkowanych obecnie przez księdza Waleryana Kalinkę do historyi. sejmu czteroletniego.

¹⁾ Wspomniany w poprzednim odsyłaczu p. Heyking, rozszerza się w swych pamiętnikach o niskiem pochodzeniu Simolinów. Mamy wszelako i nowsze źródła, wykazujące rzeczywistych antenatów tego rodu, chełpiącego się od niezbyt dawnego czasu, że dał Polsce jój najdzielniejszego króla. Źródłem niewątpliwem jest powszechnie cenione dzieło, w połowie bieżącego stulecia ogłoszone p. t.: „Ehstlands Geistlichkeit in geordneter Zeit- und Reihenfolge zusammengestellt von H. R. Paucker" (Reval, 1849 in 8-vo). Autor, opisując na stronicy 373 po krótkce żywot rewelskiego predykanta Matyasza Simolina, powiada wyraźnie: „Er starb 1753. Seine Söhne wurden in Russland geadelt und ihre Nachkommen leben noch in Kurland." Odczytującym słowa powyższe Pauckera, tém dziwniejszemi wydają się luźne kartki, przeważnie po domach polskich kursujące, drukowane w Berlinie u Mittelera w r. 1856 pod tytułem już to niemieckim: „Des edlen Geschlechts Bathory von Simolin Wappen-Sago," już to francuzkim: „Les Simolins sont une branche cadette de la célèbre famille des Comtes Bathor en Transsylvanie" i t. p., z których kilka przechowuje się dotąd po bibliotekach, jako ciekawości bibliograficzne. Niemniej charakterystyczną jest uwaga w słynném dziełku zbiorowém: „Album baltischer Ansichten" (Mitau, 1866), pod artykułem

Bardziej stanowczy kierunek przyjmuje polityka piltyńska dopiero wtedy, gdy cesarzowa Katarzyna ujęła jej wątek w swe umiętne dłoń. Wtenczas-to Piltyń został zmuszonym przystąpić do konfederacji litewskiej, a jak czynny w tém brała udział Katarzyna II, tego najlepszym dowodem czotobitne podziękowania sejmiku hazenpockiego, na które głosowano w dniu 14 maja r. 1767 ¹⁾.

Lecz jeszcześmy wcale nie wyczerpali skarbów archiwalnych piltyńskich, dotyczących konfederacji. Oto pismo własnoręczne Fryderyka Wielkiego, z dnia 11 lipca tegoż roku 1767, adresowane: „aux états du Cercle de Pilten,” które również pochwała piltyńczyków za przystąpienie do konfederacji polskiej. Czytamy w niem wyraźnie, że on, król pruski, policzy sobie za prawdziwą przyjemność „de vous comprendre dans la protection que J'ai accordée aux Dissidents.” Został więc już i Piltyń ogniwem tego łańcucha, który odtąd coraz ciśnień ściągano około Rzeczypospolitej, zanim całkowicie życia jej nie odjęto. W Piltyniu zaś dostrojono teraz do stopnia kwestyi europejskiej ów rzekomy ucisk protestantyzmu. Nawet Anglia, jako poręczycielka pokoju oliwskiego, występuje z formalnym oświadczeniem: „że się bardzo interesuje prawami piltyńczyków i że wyraźnie poleciła angielskiemu posłowi, Mr. Wrougham, by one o ile możności popierał.” Wchodzi też Piltyń w układy najbardziej poufne z marszałkiem konfederacji dysydentów ²⁾. Ten zaś obiecuje uroczyście obstawać najenergiczniej za nietykalnością wszelkich praw i swobód piltyńskich.

„Gross Dselden” — majątności Simolinów w ziemi niegdyś piltyńskiej — przez samego wydawcę W. S. Stavenbagena, umieszczona w tych słowach: „Der Aufnahme dieses Aufsatzes in unveränderter Fassung ist auf wiederholten Wunsch des Besitzers von Gross-Dselden nachgegeben worden.”

¹⁾ Pan Teodor Schiemann zwraca pierwszy hacznosc na doniosłość owych hazenpockich podziękowań sejmikowych. Patrz: „Mittheilungen aus dem Gebiete der Geschichte Liv-Est-und Kurland's,” t. XII, str. 304.

²⁾ Na to, że Piltyń już przedtém znosił się wielokrotnie z polskimi dysydentami, oczywiste mamy dowody nietylko w przechowywujących się starannie w archiwum piltyńskim, drukowanych pismach dysydenckich, obecnie niemal nie znanych, ale i w dokumentach rękopiśmiennych, częstokroć nader ciekawych. Z druków dysydenckich przytoczę przechowujące się pod numerem 402: „Jura et libertates Dissidentium in Religione Christiana in Regno Poloniae et M. D. Lithuaniae ex legibus Regni et aliis Monumentis authenticis excerpta Anno Christi 1708, Berolini, ex Typographia Regia” str. 40 in folio minori. Charakterystycznym jest, że to pismo drukowane w Berlinie a mianowicie w drukarni królewskiej. Godnym uwagi jest przechowujący się w archiwum piltyńskim pod numerem 403: „List szlacheica polskiego do Confidentá, w którym się uważa discursus curiosus kalendara poznafskiego na r. 1711 super quaestione: Jezeli Polska, za iedney Wiary kátolickiey, przez 600 lat zázawsze szcześliwie kwitnęła? A zász, od tego Czasu, iáko Dissidenci w niey nastali, dla iohże Religiey rozmaite Nie-

IX.

Następnie deleguje Piltyń do Warszawy dostojnego członka swego rycerstwa, Jmć Pana Kazimierza Ernesta von Derschau ¹⁾. W jaki sposób ów gorliwy poseł sprawę piltyńską prowadzi w Warszawie, wykazuje najdosadniej relacya w dniu 23 sierpnia r. 1768 na sejmiku hazenpockim przez niego złożona. Wyznaje w niej p. Derschau, że prośby powiatu piltyńskiego do króla Jegomości i do polskiego ministra stanu doręczone zostały za pośrednictwem rosyjskiego ministra-rezydenta u dworu warszawskiego, barona von Asch; co zaś do redagowanego w języku łacińskim „Status causae pro Regio Districtu Piltinensi,” takowy w trzech egzemplarzach przez niego samego został doręczonym osobiście ministerstwu rosyjskiemu, wielkiemu posłowi cesarzowej rosyjskiej w Warszawie i marszałkowi konfederacyi, Grabowskiemu.

Następuje żywy opis głośnego sejmu październikowego z r. 1767, na którym się miała załatwić sprawa dysydentów. „Powstał w kraju, tak głosi relacya, silny ruch w obronie dawnych przeciw dysydemtom ustaw i wojskowemu uciskowi obcemu, który wybitniejszych przewodzców między szlachtą pozbawił wolności.” Biskup krakowski, Sołtyk, rozwinął agitacyą tém żywszą, im bardziej mógł się poczuwać do winy stworzenia oplakaney sytuacji ówczesnej. Przy otwarciu sejmu przystąpił król do konfederacyi. Licząc się ze wzburzoną opinią, wniesiono limitę sejmu, t. j. zawieszenie jego czynności do czasu, aż wybrana

szcześcia Oczyszczne ruinami y prławie do zguby przywodzą?” in 4-to minori str. 24 Bez oznaczenia miejsca druku.

Ciekawą w swoim rodzaju jest przechowana tu pod numerem 404 „Bratorska declaratia na Niebraterskie Napomnienie od autora pod imieniem szlachcica Polskiego ad Dissidentes in religione uczynione” (również małe in 4-o bez oznaczenia miejsca druku, zawiera ogółem stronnic 90).

Ze źródeł rękopiśmienuych w teje materyi, przechowanych tu pod n-rami 405—410. przytaczam:

1. Skrypt łaciński protestanckiego synodu birzańskiego z d. 12 maja r. 1721, do Rycerstwa piltyńskiego adresowany.

2. Taką dedukocyą sążnistą w języku polskim pro Dissidentibus z tegoż mniejwięcej czasu.

3. Skrypt dysydentów grodzieńskich do koła rycerstwa piltyńskiego z roku 1717.

4. Skrypt dysydentów kieydańskich z dnia 22 maja r. 1725, do tegoż rycerstwa adresowany, i wiele wyciągów najrozmaitszych, dotyczących wyłączenie wolności wyznań.

¹⁾ Poseł ten Piltyński wkrótce drukiem ogłasza swój łaciński elaborat w téj sprawie p. t.: „Status causae pro Regio Districtu Piltinensi” (Varsovie, 1767) arkusz jeden in folio.

ad hoc delegacya ułoży traktat z cesarzową Katarzyną, prawa kardynalne Rzpłtój przez Rosyą gwarantować się mające, tudzież nową ustawę o dysydentach. Wystąpili przeciw temu wnioskowi z całą siłą: biskup krakowski Sołtyk, biskup kijowski Józef Załuski, Wacław i Seweryn Rzewuscy. Wtedy, w nocy z 13 na 14 października, aresztował ksiązę Repnin czterech głównych oponentów i wywiózł ich pod eskortą wojskową na wygnanie w głąb Rosyi. Krok ten wywołał nazajutrz złożenie kanclerskiej pieczęci przez Andrzeja Zamoyskiego, liczne instancye do Repnina, w końcu zgodę na limitę sejmu (19 października), który miał potwierdzić czynności delegacyi, wybranę wedle woli księcia Repnina. Pod osobistym naciskiem tego wielkiego posła rosyjskiego dokonała delegacya swojej roboty, gdy już sejm ponownie został zebrany. Rzpłta zawierała z Rosyą traktat poddający pod gwarancyą Katarzyny II kardynalne prawa państwa i mieszczący w osobnym dziale prawa innowiercom przyznane. Dział ten, ułożony dnia 24 lutego 1768, nosi tytuł: „Actus separatus Primus, quo immunitates et praerogativae Graecorum Non-Unitorum et Dissidentium, civium et incolarum in ditionibus Serenissimae Reipublicae Poloniae et annexis eidem Provinciis continentur”¹⁾.

Za pomocą Repnina, Panina i Simolina załatwiono sprawę z biskupami na korzyść piltyńczyków. Czytamy bowiem w artykule V-ym, § 1 przytoczonego powyżej działu te słowa: „A nayprzód Powiat cały Piltyński, tak iak się znajdował przed wspomnionym rokiem traktatu Kronenburskiego. nie tylko co do wiary y co do kościołów, ale też co do przemiany natury dobr kościelnych Katolickich w świeckie zostawiemy, y tytuł Biskupstwa Piltyńskiego, bez possessyi żadney w Powiecie Piltyńskim od wspomnionego czasu zaniechany, a potym de anno 1685 do Biskupstwa Inflautskiego przez nominacyą Nayiaśnieyszego Króla Jana III przywiązany, umarzamy. Y z tey nominacyi wszczęty między Wielebnymi Biskupami Inflautskimi a szlachtą Piltyńską process w Sądach Relacyjnych w wieczną niepamięć podajemy; y że Powiatowi całemu Piltyńskiemu, jako sekularyzowanemu, szkodzić w żadnym czasie nie powinien, deklaruiemy”²⁾. Dnia 18 marca roku 1768 mógł już Derschau stolicę polską opuścić, z przeświadczeniem, że cel swego poselstwa całkowicie osiągnął. To też z niewymowną radością przyjęto go w Hazenpocie³⁾. Niezwykłe ukontentowanie piltyńczyków zaczęło się nawet na zewnątrz objawiać. Redagowano pisma

¹⁾ Vol. leg. (wyd. Ohryzki) t. VII, str. 256 — 277. Akt osobny pierwszy, zawierający w sobie wolności, y prerogatywy Greków Orientalnych Nie Unitów, y dysydentów, obywatelów y mieszkańców w Państwach Nayiaśnieyszay Rzeczypospolitéj Polskiej, y w przyłączonych do niey Prowincyach.

²⁾ Vol. leg. (wyd. Ohryzki) t. VII, str. 274.

³⁾ „Mittheilungen aus dem Gebiete der Geschichte Liv-Est-und Kurlands,” t. XII, str. 306.

dzięczynne do Katarzyny II, do Fryderyka Wielkiego, do Danii, do Repnina, do Simolina, a nawet do Sakena, który w owym czasie był postem, czyli raczej delegowanym kurlandzkim w Warszawie.

Czuli się teraz piltyńcy w zupełnym używaniu dawnych piltyńskich wolności i swobód, a Rosya, zwłaszcza w tych pierwszych chwilach radości i ogólnego uniesienia, rozpieszczała formalnie tych nowo pozyskanych przyjaciół. Piltyń zaś coraz bardziej wysilał się na rozmaite dowody swojej wdzięczności. Tak np. w r. 1776, tenże Kazimierz Ernest von Derschau, któremu w części zawdzięczamy opisaną powyżej relacją o sejmie warszawskim, zostaje do Petersburga wysłanym dla wyrażenia Katarzynie II najgłębszej submisji tak rządu, jako i rycerstwa piltyńskiego. Równocześnie poleconóm mu zostało złożyć hołdy i najpokorniejsze życzenia u stóp wielkiego księcia Pawła i księżniczki Maryi Teodorówny z powodu ich zaślubin i wręczyć feldmarszałkowi Rumiancowowi dyplom na indygenat piltyński, do którego dumne miejscowe rycerstwo wielką zwykło przywiązywać wagę. W instrukcyi, jaką wówczas do Petersburga otrzymał delegowany nad Nową dygnitarz rozpieszczonego przez Rosyą państewka, poleconóm mu było wyraźnie, ażeby się starał ustalać interesa Piltynia „er solle suchen die Angelegenheiten Pilten's zu solidiren.”

Derschau'a w grodzie nadnewskim z niezwykłą uprzejmością przyjęto. Przyznano mu charakter posła trzeciej klasy, a Katarzyna zapewnia go o swęj niezmiennęj łasce dla ziemi piltyńskiej. Następnie przesyła mu w darze tysiąc rubli, któremi, jak się zdaje, serce ambasadora liliputowego państewka ostatecznie podbitém zostało. Po śmierci Kazimierza Ernesta von Derschau zastępuje tego przedstawiciela Piltynia u dworu warszawskiego pan Heyking, którego liczne pisma i relacye śledzą dostatecznie za wypadkami w Polsce aż do r. 1786.

Tu na czas jakiś opuszczają nas zupełnie relacye i sprawy sejmikowe piltyńskie, a rozpoczynają się znowu zaledwie za czasów rosyjskich, w r. 1797. Potém już bez przerwy są prowadzone aż do r. 1817, w którym, jakśmy już wyżej wspominali, konstytucyą piltyńską ostatecznie zniesiono i pogrzebiono raz na zawsze ostatnią niezależność piltyńczyków, wcielając ich ziemię do Kurlandyi, w której i obecnie tworzy ona trzy powiaty: hazenpocki, grobiński i znaczną część windawskiego ¹⁾.

X.

Nie opłaca się wcale przedłużać sprawozdanie niniejsze referatem o dokumentach z tego ostatniego okresu, gdyż pod względem historycznym nie mogą one przedstawić nic ciekawego. Natomiast wyznać należy, że z innych oddziałów piltyńskiego archiwum dały się

¹⁾ „Słownik geograficzny ziem polskich,” t. III, (1882) artykuł „Hazenpot” str. 43 i 44.

znacznie uzupełnić przegląd dziejów Piltynia, w pobieżnych zaledwie zarysach tu naszkicowany.

O rozwoju panującego w kraju wyznania ciekawe podaje szczegóły ustawa kościelna z dnia 30 stycznia r. 1622, przechowana w oryginale. W jaki sposób powstała wspomniana ustawa, o tém ciekawy badacz z aktów sejnikowych stworzyć sobie może obraz wierny, który pod wielu względami da się dopełnić przez nagromadzone tu opisy wizytacyi kościelnych (obejmujących lata 1721—1777), tudzież przez zwój aktów, zawierający spory tutejszego duchowieństwa protestanckiego z miastami leżącymi w obrębie ziemi piltyńskiej.

Obraz finansów tego małego państewka przedstawić mogą poważnemu badaczowi przechowane tu obrachowania jego przychodów, rozchodów, powinności i ceł ochronnych, obejmujące lata 1709—1779.

Stosunki prawne piltyńskie malują najżywiej akta spraw sądowych od r. 1654—1774. Dotyczą one przeważnie najrozmaitszych spoliacyi i najazdów. Do bliższego obznajomienia się z prawem piltyńskiem służyć mogą badaczowi: „Quellen des Curländischen Landrechts,” a mianowicie tom I, zeszyt 3, zawierający „Acta Commissionis de anno 1617, oder die so genannte piltensche Regiments-Formel” ¹⁾, tudzież tom I, zeszyt 4 tegoż dzieła; tam bowiem oddrukowano dosłownie ustawy i statuta piltyńskie, a mianowicie: „Gesetze und Statuten von 1611; Modus procedendi in liquiden Schuldsachen, von 1746, Modus procedendi in Restitutionssachen, von 1753, und Nachtrag zu den Acta Commissionis de Anno 1617” ²⁾.

Nader ciekawym jest oddział spraw kryminalnych, zwłaszcza tych, które wytoczone zostały przeciw dziedzicowi dóbr Puhnen, panu Rutenbergowi, za niesłychane okrucieństwa, jakich się ten zamożny piltyńczyk względem swych włościan dopuszczał. Archiwum piltyńskie przechowało je w całości pod numerem 231. Do tegoż oddziału prawnego należą i liczne reskrypta królów polskich (od r. 1614—1782), odnoszące się wyłącznie do ówczesnego wymiaru sprawiedliwości.

Reskrypta książąt kurlandzkich utrzymały się w tém archiwum niemal z lat dwustu, a mianowicie od r. 1590—1794. Są one wszakże w ogóle dość podrzędного znaczenia.

Reszta zawartości archiwum piltyńskiego daje się w krótkich słowach opisać. Są to przeważnie korespondencye landratów o toku

¹⁾ Dr. Rummel „Quellen des curländischen Landrechts” Band I, Lieferung 3, „Die s. g. piltensche Regim. Formel,” (Dorpat, 1848).

²⁾ Dr. Rummel l. l. „Gesetze und Statuten von 1611 etc.” Band I, Lieferung 4, (Dorpat, 1850). Poważniejszym badaczom zalecamy także przejrzanie książki, wydanej w Mitawie w r. 1799 przez burmistrza ryskiego Jana Krzysztofa Szwarca p. t. „Vollständige Bibliothek kurländischer und piltenscher Staateschriften von Johann Christoph Schwartz,” Mitau, 1799 in 8-vo, ogółem stronnic 497.

spraw bieżących, uniwersały królewskie do miejscowego sądu ziemskiego, czyli tak zwanego „Landgerychtu,” konfirmacye na urzędzie landratów, sprawozdania z opiek, spory graniczne, spory o prawo brzegowe i o rzeczy z morza wyrzucane (tak zwana „Strandgerechtigkeit,” a po francuzku „le droit d'épave”).

Akta dotyczące sporów z biskupami tworzą oddział ostatni, w którym się też przechowuje zwój spory, mieszczący w sobie słynne pacta unionis, zawierane aż dwa razy z Kurlandją, najprzód w roku 1660, a następnie w 1685.

Na tém zamykając powyższy przegląd archiwum piltyńskiego, wraz z panem Schiemanem wyznać musimy, iż jest ono istotnie w materiał historyczny dostatecznie zaopatrzoném.

W tym szkicu pobieżnie kreślonym usiłowaliśmy przedewszystkiém wykazać, jak łatwo obecnie dałaby się opracować na danych źródłowych wszechstronnie obrobiona historia biskupstwa, a późniejszego powiatu piltyńskiego. Zbiory, do których cierpliwym czytelnik z nami zaglądał, są nietylko bogate w źródła pamiętnikowe, obyczajowe i obrazowe, ale mało nawet pozostawiają do życzenia w kierunku dostarczenia prawdziwego wątku politycznego drogą poszukiwań archiwalnych. Przytém należy wziąć na uwagę, że pisząc wyczerpująco o stosunkach Piltynia do Kurlandyi, znalazłoby się także niemało ciekawych dopełnień w mitawskim archiwum książęcóm, uporządkowaném ostatecznie przez tegoż niezmordowanego d-ra Schiemana ¹⁾.

W miarę gromadzenia źródeł i poszukiwań źródłowych, mnożą się zwykle pożyteczne monografie i większe historyczne całości, których też w ostatnich czasach nie brakło. Wiadomo zaś dostatecznie, że podobne monografie stanowią zwykły podwalny dziejowy i najrzetelniejsze oddają usługi przeszłości historycznej, a bodaj i przyszłości politycznej kraju.

Jako przyémione i opuszczone ustępy historii krajowej, wskazać wszakże i teraz należy czasy dawnego Piltynia. Wskazujemy więc one **pracą** niniejszą, w pobieżnych tylko zarysach kreśloną, badaczom przeszłości naszej, chcąc tym sposobem do studyów wyczerpujących zachęcić. Przekonani bowiem jesteśmy, że „poważne i wszechstronne badanie dziejów, jako jeden z głównych warunków świadomości społecznej, staje się z dniem każdym silniejszą potrzebą powszechną” ²⁾.

Ryga, w lipcu, 1883.

¹⁾ „Mittheilungen aus dem Gebiete der Geschichte Liv-Est-und Kurlands,” t. XII, str. 308.

²⁾ J. Szujski: „Historji polskiej ksiąg dwanaście,” Warszawa, 1880, str. 429.

Nowe poglądy na elektryczność ziemską,

W. SIEMENS'A.

Pierwszy Saussure dowiódł, że w atmosferze ziemskiej utrzymuje się stale elektryczność dodatnia, której natężenie w ogólności tém więcej wzrasta, im wyżej się posuwamy w atmosferze. Wiele się zajmowano pytaniem, z kąd ta elektryczność pochodzi, i nie można powiedzieć, ażeby ono dotąd było rozstrzygnięte. Wiadomo, że elektryczność tworzy się zwykle przez rozdział, t. j. że powstaje spółcześnie tyleż elektryczności dodatniej co i ujemnej. Skoro tedy w powietrzu znajdujemy tylko dodatnią, to rodzi się naturalne przypuszczenie, że ujemna musi być w ziemi, a proces oddzielania się jednej od drugiej następuje w pobliżu powierzchni ziemi. Pouillet mniemał, że przyczyny tego zjawiska są: parowanie oceanów, zjawiska palenia i utleniania oraz życie roślin. Często atoli powątpiewano o wartości jego doświadczeń w tym kierunku. Nie zostało téż dotąd, co najmniej, stwierdzone przekonanie, że elektryczność w atmosferze powstaje przez tarcie powietrza o ziemię lub kulek pary wodnej o cząsteczki powietrza. Zagadkowość wzmagą się jeszcze, gdy nam przyjdzie objaśnić burze i olbrzymie ich wyładowania elektryczne.

W ostatnich czasach kilku już uczonych starało się wpływem słońca wytłómaczyć elektryczne napięcie atmosfery. Zöllner w swoim dziele o kometach, elektrycznością objaśnia szczególne zjawisko, które te ciała niebieskie przedstawiają, zbliżając się do słońca, t. j. wyskoki z jądra komety, odbiegające od słońca w stronę przeciwną. Bessel przypisywał to odpychającej sile słońca, Zöllner zaś elektryczności na téj podstawie, że przy nadzwyczajném rozdrobnieniu materji w miąższu komet, ich powierzchnia w stosunku do masy jest niezwykle wielką: ponieważ siła elektryczna, przy jednej i téj samej gęstości, wzrasta ze wzrostem powierzchni, a przyciągania materji ze wzrostem masy, przeto przy bardzo wielkiém rozdrobnieniu materji odpychanie elektryczne może otrzymać przewagę nad przyciąganiem mas. Zöllner jednak nie tłómaczy, z kądby pochodziła elektryczność, którą on na słońcu przyjmuje.

Ani jednego dotychczas nie znamy przykładu, w którymby tylko jednoimienna wytwarzała się elektryczność; zawsze powstają przez rozdział obiedwie, i na słońcu, wobec olbrzymich, odbywających się tam procesów chemicznych i fizycznych, rozdział ten prawdopodobnie następuje w stopniu spotęgowanym, ale obie elektryczności muszą się tam już w obrębie atmosfery słonecznej neutralizować; gdyby zaś nawet można było wyobrazić sobie w ciele słonecznym jakiś trwały rozdział obu elektryczności, to i tak na wielką odległość żadna z nich, pojedynczo wzięta, działałaby nie mogła, gdyż druga paraliżowałaby ten wpływ, działając w kierunku przeciwnym. Jeżeli takie działanie słońca z wielkiej odległości np. na ziemię ma nastąpić, to jedna z jego dwu elektryczności musi się gdzieś podziać. Oddawna już mniemano, że ciepło słoneczne powinnyby w skorupie ziemskiej wywoływać zjawiska termo-elektryczne, że przeto w owój skorupie powstają prądy, które się ujawniają w zjawiskach magnetyzmu ziemskiego i w zorzy północnej. Ale i tu występowałyby zawsze jednocześnie obie elektryczności i trzeba by dopiero dowieść, jak się to dzieje, że jedna z nich zostaje odprowadzoną na bok. Jeśli jednak się uda wykazać możliwość jednostronnie elektrycznego napięcia w słońcu; to naraz usunięte zostaną wszelkie trudności wyjaśnienia elektrycznych i magnetycznych na powierzchni ziemi zjawisk.

Zmarły w listopadzie r. z. elektrolog William Siemens, postawił był w tym względzie następującą teorię:

Przestworze, w którym się kąpią gwiazdy stałe, jest wypełnione nader rozrzedzoną gazową masą, która zawiera w sobie wodor, tlen, azot, węgiel, ich związki i ciała stałe w postaci pyłu. Że przestrzeń międzyplanetarna jest wypełniona materją, tego dowodzi fakt, iż materiały spadające na ziemię, zawierają ilość gazów, zwłaszcza wodoru, azotu i tlenku węgla, która sześć razy całą ich objętość przewyższa. Nie można przypuścić, iżby meteoryt mógł pochłonąć tyle gazu z atmosfery przez ten krótki przeciąg czasu, gdy ową atmosferę przebiegał. Zresztą najwięcej bywa w meteorytach wodoru, którego właśnie w naszej powietrzni nie ma. Jądro komet zawiera też między innymi, według spektralno-analitycznych poszukiwań Huggins'a, węglowodory, azot, a prawdopodobnie i tlen. Ma się rozumieć, że są te gazy nadzwyczaj rozcieńczone. Gdyby kto chciał zarzucić, że skutkiem obecności tych ciał w systemie słonecznym szybkość ruchu planet musiałaby uleść zmianie, skutkiem oporu przez te ciała stawianego, to można odpowiedzieć, że w tym systemie każde ciało podlega prawom Keplera i w pobliżu planety jednakowym z nią ruchem obrót koło słońca odbywa, co wyklucza wszelki opór i wszelkie tarcie, mające bieg planet opóźnić.

W bliskości ciał niebieskich, skutkiem silniejszego przyciągania, gazy występują w gęstszym skupieniu i przenikają do ich atmosfer. Na równiku słonecznym wodor, tlen i węglowodory wznoszą się w górę i pod hyżością obrotową, która tu wynosi 2 kilometry na sekundę,

są dalej odrzucane nieprzerwanym tarczowatym prądem, poczem znowu ku polarnym okolicom słońca wracają. Oddalając się od słońca; doznają gazy nadzwyczajnego rozrzedzenia i oziębienia, zbliżając się zaś znowu, podlegają przez ściśnienie podwyższeniu temperatury i spalaniu w fotosferze. Powstaje przytém para wodna, kwas węglowy i tlenek węgla, a produkta spalania, podlegając krążeniu, zostają znowu odrzucone na zewnątrz, unosząc z sobą ciepłik, powstały przez ściśnienie i spalanie. Ciepłik ten byłby dla słońca stracony, gdyby te związki jako takie do słońca powrócić miały. Jeżeli nie ma nastąpić coś podobnego, to po drodze związek chemiczny musi się rozpaść i wytworzyć możliwość wchodzenia pierwiastków, za ich powrotem do słońca, w nowe związki i ujawnienia nowego ciepła.

Związki chemiczne mogą się rozpadać przez dysocjacją, prosto przez podwyżkę temperatury i zmniejszenie ciśnienia. Wiadomo, że para wodna przy zwykłym ciśnieniu i 2800° ciepła nie może już istnieć jako taka, że przynajmniej połowa jej wtedy zamienia się na mieszaninę wodoru i tlenu. Wiadomo także, iż w komórkach liściowych roślin kwas węglany i woda dysocjują się w temperaturze zwyczajnej pod wpływem bezpośredniego światła słonecznego, że też samą dysocjacją wywołać może światło elektryczne, ale światło olejne lub gazowe jej nie wywołuje. Wolno więc przypuścić, że odrzucone od słońca materye, pod niezwykle małym ciśnieniem przestworza, do którego się dostały, mogą uleść i w nizkiej temperaturze od promieniowania słońca dysocjacyi, a przez to nabyć własności ponownego doznania spalania i oddania słońcu ciepła, które mu były zabrały. Tym sposobem Siemens tłumaczy kompensatę tej ilości ciepła słonecznego, które przez promieniowanie słońca zdaje się rozpraszać bezpowrotnie.

Jeżeli teoryą tę uznamy za prawdziwą, to na jej podstawie będziemy też mogli zrozumieć, jakim sposobem słońce może wywierać z odległości wpływ elektryczny. Wyobraźmy sobie ciało słoneczne, jako całość odosobnioną od okrążającego go oceanu płomieni, fotosfery; jednoimienna z dwu elektryczności, powstających przy spalaniu gazów, będzie mu stale towarzyszyła, gdy drugoimienna przejdzie w przestworze razem z odrzuconemi masami. Nic nam nie przeszkadza pomyśleć, że słońce zachowuje ciągle tę jednoimienną elektryczność, a w takim razie, czy to będzie elektryczność dodatnia, czy odjemna, może wywierać odpowiedni wpływ na odległość, czyli, jak dziś się mówi, posiadać elektryczny potencyał. Za tą teoryą toby przemawiało, że zdołałaby wyjaśnić jedno z najważniejszych zjawisk naszej tellurycznej natury, o wyjaśnienie którego dotąd kuszono się na próżno.

Przedewszystkiém dałoby się pojąć powstanie magnetyzmu ziemskiego, t. j. ten fakt, że każdy magnes na pewnym określonym miejscu, skoro tylko ma swobodę ruchów, przybiera pewien określony kierunek i z pewną siłą go zachowuje. Już od 800 lat jest znaném zboczenie igielki magnesowej, t. j. jej odchylenie poziome od kierunku

południowo-północnego, a od 300 dopiero lat znany pochylenie igiełki, t. j. jej odchylenie przy obrocie koło osi prostopadłej do południka magnetycznego. Jakie jest natężenie magnetyzmu ziemskiego, tém zajmują się fizycy dopiero od końca zeszłego stulecia. Że magnetyzm i elektryczność pozostają z sobą w ścisłym związku, o tém dziś, wobec praktycznego spożytkowywania elektryczności, wątpić nie wolno. Odpychanie igiełki magnesowej za pomocą prądu elektrycznego, wytwarzanie magnesów za pomocą tegoż, są zasadą naszych telegrafów, a wytwarzanie elektryczności za pomocą ruchomych magnesów zasadą otrzymywania taniego światła elektrycznego. Jeżeli więc słońce wywiera na ziemię wpływ elektryczny, to musi téż wywoływać na powierzchni ziemi działania magnetyczne i pozostawałoby już tylko dowieść, za pomocą jakich się to odbywa pośrednich ogniów.

Jeżeli na słońcu istnieje nadmiar elektryczności, dajmy na to ujemnej, dlatego, że dodatnia uszła w przestworze, to na powierzchni ziemi, gorzej lub lepiej przeprowadzającej elektryczność, zbierze się dodatnia, byleby tylko ujemna mogła gdzieś ujść. Otóż ta ujemna rozproszy się téż w przestworzu, a odbędzie się to tak, jak się dzieje w miniaturze z izolowaną kulą metalową, gdy ją wystawimy pod wpływ wielkiego przewodnika, naładowanego elektrycznością. Gdy ten wielki przewodnik jest naładowany np. ujemnie, wtedy przyciąga w kuli metalowej dodatnią, a ujemną odpycha. Ponieważ niema takiego ciała, któreby było absolutnie złym przewodnikiem, ponieważ powietrze, zwłaszcza wilgotne, stosunkowo słabo się opiera przenikaniu, jeśli tak powiedzieć wolno, elektryczności, przeto elektryczność odpychana usiłuje tą drogą się rozproszyć, a przyciągana zostaje. Rozpraszaniu elektryczności sprzyja na kuli ziemskiej wielkie rozrzedzenie górnych warstw powietrza, oraz podnoszące się i opadające prądy powietrza zawierającego parę wodną.

Zorze polarne są niewątpliwie prądami elektrycznymi w rozrzedzonych wyższych warstwach atmosfery, zdradzają téż zawsze swoje pojawianie się przez ruchy igiełki magnesowej i przez prądy indukcyjne w drutach telegraficznych. Za zmianami w elektrycznym napięciu słońca pójdą również zmiany w elektrycznej warstwie na powierzchni ziemi: elektryczność dodatnia wyswabadza się lub wiąże z ujemną, ta ostatnia nagromadza się lub rozprasza; elektryczność wyswobodzona spływa do źródła elektryczności, a związana na nowo odeń ucieka. Na granicy atmosfery uwydatnia się prąd w zorzy polarniej, a jeśli wymiana odbywa się przedewszystkiém w okolicach podbiegunowych, to ztąd może wynikać, iż silnie naelektryzowane powietrze okolic równikowych, w górze, podług swego obiegu atmosferycznego pędzi ku okolicom podbiegunowym.

Przyjmuje więc Siemens, że powierzchowne warstwy kuli ziemskiej stają się pod wpływem słońca elektrycznymi. Ziemia się kręci koło swjej osi, ten więc wpływ jest zmienny. Najwięcej elektryczność występuje wówczas, gdy słońce stoi najwyżej, a więc dla każdego pun-

ktu w samo południe, najslabiej o północy. Elektryczny więc „stan,” w jakim się ziemia znajduje, ulega ciągle zmianie w obrocie ze wschodu na zachód: powstają prądy elektryczne. Najpierw te ziemne prądy zaobserwował Lamont w Monachium i teraz badają je ze szczególną troskliwością w Berlinie. Jeżeli z kolei uwzględnimy fakt, że wszędzie, gdzie tylko się objawia elektryczność w ruchu, występują też objawy magnetyczne, że prąd elektryczny wywołuje zboczenie igiełki, to oczywiście pojmiemy, że zachodzi związek między tą wędrującą w naszej ziemi elektrycznością, a powszechnie znaną własnością igiełki magnesowej, przypisywaną t. zw. magnetyzmowi ziemskiemu. Stosownie do prawa odkrytego przez Ampère'a, że gdy obserwator stanie twarzą w kierunku prądu elektrycznego, to północny biegun igiełki, ulegającej wpływowi tego prądu, zbcoczy na lewo, zrozumiemy, dlaczego prądy elektryczne, krążące w łonie ziemi od wschodu ku zachodowi, skierowują północny biegun igiełki ku południowi. Należałoby jednak, co-prawda, poznać szczegółowo prądy pojedyncze, zanim się zdoła dowieść, że zboczenie igiełki jest zgodne z kierunkiem owych prądów ziemnych. Można tu jeszcze i na to się powołać, że oddawna już doświadczenie stwierdziło związek między peryodem plam na słońcu i prawidłowemi w ruchu igiełki magnesowej perturbacyami; boć przecie powstawanie plam słonecznych wiąże się ściśle z gwałtownemi wstrząśnieniami na słońcu, natury mechanicznej i chemicznej, a przeto prawdopodobnie i z genezą elektryczności. Ta ostatnia oddziaływała na elektryczną warstwę w ziemi, a więc i na igiełkę magnesową.

Dla wytłómaczenia zmienności stanu elektrycznego powietrza przyjmował już Lamont, że kula ziemską jest naładowaną ujemnie. Gdy on atoli naładowanie to usiłuje wyjaśnić termoelektrycznym wpływem ciepła słonecznego, to naraża się na ten sam zarzut, jaki można postawić twierdzeniu, że ziemia może być naładowaną elektrycznie przez tarcie. Tymczasem naładowanie takie może nastąpić tylko skutkiem oddziaływania z zewnątrz i usunięcia elektryczności wyswobodzonej przez jej rozproszenie się w przestworzu lub zneutralizowania z materią naładowaną przeciwnie, która w kierunku płaszczyzny słonecznego równika odpyływa. Ziemia więc tworzy tu ze słońcem aparat kondensacyjny, dwa przewodniki są przedzielone swęmi atmosferami i przestworzem, wypełnioném materią nadzwyczaj rozrzedzoną, tak jak dwa metale w butelce lejdejskiej są przedzielone warstwą szkła. Na podstawie téj teoryi warstwa elektryczności, pokrywająca ziemię, doskonale objaśnić może wszystkie te drobne zjawiska elektryczne, odbywające się w naszej atmosferze, które są opisane w podręcznikach fizyki i meteorologii. Pozostaje atoli trudność objaśnienia potężnych objawów elektrycznych, które np. burzom towarzyszą.

Pod tym względem Siemens ucieka się do następujących faktów: Jeżeli do wielkiej kuli, elektrycznie naładowanej, przybliżamy jaki przedmiot, dobry przewodnik, to ulega on wpływowi kuli, która ele-

ktryczność przeciwną swęj własnej w tym przedmiocie przyciąga a jednakową odpycha i gdy ta ostatnia ma dokąd odptynąć, przedmiot ów zostaje trwale naładowany elektrycznością przeciwną téj, jaką posiada kula. Objaw to znany. Jeżeli między kulę a przedmiot wstawimy ekran odosobniony, przeprowadzający elektryczność a bardzo cienki, i umieścimy go bliżej przedmiotu niż kuli, to nie spostrzemy na nim śladu elektryzacji, gdyż kula i przedmiot oddziałują nań w kierunku przeciwnym i z równą w obie strony siłą. Jeśli jednak ekran dotkniemy, to się naelektryzuje przeciwnie niż przedmiot, a jeśli go z przedmiotem złączymy, to się tak samo jak on naelektryzuje i tworzy odtąd część przewodnika.

Chmury w naszej atmosferze są to właśnie takie ekrany. Składają się one z pęcherzyków wody, odosobnionych jeden od drugiego i stosunkowo dosyć między sobą oddalonych. Nie można ich przeto uważać za przewodniki i elektryczność ziemi nie oddziałuje na nie. Ztąd mgła i chmury lekkie nie są naelektryzowane, o czém i z doświadczenia można się przekonać. Gdy jednak ilość pary rośnie, tworzą się nowe pęcherzyki wodne i dawne powiększają swoją objętość, wtedy chmura wzrasta i gęstszą się staje, cząstki jęj zwolna przychodzą w zetknięcie, albo przynajmniej tak dalece jedna do drugiej się zbliżają, że elektryczność, choćby w jaknajślabszym napięciu, może pokonać opór międzycząstkowej przestrzeni. Następuje wtedy w chmurze rozdział elektryczny, tém wyraźniejszy, im wyżej ta chmura się wznosi. Może téż utrzymywać przewodni związek z chmurami leżącými wyżej za pomocą wznoszących się wirów. Mamy zatém jedną warstwę chmur, lub kilka, jedna nad drugą, które za jeden przewodnik uważać można, przyjmujący tylko w dolnej smudze elektryczność przeciwną ziemskiej, w wyższych zaś warstwach jest już wszędzie jednakowa. Może się atoli zdarzyć, że ławica chmur gdzieś na jedném lub kilku miejscach wejdzie w związek z samą ziemią; wtedy ona tworzy część tego przewodnika co i powierzchnia ziemi i jego elektryczność przybiera, podczas gdy górne warstwy chmur, nie połączone z ziemią, podlegają jeszcze rozkładowi elektrycznemu. Najpospoliciej takie połączenie chmury z ziemią następuje na stokach wysokich gór, których chmury się dotykają.

Według tego poglądu elektryczność nie odgrywa żadnej roli przy tworzeniu się chmur burzonośnych; tworzą się one skutkiem ruchów powietrza w górę i na dół, skutkiem mieszania się powietrza zimnego z ciepłym i wilgotnym. Powiększając się i zgęszczając, stają się łatwo elektrycznymi albo przez oddziaływanie, przyczém błyskawice i gromy w kierunku ziemi sprawiają wyrównywanie, albo przez połączenie z ziemią, a wtedy błyskawice przebiegać muszą od chmur do chmur.

Tym sposobem również da się objaśnić powstawanie gradu. Jeżeli skutkiem lokalnego nadgrzania blizkich ziemi warstw powietrza powstanie lokalny, wznoszący prąd wraz z deszczem, to może się zda-

rzyć, iż hyżość prądu będzie większa od hyżości spadania kropli wody w powietrzu. Średniej wielkości krople deszczu spadają z hyżością 3 — 4 metrów i szybciej już spadać nie mogą, bo sprzeciwia się temu opór powietrza. Powietrze, płynące do góry, unosi z sobą swój ciepłik a przytém jest mocno rozrzedzone, ciągle więc utrzymuje popęd w górę a nawet go potęguje. Porywa więc z sobą również w górę, w zimne warstwy, owe krople wody i te tam w górze marzną w kulki gradowe. Skutkiem szybkiego powiększania objętości przy zmniejszeniu ciśnienia ku górze i skutkiem odpowiedniego rozszerzania się na boki przyspieszonego prądu powietrza, sąsiednie warstwy powietrza, względnie wilgotne i zimne, wyższe ulegają ruchom wirowym o osi poziomej, które się kombinują z wirem podnoszącym się, wirującym koło osi pionowej. Gwałtowny ruch wirowy, któremu przez to ulegnie spokojny dotąd i oziębiony ocean powietrzni, wywołuje w nim nagłe tworzenie się wody i lodu. Wiry o osiach poziomych mogą przytém dochodzić wielkich w swęj średnicy rozmiarów i kulki lodowe podnosić kilkakrotnie w sferę temperatury lodowej, aż nareszcie one staną się tak ciężkie, że spadają na ziemię jako grad, lub, po przebyciu niższych, cieplejch warstw powietrza, jako zimny dęszcz.

F. S.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Zmarły historyk Henri Martin. — Dramatyczny poemat „Wercyngetoryka.” — Uroczystość akademicka: przyjęcie pana Pailleron. — „Francuzi w Polsce,” konferencya pana Jasiewicza. — Wystawa w muzeum botaniczném: ryby i zoofity odkryte na dnie morskiém. — „Historya uzonego przez nieuka.” — Postęp w zastosowaniu metod Hoëne Wrońskiego. — Obrazy pana Merwarta na wystawach w Bostonie i Nicci. — Apoteoza Gustawa Doré, przez pana Motty.

We dwa dni po wyprawieniu ostatniej kroniki naszej, umarł znany historyk Henri Martin. Dwa miesiące ubiegło od téj chwili: wieść o skonie wytrwałego pracownika okrążyła już oddawna świat, zajmujący się rozwojem myśli ludzkiej; czujemy się przecież w obowiązku rozpocząć kronikę dzisiejszą wspomnieniem zasłużonego pisarza i gorącego patrioty, któremu ten patriotyzm nie przyćmiewał zdrowego poglądu na sprawy świata.

Zmarły historyk wiernym pozostał tak w przekonaniach jak i w uczuciach raz powziętych. Do niego nigdy, jak do tylu innych, niewyłączając samego Micheleta, nie można zastosować słów, rzeczonych niegdyś do Klowisa, a dziś zamienionych w przysłowie: „Nienawidź to coś umiłował, umiłuj to coś nienawidził!” Henri Martin pozostał do końca żarliwym przyjacielem kraju naszego: w błędzie są ci, którzy inaczej utrzymują.

Nie pora i nie miejsce dziś dla nas, zdawać sprawę z licznych prac historyka, ogarniających zarówno dzieje Francyi jak i historią dalszych ludów, złączonych z Francją węzłem wspólnego rodowodu i wspólnej aryjskiej cywilizacji. Te ostatnie prace, ztąd na szczególną zasługują uwagę, że patriota francuzki, pierwszy z pomiędzy żołdaków swoich znalazł w gorącym sercu dość siły, aby ogarnąć uczuciem wszystkie jednoplemienne ludy, i odnowić myśl europejskiego patriotyzmu, myśl podjętą niegdyś przez Henryka IV i ministra Sully, a dążącą do sprzężenia węzłem solidarnym, wszystkich ludów cywilizacji europejskiej.

Francya szarpana walką wewnętrzną nie łatwo może dziś zdo-

być się na bezstronne ocenienie prac znakomitego historyka. Ledwie że Henri Martin zamknął oczy, sypnęły się po dziennikach i przeglądach najsprzeczniesze sądy o nim. Podczas gdy jedni podnosili go do apoteozy, drudzy odmawiali mu wszelkich zasług, najmniejszego nawet talentu, zowiąc go prostym kompilatorem. Znalazły się przecież wpośród téj wrzawy dziennikarskiej umiarkowane głosy, które spokojnie bez uniesień, z godną pochwałą trzeźwością, podniosły wielką wagę jego prac i położonych zasług. Do tych to bezstronnych krytyków należy Józef Reynach. Ktokolwiek czytał „Historią Francyi” Henri Martin, czy to w wielkim zakresie, objętą w siedmnastu tomach, czy zredukowaną do pięciu tomów w popularném wydaniu, ktokolwiek, mówię, czytał tę historią, musi przyznać że Reynachwybornie zrozumiał i ocenił historyka.

Powtarzamy tu ocenienie krytyka francuzkiego, obawiamy się bowiem, aby niektórzy z czytelników naszych, wiedząc jak silne związki przyjaźni łączyły nas osobiście ze zmarłym, nie chcieli pomawiać nas o stronność w zapatrywaniu się na jego prace.

„Henri Martin, mówi Reynach, jako historyk a nawet jako kronikarz, nie stoi w pierwszym rzędzie: nie posiada głębokości filozoficznej Guizota, wytworności dyplomatycznej Migneta, wojskowej werwy Thiersa, wyobraźni poetycznej Augustyna Thierry, ani twórczej potęgi Micheleta. Ale jako patriota przewyższa tych wszystkich, którzy od siedmdziesięciu lat wzięli sobie za cel, dać poznać Francją francuzom. W historyku widzimy przedewszystkiem obywatela.

„Historyk to sumienny i przenikliwy: ogarnia szeroko swój przedmiot, pojmuje najsprzeczniesze charaktery, czerpie z najwiarogodniejszych źródeł, odtrąca pogardliwie płochą anegdotę; styl jego silny, jednolity. Dwa tomy, które poświęcił Galii przed Cezarem, epoce Merowingów, i Karolowi Wielkiemu, opowieści z wojny stuletniej i wojen religijnych, wreszcie ustępy dotyczące polityki Richelieu’go, Mazariniego i Colberta, a szczególniej świetne stronnice, na których z końcem każdego wieku, określa ruch umysłowy epoki, pozostaną dla przyszłości drogocennym pomnikiem.”

Po takim wstępie Reynach stawia wyborną paralellę Micheleta i Henri Martin. Cały ten ustęp zasługuje na uwagę, nietylko jako trafne ocenienie zmarłego, ale jako wzór wytrawnej i bezstronnej krytyki. Przytaczamy go tutaj.

„Michelet w historii swojej widzi jedynego bohatera, lud: nie jest nim naród w całości swojej, począwszy od króla aż do najprostszego robotnika, czy to na roli, czy przy warsztacie; to raczej cała ludność pracowita, złożona z uboższych ziemian i mieszczan (bourgeoisie), z literatów, z artystów, z biednego gminu; słowem, to ów lud, który przez czternaście wieków mozolił się dla monarchii, a potem dokonał reformy i przewrotu politycznego. Henri Martin więcéj rozumiał. Demokrata i republikanin, zarówno jak Michelet, jak on miłuje lud gorąco, ale bohaterem jego dzieła nie jest tylko stan trzeci,

raczej cały naród francuzki ze wszystkiém, co w skład jego wchodziło. Michelet na każdej karcie swój historii, występuje jako adwokat małego przeciw wielkiemu, słabego przeciw silnemu, chłopca przeciwko panu, poddanego przeciw królowi. Henri Martin nie zapomina nigdy, że i król i pan, jakkolwiek ciężyc mogła ich władza, są także francuzami, praojcami francuzów, a jako tacy stanowią część nieodłączną państwa narodowej: nie widzi w nich nigdy nieprzyjaciół. Pisząc historię Francji, okazywał się zawsze dbałym o cześć wszystkich francuzów, nie chciał, aby pióro jego w przeszłości nawet dostarczyć mogło wrogom argumentów do znieważania drogiego mu kraju. Nie oślania on nigdy prawdy, nie patrzy stronniczo na błędy jednych, na przestępstwa drugich, sądzi surowo tak rzeź nocy bartłomiejowej, jak dragony i morderstwa teroryzmu, ale chłosta widocznie mu jest przykra; w każdym stronnictwie umie wyższe uszanować pobudki. Radby we wszystkiem odkryć dobrą stronę, widzieć we wszystkich gotowość do ofiar dla wspólnej matki, a jeśli odstąpi kiedykolwiek jakąś usprawiedliwiającą okoliczność, nawet w ciemnościach, znajduje w tém radość prawdziwą. Pomijając Richelieu'go, którego Michelet, idąc w ślad za Wolterem, za Alfredem de Vigny i Wiktorem Hugo, osądził w najlekomyślniejszy sposób, a którego Henri Martin mieni „największym z mężów stanu, nieporównanym kardynałem,” z niemujszym umiarkowaniem wyraża się o Katarzynie Medyceuszce, o Henryku IV-tym, o Ludwiku XIV-tym, o koryfeuszach rewolucji, o Napoleonie. Że Francja, równie jak wszystkie wielkie narody, miała chwile słabości i upadku, historyk musi wiedzieć o tém; ale pokorny syn nie popełni zbrodni Chama, nie będzie urągał ojcu własnemu, a jeżeli ktoś uczyni to wobec niego, zgromi surowo świętokradcę.

„Patryotyzm jego to przedewszystkiem miłość synowska, a jego historia, to piękny pomnik tej miłości. Okiem gorącego patryoty patrzy on na każdą epokę dziejową, pragnie, aby czytelnicy francuzcy wszędzie i zawsze dumni byli z Francji, tak w wielkie dni tryumfów i chwały, jak w bolesne dni klęsk i upokorzenia. Henri Martin, jak wyznaje sam, nie odnowił żadnego okresu dziejów naszych, nie rzucił światła w głąb odwiecznych grobowców, ale jeśli nie należy do liczby tych wybranych, co wieszczym porwani duchem, odbudowali z gruzów przeszłość, spełnił za to inne równie piękne zadanie. Jeśli inni wrócili życie zmarłym bohaterom historii naszej, on rozgłosił w pośród tłumów dobrą wieść o ich zmartwychwstaniu i rozpowszechnił ich imiona. Porównajmy naprzykład obraz Joanny d'Arc u Micheleta, z tymże obrazem pióra Henri Martin, który z dwóch pisarzy lepiej spopularyzował tę świętą postać, kto po klęskach strasznego roku, uczynił z niej anioła opiekuńczego nieszczęśliwej ojczyzny. Henri Martin, nikt nie zaprzeczy temu!

„Michelet, dodaje Reynach, jakkolwiek mu głównie lud na myśli, nie jest przecież pisarzem popularnym. Ten jedynie, kto wiele czytał i rozmyślał, potrafi go zrozumieć i ocenić. To przedewszys-

tkiem artysta, częstokroć wyrafinowany, niekiedy dziwaczny a nawet chorobliwy. Henri Martin przeciwnie, zawsze jasny i prosty, mimo formy akademickiej, jaką przyjął, pisze dla prostych ludzi. To wieśniak pikardzki, zdrów na ciele i umyśle, a lud nasz lubi nadewszystko pisarzy zdrowych, nie smakuje wcale w abstrakcyach. Michelet acz realistyczny w wyrażeniach, jest abstrakcyjnym pisarzem, zbyt długo „wsluchiwał się w pieśń zaklętego ptaka.” Henri Martin to prawdziwy Gal, nieodrodny syn tej bujnej ziemi, w której leżą zagrzebane dzieje narodu, gdzie wino kipi w sercach. Świat germański nie pociągnął go swojemi legendami. Potrzeba mu przedewszystkiem ścisłej rzeczywistości, szczerzej prawdy, gorącego życia. Dla tegoż że jest prawdziwym francuzem, synem prawdziwej Francyi, wniknął prosto do serca ludu, a w bibliotekach ludowych liczy jego historia popularna dwadzieścia razy tylu czytelników, co historia genialnego Micheleta. Takie to prawo zdobył sobie do wdzięczności potomnych, tego prawa przyszłość nie zapomni, wówczas nawet kiedy jego księgę zastąpi inna księga; on bowiem więcej niż ktokolwiekbądź, uczynił Francją popularną we Francyi. Po krwawych zatargach 92-go roku, nowa Francya oddarła się gwałtem od dawniej; bezdenna przepaść stanęła między niemi. Henri Martin pierwszy rzucił most na tę rozpadlinę! Na głos jego Francya zrodzona z rewolucyi, obróciła się ku Francyi Ludwika IX, Joanny d’Arc, Bajarda, Henryka IV i Turenusza, uznała ją za matkę i jak matkę ją ukochała!” Historyk-patriota ogarnął miłością wszystkie chwile dziejowe, z każdej wysnuć umiał przedzę szczerozłotą, jakiej drudzy nie dopatrzyli, zaślepieni stronniczym uprzedzeniem. Była jednak epoka w przeszłości narodu, droższa mu nad inne, widział w niej bowiem idealny myt przewodniczący Francyi w długim paśmie ubiegłych dziejów, wskazujący przyszłą jej drogę. Tą gwiazdą przewodnią była w oczach historyka starożytna Galia, owa poetyczna Galia, przesiąknięta na wskroś religijnym uczuciem, pełna wiary w pozaświatową przyszłość, gotowa zawsze wytoczyć krew nie tylko w obronie własnych ognisk, lecz dla wielkiej idei, dla tryumfu prawdy i sprawiedliwości w świecie.

Z miłością Henri Martin maluje tych protoplastów ludu francuzkiego, opierając się w braku innych dowodów na świadectwach wrogich im greckich i rzymskich kronikarzy pełnemi życia barwy; kreśli obraz tych konnych zapaśników, z długim na wiatr puszczoneym włosem, strojnych w jaskrawe szaty, okutych w miedziane, połyskujące zbroje. Pokazuje nam ich, jak przebiegają świat, jak ze szczytu Alp i Pirenejów rzucają się na Europę od krańców Iberyi po brzegi Euksynuu, jak rozsiewają trwogę, burzą warowne grody, palą Rzym, zalewają Grecją i jak nieustraszeni wobec potężnych, gotowi zawsze biedz na pomoc słabemu, otaczają współczuciem nieszczęśliwych, rzucają się z zapałem na przygody, walczą więcej dla chwały niż dla łupu, szermierzą dzielnie sarkastycznym żartem, równie jak ostrą szablą, otacza-

ją niewiastę czią i poszanowaniem, słowem, są już rycerzami nim rozkwitły czasy rycerstwa.

Wszystkie te cechy plemienne historyk uwydatnił w bohaterskiej postaci Wercyngetoryksa. Młody ten gal, wychowaniec wrogiego Rzymu, usiłujący sprządz w jedność ludy celtyckie, powściągnąć bezrząd, smutne następstwo wyuzdanj wolności, ostatni ten zapaśnik konającego społeczeństwa, który nie mogąc już ocalić Galii, krwią własną okupił ją od pomsty Cezara i wskazał jój na przyszłość nową drogę, młody ten gal, powtarzamy, to najwyższy ideał historyka, to według niego wiekuisty prototyp francuzkiego narodu.

Wielu krytyków widziało prostą fantazyą w tém zakochaniu się H. Martin'a w tym galskim druidyzmie. W ich oczach Henri Martin uchodził za dziwaka i zwano go żartobliwie Druidą. Nie fantazyja przecież kierowała badaczem, ale raczej gorący patryotyzm, a co więcj ów patryotyzm europejski, do którego podniósł się, badając dzieje Europy w najdalszych jój krańcach, poznając prawa i potrzeby aryjskich ludów, odróżniając te ludy od plemion odrębnej cywilizacji. Badania te rozszerzyły widnokrąg historyka, widział on niebezpieczeństwo grożące nie tylko Francji, lecz całej Europie; to też z miłością pokazywał narodowi swemu, jedność tradycji nadniemeńskich i naddnieprzańskich z tradycjami starych galów. Ztąd także na kongresie archeologicznym w Bretanii r. 1869, zwracał uwagę uczonych starożytników na prace W. A. Maciejowskiego, dotyczące formacji społeczeństw europejskich.

Pod wpływem tych etnograficznych badań, Henri Martin napisał historiją popularną Francji, dzieło wyższego jeszcze znaczenia od wielkiej pracy dawniej już wykonanej. Tu pokazuje on konieczność ścisłego połączenia ludów Europy, w obec najazdów Attyli, Dzingisłana i innych biczów Bożych. Tu patrząc z boleścią na upadek ducha w własnym narodzie, na rozprzężenie religijnych węzłów, stawia przed oczy francuzom dzielnych praojców galskich, wskazuje zbawczy środek w powrocie do dawnych tradycji. Owe starogalskie tradycje uświęcone duchem chrześcijańskim, dają mu niechybną rękojmię odrodzenia narodu. „Gallowie, mówi on, uznawali już w duszy ludzkiej pierwiastek, dążący do coraz wyższego doskonalenia; chrześcijaństwo rozwinał go do najwyższej potęgi. Prąd czasu nowożytny przeniósł ten pierwiastek od jednostki do społeczeństwa, od człowieka do obywatela, do ojczyzny. Nie zginął żaden naród chrześcijański, nowożytnie bowiem narodowości posiadają niesłychaną siłę odradzania się, powstają z najgłębszego upadku, przeżyć mogą tysiące, napozór śmiertelnych pocisków.”

Tą wiarą ożywiony Henri Martin, nie upadł pod ogromem klęsk, jakie przed dwunastu laty runęły na Francją. Bez względu na poduszły wiek i obowiązki senatora, brał udział we wszystkich zawiązujących się towarzystwach, przewodniczył młodzieży i słowem i przykładem, rozbudzał w niej miłość ojczyzny. Poraz ostatni przemawiał publicznie przy uczcie gimnastyków nadsekwańskich na miesiąc zaledwie

przed śmiercią. Radosnym okiem patrzył na ćwiczenia młodych atletów, podziwiał ich zręczność i siłę. Głosem zdławionym łzami, z żywą, właściwą mu gestykulacją, wskazywał młodzieży ciężące na niej obowiązki. „Wszystko—rzekł—winniście poświęcić dla Francyi: i czas, i złoto, i dumę osobistą, i widoki na przyszłość, i krew aż do ostatniej kropli. Siła panuje dziś nad prawem, do was należy siłę uczynić sługą prawa, i przybliżyć tryumf sprawiedliwości!”

Henri Martin nie posiadał daru wymowy, tak zwykłego Francuzom. Głos miał twardy; słowa szarpane wyrwały się z jego piersi jakby iskry z ogniska. Porywał jednak słuchaczy zapałem, jaki go ożywiało. Dorodna, typowa postać wyróżniała go w tłumie. Wysoki, zawsze wyprostowany, rysy miał kształtne, oko ciemne, płomieniste, cerę mocno zarumienioną, lecz złagodzoną śnieżnym włosem. Tak wyglądać musieli starożytni druidowie galscy, których obraz kreślił z taką miłością. Nie pozował on jednak na druida: zawsze ten sam, czy to w publiczném wystąpieniu, czy w poufnym roznowie, wszędzie i zawsze wyrażał się z ogniem, bo dusza jego pełną była szczerego zapału. Stały w uczuciach czy to dla osób, czy dla idei, nigdy im się nie przewierzył; okoliczności zmuszały go w ostatnich czasach do milczenia, ale nie wydobyły nigdy z ust jego fałszywej doktryny, przeciwniej raz powziętym przekonaniom.

Pogrzeb Henri Martin'a odbył się wspaniale kosztem Republiki; odbył się, jak wiadomo, według protestanckiego obrzędu, stosownie do woli zmarłego. Przykrém było dla katolików to odstępstwo od kościoła; nie mogła ich zadowolić manifestacya uczuć ogólnie chrześcijańskich, wyrażona w testamentie. Niemniej przecież, owa manifestacya chrześcijańska, obrażała dzisiejszych zwierzchników Francyi, prowadzących tak zawziętą i systematyczną walkę przeciw wszelkim zasadom religijnym. Mogliż znieść obojętnie protestacyą historyka przeciwko ich dziełom, ci, którzy w tym właśnie roku, postanowili obchodzić pompacyjnie stuletnią pamiątkę śmierci Diderota, twórcy haniebniej formuły:

..... Et des boyaux du dernier prêtre
Serez le cou du dernier des rois!

Rozmówiony w tradycjach galskich, Henri Martin pragnął upowszechnić je bohaterskim dramatem. Z ostatniej walki galów przeciw Cezarowi, wysnuł dramatyczny poemat p. t.: „Wercyngetoryks;“ wydał go w roku 1865. Utwór to znakomity. Jeżeli pod względem warunków scenicznych, lub téż formy wiersza, surowi krytycy mogli uczynić niejakię zastrzeżenia, uznali przecież wielką potęgę dramatyczną w zestawieniu dwóch idei, wstrząsających światem zarówno dziś jak i dwadzieścia wieków temu. Te dwie idee władzy i wolności, uosobił autor w dwóch bohaterach dramatu: jednym z nich Cezar, drugim Wercyngetoryks.

Przytaczamy ustęp z aktu czwartego. Galowie pokonali rzy-

mian pod Żergowią. Zwycięzki Wercyngetyryks, aby uniknąć dalszego krwi rozlewu, wysłał do Cezara gońca z różczką oliwną, pragnie sam stanąć przed nim, ułożyć warunki przyszłej zgody. Cezar powściąga gniew; z udanym spokojem przyjmuje tryumfatora, celem jego zyskać na czasie. Wyprawił on Labienusa do germanów!... Jeśli barbarzyńcy przybiegną mu w pomoc, Rzym pomści hańbę, ujarzmi Galię i rozpostrze władzę nad światem.

Dwaj wodzowie stanęli w obec siebie.

CEZAR (*do Wercyngetyryksa*).

Mów pierwszy:—ta chwila

Twój przewagi nademną daje ci to prawo.
Przychodzisz tu młodzianie uwieczniony sławą.
Jak dźwigniesz los, co świetną drogę ci otwiera?
To szkopuł rosnącego w chwałę bohatera!
Mów!

WERCYNGETORYKS.

Cesarze, posłuchaj z ust mych słów pokoju,
Nie była na nie pora, póki w krwawym boju
Parła Belga z Helwetą moc twa niezwalczona,
Póki kark wolny gięły celtyckie plemiona,
Ujarmione twym mieczem! Dziś, mogę rzec słowo,
Bez poniżenia gallów; Cesarze, tą mową
Nie obrażę czci twojej! Z twych pęt rozwiązani,
My dziś wolni, bez pana, nie twoi poddani,
Lecz tyś zawsze Cezarem: olbrzymie twe ramię,
Choć twardego mych ludów oporu nie złamię,
Nie mniejszy z twego czoła bije promień chwały;
Przed blaskiem twoich czynów świat korzy się cały:
Przebrnąłeś Alpy zimą, przez śnieżne zakopy,
Przez przepaście nietknięte śladem ludzkiej stopy.
Twe orły z gór jak burza spadły w kraj szeroki;
Jednym tchem wód spienione przebrnąłeś potoki,
Nasze grody skruszone twą krzepką prawicą,
Szły w gruzy... O! zaprawdę! wieki się poszczycą,
Że wydały Cezara! Lecz wodzu, w tej dobie
Lud, olbrzymi zapaśnik, wystąpił wbrew tobie,
Bez tchu, bez sił, pogrążon już w pleśni grobowej,
On powstał i zwycięzko rozkuł swe okowy,
I z iskry, co przetrwała w głębi jego ducha,
Płomień życia i chwały silnie dziś wybucha;
To, o co się Druidów zabiegi skruszyły,
Wykonał Cezar mieczem, on wskrzesił w nim siły!
Lud sprzężon świętym węzłem, dziś, w wolności imię,
Jednego zapaśnika widzi tylko w Rzymie!

By z kraju nienawistne wypłoszyć rzymiany,
 Z płomieniem puszcza grody i kłosiste łany;
 Łącząc z mężstwem przezorność, umieją dziś galle
 Krok za krokiem do celu podążać wytrwale;
 Pod jarzmo wodza sami poddają dziś głowy,
 By wieczną kupić wolność za przymus chwilowy!
 Tak, gallowie dziś wielcy, przyznaj sam, Cezarze!

CEZAR.

Nie!... jeden gall jest wielkim na całym obszarze
 Tej ziemi; jam cię sądził zbyt pysznym: twe słowa
 Dowodzą, żeś zbyt skromny!... z tobą siła nowa
 Wstąpiła w lud twój stopą zwycięzcy zdeptany,
 Niszczysz jednym zamachem rozległe me plany,
 Twe ramię niedobitków w dzielny zastęp spręga,
 Groźna pod tchnieniem twojém powstaje potęga,
 Ty sam przeznaczeń gallów trzymasz w ręku szalę.

WERCYNGETORYKS.

Nie!... przezemie to raczej wszystko tworzą galle.

CEZAR.

Orla twoja żrenica nie olśniona chwałą:
 Zabezpieczyć fortunę zręcznie ci przystało!
 Niejeden w pierwszym boju wódz przemógł nad Rzymem,
 Lecz każdy legł w ostatnim zapasie z olbrzymem.
 I Annibal nad Tybrem już rozbił obozy,
 Na widok jego słońców Rzym wstrząsł się od grozy,
 Lecz wnet zmienna fortuny zważyła się szala,
 Trucizna ocaliła wolność Annibala;
 Jugurta był też wielkim, długo losu dary
 Sprzyjały mu, aż w końcu...

WERCYNGETORYKS.

W głąb czarnej pieczary
 Rzym pogrążył go żywcem!...

CEZAR.

Ostrzeżon ich klęską,
 Uniej w porę powstrzymać prawicę zwyciężką.
 Choć mnie zwalczysz, wnet siły nadciągną tu nowe,
 Droga, com ją wydeptał przez Alpy lodowe.

WERCYNGETORYKS.

By nas przemódz dziś, Rzymu siły już nie starczą,

Wiész o tém, kiedy obcą zasłaniasz się tarczą,
Gdy na kark nam germańskie sprowadzasz zagony.

CEZAR (*żywo*).

Wszak do tego mnie zmusił twój opór szalony!

WERCYNGETORYKS.

Wiész sam, że odtrącając galle od przymierza,
W niebezpieczne Rzym ręce swe losy powierza;
Bądź ostrożny, Cezarze... wybór to złowrogi!
Zaparte przez Maryusza otwierasz znów drogi,
Te drogi na Rzym wiodą, a ręka twa burzy
Niebacznie święte szczątki odwiecznych przedmurzy;
Dawnoż Cymbr z Teutonem wskazał wobec świata,
Że Rzym, co dziś brzemieniem narody przygniata,
Może z rąk puścić berło ciężące ludzkości!

CEZAR.

Cymbrów i Teutonów zbielały już kości,
Ich proch nasze winnice pół wieku zawala.

WERCYNGETORYKS.

Długo jednak wątpliwa chyliła się szala,
Nie zawsze Maryusze ma Rzym lub Cezary!

CEZAR.

Tak daleko ja państwa rozpostrę obszary,
Że nigdy barbarzyniec tych Alp nie posiędzie.

WERCYNGETORYKS.

I ja rzeknę: Cezarze, wstrzymaj się w zapędzie,
Jeszcze pora!... trwałemi złączmy się ogniwy,
Na głos mój galle z ręki miecz wypuszczą mściwy,
Naszych grodów w zwaliskach, naszych siół w perzynie
Przepomnim ci, Cezarze, i téj krwi, co płynie...
Wśród krajów naszych Alpy wznoszą białe szczyty,
Snać bogowie dźwignęli te olbrzymie płyty,
By pod tarczą ich kwitła nasza ziemia święta;
Na ogniwa przyjaźni przekuj twarde pęta,
Co krępują kark wolnych, różni obyczajem,
Różni duchem i mową, lecz zbratani wzajem
Węzłem odwiecznych podań, i węzłem krwi blizkiój,
Wyniańczeni pospołu wśród jednej kołyski,

Złączmy się w jednym celu,—przy wspólnej pomocy
 Idźmy od Alp, od Renu, ku krańcom Północy,
 Z tych stropów barbarzyński powiew na świat zionie,
 Obie nasze ojczyzny powódź ta pochłonie,
 Gdy w działaniach, bratniemi rozdzieleni spory,
 Wylewom dzicz północnych nie stawim zapory.
 To dzieło godne ciebie! Tak, wielki Cezarze!
 Ja wierny sprzymierzeniec pójde z tobą w parze,
 Będę żołnierzem twoim;... Północ nas przygniata.
 Zostaw gallów wolnymi, a bądź zbawcą świata!

CEZAR.

Umiesz dzielnie szermierzyć i mieczem i słowy,
 Twórczy duch cię prowadzi w tór przyszłości nowój,
 Lecz to próżne marzenia!... pomysły zuchwałe.
 Na pewniejszej podstawie zbuduj przyszłą chwałę.
 Postuchaj mnie Celta: śmiertelny rak toczy
 Serce ojczyzny twojej!... zwróć nań pilnie oczy.
 Ten rak nie mojem dziełem, nie zleczyć go tobie!
 Kraj, przez ciebie dźwigniony, musi legnąć w grobie:
 Tyś spoił serca gallów dzielneimi ogniwy,
 Lecz cóż będzie po tobie? co mówię... ty żywy
 Ujrysz gmach ten, zlepiony twą prawicą młodą.
 Podkopany zepsuciem, zburzony niezgodą,
 Żywotność barbarzyńska już wysycha do dna
 W sercu twych starych gallów;—pierś ich krwi nie głodna,
 A jednak, promień światła nie wyzwał w zapasy
 Pomroku, co przystania wasze ciemne lasy,
 Dobroczynny wpływ nauk jeszcze wam nieznany,
 To powolne, to groźne do zbytku twe plany
 Zniszczą w samym zawiązku dzieło rozpoczęte...
 Ojczyzna twoja kona!

WERCYNGETORYKS.

Wąż, godło jój święte,
 On co rok z dawnój skóry w nową się odradza.

CEZAR.

Człowiek nie ma tój siły...

WERCYNGETORYKS.

Próżno Rzym sprowadza
 Hordy dzikich germanów, próżno w pierś nam godzi,
 Gallia wszystko przetrwa!...

CEZAR.

Ona się odrodzi,
 Lecz wprzód skonać powinna... Tak, Rzym ją pochłonie.
 Rzym, który sto narodów piastuje w swém łonie;
 Wam pierwsze po latynach miejsce w nim należy,
 Wszystko wszystkim otworzyl... u Tybru wyrzeży
 Wnet zasiądę do rady w senatorskiej todze
 Z puszczoneń na wiatr włosem dzielni gallów wodze,
 Aż zadrgnie stare Forum... O! wielka to chwila!
 Nie dawno, ja tron gallów miałem dla Celtila,
 Lecz wspanialszy dziś zaszczyt za berło mu stanie,
 Obywatelem Rzymu bądź zacny młodzianie!
 Niech gal zamrze dziś w tobie, a świat ci otworzę,
 Będziesz synem Cezara... i... następcą może.

WERCYNGETORYKS.

My przedzierzgnąć się w rzymian! *(wskazuje w niebo)*.
 Tam ojcowie starzy
 Odtrąciliby synów!

CEZAR.

Cóż się tobie marzy?
 Panuj ze mną na ziemi, niech ojce śpią w grobie!

WERCYNGETORYKS.

Ja mówię o wolności, Cezarze, gdy tobie
 W myśli tylko zdobycz i na ludy pęta!
 Sprzymierzmy się jak równi, lub walka zawzięta,
 Walka na śmierć!...

CEZAR *(z gniewem)*.Celtilu!... *(spokojnie)*.

Przez Alp lodowiska
 Mamże wstecz wieść kohorty? Odkąd świt połyska
 Nad Rzymem—gdy Romulus w grubym wieków mroku
 Mienił gród swém imieniem, Rzym nie cofnął kroku!
 To szaleństwo!... *(wchodzi Goniec)*.

GONIEC.

Cezarzel

CEZAR.

Któż śmie?... widzę gońca!

GONIEC *(podając list)*.

Jam od Labienusa...

CEZAR (*żywo*).

Daj! (*czyta*).

O zmroku słońca,

Nadciągną tu germanów niezliczone chmary,
 Jutro je pod Cezara przywiodę sztandary. (*n. s.*)
 Ha! jeszcze gwiazda moja nie straciła błysku!
 Poruszyłem ohydne te męty w bagnisku,
 Niech po mnie ślepe losy wydzwigną Rzym z toni,
 Dziś Cezar losy świata trzyma jeszcze w dłoni!

WERCYNGETORYKS.

I któż z nas dwóch w dziedziny obłądu złowieszcze
 Zapuszcza się marzeniem? Cezarze! czas jeszcze!
 Chcesz-li zrzec się podboju w imię świętej sprawy.

CEZAR.

Chcesz-li pod cieniem Rzymu dokupić się sławy?
 Lub w zwaliskach ojczyzny zagrzebać twe imię?
 Bądź co bądź, rządy świata zostaną przy Rzymie!

WERCYNGETORYKS.

Nie Rzymowi ty służysz... Oh! cel twój mi znany,
 Gallów naprzód, Rzym potem chcesz okuć w kajdany.

CEZAR.

Te słowa snąć postyszał Celtil z ust Katona.
 Tak jest, Rzym świat ogarnie w olbrzymie ramiona,
 Mocarz z poręki bogów nowy tor mu wskaże,
 Jam ramieniem Jowisza!

WERCYNGETORYKS.

Tobież to Cezarze

Wspominać bogi Rzymu? traf ślepy twym bogiem?
 Natchnione syny gallów niech w marzeniu błogiem
 Widzą niebo, dla ciebie czyż ziemia nie starczy?

CEZAR.

Dumaj więc o twych bogach... pod cieniem ich tarczy
 Zbiegaj duchem praojców odwieczne mogiły,
 W polotach w nieskończoność trwoń młodzieńcze siły,
 Jam do ziemi téj przykuł pewniejsze nadzieje;
 Będę ją miał...

WERCYNGETORYKS.

Czczą marę, którą wiatr rozwieje,

Potém nic... garść popiołu... dźwięk sławy przebrzmiałej
Ot... wszystko...

CEZAR.

Jeśli jutro w proch zmienię się cały,
Ten proch jeszcze przez wieki zapanuje światu;
Na gmach zlepioną ręką, promień majestatu
Spłynie z czoła mojego, i czas go nie schłonie,
Zostawiam imię światu, a na wieków łonie
Przed blaskiem jego ludzkość upadnie olśniona,
I to imię, plemionom przekażą plemiona!
Tak, w miejsce twoich bogów, ja sam będę bogiem!

WERCYNGETORYKS.

Bóg złego, bóg nicestwa, obrzucon barłogiem
Gdy padnie, klątwą ludów obciążon do sytu
Gdy zacięży ludzkości... takiego zaszczytu
Doczekać takim bogom!... miecz w dłoni mój czysty,
Choć mnie przywałą gruzy mój ziemi ojczystej,
Moje imię zasłynie w przyszłości dalekiej,
Z miłością ludu wiekom przekażą je wieki!

CEZAR.

Lud! tłuszcza ta bezmyślna! wszak na grachów głowy
Spadło jego przekleństwo, lud bluźnić gotowy
Tym, którzy go miłują, czcic tych, co zuchwale
Depczą po jego karku,... jutro twój galle
Przepomną cię, żeś istniał; gotowi bez sromu
Wnieść mi ołtarz na zgliszczach twego niegdyś domu,
Kędy grzmotem oklasków witano cię wczora!
Przyszłość do mnie należy...

WERCYNGETORYKS.

Tak, przyszłość upiora,
Któremu tron grobowe robactwo roztoczy.

CEZAR.

Ziemia moją!

WERCYNGETORYKS.

Niech ziemia spadnie ci na oczy,
Dla mnie światy bez granic i wieki bez końca,
Gdzie prawda nieśmiertelnym świeci blaskiem słońca,
Zatrą wieki na ziemi twój przemocy ślady
Tę ziemię, którą wolne dzierżyły naddziady
Wywalczą syny mieczem, oni w późne czasy
Z twym rodem będą staczać olbrzymie zapasy,

Aż synów prochu zwalczy nieśmiertelnych plemię.

CEZAR.

Synom ziemi przysłało odziedziczyć ziemię.

WERCYNGETORYKS.

Zwycięstwo temu czoło promieniem otoczy,
Kto z uśmiechem na ustach patrzy śmierci w oczy.

CEZAR.

Kto chce żyć i zwyciężyć, temu losy starczą.

WERCYNGETORYKS.

Niech żelazo rozstrzygnie...

CEZAR.

Pod fortuny tarczą

Jam pewny!

WERCYNGETORYKS.

Bóg naddziadów drogę mi ukáže.

(zwracając się do wodzów galskich).

Do klanów!—niech grzmią hasła!... czekam cię Cezarze!

CEZAR.

Pomnij losy Jugurty, o gallu zuchwały!

WERCYNGERORYKS.

Pomnę, jak orły rzymskie wobec mnie pierzchały!

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Kazimierz Stronczyński: Dawne Monety Polskie dynastyi Piastów i Jagiellonów. Część I. Piotrków, 1883.

Pierwsza praca p. Kazimierza Stronczyńskiego o naszej numizmatyce średniowiecznej wyszła w r. 1847 p. t.: „Pieniądze Piastów,” i znalazła powszechne uznanie, jako dzieło oparte na sumiennych badaniach i wyczerpujące przedmiot, o ile wówczas był znany. Po latach blisko 40 wychodzi dzieło poświęcone temu samemu przedmiotowi, zubożone wiadomościami, których dostarczyły rok w rok po pierwszej pracy pojawiające się wykopaliska średniowiecznych monet.

Za szczęście dla nauki poczytać należy, że Opatrzność pozwoliła sędziwemu autorowi po 40 blisko latach podzielić się z nami wiadomościami zdobytemi długoletniem doświadczeniem i baczną uwagą na liczne wykopaliska ostatnich dziesiątków lat. Kiedy kto inny potrzebowałby dopiero usilną pracę zdobywać wiadomości niezbędne do badania wykopalisk i wyprowadzania z nich wniosków dla nauki: p. Stronczyński już przez wydanie swój pierwszej pracy uzdolnił się do kierowania postępem nauki i do wyrzeczenia o niej ostatniego słowa, o ile na to dotąd zebrane materiały pozwalają. Pod jego wprawną ręką powstaje dzieło odpowiadające wszelkim wymaganiom nowoczesnej nauki, stawiające naszą numizmatykę jeśli nie wyżej, to przynajmniej na równi z numizmatyką innych krajów.

Wiara w własne przekonanie, zdobyte sumiennem badaniem przedmiotu, przemawia do czytelnika z każdego słowa wyrzeczonego o innych pracownikach, dla których mimo sprzeczności zdań, p. Stronczyński ma zawsze słowo uznania, na które zwykle tylko ten się zdobywa, kto nad przedmiotem nauki zapanował do tego stopnia, że nie lęka się spotkania z zdaniem odmiennem. Tego akademickiego po-

stępowania z przeciwnikami mógłby się niejeden z młodszych pracowników uczyć od sędziwego autora.

Przystępując do pobieżnego sprawozdania z drugiego tego wydania „Pieniędzy Piastów,” muszę przedewszystkiēm wyznać, że to, co wiem o naszēj numizmatyce średniowiecznēj, zawdzięcam pierwszemu wydaniu „Pieniędzy Piastów;” stoję przeto do p. Stronczyńskiego w stosunku ucznia do swego profesora, i jeśli w czēm nie zgadzam się z szanownym autorem, to nie myślę przez to uwłaczać jego dobrze zapracowanēj zasłudze, ale ośmielam się przedstawić swe uwagi do wspólnego rozważenia.

Pierwszy tom dzieła: „Dawne Monety Polskie,” obejmuje wedle słów autora historię wykopalisk poczynionych po wypuszczeniu pierwszego wydania, czyli po r. 1847. Dawniejsze wykopaliska tylko tam są uwzględnione, gdzie autor, późniejszymi wykopaliskami pouczony, uznał potrzebę zmienić dawniejszy swój sposób widzenia. Pominięty dawniejszych wykopalisk czyni pierwsze wydanie „Pieniędzy Piastów” i dziś jeszcze niezbędnēm dla każdego numizmatyka. O tēj łączności z wydaniem pierwszēm ostrzega autor w przypisku do str. 65, oświadczając, że ono stanowi punkt wyjścia i obecnēj pracy. Podobnie pominięte w nowēm wydaniu źródła historyczne, ogłoszone niegdys w wydaniu pierwszēm, a dodane tylko te, które w nowszych czasach zostały wykryte. Zapewne dogodniēj byłoby mieć w nowēm wydaniu całość i wykopalisk i źródeł historycznych, lecz powtórzenie to powiększyłoby objętość książki, a co za tēm idzie, podniosłoby cenę jēj. Nie można się o to prawować z autorem, któremu przychodzi własnym kosztem ogłaszać swą pracę.

Wykopaliska nowsze, których historia i rozbiór zajmują cały pierwszy tom, ułożone są chronologicznie, jednakże nie podług lat ich wynalezienia, lecz podług domniemych lat zakopania, tak, iż ten obraz wykopalisk jest zarazem obrazem przebiegu, jaki odbywało w średnich wiekach nasze mennictwo. Przez takie zestawienie wykopalisk chronologicznie określonych na mocy monet ościennych narodów, równocześnie z polskimi monetami wykopanych, układa się nasza średniowieczna numizmatyka niejako sama. Już tam o Mieszku np. samo wykopalisko wydaje świadczenie, czy go brać za Mieczysława I-go, czy za II-go, wedle tego, czy wykopalisko powierzone było ziemi przed r. 1025, czy po tym roku, a o tēm rozstrzygają monety panujących ościennych jednocześnie w wykopalisku znalezione. Jest to jedyny sposób dochodzenia wieku monet nieoznaczonych latami i autor słusznie robi zarzut numizmatykom niemieckim, że aż do naszych prawie czasów nie chwyciwszy się tēj metody, nie mieli racjonalnych podstaw do swēj średniowiecznēj numizmatyki i powodowali się fantazją, która pewnych rezultatów dać nie może. W opisie wykopalisk wymienia autor wszystkie w każdēm wykopalisku znalezione obce monety, przez co sam czytelnik jak na dłoni widzi, do jakiego okresu moneta polska, w tēm otoczeniu znaleziona, może się odnosić.

Podawwszy taką szczegółową wiadomość o 36 wykopaliskach (str. 10—111), przystępuje autor do rozbioru tych, które uznał za najważniejsze i szuka węzła, któryby je mógł połączyć w nieprzerwaną całość z chronologicznym następstwem. Rozbiory te są monografiami trudniejszych zagadnień numizmatycznych, monografiami, na które zdobyć się mógł tylko autor, przez lat czterdzieści z zamiłowaniem rozpatrujący się w swym przedmiocie. Opis monet Mieszka Starego beznapisowych, oraz opatrzonych napisami łacińskimi lub hebrajskimi (str. 111—172), pod względem trudności zadania zasługuje na szczególną uwagę. Wina na przedmiotu, a nie autora, jeśli nie wszystkim trudnościem podołał, a zarzuty, które poczynię temu właśnie działowi, nie czynią bynajmniej ujmy zasłudze p. Stronczyńskiego, gdyż dotyczą zarówno i poprzedników jego. Rozważenie nader zagadkowych monet guziczkowatych beznapisowych z końca XIII wieku (str. 190—202), lubo nie doprowadza jeszcze do ostatecznego wyjaśnienia ich pochodzenia, daje przecież podstawę do przyszłych badań i wskazuje drogę, która kiedyś przy pomocy dalszych wykopalisk doprowadzić może do uznania niektórych za niewątpliwie krajowe.

Następnie daje autor rzut oka na całość znanych wykopalisk i wzajemny ich względem siebie stosunek, zestawiając wykopane monety w dziewięć grup, przez co składa się całość naszej numizmatyki piastowskiej. Tutaj szczególnie widoczna pewna ręka i panowanie zupełnie nad przedmiotem tak nieujęty, jak nim są monety z kilku wieków pochodzące, a latami nieoznaczone, które trzeba rozkładać na pojedyncze okresy i obdzielać nimi pojedynczych panujących.

Gdyby mi kazano w dwóch słowach wypowiedzieć, co najwyższą cenę w pracy p. Stronczyńskiego, bez wahania odpowiedziałbym, że metodę badania. Tu szukać należy głównej jego zasługi. Rezultaty bowiem badania zależą w znacznej części od wykopalisk i tego, co dziś autor uznaje za niezachwianą prawdę, jutro skutkiem światła rzuconego przez jakie nowe wykopalisko może się ujrzeć zmuszonym odstąpić. Wyniki badań autora nie są przeto niewzruszone, ale niewzruszona jest wprowadzona przez niego metoda, która nadal obowiązuje i przyszłych badaczy.

Przyznając w zupełności tę zasługę p. Stronczyńskiemu, poczynuję sobie za obowiązek zrobić małe zastrzeżenie co do dwóch jego zasadniczych poglądów, a mianowicie co do wpływu wagi monet na określenie ich wieku, oraz co do myncarstwa pokątnego naszych złoćników w wieku XI.

Co do pierwszego nie ulega żadnej wątpliwości, że waga monet z biegiem wieków ciągle się obniżała, i tutaj p. Stronczyński jest zupełnie w swoim prawie, jak to okazuje porównanie co do wagi monet Kędzierzawego z monetami Chrobrego. Użycie tej zasady do oznaczenia wieku monet pochodzących z jednego panowania i rozstrzygnięcie na mocy różnicy w wadze, która moneta pochodzi z początków, a która z końca panowania, jest moim zdaniem cokolwiek niebezpieczne,

gdyż w wiekach średnich nie zachowywano ścisłości w odważaniu pojedynczych sztuk, a tylko pilnowano, żeby z grzywny była wybita przepisana liczba denarów lub brakteatów, mniej się troszcząc o to, czy denary zachowują między sobą równą wagę. To też między denarami jednego typu bywa niekiedy znaczna różnica, do czterdziestu procentów dochodząca. Tak np. denar Bolesława II (Pieniądze Piastów) typ 14, h waży 0,92 grama, a drugi tegoż samego typu (14, b) tylko 0,54 grama; chociaż ten lżejszy denar nie jest bynajmniej zniszczony obiegiem. To pozorne lekceważenie wagi nie przeszkadzało obiegowi pieniędzy, bo płacono wszelkie większe sumy nie na liczbę lecz na wagę, względem czego znajdujemy niekiedy wyrażone warunki np. septuaginta marcas argenti purissimi componat, w przywileju Mieczysława Starego z r. 1177. Codex Dip. Maj. Polon. I str. 29. Tak rzeczy pojmując zrozumiemy, jak w XI wieku mógł się znajdować w obiegu denar Salomona węgierskiego ważący 0,52 grama obok denara ważącego przeszło dwa razy tyle, bo 1,28 grama, a bitego w Esslingen za Henryka II. Dwa te denary znaleziono w jednym garnku w Rzeczkach pod Ciechanowem. Rozumie się samo przez się, że w małych wypłatach, kiedy chciano dopuścić się nadużycia, to lekceważenie wagi mogło się stać niedogodnym i uciążliwym, jak tego przykład opowiada Kadłubek pod panowaniem Mieszka Starego. To też postępowanie to piętunuje kronikarz mianem nadużycia i ucisku. Z ważeniem pieniędzy może stoja w związku ważki wybite na denarze rysowanym u p. Stronczyńskiego str. 55 nr. 8. Jak niebezpieczne jest zbytne poleganie na wadze pojedynczych sztuk, okazał nieco niżej przy rozbiore szczegółowym monet Mieczysława Starego.

Co do pokątnego myncarstwa złotników krajowych obawiam się, że się narażę, zaczepiając ulubioną teorią autora; a jednakże uznawszy tę teorią za chybioną, muszę wypowiedzieć wątpliwości niektóre. Na kilku miejscach dzieła p. Stronczyńskiego napotykam twierdzenie że mnóstwo niezdarnych zagranicznych monet, składających za zwyczaj znaczną część naszych wykopalisk z XI wieku, bili nasi złotnicy (str. 20), oraz że w ogromnej ilości wykopywana u nas z tego czasu zagraniczna moneta nie pochodzi całkiem z obcego napływu, ale jest pro prostu wyrobem rękodzielni krajowych prywatnych monetaryuszów (str. 209). Pochop złotnikom do téj przeróbki dawał wedle mniemania autora zysk, jaki osiągnęli przekuwając cięższą monetę Mieczysława I i Bolesława Chrobrego na lżejszą niemiecką lub czeską (str. 210). Nawet pieniądze Bolesława Chrobrego, nasładowując monetę ottonowską przez pomieszczenie na niej kościółka, imienia Adelajdy a nawet imienia Ottona cesarza, jest pomysłem takiego prywatnego przemysłu (str. 46). Pan Stronczyński tak mocno jest przekonany o prawdziwości swego domysłu, że jeszcze na ostatniej stronie tego tomu wyraża wiarę, że hipotezy téj i przyszłe wykopaliska nie osłabią. Do postawienia takiej hipotezy spowodował autora nadmiar monety obcej w wykopaliskach XI mianowicie wieku, a prawie zupełny brak mone-

ty polskiej. Popierać mają tę hipotezę kawałki srebra, łamane monety i blaszki srebrne kształtu monet znajdujące się w wykopaliskach, głyż p. Stronczyński domyśla się, że te kawałki srebra i łamańce były przygotowane przez złotników dopuszczających się przekuwania, i przez tychże złotników były wraz z monetami zakopane.

Zjawisko bicia monety obcej przez prywatnych myncarzy byłoby czemś tak nadzwyczajnym, że wypada się dobrze zastanowić, czy nadmiar monety obcej, tak dobrze wybitej jako i partackiej, nieda się w inny sposób wytłómaczyć.

Najprzód tedy nie ulega wątpliwości, że moneta krajowa w wykopaliskach pochodzących z XI wieku znajduje się w rażącej mniejszości w stosunku do monety zagranicznej w nich znajdowanej. Pan Stronczyński ten nadmiar zagranicznej monety za Chrobrego tłumaczy zwycięstwami Chrobrego, jego przyjaźnią z Ottonem III i pokrewieństwem z Danią. Objaśnienie to, jak sądzę, nie wystarcza, bo nie zwyciężał ani Anglików, ani Bawarów, których monety licznie wykupują się u nas, monety duńskie bardzo rzadko się ukazują, a Otton był przyjacielem do brania nie do dawania, jak przekonywa hojność Bolesława w czasie odwiedzin Ottona w Gnieźnie. Jabyśm sądził, że głównym powodem napływu monety obcej była zamożność kraju, ta sama zamożność, która tysiące rzymskich denarów ściągała do kraju w II i III wieku, a monet arabskich w wieku VIII i IX, bo przecież zagony polskie nie sięgały do tych krajów, a przeto pieniądze te nie mogły pochodzić ze zdobyczy.

Małeńka ilość monety polskiej w wykopaliskach z XI wieku, móm zdaniem zdążyć pochodzi, że w kraju bito mało z braku myncarzów, a to co wybito, szło w czasach Chrobrego za granicę w celach politycznych. Nie mieliśmy własnych myncarzów ani w wieku XV, ani w XVI, ani w XVII, jak przekonać mogą same prawie niemieckie nazwiska między myncarzami tych wieków. Tém mniej miał ich pewnie Chrobry i jego najbliżsi następcy. Gdybyśm w XI wieku mieli tylu złotników dokładnie (str. 209) naśladowujących monetę obcą, toćby się z czasem powinien był wyrobić jakiś krajowy zmysł menniczny, czego dopatrzeć nie można do ostatnich chwil rzeczywistości. Ile wiem jedynym krajowcem, który się pod pewnym względem zajmował mennictwem, był król Stanisław August, gdyż na ręcznej prasie obijał dukaty z swém popiersiem. Jednakże ten jego talent myncarstwa tyle był wart, ile wszystkie inne jego talenty i naodwrot wszystkie inne jego zdolności nie lepsze podobno były od jego myncarstwa; wszystko kończyło się na zabawce. Ściśle rzeczy biorąc nie było nawet w XI wieku wielkiej potrzeby napływającą obcą monetą przekuwać na krajową, bo pieniąż był kosmopolityczny, a kładąc bite srebro na wagę mniej dbano o stempel, jakim była opatrzona, byle tylko srebro było dobre. Jedni tylko złotnicy żydowscy mieli zręczność do bicia monety tak jak późniój zajmowali się niekiedy rytownictwem, bo innych ryto-

wników nie było; to też chwilowo powierzył im bicie monety Mieczysław Stary, zapewne z braku innych krajowych myncarzów.

Twierdzenie autora, że złotnicy z korzyścią dla siebie przekuwali cięższą monetę Mieczysława i Bolesława Chrobrego na lżejszą pod stemplem Ottona albo pod stemplem Sancta Colonia, nie da się także utrzymać. Kiedy się bowiem tym mniemanym wyrobom naszych złotników bliżej przypatrzymy, przekonamy się, że bili z krzywdą dla siebie. Na stosunek wagi pojedynczych monet krajowych i zagranicznych rzuca pouczające światło następujące zestawienie podane w gramach:

Misico I	waży 1,42	Sancta Colonia Otto I	1,26
takiż	" 1,14	takiż	1,54
Princeps Poloniae	" 1,63	Atelhat	1,31
Boleslaus inclitus	" 1,53	takiż	1,31
Boleslaus S. Petrus	" 1,15	takiż	1,58
Bolesław Kijowski	" 1,20	takiż	1,73

Z zestawienia pokazuje się, że żadna z porównanych zagranicznych monet, należących do rzędu jakoby podrabianych nie schodzi do wagi 1,14, 1,15, 1,20 grama, właściwej naszej ówczesnej monecie, a złotnik traciłby, gdyby wpadł na myśl przekuwać lżejszą krajową na cięższą zagraniczną monetę. W końcu gdyby moneta krajowa służyła złotnikom za kruszec do bicia z niego zagranicznej i gdyby wykopaliska rzeczywiście zawierały zapasy myncarskie, to w tych wykopaliskach powinno się znajdować więcej monet krajowych, przeznaczonych na przekucie, co, jak wiadomo, nie ma miejsca, a te nieliczne, które się zdarzają, powinny być połamane, czego przykładów z wieku XI nie znam.

Wykopalisko łęczyckie przedstawia zdaniem p. Stronczyńskiego (str. 30) cały wyrobek jednego z takich złotników, a mianowicie naśladowane monety Bernardów saskich, Ottonów kolońskich, wyrzburgskich, Henryków augsburskich, ratysbońskich i salcburskich, naśladowane monety bawarskie i anglosaksońskie. Już ta ilość rozmaitych stemplów budzi niedowierzanie, bo trudno pojąć, dla czegoby złotnik tyle sobie zadawał pracy z wyrabianiem rozlicznych stemplów, kiedy mógł przy braku wszelkiej kontroli poprzestać na robieniu jednego typu, co by jego pracę niestychanie upraszczało.

Na podobne wnioski naprowadziło p. Stronczyńskiego wykopalisko pinczowskie; mówi bowiem na str. 208: „Zapas monet w tym wykopalisku znaleziony był własnością jakiegoś myncarza, wybijającego w Polsce monetę pod stemplem obcym, według dokładnych pierwotników polscy, mając w kraju złotników dokładnie zagraniczną monetę naśladowujących, nie użyli ich raczej do przekuwania monety obcej, kraj zalewającej, na monetę krajową. Okazałem już, że monety zagraniczne miały lepszą wagę od współczesnych monet krajowych; skarb panującego miałby więc nawet pewien zysk z tego prze-

bijania. Jeżeli mimo to sam mało bił, a pozwalał na obieg monety obcej, to widocznie nie miał poddostatkim własnych myncarzów, a i złotników bijących monetę zapewne w kraju nie było.

Kościółek ottonowski i pożyczone imiona Ottona oraz Adelajdy na monetach Bolesława Chrobrego, dadzą się także wytłómaczyć bez pomocy przekuwających złotników. Jak się zdaje, pomysł rysunku do monety bywał w owych czasach na łasce samego myncarza ¹⁾.

Naśladowanie ościennej monety było u nas i indziej w zwyczaju, bo mennictwo u nas później się rozwinęło, niż na Zachodzie. Przełożony mennicy polecił rytownikowi umieścić na monecie kościółek i dał mu na wzór monetę Ottona. Rytownik wykonał polecenie niewolniczo, pożyczając nie tylko kościółka ale i imion Ottona oraz Adelajdy, a do nich dodał Bolesława. Mógł to być rytownik sprowadzony z Niemiec, który przyniósł z sobą na pół wykończony stempel do monety ottonowskiej, do którego dodał tylko imię Bolesława. W każdym razie nie można tych rzadkich denarów przyznawać pokątnej mennicy złotniczej, bo wątpię, żeby się złotnik odważył położyć imię panującego, zwłaszcza że nie potrzebował tego czynić, mając na zwołanie tuzin panujących innych krajów, przez których nie mógł być pociągany do odpowiedzialności.

Mimo to wszystkie powody przemawiające przeciwko domysłowi p. Stronczyńskiego, musielibyśmy się zgodzić na jego teorię, gdyby licho bita moneta nie była wykopywana w kraju, do którego należy na mocy swojego stempla. Tymczasem i w Niemczech nie zbywa na wykopaliskach, zawierających przeważnie niedbale robione i bite egzemplarze, i to monet pochodzących z mennicy niemieckich najbliższych miejsc, w których te monety w naszych czasach wykopano. Wymienia takie wykopaliska Dannenberg na str. 34. Bito je więc w Niemczech i nie masz żadnej potrzeby obciążać nimi sumienia polskich złotników. Niepospolity znawca średniowiecznej numizmatyki, Grote, uwierzył niegdyś, że część przynajmniej niezdarzonych monet była bita w Polsce, a uwierzył na zapewnienie p. Stronczyńskiego, że w Polsce znajdowano narzędzia złotnicze razem z starożytnymi monetami ²⁾. Ponieważ p. Stronczyński w obu wydaniach swej pracy nigdzie nie wspomina o narzędziach złotniczych, znalezionych razem z monetami, przeto przypuszczam, że Grote nie dobrze zrozumiał doniesienia p. Stronczyńskiego, i nieopatrznie podzielił jego zdanie o przekuwaniu monet przez złotników. Grotego podzielenie zdania co do myncarstwa naszych złotników, na które powołuje się p. Stronczyński (str. 30) pozostanie dla nas bez znaczenia, póki nie odzyskamy tych narzędzi złotniczych, na których widocznie polegał.

¹⁾ Dannenberg, die deutschen Münzen der sächsischen und fränkischen Kaiserzeit. Berlin, 1876, str. 23.

²⁾ Dannenberg, die deutschen Münzen, str. 35.

Znajdowane kawałki srebra i znaczna ilość monet połamanych, znajdujących w wykopaliskach, dowodzi tylko, że przy wypłatach srebro szło na wagę, przyczém zważano tylko na dobroć kruszcu, a nie troszczono się o jego formę. Chowano do ziemi monetę i to, co równą z nią wartość miało, to jest srebro wyrabiane lub w kawałkach tak, jak w wykopaliskach monet arabskich VIII i IX wieku w Gwiazdowie i Psarach przy monecie leżały naszyjniki i kolczyki srebrne.

W końcu brak nam dowodów na to, żeśmy mieli tylu złotników w wieku XI, i że ci rozsiani byli po całym kraju, bo cały kraj dostarcza wykopalisk z tych czasów, a zawsze z przymieszaną jubilerszczyzną. A nawet gdybyśmy i to uznali za podobne do prawdy, pozostanie nam największa trudność wytłómaczyć, co powodowało złotników, pokątném myncarstwem się bawiących, miejsca do zakopywania szukać na wsi i to najczęściej w polu, chociaż sami mieszkali zapewne po miastach. Nie przypominam sobie, żeby monetę piastowską wykopano kiedy w mieście, a wszystkie znane mi wykopaliska téj epoki znalezione były najczęściej w polu, rzadko w ogrodzie wiejskim. To téż uważam te wykopaliska za dorobek zamożnych kmieciów.

Te są powody, dla których nie mogę się zgodzić na teorią przekuwania pokątnego monety krajowej na zagraniczną. Wypadło mi obszerniej rozpisać się o tém, bo występuję przeciw mniemaniu autora, będącego największą naszą powagą w rzeczach archeologii krajowej, a w szczególności w dziedzinie numizmatyki średniowiecznej. Co już raz wypowiedziałem, to tutaj niech mi będzie wolno powtórzyć, że niezgodny mój sposób zapatrywania się na pochodzenie monet obcych w naszych wykopaliskach bynajmniej nie czyni ujmy zasłudze p. Stronczyńskiego, który, możnaby powiedzieć, stworzył dopiero naszą średniowieczną numizmatykę. Te obce przybłądy są sprawą uboczną dla naszej numizmatyki, dla której dość obojętną jest rzeczą, czy liczne niedbale bite obce monety dla nas były bite, czy téż pierwotnie dla obiegu w własnym kraju, a do nas dostały się drogami handlowemi równocześnie z monetą obcą starannie wybitą, która podobno przeważa liczebnie nad monetami lichego wyrobu.

Tyle tylko miałem do nadmienienia przeciw ogólnym poglądom autora. Pod względem szczegółów musimy polegać na doświadczeniu i sumiennosci autora, który przecież więcej się niemi zajmował, niż ktokolwiek inny z nas. Dotykam tylko tych szczegółów, na które zgodzić mi się trudno.

W drugim wydaniu, jako przyczynek do źródeł historycznych, wydrukowane i rozebrane są dwa przywileje Bolesława księcia mazowieckiego, z lat 1286 i 1298, nadające arcybiskupom gnieźnieńskim prawo bicia monety w Łowiczu. W wyrozumieniu drugiego przywileju cokolwiek się różnię z autorem, gdyż p. Stronczyński słowa: „*Indulgemus Archiepiscopis, ut specialem monetam in castellania Loviciensis cudere et habere valeant, cum nostra Plocensis moneta in valore et pondere et in numero concurrentem, in forma nihilominus differentem,*”

tak zrozumiął (str. 6), że książę nadawszy biskupowi w pierwszym przywileju prawo bicia monety własnej, w drugim zastrzega, aby ta moneta nietylko w wadze i próbie, ale i w powierzchowności zgodną była z monetą książęcą, że przeto przywilej nie upoważniał arcybiskupów do wyciskania na nią własnego stempla, i że ta moneta, choć przez biskupów i na ich rzecz wybijana, nosiła na sobie stempel książęcy. W słowach: „in forma nihilominus differentem,” ja dopatruję zupełnie przeciwnego znaczenia i tłómaczę przepis przywileju, że moneta arcybiskupia, bita w Łowiczu, miała w wadze i stopie zgadzać się z monetą książęcą, jednakże w stemplu różnić się od niej. Rozumienia takiego wymagają i słowa przywileju i rzecz sama. Co do słów rozstrzyga zrozumienie słówka: nihilominus; słówku temu odpowiada w naszym języku jednak, jednakże, i zastrzeżenie in forma nihilominus differentem tylko można tłómaczyć: w powierzchowności, czyli stemplu, jednakże różniącą się. Gdyby piszący przywilej chciał być wyrazić, że moneta arcybiskupia ma mieć stempel monety książęcej, byłby poprostu napisał: monetam in valore, pondere numero et forma cum nostra Plocensi concurrentem. Ale i rzecz wymaga takiego rozumienia, na jakie mnie naprowadzają słowa przywileju. Jeżeli książę Bolesław żąda zgodności monety biskupiej co do dobroci kruszcu i wagi z własną swą monetą, to widocznie zastrzegł sobie możność dopilnowania, aby moneta biskupia w kruszcu i wadze zgadzała się z jego monetą, a możności takiej nie będzie, jeżeli moneta biskupia takim samym stemplem będzie bita, jak książęca, gdyż w takim razie niepodobna będzie dowieść, że gorsza moneta wyszła z mennicy biskupiej, a nie z książęcej. Pomyłka w wyrozumieniu przepisu przywileju nie byłaby zaszła, gdybyśmy ten przepis mogli sprawdzić na egzemplarzach monet. Nie znając dotąd ani monet Bolesława mazowieckiego, ani arcybiskupich bitych w Łowiczu, nie możemy nic wiedzieć o zgodności lub różnicy stempla jednych i drugich. Nieco niżej, mówiąc o brakteatach guziczkowatych z ostatniej ćwierci wieku XII, powrócę jeszcze do tych nieznanych monet mazowieckich i łowickich.

Rozbiór wykopaliska wienieckiego i głębockiego (nie głębokieńskiego), do którego monografia ks. kanonika Polkowskiego czyniła znaczne ułatwienie, jest niezaprzeczenie najpracowitszy, ale co do hebrajskich napisów najmniej dokładny. Przyczyną tej niedokładności jest nieobeznanie p. Stronczyńskiego z językiem hebrajskim, co wręcz wyznaje na str. 165. Musiał więc polegać na czytaniu poprzedników, ci zaś, ile z niektórych pomyłek sądzić mogę, szli za zdaniem żydów nie znających naukowo swego języka. Będąc z językiem Starego Testamentu cokolwiek obeznany, winienem uzupełnić kilku poprawkami tę właśnie część pracy p. Stronczyńskiego, którą poświęcił monetom Mieczysława Starego, pokrytym hebrajskimi napisami. W skutek nieobeznania z językiem napisów i w braku umiejętnego korektora, zakradło się kilka rażących błędów drukarskich, które wypada naprzód poprawić. A więc na str. 157 w opisie nr. 3 i 4 wydrukowano

mylnie מִשְׁבַּח (miszbah) zamiast מִשְׁכָּה, a kazano czytać Mieszko. Na str. 159 w opisie nr. 15 podano napis טַנְיָה (tanaji) zamiast סִימָה i kazano go czytać Simha. Ks. Polkowski czytał na téj monecie מִיִּסָּה (misa) a nie מִיִּמָּק (mimak) jak wydrukowano w dziele p. Stronczyńskiego. Na str. 160, w opisie nr. 17 mylnie wydrukowano trzeci wiersz legendy בֶּר יִצְחָק (ber Icehak), chociaż wszyscy czytają dobrze בֶּן יִצְחָק (ben Icehak). O czwartym wierszu tego napisu powiada p. Stronczyński, że ks. Polkowski czytał בֶּר (ber), chociaż u ks. Polkowskiego czytamy גֶּן (gn), co uważał za skrócone Gnedz to jest Gniezno. Ponieważ prócz błędów drukarskich i dotychczasowe objaśnienie téj monety uważam za nieuzasadnione, przeto wypowiem swe zdanie o niéj. Moneta to (str. 160 nr. 17) dość zajmująca, bo nosi napis hebrajski w czterech wierszach, a mimo to milczy o księżęciu, do którego należy. Trzy wiersze napisu całkiem wyraźnie wybite czytano dobrze: Rabi Abraham ben Icehak, lecz nie zgadzano się w przekładzie. Lelewel (u Stronczyńskiego, str. 164) opuścił przy przekładzie słowo ben, a ostatni wiersz czytał: Jak o b, aby wydobyć sentencję: Jubilate Abraham, Isaac, Jacob i postawić monetę w związku z wypadkiem historycznym. Na ten sposób postępowania niepodobna mi się zgodzić. Gładkie odczytanie innego napisu z monety w połowie tylko ocalałéj i przełożenie go na: antequam fugam dedit, perturbavit praesidium meum (Stroncz., str. 164) budzi podejrzenie, że poważny Lelewel zabawkę sobie na ten raz urządził z monetami, z których drwił przez całe życie, mając je za wymysł nowoczesny. Pan Stronczyński pomieścił w swém dziele wywody Lelewela, dla podania zupełnego materyału, choć sam tym wywodom nie wiele wiary daje. Ja pomyślałem te Lelewela uważam za igraszkę dowcipu, która nas bynajmniej nie obowiązuje i nie zwalnia od ponownego badania tych zabytków mennictwa średniowiecznego.

Ks. Polkowski (str. 34) mylnie wyraz ben przełożył ojciec, uwiedziony pewnie biblijnym Abrahamem, który podobno był ojcem Izaaka. Wyraz בֶּן (ben) znaczy syn, a w napisie nie o biblijnym Abrahamie mowa, ale o żyjącym w czasach Mieszka Starego, i będącym synem Icehaka czy Izaaka. Mocno zadziwia, że pomyłki téj nie dostrzegł uczony rabin poznański dr. Bloch, któremu swe odczytanie ks. Polkowski posłał był do sprawdzenia ¹⁾. Tylko czwarty wiersz napisu, zwykle z jednego lub drugiego końca uszkodzony, wywołał różnicę i w odczytaniu i w tłumaczeniu. Lelewel i Lewiński dopatrywali imienia Jakób, co by nie zupełnie zrozumiały dawało myśl: mistrz Abraham syn Izaaka, Jakób. Ks. Polkowski (str. 34) dopatrywał tutaj wyrazu Gnedz to jest Gniezno. Niech i mnie wolno będzie wypowiedzieć swój sposób widzenia i czytania. Na jednym egzemplarzu zbioru ordynacji Zamoyskiej, znalazłem w czwartym wierszu początek wyrazu: נָגִי (nagi), na drugim koniec: יִד (id). Z zestawienia tych dwu

¹⁾ Wykopalisko Głębookie. Gniezno, 1876, str. 69

połówek powstaje cały wyraz נגיד, który opatrzony samogłoskami נגיד ציף czyta się nagid, a znaczy przełożony, zwierzchnik, jak się można przekonać z słowników Chiariniego lub Geseniusa ¹⁾. W ten sposób dopełniony napis tłómaczy się: mistrz Abraham, syn Izaaka, przełożony. Nie wiem, czy nie zadaleko odbiegnę od prawdy, jeśli postawię domysł, że jest to niejako medal menniczny, w którym uwieczniono pamięć przełożonego mennicy, bo tylko o takim przełożonym, jak się zdaje, tutaj myśleć można, a niepodobna przypuścić, aby wybito monetę na cześć innego przełożonego, nie mającego z mennicą żadnego związku. Przyznaję, że jest to domysł tylko, ale domysł wywołany napisem, a nie gorszy od Jakóba lelewelowskiego, lub od Gnieszna, czcigodnego ks. kanonika Polkowskiego. Gdyby się mój domysł utrzymał, mielibyśmy w tym brakteacie najdawniejszy medalik menniczny. Jeśli myncarz niemiecki mógł na monecie miasta Minden przedstawić samego siebie siedzącego przy kowadle i bijącego monetę, a drugi raz wążącego monetę, jak objaśniają numizmatycy ²⁾, chociaż takie wyobrazenie ani nie było symbolem zwierzchniego pana mennicy, ani nie mogło ułatwiać obiegu monety, czemużby podwładni myncarza za panowania Mieszka Starego nie mieli wpaść na myśl uwiecznienia swego zwierzchnika, chociaż nie w brodatym i pejsatym portrecie, to przynajmniej w napisie? Już wyżej nadmieniałem, że wedle zdania uczonych numizmatyków, rysunek monety w owych czasach zależał od pomysłu samego myncarza.

Niekoniecznie szczęśliwą pod względem rysunku i odczytania, była moneta zamieszczona pod nr. 20 na str. 160. Rysunek lepszy i dokładniejszy, choć nie zupełnie jeszcze dobry, dał p. Stronczyński w pierwszym wydaniu „Pieniądzy Piastów;“ nie mogę mieć do niego żalu z tego powodu, bo może nie miał pod ręką lepszego egzemplarza. W objaśnieniu powiedziano, że Wolański czytał נגיד (gnds), choć właściwie na monecie jego pewnie był napis נגיד (gnsd); a dalej powiedziano, że Lelewel ten napis czytał נירי (niri), chociaż ja u Lelewela znajduję napis נר (nsr) przełożony dziwacznie: caput nazireatus ejus. Czytanie i objaśnienie Lelewela uważam za obojętne. Napis zawiera niewątpliwie miejsce wybicia monety, Gnieszno; a ponieważ ten szczegół jest dla nas pewnego znaczenia, dla tego wypada monecie dobrze się przypatrzeć. Na egzemplarzu mego zbioru, pochodzącym z wykopaliska wtkowskiego, znajduje się napis כנון; wewnątrz spółgłosek

¹⁾ Chiarini, słownik hebrajski. Warsz., 1829, str. 141. Gesenius, hebräisches Handwörterbuch. Leipzig, 1834, t. II, str. 13.

²⁾ Dannenberg, die deutschen Münzen der sächsischen und fränkischen Kaiserzeit. Berlin, 1876, nr. 728, 729, 731.



poddawano kropki zapewne dla tego, że nie było na nie miejsca pod spółgłoskami, gdyż bezpośrednio pod niemi idzie rząd kropek perełkowych dla oddzielenia napisu od wyobrażeń zdobiących monetę. Kropka w pierwszej spółgłosce כ (kaf), licząc od prawej do lewej, albo oznacza stwardnienie spółgłoski, to jest że nie należy jej wymawiać miękko jak ch, lecz twardo jak k, albo téż położona zamiast: (szwa) pół samogłoski dla wyrażenia, że po k następuje bezpośrednio druga spółgłoska. Tą drugą spółgłoską jest נ nun (n), a leżące w niej trzy kropki są znakiem graficznym, nazywającym się segol, a odpowiadającym krótkiej samogłosce e. Trzecia spółgłoska ש nazywa się sajin, a wymawia się jak s. Kropka obok niej, zamiast pod nią leżąca, pewnie zastępuje szwa, czyli znak, że po tej spółgłosce nie następuje samogłoska, ale inna spółgłoska. Czwarta spółgłoska ד (dalet), odpowiada naszemu d, a trzy kropki w niej, są znów krótkim e. Ostatnia spółgłoska י (nun końcowe), na moim egzemplarzu mniej wydatna, lecz wyraźna na rysunku p. Stronczyńskiego, odpowiada naszemu n. Połączywszy rozebrane znaki graficzne, otrzymujemy wyraz: קנעסדן (knesden), który przypomina napis Civitas Gnesduu, na denarze Bolesława Chrobrego, a oznacza widocznie Gniezno, jako miejsce wybitcia monety. Dwa ptaki w dolnej połowie monety może mają być orłętami, co by dowodziło, że legenda o znalezioném gnieździe orlém, jako powódzie do nazwy Gniezna, już wówczas była powszechnie znana. A gdyby smok w górnej części był symbolem Krakowa, natenczas moneta mogłaby się odnosić do tych czasów, kiedy Mieczysław Stary był panem zarówno Krakowa jak i Wielkopolski.

Memu sposobowi czytania możnaby zarzucić niewłaściwość litery k na początku, oraz użycie samogłosek hebrajskich w XII wieku. Co do pierwszego, wyznaję, że brzeg mego egzemplarza jest cokolwiek starty, tak, iż tylko widzę półkoła, którego nie mogłem wziąć za nic innego, jak za spółgłoskę kaf (k). Gdyby na innym egzemplarzu litera początkowa okazała się jako gimel (g), wtenczas napis wypadłby Gnesden, co jednakże wielkiej różnicy nie czyni, bo i forma Knesden nie jest niesłychaną: formy Archiepiscopus Knizenensis i Colloquium Knizenense znajduję w Kodeksie Dyplomatycznym Wielkopolskim, t. I, str. 29. Samogłosek zwykle w hebrajskich napisach monet nie znajdujemy tak, jak i dziś nie jedna książka hebrajska drukuje się bez nich. Jednakże mogły być kładzione, bo masora, czyli tradycja o opatrzeniu tekstu Starego Testamentu w samogłoski, wyrobiła się między wiekiem VIII a IX, a w końcu wieku XI już była ustalona.

Mogli przeto myncarze żydowski w końcu XII wieku używać samogłosek na monetach Mieczysława, mianowicie w imionach polskich od dawanych literami hebrajskimi, gdzie wypadało nie pomijać samogłosek w wyrazie polskim stale się kładących. I z tego względu moneta niniejsza jest osobliwością. Waży 0,18 grama.

Bito w tym samym czasie brakteaty podobnego układu w rysunku, to jest ze smokiem w jednej połowie a ptakami w drugiej, które to brakteaty na środkowym pasie okazują zamiast Gnesden, całkiem odmienny napis. Na egzemplarzu w zbiorze ordynacyi Zamoyskiej napis ten ma formę קדחל (kadhal). Między tym napisem a poprze-



dzającym nie masz najmniejszego podobieństwa i dla tego monetę uważam za odrębny typ. Objaśnienie napisu, lubo wyraźnego, jest dla mnie przynajmniej dość trudne, bo niezbyt ufam swój znajomości hebrajszczyzny. Jeśli się więc kuszę o wytlómaczenie, to tlómaczenie moje w obec lepszych znawców hebrajskiego języka, nie rości sobie prawa do nieomyślności. Zdaje mi się, że napis jest złożony z partykuły ק i słowa חל. Słowo to znaczy pierwotnie bojaźliwie się czułgać, pełzać, następnie w ogóle bać się. Jeżeli partykułę ק weźmiemy w znaczeniu: jak, wyrażajacem sposób, to napis możnaby przełożyć: jak bojaźliwie pełza. Napis tak zrozumiany, możnaby odnieść do smoka, a nawet dopatrywać przymówki księciu dzielnicy małopolskiej, jeżeli smok jest użyty jako symbol Krakowa i Małopolski w przeciwstawieniu do orląt, jako symbolu Gniezna i Wielkopolski. Drugie kaf stojące na końcu napisu jest dla mnie niezrozumiałe, i może jest tylko dodatkiem bez znaczenia. Nie mogę tego powiedzieć o pierwszym כ (kaf), chociaż położone na monecie odwrotnie, bo ma pod sobą samogłoskę patach, mającą znaczenie krótkiego a. Gdyby pierwsze kaf było tylko przystrojeniem napisu, nie byłoby potrzeby kłaść pod niem samogłoskę. W końcu zwracam jeszcze uwagę na pomyłkę rytownika, gdyż położył napis dogóry nogami w stosunku do smoka i orląt; brakteat ten waży 0,17 grama.

Na monecie pomieszczonej pod nr. 22 na stronie 162 dzieła pana Stronczyńskiego, przedstawiony zapewne ksiązę walczący z dzikim zwierzem. Napis wedle zapewnienia p. Stronczyńskiego czytają niektórzy: חמלך, co by znaczyło król. Ks. Polkowski (Wykopalisko głębockie, str. 25) z dwóch egzemplarzów znalezionych w Głębokiem, złożył napis MEZICO, czego jednakże na rysunku jego (typ. 3) niepodobna wynaleźć. Dokładniejszy rysunek, lubo widocznie niezrozu-

miany, podano na tablicach ogłoszonych pod tytułem: „Stare pieniądze wykopane we wsi Wieńcu w r. 1850,“ tab. 1, nr. 15. Na egzemplarzu rzadkiej tej monety, należącym do Zbioru Ordynacyi Zamoy-skiej, ja znajduję napis dwojakim pismem, a mianowicie po stronie zwierzęcia napis hebrajski חצלה (hacalat), a po stronie księcia literę łacińską M. Słowo חצלה (hacalah) znaczy ocalenie, wybawienie ¹⁾. Na monecie jednak słowo to nie kończy się na ח (h), lecz na ח (th lub t), i zmianę tę zaszła w słowie wypada tłómaczyć. Jeżeli w hebrajskim języku zachodzi połączenie wyrazów, które my wyrażamy przez mianownik z dopełniaczem np. bojażń Boga, to w hebrajskim języku tylko główny wyraz, jak tutaj bojażń, ulega zmianie, a wyraz, który my kładziemy w formie dopełniacza, pozostaje niezmieniony. Połączenie takie, odpowiadające naszemu mianownikowi z dopełniaczem, nazywa się w gramatyce hebrajskiej status constructus. Jeżeli w status constructus staje rzeczownik mający końcówkę żeńską חַ, natenczas końcówka ta zmienia się na חַ. Ze zmiany widocznej na monecie Mieszka okazuje się, że wyraz חצלה stoi w status constructus, czyli, że znaczy oswobodzenie, ocalenie kogoś. Drugim wyrazem niezbędnym do uzupełnienia napisu hebrajskiego stojącego w formie status Constructus, jest domysłowe imię walczącego, wyrażone pierwszą literą M, którego wypada domówić i czytać Misico. Gdyby nie następowało to dopełnienie zawierające imię ocalonego, nie mógłby wyraz hebrajski stać w status constructus, lecz stałby w prostej formie (status absolutus). Końcowa zmiana słowa hebrajskiego okazuje najdowodniej, że dwa te wyrazy napisane łączą się ze sobą ściśle; podług tego napis bebrajsko-łaciński wykładam: ocalenie, oswobodzenie Mieszka. Nie sprzeciwia się temu objaśnieniu okoliczność, że taka walka, takie narażenie się i na dawniejszych monetach się znajduje, bo łowy dawniejsze często pewnie były połączone z narażeniem życia i mogło się wydarzyć Mieszkowi Staremu to samo, co któremukolwiek z jego poprzedników. Taki sposób odczytania i wytłómaczenia przedziwnie się też zgadza z wyobrażeniem daném na monecie: przedstawiona walka a równocześnie i niebezpieczeństwo, na które się naraził walczący; moneta uwiecznia ocalenie jego. Nie widzę potrzeby wykazywać mylności dawniejszego sposobu czytania, bo sędzę tylko z tego, co widzę na monecie i staram się być wolnym od wpływu poprzednich objaśnień. Chcąc sobie zapewnić samodzielność badania, biorę naprzód monetę, a postarawszy się odczytać napis na niej najdokładniej, zapisuję com na niej znalazł; następnie dopiero patrzę co inni na niej widzieli. Na monecie niniejszej wyczytałem napis חצלה i z przyjemnością przekonałem się później, że wytrawny numizmatyk br. Bernard Köhne ²⁾ w odczytaniu tylko co do jednej litery zemną się różni, gdyż wyczytał חרלה, co jak słusznie nadmienił

¹⁾ Gesenius, Wörterbuch, I, kol. 513. Chiarini, Słownik, str. 51.

²⁾ Mémoires de la société Imperial d'Archeologie. 1852, str. 431.

ks. Polkowski, żadnego nie daje sensu ¹⁾). Dla mnie zgodność Köhnego co do końcówki ך jest wielkiej wagi, a za odczytanie litery, w której się różnię z Köhнем, biorę chętnie na siebie odpowiedzialność, bo prawidłowo urobiony wyraz hebrajski daje sens dobry, a i przez wyobrażenie na monecie może być poparty. Sądzę, że wyjaśnienie napisu podane przezemnie uznane będzie za uzasadnione, a napis sam nadal nie będzie należał do rzędu zagadkowych. Pozostaje mi jeszcze dodać, że podziw budzi we mnie nauka żydów kierujących mennicą Mieczysława Starego, z którą to nauką uczoneści naszych dzisiejszych żydów, mimo ogromny postęp ogólnej nowoczesnej oświaty, nie zawsze może iść w porównanie. Tamci zupełnie prawidłowo położyli status constructus, co dowodzi dobrego oboznania z prawidłami języka, a nasi nawet odczytać tego nie umieją.

Na numerze 9 str. 158 jest napis ברבות, który czytać należy: ברית a wymawiać brachot, nie braha, jak podaje p. Stronczyński na tém miejscu, ani też brahut, jak czytał ks. Polkowski (Wykopalisko głębockie, str. 43, nr. 28), gdyż jestto liczba mnoga od bracha, a liczba mnoga rzeczowników żeńskich, do których należy bracha, urabia się zapomocą końców ם (ot). Domyślam się, że przy odczytaniu powodowano się zdaniem żyda, nieznającego naukowo swego języka i wymawiającego samogłoskę ם (cholem) nieprawidłowo jak nasze u, chociaż u, w hebrajskim alfabecie zwane szurek, pisze się ם. Liczby mnogiej brachut nie zna umiejętna gramatyka hebrajskiego języka. Wyraz brachot znaczy błogostawieństwa, ale znaczy także dary, podarki, dobrodziejstwa.

Pochlebiam sobie, że czytanie tych kilku napisów hebrajskich udało mi się ostatecznie ustalić i wytlómaczyć. Żałuję tylko, że nie mogłem mieć pod ręką takich brakteatów, które w jedyńych egzemplarzach dochowane należą do zbiorów mnie nieprzystępnych, bo w tych badaniach nie można polegać na rysunku, lecz trzeba koniecznie patrzeć na monetę samę i widzieć ile możności wszystkie okazy każdego typu, gdyż często jeden okaz uzupełnia drugi i czyni go zrozumiałym. Monety Mieczysława Starego opatrzone hebrajskimi napisami zasługują na osobną monografią, którą powinienby się zająć jaki znawca hebrajskiego języka.

Sumiennie nakazuje mi odebrać żydowskim myncarzom kilka monet przyznanych im przez p. Stronczyńskiego, albo raczej przez jego poprzedników. Wyznaję, że zamiar ten z kilku względów jest dla mnie cokolwiek drażliwym. Najprzód obawiaćbym się powinien gniewu naszych współobywateli żydowskiego pochodzenia, że im zabieram to, co im przez innych przyznane zostało. Wszakże z téj strony jeszczeby się można pocieszać nadzieją, że zamiłowanie ich skierowane do numizmatów innej epoki wybaczy mi zabór czyniony w tak odległych czasach. Dalej nie chciałbym się narazić autorowi dzieła, któ-

¹⁾ Wykopalisko głębockie, str. 25.

rego umiem cenić, lecz i tu względ na wolność myśli w rzeczach nauki uczyni może zacnego autora pobłażliwym na me wybryki, zwłaszcza że p. Stronczyński zasłaniać się może taką powagą, jaką był Lelewel w numizmatyce średnich wieków, który przed nim te napisy odczytywał. Lecz najtrudniejsza przeprawa z publicznością nie zajmującą się numizmatyką. Co sobie pomyśli czytelnik niehebrajczyk i nienumizmatyk o nauce naszej, która pozwala na jednę i tę samą monetic czytać jednemu po łacinie, drugiemu po hebrajsku! A jednakże tak jest. Nie masz innego wyjścia, jak zapewnić szanowną czytającą publiczność, że na monetach bitych przed siedemset laty napisy te bywają tak niewyraźne, monety często tak zniszczone, że rzeczywiście niekiedy powstać może wątpliwość, jak je czytać, czy po łacinie, czy po hebrajsku. Prosimy więc albo wierzyć w nasze uczciwe chęci wykazania prawdy, albo zająć się szczerze numizmatyką, aby nam wytykać pomyłki i przekonać się, że numizmatyka średnich wieków nie jest zabawką niepróżnujących próżniaków. Pierwszym kandydatem do nawrócenia z wiary żydowskiej jest brakteat pomieszczony przez p. Stronczyńskiego na str. 160 pod numerem 19, z wyobrażeniem ptaka o długiej szyi. Nie wiem, z kąd autor wziął rysunek i nie mogę przeto sądzić, o ile rysunek oddaje wiernie napis monety. Pan Stronczyński powiada, że Lelewel widział na tej monecie napis hebrajski, dający się przetłumaczyć po łacinie: *nonne obliti sumus* ¹⁾. Na egzemplarzu Ordynacyi Zamoyskiej (nr. 655 zbioru) ja znajduję szczątki łacińskiego napisu VERI, a i Karol Beier do którego ten zbiór poprzednio należał i którego bystremu oku zawierzyć można, zaznacza w katalogu, że w napisie litera V jest widoczna. Wedle tego pieniążek należy do rzędu monet tej epoki mających w napisach nazwy cnot, bo domyślał się, że cały napis był VERITAS. Gdyby znana była podobna moneta z hebrajskim napisem, byłyby to odrębny typ; ja takięj nie widziałem. Następnie doprasza się o przyjęcie na łono łaciny nr. 15 na stronie 159 dzieła p. Stronczyńskiego. Na rysunku numizmatyk zamiłowany Michał Levy z Inowrocławia znalazł napis hebrajski, który czytał: *Sinha*. Ks. Polkowski ten sam napis niby hebrajski odczytywał i znalazł, że go można oddać łacińskimi literami: *Miska t. j. Mieszko*. Gdzie wolno było dać tak różne dwa sposoby odczytania, tam i trzeci sposób może nie zawadzi. Ja na rysunku znajduję napis: *bo DV*, co uzupełnwszy możnaby wziąć za *Boleslaus Dux*. Stronczyński podobne bo na monecie umieszczonej pod n-rem 19 na stronie 140 uznał za pierwszą zgłoskę imienia *Bolesława*. Na egzemplarzu Ordynacyi Zamoyskiej (nr. 712 zbioru) monety żądającej nawrócenia nie widzę jednakże *bo DV*, które jest na rysunku p. Stron-

¹⁾ Nie widzę dla czego by napis *nonne obliti sumus*, gdyby rzeczywiście znajdował się na monecie, miał być żalobliwym wykrzyknikiem (str. 167); przecież to nie jest forma bierna i nie ma znaczenia: Czyliż o nas nie zapominiano.

czyńskiego, ale napis może podobniejszy do ODDO, i wypada się zastanowić, czy monety nie wypadnie przypisać Ottonowi synowi Mieszka Starego. Wątpliwość tę rozstrzygnąć będzie mógł ten, kto będzie miał sposobność porównać wszystkie znane egzemplarze. W każdym razie hebrajskich liter na tej monecie w żaden sposób dopatrzeć nie mogę, choć alfabet hebrajski jest mi dobrze znany, i dla tego uważam wszelkie ubieganie się za hebrajszczyzną za daremną pracę. Znane mi egzemplarze ważą jeden 0,17, drugi 0,20 grama.

Trzecim kandydatem do nawrócenia jest pieniążek odrysowany pod nr. 14 na str. 159. Pan Stronczyński poszedł za zdaniem Lelewela, który wyczytał i uznał napis za hebrajski, tłómacząc go: *justitia gaudium*. Chociaż tak *justitia*, jak mianowicie *gaudium*, są bardzo pouętniemi, bo nie często widzianemi rzeczami między przeciwnymi ludźmi, to jednakże ich hebrajskiej sukienki na monecie dojrzeć nie mogę. Mnie się koniecznie widzi, że czytać należy od lewej do prawej, a kto nie ma powodu należeć do mych przeciwników, temu nie trudno będzie znaleźć na rysunku litery LISC DVX, a jeśli kropkę w czwartej literze weźmie za zastępcę litery O, nawet LISCO DVX. Gdybyśmy się na ten sposób czytania mogli zgodzić, przybyłaby jedna moneta do nielicznego zastępu monet Leszka Białego. Pomieszczeniu takiemu nie stają na zawadzie wykopaliska, gdyż moneta znaleziona była w Wieńcu razem z innemi monetami Leszka. Jedna tylko waga monety (0,12 grama) mogłaby nas nabawić kłopotu, bo jest blisko o połowę niższa od wagi niektórych innych brakteatów Leszka. Lecz i ta trudność jest może tylko pozorną: naprzód już nadmieniałem, że waga monet z tego samego panowania nie ma wielkiego znaczenia, bo bywa bardzo niejednostajna; powtóre między monetami, przypisywanemi Leszkowi Białemu przez pana Stronczyńskiego, znajduje się brakteat beznapisowy, pomieszczony w dziele „Pieniądże Piastów“ jako typ 82, którego egzemplarz do mego zbioru należący, waży 0,11 grama, czyli prawie zupełnie tyle, ile brakteat, o którym mowa. Zgodziwszy się na mój sposób czytania napisu LISC DVX, utatwilibyśmy nawet pomieszczenie tego beznapisowego brakteatu pod panowaniem Leszka, mogąc je w części poprzeć tożsamością wagi.

Zdania mego co do rozebranych napisów hebrajskich, nie narzucam nikomu, ale pozostawiam światku uznaniu tak szanownego autora „Monet dawnych polskich“, jako i uznaniu szczerpłego zastępu naszych numizmatyków, rozmiłowanych w średniowiekowym okresie, tym okresie, tak pełnym zagadek, a równocześnie tak obfitym we wskazówki o stosunkach, na które źródła pisane nader mało rzucają światła. Trudności, napotykanne na każdym kroku, nie powinny odstręczać od badań, ale raczej dodawać do nich bodźca, a zwolna niejedna zagadka doczeka się rozwiązania i ustąpi miejsca niezachwianej prawdzie.

Pan Stronczyński w rzeczach wątpliwych, jak np. w przyzna-

waniu monet różnych współczesnym Bolesławom okazał się badaczem nader sumiennym i ostrożnym. Jeżeli w odczytywaniu napisów hebrajskich odstąpił od tej zasady, to uczynił to na wiarę poprzednich badaczy, a rzeczą krytyki jest przy ukazaniu się tak ważnej pracy, jaką niewątpliwie jest dzieło p. Stronczyńskiego, zbadać położenie rzeczy i wypowiedzieć zdanie o domysłach, które dawno są znane, których jednakże dotąd nie wzięto pod należytą rozwagę.

Między monetami, opatrzonemi napisami hebrajskimi, są jeszcze niektóre, zasługujące czasowo na wyłączenie z rzędu zbadanych ostatecznie. Za taką uważałbym monetę, której rysunek pomieszczony pod n-rem 21 na str. 161. Ci, którzy napis na niej uznali za hebrajski, doszli każdy do całkiem innego wypadku, co dowodzi, że odczytanie nie jest wolne od wątpliwości. Na niezłym egzemplarzu tej monety ja znajduję napis zaczynający się od CCC, i wobec tego nie myślę go odczytywać, bo robiący stempel, widocznie nie zdawał sobie sprawy z tego, co miało być wybite, lecz kopiował dowolnie znaki ze wskazanej mu innej monety. Jeżeli nie wykryjemy z czasem lepszego okazu, który tej monecie służył za wzór, lepiej pozostawić jej napis wątpliwym, niż narazić się na to, że przedź czy później odkryty lepszy egzemplarz zada kłam naszym domysłom.

Ostrzegając na początku przed przecenianiem znaczenia wagi pojedynczych monet z jednego panowania przyrzekłem przykładem poprzec to moje ostrzeżenie. Sposobność do tego dają mi dwa brakteaty z niewytłómaczonem dotąd napisem JANEC, których rysunek pomieścił p. Stronczyński na str. 147. O brakteatach tych mówi p. Stronczyński, że plan rysunkowy zbliża je do niektórych monet Mieszka Starego, że jednakże dla znacznie niższej wagi od monet Mieszka późniejszych być muszą. Jabym je bez wahania zaliczył do monet tego księcia, bo niektóre okoliczności przemawiają za takim ich pomieszczeniem. Plan rysunkowy, jak przyznano, zbliża je do monet tego księcia; znaleziono je w Witkowie i w Wieńcu razem z monetami Mieszka, a i waga, któraby je mogła zepchnąć do późniejszego czasu, nie przeszkadza przyznaniu ich Mieszkowi, choć względ ten uważam za mniej obowiązujący. Ale nawet ściśle się licząc z wagą nie będziemy ich mogli odmówić Mieczysławowi Staremu. Egzemplarze, oddane w rysunku na wskazanej stronnicy, waży według słów p. Stronczyńskiego po $2\frac{1}{2}$ grama aptekarskiego. Dwa egzemplarze przemieńne ważone daty: pierwszy 0,17, drugi 0,19 grama. Waga ta między monetami Mieszka, nie jest nadzwyczajna: mój egzemplarz z napisem Knesden, pochodzący z wykopaliska witkowskiego i tamże znaleziony razem z napisowym Mieszkiem, waży 0,18 grama; tyleż waży brakteat z czterema głowami i napisem MESICO (Stroncz. str. 115 górą) oraz brakteat (tamże drugi od góry) z napisem MESICO i wyobrażeniem anioła. Po 18 centygramów wagą nieuszkodzone egzemplarze monet Mieszka z napisem MESICO (Stroncz. str. 118 pierwszy w pierwszym rzędzie) oraz dwa brakteaty z hebrajskim na-

pisem bracha, jeden na str. 121 pierwszy z góry, drugi na str. 120 ostatni. A nie zbywa nawet na monetach niewątpliwie do Mieszka należących, które mniej ważą. I tak brakteaty z napisem MEZ (Stroncz. str. 115 ostatni dołem), jeden z mego zbioru 0,16, a drugi nawet tylko 0,14 grama. Tylko 0,13 grama waży brakteat mego zbioru, odpowiadający rysunkowi p. Stronczyńskiego na str. 158 nr. 9. Dla dokładności przytaczam te szczegóły, chociaż wystarczyło powołać się na samego p. Stronczyńskiego, podającego na str. 121 brakteaty Mieszka, ważące po 3, a nawet po $2\frac{1}{2}$ granów, czyli właśnie tyle, ile brakteaty podane na str. 147, których p. Stronczyński tylko dla rzekomo znaczniej wagi nie chce przyznać Mieczysławowi Staremu ¹⁾.

Ponieważ i układ rysunku i waga tych brakteatów zgodne są z innymi brakteatami Mieszka, a brakteaty same bywają wykopywane razem z brakteatami, naznaczonymi imieniem Mieszka, przeto wypada je zaliczyć do monet tego księcia, chyba że napis IANHC zbliżony do JOHANNES co innego z czasem doradzi.

Za szczęśliwą myśl uważać należy bliższe zajęcie się zagadkami, guziczkowatymi brakteatami (str. 190—202), z których niektóre są niewątpliwie krzyżackie, ale których znaczna część zapewne nie pochodzi z mennic krzyżackich. Są między nimi takie, które na sobie noszą herby rodzin polskich, są inne, przyozdobione godłami miast naszych, inne mają na sobie pojedyncze litery. Znaczone literą B, p. Stronczyński przyznaje Bolesławowi mazowieckiemu; bratu jego, Konradowi te, na których wybita litera C, nakoniec Wacławowi mazowieckiemu, zmarłemu około r. 1340, te które mają na sobie literę V. Znajdujemy wprawdzie te same litery na podobnych guziczkowatych monetach szląckich ²⁾, lecz szląckie tak widocznie różnią się wielkością od znajdujących u nas, że naszych za szląckie nikt nie poczyta. Z przywilejów wydrukowanych na str. 5 i 6 dowiadujemy się, że Bolesław mazowiecki pod koniec wieku XII bił własną monetę w Płocku, bo do niej ma się stosować moneta arcybiskupów gnieźnieńskich bita w Łowiczu. Nie znamy dotąd ani monety płockiej Bolesława, ani łowickiej arcybiskupów. Nic pojętniejszego, jak szukać tych monet między brakteatami guziczkowatymi, na które nie mamy dotąd po-

¹⁾ Używam do ważenia monet wag francuskich gramowych, jako dokładniejszych od wag aptekarskich; centygramów tylko paryskich radzę używać, bo warszawski ich wyrób okazał się bardzo niedokładnym. Kolegów numizmatyków, mających pod ręką szacowną pracę ks. kan. Polkowskiego p. t.: „Wykopalisko Głębockie,” wiuciem ostrzodź, że w dziełku tém wszędzie mylnie wydrukowano gramy zamiast grany (aptekarskie), co wielką czyni różnicę, bo granów idzie przeszło 16 na jeden gram.

²⁾ Freiherr von Saurma—Jeltsch, Schlesische Münzen und Medaillen. Breslau, 1883, tabl. VII, nr. 356, 357, 366.

mieszczenia topograficznego z wyjątkiem tych, które niewątpliwie za krzyżackie lub szląskie uznać będzie trzeba.

W połowie wieku XIII mennictwo doszło wybijaniem cieniuteńkich blaszek do ostatnich granic redukcji wagi: moneta była istną plewą, kruszącą się za dotknięciem. Okazała się potrzeba zmiany urządzeń mennicznych. Nim przyjęto system groszowy, zdaje się, że próbowano zaradzić złemu przez wybijanie tych guziczkowatych pieniążków, które były mniejsze od poprzedzających brakteatów, ale za to grubsze i mniej łomkie. Na ten okres przejściowy między cienkimi brakteatami a stopą groszową przypada panowanie Bolesława i Konrada, książąt mazowieckich (r. 1262—1313). Była w tym samym czasie podobna moneta na Szlązku, była u Krzyżaków i indziej, i trudno powiedzieć, czy Krzyżacy poszli za przykładem książąt mazowieckich, czy też odwrotnie, ci książęta przyjęli sposób bicia od sąsiednich Krzyżaków i miast pruskich, w których ten rodzaj denarów widzimy jeszcze za panowania Kazimierza Jagiellończyka. W każdym razie pieniążki te, ostatni raz, ile wiem, znalezione w znacznej ilości w Ciechocinku, zastępują na staranne zbadanie, bo ryczałtowe przyznanie ich przez Vossberga Krzyżakom nie jest pewno ostatniem słowem w tej sprawie. Wytrawny znawca numizmatyki polskiej, Karol Beyer, w opisie wykopaliska wieleńskiego (str. 51) wypowiedział oczekiwanie, że większa połowa monet wieleńskich okaże się czysto polską. Poważne zdanie p. Stronczyńskiego powinnyby zachęcić numizmatyków do gorliwszego zajęcia się temi guziczkami.

Nie mam powodów nie zgodzić się na zdanie p. Stronczyńskiego, że brakteaty, mające za stempel ukoronowaną głowę, mogą pochodzić z mennicy Przemysława II, gdyż nie znamy dotąd niewątpliwiej monety tego króla. To samo możnaby powiedzieć o brakteatach, mających wyobrażenie korony za piętno. Znaczone orłem mogą być monetą Przemysława, a niektóre z nich najpewniej monetą książąt mazowieckich, bo kształt orła na nich dziwnie jest podobny do orła na pieczęciach książąt mazowieckich. To też jest wielkie podobieństwo do prawdy, że taka była moneta książąt mazowieckich pod koniec XIII wieku. Główniejsze wykopaliska tych monet pochodzą z dawnych ziem tych książąt: Mąkolin pod Płockiem, Kikoł pod Lipnem, Izbica, Ciechocinek.

Mennica łowicka arcybiskupów gnieźnieńskich miała się stosować w dobroci kruszcu i wadze do monety tych książąt; zapewne i sposób bicia tej mennicy nie różnił się od mennicy płockiej. Więc i monety łowickiej między temi guziczkowatemi pieniążkami szukać należy. Wypada zwrócić uwagę na brakteaty z wyobrażeniem biskupa (Stron., nr. 180—184), z pastorałem (nr. 232), oraz z krzyżami (nr. 1—13), czy między niemi nie kryją się łowickie. Od przyszłych wykopalisk spodziewać się trzeba światła dla tego ciemnego okresu numizmatyki krajowej. Bardzo pożądane są wykopaliska z miejsc mennicznych, t. j. z samego Płocka lub Łowicza, bo takie zawierałyby pewnie przewa-

żnie, jeśli nie wyłącznie, wyroby miejscowej mennicy. Płocznanie i łowiczanie powinnyby skrzętnie zbierać nawet monetki pojedynczo znajduwane przy kopaniu ogrodów, a przyczyniliby się do rozwiązania tej zagadki.

W niektórych szczegółach, podawanych w dziele p. Stronczyńskiego, możnaby wymagać większej dokładności, gdyby nie chodziło o pieniążki średniowieczne, których tak szczupłą liczbę mamy i przy których biciu tak mało przestrzegano ścisłych prawideł. O denarach Eberharda, biskupa naumburskiego, które mogły służyć za wzór niemiełej monecie, obiegającej w Polsce za Kazimierza I, powiada p. Stronczyński, że są większe i z mniej wystającym brzegiem, niż monety wendyjskiego stempla. Powierzchność denarów Eberharda chyba była niejednostajna: dwa egzemplarze nabyte z ostatniego (październik, 1883) wykopaliska w Rzeczkach Wólkach pod Ciechanowem, są mniejsze od denarów znaczonych krzyżem bizantyjskim, a brzegi mają jeszcze więcej wywinięte. Brzegi wywinięte powstawały przez okuwanie ich już po wybiciu; trudno przytém wymagać jednostajnej roboty; im dłużej okuwał, tém moneta stawała się mniejszą, a brzegi jej tém więcej wywinięte.

Na denarze odrysowanym na str. 66 p. Stronczyński usiłuje wy-czytać KAZ POL w zamiarze przyznania go Kazimierzowi Odnowicelowi. Karol Beyer czytał napis BOLZA, a ja wolałbym czytać BOE-ZLA. W każdym razie sposób czytania Beyera przemawia więcej do mego przekonania, gdyż dopatruję w tym denarze niejakiego podobieństwa z denarem Bolesława Śmiałego, bitym w Wrocławiu; strona napisowa zdaje się być naśladowana z niego: przez niezdarne przeniesienie środkowego krzyżyka i zakrzywienie dwóch ramion powstał znak podobny więcej do herbu Nałęcz, niż do trzylistu. Waży 1,16 grama.

Na str. 217 twierdzi p. Stronczyński, że napis RIXA na niektórych monetach z połowy wieku XI odpowiada zupełnie imieniu królowej Ryxy, jakiś czas rządy w tej epoce sprawującej. Twierdzenie to ma służyć za dowód, że moneta rzeczona była bita w Polsce. Moznaby się zgodzić na swojskość owych monet; ale trudno uwierzyć, że litery RIXA na monecie wyrażają imię królowej, gdyż ta we współczesnych źródłach historycznych najczęściej pisana jest Richeza (Biel.: Monum., t. I, str. 324, 325, 333, 340, 346, 351, 354), dwa razy Richza (tamże, str. 339, 349), a nigdy Rixa. Dowodów na swojskość monety trzeba nam szukać gdzieindziej, gdyż powołanie się na tak niedokładną zgodność osłabia twierdzenie, zamiast je popierać.

Niekiedy wyrażenie autora nie zupełnie jest ścisłe. Tak na str. 122 czytamy, że na jednym brakteacie obok imienia Mieszkowego widać tytuł książęcy: dux, w naszej numizmatyce niezwykły. Nie rozumiem, dla czegoby tytuł dux miał być niezwykłym w numizmatyce średnich wieków, kiedy znajduje się na monetach Bolesława Chrobrego (DVX INCLITUS), Krzywoustego (DVCIS BOLESŁAI), Kazimierza Sprawiedliwego (DVX CASIM) i Bolesława Pobożnego. Tytuł ten

możnaby nazwać niezwykłym na monetach Mieczysława Starego i to może autor miał na myśli, ale nie nazwałbym go niezwykłym w naszej numizmatyce w ogóle.

Pomyłki w liczbach bywają nieuniknione, najczęściej z winy drukarza. uważny czytelnik łatwo je dostrzeże i poprawi. Jedną przynajmniej chciałbym sprostować: Panowanie Salomona, króla węgierskiego, oznaczone (str. 55, 56) latami 1058—1085. Przez daty panowania Andrzeja węgierskiego 1047—1060 na str. 50, oraz Władysława 1077—1095 na str. 64, ostrzega nas sam autor, że panowanie Salomona mylnie wyrażone. Phillips podaje w Dictionary of biographical reference, że Salomon był królem węgierskim od r. 1063—1074. Nie zwracałbym uwagi na tę pomyłkę, gdyby od lat tych nie zależało niekiedy oznaczenie czasu zakopania skarbu. Przypadkiem moneta Salomona była, ile wiem, najpóźniejsza w skarbie wykopanym świeżo w Rzeczkach Wólkach, gdzie było około 7 funtów monet wendyjskopolskich, a między niemi wielce dla nas zajmująca moneta Sieciecha w jednym egzemplarzu. Wszakże tam, gdzie p. Stronczyński wymienia Salomona, lata jego panowania nie miały téj doniosłości, a Rzeczki wyświadczyły numizmatyce przysługę już po wydaniu dzieła.

Żałuję, że praca p. Stronczyńskiego była już ukończona, kiedy ukazało się małeńkie wykopalisko w Chruściechowie, opisane w „Przełądzie Bibliograficzno-Archeologicznym” z r. 1881, tom I, str. 82.

Wskazane pomyłki w niektórych szczegółach nie są jednakże tego znaczenia, żeby mogły ująć czynić użyteczności dzieła, które pomnikowem nazwać można. Czołem na cześć przed pracą długo oczekiwaną, którą każdy miłośnik przeszłości z zadowoleniem i z pożytkiem przeczyta, a której dalszego ciągu oczekujemy z niecierpliwością.

Józef Przyborowski.

KORESPONDENCYA.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W zeszyte styczniowym r. b. wydrukowaliśmy w artykule prof. Teofila d-ra Ziemby p. t.: „Okres chmurny w życiu Mickiewicza,“ str. 48, wiersz poety do panny Ludwiki Mackiewiczówniej, narzeczonej Ignacego Chodźki a osobiście nieznanój Adamowi, podług zwykłego tekstu książkowego:

„Nieznajomój nieznanój, nieznany daleki,
Kiedy nas jeszcze dalej losy chcą rozegnać;
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać,
Dwa wyrazy: witam cię—bądź zdrowa na wieki!
Tak podróżny zbłąkany w alpejskim parowie,
Piosnką chce nudnej drodze przyczynić wesela:
A kiedy nie ma komu śpiewać serce wdowie,
Śpiewa piosnkę kochance swego przyjaciela;
Lecz nim piosnkę przypędzą echa ku jój stronie,
Może już podróżnego wieczny śnieg pochlōnie!“

„Dla Ludwiki przyszłej Ch..... pisałem w godzinę przed oddaniem się z Litwy r. 1824, 8-bra 22 dn. (22-go Octobra).“

P. Fr. Dobrzański, Członek biblioteki wileńskiej, raczył nam przesłać wierną kopią oryginalnego rękopismu tego wiersza, który różni się nieco od tekstu książkowego. Nie stanowiłoby to wprawdzie dostatecznej przyczyny przywiązywania wielkiej wagi do tych wariantów, które tylko w wierszu 5-tym i 6-tym niemniej i w dedykacyi uważamy w autografie za poprawniejsze, ponieważ wiadomo powszechnie, iż Mickiewicz zmieniał i wygładzał troskliwie swoje utwory poetyczne przy każdym druku tak, że należy uważać ostatnią redakcyą za autentyczny tekst Mickiewicza. Podzielając jednak pobudki, które skłoniły p. D. do téj odezwy, komunikujemy czytelnikom „Bibl. Warsz.“ list p. Fr. D. w przekładzie polskim, oraz kopią autografu poety, zaznaczając warianty obydwóch tekstów drukiem nieco rozstawionym dla widoczniejszego uwydatnienia zmian w obydwóch tekstach zachodzących.

Szanowny Panie Redaktorze!

W zeszyście styczniowym redagowanej przez Pana „Biblioteki Warszawskiej“ w artykule o A. Mickiewiczu, przytoczono między innymi piękny wiersz jego do Ludwika z Mackiewiczów Chodźkowej. Oryginał tego wiersza, pisany ręką samego Mickiewicza, znajduje się pomiędzy autografami wileńskiej biblioteki publicznej, złożony tam przez samą p. z Mackiewiczów Chodźkową. Zestawiwszy z oryginałem wiersze przytoczone w artykule pisma pańskiego, znalazłem pewne różnice w tekście. Mając na względzie, że każde słowo geniusza powinno być dla nas drogie; przesyłam panu kopią oryginału na wypadek i gdyby zaszała potrzeba posiadania tekstu oryginalnego tej wdzięcznej poezji.

Wilno 7 lutego r. 1884.

Z prawdziwym szacunkiem

F. Dobrzański Członek Wileńskiej Biblioteki publicznej.

Kopia autografu Mickiewicza.

„Nieznajomój dalekiój, nieznany daleki,
Kiedy nas jeszcze dalej wyrok chce rozegnać,
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać
Dwa wyrazy: „Witam cię! Bądź zdrowa na wieki!“
Jak przechodzić zblakany w alpejskim parowie,
Pieśnią chce nudney drodze przyczynić wesela
A kiedy niema komu śpiewać serce wdowie,
Śpiewa piosnkę kochance swego przyjaciela.
Lecz nim piosnkę przypędzi echo ku Jey stronie
Może już podróznego wieczny śnieg pochłonie.

Dla Ludwika przyszłej Chodźkowej pisałem.

Adam Mickiewicz.

R. 1824. D. 22 Oktobra.“

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Luty 1884.—Komitet, zajmujący się urządzeniem zjazdu historyczno-literackiego imienia Jana Kochanowskiego, ogłosił odezwę z programem zjazdu. Myśl zwołania takiego zjazdu znalazła przychylny odgłos u wybitniejszych przedstawicieli kierunku historyczno-literackiego także poza Krakowem, oraz poparcie prezesa Akademii umiejętności.—Akademia gotowa jest dla uświetnienia zjazdu odłożyć doroczne swoje publiczne posiedzenie aż do terminu zjazdu, jeżeli, jak jest wszelka po temu nadzieja, zgodzić się raczy na tę zmianę dnia urzędowego posiedzenia dorocznego protektor Akademii, arcyksiążę Karol Ludwik.

Posiedzenia zjazdu odbywać się będą w dniu 28, 29 i 30-ym maja r. b. w salach Akademii umiejętności, po publiczném jój posiedzeniu.

Przedmiot obrad zjazdu stanowią mają referaty, które uczestnicy jego nadesłać raczą komitetowi, najpóźniej do dnia 1-go maja r. b. Referat, obejmujący do pół arkusza druku, podać ma wnioski dokładnie sformułowane, streścić ich zasadnicze motywa i wskazać źródła, służące do objaśnienia motywów.—Komitet zajmie się wydrukowaniem referatów i rozesze je zawczasu uczestnikom zjazdu, ażeby do rozpraw nad nimi przygotować się mogli.—Kolej referatów, podział ich na dwie sekcye, historyczno-literacką i językową i porządek obrad uchwali zjazd na pierwszém posiedzeniu, na podstawie wniosków, które komitet przygotowuje.

Ze zjazdem połączoną będzie wystawa druków i rycin polskich XVI-go wieku.

Komitet złożony z pp. Stanisława hr. Tarnowskiego, jako przewodniczącego, oraz Michała Bobrzyńskiego, Kazimierza Morawskiego, Stanisława Siedleckiego i Władysława Wisłockiego, oczekuje od zaproszonych uczestników zawiadomienia, czy w zjeździe przyjmą udział i czy na nim wystąpią z referatem, w ostatnim zaś razie prosi o po-

danie tytułu referatu, a następnie o nadstanie rękopisu w najbliższym czasie.

Zapowiedziane już na zjazd referaty są następujące:

I. W sekcji historyczno-literackiej:

1) O wpływie kanonistów i legistów na literaturę polityczną XVI-go wieku, referent prof. dr. Bobrzyński;

2) Znaczenie różnic terytoryalnych i etnograficznych w dziejach literatury polskiej, mianowicie w w. XVI i XVII-ym, referent Br. Chlebowski;

3) Jak należy traktować utwory poezji ludowej w historii literatury polskiej, referent dr. Piotr Chmielowski;

4) W jaki sposób wydawać należąca do poetów polsko-łacińskich XVI-go wieku, referent prof. dr. Œwikliński;

5) O wpływie wielkich odkryć geograficznych na oświatę polską XVI i XVII-go wieku, referent prof. dr. Fr. Czerny.

6) Znaczenie reformy szkół Konarskiego w dziejach oświaty polskiej, referent Stanisław Krzemiński;

7) O wpływie humanizmu niemieckiego i włoskiego na oświatę polską XV i XVI-go wieku, referent prof. dr. Kazimierz Morawski;

8) Jak należy wydawać dzieła polskich poetów XVI i XVII-go wieku, referent prof. dr. Roman Pilat.

9) O wpływie życia ziemiańskiego na literaturę XVI-go wieku, referent prof. dr. Józef Rostafiński;

10) O wpływie filozofii Leibniza i Wolffa na ruch umysłowy w Polsce XVIII-go wieku, referent prof. dr. Maurycy Straszewski;

11) Stan obecny badań i prac w dziedzinie historii literatury i oświaty i nasuwające się ztąd żądania, referent prof. dr. St. Tarnowski;

12) O potrzebie rozpatrzenia się w zbiorach kazań średniowiecznych, zwłaszcza pasyjnych, nagromadzonych po bibliotekach polskich, opracowania ich i częściowego wydania, jako materiału do odтворzenia obrazu zaginionej prawie literatury dramatu kościelnego czyli misteryów, ref. dr. Stanisław Tomkowicz;

13) O podjęciu wydawnictwa biblioteki pisarzy polskich, referent W. Wisłocki.

II. W sekcji językowej:

1) O potrzebie tłumaczenia starożytnych klasyków greckich i rzymskich i jak ich tłumaczyć należy, ref. prof. dr. L. Œwikliński;

2) O ileby należało uwzględnić nowsze teorie gramatyki indoeuropejskiej w pracach, poświęconych kwestyom historyczno-porównawczym języka polskiego, referent dr. Jan Hauusz;

3) Jakich zasad trzymać się należy w transkrypcji rękopiśmiennych i drukowanych zabytków polskich, od najdawniejszych czasów do XVII-go wieku, referent docent dr. Kalina;

4) Projekt jednolitego skrócenia tytułów zabytków staropolskiego języka, ref. dr. Kalina;

5) O sposobie spostrzegania i zapisywania właściwości mowy ludowej, referent prof. dr. L. Malinowski.

Listy adresować należy: „do komitetu urządzającego zjazd, na ręce Stanisława hr. Tarnowskiego, sekretarza generalnego Akademii Umiejętności w Krakowie.”

— Dwa lata temu dr. Juliusz Wiesner, profesor botaniki w uniwersytecie wiedeńskim, wydał I-szy tom swojego kursu botaniki p. t.: „Elemente der wissenschaftlichen Botanik,” obejmujący zasady anatomii i fizjologii roślin. Już wtedy nauczyciele wykładający botanikę zwrócili uwagę na ten podręcznik i przewidywali, że to będzie praca, która wyruguje z użycia słynną dotąd „Botanikę” Sachs'a. Obecnie wydany tom II-gi spełnił nadzieje: całość jest wyborna i zwracamy na to dzieło uwagę naszych profesorów-naturalistów. Wobec braku polskich podręczników naukowych w zakresie historii naturalnej z wyższym uniwersyteckim programem, powinniśmy skwapliwie się zaznajamiać z nowymi w tym rodzaju wydawnictwami za granicą, żeby się uchronić od zgubnej rutyny i zacofania. Prof. Wiesner przedewszystkiem celuje trafnym doбором materiału wykładowego, nie pomija żadnego ważniejszego, a stwierdzonego dokładnie faktu charakterystycznego i równomiernie wszystkie działy botaniki rozbiiera. Organografia wiele zyskuje na tém, że autor w każdym wypadku uwzględnia zarówno morfologiczną, jak i fizjologiczną stronę rozbiieranych kwestyi. Poraz też pierwszy w tym podręczniku spotykamy systematycznie rozwiniętą biologią, do której, odróżniając ją od fizjologii, Wiesner zalicza te wszystkie zjawiska, których niepodobna wyjaśnić na podstawie czysto fizyczno-chemicznych procesów. Nie wskrzesza on jednak „siły życiowej,” tylko podział ten gwoli dydaktycznym względom utrzymuje. W systematyce jawnopłciowych roślin trzyma się tych samych zasad, co Eichler w swoim „Syllabusie.” Przy końcu dzieła podaje krótką historią botaniki, a do obudwu tomów dołącza ciekawe uwagi o nowych odkryciach i kontrowersyjnych dziś w botanice kwestjach. Liczne też drzeworyty zdobią dzieło i zbogacają podręcznik. F. S.

— Kwestya ujednostajnienia pisowni polskiej, przedstawiona przez Redakcyą Bibl. Warsz. do rozpoznania i uporządkowania praktycznego Akademii Umiejętności w Krakowie, była w ostatnim czasie przedmiotem dyskusyi na kilku posiedzeniach komisyi językowej. Rozpatrzono liczne opinie, nadesłane przez osoby zajmujące się spostrzeżeniami nad językiem polskim, obok memoriałów poważnych filologów i lingwistów, którzy rozbiierali metodologicznie i gruntownie poważne studyum prof. Kryńskiego, drukowane w Bibl. Warsz. (Sierpień, 1882 r.). Akademia, patrząc codziennie na ujawniające się u nas w każdej sprawie gotowe głosy odszczepieństwa i oceniając ważność podjętego zadania, postanowiła nie kusić się o za dekretowanie nie prawideł, któreby wszystkim nauczycielom i wszystkim piszącym narzucić chciała; ale pragnie tylko ułożyć w pewien system tę pismo-

wnią, której się w wydawnictwach swoich trzymać zamierza. W ten sposób uniknie wprawdzie Akademia gorszącego niebezpieczeństwa głosu szyderczego dziś *juris vetandi*; ale pada z drugiej strony list *gleitny* samowoli powołanych i niepowołanych nowatorów, literatów i profesorów. Potrzeby szkoły, potrzeby literatury, potrzeby zachowania indywidualności dźwięków rodzimych w ich czystości domagają się ujednostajnienia tej sprawy, która nie jest kwestyą wyłącznie naukową, ale pod względem praktycznym przeważnie konwencyonalną, kwestyą powszechną z *godny!* Komisya językowa zajęła się w ostatnim czasie bardzo gorliwie utożeniem systemu pisowni dla swoich wydawnictw i przyszła w kilku ważnych punktach do ostatecznych postanowień, zapadłych za zgodą wszystkich członków, lub też tylko większością głosów. Postanowiono mianowicie:

1. Przy głoskach *b, m, p, w*, w zakończeniu wyrazów, uie używać kréski miękczącej.
2. Pisać w trybach bezokolicznych, według Małeckiego i Kryńskiego: *móc, strzéc, biéc*, zamiast: *módz, strzedz, biedz*.
3. Nie używać na początku wyrazów, ani po samogłoskach kombinacji *ji*, lecz saméj samogłoski *i*.
4. Wyrazy przyswojone, zakończone na *ia, ya*, pisać: *opinia, historia*, a więc zgodnie z wnioskami Deputacyi Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

5. Końcówek *ski* i *stwo* nie zamieniać nigdzie na *zki* i *ztwo*.

Zasadniczą i najgorętszą dyskusyą wywołał czwarty z powyższych punktów, roznamietniający już od kilkudziesięciu lat naszych lingwistów, gramatyków i glosofilów. Na posiedzeniu komisyi, odbytém dnia 23 grudnia r. z., odrzucono wniosek przyjęcia pisowni: *opinja, historyja* i wniosek pisania: *opinija, historyja*, a przyjęto 5-ciu głosami przeciw 3-em wniosek pośredniczący pozostania przy pisowni: *cpinia, historya*. Za wnioskiem tym głosowali członkowie komisyi: dr. J. Hanusz, prof. dr. Lucyan Malinowski, p. Mieczysław Pawlikowski, ks. kanonik Polkowski i dr. Władysław Wisłocki. Ktoby chciał poznać szczegółowo widnokrąg pojęć, które się z sobą ścierały przy tej najdrażliwszej kwestyi, znajdzie dokładną informacyą w opinii prezesa Akademii Umiejętności, J. Dr. Mejera, który ze względów fizyologicznych łączy się ze zdaniem mniejszości. Tytuł broszury: „O pisowni *ija, yja*, w wyrazach przyswojonych.“ Uwagi d-ra Józefa Majera, ogłoszone w miejsce rękopismu dla rozdzielenia pomiędzy Członków Akademii. Kraków, 1884, str. 18. O kwestyi tej pomówimy szczegółowo w zeszycie kwietniowym przy rozbiorze broszury sz. prezesa Akademii.

— Ostatnie chwile Mickiewicza. Korespondent „Kur. Pozn.“ z Konstantynopola, przy sposobności ogólnego zainteresowania się projektem pomnika, który ma być wzniesiony księciu naszych poetów, zebrał w miejscu następujące mało znane szczegóły o pobycie i zgonie Mickiewicza w Carogrodzie: „Adam Mickiewicz, po przyjeździe

z Francji, zabawiwszy tu czas niejaki, wyjechał do obozu tak zwanych kozaków, w bliskości Warny, gdzie Sadyk Czajkowski był dowódcą. Wróciwszy do Carogrodu, zamieszkał na przedmieściu Janiczarsze, blisko kościoła greckiego św. Konstantyna, u pewnej familii polskiej. Tu go przyjaciele często odwiedzali i pocieszali w jego smutku, który duszę jego czasami ogarniał. Pewnego dnia, zjadłszy obiad, nagle zachorował. Służący, Jan Łopaciński, ziomek jego, zaraz pobiegł po lekarzy, a nakoniec i po księdza, także ziomka, M. Ławrynowicza. Wszyscy się gorąco zajęli chorym, ale daremne były wszelkie wysilenia. Mickiewicz, wyspowiadawszy się u ks. Ławrynowicza i przyjąwszy ostatnie Olejem św. namaszczenie, dnia 6 listopada r. 1855, w największych boleściach życie zakończył. Ztąd rozeszła się pogłoska, że został otruty. Inni opowiadali, że to była cholera. Bądź co bądź, jego nagła śmierć wszystkich przeraziła i zasmuciła. Zwłoki zmarłego odwieziono do Francji. Domek, w którym nasz poeta mieszkał, został podczas wielkiego pożaru w r. 1870 w perzynę obrócony i nawet śladu po nim nie pozostało. Dwa lata temu, wdzięczny rodak nasz, Józef Ratyński, za wskazówką starszych ziomków, jak Jana Górczyńskiego i innych, odszukał to miejsce, zakupił je i wystawił tam domek murowany na pamiątkę sławnego poety. W przeszłym roku kilku obywateli z kraju, dowiedziawszy się o tém, przesłało na ręce p. Ratyńskiego cokolwiek pieniędzy, aby w ścianie domku umieszczono tablicę marmurową z napisem dnia i roku śmierci Adama Mickiewicza. P. Ratyński zajął się szczerze tą pracą i wkrótce śliczną płytą marmurową ów domek ozdobił tak, iż obecnie każdy podróżny rodak łatwo odnajdzie miejsce śmierci naszego poety. Dziś nazwano tę ulicę „Adam Sokak.“

— Z czwartego już z kolei, dorocznego sprawozdania tutejszój Szkoły Rzemiosł, przy ulicy Jasnej, która jest jedyną tego rodzaju instytucją w Warszawie, dowiadujemy się rzeczy nie wesołych wcale. Tak np., któżby przypuszczał, że w mieście liczącem zgórą 400,000 mieszkańców, a posiadającym samych rzemieślników kilkanaście tysięcy—do takiej, jedynój Szkoły Rzemiosł, uczęszczało w roku zeszłym tylko 114 uczniów, z których 10-u tylko ukończyło kursa wykładów? W tej garstce uczniów, rozdzielonych na trzy klasy, największą liczbę, wynoszącą przeszło 30%, stanowią ślusarze, a reszta dopiero przypada na inne rzemiosła. Ciekawym wielce, a nawet pouczającym, jest szczegół, iż, jak się ze sprawozdania okazuje, do Szkoły Rzemiosł uczęszczało najwięcej dzieci urzędników (33), oraz obywateli ziemskich i miejskich (23). Stan kupiecki dostarczył ich tylko 17, a rzemieślniczy... tylko o jednego więcej (18)! Sferę kapitalistów reprezentowało w tej szkole dwóch uczniów. Pomiedzy tą całą liczbą uczniów, część główna, bo aż 103, należy do religii katolickiej—na inae więc wyznania przypada ich tylko „jedenastu.“ Pokazuje się widocznie, że mieszkańcy Warszawy wyznania mojżeszowego, którzy stanowią 1/3 część całej ludności — nie posyłają wcale dzieci swoich na naukę rzemiosł. Snać uważają ten zawód za zbyt pracowity i za-

mało „łatwego“ przynoszący zysku... Dochody téj szkoły, której życzymy powodzenia lepszego w przyszłości, nie wystarczają dotąd na pokrycie wydatków. Niedobór z ostatniego roku wynosi rs. 2,655 z kopiejkami, które pokryto z zasiłków, dawanych przez protektorów téj szkoły—a protektorów tych jest dotąd tylko trzydziestu! Istotnie, stan obecny tutejszj Szkoły Rzemiosł i mała liczba jéj uczniów, stanowi wyrzut bolesny dla społeczeństwa naszego, a tém boleśniejszy, że zasłużony!...

— W styczniowym zeszytcie kwartalnika: „Revue des questions historiques“ (Paris, Victor Palmé), na str. 167—215, O. P. Pierling podaje wiele zajmującą rozprawę historyczną p. n.: „La Pologne, le St. Siège et la Russie, deux projets de conquête d'Etienne Bathory, 1582—1587,“ w której na podstawie mozolnych badań archiwalnych w Bibliotece watykańskiej i w Wenecyi rzuca wiele nowego światła na działalność Possevina. Jeżeli zakonnik, oddany najzupełniej sprawom Kościoła i uległy bez wymówki kierującej nim woli głowy kościoła i przełożonego zakonu, wychodzi tu bez zarzutu, to charakterystyka dyplomaty wypada mniej korzystnie. Po przeczytaniu pracy O. Pierlinga pozostaje o Possevinie wrażenie, że mu zbywało na téj trafności spostrzeżenia, na téj konsekwencji myśli i działania, na téj niezłomnej wreszcie i iście bohaterskiej woli, które niezrównanym blaskiem jaśniają w pozostawionej tu nieco na drugim planie postaci jego królewskiego przyjaciela. Zdarzało się Possewinowi spędzać po 40 dni z rządu w najpoufniejszj z Batorym rozmowie. Ulegał on wtedy najzupełniej téj fascynacji, którą połączony z rycerskim zapałem geniusz zwykł był koło siebie wywierać. Nie znajdował on jednak potem w sobie ani dość energii, ani dość siły przekonań, aby pomysł królewskie skutecznie poprzeć tam, gdzie najwięcej na ich poparcie zależało. Pomiimo tego nie Possevin, ani téż jego niestanowczość położyły ostateczną tamę wielkim planom Batorego. Wytrwałość i energia króla możeby zwalczyła piętrzące się przeszkody, zwłaszcza, że i na stolicy św. zasiadł właśnie w osobie Sykstusa V mąż bohaterskim duchem królowi pokrewny. O. P. P. wyjaśnia stosunek jego do Batorego i prostuje autora najnowszj pracy o Sykstusie V, barona Hübnera. Wszystkiemu położyła koniec śmierć nagła Batorego, zaszła w końcu r. 1586. Ze wielki ten król nie tylko orężem działać umiał, ale zdolnym był i do dyplomatycznych zabiegów, dowodzi poselstwo Haraburdy, wyprawione po śmierci Iwana Groźnego, na które odszukane przez autora w Rzymie dokumenta pełniejsze rzucają światło. Z faktów przez znakomitego uczonego dokładnie podanych i dość bezstronnie przedstawionych, widoczne są ze strony Batorego: genialność w ocenieniu sytuacji, niezłomna energia w działaniu, zupełne oddanie się sprawie Kościoła i przybranj ojczyzny; ze strony głównych jego przeciwników: wielka przebiegłość i powiem nawet, chytrność w łudzeniu Stolicy Apostolskiej; ze strony téj ostatniej: istnie ojcowiska i prawdziwie Chrystusowa troskliwość o dobro zbłąkanych owieczek; ze strony w końcu działającego wśród tych żywiołów łącznika, t. j. Possevina: chwlejność, brak jasno

wytkniętego celu, łatwe uwodzenie się pozorami. Cóż dziwnego, że w takich warunkach, dodawszy jeszcze niesforność i parafiańską małoduszność sejmów, o których w tej pracy najmniej; cóż dziwnego, że orzekł nie mógł rozwinąć tu skrzydeł do pełnego lotu? Cóż dziwnego, że wielki cel królewski: połączenie w jedno, bądź drogą podboju, bądź drogą dyplomatycznych zabiegów, dwóch najpotężniejszych narodów słowiańskich, aby je potem z pod stóp Stolicy Piotrowej powieść w bój za całe Chrześcijaństwo; cóż dziwnego, że cel ten olbrzymi w ciągu jedenastoletniego panowania nawet przez Batorego osiągnięty nie został?

— Stypendyum imienia ś. p. Ignacego Boczylińskiego.— Powstała między uczennicami, uczniami i kolegami ś. p. Boczylińskiego piękna myśl uczczenia pamięci zmarłego, przez zebranie stypendyum jego imienia, przechodzić zaczyna w czyn. Redakcja „Tygodnika ilustrowanego“ (Krakowskie-Przedmieście Nr. 15) podjęła się (Nr. 56 z r. b.) przyjmowania ofiar, na ten cel nadsyłanych; na kuratorów zaś zebrać się mającego funduszu uproszeni zostali: dr. Ignacy Baranowski, Ludwik Jenike, redaktor „Tygodnika ilustrowanego,“ i Henryk Krajewski, adwokat. — Urzeczywistnienie tej myśli należy do ogółu, a głównie do licznych uczniów i uczennic, tak wiele mających do zawdzięczenia zacnej działalności zmarłego. Rozproszeni po wszystkich zakątkach kraju, zjednoczyć się powinni we wspólną chęć złożenia ukochanemu nauczycielowi trwałego hołdu swęj wdzięczności.

— Znany uczony prof. włoski Angelo de Gubernatis wydaje we Florencyi od 1 stycznia r. b. czasopismo p. t.: „Revue internationale,“ miesięcznie 2 zeszyty (10 i 25 każdego miesiąca). Ważności publikacyi, pragnącej utrzymać pewien związek intelektualny między sferami oświecenijszemi przeróżnych krajów i narodów, nie potrzebujemy szczegółowo dowodzić. Na tej drodze można jeżeli nie usunąć to przynajmniej objaśnić wiele nieporozumień, wiele uprzedzeń, psujących potrzebną harmonią stosunków tudzież interesów międzynarodowych— uprzedzeń, których samo ułatwienie szybkiej komunikacyi nie zdołało jeszcze zatrzeć. Dotychczas nadeszły do Warszawy 4 zeszyty, odznaczające się bardzo ciekawą i nader urozmaiconą treścią częścią szerszej osnowy naukowej, częścią pobieżną relacją o bieżących faktach naukowych i literackich. — W zeszycie lutowym czytamy fragment Ad. Mickiewicza, udzielony przez syna z rękopisu nieznanego dotychczas a zawierający pogląd Adama Mickiewicza na znaczenie i wielkość historyczną Rzymu.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca Józef Berger.



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM,
Z R. 1884.

stron.

Poezya.

Horacyusza Księgi II-giej Satyra 6-a. Przez Felicjana. 1

Filozofia.

Zarys filozofii rodzimój. Przez J. T. Hodiego. 6

Literatura i krytyka.

Okres „ohmurny” w życiu Adama Mickiewicza. Napisał dr.
Teofil Ziemia. 35
O własnej sile. Komodya w trzech aktach wierszem, oryginal-
nie napisana. Przez Juliana Adolfa Święcickiego. 113, 193, 385
Faust Goethego i polskie przekłady téj tragedyi. Przez L. Ger-
mana. 244

Historya.

Przegląd polskiej literatury historycznej. Przez Michała Chy-
lińskiego. 54
Piltyń i archiwum piltyńskie. Przez br. Gustawa Manteuffla. 169, 429
Stanisław hr. Wodzicki, prezes senatu b. Rzeczypospolitéj
Krakowskiej. (Przyczynek do dziejów Krakowa, 1815—1830). Na-
pisał Mieczysław Krzywosąd-Kępieński. (Dalszy ciąg). 232
Kwestya językowa w Austrii. (Przyczynek do historyi nowo-
czesnej Austro-Węgier). Przez Eugeniusza Lipnickiego. 329

Sztuki piękne.

- Światło i ciemności. Alegoryczny plafon Henryka Siemiradzkiego. Przez Karola Matuszewskiego 74

Numizmatyka i archeologia.

- Wykopalisko monet X i XI wieku, dokonane w roku 1882. Przez Józefa Przyborowskiego. 224
 Pierwsi orientaliści i archeolodzy polscy. Napisał Ludwik Dębicki. 363

Matematyka i nauki przyrodzone.

- Prace matematyczne ś. p. Henryka Muklanowicza i rękopism jego dzieła o miernictwie. Przez T. Skomorowskiego. 267
 Nowe poglądy na elektryczność ziemską W. Siemensa. Przez F. Sulimierskiego. 441

Sprawy społeczne.

- O stosunkach szkolnych i ekonomicznych w W. Ks. Poznańskim. Przez Ludwika Żychlińskiego 277

Polemika.

- Między wydawcą Kodeksu Wielkopolskiego a p. Stanisławem Marońskim. 290

KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Doroczne posiedzenie pięciu Akademii: mowa archeologa Heuzey o związku nauk ścisłych z literaturą i sztuką.—Ogłoszenie nagród konkursowych w Akademii francuskiej.—Poemat na cześć Lamartina, przez Jana Aicard.—„Historja Francji za ministeryum kardynała Mazarińskiego,” p. Cheruel.—„Gaspard Coligny,” p. hr. Delaborde.—„Katarzyna z Aragonu i początki schizmy w Anglii,” p. Alberta de Boys.—„Polityka francuska w r. 1866,” p. Rothan.—„Studia krytyczne nad Historją literatury francuskiej” i „Romans naturalistyczny,” p. Brunetiere.—„Historja wroźbiarstwa w starożytności,” p. Bouche Leclercq.—„Luksemburg,” p. Ludwika Favre.—„Historja literatury i stanowisko pisarzy w Anglii,” p. Aleksandra Beljame.—„Krytyczne wyda-

nie Bossucta," p. Gazier.—„Bibliografia dzieł Woltera," przez rumuńskiego filologa Bengesco.—Przekład poematu Petrarcki: „Afryka," p. Develoy.—„Historya edukacyi kobiet," przez profesora Rousselot.—„Kobieta francuzka," p. pannę Klarysę Bader.—„Ignis," powieść hr. de Chaumy.—„Marco," p. Joannę Meret.—„Marivaux," studyum literackie, przez prof. Laroumet.—„Dom, gdzie umarł Molière," p. Augusta Vitu.—„Zarys estetyki Kartezjusza," p. Emila Krantz.—„Cenzura za piewszego cesarstwa," przez prof. Welshinger.—„Zarys życia i prac Lucyana," p. M. Croizet.—„Pani Sevigné w Bretanii," p. Leona de la Brière.—„Mały Francuz," p. Henryka Bigot.—„Rekreacye naukowe," p. Tissandiera.—„Historya małego człowieka," p. panią Robert Halt.—„Wielkie serca," zbiór poezyi Stefana Liegeard.—„Wielkie serca," szkice prozą, Henryka Lavalley.—Wspomnienie Monthion'a, przez akademika Rousse.—Inauguracya pomnika Aleksandra Dumasa, dłuta Gustawa Doré.—Mowy: Edmunda About, Juliusza Claretie i innych.—Poemacik Augusta Dorchani, wypowiedziany w Odeonie.—Dramat: „Severo Torelli," przez Franciszka Coppée.—Buletyn Towarzystwa uczniów batiniołskich: „Dania i Polska za ministerstwa hr. Bernstorf."—Przekłady poetów polskich na język czeski.—Dr. Karol Merwart: prace jego filologiczne nad pomnikami literatury romańskiej.—Artystyczne prace p. Andriollego.	86
Zmarły historyk Henri Martin. — Dramatyczny poemat „Wercyngetoryks."	448

Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

„Teorya jestestw idyodynamicznych." Napisał Ludwik Natanson, doktor medycyny. Warszawa, 1883. Przez Kazimierza Kaszewskiego.	186
„Nicolaus Copernicus von Leopold Prowe. Erster Band: Das Leben, I Th., 1473—1512, XXVII, p. 413; II Th., 1512—1543, p. 576. Berlin. Weidmannsche Buchhandlung, 1883, in 8-o, z 6 fotodrukami. Przez H. B	148
„Kinsky und Feuquières," von dr. Edmund Schebek. Berlin, 1882. Przez E. Lipnickiego.	299
„Geschichte des Zeitalters der Entdeckungen," von dr. S. Ruge. Berlin, 1882, str. 542. Przez E. L.	304
„Sur la densité de l'oxygène liquide." Comptes rendus de l'Académie des sciences, z 16 lipca 1883 r. „Ueber das specifische Gewicht des flüssigen Sauerstoffs." Annalen der Physik und Chemie, 1883, t. XX, przez Zym. Wróblewskiego. Przez F. Sulimierskiego.	308

	stron.
Paul Deschanel: La question du Tonkin. Paris. Berger-Levrault et Comp., 1883, str. 8, VII i 505	309
Kazimierz Stronczyński: Dawne Monety Polskie dynastyi Piastów i Jagiellonów. Część I. Piotrków, 1883. Przez Józefa Przyborowskiego.	462

Korespondencje.

I. Przez Piotra Chmielowskiego.	313
II. Przez Fr. Dobrzańskiego.	484

WIADOMOŚCI BIEŻ., NAUK., LITER., ART. I SPOŁECZNE.

Styczeń.—Instalacya obrazu Matejki: „Jan III-ci pod Wiedniem 1683 r.” w Watykanic.—Ofiary m. Krakowa na restauracyą grobowca Bolesława Śmiałego w Ossyaku, tudzież na pomnik Adama Mickiewicza (str. 158).—Statystyka uniwersytetów europejskich w r. 1883.—Wspomnienie pośmiertne historyka francuzkiego, Henryka Martin (159).—Posiedzenia Akademii Umiejętności w Krakowie dnia 3 grudnia („Słownik synonimów” ks. bisk. Krasieńskiego) i 4 grudnia (Plan wydawnictw Akademii) (160).—Ks. Korytkowski: „O ks. prymasie Jakóbie Uchańskim” (161).—Plan odbudowy zamku królewskiego na Wawelu p. Prylińskiego.—Krytyczny katalog książek dla dzieci i młodzieży, p. Adolfa Dygasińskiego, tudzież katalog ilustrowany księgarni Gebethnera i Wolffa (162).—Konkurs imienia ś. p. Pauliny Krakow.—Dr. Kestner: Przyczynki do historii miasta Torunia.—Dr. Lichtenheld: Nauka języków klasycznych pod względem pedagogicznym (168).—Wierszyk T. Lenartowicza z okoliczności Willii Bożego Narodzenia.—List arcyb. Z. S. Felińskiego, opisujący ostatnie chwile Juliusza Słowackiego (164). 158—166

Luty.—Posiedzenie Komisji antropologicznej Akad. Um. w Krakowie (315).—Badanie zwyczajów ludów dzikich (316).—Badania archeologii przedhistorycznej (318).—Ludność W. Ks. Poznańskiego.—Biblioteka Polska w Rumunii (320).—Czytelnia akademicka w Krakowie.—Posiedzenie komisji historii sztuki w Krakowie (321).—Zjazd archeologiczny w Odessie.—Katalog duplikatów Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu.—Jan Kochanowski, p. Bronisława Chlebowskiego (322).—Wydawnictwa księgarni Gebethnera i Wolffa (Dubiecki, Spencer, Krwawy dorobek, Guccio zczarowany).—T. Paprockiego; Lesmana i Świszozowskiego (Poezye Hajoty, Czesława).—Antoni Strzelecki: „Nauka o dobrej gospodarce polnej” (323).—Stefania Jurkowska: „W kraju słońca.”—Wydawnictwa księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie (Listy Juliusza Słowackiego, wydanie 2-gie; M. Romanowskiego: Poezye; Opisy historyczne Halicza).—„Słowansky Sbornik.”—Nieznany rękopis w języku niemieckim, opisujący Polskę w wieku XVII (324).—I. Taylor’a dzieło o Alfabcie.—Rocznik To-

warzystwa pedagogicznego w Paryżu za r. 1883.—Kazimirskiego Słownik perski. — Sprawozdanie komisji Akademii bawarskiej od roku 1858 — 1883 (str 326). 315—326

Marzec.—Zjazd historyczno-literacki imienia Jana Kochanowskiego w Krakowie d. 28, 29 i 30 maja r. b. (486).—Botanika Jul. Wiesnera.—Sprawa ujednostajnienia pisowni polskiej (488).—Ostatnie chwile Mickiewicza w Carogrodzie (489).—Szkoła rzemiosł (490).—O. Pierling: „O stosunkach Batorego do Rosyi” (491).—Stypendyum Ignacego Boczylińskiego.—Angelo de Gubernatis: „Revue internationale” (492). 486—492

Nekrologie.

Ś. p. ks. Józefat Szczygielski.—Ignacy Boczyliński. 166, 167
 Ś. p. Augustyn Frączkiewicz.—Konstanty Żupański 327, 328

Od Redakcyi.

Program konkursu na temat: „Obraz historii literatury polskiej w wieku XVII,” w zeszycie za miesiąc luty.
 Ogłoszenia księgarskie.

